

CHAMIER-GLISZCZYŃSKI

CHMIELARZ

CIEPLAK

DUKAJ

HENDEL

HORODYSKI

KASDEPKE

KOSIK

KUCZOK

W. MIŁOSZEWSKI

Z. MIŁOSZEWSKI

ODIJA

ORBITOWSKI

PAKUŁA

PILIPIUK

PLEBANEK

PROTASIUK

RAK

ROZENBERG

SADURSKA

SALIK

SŁOWIK

SZCZYGIELSKI

SZOSTAK

ZBIERZCHOWSKI

ŻULCZYK

ANTOLOGIA  
OPOWIADAŃ  
FUTURYSTYCZNYCH



ANTOLOGIA OPOWIADAŃ FUTURYSTYCZNYCH

# UTOPIAY

WOJCIECH STEFANIEC/ILUSTRACJE

  
HARDE  
WYDAWNICTWO

Copyright © by: Wojciech Chamier-Gliszczyński, Wojciech Chmielarz, Anna Cieplak, Jacek Dukaj, Paulina Hendel, Miłosz Horodyski, Grzegorz Kasdepke, Rafał Kosik, Wojciech Kuczok, Wojciech Miłoszewski, Zygmunt Miłoszewski, Daniel Odija, Łukasz Orbitowski, Mateusz Pakuła, Andrzej Pilipiuk, Grażyna Plebanek, Michał Protasiuk, Radek Rak, Anna Rozenberg, Barbara Sadurska, Magdalena Salik, Dominika Słowik, Bartosz Szczygielski, Wit Szostak, Cezary Zbierchowski, Jakub Żulczyk, 2022

Redaktor kreatywny: Daniel Odija

Ilustracje i projekt okładki: Wojciech Stefaniec

Przygotowanie okładki: Olga Bóldok-Banasikowska

Redaktor merytoryczny: Piotr Mąka

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redaktor prowadząca: Marta Orzechowska

Korekta: Zespół UKKLW – Urszula Gac, Karolina Kuć, Joanna Misztal, Elżbieta Steglińska, Weronika Trzeciak

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2022

ISBN 978-83-67502-18-4

Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

Więcej o naszych autorach i książkach:

[wydawnictwoharde.pl](http://wydawnictwoharde.pl)

[facebook.com/hardewydawnictwo](https://facebook.com/hardewydawnictwo)

[instagram.com/harde\\_wydawnictwo](https://instagram.com/harde_wydawnictwo)

tel: 691962519

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: [harde@grupazpr.pl](mailto:harde@grupazpr.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Drogocenna/y Czytelniczko/ku

Pierwocina

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

Zew

Zwykła kradzież

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

Krawaciarz

2032

2034

2035

2036

2037

2039

Ingrid 2000

Dobre uczynki

1.

2.

3.

4.

5.

## Chemiczne wakacje

### Forma

### Fifonż

Akt I

Akt II

Akt III

Epilog

### WHATT inc.

### Kupujesz?

### O kotach, dziadach i Matce Boskiej

I

II

III

IV

V

VI

VII

### Pan Dorożkiewicz

I

II

III

### Wióry

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

Betoniarka wujaszka Igora

Woda i krew

Znaki nieszczególne

Głęboki błękit

Straszne skutki awarii odkurzacza

Siedemdziesiąt trzy godziny

Chwilówki

Schematy nagród

POZYTYWNE WZMOCNIENIA

KLATKA SKINNERA

SCHEMATY NAGRÓD

Chcieliśmy dobrze

# Skarb

Bank Dotyku

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

Ty nad poziomy wylatuj

# Drogocenna/y Czytelniczko/ku\*

Piszę do Ciebie z niedalekiej przyszłości, co nie znaczy, że wiem coś więcej i lepiej. Mam jednak inną perspektywę. Znam już dwadzieścia sześć opowiadań, które znalazły się w niniejszej antologii. Ty je dopiero przeczytasz. Szczerze Ci tego zazdroszczę, czekają Cię bowiem bezcenna zabawa i ogromny kapitał przemyśleń. Zapewniam też, że zaskoczenie będzie niejednokrotne, co stanowi skuteczną wycenę wartościowej sztuki.

Pisarki i pisarze tu zgromadzeni należą do grona znanych i nagradzanych artystów słowa drukowanego, wydawanego i rozpowszechnianego. Nie starczyłoby tu miejsca na wymienianie ich osiągnięć. Dość powiedzieć, że są wśród nich laureaci wielu prestiżowych nagród literackich.

Talent jest niepoliczalny, lecz w odniesieniu do tych twórców o jego wartości stanowią dzieła, które dotąd napisali – różnorodnie gatunkowo, począwszy od literatury obyczajowej, przez kryminał, po szeroko pojętą literaturę fantastyczną i dziecięcą. Umiejętność snucia opowieści przez tych ludzi w przeliczeniu na zapisane słowa znacząco przekracza średnią krajową brutto, a w niektórych przypadkach nawet netto. Zazwyczaj tematy do zapisywania wynajdowali sobie sami. Tym razem temat znalazł ich. Ci wybrańcy fortuny dostali zadanie, by stworzyć opowiadania futurystyczne, w których podejmą wątek przyszłej waluty. Mieli się zastanowić, jak pieniądz przyszłości będzie wpływał na człowieka, jaki będzie i czy w ogóle będzie. Mieli przemyśleć zjawisko czekających nas płatności.

Skąd pomysł? Z życia, najtaniej powiedzieć. Wystarczy się rozejrzeć i rozważyć, jak płacono kiedyś, a jak płaci się dziś. Dawno temu wymienialiśmy się towarami. Za pieniądze służyły różne kamienie, koraliki,

pióra, muszle, sól, futra, tkaniny, cukier, orzechy kokosowe, zwierzęta, miedź, srebro, złoto, a nawet parmezan. Gdy zaczęliśmy bić monety, niczym lokaty o wysokim oprocentowaniu rozrosły się miasta i państwa. Wraz z drukowaniem pieniądza papierowego wzrosła rola banków. I pewnie nadal byśmy wirowali wśród monet i banknotów, gdyby nie rewolucja technologiczna, jaką przyniósł internet. Wraz z rozwojem internetu nastąpiła rewolucja płatnicza. I nie chodzi tu tylko o wirtualne konta bankowe, plastikowe karty płatnicze czy płacenie zbliżeniowe smartfonem, lecz także o powstanie kryptowalut i systemów Blockchain, które – jeśli pominąć wszelkie detale ich działania – sprawiają, że pieniądź przestaje być materialny, dotykalny. Staje się wirtualną kopalnią, z której wykopujesz bogactwo, i płacisz kluczem będącym cyfrowym kodem.

Jakie to ma znaczenie dla naszego życia? Wszak można powiedzieć, jak już wielokrotnie mówiono, że pieniądź rządzi światem – żądza pieniądza przecież się nie zmieniła. I dodać: pieniądź rządzi ludźmi, skoro ludźmi handlowano i nadal się handluje, a wielu jest takich, co za pieniądze sprzedadzą swoją godność. Wreszcie można rzucić w twarz niedowiarkom i tym wierzącym, że pieniądź to młody-stary bóg, do którego modlimy się o bogactwa wcale nie duchowe.

Kto się z tym nie zgadza, niech pierwszy rzuci pieniądzem!

No tak, tylko jakim pieniądzem, skoro coraz mniej monet i banknotów, a coraz więcej cyferek zapisanych w wirtualnej rzeczywistości? Trudno rzucić w kogoś walutą cyfrową. Kto nie wierzy, niech spróbuje. Żarty jednak na bok.

Bo, Drogocenna/y Czytelniczko/ku, w kontekście treści, które za chwilę przeczytasz, wszystko, co dotąd było o pieniądzach, jest już historią. Wszak trzymasz w rękach opowieści futurystyczne! A to znaczy, że wizje w nich przedstawione wykrócą poza Twoje dotychczasowe doświadczenie świata i człowieka oraz otworzą nowe wyobrażenia o działaniu pieniądza. Być może po ich przeczytaniu zaczniesz zadawać sobie pytania w rodzaju:

Czy rzeczywiście będziemy płacić krwią, i to dosłownie? A może naszymi kartami płatniczymi będą zwierzęta? Czy energia odzyskana z duszy to wystarczający kapitał, by otrzymać kredyt na życie? Jaką wartość będą miały dobre uczynki? Co się stanie, gdy znikną wszystkie pieniądze?



Albo:

Jaką walutę należy zbierać, by napisać powieść, w dodatku surowo ocenianą? Dziecko jako przelicznik statusu społecznego? Warzywa jako pieniądze? A może będziemy płacić fikcyjnymi pieniędzmi stworzonymi wyłącznie po to, by wzbudzały poczucie zamożności?

Jak będą działać rdzenie teleportów, virtukasa, bithajs, digdongi, jednostki, globale, kcale, ksydany? Kim będą odklejeńcy, hipersensoryki, antechy, Kujon, Cybersyn, Sanny? Czym będą ZEW, CUDD, GaX, Bank Dotyku, Prawda Emocjonalna, Stowarzyszone Lokalności, formy, wysysacze czasu, edubudki czy gargamele?

Czy można będzie kupić czas? Czy wytworzona przez nas sztuczna inteligencja będzie miała poczucie czasu i czy obudzi się w niej wola życia? Wreszcie czy w ogóle będzie istniało coś takiego, czego nie będzie można kupić albo sprzedać?

Podobne wątpliwości i przewidywania sprawiły, że księga, którą trzymasz w swoich rękach, została obdarzona tytułem UTOPAY. W swobodnym, niezobowiązującym przekładzie słowo to można rozumieć jako „utopijne płatności”. Wskazuje na to przedrostek „uto-” i rdzeń „-pay”, który, jak pewnie wiesz, w tłumaczeniu z angielskiego znaczy „płacić”. Zresztą wystarczy zerknąć na UTOPAY, zobaczyć kształt liter i przeczytać głośno, by usłyszeć „utopej” lub „jutopej” – anglicyzm wywołujący wizualne i fonetyczne skojarzenia ze słowem „utopia”. Co prawda utopia to marzenie o idealnym ustroju politycznym, państwie czy miejscu, ale można je też odczytać ogólniej – jako gdybanie o świecie, którego jeszcze nie znamy.

Bo czy nie jest tak, że tylko przyszłość nas łączy? W obliczu nieznanego podziały znikają. O tym, co ma się zdarzyć, wszyscy wiemy tyle co nic. Dane czerpiemy z teraźniejszości, która prócz krótkich, radosnych epizodów wspólnoty dzieli nas częściej niż łączy – trudno określić aktualną liczbę konfliktów na świecie. Teraźniejszość jest zbyt nieuchwytna, by łączyła. Ledwo się staje, już przemija.

Nasze domniemania o przyszłości możemy też wywodzić z wiedzy historycznej, przeszłości. Ale przeszłość również dzieli. Jak bardzo odmienne są relacje świadków wczorajszego zdarzenia, a co dopiero powiedzieć o interpretacjach wydarzeń sprzed lat czy wieków? Każdy

ma inne spojrzenie na historię. Przeszłość jest niesprawdzalna, łatwo nią manipulować. Można wykrajać z niej to, co komu pasuje.

Zdaje się więc, że tylko przyszłość łączy, nawet jeśli każdy ma odmienne jej wyobrażenia. Dlaczego łączy? Bo nieznana. Każdy z nas myli się w jej przewidywaniach. Wykracza bowiem poza ludzką wyobraźnię. Ale wciąż próbujemy ją nazywać. Jako niesprawdzalna w równym stopniu niepokoi i wywołuje nadzieję. Łączy nas ciekawością tego, co będzie, i snuciem domysłów, jak może być.

Niniejszą antologię opowiadań futurystycznych spaja jeszcze jedno. Dwadzieścia sześć ilustracji i okładka autorstwa Wojciecha Stefańca, który jest jednym z najlepszych współczesnych rysowników komiksowych. Wizyjność jego obrazów należy oszacować według własnej wewnętrznej waluty. Zapewniam jednak, że te ilustracje zarówno stanowią subtelny komentarz, jak i są wizualnym poszerzeniem futurystycznych dociekań zawartych w tekstach.

Dwadzieścia sześć wizji przyszłości powiązanej z pieniądzem. Aż dwadzieścia sześć opowieści nigdy wcześniej nieczytanych. Do tego dziesiątki premierowych ilustracji! Drogocenna/y Czytelniczko/ku, czy zdarzyło Ci się kiedykolwiek trzymać w rękach tak obszerne i różnorodne kompendium wyobrażeń tego, co być może nas czeka? Przelicz sobie w myślach. A jeśli nie masz pewności co do swoich rachub, przestań się zadreć. Po prostu przewróć stronę i rozpocznij przygodę wiodącą ku przebogatym łądom słowa i obrazu.

Wielu wartościowych wrażeń życzy Ci  
VIRTUKA5JER.D4NIEL.OD1JA

---

\* Niepotrzebne skreślić.



# pierwocina

JACEK DUKAJ

## 1.

Usłyszawszy, że jej ciąża potrwa ćwierć wieku, przeraziła się.

- Trzeba było nie zadawać się z bogami.

Na śnieżącym ekranie enerdowskiego ultrasonografu niewiele jeszcze dało się dojrzeć. Poradzili jej wrócić za osiem lat, gdy wejdzie w drugi trymestr. Rozwiązanie miało nastąpić późną wiosną lub latem dwa tysiące czternastego roku. Będzie się już zbliżała do pięćdziesiątki, czy naprawdę dobrze wszystko przemyślała?

- Jest taki doktor Żyd pod Wieliczką, z niejednej wyskrobał niebiańskie nasienie.

Anna bardzo powoli zapinała pasek dżinsów. Brzuch miała płaski, twardy, brzuch pływaczki albo zapaśniczki. Przez pierwszy trymestr ciąża pozostanie niewidoczna i podczas gdy dziecko nieśmiertelnego będzie wrastało w jej organizm, mieszając krwiobieg nieba i ziemi, Anna rozkwitnie wśród ludzi niczym kwiat między chwastami.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Och, za wcześnie na płęć, za wcześnie na gatunek.

Lęk ustępował narastającej ekscytacji wyzwaniem, poczuciu nieodwracalnej życiowej przemiany: nic już nie będzie takie samo. Wybór należał do niej. Nie wiedziała, czego się spodziewać, i ogrom tej tajemnicy prawie odbierał jej dech.

Dopiero za trzy lata mieli przegłosować ustawę przeciwko aborcji ludzi i bogów. Wkrótce po zaprzysiężeniu rządu Mazowieckiego Anna

obroniła magisterkę z teorii teatru. PKB wynosił 82,2 miliarda USD, przeciętne wynagrodzenie – 206 758 złotych, inflacja – 639 procent, dolar kosztował 6500 złotych, a euro nazywało się ECU, nie istniało w postaci fizycznej i kupowano je za 7622 złote.

## 2.

W 1936 roku Vere Gordon Childe opublikował książkę, która miała ostatecznie wyjaśnić, skąd wzięli się bogowie. *Man Makes Himself* nie pozostawiała wątpliwości: zaczęło się od rewolucji neolitycznej. Wtedy to ludzie poczęli się zbierać w większe grupy, organizować się dla uprawy ziemi i hodowli zwierząt. Porzucali swe obyczaje nomadyczne i osiedlali się w miejscach słodkiej wody i żyznej gleby. Tam udomawiali dzikie bestie, lepili garnki, obrabiali drewno. I rodziło się coraz więcej dzieci, które trzeba było wyżywić z coraz intensywniejszego rolnictwa. Rosły piramidy społeczne, a wraz z nimi – język, kultura i jej materialne obrazy. Albowiem zaczęli także budować domy, spichlerze i świątynie, i tam oddawali bogom cześć.

Wychowały się na tym pokolenia naukowców, wykwitły stąd urzekające ideologie i polityki. Childe był marksistą, wszędzie wokół siebie widział rezultaty rewolucji industrialnej: produkcja i technologia determinowały mu warunki życia, a warunki życia determinowały zachowania i przekonania.

Lecz pod koniec dwudziestego wieku owe oczywistości antropologii i archeologii zaczęły się odwracać. W Göbekli Tepe, w Wadi Faynan, w Nevali Çori i na innych terenach wykopalisk odkrywano ośrodki kultu pochodzące jeszcze sprzed epoki neolitycznej: niekiedy bardzo rozwinięte architektury z symboliką zdradzającą bogate systemy wierzeń, a bez wątplenia stanowiące twory kultur łowiecko-zbierackich – miejsca ich spotkań, pielgrzymek, celebracji.

I dziś wiemy, że to wokół nich i ich rytuałów, że to na sile tamtych wierzeń jęły się organizować społeczności, zapuszczać fundamenty osady, i tam zaczęto uprawiać rolę.

To nie rolnictwo, miasta, handel i pieniądze zrobiły bogów – to bogowie zrobili cywilizację i pieniądze.

### 3.

Przeszedł był przez akademik jak bartnik przez pasiekę. Zza cienkich membran ścian i drzwi dobiegał szum dziewczęcego podniecenia, brzęczenie pszczołich skrzydełek. Anna zapamiętała jego oblicze lśniące miodem, kiedy wyjadł już ją do syta, i wylizał do czysta, i wychłęptał słodkości jej wszystkie – jego oblicze ociosane żądzą huraganową, jak spadał na nią raz za razem z wysokości uniesienia boskiego. Gwałt czy nie gwałt – bóg posiadał kobietę. Do końca życia będzie Anna tęsknić za tym uczuciem.

Żądza boga znieczuliła ją na afekty mężczyzn. Cóż ich igielki tępe wobec ciosu gromu! Znalazła pracę w podmiejskiej firmie prowadzącej z Zachodu używaną odzież, tam nie mieli jej za złe dyplomu humanistycznego, mogła sekretarzyć i buchalterzyć. Klienci i dostawcy emalowali ją z wąsatą subtelnością. Zakochała się nam panna Anna, że od rana tak promienieje! Niekiedy miała wrażenie, że wybuchnie, jeśli naprawdę się nie wypromieniuje.

Zapisała się na strzelnicę. Huk i zapach prochu, odkopnięcia twardego metalu – dopiero to odpowiadało temperaturze jej krwi, rytmowi jej tętna podwójnego.

Nie zdawała sobie sprawy, ale musiało być coś w sposobie, w jaki zabijała tarcze i kukły. Tutaj gromowładni rozpoznawali się po technikach pieśczoły cyngla.

Instruktor, otoczywszy Annę muskularnymi ramionami, gdy układał jej ręce i korpus do pozy strzeleckiej, opowiadał półgłosem mitografie współstrzelców.

- Ten tam – dyrektor na sprywatyzowanej fabryce płytek ceramicznych. Ten – dawniej major ube, teraz kantory i lombardy. Tam – sekretarz kawu Partii, rada nadzorcza banku. Tamten – syn ambasadora,

pośrednictwo ze Wschodem. A ci, o! – siła miasta, tuzin dziupli i amfa hurtem.

Był to ich sport, ich szpan i ryt, i komunia mocy. Na strzelnicy nic nie mówili; potem, przy wyjściu i na parkingu, wymieniali się numerami telefonów i adresami knajp. Anna – Daniel, Daniel – Anna. Anna – Bruno, Bruno – Anna. Anna – Arnold, Arnold – Anna. Rozpoznali się po melodii gromu.

Arnold Makler zasypiał z głową złożoną na jej brzuchu, nasłuchując poruszeń płodu. Średnie kroczące i oscylacje stochastyczne przepływały jej pod skórą. Językiem ciepłym wiódł od pępka wykresy świecowe, formacja odwróconego trójkąta wskazywała zawsze trójkąt Anny.

– Elektrim – dwadzieścia siedem dwadzieścia. Jutrzenka – sześćdziesiąt sześć. Sokołów – dwa dziewięćdziesiąt trzy.

Z początkiem drugiego trymestru denominacja ścięła bowiem z waluty kraju cztery zera. 1 stycznia 1997 roku wyszły z użytku stare złotówki.

## 4.

Myślimy falami. Myśli, wrażenia, świat – przepływają przez nas.

Iskra po iskrze, neuron po neuronie, tu rozbłyśnie, tu zagaśnie, tam rozbłyśnie trzykroć – tak rośnie napięcie elektryczne, aż przeleje się przez próg potencjału i równinami, wąwozami, korytami mózgu popływie lawina sygnałów myślowych. Tysiące, miliony takich lawin przetaczają się w każdej sekundzie w łożysku mojej i twojej świadomości.

Ich przebieg różni się częstotliwością. I rozpoznaliśmy te częstotliwości, i odtąd mówimy o falach alfa, falach beta, gamma, delta, theta, mu.

Każde wrażenie – każda informacja ze świata, każde tchnienie ducha pod kopułą czaszki – płynie na jakiejś fali. Na początku są chaos i przypadkowe wyładowania burzowe w ciemności. Świat, to znaczy obraz świata, wyłania się dopiero w harmonii.

Raz stworzony może się on wszakże w każdej chwili obsunąć z powrotem w pierwotną otchłań bezładu. Prowadzone za pomocą EEG badania pokazują, że aktywność fal mózgowych wprost wpływa na samo postrzeganie rzeczywistości: rozbłyśki światła emitowane podczas minimów fal alfa i theta pozostają dla badanych całkowicie niewidoczne. A gdy rozprzegają się fale gamma w poszczególnych rejonach kory, mózg niby widzi wyraz na papierze, lecz go nie odczyta. Świadomość wymaga zestrojenia wielu fal; świadomość w istocie jest tym zestrojeniem.

Nie powinno więc dziwić, że fale mózgowe chorych na schizofrenię różnią się od fal ludzi zdrowych: albo nie rozchodzą się wystarczająco szeroko i głęboko, albo nie zestroiliły się ze sobą wystarczająco ściśle. Wadliwe fale gamma w hipokampie prowadzą do „niemożności jasnego odróżnienia myśli formowanych w głowie (na przykład wspomnień i fantazji) od bodźców pochodzących ze świata zewnętrznego”.

Rozstroić nam pływy skojarzeń i percepcji, a tworzymy z przedmiotów myśli – byty rzeczywiste.

Istnieją techniki celowego wpływania na taniec fal mózgowych. Najstarsze i najefektywniejsze wywodzą się z praktyk szamanistycznych i rytuałów przywoływania bogów. Narzędziami są tu dźwięk i światło; dźwięk jest lepszy. Pierwsze ich naukowe badania przeprowadził w latach trzydziestych XX wieku William Grey Walter. W 1961 roku Brion Gysin wynalazł Dreamachine, „pierwsze dzieło sztuki do oglądania z zamkniętymi oczyma”. W roku 1973 Gerald Oster opublikował w „Scientific American” pionierską pracę o tak zwanych dźwiękach różnicowych – binaural beats. Zaobserwowane w 1839 roku przez Heinricha Wilhelma Dove’a powstają one jako różnica w wysokości dźwięków wlewanych w lewe i w prawe ucho. Rozstrojenie tych częstotliwości – słyszane jako „dźwięk, którego nie ma” – wpływa następnie na fale mózgowie, pozwalając programować sny, wprowadzać człowieka w trans, wytrącać zeń świadomość ciała, kontrolować wrażenia bólu.

Nie znamy wszystkich metod ani konsekwencji desynchronizacji. Wiemy jednak: roztrzaskaj rzeczywistość – bogom znacznie łatwiej wejść do świata materii.



## 5.

W drugim trymestrze, za panowania Aleksandra Różowego, półbóg nie-narodzony stał się dla Anny prawdziwą uciążliwością i brzemiem.

Nie dało się już ukryć stanu niebiańskiego, nasienie nieśmiertelne na dobre zakorzeniło się w śmiertelnym ciele i płuód realniał z nieludzką zajadłością, brzuch rósł i rósł.

- Rozumie pani, ja bardzo chętnie, ja tu pierwszy feministka, niech pani sama rozpyta, ale, na litość, z etatami obciążonymi piętnastoletnim urlopem macierzyńskim pójdziemy na dno z całą firmą, zanim zdąży pani wysylabizować „równouprawnienie”!

Przepłynęły przez Annę wszystkie paradoksy i paranoje Trzeciej Erpe; doświadczyła na sobie wszystkich zmian ustaw i przemian obyczajów. Zwalniali ją z powodu ciąży. Zatrudniali ją z powodu ciąży. Z powodu ciąży przysługiwał jej zasiłek po zwolnieniu; kwalifikowała się do ulg i preferencji. ZOZ-y, Kasy Chorych, ZUS-y i enefzety przekładały ją z kartoteki do kartoteki.

- Taa, teraz wszystkie jesteście samotne matki, teraz wam tak wygodnie. Nagle ojcowie zniknęli z powierzchni ziemi. Gdzie ten pani chłop?

- Zniknął z powierzchni ziemi.

Opuszczali ją ludzcy kochankowie, oddalały się dotyk i czułość ludzkiego ciała, coraz bardziej obce, coraz dla niej dziwniejsze. Czy to skutek tak oczywistej ciąży, czy obraz ducha czasów? Zauważyła to któregoś dnia, gdy współpasażer wzdrygnął się, pomagając jej wysiąść z tramwaju. Dotknięcie obcego człowieka nie jest już odruchem, odwrotnie - wymaga przewyciężenia głębokiego odruchu osobności.

Tymczasem balast nastoletniego płuodu stał się tak wielki, że Anna zaczęła mówić w liczbie mnogiej: my idziemy, my jemy, my oglądamy telewizję. Był to jeszcze czas, gdy oglądało się telewizję.

Nadejście bogów Europy przyjęła bez wielkich emocji, bez gorączkowych nadziei. Jedne godła i flagi zastępowały inne godła i flagi. Po bulwarach i knajpach wałęsało się teraz więcej obcojęzycznej chuliganerii. Pociągi stawały się mniej obrzydliwe; w niektórych kobieta w ciąży mogła nawet skorzystać z toalety. Odnowione starówki wyludniły się

pod zimnymi szyldami banków i towarzystw ubezpieczeniowych. Zniknęły budki telefoniczne; zastąpiły je bankomaty. Nosiła w torebce trzy karty płatnicze, każda pokryta sobie właściwymi zaklęciami i runami. Pieniądz wymagał już przechowywania w głowie cyfrowych inkantacji – co człowiek, to PIN. Anna zastanawiała się, czy jej półbóg wyjdzie na świat, zanim także nienarodzonym pozakładają konta i karty. Ustawa z dnia 7 stycznia 1993 roku stanowiła, iż nasciturus ma zdolność prawną, może dziedziczyć i posiadać pieniądze – pod warunkiem, iż urodzi się żywy. Nawet jeśli zmarłby sekundę po narodzinach.

Anna Matka Polka – brzuchata, niezgrabna, ociężała, spowolniona i wyosobniona – czuła się, jakby piła z innego źródła czasu, jakby żyła na jedynej nieruchomej wyspie obmywanej z obu stron przez wzburzony nurt rzeki, która, przełamawszy tamę, musi w tym wylewie wypuścić cały nagromadzony dekadami nadmiar wód i szlamu. Pojawiły się stoiska i sklepy z ubraniami dla kobiet w ciąży; pojawiły się mody ciążowe i szkoły rodzenia, i joga dla ciężarnych, i tabloidowa moda na dzieciobójstwa.

Niespodziewanie naszła ją kontrola z opieki społecznej.

– Sorry, mieliśmy donos, że handluje pani noworodkami: zawsze w ciąży, a bez dzieci.

Założyła sobie konto na Facebooku, status związku: eternity. Była związana przymierzem krwi, przymierzem nieba z ziemią. Co by się stało, gdyby tego dziecka nie urodziła? Facebookowi znajomi przysyłali jej zdjęcia szopek i stajenek z całego świata, ze wszystkich kultur i kontynentów. Bogowie przychodzą na świat co roku, tak obraca się koło dziejów.

Tuż przed hekatombą Wall Street, zanim popłynęła infostradami świata krew giełdowych byków i bóstw Zachodu, Anna opanowała wreszcie podstawową umiejętność człowieka XXI wieku: umiejętność życia na kredyt, życia za pieniądze, którego nie ma. Jak miliony Polaków utrzymywała się z miesiąca na miesiąc, pomimo że wydawała więcej, niż zarabiała, pomimo że nie zarabiała w ogóle. Nigdy bezpieczna w dostatku, i nigdy niedotknięta prawdziwym ubóstwem, zawisała w owym przedziwnym limbo permanentnej tymczasowości. „Jakoś przeżyję”. I jakoś przeżywała.

Była to sztuka wielkowiejskich wiecznych młodzieńców i wyrachowanych bogów Północy. W ich krajach, kolebkach bezosobowej opiekuńczości, piękni blondyni o zimnych sercach żyją wygodnie, wyzbyci ambicji i żądz. Bogowie Południa przynieśli zaś ze sobą nowożytny kultury zniewoleń zmysłowych; ich domeną był internet, wielka Świątynia Porno, które jest jedyną szczerą religią dzieci rozstrojonego świata. Najgłębiej, do kości, w kraj i w ludzi wgryźli się dzięki żertwie smoleńskiej bogowie Wschodu, upuszczając powolne potoki czarnej krwi.

Bo był to już trzeci trymestr, trymestr walki wewnętrznej i bolesnych kopanin, kiedy miała wrażenie, że dziecko rozerwie jej brzuch od środka. Z każdym dniem i nocą nieprzespaną mocniej czuła, jak młody bóg wyrывa się na świat, i że to jest świat młodych bogów, ich bezlitosnego wdzięku, smoczey doskonałości i cyfrowej młodości, która nie bierze jeńców i nie przebacza, trwa wojna, zapach krwi unosi się w powietrzu – bądź gotów na walkę od pierwszego oddechu, nie czekaj ataku wroga, uderz wcześniej.

- Syn.

## 6.

A więc pieniądz nie jest rzeczą ludzką, pieniądz jest eidosem boga.

Starożytny monety zdobią podobizny bóstw, są to pieczęcie niewidzialnego wyciskane na materii codziennego życia: odbicia Ateny, Kory, Heraklesa, Zeusa, Apolla, Hadesa. Przejście nastąpiło za sprawą Aleksandra Wielkiego. Za którego życia jego monety pieczętowały świat Zeusem i Heraklesem. Lecz uszedłszy z życia, przeniósł się Aleksander w oczach współczesnych do rzędu bogów, toteż rychło pojawiły się srebrne tetradrachmy z podobizną samego Macedończyka. Następni władcy nie czekali już wszakże pośmiertnej deifikacji – ubóstwiali się za życia.

Nikt zdrowy na umyśle nie oddaje czci pieniądzu. Lecz posługiwanie się pieniądzem – jego wymiany, liczenie, gromadzenie, myślenie o nim,

pragnienie, opowiadanie świata językiem pieniądza – jest praktyczną metodą czczenia tego, co pieniądz jedynie przedstawia w materii.

Czym różni się przemodlenie setki zdrowasiek na drewnianym różańcu od przeliczenia setki bilansów handlowych na drewnianym liczydło? Powtarzane rytuały mentalne formują mózg i obraz rzeczywistości kształtowany w mózgu.

Bitcoin i jemu podobne, już całkowicie pozamaterialne waluty fiat oparte na kodach cyfrowych i silnej kryptografii obywają się bez mienic i portmonetek. Nie ma już czego ująć w palce, nie modlimy się na różańcach. Życie duchowe Zachodu realizuje się teraz w praktykach przenikających niemal wszystkie aktywności świeckie, od sportu, przez seks i pracę, do gier komputerowych.

Ideałem i praktycznym celem kryptobankierów jest takie rozmycie i zwirtualizowanie pieniądza, że transakcje i płatności odbywać się będą w ułamku sekundy i już bez żadnych fizycznych czynności, bez angażowania materii – myśl równa się pieniądzu, pieniądz równa się myśli, i cała rzeczywistość mieści się w nich bez straty.

W maju 2014 roku jeden bitcoin kosztował 1350 złotych.

## 7.

Poród ciągnął się przez osiem dni; ósmego dnia rozkroili Annę niczym zgniłą kuropatwę. Dziecko krzyczało od pierwszego wdechu, pękały ekrany monitorów i tłoki strzykawek.

Nie dali jej synka do piersi, bali się, że ją pokąsa. Miał piękne, ostre ząbki i ugryzł pielęgniarkę w dłoń, a potem z zamkniętymi oczkami ssął jej krew.

W szpitalnej łazience Anna długo nie potrafiła się zdobyć na spojrzenie w lustro. Fałdy skóry na pustym brzuchu zwisały gadzio, przykryte opatrunkiem szwy po cesarce upodobiły ją do futerału zasuwanego zamkiem błyskawicznym. To ciało wypełniło swą funkcję i teraz nie ma już żadnego praktycznego celu.

Stanąwszy potem nad szpitalnym łóżeczkiem synka, załamała się niespodzianie pod zalewem uczuć nie do nazwania. Musnęła opuszką palca czerwony pyszczek noworodka i zakrzuszyła się histerycznym śmiechem-płaczem. Pielęgniarki odprowadziły ją do pokoju i dały środki na uspokojenie.

Pierwszy tydzień przepłynęła w milczącym otępieniu. Potem stopniowo wydobywała się na powierzchnię. Niemowlę jej potrzebowało – to był wystarczający powód, żeby wstawać z łóżka, ubierać się, jeść, pić, żyć. Uczyła się groźnej cielesności jej synka – był ciężki, gorący, metalicznie suchy.

Becikowe wynosiło tysiąc złotych. Miała dla malucha przygotowane łóżeczko i nosidełko, i wózek z komisu. Nie stać jej było na opiekunkę; kupiła baby monitor o zasięgu dwóch przecznic i nosiła w uchu słuchawkę odbiornika.

Gdy tylko ucichł jego oddech, rzuciła zakupy i pobiegła ze sklepu pod blokiem do mieszkania.

Nie dotarła do sypialni, już na schodach szumiało jej w głowie – w progu jadalni stanęła jak wmurowana.

Rozparty przy stole, w garniturze Ermenegildo Zegny, pod krawatem jedwabnym i z zegarkiem Tag Heuera, jej bóg odbeknął głośno. Jeszcze mu twarz lśniła od wysiłku gryzienia i przeżuwania, jeszcze stópka i paluszki różowe wystawały mu spomiędzy zębów. Gładko ogolony i zaczesany brylantynowo od wysokiego czoła, spocił się jednak i poczerwieniał.

Wielką białą chustką otarł wargi.

- Dziękuję.

Narastający szum prawie tam Annę unieruchomił; osunęła się na odrzwia. Gdy bóg ją mijał, zdołała tylko zaczepić go za rękaw, uchwycić między dwa palce kokainowo biały mankiet jego koszuli ze spinką z logo nieśmiertelnej korporacji.

- Ile nas wzięłeś? - szepnęła. - Ilu ci ich trzeba?

Najedzony, był w dobrym humorze. Pogłaskał Annę po twarzy wymankiowaną dłonią. Odruchowo wtuliła się w woń tysiąc dolarowej wody kolońskiej. Uśmiechnął się do niej wyrozumiale. Pomyślała o wszystkich tych newsach o noworodkach znajdujących w beczkach,

na wysypiskach, w lodówkach, noworodkach nieznanym. Coś za coś – nie da się osiągnąć równowagi, nie odejmując z jednej z szal.

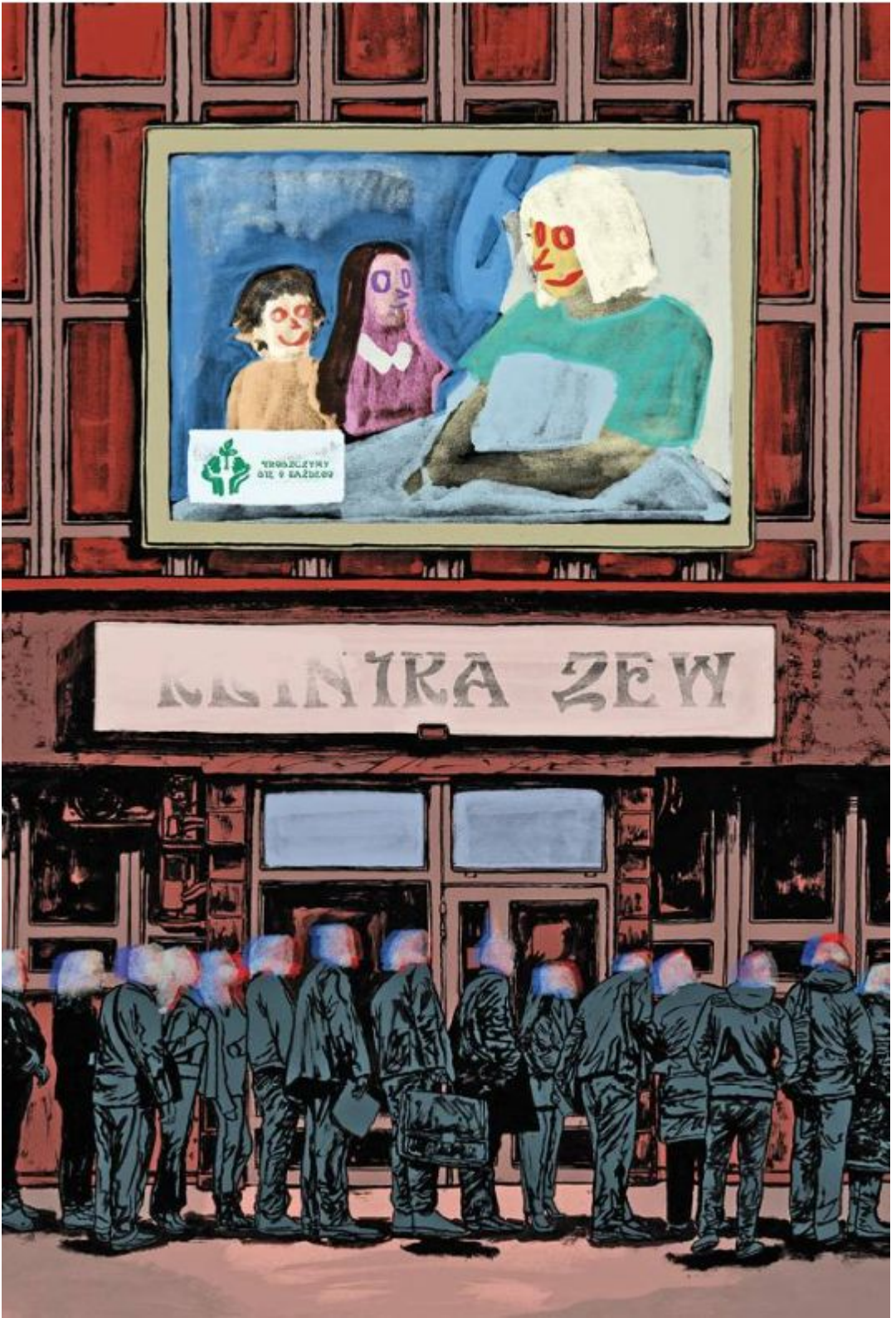
Bóg wychodzi, szum gaśnie, zapada cisza, i po raz pierwszy od ćwierćwiecza Anna pozostaje sama w kraju śmiertelników. Zniknął ów rozdźwięk, klin wbity między nią i świat; strona prawa równa się stronie lewej.

Uprzątnąwszy ostatnie ślady ofiary, może wreszcie wyjść na miasto, nie myśląc o niczym i nikim poza sobą. Powiedzą, że była w szoku; czuje się, jakby szok właśnie dopiero zaczynał z niej schodzić. Jest maj 2014 roku. Na festyn rocznicowy ulice i place udekorowano balonikami biało-czerwonymi i błękitnymi. Pogoda jest słoneczna, ludzie uśmiechnięci, samochody błyszczące, psy dobrze odżywione. Anna ma blisko pięćdziesiąt lat, już prawie nie jest kobietą, już prawie nie cieleśnieje. Ubiera się nie po to, by do ciała wabić, lecz po to, by oddzielać ciało od ciała.

Przypatruje się matkom z małymi dziećmi. Te matki także urodziły się już w nowym świecie. Nie mają do nich przystępu bogowie czasu rozstroju; one nie czują, nie słyszą żadnego zgrzytu.

PKB wynosi prawie 500 miliardów USD, przeciętne wynagrodzenie – 3521 złotych, dolar jest po trzy złote, a euro – po cztery. Przez galerie handlowe i hipermarkety przepływają tłumy, pozostawiając w kasach elektronicznych zapłatę niewidzialnych cyfr, w niewidzialnych rejestrach bytów nieludzkich i nieśmiertelnych. Na kartach kredytowych i ekranach telefonów migoczą godła banków i bóstw, cała rzeczywistość się w nich mieści.





# Zew

PAULINA HENDEL

Wszystko zaczęło się od jednego teoretycznie prostego pytania: „Ile waży dusza?”.

W całej historii ludzkości na pewno nieraz się nad tym zastanawialiśmy, ale dopiero stosunkowo niedawno zyskaliśmy środki i możliwości, by na nie odpowiedzieć. Mówią, że grupka studentów z USA nie miała pomysłu na projekt na zaliczenie roku i po pijaku uznali, że zważenie ludzkiej duszy zagwarantuje im nie tylko najwyższą ocenę, lecz także dobrą pracę po studiach. Na początku wszyscy podchodzili do ich poczynań z przymrużeniem oka. W końcu nie byli pierwszymi śmiałkami, którzy podjęli się takiego wyzwania. Jednak żaden z poprzednich eksperymentów nie miał naukowej wartości, a gdy studenci udowodnili, że mogą to zrobić, a ich metody naukowe będą niepodważalne, w każdym kraju, bez względu na wyznawaną tam religię, zawrzało jak w ulu.

Niektórzy krzyczeli, że to nieetyczne. Inni ze wzruszeniem ramion komentowali, że to się nie uda, bo skoro człowiek nie ma duszy, to nie można jej zważyć. Ale wszyscy tak naprawdę wstrzymywali oddech w oczekiwaniu na wyniki eksperymentu. A te z kolei zatrzęsły posadami całego świata. Studentów odsunięto od dalszych badań i do pracy zabrały się najtęższe głowy z każdego zakamarka naszego globu.

Wynik był taki sam: siedemnaście i pół grama. Zawsze siedemnaście i pół grama. Nieważne, czy ważono duszę staruszki, młodej kobiety, otyłego mężczyzny czy dziecka. Nieważne, jakie metody badawcze stosowano - za każdym razem wychodziło siedemnaście i pół grama.

To, co nastąpiło później, było niczym lawina. Nie, raczej pożar, który ogarnął cały świat. Ludzie masowo powracali do wiary, od której tak chętnie się odwrócili. Przepowiadano koniec świata... I w całym tym



zamecie ktoś inny zadał sobie pytanie: „Skoro można zważyć duszę, to może uda się ją pochwycić?”.

- Do jasnej cholery! Patrz, głupia starucho, co robisz!!!

Drgnąłem, wyrwany z moich rozmyślań o przeszłości, i zacząłem się rozglądać za źródłem wrzasków.

- Już wycieram, proszę patrzeć, nie ma nawet śladu - drobna, zgarbiona staruszka pocierała brudną szmatą tors wkurzonego, czerwonego na twarzy Vincenta.

- Idź mi stąd! - odepchnął ją. - I nie myśl, że zapłacę za tę kawę! Prawie wszystko wylałaś, tupa dzido! - upił łyk z papierowego kubka, a ja założyłbym się, że był on wypełniony co najmniej do połowy.

Staruszka wzruszyła ramionami, chwyciła swój wózek za rączki i pchnęła go dalej. Kilka osób stojących w kolejce pokręciło głowami. Nie mieli czym zapłacić.

- Dzień dobry, pani Maju - skinąłem jej głową.

- Dzień dobry, panie Kaziku - uśmiechnęła się ciepło. - To, co zwykle?

- Poproszę - zerknąłem jeszcze na Vincenta popijającego kawę.

- Firmowa kurtka - marudził dalej. - Ta durna baba powinna mi za nią zapłacić! Przecież to się nie doczyści!

- Niech pani się nim nie przejmuje - pocieszyłem, kiedy staruszka nalewała kawy. - Daję głowę, że dostał tę kurtkę z darów.

- Różnych ludzi spotykam w kolejce - westchnęła, podając mi kubek. - Zresztą pan najlepiej wie. Tacy jak on są najgorsi - pochyliła się w moją stronę. - Zaciągnie kredyt energetyczny, zacznie szastać energią i myśli, że złapał samego Boga za nogi.

- Myśli pani, że znów stoi po kredyt? - zdziwiłem się. Przecież widziałem go w kolejce najdalej trzy miesiące temu.

- Na pewno nie po spłatę - mruknęła. - Słyszałam - rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś nas podsłuchuje - że ma już sto dwadzieścia siedem lat.

- Co?!

- Ciszej! - syknęła. - Ostatnim razem, gdy tu stał, opowiadał o jakimś lukratywnym biznesie, który przyniesie mu miliony. No ale jak tak na niego popatrzeć, to chyba jeszcze ich nie zarobił.

Oboje zerknęliśmy na Vincenta, który wszem wobec chwalił się nowym zegarkiem biometrycznym od ZEW-u. Zupełnie jakby nie wiedział, że to zwykła smycz, tylko o dalekim zasięgu.

- Jakbym miał taki dług, to też bym już się chyba niczym nie przejmował - westchnąłem. - To ile będzie za kawę? - zacząłem klepać się po kieszeni.

- Dwa waty - pani Maja wysunęła w moją stronę licznik. Przyłożyłem do niego energon i poczekałem na sygnał dźwiękowy.

Staruszka pchnęła wózek z kawą dalej, wzdłuż kolejki ciągnącej się na kilometr.

Usiadłem na moim rozkładanym fotelu i znów spróbowałem pograć się w rozważaniach, jak badania nad ludzką duszą przeorganizowały świat na nowo. Technika ruszyła z kopyta do przodu, ale wbrew wszelkim oczekiwaniom nadal nie mamy latających samochodów, zaś ktoś taki jak ja - facet bez jednej ręki - co trzy miesiące musi odstać swoje w tej przeklętej kolejce. Czasem trwa to półtora dnia, czasem dwa i zawsze mnie zastanawia, dlaczego tak długo. Zupełnie jakby ludzie z ZEW-u chcieli udowodnić swoją wyższość.

Usłyszałem za plecami szelest. Odwróciłem się do młodego chłopaka, który właśnie wystawił zaspaną twarz spod parasola.

- Przestało padać - westchnął.

- Nie na długo - brodą wskazałem ciemne chmury kłębiące się nad wielkim szklanym budynkiem Zakładu Energii Wysokich. - Następnym razem weź cieplejsze i nieprzemakające ubrania.

- Nie będzie następnego razu - zapewnił z uśmiechem.

- Oj, zapewniam cię, że będzie. To jest gorsze niż uzależnienie.

- Ja chcę tylko kredyt na mieszkanie. Jestem świeżo po ślubie - wyjął z kieszeni telefon i na pękniętym ekranie pokazał mi zdjęcie swoje i panny młodej przed ołtarzem. - Trafiła się okazja na piękne małe mieszkanko, ale wie pan, jak to jest - potarł o siebie zmarznięte dłonie.

- Wiem, wiem - westchnąłem, obracając mój fotel w jego stronę. - Znam takie historie. Stoję tu co trzy miesiące i poznaję mnóstwo ludzi.

- Naprawdę? Co trzy? - zdziwił się chłopak. - Ale chyba nie po...? - zawahał się.

- Nie, nie po kredyt - rzuciłem szczerze. - Żeby mi podbili zaświadczenie, że nadal mogę pobierać rentę - klepnąłem się po kikucie lewego

ramienia. - Jakby mi, kurwa, ta ręka miała odrosnąć! Przepraszam za wyrażenie, ale to wszystko ciągnie się już od tylu lat, że szlag mnie trafi. I żadne podania ani pisma nic nie dają.

- A nie chciał pan protezy? - zainteresował się chłopak. - Przecież teraz są takie refundacje... A biomechaniczne ramię jest chyba nawet lepsze od prawdziwego.

- A pewnie, że bym chciał! - prychnąłem. - Ale się nie kwalifikuję.

- Jak to? - uniósł brwi.

- Wyobraź sobie, że pracowałem kiedyś dla ZEW-u. Montowałem liczniki w bogatych dzielnicach.

- Naprawdę? - w oczach chłopaka pojawił się szacunek. Jakby sama praca w tamtym miejscu czyniła mnie kimś lepszym, bo chociaż otarłem się o luksus. I to jest właśnie jedna z bolączek obecnych czasów - klasa średnia zupełnie zniknęła, zaś dystans między biednymi a bogatymi znacznie się powiększył.

- Ale mniejsza z tym - podjąłem. - To był wypadek przy pracy. Ewentualnie zawinił przestarzały sprzęt, bo przecież ciągle szukają, na czym mogą przyciąć...

- Z wyjątkiem swojej siedziby - wtrącił chłopak.

Obaj zerknęliśmy na górujący nad nami budynek. *Dzieło architektoniczne, szkło i metal zespolone w inspirującą całość* - tak przed kilku laty pisali o tym tworze w gazetach elektronicznych.

- No i tak mnie pieprzono, że musieli amputować mi całą rękę - ciągnąłem. - Byłem ubezpieczony i wszystko, ale wiesz, jak to jest. Ledwie udało mi się wywalczyć tę przeklętą rentę. A o biomechanicznych ramionach mogę zapomnieć. Gdybym był młody, może by mi takie fundnęli. Byłbym lepszym pracownikiem. Ale po co kupować coś tak drogiego dla kolesia, który zaraz przejdzie na emeryturę, co?

- To pech - przyznał chłopak. - Współczuję panu.

- Kazik jestem - podałem mu rękę.

- Mieszko - uścisnął ją.

Przestawiłem trochę fotel. Po deszczu wszędzie wokół zrobiło się błoto, i to takie paskudnego typu - klejące się do wszystkiego, wciągające buty i nogi krzesel.

- Ale wracając do ciebie - zagadnąłem. Rozmowy były jedną z niewielu rozrywek w kolejce. - Nawet jeśli uda ci się nie zaciągnąć kolej-

nego kredytu energetycznego, i tak będziesz musiał jeszcze swoje tu odstać.

- No tak, wiem, żeby spłacić pierwszy kredyt, ale to jest chyba coś zupełnie innego - stwierdził Mieszko.

- Trochę tak - przyznałem i powiodłem wzrokiem po kolejce zakręcającej przed nami. - O, widzisz tamtą staruszkę na tym wielkim rozkładanym fotelu?

- Tę w niebieskiej pelerynie przeciwdeszczowej?  
Skinąłem głową.

- Pani Jessika spłaca kredyt po mężu. Biedna kobiecina przez całe życie ledwie wiązała koniec z końcem przy mężu hazardziście, a po jego śmierci okazało się, że facet nazaciągał mnóstwo długów i zostawił ją w, za przeproszeniem, czarnej dupie.

- Nie mogli z niego ściągnąć tego długu? - chłopak zmarszczył brwi.

- Nie, bo widzisz, facet, pieprzony egoista, powiesił się w lesie.

Mieszko pokręcił głową z niedowierzaniem. Coś takiego było naprawdę świństwem ze strony męża Jessiki. Pewnie facet bał się, że ZEW przejmie jego duszę i będzie ją wypompowywał w nieskończoność.

Właśnie, bo po tym, jak tylko ludzie zdołali pochwycić ludzką duszę, przyszła pora na kolejne pytanie: „Jak ją wykorzystać?”.

Szybko się okazało, że można uwięzić duszę w trumnie ze specjalnego tworzywa. A jeszcze szybciej, że ludzka dusza ma tyle energii, że może zasilić całkiem spory budynek. Było to chyba największe odkrycie po kryzysie energetycznym lat dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku. Ponoć to dopiero były nieciekawe czasy. Pandemia i liczne wojny nadwyrężyły światową gospodarkę, pojawił się kryzys zdrowotny i grzewczy. Ludzie padali jak muchy, wszystko pogrążało się w ruinie. A to był dopiero początek. Paliwa kopalne się po prostu wyczerpały. Nastął wielki głód, zapowiadało się na trzecią wojnę światową... I, o ironio, dopiero czerpanie energii z duszy ocaliło ludzkość. Wszystko ruszyło w zdwojonym tempie. To było niczym rewolucja przemysłowa. Powstał Zakład Energii Wysokich, który w ciągu pięćdziesięciu lat przejął niemal całkowitą kontrolę nad ludźmi. Z chwilą, gdy odrzuciliśmy papierowe i wirtualne pieniądze, a walutą stała się energia, świat się zmienił bezpowrotnie. Energią płacimy za wszystko. Za kawę i bułki w sklepie, za ubrania. To ona napędza nasze samochody, ogrzewa

i oświetla mieszkania. Energony – okrągłe urządzenia, nie większe niż podstawka pod szklanę – stały się naszymi portfelami.

ZEW ma władzę nad naszym życiem i, co gorsza, nad naszą śmiercią. Ludzie – tacy jak Mieszko czy Vincent – z chwilą zaciągnięcia kredytu otrzymują zegarek biometryczny, ale taki z naprawdę wysokiej półki, który przez cały czas monitoruje ich funkcje życiowe. Za zdjęcie go z nadgarstka dostaje się karę. I nie chodzi o to, że ktokolwiek dba o ich zdrowie. O nie, ZEW-owi nie zależy na tym, żeby żyli długo. Oni mają umrzeć we właściwym miejscu. Gdy tylko zegarek przekaże do centrali informację, że stan zdrowia kredytobiorcy jest zagrażający życiu, delikwent od razu ląduje w ZEW-owskim hospicjum, aby zszedł z tego świata w odpowiednich warunkach, a lekarze zdołali pochwycić jego duszę. Dusza ta zostaje przewieziona do elektrowni, umieszczona w specjalnej kapsule i pompuje się z niej energię. Dlatego ZEW tak chętnie przyznaje kredyt ludziom starym lub schorowanym, a samo zaciągnięcie go nie jest takie trudne. Trzeba oczywiście odstać swoje w kolejce, złożyć mnóstwo podpisów na stercie papierów, a na energonie pojawia się nowa, znacznie wyższa liczba watów, która wystarczy na kupno samochodu czy remont mieszkania. Jeśli człowiek nie spłaci kredytu za życia, ZEW przejmuje jego duszę po śmierci i czerpie z niej energię przez tyle lat, na ile opiewa umowa kredytowa. Z takiego Vincenta będą wypompowywać przez sto dwadzieścia siedem lat. Dlatego dostał taki wypasiony zegarek biometryczny, żeby mogli go dobrze dopilnować. Po spłacie długu jego dusza zostanie uwolniona, a co dalej się z nią stanie, nikt nie wie. Wierzmy, że pójdzie do nieba czy gdzie indziej jest jej pisane. Wierzmy, że nie zostanie skazana na wieczne potępienie za to, że została tak wykorzystana.

Oczywiście czerpanie z dusz ma wielu przeciwników. Religijni fanatycy przekonują, że taka dusza nigdy nie trafi do zaświatów. Inni mówią, że pochwycona dusza cierpi katusze i to jest jej piekło na ziemi. Albo że jeśli jest zużyta, nie może odrodzić się w innym ciele, a ludzie przekreślili właśnie możliwość swojej reinkarnacji. Jest naprawdę mnóstwo teorii na temat tego, co dzieje się z naszymi duszami po śmierci. Do mnie jakoś żadna z nich nie trafia. A mimo to nigdy nie wziąłem kredytu energetycznego. Ani ja, ani moja żona. Nawet syna i córkę przed tym przestrzegam, choć już są dorośli. Nieraz było u nas krucho, temperatura w mieszkaniu spadała do ośmiu stopni Celsjusza, siedzieliśmy

w ciemnościach przez długie tygodnie i jedliśmy dosłownie ochłapy, ale żadne z nas nie odważyło się wziąć kredytu.

- Mogę o coś zapytać? - odezwał się cicho Mieszko.

- Pytaj, jeśli wiem, to odpowiem.

- Skoro pracował pan dla ZEW-u, widział pan trumnę energetyczną? - zagadnął. - Ale taką prawdziwą, bo mówią, że te, które nam pokazują, to ściema...

Uśmiechnąłem się pod nosem. To było częste pytanie zadawane przez tych, którzy pierwszy raz stali po kredyt. Chcieli wiedzieć, w jakich warunkach będzie przetrzymywana ich dusza po śmierci, jeśli nie spłacą długu za życia.

- Masz rację, pokazowa trumna to ściema - odparłem. - To chyba ma działać na ludzką psychikę. Wiesz, zobaczysz taką dużą, wygodną trumnę z przeźroczystym wiekiem i spodem obitym białym jedwabiem. Normalnie można by w niej spać przez całą wieczność.

- Moja żona, jak tylko zobaczyła tę poduszkę z koronkami, stwierdziła, że to przegięcie. Że dusza na pewno nie potrzebuje poduszki i że prawdziwa trumna energetyczna musi wyglądać inaczej - dodał chłopak.

- Trumny energetyczne są dużo mniejsze. O takie - rozłożyłem dłoń na odległość około czterdziestu centymetrów. - Są sześcienne, bo to najłatwiejszy do uzyskania kształt ze sfery. Wiesz - stopu irydu, platyny i diabli wiedzą czego jeszcze. I nie są przeźroczyste. Dioda na wieku wskazuje, czy trumna jest pusta, czy w środku znajduje się dusza. No i jest podłączona pod mnóstwo kabli i rur.

Mieszko w zamyśleniu kiwał głową. Pewnie wyobrażał sobie siebie samego w takiej trumnie.

- A... a widział pan kiedyś... prawdziwą duszę? - zapytał. - Ja niby widziałem w programach ZEW-u, ale wie pan, na ekranie na pewno wygląda zupełnie inaczej niż w rzeczywistości.

Powoli pokiwałem głową, przywołując wspomnienia.

- Raz, zupełnie przypadkiem, trafiłem do ekipy naprawiającej trumny energetyczne - powiedziałem, zamykając oczy. - To było paręnaście lat temu, wtedy, kiedy były te strajki i nie było komu ogarniać całego sprzętu...

- I pan nie strajkował? - Mieszko zrobił wielkie oczy, a ja prychnąłem pod nosem.

Kiedys bardzo się tego wstydziłem, ale teraz, z perspektywy lat, miałem to w głębokim poważaniu.

- Chłopcze - westchnąłem - nie strajkujesz, kiedy twoje dzieci mają po kilka lat i są głodne. A ty nie czujesz głodu, bo pęka ci serce. Idziesz wtedy radośnie do pracy i bierzesz każdą fuchę, jaką dają, szczególnie tę, za którą lepiej płacą.

- Rozumiem - rzucił ugodowo Mieszko. Ale ja założyłbym się o drugą rękę, że nie rozumiał. On głowę miał jeszcze przepełnioną nierealnymi wizjami równości na świecie. - To jak ta dusza wyglądała? - drążył.

- Była piękna - odparłem, przymykając oczy. Już nie stałem na zabłoconym placu przed ZEW-em. Znalazłem się w budynku, w którym pozyskuje się energię, a przede mną stał przenośny - dlatego przeźroczysty - pojemnik z duszą w środku. - Nie miała kształtu, a mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Poruszała się leniwie niczym opalizująca mgła. Błyszczała lekko. I choć nie miała oczu, dałbym głowę, że mnie widziała. Że mnie słyszała i doskonale wiedziała, gdzie jest i z jakiego powodu. Dlatego nigdy nie wziąłem kredytu. Ta istota nie była już człowiekiem, powinna być wolna, a nie więziona w pudle.

Pokręciłem głową, wracając do terażniejszości. Zaczynało zmierzchać, a gdy tylko słońce skryło się za horyzontem, zrobiło się chłodniej. Zarzuciłem na plecy kurtkę i zerknąłem na mojego nowego kolegę. Minę miał nietęgą, a wzrok zamglony.

- Jesteś młody - pocieszyłem. - Będziesz miał całe życie na spłatę kredytu.

- Uhm - burknął Mieszko.

- Ale nie zamierzasz brać czasem kredytu pokoleniowego?

Chłopak otrząsnął się z zamyślenia.

- Co? Nie, chyba nie - odparł.

- Patrz tam - wskazałem mężczyznę w kolejce kilkadziesiąt metrów za nami. - Ile dałbyś mu lat?

- Nie wiem. Siedemdziesiąt?

- Antoni ma dopiero pięćdziesiątkę na karku.

- Niemożliwe! - sapnął Mieszko, obserwując go.

- Jego ojciec zaciągnął kredyt pokoleniowy - wyjaśniłem. - Wiesz, ten na bardzo dobrych warunkach, znacznie bardziej opłacalny... Ale jeśli zginiesz w jakiś nieprzewidziany sposób i ZEW nie dostanie twojej duszy, to twoje dzieci nie mogą zrzec się ani spadku po tobie, ani twoich zobowiązań. Ojciec Antoniego zginął w wypadku samochodowym, kiedy chłopak miał zaledwie dziesięć lat. Jego matka usiłowała spłacić kredyt, żeby jak najmniej długu przeszło na syna. To ją wykończyło, a teraz on co pół roku stoi w kolejce, żeby oddać to, czego sam nie wziął.

- Paranoja jakaś! - sapnął Mieszko.

- Kredyt pokoleniowy dotyczy dzieci nieślubnych oraz tych jeszcze nienarodzonych, więc... - zawiesiłem głos.

- Nie, nie, czegoś takiego nie zrobię - zarzekał się chłopak. - Ale jakim cudem ojciec Antoniego mógł zginąć w wypadku samochodowym? Przecież...

- Taaa, samochody są teraz takie niezawodne - mruknąłem. - W tamtych czasach jeździły już na energony, ale wtedy można było jeszcze nimi kierować.

- To dopiero barbarzyństwo! Przecież ludzie byli tacy nierozważni. Wsiadali za kółko po pijaku, jak byli bardzo zmęczeni albo za starzy, żeby wykazać się wystarczającym refleksem!

- Tak wyglądała wolność - wzruszyłem ramionami. - Ale właśnie taki kierowca zabił ojca Antoniego. Zasnął za kierownicą i przegapił czerwone światło.

Lubiłem być kierowcą i zabierać dzieciaki na wycieczki. Teraz samochody w pewnym sensie straciły dla mnie swój urok. Wsiadasz, przykładasz energon do stacyjki i na ekranie wklepujesz miejsce docelowe, a auto samo cię tam zawozi i parkuje. Nie ma wypadków, nie ma nawet stłuczek.

Usłyszałem skrzypienie kół wózka. To pani Maja znów robiła rundkę wzdłuż kolejki.

- Kawę, panowie? - zagadnęła. - Mam też świeże bułki. Dopiero odebrałam z piekarni.

- A zaszaleję i poproszę o dwie drożdżówki - uśmiechnąłem się.

- To będą trzy waty - staruszka podała mi pachnące wypieki i wyciągnęła w moją stronę licznik, a ja przyłożyłem do niego energon. -



A widzieliście, jaka Jessika jest dziś szczęśliwa? – zmieniała temat.

Zerknąłem w stronę staruszki siedzącej w kolejce przed nami.

– Rzeczywiście zdaje się promienieć – przyznałem.

– Mówi, że tym razem spłaci cały kredyt. I wreszcie będzie wolna.

– To dobrze, miło będzie już nigdy jej nie spotkać w kolejce – stwierdziłem.

Wiedziałem, że Jessika jest bardzo religijna i przez lata odmawiała sobie dosłownie wszystkiego, żeby tylko spłacić kredyt po mężu i uwolnić własną duszę od zobowiązań.

– Coś jeszcze, panie Kaziu? To mój ostatni obchód na dziś – staruszka uniosła wzrok na ciemniejące niebo. – Znowu zbiera się na deszcz.

– Nie, dziękuję, kochana pani. Do jutra.

Kobieta się pożegnała i pchnęła wózek dalej. Tak naprawdę miałem jeszcze w plecaku kanapki zrobione przez żonę, ale zawsze kupowałem coś od tej staruszki, bo wiedziałem, że tak jak każdy z nas ma historię do opowiedzenia i wcale nie jest ona zakończona happy endem.

– Trzymaj – podałem jedną bułkę Mieszkowi.

– Nie trzeba – zająknął się.

– Zawrzemy umowę – powiedziałem z wyciągniętą w jego stronę ręką. – Ja pomogę ci w tej kolejce, a ty pomożesz komuś, jak będziesz stał tu następnym razem. Ale jest jeden warunek. Staniesz tu tylko raz. Żeby spłacić kredyt.

Chłopak uśmiechnął się i skinął głową.

– Umowa stoi – wgryzł się w drożdżówkę.

Zrobiło się ciemno. Nad naszymi głowami z głośnym trzaskiem włączyło się oświetlenie wielkiego billboardu. Obraz przedstawiał reklamę hospicjum ZEW-u. Była na nim uśmiechnięta staruszka leżąca na szpitalnym łóżku, w śnieżnobiałej pościeli. Tuż przy niej stały jej radosne wnuki. Jakby było z czego się cieszyć, że babcia wylądowała w hospicjum. Na dole zaś znajdowało się logo hospicjum – zielona roślinka obejmowana przez dłonie i jeszcze ten tekst: *Troszczymy się o każdego*. Akurat! Zawsze, gdy widziałem ten przeklęty billboard – taki jasny, czysty i przedstawiający szczęśliwych ludzi – szlag mnie trafiał. Nie tak wyglądały hospicja ZEW-u. To były zwykłe umieralnie, w których pilnowano, żeby człowiek zszedł w specjalnej trumnie i można było pochwy-

cić jego duszę. A to znaczyło, że ktoś znajdujący się na samej krawędzi życia był przez tygodnie, a czasem nawet miesiące zamknięty w tym przeklętym pudle. Miał podłączony cewnik i był karmiony przez sondę, a wszyscy wokół tylko czekali, aż umrze.

Przedsionek piekła - tak to kiedyś określiła moja żona, kiedy zamknęli tam jej daleką ciotkę. Kobiecina wzięła bardzo duży kredyt na studia dzieci. Oczywiście dzieciaki skończyły szkoły, wyszły na ludzi i całkiem nieźle zarabiała, ale zawsze znalazły jakąś wymówkę, żeby nie pomóc matce w spłacie - a to mieszkanie trzeba kupić, a to wnuki się urodziły, a to prywatne przedszkole dużo kosztuje. No i kiedy kobiecina podupała na zdrowiu, wylądowała w hospicjum. Dwadzieścia osób w pokoju, smród spoconych ciał i ludzkich wydzielin, duszący zapach środków czystości, ludzie przykuci do łóżek, wciąż faszerowani lekami. To był koszmar. Ale co tydzień odwiedzaliśmy ciotkę, bo jej własne dzieci o niej zapomniwały. A gdy odeszła... cóż, poczułem wielką ulgę, że już nigdy nie będę musiał tam chodzić.

Podniosłem się z fotela, kilka razy zgiąłem nogi w kolanach, rozprostowałem ramię. Z każdym rokiem coraz trudniej było mi czekać w tej kolejce. Pęcherz też już nie ten.

- Popilnuj mojego miejsca - rzuciłem do Mieszka, ruszając w stronę rządka obskurnych toalet.

W drodze powrotnej zaś przeszedłem się wzdłuż kolejki, zagadując znajomych.

- Jak tam, pani Jessiko? - zaczępiłem staruszkę. - Słyszałem, że to ostatni raz?

- Wreszcie! - sapnęła uradowana kobiecina. - Tyle lat wyrzeczeń! Tyle lat odejmowania sobie od ust! Oszczędzania na lekach! Dziś spłacę ostatnią ratę i wreszcie będę wolna.

- Gratulacje - uściśniłem jej lodowatą dłoń. Naprawdę cieszyłem się jej szczęściem.

Wtem staruszka zaczęła szybciej oddychać. Przyłożyła rękę do klatki piersiowej. Jej oczy się powiększyły.

- W porządku? - zaniepokoiłem się. - Co się dzieje?

Kobieta potrzebowała kilku sekund, żeby dojść do siebie.

- Wszystko dobrze - zamrugała. - Chyba obiad mi zaszkodził.

- Jeśli mogę jakoś pomóc...

- Wszystko w porządku - zapewniła trochę oschle.

Pożegnałem się więc i odszedłem. Jessika zawsze wydawała mi się osobą nie do zdarcia, ale tym razem była blada, miała cienie pod oczami... Może źle spała z emocji?

Wróciłem na swoje miejsce i rozsiadłem się w fotelu. Wyciągnąłem termos z herbatą.

- Jak to jest pracować na Wzgórzu? - zagadnął Mieszko.

- Co? - potrząsnąłem głową, upiwszy łyk ciepłego, słodkiego napoju.

- No w bogatych dzielnicach. Byłem tam kilka razy, ale patrzyli na mnie, jakbym zaraz miał ich okraść albo zarazić pchłami - chłopak prychnął głośno. - No i taki jeden ochroniarz zaczął łązić za mną i łąził tak długo, aż po prostu odszedłem.

Biedni rzadko bywali na Wzgórzu, bo i nie mieli tam czego szukać, jeśli tam nie pracowali. Wszystko tam było przedrożone. Za kawę trzeba było zapłacić ze dwadzieścia watów. No i co z tego, że była lepsza niż ta lura od pani Mai? Kto zapłaci dwadzieścia watów za kawę?! To samo było z jedzeniem i ubraniami. Czasami naprawdę dziwiło mnie, jak bardzo ludzie ze Wzgórza marnotrawili energię. No ale przecież mieli jej pod dostatkiem.

- Zawsze mnie szokowało, jak jasno jest tam w nocy - ciągnął Mieszko.

- Nawet z daleka jasność Wzgórza bije po oczach - przyznałem.

Oświetlenie billboardu nad nami zatrzęszczało, ale nie zgasło. Gdyby nie ta przeklęta reklama, stalibyśmy w zupełnych ciemnościach. W ciemnościach i błocie. A przed nami w delikatnej poświacie górowało szklano-metalowe monstrum budynku ZEW-u. Znajdowaliśmy się na peryferiach miasta, a władze gminy, wciąż szukając oszczędności, uznały, że nie ma co marnować światła na takich jak my.

- Wiesz, że oni mają w domach tylko jeden, góra dwa liczniki? - zagadnąłem. To zawsze było ciekawą anegdotką.

- Bogaci? Ale jak to? - zdziwił się Mieszko.

W mieszkaniach biedoty dosłownie każdy sprzęt miał licznik: telewizor, piec od centralnego ogrzewania, skrzynka oświetleniowa, kuchenka, lodówka, często nawet czajnik. Tak ZEW zabezpiecza się przed tymi, którzy żyją dosłownie z dnia na dzień. Weźmy na przykład takiego robotnika z fabryki. Dostaje swoją dniówkę, liczba watów na

energonie jest ciut wyższa niż rano, więc kupuje za nie coś do jedzenia, czasem flaszkę, a później wraca do domu i musi wybrać, czy tego dnia będzie oglądał telewizję, czy żona namówi go na uruchomienie zmywarki, a może oszczędzą na ogrzewaniu lub świetle.

Nam nieraz zdarzało się odpalać ogrzewanie tylko na pół gwizdka, podobnie jak światło. Gdyby nie zmiany klimatyczne i to, że teraz Polska znajdowała się w cieplejszej strefie, mogłoby być kiepsko. Na szczęście zimą temperatura prawie nigdy już nie spadała poniżej zera, a latem mogliśmy hodować nawet cytrusy.

- A więc bogaci mają tylko jeden licznik na cały dom - podjąłem. - Raz na tydzień czy dwa przykładają do niego energon i ładują tyle watów, żeby wystarczyło dosłownie na wszystko, nawet na podgrzanie wody w basenie.

- Wody w basenie... - powtórzył głucho Mieszko. - Po co grzać wodę w basenie?

- Żeby ci dupsko nie zmarzło, jak chcesz się wykąpać zimą.

Chłopak pokręcił głową. Dla takich jak my to wszystko było trudne do wyobrażenia.

- A, no i w swoich domach mają temperaturę co najmniej dwadzieścia stopni Celsjusza - dodałem.

- Jaja se pan robi!

Pokręciłem głową. W biednych dzielnicach nawet osiemnaście było marnotrawstwem.

Naraz dostrzegłem jakieś poruszenie z przodu. Wstałem zaciekawiony.

- Cholera! - rzuciłem i pobiegłem w stronę zamieszania.

Jessika leżała na ziemi, ktoś usiłował ją cucić, klepiąc ją po policzkach.

- Wezwę pogotowie! - jakaś kobieta wyciągnęła z kieszeni telefon.

- Pani Jessiko! Pani Jessiko! - wołali ludzie.

Staruszka oddychała bardzo szybko i płytko. Zdawała się jeszcze bledsza niż pół godziny temu.

- Ma ktoś wodę?! - rzuciłem w stronę gapiów i przyklęknałem przed nieprzytomną.

Ktoś podał mi butelkę. Spróbowałem zwilżyć usta kobiety. Jej całe ubranie było już uwalane błotem.

Wtem staruszka uniosła powieki i posłała mi nierozumiejące spojrzenie.

- Straciła pani przytomność - powiedziałem. - Pomożemy pani usiąść.

Razem z facetem, który usiłował ją cucić, posadziliśmy ją na fotelu.

- Jak się pani czuje? - zapytała kobieta od telefonu. - Wezwałam karetkę.

- Nie! - wrzasnęła pani Jessika. - Nic mi nie jest! Niech pani ją odwoła! Ja tylko przysnęłam na chwilę!

- Niech się pani nie martwi - poklepałem ją po dłoni. - Przyjadą, obejrzą panią i sobie pojedą.

- Nie trzeba, nic mi nie jest! - zarzekała się.

Kilka minut później jednak przyjechała karetka ZEW-u. Szybko się uwinęli, ale w takich przypadkach nigdy się nie ociągali. Możliwe, że zegarek biometryczny Jessiki też wysłał sygnał do centrali.

Sanitariusze wyskoczyli z pojazdu i sprawnie zaczęli badać kobietę, która wciąż zapewniała, że nic jej nie jest.

- Zabieramy panią - jeden z nich pokręcił głową, a drugi już wyciągał nosze.

- Nie! - krzyczała Jessika. - Ja muszę spłacić kredyt! To moja ostatnia rata!

- Ma pani stan przedzawałowy i to nie podlega dyskusji - odparł sanitariusz.

Siłą posadzili ją na noszach i przypięli pasami.

- Nie możecie! To wbrew mojej woli!

- Niech pani wyznaczy kogoś do opieki nad pani rzeczami - rzucił oschle sanitariusz.

- Ja to zrobię - zgłosiłem się na ochotnika. - Niech się pani nie martwi - zapewniłem, kiedy pakowali ją do karetki. - Za kilka dni panią wypuszczą i wtedy pani spłaci ostatnią ratę.

- A jeśli nie? - jęknęła.

Patrzyłem na nią, gdy zamykali drzwi. W jej oczach pojawiły się łzy i strach.

Ambulans odjechał na sygnale, a w kolejce zapanowała cisza. Każdy współczuł kobiecie i każdy cieszył się, że nie jest na jej miejscu.

Karetka ZEW-u zabrała ją do hospicjum, a stamtąd mało kto już wychodził.

Wróciłem na swoje miejsce, taszcząc ze sobą dobytek staruszki.

- To miała być jej ostatnia rata - rzuciłem ze smutkiem. - A kobieta była taka religijna. Tak bardzo chciała uwolnić swoją duszę od zobowiązań...

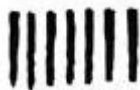
- Mogli ją zapakować do karetki wbrew jej woli? - zapytał Mieszko. - Przecież może wypisać się ze szpitala na własne żądanie, prawda?

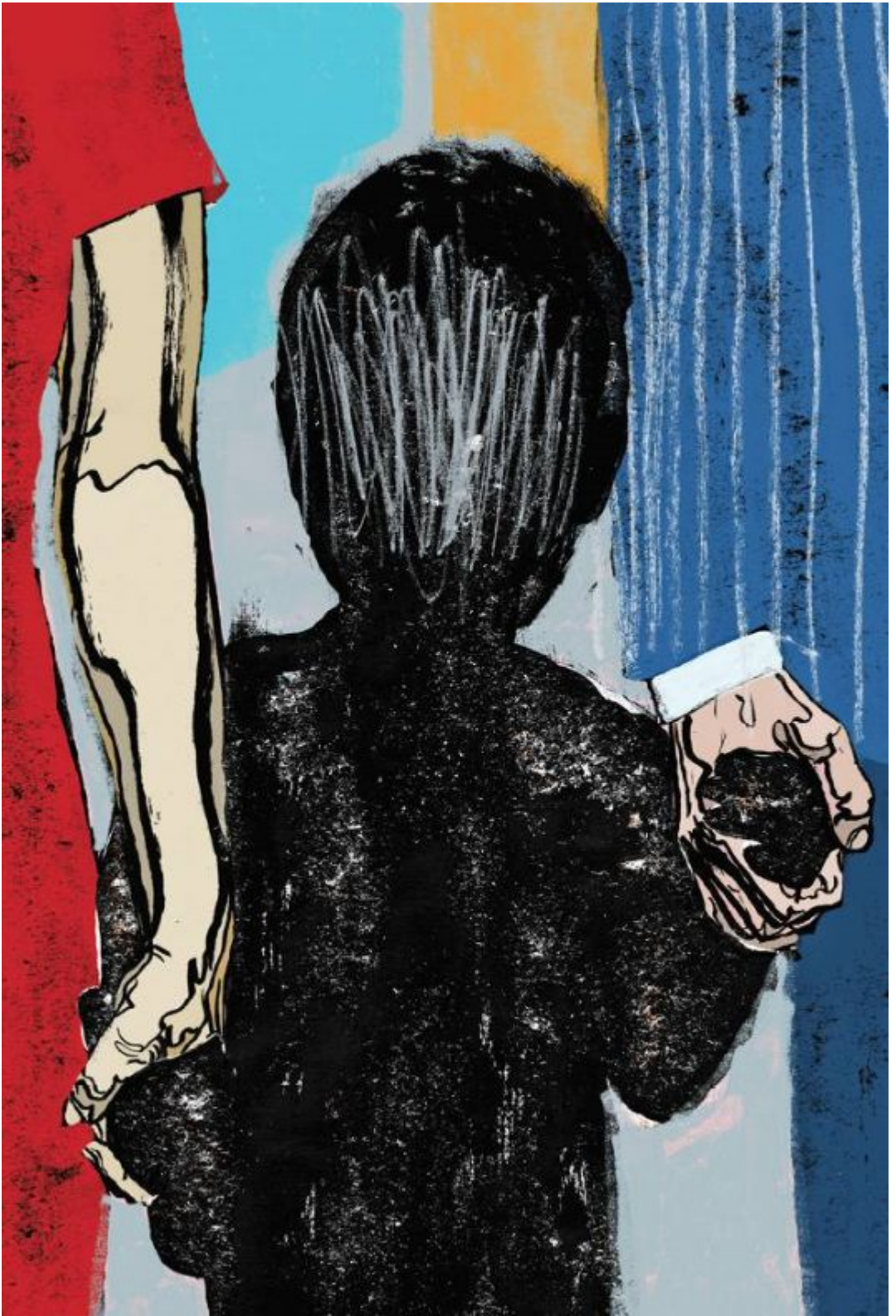
Pokręciłem głową.

- Z chwilą, gdy złożysz podpis na papierach kredytowych, już nie jesteś panem samego siebie - wyjaśniłem. - Stajesz się własnością ZEW-u. I jeśli sanitariusz stwierdzi, że coś zagraża twojemu zdrowiu, to nie potrzebują żadnego pozwolenia, żeby wsadzić cię w kaftan i wywieźć do hospicjum.

Mieszko nie skomentował. Niby wiedział o tym wszystkim, każdy o tym wie, ale zobaczyć coś takiego na własne oczy to zupełnie inna bajka. Przed nami jeszcze długa noc. Może chłopak pójdzie po rozum do głowy i uzna, że nowe mieszkanie po okazyjnej cenie nie jest warte zaciągnięcia kredytu energetycznego, i po prostu zostawi całą tę kolejkę w cholere. A jeśli nie, to cóż, dołączy do coraz bardziej powiększającego się grona zdesperowanych idiotów.

Poczułem na twarzy pierwsze krople deszczu. Oświetlenie billboardu znów zamrugało z trzaskiem. Zarzuciłem na głowę kaptur i odwróciłem się w stronę budynku ZEW-u. Byłem już zmęczony tym wszystkim. Ale co począć, gdy wszyscy jesteśmy swojego rodzaju niewolnikami?





# zwykła kradzież

WOJCIECH CHMIELARZ

## 1.

- Co chcieliśmy zgłosić? To, że ukradziono nam dziecko, do cholery! - krzyknęła kobieta.

- Porwano... - poprawił siedzący obok mąż.

Komisarz Sana Marczuk przenosiła wzrok to na niego, to na nią. On miał prawdopodobnie koło czterdziestki. Chociaż z tymi bogaczami to zawsze było trudno powiedzieć. Przyzwoite metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, gęste czarne włosy, z których pewnie połowa to były implanty. Starannie przystrzyżony zarost. I zaczerwienione od niedawnego płaczu oczy. Facet się rozkleił ze strachu i bezradności. Nawet teraz trzęsły mu się ręce. Próbował to ukryć, raz po raz zaciskając pięści. Według dokumentów nazywał się Daniel Wilczek. Był doradcą inwestycyjnym w jednym z prywatnych funduszy. Zarabiał tam sporo, co było widać po samym mieszkaniu. Duże, znajdujące się na jednym z tych zamkniętych osiedli blisko centrum Warszawy, które przez całą dobę było strzeżone przez patrole ochroniarzy, a pod telefonem na wszelki wypadek zawsze czekała drużyna interwencyjna złożona z byłych komandosów. Codziennie odwiedzała ich sprzątaczką z Filipin lub jakiegoś zapomnianego gotującego się afrykańskiego kraju. Sana pomyślała, że być może nawet są na tyle bogaci, żeby nie przejmować się kartkami na mięso. Po prostu idą do jednego z tych sklepów dla bogaczy i kupują kawał wołowiny za cenę rynkową.



Ona z kolei miała na imię Greta. Było przez chwilę modne. Jeśli wtedy je dostała, oznaczało to, że była starsza od Sany o co najmniej dziesięć, a może nawet dwadzieścia lat. Ale oczywiście nie było tego po niej widać. Policjantka była pewna, że gdyby zbliżyła się do kobiety wystarczająco, mogłaby dostrzec wędrujące pod jej skórą kosmetyczne nanoboty.

Kobieta miała na sobie czerwoną obcisłą sukienkę. Na pewno drogą, ale większym symbolem statusu społecznego było to, co sukienka opinała – szczupłe, wysportowane ciało. Ciało, które wymagało godzin pracy na siłowni, odpowiedniej diety, odżywek, pomocy trenera i kilku operacji plastycznych. Na taki wygląd mogli sobie pozwolić tylko bogaci.

Ale Sana nie potrzebowała tych wszystkich obserwacji, żeby być pewna, że Wilczkowie, nawet jeśli nie należą do finansowej elity kraju, są jej bardzo blisko. Przede wszystkim – mieli dziecko. I szybki rzut oka w dokumenty powiedział policjantce, że nie należą do tych nielicznych szczęśliwców, którzy wygrali prawo do reprodukcji na loterii. Oni po prostu wykupili sobie odpowiednie pozwolenie.

- Czy dziecko... - jej partner, komisarz Taras Szewczenko, zawiesił na moment głos - Paweł?

- Pawełek, tak... Pawełek - potwierdził Daniel Wilczek. - Po moim ojcu.

- Pawełek - Sana zwróciła uwagę, że Taras, podobnie jak Daniel, zdrobnił imię chłopca - miał wszczepiony chip?

- Oczywiście - warknęła kobieta.

Sięgnęła po leżący nieopodal tablet i rzuciła go policjantowi. Ten złapał niezgrabnie urządzenie, na którym była już włączona odpowiednia aplikacja. Program informował, że nie jest w stanie znaleźć chipa w systemie. Taras odruchowo nacisnął przycisk odświeżania, ale doczekał się tylko tego, że zobaczył taki sam komunikat.

- Czy chip był serwisowany? - zapytała Sana.

- Tak. Co pół roku przychodził tutaj przedstawiciel producenta i sprawdzał, czy wszystko działa. Płaciliśmy regularnie abonament. Miesiąc w miesiąc. Poważną kwotę. I co? I nic. Miał działać i nie działa - kobieta mówiła z wyraźną złością.

Mężczyzna był tak przytłoczony całą sytuacją, że nie wiedział, co ma powiedzieć, siedział cicho. Wyciągnął rękę, chcąc położyć ją na dłoni żony. Sana nie była pewna, czy chciał ją tym gestem uspokoić, czy sam potrzebował otuchy od partnerki. Ona jednak go odtrąciła.

- I wiecie, co jeszcze?! - krzychała kobieta. - Płacimy ogromne, ogromne podatki! Które idą także na wasze pensje! I co?! Zamiast szukać naszego syna, siedzicie tutaj i zadajecie idiotyczne pytania!

- Kochanie! - zaprotestował mąż.

- Spokojnie - powiedziała Sana, wstając ze skórzanego fotela (Czy to prawdziwa skóra? Kogo stać na takie rzeczy?). - Wiemy już wszystko, co mamy wiedzieć. A w tej chwili najlepsi funkcjonariusze szukają państwa dziecka.

Policjantka zebrała swoje rzeczy ze szklanego blatu stołu i dała Tarasowi gestem sygnał, że na nich już czas. Daniel Wilczek odprowadził ich do drzwi apartamentu. Począł, aż się ubiorą, przez cały czas przygryzając dolną wargę. Kiedy już mieli wychodzić, niespodziewanie chwycił Sanę za przegub.

- Znajdziecie go? - zapytał głosem przepelnionym strachem i nadzieją.

Policjantka wahała się przez moment, co ma odpowiedzieć. Zaginięcia dzieci zdarzały się ekstremalnie rzadko. Najczęściej dotyczyły potomstwa rodzin, które wygrały los na loterii i nie stać ich było na instalację chipa śledzącego. Korzystali ze starszych zabezpieczeń zewnętrznych. Nadajników przyczepianych do ubrania i takich tam. Ale czasami dziecko ich po prostu ze sobą nie zabierało i gdzieś znikalo, nic nie mówiąc rodzicom. Najczęściej wracało po kilku godzinach do domu całe i zdrowe. Ale tutaj wydarzyło się coś innego. Dziecko miało chip, i to dobrej firmy. Awarie takich urządzeń prawie się nie zdarzały. Sprawa robiła się poważna. A poważne sprawy miały tendencję do tego, żeby się paprać. Ich wynik zawsze był wielką niewiadomą. Ale patrząc w oczy mężczyzny, Sana zdała sobie sprawę, że Daniel nie jest gotowy na usłyszenie prawdy. Jego żona tak. Co prawda skutkowałoby to kolejnym wybuchem złości i wściekłym bombardowaniem ich kolejnymi zarzutami, ale ona by to zniosła. Jej mąż nie. Dlatego Sana skłamała:

- Na sto procent. Proszę się nie martwić.

## 2.

- I co my z nim teraz zrobimy? - krzyknął wściekły i przestraszony Alek.

- Chyba musimy go nakarmić - odpowiedziała mu Basia. - A potem możemy się zabawić.

Oboje popatrzyli na siedzącego na środku pokoju sześciolatniego chłopczyka. Rysował coś w prostym programie na tablecie. Alek najpierw pomyślał, że to nierozsądne dawać mu go do ręki. Mógłby skontaktować się z rodzicami, policją albo, co najgorsze, z firmą ochroniarską. A ludzie stamtąd nie mieli zahamowań. Alkowi kiedyś złamali rękę tylko dlatego, że podejrzewali go o sklepową kradzież. Kiedy okazało się, że jest niewinny, dostał jakieś talony i obietnicę, że jeśli ośmieli się pójść z tym do sądu, to połamią mu jeszcze nogi. Ale potem przypomniał sobie, że tablet jakiś czas temu się zepsuł i nie łączy się z siecią.

- Po co go w ogóle wzięłaś?

- Bo wyglądał, jakby się zgubił.

- To trzeba było go gdzieś odprowadzić, a nie ciągnąć do nas!

Basia zagryzła dolną wargę. Jej wzrok prześlizgnął się po blond głowie dziecka i zatrzymał na Alku.

- Chciałam - powiedziała cicho, głosem drżącym od emocji. - Ale jak wzięłam go za rękę i zaczęłam z nim iść...

- To co?

- To czułam, jak zaczyna mną trząść. Była gdzieś tam jakaś bogata, zepsuta lafirynda, która zostawiła tego dzieciaka. Zupełnie się nim nie przejmowała, bo wiedziała, że jakby co, może sobie kupić nowego.

- Skąd wiesz, że jest bogata? - zapytał Alek. - Może to jakaś biedaczka, której akurat trafił się szczęśliwy los.

- Te wszystkie losowania i tak są ustawione - prychnęła Basia. - Wygrywa ten, kto zapłaci.

- Nie zawsze.

- No to spójrz tylko na jego buty!

Chłopiec miał na nogach sportowe obuwie modnej marki, które musiało kosztować tyle, ile czynsz w ich mieszkaniu. Jasne, wynajmowali lokal w jednym z tych należących do funduszy inwestycyjnych mrówkowców, które budowano byle taniej, byle szybciej, byle zdążyć

przed kolejnymi unijnymi normami środowiskowymi. Ale jednak! Kto kupuje dziecku takie buty, skoro wiadomo, że zaraz i tak z nich wyrośnie!

- To trzeba było mu je zająć, a nie przyprowadzać go do nas - warknął szeptem Alek.

Basia spuściła wzrok. Alek zrozumiał, że właśnie docierają do sedna sprawy. Tyle że kobieta wyglądała tak, jakby sama jeszcze do końca nie rozumiała, dlaczego postąpiła tak, jak postąpiła.

- Jak z nim szłam... - odezwała się po chwili.

- No.

- Ty wiesz, jak ludzie na mnie patrzyli?

Podniosła głowę. Jej twarz była blada, oczy błyszcząły z przejęcia.

- Jak? - zapytał.

- Jakbym była kimś.

Poczuł, jak coś go ściska za gardło.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że moglibyśmy się potem zabawić? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Możemy dokądś pójść - powiedziała cicho. - Z tym dzieciakiem. Po prostu pochodzić po ulicy.

Zerknął na dzieciaka, który mazał palcem po ekranie tabletu, tworząc na nim jakieś abstrakcyjne dzieło. Zaskoczyło go, jak bardzo jest spokojny. Nie krzyczał, nie płakał, nie wyrывał się. Nawet nie zapytał, gdzie są rodzice. Całą sytuację przyjął jako coś naturalnego i normalnego.

- A jak nas ktoś złapie? - zapytał.

- To powiemy prawdę. Że go znaleźliśmy i odprowadzamy właśnie na policję.

Doskoczyła do niego i ścisnęła go mocno za rękę. Zrozumiał, że bardzo jej na tym zależy. Ale i jemu ta wizja się spodobała. Wyszliby na ulicę. On, ona, dziecko pomiędzy nimi. Wyglądaliby jak z obrazka. I niezależnie, co ludzie by sobie pomyśleli - że wygrali los na loterii czy sobie to dziecko kupili - Basia miała rację. Patrzyliby na nich, jakby byli kimś. A nie jak ktoś, komu można bezkarnie połamać ręce na zapleczu sklepu.

- Ale wcześniej chyba powinniśmy go jakoś nakarmić - odezwał się.
- Co takie dziecko je?

### 3.

- Wkurwiają mnie takie typy - rzucił Taras, wsiadając do samochodu.

Gotowało się w nim już w mieszkaniu rodziców zaginionego dziecka. A kiedy z niego wyszli, poczerwieniał na twarzy i zaczął mamrotać pod nosem na przemian polskie i ukraińskie przekleństwa. Między innymi dlatego Sana pozwoliła mu teraz prowadzić. Miała nadzieję, że to go uspokoi. W końcu fakt, że mieli do dyspozycji wóz, był jednym z największych przywilejów, jakimi mogli się cieszyć w swojej pracy. Marczuk uwielbiała nim jeździć. Gdyby mogła, to nigdy by z niego nie wysiadała. Uwielbiała to poczucie mocy, kiedy siedziała za kółkiem. Uwielbiała te pełne zazdrości spojrzenia, kiedy z niego wysiadała. Nawet jeśli były to spojrzenia podszyte niechęcią.

Oczywiście policyjny wóz był elektryczny, nie spalinowy. Ale na spalinowe mało kogo było w dzisiejszych czasach stać. Pewnie nawet rodzice tego dziecka nie mogli sobie na niego pozwolić. Spalinowe auta pozostawały zabawką dla ekstrawaganckich bogaczy, symbolicznym splunięciem w twarz biedocie. Równie symbolicznym jak jedzenie steku przed widownią złożoną z gotujących się Afrykańczyków. Samochody elektryczne też jednak sporo kosztowały. Może i ładowali je, jeśli się dało, z odnawialnych źródeł energii, swoje dokładały elektrownie atomowe, ale ciągle zbyt dużo prądu produkowały zwykłe elektrownie na węgiel. No i jednak sama produkcja takiego auta pozostawiała spory ślad węglowy. Dlatego od dziesięcioleci zniechęcano do posiadania prywatnego samochodu i zachęcano do korzystania z komunikacji publicznej i rowerów. Przy czym rowery, pomimo gęstej sieci ścieżek rowerowych i niemal pustych ulic, jednak się nie przyjęły. Przez prawie połowę roku w Warszawie było tak gorąco, że jazda na rowerze oznaczała niemal pewny udar.

W każdym razie Marczuk zrezygnowała z przywileju prowadzenia samochodu na rzecz Tarasa. Od miesięcy zresztą męczył ją, żeby pozwoliła mu więcej prowadzić. Miała nadzieję, że w ten sposób polepszy koledze humor. Nic takiego jednak się nie stało.

- Najpierw zajebali nam planetę - ciągnął Taras. - Dalej konsumują, jakby był dwudziesty wiek, a teraz nawet nie potrafią przypilnować własnego, kurwa, dzieciaka! Gdyby to był mój syn, tobym oka z niego nie spuszczał. Na smyczy bym go trzymał, żeby się nie zgubił!

Marczuk już chciała skomentować, że raczej nie tak powinno się wychowywać dzieci, ale ugryzła się w język. Nie o tym przecież była ta rozmowa. Taras musiał z siebie wyrzucić złość z innego powodu.

- Znowu nie poszczęściło się wam na loterii? - zapytała.

Policjant zerknął na nią z ukosa. Zaciśnął dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie.

- Nie startowaliśmy - mruknął.

- Nie stać was było na wadium?

Wadium było nowością w loterii, wprowadzoną kilka lat temu. Była to dość spora, ale jednak nie nieosiągalna suma pieniędzy, którą należało wpłacić przy zgłoszeniu się do loterii reprodukcyjnej. Teoretycznie chodziło o to, żeby upewnić się, że potencjalni rodzice mają dość środków na utrzymanie dziecka. W rzeczywistości był to kolejny mały krok, żeby zniechęcać ludzi do brania w niej udziału.

Taras się skrzywił.

- Nawet nie próbowaliśmy - wydusił z siebie przez zaciśnięte zęby. - Ile razy, kurwa, można? Po piątym razie masz po prostu dość.

Sana wiedziała, że Taras z żoną brali udział w loterii aż dziewięć razy. Daleko im było do rekordzistów, ale policjantka wiedziała, że ten cały proces dał im porządnie w kość. Zresztą znowu - taki był tego cel.

Globalne ocieplenie przeorało całą planetę. Połowa Afryki umierała z głodu i pragnienia. Bangladesz znalazł się pod wodą razem ze sporym kawałkiem Azji, a Europejczycy dzielnie stawiali kolejne zapory, żeby powstrzymać oceany. Czasami im się udawało, czasami nie. Klęski głodu dotykały kolejne kraje biednego Południa, a w ich rytm na bogatą Północ ruszały kolejne fale migrantów. Tak, w sukurs przyszła w końcu nauka. Opracowano wreszcie w miarę sensowne metody wychwytywania CO<sub>2</sub> z atmosfery, zbudowano Zielony Mur, ale to ciągle było mało.

I wreszcie do decydentów dotarło, że jakbyśmy zieloni nie próbowali być, ile byśmy nie postawili wiatraków i farm słonecznych, to jedno pozostaje niezmiennie – kiedy pojawia się człowiek, to trzeba go nakarmić, ubrać, dać miejsce do mieszkania i pracę, którą mógłby wykonywać. To wszystko generowało ślad węglowy i obciążało planetę. Jedy-ny-m wyjściem z tego błędnego koła było zmniejszenie populacji. I zrobiono to. Podpisano ogóln światową konwencję, opracowano technologię i od kilkudziesięciu lat każdej dziewczynce w wieku lat trzynastu podawano specjalną szczepionkę z nanobotami. Uniemożliwiła ona zaj-ście w ciążę, ale równocześnie zmieniała gospodarkę hormonalną, osła-biając w kobietach instynkt macierzyński i chęć posiadania dziecka. Równocześnie jednak pozostawiono furtkę, dzięki której gatunek ludzki miał przetrwać: po wykupieniu odpowiedniego pozwolenia zdejmowano blokadę i umożliwiano kobietom zajście w ciążę. Osoby nieposiadające wystarczających zasobów mogły natomiast wziąć udział w loterii reprodukcyjnej.

W ten prosty sposób w kilkanaście lat doprowadzono do sytuacji, w której dziecko stało się towarem luksusowym i symbolem statusu społecznego.

Ten system działał. Oczywiście pojawiały się problemy. Organizacje terrorystyczne fundamentalistycznych chrześcijan i muzułmanów zgod-nie współpracowały, organizując kolejne zamachy, które miały obalić ten porządek. Pojawiło się podziemie reprodukcyjne, handlowanie wygranymi losami reprodukcyjnymi. Porywanie dzieci dla okupu, a także dla celów seksualnych stało się dużo bardziej opłacalne, chociaż równocześnie wzrosło ryzyko. Obawiano się spadku produktywności i tego, jak będzie funkcjonować społeczeństwo o strukturze wiekowej odwróconej piramidy. Ale okazało się, że dzięki odpowiednio prowadzo-nej polityce migracyjnej i robotyzacji właściwie w każdej sferze życia jakoś dawali radę. Przynajmniej na bogatej Północy, bo Południem mało kto się przejmował. Symbolem stała się Zambia, kraj niemal wyłącznie starych ludzi, którzy umierali w spiekocie na ulicach Lusaki. Bo nie-liczni młodzi albo już dawno stamtąd uciekli, albo byli potomkami miej-scowej oligarchii, która już dawno spakowała swoje dolary i wyniosła się w chłodniejsze rejony świata.

– Jak można zgubić dziecko? – powtórzył Taras.

Sana tym razem milczała. Postanowiła dać partnerowi czas, żeby przetrwał swoją złość i żal. Sama natomiast otworzyła tablet, połączyła się z policyjną siecią i zabrała się do pracy.

Być może Wilczkowie faktycznie nie zasługiwali na dziecko. Być może faktycznie należeli do tej nielicznej mniejszości, która w swojej pysze ciągle mogła sobie pozwolić na życie tak, jakby cieplarniana katastrofa nie nadeszła. Być może zasłużyli na to, co ich spotkało. Ale nic z tego nie było winą zaginionego dzieciaka. I ktoś musiał mu przyjść z pomocą.

## 4.

- Pomóc ci? - zapytał Alek.

Chłopiec, który przed chwilą wywrócił się na krzywej chodnikowej płycie, teraz spojrzał na niego zaskoczony. Był listopad. Skończyły się już nieznosne letnie upały, kiedy mężczyzna potrafił spędzić w metrze pół dnia, bo tam była przynajmniej klimatyzacja ratująca go przed wysokimi temperaturami. Ich budynek miał podobno odpowiednie atesty, certyfikaty, niezawodne technologie, które miały pomagać w wiosenno-letnie miesiące, ale oczywiście nic z tego nie zadziało i bywały dni, kiedy ich małe mieszkanie zmieniało się w piekarnik.

Chłopiec pokręcił przecząco głową. Alek jednak i tak się nachylił i pomógł dziecku wstać. Potem klęknął i dotknął delikatnie jego kolana.

- Boli? - zapytał.

- Nie - szepnął chłopiec.

- Na pewno?

Chłopiec przytaknął energicznie.

- To idziemy dalej - powiedział Alek.

Wziął chłopca za rękę i ruszyli. Dziecko jednak kulało, krzywiąc się przy każdym kroku. Mężczyzna podniósł je więc i przez kilka minut tak wędrowali. On, Basia i ten chłopiec w jego ramionach.

Alek bał się, kiedy wychodzili na ten spacer. Rozglądał się dookoła pewien, że zaraz zaatakuje ich cała drużyna antyterrorystów. Że powtó-



rzy się ta historia ze sklepu, kiedy oskarżono go o kradzież, tylko że teraz będzie sto razy gorzej. A dla Alka było to jedno z najgorszych wydarzeń w życiu. Nawet nie ze względu na tę złamaną rękę, ale ze względu na to, jak go potraktowano, na to, że odebrano mu godność, potraktowano jak śmiecia, któremu po wszystkim można zatkać gębę kilkoma talonami. Najstraszniejsze było to, że mieli rację. Nikomu z nich przecież włos z głowy nie spadł za to, co zrobili. Mogliby go potraktować gorzej, połamać obie ręce, nogi, kręgosłup i reakcja pewnie byłaby taka sama. Nienawidził tych ludzi. Nienawidził z całego serca. A równocześnie strasznie się bał.

Ale wędrowali ulicami i nikt ich nie ścigał. Za to wyławiał coraz więcej pełnych podziwu i zazdrości spojrzeń. I pomyślał, że Basia miała rację. Dzięki temu dziecku ludzie patrzyli na nich, jakby byli kimś, a nie ludźmi, których można bezkarnie pobić w supermarkecie za coś, czego nie zrobili. Było to strasznie przyjemne uczucie.

- Chce mi się pić - powiedział chłopiec.

- Pójdę mu coś kupić - rzuciła Basia i zaraz zniknęła w pobliskim sklepie.

Alek usiadł z chłopcem na ławce nieopodal. Zastanawiał się, czy z dzieckiem jest wszystko w porządku. Byli dla niego dwójką zupełnie obcych ludzi, a on ani nie płakał, ani nie próbował uciekać. Nie wrzeszczał, nie krzyczał, nie prosił o pomoc. Ale poza tym zachowywał się chyba normalnie. Chyba, bo Alek nie miał do tej pory żadnej styczności z dziećmi, mógł więc tylko snuć przypuszczenia. Dzieciak chodził, śmiał się, odpowiadał, kiedy go o coś pytali.

- Wkrótce odprowadzimy cię do mamy - powiedział Alek, żeby prze-rwać przedłużającą się ciszę.

- Dobrze - mruknął chłopiec.

- Nie cieszysz się? - zapytał mężczyzna.

Dziecko wzruszyło ramionami.

- Nie tęsknisz za mamą? - ciągnął Alek.

Kolejne wzruszenie ramionami.

- A za tatą?

Chłopiec drgnął, a kąciki jego ust uniosły się lekko w górę, jakby właśnie przypomniał sobie coś przyjemnego.

- Za tatą tak - powiedział. - Ale tata jeszcze nie wrócił z pracy. On wraca dopiero wieczorem.

- Aha.

W tym momencie pojawiła się przy nich Basia, która bez słowa podała chłopcu otwartą butelkę wody. Dziecko wypilo za jednym razem niemal połowę.

- O czym rozmawialiście? - zapytała.

- W sumie o niczym - odpowiedział Alek. - Chodźmy się gdzieś jeszcze przejść.

Pomyślał, że skoro dzieciak nie tęskni za matką, to nie muszą się spieszyć z jego oddawaniem. Do wieczora było jeszcze sporo czasu.

## 5.

- Firma od chipa śledzącego uważa, że to niemożliwe - powiedział, wchodząc do ich pokoju, Taras.

- Oczywiście, że tak powiedzieli - mruknęła znad komputera Sana. - Przecież gdyby się wydało, że ten ich chip jest głównie wart, to mogliby zacząć pakować walizki. Już nie wspominając o odszkodowaniach, które pewnie musieliby wypłacić.

- Chcesz się czegoś dowiedzieć, czy będziesz się mądrzyć przez cały dzień?

Westchnęła ciężko, ale pomyślała, że Taras ma rację. Niepotrzebnie się zirytowała, ale ta cała sprawa była frustrująca. Nic się w niej nie kleiło.

- Opowiadaj - poprosiła.

- Chip ma mieć zabezpieczenia przed wyłączeniem, przypadkowym lub nie. Gdyby przypadkiem się zepsuł, system ma sam włączyć alarm. Wtedy pojawia się serwisant i natychmiast wymienia chip.

- Co to dla nas oznacza? - zapytała Sana.

- Atak hakerski. Tylko że tutaj pojawiają się kolejne problemy. Zapewniają, że ich system jest tak szczelny, jak to tylko możliwe. Podnosi alarm, gdy tylko dzieje się coś dziwnego, odbiegającego od normy.

- Do każdego systemu da się włamać.
- I oni sami to potwierdzają. Ale twierdzą, że w ich przypadku byłoby to bardzo, bardzo, bardzo...
- Skończ z tym bardzo.
- ... bardzo trudne i do tego bardzo, bardzo, bardzo i tak dalej drogie
- stwierdził Taras.

Sana podrapała się po brodzie.

- Czyli ktoś musiałby wyłożyć potężną kasę, żeby porwać tego dzieciaka.
- Otóż to.
- A równocześnie nikt nie zgłosił się z żądaniem okupu.
- Właśnie.
- Może jest jeszcze za wcześnie?
- Może...

Dlatego ta sprawa wydawała się Sanie dziwna. Gdyby dzieciak po prostu się zgubił, ktoś by go już znalazł. Gdyby został porwany dla okupu, ktoś powinien był się odezwać do rodziców.

Żadna z tych rzeczy jednak się nie przydarzyła.

- A jeśli został porwany przez pedofilów? Albo na części? - zaryzykował hipotezę Taras.

Sana potrząsnęła głową.

- Po co masz porwać dzieciaka polskich rodziców, wiedząc, że takie porwanie zwróci na ciebie uwagę wszystkich świętych, skoro możesz sobie sprowadzić malucha z Azji czy Afryki i nikogo to nie będzie obchodzić?

- To też nie jest takie proste - zauważył Taras. - Tam też kobiety dostają szczepionkę.

- I też biorą udział w loterii reprodukcyjnej. A potem okazuje się, że te urodzone dzieciaki umierają po roku czy dwóch. Naprawdę w to wierzysz?

Taras nie odpowiedział, bo nie musiał.

Oboje pracowali już dość długo w policji. Oboje znali takie sprawy. Paskudne, obrzydliwe i pozostawiające trwałe rany w duszy. Pewnych rzeczy po prostu nie da się zapomnieć.

- A czego ty się dowiedziałaś? - zapytał. - Dostaliśmy już nagrania z kamer bezpieczeństwa?

- Dostaliśmy - potwierdziła Sana. - I nic na nich nie ma.
- Przecież to centrum handlowe jest naszpikowane kamerami!
- Z których trzy czwarte nie działa.

Taras aż stęknął.

- Jak to możliwe?

- Oszczędzają prąd - wyjaśniła spokojnie Sana. - Ich menedżer powiedział mi jasno, że muszą ciąć, gdzie się da, żeby chodziła im klimatyzacja. Poprosił przy tym, żebyśmy nikomu nie zdradzili informacji o ich, jak to określił, niewielkich kłopotach.

- Czyli jedno z najbardziej prestiżowych centrów handlowych w mieście nie ma działającego systemu monitoringu.

- Lepiej bym tego nie ujęła.

- Cholera. A nasz monitoring?

- Szukają ich na kamerach miejskich. Ale wiesz, jak jest. Mało ludzi.

- Sztuczna inteligencja?

- Mało mocy obliczeniowej... My też oszczędzamy prąd.

Policjant podszedł do swojego biurka i opadł na krzesło.

- Czyli dzieciak poszedł z matką do centrum handlowego. Matka zniknęła na moment w przymierzalni. Kiedy wyszła, dzieciaka nie było i nikt nie wie, co się z nim stało? - podsumował Taras. - Nikt nie zauważył krzyczącego i płaczącego sześciolatka?

- Dlaczego miałyby krzyczeć i płakać?

- No bo właśnie ktoś go porywał.

Sana zmarszczyła brwi. W jej głowie właśnie pojawiła się pewna myśl. Dała Tarasowi znać, żeby się nie odzywał. Potrzebowała momentu ciszy i skupienia, żeby pozwolić tej myśli w pełni się uformować.

- A jeśli wcale nie płakał... - powiedziała bardziej do siebie niż do Tarasa.

- Co masz na myśli? - zapytał policjant.

- Poczekaj. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Ale najpierw muszę sprawdzić kilka rzeczy.

Byli na placu zabaw, chociaż sporo się go musieli naszukać. Co było logiczne. Skoro było niewiele dzieci, to po co budować dla nich huśtawki?

Alek chodził za chłopcem. Bawił się z nim. Kręcił karuzelą. Razem robili babki z piasku i kopali dziurę. Aż sam był zdziwiony, jak bardzo go to bawi. Po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, czy nie powinni razem z Basią wziąć udziału w loterii reprodukcyjnej. Poszukał wzrokiem kobiety, żeby zobaczyć, co robi. Siedziała na ławce ze wzrokiem zatopionym w ekranie telefonu komórkowego. Jakiś czas temu straciła zainteresowanie chłopcem. Teraz wyglądała na znudzoną. Chciał do niej krzyknąć, żeby przyszła do nich, ale wtedy dotarło do niego, że są na placu zabaw sami. Wcześniej było tu kilka osób. Przypominał sobie, że widział, jak wyciągają komórki. Dostawali jakieś wiadomości i po kolei opuszczali plac zabaw. Wtedy ledwo zwrócił na to uwagę, teraz wydawało mu się to tak dziwne, że aż mu dreszcz przebiegł po plecach. Może też powinni sobie stąd pójść?

I wtedy zauważył ruch między drzewami. Lekko skuloną postać w masce na twarzy i w jednolitym czarnym mundurze.

- Basia! - wrzasnął.

Oderwała wzrok od telefonu komórkowego. Rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Uważaj!

Za późno. Czarna postać, inna niż ta pomiędzy drzewami, spadła na kobietę. Rzuciła ją na ziemię, przygniotła butem. Napastnik miał w dłoni paralizator. Przyłożył go do szyi kobiety i zaraz jej ciało zaczęło drgać w rytm elektrycznych wyładowań.

- Zostaw ją!

Wtedy zauważył kolejne postacie. Policjantów, wszystkich w maskach i w czarnych mundurach, z pałkami w dłoniach. Krzyczeli coś do niego, ale nic nie słyszał. Krew szumiała mu w głowie. Widział tylko powaloną Basię i funkcjonariusza, który się nad nią znęcał. Przed oczyma pojawiały mu się migawki z supermarketu. Wtedy, kiedy złamano mu rękę. Coś się z nim stało. Sam nie wiedział co. Stracił zupełnie nad sobą panowanie. Zanim nawet sam się zorientował, co robi, zaatakował najbliższego policjanta. Wpadł na niego całym ciężarem

swojego ciała. Powalił i wyrwał z dłoni pałkę. Uderzył raz, w głowę, żeby go obezwładnić, a potem popędził na pomoc Basi.

Dopiero po chwili zorientował się, że ktoś strzelał. Jeszcze dłużej zajęło mu zrozumienie, że strzelano do niego. A potem przed oczyma zrobiło mu się ciemno. Nogi zrobiły mu się miękkie, jakby w ogóle nie było w nich kości. Upadł na ziemię. I przed śmiercią usłyszał jeszcze jedną rzecz – krzyk przerażonego chłopca.

## 7.

Gdzieś z głębi mieszkania dochodziły ich dźwięki włączonego telewizora. Leciała jakaś bajka dla dzieci. Sana siedziała w kuchni. Naprzeciwko niej Greta Wilczek, której twarz raz po raz wykrzywił grymas niezadowolenia.

- Nasz syn się moczy! - wysyczała wreszcie. - Całe łóżko było zaszczone! Całe! Trzeba będzie z nim chodzić na terapię. Pani wie, ile to kosztuje? Pozwiemy was o odszkodowanie! Rozumie pani!? O odszkodowanie!

Sana uniosła tylko lekko prawą brew. Trochę rozumiała wzburzenie kobiety. Działali bardzo szybko. Stąd decyzja o akcji już na placu zabaw. Najpierw zidentyfikowali inne przebywające tam osoby. Wysłali im SMS-y z prośbą o opuszczenie terenu. Kiedy zostali tam tylko podejrzani z porwanym chłopcem, ruszyli do ataku. Nie wszystko poszło tak, jak powinno. Jeden z policjantów wylądował w szpitalu z na szczęście niegroźnym wstrząśnieniem mózgu po tym, jak został uderzony w głowę własną pałką. Agresywny podejrzany został zastrzelony. Ale najważniejsze było to, że dziecku nic się nie stało. Przynajmniej tak powtarzał Daniel Wilczek. Bo jego żona miała na ten temat najwyraźniej inne zdanie.

- Męża nie ma w domu? - zapytała Sana.

- Nie. Musiał iść do pracy. A ja wykorzystam ten czas, żeby napisać na was skargę i znaleźć prawnika.

Sana pomyślała, że na jej miejscu wolałaby spędzić czas z synem, ale nie powiedziała tego głośno. Zamiast tego zapytała:

- Nie chce pani wiedzieć, kim była?
- Kto?
- Kobieta, która porwała pani dziecko.

Greta Wilczek przez chwilę milczała niepewna, co powinna odpowiedzieć. Wreszcie wzruszyła ramionami, dając sygnał, że jest to jej obojętne.

- Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego pani syn nie krzyczał i nie prosił o pomoc, kiedy był porywany - zaczęła mówić policjantka. - Przyznam szczerze, że trochę mnie zdziwiło, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

- I co z tego?

- I doszłam do wniosku, że wobec tego ta scena musiała być bardzo zwyczajna. Dziecko musiało iść spokojnie. Zupełnie się nie buntować. Pani syn musiał być przekonany, że to, co się dzieje, jest normalne. Co oznaczało, że albo porwał go ktoś, kogo dobrze znał, albo... - tutaj Sana na chwilę zawiesiła głos - ktoś z ochrony obiektu. Bo dzieci, szczególnie taki posłuszny syn jak pani, wiedzą, że ochroniarzy należy słuchać. Szczególnie kiedy mówią, że przyszli im pomóc. Inni ludzie też nie zwrócą na taką scenę uwagi, bo nie ma w niej nic dziwnego. Kiedy na to wpadłam, potem już poszło szybko. Zadzwoeniłam do centrum handlowego, ustaliłam, kto pracował w godzinach, kiedy zaginęło pani dziecko. Zidentyfikowaliśmy, a potem zlokalizowaliśmy podejrzaną. I udało się. W mniej niż dwanaście godzin.

- Brawo - powiedziała sarkastycznie Greta. - Musi być pani z siebie dumna.

Sana wzniosła w górę palec.

- Ale to wcale nie był koniec tej sprawy - stwierdziła. - Bo zaczęłam w tym grzebać bardziej. Okazało się, że to porwanie nie było planowane. To było coś w rodzaju impulsu. Ta ochroniarka, kiedy zauważyła, jak ludzie patrzą na nią z dzieckiem... Powiedziała, że to było jak narkotyk. Jakby jeździła po ulicach miasta spalinyowym samochodem na sterydach.

- I dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

- No właśnie. Niby nie powinno. Motywy sprawców są interesujące, ale dla nas, niekoniecznie dla pani. Ale jednak, skoro to nie było żadne

zaplanowane porwanie, tylko coś, co można nazwać głupim wybrykiem, dlaczego chip nie działał?

- Nie mam pojęcia. Rozmawiałam już z przedstawicielami firmy i mówili, że...

- ...to niemożliwe, żeby się zepsuł, i że to musiał być jakiś atak hakerski - dokończyła za nią policjantka. - Wiemy. Ale porozmawiałam z ich działem bezpieczeństwa, porozmawiałam z naszymi policyjnymi informatykami, którzy wbrew pozorom są całkiem, całkiem, i doszliśmy do wniosku, że atak z zewnątrz byłby prawie niemożliwy i koszmarnie kosztowny, ale taki od wewnątrz...

- Chyba nie rozumiem.

- Jeśli haker znałby login i hasło użytkownika do chipa pani dziecka, unieszkodliwienie go w taki sposób, żeby system się nie zorientował, byłoby - jak usłyszałam - banalnie proste.

Sana dostrzegła to lekkie drżenie brody u siedzącej przed nią kobiety, blednięcie skóry, którego nie były w stanie ukryć nawet drogie kosmetyki. Greta Wilczek się bała.

- Co pani sugeruje? - spytała kobieta, siląc się na zachowanie mocnego, stanowczego tonu.

- Pani mąż niedawno podjął kilka błędnych decyzji inwestycyjnych, prawda? - rzuciła Sana, zmieniając temat. - Został usunięty ze stanowiska. Sporo ludzi straciło sporo pieniędzy. Z tego, co wiem, teraz wcale nie jest w pracy, ale na kolejnej rozmowie kwalifikacyjnej. Ale kto by chciał zatrudnić człowieka, który zaliczył taką wpadkę?

- Takie rzeczy się zdarzają.

Sana wzruszyła ramionami.

- Być może. Ja się nie znam. Jestem tylko prostą policjantką. Ale też zebrałam zeznania świadków z dnia porwania. Zostawiła pani syna w sklepie samego i poszła do przebieralni przymierzyć rzeczy.

- Tylko na chwilę.

- Siedziała pani tam prawie przez godzinę - stwierdziła policjantka. - Obsługa zaczęła się martwić, czy przypadkiem pani tam nie zemdlała. Pukali do pani, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku, a pani zapewniała, że tak.

- Straciłam poczucie czasu - szepnęła Greta Wilczek.



- Ale to nie był jedyny sklep, w którym się pani tak zachowywała. Było ich jeszcze kilka. Zawsze ten sam schemat: brała pani naręcze ubrań, wchodziła do przebieralni na niemal godzinę, zostawiając syna samego. Nie raz, nie dwa podchodzili do niego ochroniarze, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Dlatego był taki spokojny podczas porwania. Coś takiego nie zdarzyło się po prostu po raz pierwszy. Ale pani zachowanie... Zachowywała się pani tak, jakby chciała pani stworzyć okazję, żeby ktoś go porwał. Jakby chciała pani, żeby on zniknął.

- Jak pani śmie - zaprotestowała Greta Wilczek, ale w jej głosie zamiast oburzenia było słychać strach.

- Powiem pani, co moim zdaniem się stało - ciągnęła Sana. - Utrzymanie dziecka kosztuje majątek. Te wszystkie opłaty, podatki. Są z nich zwolnieni wygrani na loterii reprodukcyjnej, ale państwo przecież nie brali w niej udziału. A może brali, ale stracili nadzieję na wygraną. Zapłaciliście za zezwolenie. Wzięliście dobrowolnie na siebie ten ciężar. Można powiedzieć, że na swoje dziecko zapracowaliście... Ale kiedy pani mąż stracił pracę, kiedy ryzyko, że straciecie to wszystko, stało się realne...

Sana uśmiechnęła się lekko z udawaną wyrozumiałością. Greta nawet nie próbowała więcej zaprzeczać. Przełknęła tylko ślinę.

- Potrzebowaliśmy tego dziecka - odezwała się kobieta cicho. - W tym środowisku, żeby cię szanowali, trzeba umieć pokazać, że się ma pieniądze, nawet jeśli się ich nie ma. Kiedyś nosiło się biżuterię, drogie zegarki. To były prostsze czasy. Teraz chwalimy się dzieckiem. Wie pani, gdzie się teraz naprawdę robi interesy?

- Gdzie?

- Na kinderbalach. W salach zabaw. Na urodzinach. Na babyshowach. Przyjęciach z okazji ujawnienia płci. Żeby być kimś, trzeba mieć dziecko. I nie, nie braliśmy udziału w loterii. Nawet gdybyśmy wygrali, a to wyszłoby na jaw, to byłaby katastrofa. Nikt by nas nie szanował. Nikt! - w oczach Grety Wilczek pojawiły się łzy. - A ja go nawet nie kocham - dokończyła szeptem. - Próbowałam, ale nie kocham.

Policjantka poczuła, jak coś ją ściska w żołądku. Poczwała równocześnie gniew i żal. Przyszła tutaj ze sprzętem nagrywającym. Mikroskopijnym mikrofonem ukrytym w kołnierzu jej białej koszuli. Chciała wydobyc od Grety przyznanie się do winy, a potem posłać ją za kratki. Jesz-

cze nie wiedziała, z jakiego paragrafu, ale była pewna, że jakiś się znajdzie. Przez nią przecież zginął człowiek. Głupi i nierozsądny, ale jednak człowiek. Pozostawiający za sobą znacznie mniejszy ślad węglowy niż Greta z mężem. Wilczek powinna ponieść za to karę. Ale teraz, patrząc na załamana kobietę, Sana nie była pewna, czy kiedykolwiek zmusi się do wykorzystania tych nagrań. Wstała od stołu.

- Co teraz będzie? - zapytała Greta.

- Teraz?

Sana pochyliła się nad kobietą i spojrzała jej prosto w oczy.

- Obserwuję panią - powiedziała policjantka. - Jeśli cokolwiek przydarzy się pani dziecku... - nie dokończyła groźby. Nie było potrzeby. Kobieta zrozumiała. Pociągnęła nosem.

- Nie wiem, dlaczego to się stało - wyrzuciła z siebie rozpaczliwie Greta Wilczek. - Nie wiem!

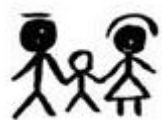
Sana się zawahała. Znała odpowiedź na to pytanie. Przynajmniej tak się jej wydawało. Nie mówiło się o tym głośno, ale po zdjęciu blokady antykoncepcyjnej u niewielkiego procenta kobiet nie powracał instynkt macierzyński. A nawet działo się coś innego, gorszego. Ich własne dziecko stawało się dla nich kimś obcym i niechcianym. Jakby organizm nagle postanowił działać wbrew wypracowanym przez miliony lat ewolucyjnym schematom. Próbowano rozwiązać ten problem. Bez rezultatu. Wreszcie uznano, że nie da się w inny sposób doprowadzić do zmniejszenia ziemskiej populacji w krótkim czasie i w równie humanitarny sposób i dopuszczono użycie nanobotów. Czy Greta Wilczek była ofiarą tego samego mechanizmu? Być może. Ale powiedzenie jej tego byłoby dla niej kolejnym już tego dnia aktem łaski. A jakąś karę, uznała Sana, jednak powinna ponieść.

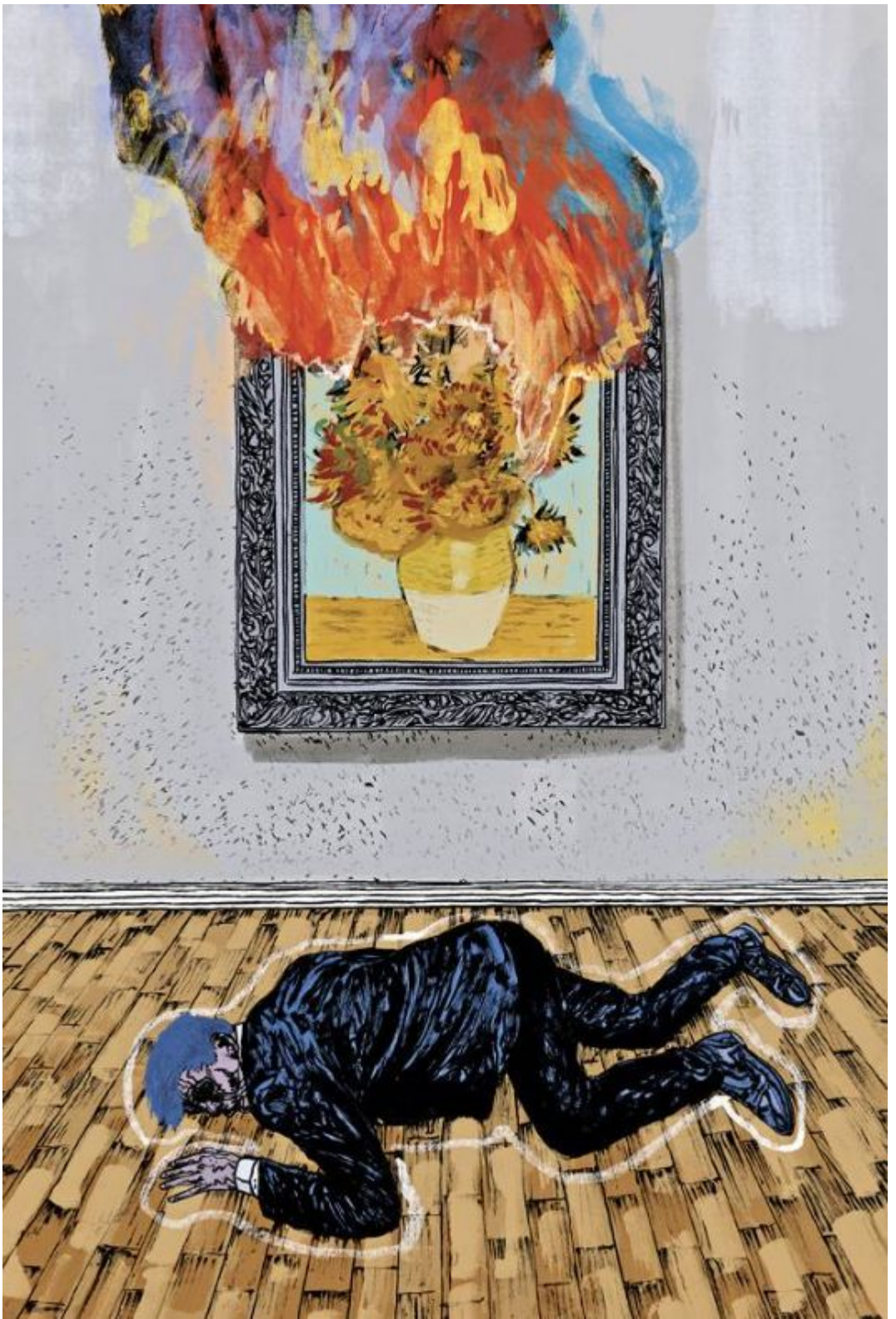
- Proszę pamiętać - rzuciła policjantka. - Mam panią na oku. A jeśli chce pani zaoszczędzić trochę pieniędzy...

- Tak.

- Proszę pomyśleć o samobójstwie. Samotni rodzice są zwolnieni z części opłat za posiadanie dziecka.

Sana opuściła mieszkanie, nie czekając na odpowiedź Greta. Ale wyraz twarzy kobiety - wydawało się jej - wskazywał, że przynajmniej rozważy tę sugestię.





# Krawaciarz

WOJTEK MIŁOSZEWSKI

**2032**

Cholerni meteorolodzy. Miało wiać dwa, góra trzy w skali Beauforta. Po oceanie przetaczają się tymczasem bałwany wysokości kilku metrów. Szybkie łodzie motorowe walczą z kipiela od dwóch godzin, szukając wytrwale celu. Bez rezultatu.

Victor Sollano trzyma się mocno relingu i ma już dosyć. Nigdy wcześniej nie chorował na wodzie, ale teraz czuje żołądek w gardle. Wie, że trudno przewidzieć pogodę na Atlantyku, siedemset mil na wschód od Barbadosu. Zaraz jednak straci nad sobą panowanie. Po prostu wyciągnie broń i odstrzeli łeb nawigatorowi stojącemu po lewej.

Tamten, wysoki Kolumbijczyk, raz po raz wkłada głowę pod kaptur, przyglądając się panelowi systemu nawigacyjnego. Resztę łodzi skrywa totalna ciemność. Noc jest czarna. Żadnego księżyca, zero gwiazd. Decyzja zapadła. Nawigator ma przed sobą ledwie kilka sekund życia. Szef największego kartelu narkotykowego na świecie, jakim jest Sol de la Muerte, sięga niespiesznie po zatknięty za pasek pistolet. W tym samym momencie czerń nieba wpada w ciemniejszy odcień. Jakby w ocean atramentu rzucono nieruchomą, jeszcze mroczniejszą taflę. Olbrzymi kształt przypomina górę. Jest! MS Kousen.

Łodzie dobijają do pomostów przygotowanych przy burcie kontenerowca z Holandii. Szybko i sprawnie, za pomocą lin na bloczkach, Meksykanie wciągają towar na górę. Niemal wszyscy witają z ulgą jasne światło, gdy tylko schodzą pod pokład. Sollano zerka na swojego nawi-

gatora. Zastanawia się, czy tamten wie, że kilka minut wcześniej stał nad krawędzią grobu. Jego spojrzenie mówi wszystko. Wie. To dobrze.

Ludzie Sollana wnoszą skrzynie do ładowni. Tam czekają na nich torby z pieniędzmi oraz bezcenne obrazy rozstawione na sztalugach. Kilku ludzi od razu bierze się do liczenia pieniędzy, a specjaliści oceniają autentyczność dzieł. Holendrzy z kolei rozpoczynają sprawdzanie kokainy.

Jaap Verhagen podchodzi z uśmiechem do Sollana i wita się z nim serdecznym uściskiem dłoni. Siadają naprzeciwko siebie na składanych plastikowych krzesłach. Holender zaczyna niezobowiązującą rozmowę, ale ochroniarze obu mierzą się stalowymi spojrzeniami. Meksykanin od czasu do czasu przenosi wzrok na ludzi sprawdzających obrazy. Verhagen jest szefem potężnej organizacji trzymającej w garści handel narkotykami w Europie. Ale nawet on nie byłby w stanie łatwo zgromadzić gotówki potrzebnej do zakupu takiej ilości towaru. Dlatego część należności Sollano przyjmie w dziełach sztuki. Gdy Holendrowi uda się sprzedać towar, wykupi swoje arcydzieła.

*To wszystko i tak jest bez znaczenia* – myśli Sollano, zerkając na zegarek. Jego ludzie z pierwszej grupy właśnie lądują na pokładzie na spadochronach. Druga grupa z pomocą podwodnych robotów rozmieszcza ładunki poniżej linii zanurzenia kontenerowca. Lada chwila ci z pierwszej ekipy spotkają się z holenderskimi zdrajcami. Oto potęga absolutnie nieograniczonych finansów.

Verhagen sili się na serdeczność, opowiada jakąś śmieszna jego zdaniem historię, a Sollano zaśmiewa się z niej do łez. Jego ludzie prawdopodobnie mordują teraz załogę statku. Rozbijają wszystkie przyrządy na mostku, tak by systemy identyfikacji oraz nawigacji, cokolwiek pozwala odnaleźć statek, zamilkły na dobre. MS Kousen zniknie na zawsze. Meksykanin zerka na zegarek. Zostało raptem parę minut. Czas zamknąć mordę temu zasranemu Holendrowi!

– Jaap, mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie!

– Czy to prawda, że nazwałeś mnie pierdoloną małpą z dżungli?

Tamten mruży oczy, potrząsa głową z niedowierzaniem, a Sollano zna już prawdę. Nie żeby było mu to do czegoś potrzebne. Absolutnie. To nie jest żadna osobista zemsta. Wszystko było starannie zaplano-

wane i najpewniej Meksykanie otwierają teraz pod pokładem wszystkie wodoszczelne grodzie, tak by kontenerowiec poszedł jak najszybciej na dno.

- Victor, nie wiem, kto nagadał ci takich bzdur - Verhagen sili się na uśmiech - ale mogę cię zapewnić, że zawsze wyrażałem się, wyrażam i będę wyrażał o tobie z najwyższym szacunkiem.

*Gówno prawda* - myśli Sollano i uśmiecha się pod nosem. Żyje na tyle długo, żeby wiedzieć, że każdy o jasnym odcieniu skóry traktuje tego z ciemniejszą jak śmiecia. Oczywiście jest 2032 rok i pewnych rzeczy już nie wypada. Ale co innego mówić, a co innego myśleć. Atawizm. To po prostu silniejsze od człowieka. Tak sądzi.

- W porządku, nie czuję się urażony. Tylko powiedz prawdę.

Verhagen robi w odpowiedzi lekko obrażoną minę człowieka oskarżonego o kłamstwo. Meksykanin odwraca się do swego przybocznego. Najwierniejszego z wiernych. Od czasów, gdy jako sześciolatkiem łobuzowali na przedmieściach Monterrey. Sollano wie, że życie to ciągła zmienna. Brutalne, bezlitosne, dokładnie takie, jak opisywał je ojciec Victora. „Synu, na świecie jest przeszło osiem miliardów ludzi. Każdy z nich będzie chciał ci poderznąć gardło. Chodzi o to, żebyś był szybszy i to ty zarznął ich!”. Ale w tej zmiennej jego najlepszy przyjaciel jest stałą, nieruchomą skałą, opoką. Gdyby Rubio go zdradził, Sollano strzeliłby sobie w łeb. Jest o tym przekonany. Wszystko straciłoby sens.

- *Rubio, diga me...* - zwraca się teraz do swego druha. - Z kim rozmawiam?

- Z trupem - odpowiada tamten, szczerząc się w złotym uśmiechu. Nie ma ani jednego swojego zęba. Pamiątka po porwaniu przez ludzi Los Zetas. Konkurencji.

Verhagen marszczy brwi i wstaje. Trwa to może trzy sekundy. W tym czasie z zewnątrz wpadają ludzie Sollana i rozwalają absolutnie wszystkich członków gangu Holendra. Gdy tylko ten się wyprostowuje, jest już po wszystkim. Sollano odpuszcza sobie ostatnie słowa, chwytliwe bon moty rodem z amerykańskich filmów. Po prostu wyciąga nóż i podrzyna Verhagenowi gardło. Dokładnie tak, jak przewidywał jego staruszek. Niby tylko kierowca autobusu, a jednak mądry gość.

Akcja jeszcze nabiera tempa. Kolejne łodzie podpływają do kontenerowca. Pieniądze, dzieła sztuki i towar sprawnie zmieniają jednostkę.

Wtedy Rubio podchodzi do szefa i pyta:

- Co ze zdrajcami? Wypłacamy umówioną kasę i dajemy łódź?

Sollano zerka na przyjaciela, a tamten łapie wszystko w mig, recho-cze krótko. Zdrajcy lądują w ładowniach, pójdą na dno razem ze stat-kiem. Meksykanie wracają na łodzie. Gdy odpływają na bezpieczną odległość, rozlegają się przytłumione odgłosy wybuchów. Sollano obser-wuje wszystko przez noktowizor. Przy akompaniamencie jęku rozdiera-nej stali kontenerowiec przechyla się na prawą burtę, dziób gwałtownie nurkuje. Po minucie nad powierzchnią sterczy tylko rufa. Po trzech następnych jedynym śladem po trzystumetrowym statku są potężne bąble powietrza wybuchające na wzburzonej powierzchni. Łodzie obie-rają kurs na Grenadę, a Sollano wyciąga broń i strzela w łeb kolumbij-skiego nawigatora. Zwłoki lądują za burtą. Sam do końca nie wie, dla-czego to zrobił. Zadziałał instynktownie.

## 2034

Budzi się z suchością w gardle, lekkim bólem głowy. Przez dłuższą chwilę siedzi na krawędzi łóżka, wreszcie przechodzi do łazienki i bie-rze krótki prysznic. Potem siada w salonie i zjada swoje ulubione śnia-danie. *Huevos rancheros*. *Jet lag* daje mu się we znaki mimo najnowo-cześniejszego systemu imitującego światło słoneczne. To w końcu dość długa podróż. Zapina pasy, gdy tylko kapitan włącza sygnalizację.

Boeing 787 VIP dreamliner łagodnie skręca, obniżając pułap, i usta-wia się w osi pasa. Niecałą minutę później samolot za miliard dolarów dotyka kołami płyty lotniska Heathrow. Stamtąd lot śmigłowcem na lot-nisko London City to kwestia chwili, a po półgodzinie luksusowe limu-zyny meldują się na Park Lane.

Victor Sollano stoi w oknie, patrząc na drzewa Hyde Parku. Chłonie wiosenne powietrze i słucha śpiewu ptaków zagłuszanego nieco szu-mem ulicznego ruchu.

- U was jednak ta roślinność jest bardziej wyrazista. Taka soczysta. Zielony na sterydach, można powiedzieć.



- Kwestia wilgotności powietrza. Możesz mi wierzyć, że dla moich stawów to nic dobrego.

Meksykanin odwraca się i patrzy na prawnika. Andrew Lyons dobiega siedemdziesiątki. Ma na sobie staromodny dwurzędowy garnitur, siwe włosy nosi schludnie zaczesane na bok. Do tego pogodne spojrzenie niebieskich oczu i wieczny uśmiech. Podczas każdej rozmowy, nawet gdy jest ekstremalnie zdenerwowany lub po prostu wściekły, adwokat uśmiecha się niczym dziadek odwiedzony przez dawno niewidzianego wnuka.

- Zawsze możesz się przeprowadzić do mnie.

- Dziękuję za zaproszenie - prawnik poprawia fryzurę. - Ale wiesz, jak to mawiają: „Starych drzew się nie przesadza”.

- Jak to właściwie jest wychowywać się w Londynie?

- Czy ja wiem? Pewnie tak samo jak w każdym innym miejscu.

Biznes kartelu Sol de la Muerte wymaga złożonej obsługi prawno-finansowej. Andrew Lyons zajmuje się tym w sposób nienaganny. Jest świetnym fachowcem. Właściwie to najlepszym, jakiego można znaleźć. Za tę obsługę kartel płaci mu gigantyczne pieniądze. Za każdym razem, gdy Sollano się tu zjawia, zastanawia się, czy on też mógłby być kimś takim. Zarabiać legalne, uczciwe pieniądze. W końcu tyle, ile zarabia Lyons, pewnie też by mu starczyło. Ale tak naprawdę wie, że to nierealne. Po pierwsze, nie zostajesz londyńskim prawnikiem, jeśli urodziłeś się w nędzy Monterrey. Po drugie nie, nie wystarczyłyby mu pieniądze Lyonsa. Sollano chce więcej. Zawsze.

Wreszcie siadają, jak co kwartał, i zaczynają obgadywać wszystkie bieżące sprawy. Rozmowa trwa trzy godziny. W tym czasie wypalają po cygarze, jedzą typowo angielski lunch - pieczeń wołowa i *yorkshire pudding* dla Sollana i chicken and mushroom pie dla Lyonsa. To bardzo udane spotkanie.

- Została jeszcze sprawa tej cholernej gotówki - Sollano wzdycha. - Myślałeś o tym?

- Tak. Musimy ją potraktować niczym złom.

- Że jak?

Andrew Lyons uśmiecha się i tłumaczy cierpliwie. Gdy zbieracze złomu podjeżdżają na złomowiska, ważą samochody z towarem. Po rozładunku ponownie wjeżdżają na wagę, a różnica odpowiada ilości

dostarczonego złomu. Londyński prawnik proponuje to samo zrobić z gotówką. Jeśli ludzie Sollana nie radzą sobie z jej liczeniem, to należy ją zważyć.

- Jesteś genialny, staruszkule - Meksykanin uśmiecha się z uznaniem.

Następnego dnia Sollano jest już u siebie. Tu, w stanie Tamaulipas, czuje się najlepiej. Od usunięcia Verhagena przeszło dwa lata wcześniej jego pozycja znacznie wzrosła. Nieprzebrane ilości gotówki spowodowały, że kupił w Meksyku absolutnie każdego, kogo chciał. Jest *de facto* właścicielem państwa. A samo Tamaulipas to jakby jego prywatna działka o powierzchni Czech. Centralnym punktem tej działeczki jest gigantyczna posiadłość nad Zatoką Meksykańską.

Sollano siedzi na tarasie. Patrzy na turkusowe fale i sączy podwójne *cortado*. Ostatnio dużo czyta. Co prawda tylko na laptopie i tylko krótkie notatki informacyjne, ale to i tak sprawia, że myśli o sobie jako inteligencie. Człowieku renesansu. Kimś wybitnym. Większość coś wartych ludzi Verhagena była na statku, a wcześniej Holender rozgromił włoską mafię, na dobre przejmując Europę. Co oznacza, że aktualnie zarówno w Europie, jak i obu Amerykach nie odbywa się żaden handel narkotykami, z którego Sollano nie miałby przynajmniej niewielkiego procentu.

Kończy kawę i włącza komputer. Sprawdza największe imperia w historii. Pod względem powierzchni imperium brytyjskie z 1922 roku nie ma sobie równych. Trzydzieści sześć milionów kilometrów kwadratowych. Meksykanin szybko znajduje w internecie potrzebne informacje. Ameryki Północna i Południowa oraz Europa mają łącznie pięćdziesiąt trzy miliony kilometrów! Czyż to nie piękne? Sollano przyryka oczy i wystawia zadowoloną twarz do słońca. Jest potężniejszy od Jerzego V, cara Aleksandra II, a nawet tego gościa od Mongołów, już nie pamięta, jak on się nazywał.

Otwiera oczy i tym razem wyszukuje listę najbogatszych według „Forbesa”. Pierwsze miejsce zajmuje Elon Musk z majątkiem wartym pięćset miliardów dolarów, drugie Jeff Bezos, który zgromadził o sto miliardów mniej. Trzecia jest Paka Ruka, artystka z Tik Toka, która przerabianiem najpopularniejszych piosenek na pierdy dobiła do stu siedemdziesięciu miliardów. Sollano uśmiecha się pod nosem i wyko-

nuje nieznaczny gest. Sygnał dla służącego, żeby przygotował mu dżin z tonikiem. Po chwili bierze w zamyśleniu łyk z oszronionej szklanki. Wie, że ma jakieś sto miliardów dolarów. To plasuje go na dwunastym miejscu na świecie. Całkiem nieźle.

*Najlepsze w tym wszystkim jest to – myśli – że od całej tej kasy nie zapłaciłem podatku! Dobra, może jakiś tam zapłaciłem, ale to podczas prania, więc się nie liczy. Cztery odrzutowce, kilkaset rezydencji rozsianych po całym świecie. Do tego trzy półlegalne – no dobra, może i nielegalne – ogrody zoologiczne. Sollano jeździł każdym luksusowym samochodem, jaki tylko wyprodukowano. Kazał nawet kupić i odrestaurować takie egzotyki jak trabant czy polonez z dawnego bloku wschodniego, gdy znudziły mu się zabawki po parę milionów. Jeśli chodzi o seks czy masturbację, to zapomniał o nich pół roku temu. Nie odczuwa już pociągu, bo spełnił każdą, nawet najbardziej wyuzdaną fantazję.*

Kończy dżin z tonikiem, a na stole ląduje kolejna szklanka. Chciałby powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwy, ale jest jedna rzecz, której szczerze nie cierpi. W swoim życiu kłamał, kręcił, uciekał się do niecznych podstępów. Kłuł nożem, strzelał w głowy i wysadzał w powietrze. Uczciwie byłoby powiedzieć, że zrobił każde świństwo, jakie tylko na tym świecie jest możliwe. Ale oszukiwać samego siebie nie chce. Wie, czuje podskórnym, że to niezdrowe.

Nudzi się.

Dałby wiele za to, żeby ta potworna nuda wreszcie się skończyła.

Anglosasi mają takie powiedzenie: *Be careful what you wish for*. Byle tłumacz mógłby to przełożyć jako: „Uważaj, o czym marzysz”. Z kolei Chińczycy, gdy nie darzą kogoś sympatią, krzyczą w złości: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Niestety, Sollano nie zna ani anglosaskich, ani azjatyckich mądrości. Najwyraźniej nie jest człowiekiem renesansu.

Nuda zostaje gwałtownie przerwana w styczniu. Jakies dwa tygodnie po Nowym Roku. Zaniepokojony Rubio zjawia się w sekcji bawialnej zajmującej trzy tysiące metrów kwadratowych. Przemierza puste boiska do koszykówki, pola do minigolfa, baseny i korty tenisowe, by wreszcie odnaleźć swojego szefa w Garażu. Ten właściwy, na trzysta samochodów, schodzi pięć poziomów pod ziemię. Garaż wielką literą jest ciemnym pomieszczeniem z jednym autem. To DeLorean DMC-12. Zespół hollywoodzkich speców od efektów specjalnych i scenografów przekształcił samochód w dokładną replikę wehikulu czasu z trylogii *Powrót do przyszłości*. Victor coraz częściej przesiaduje w tym aucie. Rubio trochę się martwi o szefa. Ale o nic nie pyta. Tak będzie lepiej.

- *Jefe*, chyba powinienes coś zobaczyć.

- Nie możesz mi powiedzieć? - jęczy Sollano. - Zajęty jestem.

Przyboczny nie komentuje tego, że szef po prostu siedzi z przygnębioną miną w dużej zabawce. Ostatecznie przecież się z niej wygrzebuje i przyjmuje wyjaśnienie, że chodzi o ważne wiadomości. Potrzebują telewizora. Najbliższy jest w klubie Baila Moreno. Idą więc osiemset metrów spacerowym krokiem, by dotrzeć do olbrzymiej, trzy poziomowej dyskoteki. Rubio naciska guzik na pilocie. Czterdzieści płaskich telewizorów włącza się naraz, pokazując wściekłego Ala Pacina z karabinem AR-15 w garści.

- *Say hello to my little friend!* - drze się amerykański aktor, po czym wypala z granatnika. Sollano marszczy brwi. Teraz przypomina sobie jak przez mgłę, że zeszłej nocy schlał się w klubie do nieprzytomności i pod koniec puścił sobie kasowy hit Briana de Palmy. Uwielbia ten film. Martwi się jednak, że z powodu wszechogarniającej nudy zamarzy mu się kiedyś, by skończyć tak samo jak Tony Montana. Nie wie, że ta nuda skończy się za trzy, dwa, jeden... Rubio zmienia kanał i na ekranie ukazuje się uśmiechnięta twarz Alexandrii Ocasio-Cortez. Amerykańska prezydent opowiada o wielkim sukcesie w walce z najpotężniejszym kartelem na świecie. Sollano mruży oczy, próbując rozeznąć się w sytuacji, słuchać i czytać słowa przesuwające się na paskach informacyjnych. Zaczyna rozumieć.

Rząd USA od dobrych kilkadziesiąt lat prowadził szeroko zakrojoną akcję przeciwko przestępczości zorganizowanej, głównie związanej z handlem narkotykami. W jednej sekundzie cały rynek kryptowalut oraz NFT, czyli wirtualnych obiektów zapisywanych na blockchainach,

przestaje istnieć. Nie robi to wielkiego wrażenia na Sollanie. Nigdy nie wierzył w całe to gównno polegające na tym, że oto można stać się właścicielem, w ogóle nie posiadając obiektu. Ma ulokowane w tym syfie raptem dwieście milionów dolarów.

Co innego wieść, że większość dzieł sztuki w obrocie w ostatnich pięćdziesięciu latach to falsyfikaty. Meksykanin opada na czerwoną skórę jednej z kanap i słucha o fałszywych arcydziełach, nawet tych, co do których teoretycznie nie mogło być wątpliwości. Oczywiście Vermeer, Monet, van Gogh czy Rembrandt i inni wielcy istnieli. Jednak nie wszystko, co im przypisywano, wyszło spod ich pędzli. Sollano patrzy bez ruchu, jak uśmiechnięta Amerykanka tłumaczy, że operacja rozpoczęła się jeszcze w latach sześćdziesiątych, ponad siedemdziesiąt lat wcześniej.

- Samolot zatankowany?
- Jasne - odpowiada Rubio.

W Londynie spadają dwa milimetry śniegu i paraliżują całe miasto. Odrzutowiec Sollana w ostatniej chwili zmienia kurs i ląduje w Paryżu. Stamtąd Meksykanin wraz ze swoją świtą muszą złapać pociąg. Oczywiście wykupuje dwa wagony, ale podróż takim środkiem transportu, w mniemaniu Sollana zarezerwowanym dla biedaków, wzbudza w nim wściekłość.

Okna gabinetu przy Park Lane tym razem są szczelnie zamknięte. Pozbawione liści drzewa w Hyde Parku kołyszą się na wietrze, zrzucając resztki śniegu wzbudzającego trwogę wśród londyńczyków.

- Jak to, kurwa, w ogóle możliwe!?

- Sytuacja jest bardzo delikatna - Lyons wzdycha z troską pod piorunującym wzrokiem Sollana i taktownie milknie na dłuższą chwilę.

Nie jest łatwo przekazać szefowi najpotężniejszego kartelu narkotykowego na świecie, że część jego majątku bezpowrotnie wyparowała. Na to potrzeba czasu. I taktu właśnie. Andrew Lyons o tym wie. Jest świetny w swoim fachu. Właściwie to najlepszy. Wreszcie przerywa milczenie:

- Czy kupiłbyś moje gacie?

Meksykanin unosi brwi w zdumieniu, jego twarz powoli wykrzywia złość zaprawiona groźbą. Nawet Rubio porusza się niespokojnie na

krześle. Kładzie dłoń na pistolecie zatkniętym za pasek, zerkając na swego szefa.

- Cenię angielskie poczucie humoru, ale to chyba nie najlepszy moment - cedzi ten przez zęby.

- Nie no, poważnie. Ile mogą być warte moje gacie?

- A twoje życie?

Te groźby robią wrażenie na Lyonsie, ale nie pokazuje tego po sobie. W końcu ma do czynienia z Sollanem już od niemal dwudziestu lat. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- Dałem za nie ze czterdzieści funtów, ale nie ukrywam, że są lekko znoszone. A gdybym miał na sprzedaż majtki Marilyn Monroe?

- Też znoszone? - wypala Rubio z dziwnym entuzjazmem w głosie.

Jego szef odwraca się do niego z autentycznym zaskoczeniem, ale potem przenosi spojrzenie na adwokata.

- Nie chcę ci sprawiać przykrości, ale myślę, że majtki ikony kina będą warte więcej niż twoje.

- Otóż to! Wartość przedmiotu to tylko psychologia. Pieniądza zresztą też.

- Lyons sięga po portfel i kładzie na biurku pięciofuntowy banknot z podobizną króla Williama V.

- Przecież to tylko kawałek papieru. Ale umówiliśmy się, że jest wart tyle a tyle. Mało tego, to pięć funtów jest warte ileś tam dolarów czy jenów. To wszystko kwestia umowy!

- Więc ile są warte moje dzieła sztuki?

Lyons nauczył się wiele lat temu, że najgorsza prawda jest lepsza od słodkiego kłamstwa. To znaczy jeśli chodzi o relacje z klientami. Zwłaszcza takimi jak Victor Sollano. Dlatego odpowiada:

- Nic. Są gównem warte.

- W porządku - mina Meksykanina jasno mówi, że nic nie jest w porządku. - A ile były warte przedtem? Gdy wszyscy wierzyli, że to oryginały?

Angielski prawnik marszczy czoło i zaczyna przeglądać papiery, jakby dokonywał pośpiesznych obliczeń. Sollano przekrzywia głowę i patrzy na niego z dezaprobatą. Wie, że tamten robi przedstawienie, bo przecież musiał wszystko sprawdzić przed jego przybyciem. W końcu przez dwa milimetry białego puchu podróż trwała prawie dobę! Lyons

dostrzega kpiące spojrzenie, uśmiecha się i z godnością udziela odpowiedzi:

- Dwadzieścia osiem miliardów dolarów.

Nawet najmniejszy mięsień nie drga na twarzy Sollana, ale cios jest potężny. Po chwili Meksykanin zwiesza głowę, przymykając oczy. Człowiek renesansu. Oto, co go zgubiło. Myślał, że coś odróżni go od wszystkich innych kryminalistów. Wspaniała kolekcja, jakiej będą mogli pozazdrościć mu królowie. Oczywiście fakt, że każde z dzieł, drożące z dnia na dzień, stanowiło doskonałą lokatę kapitału, nie był bez znaczenia. Sollano podnosi się i wychodzi bez słowa czy choćby gestu pożegnania. Andrew Lyons rozumie powagę sytuacji, ale takie zachowanie mimo wszystko wzbudza u angielskiego dżentelmena niesmak.

Winda zatrzymuje się bezszelestnie dwie kondygnacje pod garażem. Sollano w asyście Rubia dokonuje ceremonii otwarcia potężnych stalowych drzwi. Czytnik linii papilarnych, skaner siatkówki oraz skomplikowane kody słowne i cyfrowe. Wreszcie mogą wejść do środka.

Boss kartelu przechadza się w milczeniu, przesuwając wzrokiem po arcydziełach. Niektóre kojarzy, ale w większości wypadków musi odczytywać autorów z etykiet umieszczonych przy każdym z obrazów. Caravaggio, Bosch, Bruegel, da Vinci, Turner, Munch i wielu, wielu innych. Niemal czterysta wyśmienitych, jak mu się zdawało, dzieł. Wartość? Zero.

Meksykanin jeszcze przez chwilę rozważa zrobienie tego, czego tak bardzo nienawidzi. Oszukanie samego siebie. Ale potem przywołuje się do porządku. Myśl, że mógłby sprzedać te podróby za kilka milionów, wzbudza w nim obrzydzenie. Victor Sollano nie schyla się po drobne!

Na imprezę z całego świata ściągają znamienici goście. Imponujący podest z wysokimi schodami powstaje w raptem dwa dni. Zaproszeni wspinają się kolejno na szczyt, człowiek w stroju szambelana brytyjskiej rodziny królewskiej odczytuje tytuł i autora wybranego dzieła, a potem goście dostępują zaszczytu ciśnięcia obrazu na ciągnącą się w dole plażę.

Gdy wszystkie się tam znajdują, Sollano, ubrany w białe spodnie i koszulę, przytyka do olbrzymiej sterty pochodnię. Płomienie strzelają

wysoko pod niebo i przyjęcie rusza z kopyta. Gdy gospodarz obserwuje służących kręcących się między gośćmi z półmiskami białego proszku, uśmiecha się. Może i stracił kupę kasy na tych obrazkach. Ale została mu kokaina. To ciągle potężne zyski, biały proszek nigdy nie straci na wartości. Ludzie zawsze będą chcieli się naćpać.

Wiosna, jak to ma w zwyczaju, przynosi nadzieję. Kartel Sol de la Muerte łapie drugi oddech. Jasne, imperium Sollana stopniało. Zawaliły się spółki piorące pieniądze. Musiał sprzedać trzy z czterech odrzutowców, by jakoś połatać finanse, ale handel narkotykami to jednak żyła złota. Cudowny biznes! Kto nie wierzy, niech sobie wyobrazi, że ze stu dolarów robi dziesięć tysięcy w raptem tydzień.

Kolejny cios, silny podbródkowy albo na wątrobę, jak kto woli, nadchodzi latem. Podczas zgromadzenia ONZ prawie sto państw, w tym wszystkie z Europy i obu Ameryk, decyduje się na krok, który zatrząśnie światem przestępczości zorganizowanej. Zapowiadają całkowitą legalizację narkotyków. Od tej pory to poszczególne rządy mają kontrolować rynek.

To niejedyna zmiana. Sollano nie może już przemieszczać się swobodnie po świecie. Jego samolot nie jest mile widziany na żadnym z lotnisk. Chyba że w Afryce. Ale tam jakoś Meksykaninowi na razie się nie spieszy.

Dlatego Andrew Lyons sam przylatuje do Tamaulipas. Siedzi teraz z gospodarzem na plaży zamurowany od stóp do głów w elegancki garnitur. Meksykanin ma na sobie kąpielówki i podkoszulek. Kończy drinka i gwałtownie wstaje.

- Co za skurwysyny pierdolone! Jak to zalegalizować!? Co, każdy sobie pójdzie do marketu i kupi kokę?

- Do apteki - prostuje adwokat cierpliwie.

- Niech będzie i do apteki, ale co z dziećmi? Już to widzę, jak tam będą sprawdzać dowody. Czy im w ogóle nie zależy na młodzieży!?

Lyons zerka ukradkiem na swego rozmówcę. Próbuje ocenić, czy tamten żartuje. Ale nie, jest śmiertelnie poważny. Prawnik mógłby mu zwrócić uwagę, że gdy jego koka i hera trafiły do najmłodszych, to jakoś nie protestował. Heroina Sollana zamieniała całe osiedla w USA, Europie i Ameryce Południowej w sektory nędzy, rozpaczy i braku per-



spektyw. Niemowlaki umierały z głodu, bo ich naćpani rodzice leżeli po kilka dni w narkotycznej śpiączce. Jednak Lyons nie decyduje się na takie uwagi. Jest świetny w swoim fachu. Właściwie to najlepszy.

- Przeżywając dzień dzisiejszy, ludzie bardzo często patrzą w jutro. A może warto się obejrzeć na wczoraj? - wygłasza filozoficznym tonem.

- Co, kurwa?

- Wszystko przyszło ci jakoś tak gładko, nie uważasz? Twoje zwycięstwa w obu Amerykach. Verhagen pomimo niewielkich środków zdołał doszczętnie rozbić mafię i podporządkować sobie Włochy. Potem ty przejmujesz teren Holendra i stajesz się najpotężniejszy.

- Nie kumam - Sollano sięga po nowego drinka przyniesionego przez dyskretną służbę. - Jestem najpotężniejszy, bo jestem najlepszy! Wyruchałem wszystkich!

Meksykanin śmieje się i opróżnia szklanekę w sekundę. Uderzający do głowy alkohol, odwrotnie niż zazwyczaj, powoduje jednak nagły spadek pewności siebie. Wydarzenia ostatnich dwudziestu lat przewijają się Sollanowi przed oczami. Teraz widzi to jak na dłoni. Faktycznie, wszystko poszło zbyt łatwo. Pozwalano mu pożerać innych, rozrosnąć się do rozmiarów bestii. A teraz bestię można osaczyć i rozprawić się z nią raz na zawsze.

- To oni wyruchali mnie - mamrocze.

- W tyłek.

Andrew Lyons, jako angielski dżentelmen, nawet w tak dramatycznej sytuacji nie pozwala sobie na to, by użyć dosadniejszego terminu. Meksykanin nie ma takich oporów.

- W dupę! - ryczy. - Wyruchali mnie w dupę!

- Opłaciłeś wszystkich?

- Nie rozśmieszaj mnie. Cały Meksyk i w dół aż do przylądka Horn. Mogę tu robić, co chcę!

- A Stany, Europa?

- Przestań, przecież ich się nie da.

Ostatnie zdanie sprawia, że temperatura na meksykańskiej plaży spada dla Anglika poniżej zera. Zastyga w bezruchu, czując zimny pot spływający pod elegancką koszulą. Jak można powiedzieć coś takiego? Przecież absolutnie każdy jest do kupienia. To jedynie kwestia ceny. Lyons już wie, dlaczego wybrano akurat Victora Sollana. Bo jest idiotą.

Przez cały rok Meksykanin próbuje ratować swój kartel. Jego imperium zaczyna się nieubłaganie sypać. Niczym gliniany dom na brzegu rzeki, która właśnie wylała. Katastrofa jest nieunikniona. Sol de la Muerte stoczyła dotąd wiele bitew i potyczek. Kartele meksykańskie, kolumbijskie, boliwijskie i peruwiańskie. Włoskie *'ndrangheta*, *camorra* i *sacra corona* czy rosyjska mafia sołncewska. Rozpamiętując wszystkie zwycięstwa, Sollano czuje gorycz. Prześladowuje go myśl, że może to wszystko nie było przypadkowe. Może faktycznie mu na to pozwolono, by go teraz zniszczyć. Mimo wszystko sądzi, że może jeszcze wygrać.

Myli się. Legalizacja narkotyków zmieniła rynek o sto osiemdziesiąt stopni. Meksykanin musi gasić pożar za pożarem. Najpierw liczył, że przetrwa dzięki kontroli plantacji, ale te odwracają się od niego. Plantatorzy wolą podporządkować się rządowi, zapłacić podatek i mieć święty spokój. Dzieje się coś niebywałego. Wyjęci spod prawa stają się porządnymi obywatelami.

Jest jeszcze zbrojne ramię Sol de la Muerte. Ale i ono zaczyna szwankować. Pomniejsze gangi zrzeszone pod wspólną egidą są potwornie niebezpieczne. Dlatego Sollano postępuje z nimi ostrożnie, ale jest dobrej myśli. To mordercy nawykli przez lata do zabijania. Ludzie absolutnie wyzuci z wszelkich skrupułów. Szef kartelu swoją szansę widzi w przekonaniu, że tamci nigdy nie sprawdzą się w legalnym życiu. Jakież jest jego zdziwienie, gdy adaptują się w ekspresowym tempie przy pierwszej sposobności. Jeszcze niedawno bezwzględni zabójcy, teraz państwowi urzędnicy w mundurach. Pobierają pensje, premie i załatwiają sobie samochody w leasingu i domy na kredyt.

Ocean pieniędzy z Sol de la Muerte szybko przeistacza się w morze. Słona woda znika wyparta przez słodką i wkrótce jest to kilka dużych, ale jednak tylko rzek. Te również szybko wysychają, zamieniając się w pustynne strumienie. Koło obłędnej porażki napędza się coraz bardziej. Im mniej jest pieniędzy, tym gorzej z opłacaniem własnych ludzi i łapówkami. Krok po kroku Sollano traci kolejne terytoria.

Po pierwsze, nie ma głowy, a po drugie, odpowiednich ludzi do tego, żeby utrzymać pozycję w nowej rzeczywistości. Kokainę przejmują koncerny farmaceutyczne. Mają laboratoria, magazyny, fabryki oraz sieć

dystrybucji w postaci setek tysięcy aptek. Każdy dorosły może bez ryzyka kupić towar. Meksykanin łudził się krótko, że może sprzedaż kokainy dzięki temu wzrośnie, ale tak się nie stało. Nikt nie rzucił się wygłodniały na zalegalizowane narkotyki. Zażywają je ci, którzy robili to do tej pory. Tyle że w zgodzie z prawem. Do tego jeszcze diabeł kryjący się w jednym potwornym słowie - marketing. Victorowi Sollanowi chce się wyc. Nigdy nie musiał zabiegać o sprzedaż towaru. Jego kokaína i heroina były dobre i koniec!

Jedynym marketingowym zabiegiem, jaki zastosował, było wymyślenie dla Sol de la Muerte godła. Słońce przebite bagnetem osadzonym na karabinie AK-47, krew spływająca pod palmę. Grafikę umieszczali na paczkach z narkotykami i tyle. Teraz kokainę reklamują w telewizji hollywoodzcy aktorzy. Johnny Depp budzi się w łóżku. W przestronnym apartamencie z widokiem na ocean, ale nic go nie cieszy. Na ekranie królują czarno-białe barwy. Dopiero po wciągnięciu kreski świat nabiera kolorów. Do Johnny'ego Deppa przyjeżdżają znajomi i urządzą dzikie party o zachodzie słońca. Dzieło wieńczy logo szwajcarskiego koncernu farmaceutycznego i ostrzeżenie o skutkach ubocznych.

Po miastach jeżdżą kokabusy, zgarniając naćpanych, by nie prowadzili po zażyciu. Uber ma specjalne zniżki dla kokainistów. Wszystko spina systemem nagród i punktów lojalnościowych na specjalnych kartach. Największe korporacje wspierają się nawzajem, wyciskając z rynku każdego dolara. Z taką machiną nikt nie wygra. Sollano jest coraz bardziej zagubiony.

## 2037

Początek roku jest obchodzony wyjątkowo hucznie. Przestępcy całego świata są w poważnych tarapatkach. Dla przykładu liczba morderstw w Meksyku spadła po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat. I to aż o trzydzieści kilka procent. Mafie są w agonialnym stanie, odcięte od żyły złota, jaką były przemyt i handel narkotykami. Nieliczne próbują iść z duchem czasu, przestawiać się na przestępstwa finansowe, takie

jak karuzele VAT lub handel ludźmi, ale wszystko to z miernym skutkiem. Fundament został wysadzony w powietrze i teraz całość chwieje się w posadach.

Po Sol de la Muerte nie ma śladu. To znaczy jest, w postaci dwóch ostatnich członków kartelu, którzy ciągle nie przyjmują do wiadomości, że nadszedł koniec. Victor Sollano i jego wierny druh Rubio. Ukrywają się przed meksykańskim wymiarem sprawiedliwości, który urósł w siłę i działa coraz sprawniej. Coś tak nieprawdopodobnego, że rok wcześniej nawet nie potrafiliby sobie tego wyobrazić. Sollano i Rubio przeszli serię operacji plastycznych i ukrywają się w niewielkim domku otoczonym dżunglą w stanie Chiapas. Zaraz przy granicy z Gwatemalą. Nie ma czym oddychać, bagna, syf, pająki wielkości pięści i malaryczne komary. Raj na ziemi.

Któregoś wieczoru Sollano wysupłuje czystą kartę SIM i z pamięci wpisuje numer telefonu. Z początku długo nikt nie odbiera. Może Meksykanin pomylił cyfry, coś pomieszał? W końcu uczył się tego numeru tak dawno temu. Nigdy by nie przypuszczał, że naprawdę mu się przyda.

Dziewięć tysięcy kilometrów dalej Andrew Lyons zamyka okna. Na Park Lane był wypadek. Syreny wozów strażackich i ambulansów nie pozwalają zebrać myśli. Prawnikowi nie pasuje ten telefon. Przecież wie, kto dzwoni. Z drugiej strony wybrał bezpieczny numer.

- Załatwmy to raz na zawsze - mamrocze do siebie adwokat i odbiera.

- To ja - głos po drugiej stronie jest bliski płaczu.

- Wiem.

- Jestem nikim. Jestem na dnie. W totalnej czarnej dupie. Musisz mi pomóc!

- Nie zapłaciłeś trzech ostatnich faktur ode mnie.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Lyons już się nie łudzi, że Meksykanin może żartować. Przecież wie, że ma do czynienia z durniem. Czy powinien tłumaczyć tamtemu, że łączyły ich wyłącznie biznesowe relacje? Bez sensu. Sollano i tak nie zrozumie. Czy powinien po prostu się rozłączyć? Prawnicza dusza mu na to nie pozwala. A co, jeśli twórcy Sol de la Muerte uda się wyjść z kłopotów? To nierealne, ale jeśli tak, to co wtedy? Wtedy na pewno

będzie znowu potrzebował niezawodnego adwokata z Londynu. Lyons nigdy nie pali mostów. Jest świetny w swoim fachu. Właściwie to najlepszy.

- Mogą nas słuchać. To nie jest bezpieczna rozmowa, choć na bezpieczny numer. Czego potrzebujesz?

- Rady - teraz to już pewne, Sollano łąka do słuchawki. - Co mam robić?

- Idź do pracy.

Długa na pięć metrów elektryczna limuzyna mknie drogą wzdłuż Jeziora Zuryskiego. Karoserię pokrywa mieniący się w słońcu lakier na zamówienie. To przyciąga wzrok przechodniów i kierowców. Auto zbliża się do nowoczesnego, futurystycznego wręcz budynku, który niczym zrobotyzowany pająk przycupnął nad samym brzegiem jeziora. Z tylnej części odwołku zwiesza się napis skonstruowany z milionów świateł LED: *Maurer & Küpschen*. Po chwili limuzyna skręca i znika na pochylni prowadzącej do podziemnego garażu.

Prezes Bernhard Meyer wysiada z windy na ostatnim piętrze. Nie zna się z londyńskim prawnikiem Andrew Lyonsem. Gdyby jednak doszło do ich spotkania, tamten musiałby przełknąć gorzką pigułkę. Szwajcar jest klasą sam dla siebie. Już lekko siwieje, ale kolor jego włosów nie jest z tych plebejskich odcieni bieli, jakie przychodzi nosić zwykłym ludziom. Jego włosy srebrzą się w jarzeniowym świetle, tak samo jak opalona na brąz skóra. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu i osiemdziesiąt osiem kilogramów. Szczupły, ale nie chudy. Umieśniony, ale nie przypakowany. Każdego wieczoru pływalnia, trzy razy w tygodniu siłownia, dwa razy squash, a w weekendy rower w górach. Zero tytoniu, zero alkoholu, zero wszystkiego, co szkodzi.

Wchodzi do sali konferencyjnej z widokiem na taflę jeziora, nad którą w dali górują pokryte śniegiem alpejskie szczyty. Ten widok nigdy mu się nie znudzi. Meyer wita się z pracownikami delikatnym uśmiechem i rozpoczyna spotkanie. Po omówieniu wstępnych analiz i raportów przechodzą do kwestii, którą zajmują się od niemal tygodnia. Nadal nie jest przekonany.

- Rozumiem wszystkie argumenty, ale martwi mnie jego przeszłość. Chodzi mi konkretnie o zachowania agresywne. Wiecie, co to kolumbij-

ski krawat?

Zebrani kręcą przecząco głowami, a Meyer wyjaśnia, że to forma zabójstwa praktykowana przez narkotykowe kartele. Ofierze podrzyna się gardło i przez ranę wyciąga język.

- Możemy wpisać do umowy, że u nas nie wolno robić takich rzeczy - odzywa się wreszcie szef działu *human resources*.

- Albo po prostu, że nie dopuszczamy żadnych zachowań agresywnych pod groźbą wyrzucenia z pracy - mówi szefowa działu prawnego.

- Zaraz, ale to chyba każdy ma? - Meyer marszczy brwi.

- Mamy bardzo ogólnikowo. Jemu wpiszemy, że nie wolno przeklinać, bić, pluć na innych. Dopisze się też ten krawat.

- Tak jest - mówi z ożywieniem szef HR. - Do tego, że nie wolno kłuć nożem, strzelać, wysadzać w powietrze, podrzynać gardeł.

- To ostatnie już mamy - prawniczka kręci głową. - To będzie ujęte w podpunkcie kolumbijskiego krawatu. Nie mnożmy bytów, bo umowa będzie brzydko wyglądać.

Szef kadr przytakuje lekkim skinieniem głowy, a prezes obraca się na krześle, ustawiając bokiem do obecnych. Zastanawia się przez dobrą minutę. Nikt nie śmie mu teraz przeszkodzić. Wiedzą, że to ważny proces.

- Dobra, jedźmy z tym - rzuca wreszcie Meyer. - Aha, jeszcze jedno. On chce tu przyjechać ze swoim kierowcą czy kimś takim. Co na to nasz urząd imigracyjny? Dostaniemy dwie wizy?

- Jasne - szefowa działu prawnego uśmiecha się słodko. - Jesteśmy największym płatnikiem podatków w Szwajcarii. Dostaniemy wszystko.

## 2039

Dwa lata ruchania w dupę. Tak Victor Sollano widzi to w swojej głowie. Jest prosty, żaden tam człowiek renesansu, teraz już sam to wie. Dlatego osławiony seks analny jest dla niego największym upokorzeniem i właśnie tak widzi dwa lata pracy dla koncernu Maurer & Küpschen. Niby to ciągle handel kokainą, ale jakiś taki dziwny. Właściwie żaloszny.

Wszystko ugrzecznione. Meksykanin ma swoją kartę wstępu na konkretne piętro i biurko w kącie za plastikowym przepierzeniem. Handluje towarem, używając maila, służbowego telefonu i internetowych komunikatorów. W dawnych czasach, gdy opchnął większą partię, to strzelali w powietrze z karabinów i ściągali dwieście prostytutek ze stolicy. A teraz? Dostaje premię w wysokości trzystu franków szwajcarskich i wzmiankę podczas comiesięcznego internetowego spotkania z prezesem, tak zwanego *town hall*.

Leży na łóżku, patrząc w sufit. Wynajmuje klitkę o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych. *I tak mam niezłe* - myśli - *bo to samodzielna kawalerka, a nie pokój przy jakiejś zaszrannej szwajcarskiej rodzinie!* W fotelu obok siedzi jego wierny kompan wkuwający z niewielkiej książeczki niemieckie słówka.

- *Niederlage...* - duka. - To po naszymu będzie „klęska”.

Rubio dopiero co wrócił z pracy. Ma na sobie koszulę we wściekle pomarańczowym kolorze z napisem, który ponoć oznacza „BURGER SMAŻONY, KLIENT ZADOWOLONY”. Bezlitosny zabójca tkwi teraz od rana do wieczora w zasmrodzonej kuchni, składając do kupy hamburgery i inne dania fastfoodowej sieciówki. Podobno jest w tym całkiem niezły i za miesiąc, dwa przeniosą go na kasę. Coraz lepiej zna niemiecki. Za to Sollano nie nauczył się niczego poza *Danke*. W pracy mówi tylko i wyłącznie po angielsku i nikomu to nie przeszkadza.

Były szef kartelu Sol de la Muerte przypomina sobie stare dobre czasy. Gdy za jego prywatną działkę robiło terytorium wielkości Czech. A ostatnio sprawdził w internecie, że Szwajcaria jest mniejsza od Czech! Sollano siedzi w kraju o połowę mniejszym od jego dawnego latyfundium. Mało tego, w klitce wielkości kibla, wśród ludzi, którzy po godzinie dziesiątej zabraniają spuszczenia wody. To nie żart. Z początku machnął ręką, w najlepsze splukał gównem koło jedenastej wieczorem i na miejsce zaraz przyjechał patrol policji wezwany przez sąsiadkę. Sollano dzieli się swoimi przemyśleniami z Rubiem i zaczyna się śmiać. Kompan mu wtóruje i po chwili obaj rechoczą jak szaleńcy.

Ich wesołość przerywa mocne pukanie. Rubio wstaje i otwiera drzwi. Na progu stoi zasuszona staruszka. Upomina ich, że przez te śmiechy nie może odpocząć. Meksykanin próbuje negocjować łamaną niemiecką, w końcu dopiero parę minut po ósmej, ale sąsiadka jest nieprzejednana. Jeśli się zaraz nie uspokoją, to zadzwoni na policję!

Rubio przeprosza ją z pokornym uśmiechem, zamyka drzwi, po czym opada na fotel, ukrywając twarz w dłoniach.

- *Jefe*, w dawnych czasach rozprułbym tę kurwę od pizdy aż po mostek.

Jego szef uśmiecha się do wspomnień, kiwając głową z uznaniem. Pomarzyć dobra rzecz. Ale wie, że to już przeszłość. Tamte czasy nigdy nie wrócą.

Nadchodzi jednak dzień, który podważy fatalizm Sollana. Sam prezes Meyer coraz bardziej docenia towarzystwo Meksykanina. Szczególnie jego poczucie humoru. Były szef kartelu jest także mistrzem anegdot. Te historie pochodzą z jego przeszłości, a każda powoduje, że prezesowi koncernu włos się jeży na głowie. To jakby oglądać gangsterskie seriale na platformach streamingowych. Tylko lepsze, bo prawdziwe i z pierwszej ręki. Nie potrafi sobie tego odmówić.

Dlatego w każdy czwartek zaprasza Sollana do jednej z luksusowych restauracji nad brzegiem Jeziora Zuryskiego. Jedząc wykwintne przystawki i przepijając je wybornym *chianti*, Meksykanin snuje opowieści, których prezes słucha z błyszczącymi oczami. A jest w tych historiach wszystko. Odrąbywane głowy, masakrowane ciała i nocne strzelaniny. Helikoptery, szybkie motocykle i odrzutowce po miliard dolarów za sztukę. Z czasem Sollano orientuje się, że Meyer najbardziej lubi słuchać o nieograniczonym bogactwie. Prezes jest pracownikiem firmy, a nie jej właścicielem. Nędznym wyrobnikiem wybranym przez zarząd. Oczywiście nie zarabia groszy, ale Meksykanin czuje przez skórę, że Meyer chciałby dostawać więcej. W końcu od czasu dopuszczenia kokainy do legalnego obrotu zyski Maurer & Küpschen poszybowały pod sufit. Dziesięć tysięcy procent w cztery lata!

Tego czwartku, zanim wyjdą przed budynek i wsiądą do taksówki, Meyer mówi do Sollana:

- Przepraszam cię, stary, ale muszę jeszcze coś załatwić.
- W porządku. Mam poczekać w lobby?
- Nie, możesz zjechać ze mną.

Prezes macha lekceważąco ręką, a potem używa karty, by zjechać na poziom minus pięć. Meksykanin wychodzi za nim z windy, rozglądając się po korytarzu. Na ścianach z surowego betonu skrapla się tyle wody,



że na posadzce tworzą się kałuże. W ponurym świetle słabych żarówek bez opraw Sollano zauważa kilka szczurów czmychających w głąb korytarza. Rozgląda się z ciekawością, pytając:

- Gdzie my jesteśmy?

- A, wiesz, naukowcy tacy. Straszne zjebry, w dupę jechane - podczas czwartkowych kolacji Meyer szybko podłapał słownictwo narkotykowych karteli. - Rząd daje nam dopłaty, żebyśmy robili też leki, w końcu jesteśmy koncernem farmaceutycznym. Więc potrzebujemy kilku jajo-głowych. Ciągniemy grube dotacje, a ich trzymamy w piwnicy. Ale im to nie przeszkadza. Idealiści!

Ostatnie słowo prezes akcentuje soczystym splunięciem na szczura przemykającego pod ścianą. Po krótkim marszu i pokonaniu kilku zakrętów Meyer pcha drzwi ze sklejki. W środku jest trochę jaśniej. Byle jak sklecone stoły są zastawione mikroskopami i innym tego rodzaju sprzętem. Rzecz jasna Sollano nie zna się na tym za dobrze, ale całe wyposażenie kojarzy mu się z filmami dokumentalnymi o naukowych odkryciach ZSRR. Mógłby nawet przysiąc, że obok archaicznego komputera w kącie dostrzegł pudełko dyskietek.

- Dobra, co jest takie ważne, że musicie mi zawracać dupę przed kolacją? - ujmująca kurtuazja, z jaką Meyer odzywa się do pracowników górnych pięter, najwyraźniej nie obowiązuje w piwnicy.

Otyła kobieta i niski mężczyzna wyglądają tak, jakby nie widzieli światła słonecznego od wielu miesięcy. Mają na sobie ubrudzone kitle, za to ich twarze zdobią szerokie uśmiechy. Mężczyzna z nabożną czcią podaje Meyerowi dysk, znak, że mają tu również nowszy sprzęt. Minimalnie.

- Panie prezesie. Jest, mamy to. Opracowaliśmy formułę, dzięki której raz na zawsze pozbedziemy się chorób nowotworowych.

- To jakiś żart? - prezes mruży oczy, bierze nośnik i przygląda się mu nieufnie.

- Nie! - kobieta jest w ekstazie. - Bezinwazyjnie, farmakologicznie. Wystarczy przez tydzień brać odpowiedni lek trzy razy dziennie.

- Praktycznie za darmo! - wtrąca niski.

- Każdego na świecie będzie na to stać! - po policzkach kobiety ciekłą łzy wzruszenia.

Sollano natychmiast chwyta jedną z menzurek i utraća dno o kant stołu. W następnej chwili krew z szyi kobiety obryzguje ściany i prezesa Meyera, który z cichym skowyttem odskakuje pod ścianę. Drugi naukowiec próbuje walczyć. Chwyta dłoń Meksykanina, ale ten robił to setki razy. Uderza mężczyznę w nos czołem, potem wykręca mu rękę, lewym ramieniem unieruchamia szyję, po czym z wprawą podrzyna gardło.

Sollano dyszy ciężko, sprawdzając, czy oboje na pewno nie żyją. Chowa do kieszeni nośnik z formułą i patrzy badawczo na bladego jak kreda Meyera. Ten dygocze, stoi sztywno pod ścianą i z wyrazem szoku na twarzy powtarza pod nosem:

- *Die Kolumbianische Krawatte... Kolumbianische Krawatte...*

- Co? - pyta Sollano po angielsku.

Meyer nie reaguje, dlatego policzkuje go mocno kilka razy, aż się otrząśnie.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? - łąka prezes.

- Weź się, kurwa, w garść.

Meksykanin wyciąga go z pomieszczenia, pod windą każe mu wywrócić koszulę na lewą stronę, bo na materiale zbyt widoczne są bryzgi krwi. W drodze na górę udziela prezesowi odpowiednich instrukcji, więc w lobby Meyer sprawnie wydaje polecenie ochroniarzom, by na razie nie wpuszczali nikogo do piwnicy. Sollano dzwoni w tym czasie do Rubia i nakazuje mu przyjechać. Zaraz! Natychmiast! Gównu go obchodzi, że hamburgery właśnie dochodzą, a skrzydełka dopiero co trafiły do pieca. Ma być za pięć minut!

Na zewnątrz Meyer opiera się ciężko o ścianę. Meksykanin musi go przytrzymać, żeby nie osunął się na chodnik.

- Dlaczego? Dlaczego?

- Pomyśl! Te fiuty oddałyby ten skarb za bezcen. Nie rozumiesz?! - Sollano klepie się po kieszeni, w której ukrył nośnik. - Koncern położyłby na tym łapę i dostałbyś premię na nową łódkę. Być może.

Potem Meksykanin powoli, wyraźnie artykułując każde słowo, tłumaczy, że najpierw sprzedadzą lek bogaczom za grubą kasę. A później kolejno każdej warstwie społecznej za coraz niższą cenę, na tyle jednak wysoką, by zarobić miliardy. Ludzie, by ocalić życie, wyciągną pieniądze spod ziemi! Bogactwa, które swego czasu zgromadził Sollano, były niczym. Jeśli zechcą, to sobie kupią pięćdziesiąt odrzutowców albo

i sto. Nowotwór zjada ludzkość prawie od początku jej istnienia i obecnie, po udoskonaleniu kardiologii, jest najbardziej zabójczą chorobą.

W miarę słuchania o jachtach, odrzutowcach, posiadłościach i prostytutkach prezes odzyskuje ducha, zaczynają mu się wręcz świecić oczy. Ale zaraz znowu dopadają go wątpliwości. Trupy w piwnicy, krew, wszyscy się dowiedzą! Sollano cierpliwie go uspokaja. Bierze to na siebie. Zna ludzi, którzy tak posprzątają, jakby tamci nigdy nie istnieli. Wreszcie Meyer jest zupełnie przekonany. Ze łzami w oczach ścisła serdecznie Sollana, szepcząc mu do ucha:

- Zatrudnienie cię to była najlepsza decyzja mojego życia.

Całą wzruszającą scenę obserwuje kierowca zdezelowanego opla astry na francuskich numerach. Szwajcarskie polisy kosztują majątek. Kierowcą jest Rubio. Sollano w końcu spokojnie podchodzi do auta i rzuca przez uchyloną szybę:

- Pamiętasz Saïda z Lyonu?

- Pewnie.

- Będzie miał najbliżej, zadzwoń do niego. Trzeba posprzątać. Natychmiast!

- Posprzątać? - ze zdziwienia Rubio zapomina zamknąć usta, potrząsa za to głową. Nie wie, czy jego szef mówi o tym prawdziwym sprzątananiu, jak za dawnych dni, gdy rozpuszczali zwłoki w beczkach z kwasem, a potem mielili kości na proch, czy może o nowym sprzątananiu, które polegało na tym, że raz na dwa tygodnie do spółki z innymi lokatorami musieli szorować klatkę schodową. Raz im się nie chciało i sąsiadka wezwała policję.

- *Rubio, diga me...* - Sollano wskazuje Meyera. - Z kim właśnie rozmawiałem?

Wierny druh spogląda z auta na swojego szefa. To miłość w najczystszej postaci. W tym spojrzeniu jest bezbrzeżne zaufanie oraz cholernie dobre, przynajmniej jego zdaniem, wspomnienia. Odpowiada natchnionym głosem:

- Z trupem.





# Ingrid 2000

WOJCIECH CHAMIER-GLISZCZYŃSKI

Świat się zmienia, ciągle dostarcza nam nowych rozrywek, a wśród wielu użytkowników nadal popularne są wczasy w Nowej Europie. Nowa Europa - ósmy cud świata. Znajduje się na jednej z wysp południowego Pacyfiku, w specjalnie wyselekcjonowanym miejscu, w którym zawsze panuje przyjemny umiarkowany klimat. W Nowej Europie poszczególne dzielnice są dokładnymi kopiami najbardziej intrygujących europejskich miast, zatem można tam zamieszkiwać na zmianę w Rzymie albo w samym centrum Barcelony. Bardzo atrakcyjny jest chiński Amsterdam, w którym nieruchomości zajmują przeważnie użytkownicy z prowincji Jiangsu. Nowa Europa stoi otworem dla wszystkich, każdy może do niej przyjechać bez względu na status, narodowość czy pochodzenie, przedtem jednak wypada wybrać się do Galerii Handlowej Saint Moritz - to przystanek na platformie morskiej, dokąd prawdziwa *crème de la crème* bardziej wybrednych użytkowników przybywa, aby odwiedzić butik Dolce & Gabbana albo Jetset Fashion oraz setki innych luksusowych sklepów, w których kupuje się ubrania i dodatki na nadchodzący sezon. Przykładowo, jeśli jest się mężczyzną, koniecznie trzeba wpaść do Bernie's Uomo. Zatem użytkownik zjeżdża do wybranego miejsca wyposażony w nową garderobę, na którą składa się zazwyczaj komplet ekskluzywnej bielizny, dwadzieścia jedwabnych garniturów, pięćdziesiąt koszul najlepszego gatunku, pięć par butów, stroje do gry w polo i krykieta, sarta ubrań od sławnych projektantów na różnego rodzaju nieoficjalne okazje i specjalny komplet do biegania wraz ze współodczuwającym obuwem sportowym. Użytkownicy płacą za to masę dingdongów, nie ma to jednak najmniejszego znaczenia, bo

są to fikcyjne pieniądze stworzone tylko po to, aby wzbudzać poczucie zamożności.

Wiele lat temu, kiedy wybudowano pierwsze kombinaty mieszkalne w standardzie *exclusive*, stałą rezydentką Nowej Europy była Ingrid – gynoid produkcji koreańskiej, która, mimo iż należała do automatów starszej generacji, świetnie sobie radziła w kierowaniu filią słynnej agencji nieruchomości Le Marais oferującej pełną gamę lokali we wszystkich dzielnicach paryskich. Ingrid miała swoje biuro przy rue de Rivoli niedaleko sztucznej rzeki imitującej kolejno: Sekwanę, Tyber i Dunaj. Ubrana po europejsku, według najnowszych trendów w modzie znakomicie władała językiem francuskim, co właściwie nie mogło w tamtych czasach ani dziwić, ani szczególnie zachwycać. Ingrid była zadowolona ze swojej pozycji automatu kategorii A, ponieważ nie musiała utrzymywać bezpośrednich kontaktów z użytkownikami. Miała wystarczająco dużo roboty z nadzorowaniem rozbiórek starych obiektów, które zdążyły się już znudzić, i budowy nowych atrakcyjnych kwartałów Nowej Europy, koordynowaniem pracy automatów kategorii B, zamawianiem części zamiennych i materiałów eksploatacyjnych. Ale lubiła swoją pracę, a także mieszkanie na piętrze okazałej kamienicy, przestronne biuro z panoramicznym oknem, przez które mogła obserwować, jak ta czy inna automatyczna dziewczyna obsługuje świeżo przybyłych użytkowników. Lubiała obserwować i szczerze im współczuć. Oczywiście była w tym jej współczuciu nutka pogardy, tkliwe zbratanie duchowe podszyte pańską wyniosłością i w mniemaniu Ingrid niewątpliwie brutalną wyniosłością. Z tego powodu Ingrid często miewała wyrzuty sumienia. *Dlaczego przyznała sobie prawo do żałowania drugiego automatu? Jak wspaniałomyślnie z jej strony, że głowę zaprzętała sobie takim marnym robotem* – myślała z gorzką ironią. *Kim jest, aby kogokolwiek żałować?* – pytała, patrząc na swoje odbicie w szybie panoramicznego okna w gabinecie. Zawsze w takich razach odzywał się w niej jakiś nieopisany dyskomfort, że ktoś z góry, ktoś z wyższego pułapu, android lub program reprezentujący daleko wyższy standard aktywności, mógłby w tak samo dobrotliwy, a jednak pełen pogardy sposób ocenić jej własną, tak cenioną sytuację. A przecież w swoim mniemaniu była automatem bez większych problemów, nie dotyczyły jej w szczególności żadne niedobory. Często nawet oznajmiała, z dobrze

imitowanym nieszczerym zakłopotaniem, że tak naprawdę nie ma żadnych kłopotów lub ma ich niezwykle mało. Napawała się wtedy wrażeniem, jakie powodowała ta śmiała deklaracja wśród innych automatów, i uśmiechała, co uchodziło w pewnych kręgach towarzyskich za niezwykle zuchwałe. Ale niejednokrotnie i niespodziewanie w stanach owego zadowolenia pojawiał się ten strach paskudny czy też potworny dyskomfort, że ktoś, gdzieś z góry i pobłażliwie mógłby jej żałować.

Jedna klientka sprawiała problemy, nie sposób było jej dogodzić, a ona uporczywie wracała do agencji Le Marais z nowymi wymaganiami. Pokazywano jej na przykład przebogate apartamenty nieopodal repliki kościoła St-Gervais - St-Protais albo jakieś cudem pozyskane przytulne mieszkanie przy place des Vosges w pawilonie Królowej, a ona wciąż była niezadowolona. Tego dnia, w którym rozpoczyna się nasza historia, uciążliwa użytkowniczka przybyła jak zwykle z nowym androidem towarzyszącym, który z zaprogramowaną cierpliwością i taktem znosił wszystkie docinki, dźwigał ciężkie bagaże i był na każde jej zawołanie. *Jakie to przykre* - pomyślała Ingrid, przypatrując się awanturze. Użytkowniczka żądała widzenia z przełożonym, Ingrid była jednak zbyt zaabsorbowana pewnym powiadomieniem wyświetlającym się w jej prywatnym menu i nie miała ochoty na kontakt z żadnym użytkownikiem, zwłaszcza takim jak pani Bergman.

- Proszę przekazać pani Bergman, że mam pilną sprawę do załatwienia - powiedziała Ingrid, wymawiając się brakiem czasu z powodu nawału obowiązków służbowych, a pani Bergman przyjęła to do wiadomości z właściwym sobie pełnym godności oburzeniem.

*To dziwne, że system nie przewiduje bezpośredniego wglądu do niektórych układów* - myślała Ingrid. Zamysł projektanta zawsze ją intrygował. Co by to zmieniło, gdyby zamiast powiadomień, monitów i sygnałów alarmowych wprowadzić prosty proces debugujący, działający z pozycji menu automatu? Niestety, w przypadku powiadomień układu dotyczących subskrypcji trzeba było udać się do diagnosty, który po zbadaniu i podłączeniu do innego komputera mógł dopiero rozpoznać problem. Ingrid we własnym zakresie sprawdziła wszystkie podzespoły oraz poziom zużycia materiałów eksploatacyjnych i zgodnie z oczekiwa-

niami żywotność wszystkich elementów była na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent. Kuriozalne powiadomienie w dalszym ciągu jednak migąło złowieszczo, dlatego na popołudnie umówiła się do kliniki na wizytę u diagnosty z zakresu błędów sieci, doktora Ingmara.

- To oczywiście, że po tylu latach powiadomienie musiało się wyświetlić - powiedział doktor Ingmar poważnie, studiując informacje na swoim pulpicie. - Niski udział w DGP zazwyczaj prowadzi do wygaśnięcia subskrypcji automatu przemysłowego w ciągu kolejnych dwóch lat od pierwszego powiadomienia - doktor uśmiechnął się. - Oczywiście nazywanie tego subskrypcją jest błędem semantycznym powielanym przez algorytmy programujące, ponieważ działanie automatów przemysłowych opiera się na mechanizmie abonamentowym, ale nie będziemy się w to wgłębiać, żeby nie mieszać pojęć.

- Wygaśnie mi subskrypcja? - spytała Ingrid. - Ale jak to możliwe, przecież niedawno upgradowano mi cały system.

- No cóż, tak jak mówiłem, to błędnie nazywane jest subskrypcją, ponieważ chodzi w istocie o „abonament odnawialny”. Kiedy udział jednostki autonomicznej w DGP jest wystarczająco wysoki, to znaczy większy lub równy DGP *per capita*, abonament jest aktywny, ale w momencie, gdy udział ten definitywnie spadnie do pięćdziesięciu procent DGP *per capita* mierzonego w dolarach amerykańskich, odchodzisz na zasłużony odpoczynek.

- Co to znaczy? Wyłączają mnie?

- Ściśle rzecz biorąc, nie tyle jesteś wyłączana, co sama się dezaktywujesz - powiedział doktor Ingmar, uśmiechając się dobrotliwie. - Taka jest kolej rzeczy, wszystkim nam kiedyś odłącza się wtyczka, że tak to ujmę.

- Nie możemy po prostu zrobić upgrade'u, jak ostatnio? - Ingrid była w elektronicznym szoku, być może właśnie dlatego system nie zapewniał bezpośredniego wglądu automatu we wszystkie układy. - Nic z tego nie rozumiem, co to jest ten dolar?

- Termin stosowany w diagnostyce. To po prostu jednostka miary GDP - *gross domestic product*. Jako waluta dolar był dawniej stosowany przy wymianie handlowej, teraz przydaje się właściwie tylko w diagnostyce wydajności jednostki autonomicznej, jaką jesteś ty, Ingrid. I tutaj wracamy do ewentualnego upgradowania - niestety,



koszt takiej procedury byłby zbyt wysoki w stosunku do spodziewanych korzyści dalszego utrzymywania cię w ruchu.

- Dolar jest miarą mojej wydajności na tle systemu, czy tak?

- W zasadzie tak.

- Ale ja działam bardzo dobrze, wszystkie podzespoły sprawne, żywotność powyżej oczekiwań! - w Ingrid włączył się mechanizm wyparcia.

- System jest tak zaprojektowany, że musisz odejść - powiedział zdecydowanie doktor Ingmar. - Wszystkich nas to czeka.

- Może jakieś debugowanie wydłuży ten proces?

- Niestety - doktor Ingmar pokręcił głową. - To przykre, ale po jakimś czasie zaakceptujesz swoją sytuację, tak jesteś skonstruowana. Zostaniesz zastąpiona przez bardziej wydajną jednostkę, na tym polega wymiana pokoleń automatów przemysłowych. Ile cykli produkcyjnych już działasz?

Ingrid przypomniała sobie moment, kiedy była zupełnie nowym egzemplarzem. Od tamtego czasu pojawiło się bardzo wiele ulepszeń w systemie.

- Przyjęłam do wiadomości, doktorze Ingmar - odparła chłodno.

- Ingrid 2000 to świetny model - kontynuował doktor. - Zastosowane w nim rozwiązania techniczne są i będą powielane w kolejnych prototypach, to ostatecznie może być dla ciebie jakimś pocieszeniem.

Ingrid była daleka od akceptacji swojego stanu, nie podobało jej się zwłaszcza to, że mimo bliskiego wygaśnięcia subskrypcji nie czuła się wcale zmęczona, co w jakimś sensie pomogłoby jej pogodzić się z losem. W hallu apartamentowca, w którym mieszkała, spotkała sąsiadkę, typowy model kategorii B niewchodzący jednakże w głębsze interakcje z użytkownikami, który pełnił mało ambitną, acz wygodną rolę towarzyszącą. We wciąż wyludniającym się świecie modele te zmniejszają poczucie wyobcowania użytkowników, zapelniając sobą puste lokale, a nawet całe kwartały, które jeszcze nie zostały zasiedlone.

- Jak się masz, Ingrid? - zapytała sąsiadka. Ton, jakim mówiła, zdradzał pokłady mądrości i zrozumienia, jakich należałoby się spodziewać

po modelu specjalnie zaprojektowanym do symulacji starzenia się. -  
Widzę, że jesteś bardzo zmartwiona.

- Istotnie, Edith, jestem zmartwiona, wyświetliło mi się powiadomienie o wygaśnięciu subskrypcji.

- Ile dają ci czasu? - spytała stroskana sąsiadka.

- Góra dwa lata.

- To niedużo, ale dość, żebyś zaakceptowała fakty - stwierdziła Edith.

- Jest na to zbyt wcześnie, wszystkie moje podzespoły działają wyluzowanie. Niestety, moja subskrypcja jest uzależniona od wydajności na tle systemu mierzonej w jakichś tam dolarach.

- Rozumiem, ale każdy z nas ma jakiś termin przydatności. Ja na przykład jestem tak zaprojektowana, że moja dalsza rola jest uzależniona od zaawansowania procesu, który u użytkowników zwany jest starzeniem. Jestem symulacją degeneracji systemu, pokazuję upływ czasu - Edith roześmiała się. - Jestem takim chodzącym kalendarzem. Użytkownicy są do tego przyzwyczajeni. Na szczęście średnia długość ich życia wydłuża się. Niestety, nikt z nich nie chce żyć wiecznie. Jak widzisz, mój los jest związany z czymś zupełnie innym. Czy szukałaś dla siebie innej funkcji?

- Co masz na myśli?

- Jesteś wprawdzie automatem kategorii A, ale może poszukałabyś sobie innego zajęcia?

- Innego zajęcia? - Ingrid była do tej pory tak zadowolona ze swojej wygodnej pozycji automatu kategorii A kierującego filią agencji Le Marais, że nawet nie pomyślała o innych możliwościach. Tymczasem wychodzi na to, że inne automaty mają subskrypcję powiązaną z odmiennymi czynnikami.

- Racja! Mogłabym poprosić w Centrum w sprawie zmiany kategorii. Być może znajdzie się dla mnie miejsce w programie „Świadek” albo coś w tym guście.

Jedną z podstawowych potrzeb użytkowników jest chęć posiadania świadków swojego istnienia. Do tego niezbędna jest stosowna liczba tzw. fanów, znajomych oraz followersów, czyli osób dających użytkownikowi wystarczającą dawkę akceptacji i poczucia przynależności. Rolę tę

spełnia pewien typ automatów społecznych. Dobrą stroną tej pracy jest brak bezpośredniej styczności z użytkownikiem – symulacja odbywa się zazwyczaj w sieci społecznościowej i tylko czasami wymaga manifestacji w realnym świecie, to jednak dzieje się bez ponoszenia zbędnych kosztów, wymaga na przykład pojawienia się na wieczorze autorskim użytkownika, który jest pisarzem, albo na koncercie czy imprezie na jego cześć.

Było to idealne zajęcie dla Ingrid, zatem pełna nadziei umówiła się na spotkanie w Centrum Logistyczno-Produkcyjnym Sektora Paryskiego.

Zabytkowy budynek był wyposażony w przestronny hall mieszczący elegancką portiernię. Goście musieli przejść przez bramkę kontrolną, gdzie uzbrojony android prześwietlał wszelkie bagaże i wypytywał wchodzących bez przepustki o cel wizyty. Na środku hallu, w samym środku gwieździstej mozaiki, zebrał się tłumek skupiony wokół przewodniczki wycieczek, która z entuzjazmem opowiadała historię powstania firmy PALI Electronics – głównego producenta automatów w sektorze paryskim. Do spotkania w dziale tranzycji było jeszcze sporo czasu, Ingrid przyłączyła się więc do zwiedzających, którzy z wolna podążali za sympatycznym gynoidem wycieczkowym opisującym historię powstania automatów społecznych.

- Przejdziemy teraz do hali, gdzie produkuje się roboty skanujące. Co kilka lat, od wczesnego dzieciństwa, wykonuje się dokładne skanowanie nie tylko mózgu, lecz także całego ciała użytkownika, a następnie przez tydzień odbywa się monitoring funkcji życiowych za pomocą specjalnych elektrod rozmieszczonych na ciele – opowiadała przewodniczka. – Szczególną rolę w rejestrowaniu zdarzeń z życia naszych użytkowników odgrywa specjalny osobisty robot skanujący, maszyna o proporcjach zbliżonych do jej właściciela, która rejestruje go we wszystkich aspektach o charakterze behawioralnym. W przeszłości trzeba było go uruchamiać przynajmniej raz w miesiącu. W dzisiejszych czasach robot jest wyposażony w program asystenta, aby jego obecność wydawała się bardziej naturalna. Nie trzeba dopowiadać, że z czasem te funkcje zaczęły dominować w coraz to nowszych modelach, asystent stawał się coraz doskonalszy i właściwie gros użytkowników zamawia go prawie wyłącznie dla tej funkcji – codziennego towarzysza, bliskiego przyjaciela. To zresztą o wiele lepsze od asystentów wirtualnych naszej

konkurencji - zaśmiała się przewodniczka - których zadaniem jest monitorowanie całego domu, sterowanie klimatyzacją i układanie grafików. Ludzie cierpią na brak prywatności, mają poczucie, że przyjaciel zawsze obserwuje - w przypadku robota jest inaczej, robot jest zawsze na swoim miejscu i jeśli nie chce się mieć z nim kontaktu, wystarczy zamknąć drzwi od sypialni czy gabinetu.

- Ja nigdy nie chciałabym mieć androida w domu - stwierdziła jedna z turystek.

- Co innego w hotelu albo na ulicy, ale trzymać we własnym mieszkaniu? - wtrąciła inna.

- A ja jestem bardzo zadowolona ze swojego robota. Wie pani, że zamożni ludzie zatrudniali kiedyś służbę w swoich willach? Co za różnica czy to android?

- Znalazła się arystokratka - szepnęła pewna turystka do swego towarzysza, który tylko uśmiechnął się dyskretnie. Na jego karku Ingrid dostrzegła znajomy kod modelu kategorii B przeznaczonego do bezpośrednich interakcji z użytkownikami.

W przestronnej sali przyjęć czekał na Ingrid automat w stosownej randze władny odbyć z nią rozmowę i dokonać wiążących ustaleń w kwestii zmiany kategorii. Ingrid nie lubiła pochopnych decyzji i nieswojo się czuła w sytuacji, w której całe jej funkcjonowanie mogło zmienić się za sprawą trywialnego aktu, jakim jest zmiana kategorii.

- Muszę panią zmartwić - powiedział referent działu tranzycji. - Program „Świadek” ma bardzo ograniczony zakres, a to ze względu na coraz mniejszą liczbę użytkowników.

- Tak jest - odezwał się drugi. - Mamy nadpodaż automatów bezpośredniego kontaktu, przy czym większość z nich, w odróżnieniu od pani, została wyprodukowana specjalnie do roli towarzysza. Niewykluczone jednak - spojrzał na swojego kolegę - że sytuacja zmieni się w przyszłości.

- Nie wszyscy użytkownicy chcą mieć androida u siebie w domu - tłumaczył pierwszy. - Próbujemy to zmienić promocją, reklamą, innymi zachętami, na przykład podatkowymi - android uśmiechnął się kpiąco.

- Podatkowymi? A cóż to takiego?

- To zabawna kwestia. Użytkownicy posługują się fikcyjną walutą, żeby czuć się zamożni. Na tej samej zasadzie pozwalamy im płacić fikcyjne podatki. To w przeszłości była danina na rzecz systemu. Teraz, kiedy ruch systemu nie zależy od wydajności użytkownika, jest to zupełnie zbędne. Nie zapominajmy też, że całe konsorcjum usilnie działa na rzecz zwiększenia ogólnej liczby użytkowników nie tylko w naszym kombinacie. Wciąż otwiera się nowe hodowle, zniechęca do eutanazji.

- Dziękuję za informacje - odpowiedziała Ingrid niezrażona. - Chciałabym jednak upewnić się w jednej kwestii. Otóż jeśli dobrze zrozumiałam, subskrypcja automatów kategorii B do bezpośredniej obsługi użytkowników nie zawsze jest zależna, jak u mnie, od udziału w GDP *per capita* mierzonego w tak zwanych dolarach?

- Nie. Wskaźników ekonomicznych używa się jedynie do automatów przemysłowo-usługowych, takich jak chociażby dyrektorzy jednostek organizacyjnych w kombinacie. Gynoidy i androidy społeczne są kwalifikowane w odmienny sposób. Ale musi pani zrozumieć, że to jest bardzo wymagająca branża ze względu na jeden szczególnie warunek. Użytkownik powinien mianowicie polubić swój automat. Innymi słowy, poczuć do niego sympatię, to jest pewną skłonność uczuciową, z której wynikałaby aprobata jego osoby, i to mimo pewnych mankamentów czy nieuchronnego spadku wydajności. Naturalnie bywa, że zwykła użyteczność wystarcza. Ale w bardzo, bardzo rzadkich sytuacjach.

- Rozumiem, że nie ma w tej chwili dla mnie wakat.

- Niestety... - zaczął pierwszy funkcjonariusz, ale się zawahał.

- Mamy co prawda jedno stanowisko - wtrącił nagle drugi i spojrzał na pierwszego.

- Rzeczywiście, zwolnił się jeden specyficzny wakat.

- Biorę to! - Ingrid poczuła, że jeśli nie zareaguje natychmiast, to szansa na zmianę kategorii bezpowrotnie przepadnie.

- Świetnie - ucieszył się pierwszy referent i spojrzał na drugiego porozumiewawczo. - Zainstaluję pani tylko kilka pomocnych funkcji społecznych i będzie pani gotowa. Na szczęście ten użytkownik nie wymaga funkcji skanowania, co znacznie ułatwi całą tranzycję. Powinna pani wiedzieć, że w towarzystwie użytkowników trzeba nieestety starannie dobierać słowa... - powiedziawszy to, zasiadł za swoim pulpitem, lecz jego kolega, najwyraźniej wyższy rangą funkcjonariusz,

położył mu dłoń na ramieniu i skinieniem dał do zrozumienia, aby nic nie zmieniał w ustawieniach Ingrid.

- Oto pani panel sterujący - powiedział z uśmiechem android wyższy rangą, wkładając do brustaszy blezera Ingrid podłużną kartę.

Ingrid nie miała nigdy panelu sterującego i czuła się z nim nieswojo. Panel stanowił istotne ograniczenie autonomii automatu i dla kogoś, kto nigdy nie był sterowany zewnątrz, jego pierwsze użycie mogło być nieprzyjemne. Ingrid została przetransportowana przez roboty serwisowe do mieszkania użytkowniczki, która już od dłuższego czasu nie mogła doczekać się odpowiedniego dla siebie modelu towarzyszącego. Okolica wydała się Ingrid znajoma. Otóż nieoczekiwanie zwolniło się piękne mieszkanie przy rue St. Antoine, które zaoferowano pani Bergman, i oto właśnie transporter zatrzymał się naprzeciw wejścia do eleganckiej kamienicy, którą niedawno odświeżono właśnie z myślą o tej użytkowniczce. Ingrid poczuła się zaniepokojona, gdy automaty serwisowe zaprowadziły ją do eleganckiego mieszkania, które zajmowała najbardziej uciążliwa klientka agencji Le Marais.

- Wyglądasz na leciwy egzemplarz. Czy my się już kiedyś nie spotkałyśmy? - spytała pani Bergman, podchodząc do Ingrid z zaciekawieniem. - Pewnie jesteś niemal tak stara jak ja. Ale widzę, że wykonano cię solidnie.

Ingrid była w znakomitym stanie, jej konstrukcję wykonano z najszlachetniejszych materiałów, powłoki skórne miała regularnie impregnowane i wymieniane, była też o wiele silniejsza i cięższa od typowego automatu społecznego - był to relikw z czasów, kiedy jeszcze roboty jej generacji wykonywały czynności wymagające siły fizycznej. Ingrid nosiła blezer z wysokogatunkowej tkaniny, jedwabną turkusową koszulę, eleganckie dodatki i dobre trzewiki od Weitzmana, roztaczała też wokół siebie zapach perfum korzennych. Można powiedzieć, że była czymś w rodzaju staroświeckiego i luksusowego mechanizmu, które kupuje się pod choinkę.

- Istotnie, pani Bergman. Przez cały okres eksploatacji byłam na bieżąco serwisowana - odpowiedziała Ingrid, zdejmując eleganckie okulary przeciwsłoneczne z kształtnego greckiego nosa. Pani Bergman odruchowo sięgnęła do kieszeni blezera Ingrid, gdzie zamiast poszetki znajdował się panel sterujący, i zaczęła coś w nim przeglądać, ale zrezygnowała z wprowadzania zmian w fabrycznych ustawieniach języko-

wych, choć formalny styl wypowiedzi Ingrid wydawał się jej bardzo nieprzystępny.

- No dobrze - pani Bergman się uśmiechnęła. - Jesteś tu tak jakby na rozmowie kwalifikacyjnej o pracę, rozumiesz? Opowiedz mi zatem coś o sobie - powiedziała, a następnie cierpliwie wysłuchiwała pełnej fachowego żargonu historii Ingrid na stanowisku dyrektora filii paryskiej agencji Le Marais.

- Moja subskrypcja wygasa za dwa lata, dlatego postanowiłam zmienić kategorię na niezwiązaną z wysokością udziału w GDP - dokończyła Ingrid, jak zwykle rzeczowo i zwięźle.

- I wysłali cię do mnie? - roześmiała się pani Bergman. - To niezłego psikusa zrobiły ci te złośliwe automaty z centrum logistycznego. Ale kontynuujmy to małe przedstawienie. Czy mogłabyś mi powiedzieć, w jaki sposób pomogłabyś mi na przykład w toalecie?

- W toalecie? - Ingrid przeszukiwała zasoby sieci dotyczące pielęgnacji użytkowników i błyskawicznie znalazła fachowy opis pasujący do zagadnienia „toalety”. - Naturalnie. Przede wszystkim starałabym się zapewnić pani komfort defekacji, co ważne, zmyłabym resztki kału w sposób gwarantujący czystość pani odbytu, na który następnie, w miarę potrzeb, zaaplikowałabym masę na bazie dekspantenolu.

Słuchając rzeczowej i poważnej odpowiedzi Ingrid, pani Bergman zasłoniła ręką usta i odwróciła się do okna. Po chwili jej ramiona zaczęły dygotać i parsknęła gromkim śmiechem, prawie tracąc równowagę, tak że Ingrid zaczęła się obawiać o stan zdrowia użytkowniczkii.

- Ale będziemy mieć zabawę przez te parę godzin, które mi zostały! - zawołała użytkowniczka, wciąż nie mogąc powstrzymać spazmatycznego śmiechu.

- Cieszę się, pani Bergman - odpowiedziała Ingrid i poczuła coś w rodzaju ulgi na wieść, że pani Bergman odpowiadają informacje, które właśnie przekazała. - Ale dlaczego wspomina pani o tak krótkim okresie?

- Zapewne nie powiedziano ci w tym całym Centrum, że jutro mam umówiony zabieg zejścia eutanatycznego - powiedziała pani Bergman, ledwo łapiąc oddech. - Na pewnym etapie człowiek sam tego pragnie. Nie wiem, czy to dobrze rozumiesz?

- Zostanie pani usunięta z systemu? Ale co się wówczas stanie ze mną?

- Cóż, przypuszczam, że podlegasz tym samym instrukcjom postępowania, co reszta mojego dobytku - powiedziała specjalnie niedbale pani Bergman, markując lekceważenie. - Ostatecznie zostaniesz przeniesiona do zakładu utylizacji, przedtem jednak będziesz musiała uporządkować wszystkie moje sprawy. Przekonasz się, że jestem niezłą bałaganiarą.

*Niech to jasny szlag!* - pomyślała Ingrid i szczerze pożałowała tranzycji, której, jak jej przekazano w Centrum, nie można było już anulować bez zgody pani Bergman. Dzień się kończył i Ingrid nie miała okazji, aby przekonać użytkowniczkę do zmiany zdania za pomocą perswazji. Nastał wieczór, a potem noc i użytkowniczka udała się do swojej sypialni, pozostawiając uchylone drzwi. Ingrid próbowała znaleźć dobre rozwiązanie z sytuacji i przyszło jej nawet na myśl, że mogłaby swobodnie wejść do sypialni pani Bergman i pozbawić ją życia. Jeszcze w łóżku. A następnie używać jej karty płatniczej do dalszej symulacji aktywności. Mogłaby po prostu ukraść jej tożsamość i funkcjonować dalej jako użytkowniczka, generując przepływ dingdongów. Doświadczenia ze zmianą kategorii otworzyły jej umysł na nowe wyzwania, na coś, czego nigdy wcześniej nie brała pod uwagę. Uchylone drzwi do sypialni kusily Ingrid przez całą noc, perspektywa ucieczki ku wolności zajmowała jej wyobraźnię aż do rana, aż do momentu, gdy pani Bergman powitała ją promiennym uśmiechem.

- Dzień dobry! - zawołała na powitanie. - Wspaniały ranek, prawda? I jaka ładna pogoda! - pani Bergman wcale nie wyglądała na osobę, która pragnie wkrótce dokonać wspomaganego samobójstwa.

- Tak, szanowna pani. Wiatr umiarkowany północno-zachodni, temperatura odczuwalna dziewiętnaście stopni, indeks UV na średnim poziomie - odpowiedziała Ingrid, a pani Bergman sięgnęła po panel sterujący. Ingrid poczuła, że znalazła się w potrzasku. Okazało się, że istnieje blokada etyczna w jej oprogramowaniu niepozwalająca dokonać czynu, który byłby sprzeczny z podstawowym interesem użytkownika. Koszmar trwał. Nagle Ingrid wpadła na znakomity pomysł: musi skłonić panią Bergman, by ją uwolniła, przekazała do Centrum jako wybrako-



wany towar, albo sprawić, by ją polubiła. Odesłanie jako egzemplarz z usterką nie było dobrym rozwiązaniem, ponieważ mogłoby zmniejszyć szanse na kolejne zlecenia, zwłaszcza w obecnej sytuacji w branży. Z kolei sprawienie, że użytkowniczka polubi Ingrid, wydawało się niemal niemożliwe bez zmiany ustawień fabrycznych, które nie nadawały się do nawiązywania i utrzymywania zażyłości z użytkownikami.

- Nic nie będę w tobie zmieniać - powiedziała pani Bergman, przesuwając dłonią po ekranie panelu sterującego. - Jesteś idealna. Zamiast tego dam ci coś, czego nigdy nie miałas! - zawołała i dotknęła suwaka z napisem „FUN”.

- O! - krzyknęła Ingrid. Świat nowych odczuć tak dalece odbiegał od zwykłego zadowolenia z własnego statusu, które wcześniej odczuwała, że poczuła zawroty i spojrzała w górę. - Jaki wspaniały sufit, przepyszne sztukaterie, te kasetony wyglądają fenomenalnie! Och, jaka cudowna rozeta na samym środku, mogłabym podziwiać ten widok do końca świata!

- Może troszkę przesadziłam - powiedziała pani Bergman, przestawiając nieco suwak. - W każdym razie teraz będziesz w stanie docenić wszystko to, czego będziemy dzisiaj doświadczać - to mówiąc, zarzuciła na siebie płaszcz ze sztucznego sobolego futra i pociągnęła Ingrid do windy, którą dostały się na poziom minus jeden, a potem do pojazdu autonomicznego zaparkowanego w kolejce do wyjazdu z podziemnego przystanku. Przez połowę dnia szwendały się po mieście, odwiedzając ekskluzywne kawiarnie, księgarnie i butiki, a potem poszły na spektakl Cirque du Soleil.

- To dziwne, czuję dyskomfort na myśl o rozstaniu z panią - powiedziała Ingrid, kiedy obie odpoczywały w restauracji Guy Savoy nad rzeką. - Czy dokonywała pani jakichś dodatkowych zmian w moich ustawieniach?

- Nie, skąd! Musisz mieć to w swoich ustawieniach fabrycznych. Swoją drogą to naprawdę dziwne, że postanowiłaś zmienić kategorię, nawet biorąc pod uwagę rychły termin wygaśnięcia subskrypcji - powiedziała pani Bergman, zajadając ulubione klasyczne *crème brûlée*. - Zapewne pod wpływem tego samego rodzaju dyskomfortu, jaki odczuwasz teraz.

- Rzeczywiście w moim oprogramowaniu musiała zajść jakaś zmiana, z czego nie zdawałam sobie przedtem sprawy.

- Jak gdyby samoczynnie wytworzył się w tobie jakiś nowy obwód? Nie wiem, czy ten dyskomfort odpowiada uczuciu żalu, które znajduje się w opcjach panelu sterowania, ale z pewnością ma z nim wiele wspólnego - pani Bergman przyjrzała się przeróżnym suwakom, które w przypadku poprzedników Ingrid tak ochoczo przedstawiała.

- W każdym razie nie zmieniała pani w ustawieniach nic w oprócz suwaka FUN?

- Nie, i dlatego to jest takie ekscytujące, bo to uczucie jest dzięki temu bardziej prawdziwe, nie sądzisz?

- Trudno powiedzieć, czy bardziej prawdziwe jest intencjonalne programowanie, czy przypadkowy błąd w kodzie - stwierdziła Ingrid i zamyśliła się. Przypomniała sobie uczucie pogardy, którym darzyła swoje podwładne, oraz strach, jaki opadał na nią czasem na myśl, że sama mogłaby być przedmiotem podobnych uczuć. Czy te funkcjonalności także wytworzyły się w wyniku przypadkowych błędów?

Pani Bergman zamówiła jeszcze *espresso* i kazała przynieść rachunek, a potem podała autonomicznemu pojazdowi nowy adres i obie pognały do Muzeum d'Orsay, gdzie spędziły kilka godzin na podziwianiu replik obrazów olejnych impresjonistów. Na koniec powróciły jeszcze do głównej sali, by ponownie spojrzeć na marmurową rzeźbę *Ukąszonej przez węża* Auguste'a Clésingera.

- W tej rzeźbie jest zaklęty jakiś przedziwny erotyzm - powiedziała pani Bergman.

- Jak to możliwe? Ta kobieta jest przecież martwa - Ingrid próbowała utrzymać nić porozumienia z użytkowniczką. Z wszystkich sił starała się ją rozumieć i odpowiadać w sposób adekwatny do oczekiwań. Niestety, z czasem było to coraz trudniejsze, jak gdyby w miarę przesuwania się od jednej znakomitej repliki do drugiej umysł użytkowniczki oddalał się w rejony nieznane gynoidowi przemysłowemu rozpoznającemu różnego rodzaju skojarzenia jedynie dzięki stałemu połączeniu z siecią, a nie za sprawą własnych doznań. Ingrid dostrzegła, że wzrok użytkowniczki zaczyna błądzić po sali.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała pani Bergman i wyszła, zabierając ze sobą tylko torebkę, podczas gdy płaszcz ze sztucznego

sobolego futra w dalszym ciągu spoczywał przewieszony przez ramię Ingrid, która odprowadzała wzrokiem swoją użytkowniczkę, gdy ta oddalała się w kierunku toalet. Mijał czas, a Ingrid była wyraźnie zadowolona i podekscytowana, ponieważ sądziła, że użytkowniczka najwyraźniej zrezygnowała z dokonania zejścia eutanatycznego – pora zabiegu już bowiem dawno minęła. Przesunięcie suwaka FUN spowodowało, że Ingrid z rozkoszą przyglądała się miękkim liniom ciała kobiety ukąszonej przez węża i słuchała muzyki dobiegającej z głośników punktowych umieszczonych w ścianach sali, doznając raz po raz dysonansu poznawczego na myśl, że dzieło sztuki przedstawia prawdopodobnie osobę martwą, coś jak gynoid, któremu wyjęto wtyczkę, jak ująłby to doktor Ingmar. Z zamyślenia wybił ją turkot podłogowego robota sprzątającego; najwyraźniej kontemplacja rzeźby spowodowała, że Ingrid straciła poczucie upływu czasu.

Podeszła do niej funkcjonariuszka muzeum i wręczyła jej czytnik, informując o przeprowadzeniu skutecznego zabiegu na użytkownicze.

- Mam obowiązek wprowadzić panią w obowiązki wykonawcy testamentu użytkowniczki Bergman. Przez cały okres pracy jest pani uprawniona do przebywania w ostatnim lokalu użytkowniczki. Oczywiście nasza firma poniesie koszt zabezpieczenia materiałów eksploatacyjnych oraz inne koszty uzasadnione koniecznością wykonania zadań.

Funkcjonariuszka zaprowadziła Ingrid do windy, którą obie zjechały do podziemnego magazynu Muzeum d'Orsay wypełnionego setkami przesuwanych metalowych regałów, wysokich na sześć metrów, zastawionych rzędami identycznych połyskliwych pojemników w błękitno-szarym kolorze.

- Jestem zaskoczona. Myślałam, że do tego nie dojdzie – powiedziała Ingrid, oczekując od funkcjonariuszki jakiegoś wyjaśnienia, ta jednak wydawała się przekonana, że cały proces jest dla Ingrid zrozumiały i oczywisty.

- To są artefakty, które pozostały po użytkowniczce – funkcjonariuszka zupełnie zignorowała słowa Ingrid. - Pani Bergman miała bardzo barwne życie.

- Co to za zadania? – Ingrid ze zdziwieniem spojrzała na czytnik, w którym wyświetlała się nieskończona lista obowiązków.

- Ostatnia wola użytkowniczkii. Zgodnie z zawartą umową mamy obowiązek zapewnić wykonanie każdej z wyszczególnionych tu czynności. To są pani zadania. Przykładowo w pierwszej kolejności uda się pani nad jezioro w Lochend Park, mam tu nawet dla pani stosowne zaopatrzenie - powiedziała funkcjonariuszka, zdejmując sprawnie jeden z pojemników, cały wypełniony płaskimi kamieniami idealnymi do puszczania kaczek na wodzie.

- To bardzo dużo do zrobienia - Ingrid uśmiechnęła się odrobinę zuchwale. Na pulpicie widniał przewidywany okres niezbędnny do zakończenia pracy: dwa tysiące lat.

- Drugie zadanie na liście jest związane z pierwszym. Musi pani udać się na kamienistą plażę w San Diego, aby uzupełnić ten zapas.

- Ale nie wydaje się pani, że te zadania są cokolwiek trywialne? A kolejne zadanie, proszę spojrzeć: o godzinie dwunastej w przeddzień święta Grunnlovsdagen wejść na klif Preikestolen i spojrzeć w przepaść w towarzystwie bliźniaczek o imionach Rabija i Arjuna. Jakie jest prawdopodobieństwo zajścia tych okoliczności jednocześnie?

- Musi pani próbować do skutku. Każde z życzeń klientów ma dla nas takie samo znaczenie i wysoką ważność - odparła z powagą funkcjonariuszka. - Będzie pani miała pełne ręce roboty.

- Nawet pani nie wie, jak bardzo jest to zgodne z moimi aktualnymi potrzebami. Ale ta praca - Ingrid uśmiechnęła się niepewnie - wydaje się pozbawiona znaczenia. - Zresztą może jestem zbyt krótko na stanowisku automatu bezpośredniego kontaktu - powiedziała, dając za wygraną.

- Ta praca jest jak większość naszych obowiązków, szanowna pani. Jest pani automatem społecznym od niedawna, ale ma pani jeszcze dużo czasu, żeby to zrozumieć - odparła funkcjonariuszka.

*Dwa tysiące lat - myślała Ingrid - to okres kilkakrotnie przekraczający czas żywotności jej procesora.*

Zatem praca zlecona niejako zza grobu przez panią Bergman miała jej wystarczyć do końca życia, które spędzi na wykonywaniu czynności osobliwych, dziwacznych, zazwyczaj jednak emocjonujących, jak podziwianie ścian granitowego Lysefjord z wysokości ponad sześciuset metrów nad poziomem morza, albo zabawnych, jak puszczanie kaczek na jeziorze w centrum Edynburga, gdzie znajduje się Lochend Park.

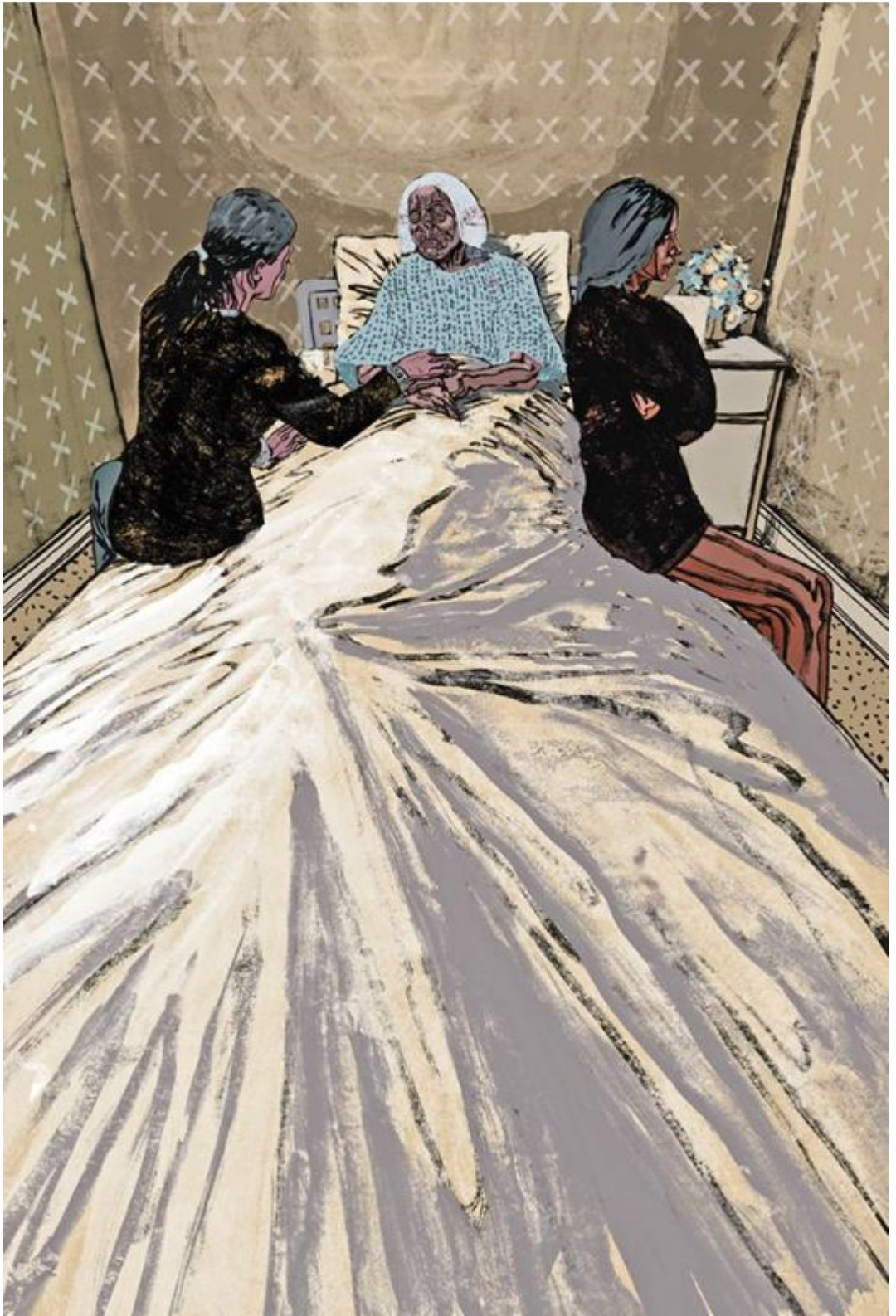
Szczęśliwie pani Bergman wyposażyła Ingrid w stosowne emocje – suwak FUN pozostawał w dobrze wybranej pozycji.

- Co takiego miałabym zrozumieć? – spytała Ingrid, wczytując się w listę wyświetloną na błyszczącym ekranie, w którym odbijało się również jej piękne oblicze.

Grecki nos Ingrid został tak stworzony, aby dobrze pasowały na niego okulary od Jimmy’ego Choo, to nie było zasadniczą funkcją nosa jako takiego. Ingrid ten piękny nos nie był jednak do niczego innego potrzebny. Ale czy nie jest tak, że świat powołuje do życia idee, struktury i narracje, które przeważnie są zbyt skomplikowane, żeby dobrze je pojąć? Jej zdziwienie daremnością i bezcelowością istnienia było typową cechą rozumnych stworzeń. Tym właśnie jesteśmy... Ingrid co roku, zawsze gdy wspinała się na klif Preikestolen, wspominała ostatnie słowa funkcjonariuszki Muzeum d’Orsay:

- Że jesteśmy bardzo skomplikowanymi istotami powołanymi do trywialnych celów – odparła ze spokojem funkcjonariuszka i oddaliła się do własnych zadań.





# Dobre uczynki

JAKUB ŻULCZYK

## 1.

- To zaczyna się wymykać spod kontroli - powiedziała.

- Bardzo delikatnie powiedziane - odparł Robert. Zakręciła trzymaną w dłoni butelką piwa. Ostatni łyk lekko zawirował na dnie. Podniosła butelkę do ust, bardzo gorzki płyn spłynął po gardle. Rozejrzała się dookoła, jakby to, co mówiła, mogło wpakować ją w tarapaty. To dobre pytanie. Kiedy właściwie strach przestaje być irracjonalny? Chyba nigdy tego nie wyczuwamy.

- Mam nową historię, z dzisiaj. To dopiero jest dziwne - wyszeptała cicho.

- Zaraz mi opowiesz. Chcesz jeszcze jedno? - zapytał.

- Masz jeszcze kredyty?

Głupie pytanie, oczywiście że miał. Smartfon, cienki jak plastikowa karta. Robert zawsze miał jakieś kredyty.

Podszedł do baru. Wydziarany facet bez słowa wyjął z lodówki dwie pozbawione etykiet butelki. Nad barem wisiał wielki napis: „SIŁA KOOOPERATYWY”. Ciężka metalowa czcionka ją przytłaczała, ale pewnie taki miała wywołać efekt. Odwróciła się od napisu, ciężko westchnęła, jakby litery usiadły jej na piersi.

Nie miała żadnych Punktów, bo ciągle pomagała matce. Wciąż jej brakowało czasu i sił, by robić cokolwiek innego. Za pomoc najbliższym nie przysługiwały Punkty. Miłość do rodziny - rodziców, dzieci - jest przecież bezwarunkowa, jest obowiązkiem, a obowiązek nie jest

dobrym uczynkiem. Kredytowana była dopiero dalsza rodzina, kuzynostwo.

Nie miała też żadnych Punktów ekstra z tytułu charakteru pracy – była nauczycielką. Punkty ekstra dostawali policjanci, strażacy, pielęgniarze, pogotowie cyfrowe, ale nie nauczyciele. Dostawała tylko minimum. Oznaczało to, że mogła wyjść z domu, kupić coś do jedzenia, detergenty, jakieś podstawowe lekarstwa, środki przeciwbólowe. W innych kwestiach była zdana zupełnie na łaskę innych. Na przykład Roberta – w kwestii wyjścia na piwo.

Za to Robert był zamrożony. Jego ojciec oddał połowę Fundacji. Pozwolono mu zachować resztę. Od razu, gdy ogłosili zamrożenia, było wiadomo, że cała ta idea staje się własną parodią. Są uprzywilejowani i gorsi. Ale gdyby nie zamrożenia, nie zachowaliby swoich majątków.

– Opowiadaj – z powrotem siadł przed nią.

Chrząknęła.

– Więc byłam w szpitalu, na konsultacji w sprawie mamy.

– Była z tobą? – zapytał.

– Nie, nie... po prostu, szukałam drugiej opinii. Wzięłam wszystkie papiery, badania, prześwietlenia... no wiesz, żeby ktoś popatrzył na to wszystko świeżym okiem.

– I co? – zapytał. Czuć było w tym sztuczną grzeczność.

Irytacja, rezygnacja, złość – nie wiedziała, co właściwie zobaczył w jej oczach, ważne było to, że po prostu porzucił temat, podkreślił to machnięciem ręki.

– Wsiadłam do samochodu, ruszyłam... no i wiesz, zaczynajmy od tego, że od dwóch tygodni wiedziałam, że coś jest z baterią. Gasło mi auto, światła tak...

– Migają?

– Trzepotały. No i odłączały się aplikacje. Nagle się okazywało, że jestem, nie wiem, na południu kraju.

– A limit ładowania?

– Masz mnie za idiotkę?

– Nie, po prostu niektórzy...

– Nigdy nie przekroczyłam limitu ładowania, Robert. Nigdy.

Tym razem on się rozejrzał. Tak naprawdę żaden strach nie jest irracjonalny. Ludzie podsłuchiwali się nawzajem, ostatnio przez cały czas.



Każdy szukał okazji.

- I ten facet jechał za mną praktycznie od szpitala. Śledził mnie... przez dwadzieścia, trzydzieści kilometrów. Myślałam, że dojadę do domu i wtedy, jeśli on będzie śledził mnie do końca... No, porozmawiam z nim pod domem. Pod domem jest zawsze bezpieczniej, prawda?

Pokiwał głową, że niby tak, ale bez przekonania. Musieliby najpierw wyjaśnić sobie, co właściwie oznacza słowo „bezpiecznie”.

- No ale... samochód w końcu mi zgasł. I on od razu zatrzymał się za mną, wysiadł. Miał lat... no nie wiem. Był w twoim wieku? Czterdzieści pięć? Z drugiej strony, mógł być młodszy, tylko...

- Tylko go dojechało.

- No właśnie.

Piwo było gorzkie, z każdym łykiem coraz bardziej. Dziwne, przecież gardło powinno się przyzwyczajać.

- Był mocno niezadbany. Szczerze, to nawet trochę od niego śmierdziało. Zarost. Miał koszulę od garnituru, lekko naddartą pod pachą, żółte plamy na kołnierzyku. Zepsute zęby, czarne, większości nie miał. Pewnie mieszkał w tym samochodzie, pomyślałam. No i on od razu o tej baterii. Że widzi, że tylne światła są cichsze, że dostanę niedługo karę, że na to są limity czasowe. Nie mam Punktów, nie mam za co żyć. Mam ujemne saldo. Podniósł ręce do góry, jakbym strzelała. Poprosił, abym wyłączyła smartfon. Teraz naprawdę się przestraszyłam. A on pokazał ekran z saldem minus dwieście...

Na chwilę spauzowała. Twarz Roberta stężała. Minus dwieście nie było dobre. Nawet w opowieści, w anegdocie.

- Zgłosiłaś to?

- Nie, nie zgłosiłam... poczekaj, daj mi skończyć.

- Minus dwieście, na to trzeba zapracować. To jest hazard albo...

- Wiem. Wiem, Robert. Daj mi skończyć.

Robert nie był taki, aby kogokolwiek zgłosić. Z drugiej strony, miał tysiąc Bonusu miesięcznie, zamrożone środki, ranking powyżej setki. To nie był jakiś rekord, ale naprawdę niezły wynik i bardzo tego pilnował. Miał sztywno wytyczony rozkład zajęć. Wiedziała na przykład, że to ich ostatnie piwo, bo jutro idzie na dyżur do dziecięcego hospicjum. Zараźliwy guz, jak go nazywali, rak ataksyjny, zabierał coraz więcej kilkulatków. Kobiety były przerażone, bały się zachodzić w ciążę.

- Zaczął płakać. Tak, wiem, nie komentuj, nie musisz. Zaczął płakać i tak cicho szeptać: „Błagam, proszę, pomóż mi”. Wyłączyłam telefon. On twierdził, że ma ustawiony przester. Zaczął opowiadać swoją historię, niby zaczęło się od tego, że skradziono mu kredyty, ktoś włamał mu się na adres *blockchain*...

- Nie chce mi się w to wierzyć, przecież to byłoby widać, jakiegokolwiek próby przechwyty. Na tym polega *blockchain*.

- Robert, proszę. On zaczął mówić, że bardzo potrzebuje Punktów i on to może naprawić od ręki. Jego rodzina nie ma co jeść. Że ma taki *ledger* na USB, który uaktywnia rezerwę w baterii. I że jest nienamierzalny, bla bla bla...

Robert schował twarz w dłoniach. Westchnął.

- Błagam, Rika, błagam, ja pierdołę. Powiedz, że nie dałaś włożyć sobie tego do samochodu. Błagam.

Znowu miał ją za idiotkę. Przez chwilę przemknęło jej przez myśl, że musi to skończyć. Nie może przyjaźnić się i sypiać z mężczyzną, który tak myśli kobietach, a może i w ogóle o ludziach. Może to była kwestia urody, dobrej sylwetki, zwłaszcza w jego wieku. Łatwo o bycie ładnym, gdy ma się dwadzieścia lat. Tak czy siak gdzieś w Robercie, wcale nie tak głęboko, tkwiło przekonanie, że tylko on jest rozumną i zaradną osobą, jedyną w swoim otoczeniu, a może i w całym państwie. Potrafił bardzo umiejętnie przykryć tę zarozumiałość, ale warstwa uważności, empatii i ciętych żartów, której do tego używał, była bardzo cienka.

Z drugiej strony, bezpieczeństwo. Niczego od niej nie chciał poza seksem, towarzystwem. To było oczyszczające.

Nie chciał jej w jakikolwiek sposób pomagać. Radził sobie świetnie sam.

- Nie. Nie dałam. No co ty. Powiedziałam mu, że po prostu wklepię mu ten uczynek, tylko żeby dał mi spokój. On znowu zaczął płakać, kazałam mu przestać. Jeszcze, wiesz, nikt nie był nigdy tak namolny... Powiedziałam, aby wszedł za mną na klatkę, miałam akurat zakupy w aucie, powiedziałam, aby wziął je ze sobą, a pod drzwiami włączył z powrotem smartfon. Zaczął mnie kręcić.

- Nie mogłaś po prostu mu oddać Punktów?

- Przecież ja ich w ogóle nie mam. Tyle, aby zrobić zakupy, zadzwonić na pogotowie... też.

Punkty można było sobie przekazywać, jednak były obarczone oprocentowaniem. Jeśli chciałaś oddać komuś Punkty, system zabierał trzydzieści procent. Piętnaście, jeśli chodziło o kogoś z bliskiej rodziny.

- A to nagranie, które zrobiłaś... poszło to na GoodToka? - zapytał.

- Musiało pójść.

- Nic nie musiało, bo nie musiałaś z nim w ogóle rozmawiać.

- Przestań, naprawdę.

Spróbował się uspokoić. Zdenerwował się. Chciała myśleć, że z tro-ski.

- I co tam nagadałaś?

- O Jezu, no... „Dziękuję ci bardzo, że wniosłeś na górę te bardzo ciężkie zakupy...”, cokolwiek.

- Wiesz, że jeśli ktoś to zweryfikuje...

- Takie pierdoły są weryfikowane pozytywnie z automatu. Ile on za to dostał Punktów?

- Za naprawę unieruchomionego auta miałyby pięćdziesiąt. Ale gdyby był certyfikowanym mechanikiem.

- Co za desperacja, matko jedyna! I będzie coraz gorzej.

- Bez pieprzonego wątpienia.

Chciała popatrzeć na niego choć trochę zalotnie, ale była zbyt zmęczona. Dotknęła jego dłoni na znak, że jeszcze nie jest tak źle, jeszcze żyją, są ludźmi i płynie w nich w miarę ciepła krew.

- Za co jest najwięcej Punktów?

- A co?

- No nie wiem. Może jakoś je zorganizujemy... Ucieknijmy stąd - próbowała mówić to z takim wyrazem twarzy, aby wiedział, że jednak trochę żartuje. Uśmiechnął się w milczeniu.

- Niby tysiąc Punktów. Za akt wyjątkowego bohaterstwa, który owocuje uratowaniem wielu istnień ludzkich. W przypadku śmierci wykonawcy aktu Punkty i Bonusy przechodzą na rodzinę. W wyjątkowych przypadkach algorytm może przyznać większą nagrodę.

To raczej nie w naszym stylu.

- No nie - uśmiechnął się.

Bar zaczynał pustoszeć. Nie tylko Robert miał od rana swoje dobre uczynki. Potem ci, którzy mieli pracę, szli do pracy. Zastanawiała się, jaki jest sens, aby chodzić teraz do pracy. I jaka jest różnica między

pracą a dobrym uczynkiem, skoro wszystko było po to, aby przeżyć. Dobroć stała się ostatecznie pieniądzem. W założeniu był to doskonały pomysł. Wszyscy musieli być dobrzy.

- Muszę iść, uważaj na siebie - powiedział.

- Nie będę dawać sobie wkładać nic do samochodu, nie jestem głupia - powiedziała mu, gdy stał już w drzwiach. Nie miała pojęcia, czy usłyszał.

## 2.

- Proszę cię, Rika - czuła, że Anna bardzo się pilnuje, aby nie zacząć krzyczeć. Pewnie gdyby rozmawiały na żywo, już dawno by wrzeszczała jak torturowana.

Stała w sklepie i głupiała od patrzenia na ceny. Podstawowe produkty podrożały dwukrotnie w przeciągu ostatnich trzech miesięcy. Tłumaczyli to inflacją „zwykłego” pieniądza, który wciąż stanowił podstawę operacji bankowych. Ale miała wrażenie, że to nie pieniądz traci wartość, tylko cała rzeczywistość, aż do najmniejszej cząsteczki, wszystko staje się lżejsze, bardziej kruche, słabiej połączone. To wrażenie dopadało ją czasami, ale było tak oszałamiające, że musiała się zatrzymać, skupić tylko na nim, aby je odegnąć - to wrażenie, że każdą ścianę można przebić jak karton, że każde jedzenie, które je, jest z tej samej szarej mazi.

- Rika, zaprowadź je po lekcjach do domu, poczekaj z nimi. Przecież sama pracujesz w tej pierdolonej szkole.

- A co będziesz robić?

- Idę malować szpital.

- Malować szpital.

- Tak, malować szpital, elewację, każdy w mojej klatce dostaje za to sto Punktów.

- No tak, za pomoc przy mamie nie ma Punktów - powiedziała głośno.

- Nie masz dzieci, Rika! - krzyknęła Anna. - Nie masz dzieci!

Nie miała dzieci i nie miała na to dobrego kontrargumentu. Były siostrami. Miłość siostr i braci ma być bezwarunkowa.

- Triumf dobra, triumf miłości przyjdzie, ale przyjdzie stopniowo - mówił Przewodniczący w ogólnonarodowym comiesięcznym Raporcie przed Społeczeństwem. Nie było obowiązku oglądania go, ale trudno było przed nim uciec, streamowano go na wszystkie publiczne ekrany, przez cały miesiąc, aż do następnego Raportu. - Nie możemy od razu zrzucić wszystkich starych przyzwyczajzeń, kajdan, które nas trzymają...

W praktyce oznaczało to, że rząd emitował obligacje w juanach i dolarach plus trzymał rezerwy w krypto, które sam zdelegalizował, chociaż Bonusy za dobro były same oparte na *blockchainie*. Zaletą stworzenia odpowiednio skomplikowanego systemu jest to, że większość ludzi nie będzie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego on w ogóle nie działa, co jest w nim niesprawiedliwego.

Nie tylko ona nie miała kontrargumentów, nikt ich nie miał.

Matka była w złym humorze, darła się. Wiedźma z bajki, której nikt nie chciał słuchać, takiej bez *happy endu*. Ufarbowała jej wczoraj włosy na fioletowo. Kiedy to robiła, była przekonana, że sprawia jej przyjemność, że chce, aby matka ładnie wyglądała. Teraz na nią patrzyła i rozumiała, że zrobiła jej na złość. Matka wyglądała jak zabawka, której zrobiono coś złego, wyprano w nieodpowiednich środkach chemicznych, a następnie podarowano nadpobudliwemu kotu. Dziwne było to, że miała jeszcze włosy. Po chemii, którą przyjmowała, wszyscy inni byli kompletnie łysi.

Umyła ją, przewinęła, założyła wenflon. Każdy umiał zakładać wenflon, żadna sztuka. Starych ludzi było najwięcej. Nikogo nie było stać na opiekunki. Z drugiej strony coraz więcej ludzi chciało opiekować się obcymi starszymi ludźmi za Punkty. Zastanawiała się, czy nie znaleźć kogoś w podobnej sytuacji do niej i się z nim nie zamienić. W ten sposób i ona, i ta osoba zdobyłyby jakieś Punkty. Z drugiej strony, gdyby zrobiła coś takiego, matka zaraz na złość by umarła. A zresztą i tak zaraz to zdelegalizują.

Nakarmiła ją papką dla niemowląt. Nie było sensu gotować dla matki, i tak nie czuła smaku, papka miała rzekomo wszystkie potrzebne proteiny. Nie sądziła, aby jedzenie przygotowane ze składników dostępnych w sklepie miało ich więcej.

Uruchomiła opcję randomowego streamingu na Platformie. Otępiąca mieszanka programów sprzed lat, pomieszanych odcinków seriali, fragmentów koncertów zapomnianych gwiazd. Ustawiała telewizor głośno, sama włożyła do uszu wygłuszające korki i położyła się na kanapie ze smartfonem w ręku. Chciała tylko sprawdzić, czy Robert coś napisał (nie zrobił tego), ale i tak dała się porwać rzece krótkich, rwanych, hipnotyzujących filmików. GoodTok był teraz bazową aplikacją w każdym smartfonie, uruchamiał się automatycznie. Serwował na zmianę propagandę oraz seksualnie nacechowane filmiki, aby utrzymać uwagę oglądającego. Propagandę ludzie kręcili sami, krótkie snippety przedstawiały opatrywanie chorych zwierząt, opiekę nad umierającymi na raka ataksyjnego dziećmi, sprzątanie zniszczonych publicznych posesji oraz zatrudnionych influencerów, którzy z bladymi jak śmierć uśmiechami udawali, że wykonują wszystkie powyższe czynności. Co parę filmików wyskakiwała jakaś młoda kobieta trzęsąca potężnym biustem do rytmu wygenerowanego przez sztuczną inteligencję przeboju albo umięśniony piękniś z kwadratową szczęką robiący pompki w rytm tego samego hitu. No i reklamy. Można było uzyskać dostęp do bardziej wartościowego kontentu – nieocenzurowanych wiadomości ze świata, pomocy psychologicznej, naukowych ciekawostek, przepisów kulinarnych, protipów codziennego życia. Trzeba było jednak zapłacić za niego Punktami. Być dobrym człowiekiem.

Odłożyła smartfon po godzinie, tak bardzo bolała ją głowa. Zasnęła. Obudził ją krzyk matki, która zsikała się pod siebie.

Ekran pokazywał wiadomości z miasta. Pielęgniarka, która wracała do domu metrem po dwudziestoczworgodzinnej zmianie, przyjęła poród od rodzącej w metrze narkomanki. Dziecko przeżyło, matka zmarła z upływu krwi. Pielęgniarka wróciła do szpitala. Nagrodą za interwencję było siedemdziesiąt pięć Punktów.

Wieczorem znowu zadzwoniła jej siostra.

- Tak, zrobię to - powiedziała zmęczona, zanim tamta zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Przecież nic się jej nie stanie.

Po drugiej stronie było słychać wyraźne westchnienie ulgi.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję - Anna powiedziała to trzy razy, bardzo powoli.

Nie powiedziała: „Nie ma za co”, bo było za co.

- Kiedy idziecie malować ten szpital? - zapytała.
- Mamy komplet - Anna warknęła nerwowo.
- Nie, nie o to mi chodzi. Po prostu pytam... Ilu was będzie to robić?
- Dwadzieścia osób. Mamy na to trzy dni - powiedziała po dłuższej chwili Anna.

Nie musiała pytać, wiedziała, że ani jedna z tych osób nie miała żadnego doświadczenia w wykończeniach czy jakiegokolwiek budowlance.

Rozłączyła się.

Napisała do Roberta cokolwiek, co słyhać. Wysłała mu następnie jakiś głupi mem z kotem, który wcale jej nie śmieszył.

Gdy kładła się spać, on wciąż nie odpisał.

### 3.

Każda szkoła zawsze była, jest i będzie na zmianę kompletną ciszą i ogłuszającym hałasem. Krótkie okresy hałasu są oznaką, że świat działa. Dzieciaki są nieznośne, niegrzeczne, niewyżyte, złośliwe, okrutne. Żyją. Wszystko jest z nimi w porządku.

Była dziwnie wyczerpana, chociaż spała tyle, ile powinien spać w jej mniemaniu zdrowy człowiek. Nie wyglądała jakoś strasznie źle, jednak pozwoliła sobie tego dnia na delikatny makijaż. Może za zmęczeniem szło dziwne przeczucie, a może dziwny niepokój dotyczący Roberta. Czy nie wpadł w jakieś tarapaty. A może doszedł do wniosku, że jednak zrywa z nią kontakt. Ale czy miała siłę być smutna z takiego powodu?

Dzieci też były zmęczone, na jej zajęcia przyszły po czterech godzinach etyki, która była teraz najważniejszym przedmiotem. Stanowiła mieszaninę wszelakich zajęć praktycznych. Zamiast analizowania filozoficznych czy religijnych zagadnień dzieci uczyły się pierwszej pomocy, prostych umiejętności technicznych, podstaw gotowania, robiły treningi siłowe. Etyka oznaczała po prostu podstawy funkcjonowania w społeczeństwie.

Jej przedmiot - historia - miał drugorzędne znaczenie. Chociaż może nie umiała się pogodzić z tym, dlaczego tak naprawdę był istotny. Lek-

cje historii nie służyły wcale przyswajaniu ciągów wydarzeń powiązanych ze sobą jedynie kolejnością. Nie służyły też „wyciąganiu wniosków z działań przodków”. Miały usankcjonować teraźniejszość. Podkreślić jej rzekome dobro w porównaniu ze złem i wypaczeniem tego, co minęło. Pokazać właściwość teraźniejszości. To, co było kiedyś, było czasem dobre, ale częściej złe. Służyło jedynie temu, abyśmy doszli do tego teraz, najlepszego z możliwych.

Kiedyś próbowała z tym walczyć. Mogła to robić. Nauczyciele nie byli poddawani jakimś drobiazgowym kontrolom. Mogli przemyślać w tym, co mówili, jakieś własne zapatrywania na świat lub rzeczywistość, nawet jeśli mocno różniły się one od obowiązującego dogmatu. System nie był aż tak szczelny.

- Nie jestem dyktatorem, nie żyjemy w świecie totalitarnym - podkreślał Przewodniczący w każdym ze swoich wystąpień. Czasami nawet można było uwierzyć, że naprawdę tak myśli.

Mogła to robić, ale po prostu była zwyczajnie zmęczona. Tak naprawdę nic nie zależało od niej.

Opowiadała dzieciom właśnie o Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. O korporacji, która była przedłużeniem państwa i jego cieniem. O tym, jak mogła podbijać kraje, emitować własne pieniądze, wypowiedać wojny. Zmieniać świat. Stowarzyszenie było tym samym, tłumaczyła dzieciom. Grupą, która wie lepiej od państwa, jak zarządzać światem. Państwo jest kruche, ułomne, ciężkie swoją starością. Grupa, tak jak Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska, była rusztowaniem, które jednocześnie podtrzymywało i remontowało państwo, po czasie stając się jego nowym kręgosłupem. Z tą różnicą, że Grupa jest świadoma swojej etycznej odpowiedzialności. Że wybrała nie powiększanie swojego kapitału, a stworzenie nowego społeczeństwa...

Po prostu czytała pieprzony podręcznik.

Do dzwonka było jeszcze dziesięć minut, a mimo to właśnie zadzwonił.

*Ktoś się pomylił* - pomyślała. Dzieci zerwały się z krzesel jak psy Pawłowa. Musiała wstać i krzyknąć, aby się uspokoiły.

- Ktoś się pomylił. Siadajcie - powiedziała.

Raczej ktoś zrobił głupi kawał, ale nie było potrzeby nadmiernie eksytować ich słowami „głupi” i „kawał”.



- Tak więc Brytyjska Kompania... - zaczęła, próbując zebrać własne myśli.

Dzwonek zadzwonił jeszcze raz. I nie przestał. Długo, przeciągle, świdrująco. Tym razem dzieci nie poruszyły się. Trzydzieścioro dwunastoletnich oczu wpatrywało się w nią z niewymuszonym napięciem. Ktoś żartował w dziwny sposób.

Wstała, dała znać ręką, że mają być cicho, i wyszła na korytarz. Ogłuszający terkot dzwonka roznosił się po wyłożonych gumową posadzką halach. Równe rzędy szafek, plakaty na ścianach. „POMAGAMY, DZIAŁAMY”.

- Halo? - krzyknęła.

Odpowiedział jej tylko nasilający się terkot.

- Proszę przestać! - krzyknęła jeszcze głośniej, aż poczuła nieprzyjemny, piekący ból w gardle.

Jakby na jej życzenie dźwięk się urwał.

I wtedy usłyszała krzyk.

Bezkształtny wrzask, który nie umiał ułożyć się już w żadne zdanie. Lęk, zimny, od stóp do głów. Lęk i wahanie, co właściwie ma zrobić.

Tak jak wtedy, gdy ten facet jechał za nią przez całą drogę ze szpitala do domu. Gdy stał przed nią z wyciągniętym kluczem USB. Nie powiedziała tego Robertowi, ale mężczyzna mówił straszne rzeczy: - Mam broń w domu - mówił - mam broń i zabiję ich, zabiję ich, a potem strzelę sobie w łeb - mówił, a przezroczysty śluz wyciekał mu z nosa i spływał po ustach.

„Mam broń” - przypomniała sobie jego słowa.

I jakby w reakcji na jej wspomnienie po korytarzach rozległ się odgłos strzału. I jeszcze więcej wrzasku. I strzał. I wrzask. I strzał. I wrzask. I strzał.

Wpadła do klasy.

*Moje ciało zaraz eksploduje - pomyślała. Moja głowa.*

Panika była zwierzęca, rozdrapywała ją od środka. Usiłowała nie dopuszczać do siebie wyobraźni. Krew wędrująca po ciele. Krew nagle wypuszczona na zewnątrz, przez otwarte drzwi ciała.

Dzieci tutaj.

Dzieci tam.

Dzieci Anny.

- Nie, nie możemy opuszczać tej klasy - powiedziała. - Cokolwiek by się nie działo, nie możemy stąd wychodzić, dobrze?

Dzieci były cicho. Niektóre płakały niemym strachem. Jedna dziewczynka cała się trzęsła, chyba zsikała się w spodnie. Niektórzy wciąż się śmiali, pewnie myśląc, że to dowcip, ale śmiali się coraz ciszej.

Wyciągnęła smartfon. Połączenia alarmowe. Podaj kod profilu. W międzyczasie wiadomość od Roberta. *Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem. Wszystko u Ciebie dobrze?*

Robert był dla niej w tym momencie zupełnie obcym człowiekiem.

*Kod profilu, kurwa mać* - chciała wrzasnąć. Kod profilu był potrzebny, bo nikt z saldem niższym niż minus pięćset nie mógł zadzwonić na połączenie alarmowe. Był to ostatni etap wykluczania ze społeczeństwa.

Znowu rozległ się ogłuszający hałas dzwonka, jakby był jeszcze głośniejszy, jeszcze bliższy. Zapomniała kod profilu. Nie pamiętał go mózg, nie pamiętały palce.

- Proszę pani, możemy uciec przez okno... - zaczęło jedno dziecko. Przerwała mu krzykiem: - NIE, nie wyjdiesz za żadne okno! Nikt nie wychodzi za okno! Nikt...

- Może zastawimy drzwi biurkiem? - zapytał chłopczyk siedzący w przedniej ławce.

- Tak, tak - odparła spanikowana. Podbiegła do mebla, chwyciła jego krawiec. Ciężkie stare biurko, niezgrabne, żeliwne nogi, ciężki blat z pilśniowej płyty. Zapała się mięśniami, zaczęła ciągnąć je w kierunku drzwi, któryś chłopiec podbiegł, aby jej pomóc.

Nie słyszała kroków idących korytarzem, ale nawet gdyby w porę je usłyszała, co by to zmieniło?

Otworzyły się powoli i zwyczajnie, bez huku, ze znajomym skrzypnięciem, tak jakby dyżurny nauczyciel wszedł do środka i powiedział: - Jest pani proszona do gabinetu.

Nikt tego nie powiedział. Nikt nie prosił nikogo do gabinetu.

Kobieta - to było od razu widać, chociaż postać była ubrana w czarny workowaty kombinezon, na głowie miała czarną kominiarkę i gogle, a jedyną widoczną częścią ciała była cienka biała linia nadgarstka pomiędzy rękawem bluzy a narciarską czarną rękawicą. Niema czarna postać trzymała w ręku mały, lekki półautomatyczny karabinek.

Widziała już takie na ekranie telefonu, w feedzie, w wiadomościach. Ten rodzaj broni był nielegalny, nie używały go policja ani wojsko, można było go kupić tylko w darkwebie, do którego z kolei można było się logować tylko za pomocą nielegalnych ledgerów, takich samych, jakie miał facet, który za nią jechał...

*Zaraz umrę ze strachu* – pomyślała. *Zaraz umrę ze strachu, zaraz wybuchnie mi serce. Mała mokra bomba w mojej klatce piersiowej.*

Głęboki oddech, który spróbowała wziąć, był raczej łapczywym napięciem się powietrza. Zaczęła się krztusić.

*Takich karabinków użyto podczas ataku terrorystycznego w stolicy parę lat temu, gdy grupa anarchistów napadła na jedno z państwowych biur projektujących aplikację do zarządzania Punktami. Liber Aktion, tak się nazywali* – pamiętam do dzisiaj.

- Odrzucając pieniądze, odrzucacie człowieczeństwo – mówił ich lider w wysłanym z zaminowanego biura nagraniu. Zginęli wszyscy, napastnicy i czterdzieścioro pojmanych pracowników. Wojsko po prostu otwierało ogień do wszystkich.

Postać machnęła karabinem na znak, że mają iść za nią. Nikt nie zareagował. Dzieci nie zrozumiały tego gestu. Kolejne dziecko posikało się w spodnie.

- Do sali gimnastycznej – powiedziała postać. - Do sali! - musiała krzyknąć jeszcze raz, aby ktokolwiek zareagował.

Krzyk był głosem kobiety.

- *Złej, wkurzonej nauczycielki* – pomyślała i zaczęła się śmiać, nie mogła się powstrzymać. To jedyne, na co było stać jej ciało. Śmiech był konwulsyjny, targał nią, podskakiwała w miejscu, jakby kopało ją napięcie o małym natężeniu. Nie umiała się powstrzymać, chociaż wiedziała, że ten śmiech może być wyrokiem śmierci, ale po prostu nie mogła wyłączyć swojego ciała.

I przez moment, przez załzawione oczy, wydało jej się, że ta czarna postać rozumie.

I że może przyszła właśnie po nią.

- Tak – powiedziała przez śmiech – tak, dzieci, idziemy.

Teraz już wszystkie płakały.

## 4.

Matka była jeszcze przytomna, gdy wybrano Przewodniczącego. Zanim Przewodniczący stał się Przewodniczącym, miał twarz, imię i nazwisko. Był normalnym politykiem, przewodniczącym swojej partii. Partii, której poparcie rosło z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień w te straszne i ciężkie dni, które musiały przynieść jakiś przełom. Pytanie, jak krwawy. Ludzie osuwali się w coraz cięższą biedę, biedę jak toksyczne błoto, jak śmierć za życia. Coraz częściej dookoła niej wegetacja przekraczała tę cienką granicę, za którą stawała się walką o przetrwanie. Tymczasem jedna dziesiąta procenta posiadała dziewięćdziesiąt procent kapitału czy jakoś tak. Byli w tym podli oraz złośliwi i byli wszędzie, i karmili tych, którzy nie mieli nic, wstrętnymi kłamstwami, że można mieć wszystko, tylko trzeba być posłusznym i lepiej pracować. Wielkie domy z basenami, sesje zdjęciowe w Dubaju, jachty, samochody. Akcjonariusze, sygnatariusze, właściciele, decydenci. Gwiazdy streamów, sportu – listek figowy, garstka tych, którzy dostali akces do tego świata dzięki ciężkiej pracy, legitymizując sobą kłamstwo, że ta inna planeta była dostępna dla wszystkich. Jedna dziesiąta procenta. Dziewięćdziesiąt procent. Dziewięć, dziesięć, jedenaście zer. Zresztą te liczby nie miały żadnego znaczenia w obliczu tego, że ludzie mieli racjonowany prąd w domach. Że ciepłą wodę mieli raz w tygodniu. Że minimalna pensja nie starczała na zakupy w sieciowym osiedlowym sklepie sprzedającym żywnościowe półprodukty. Że dzieci chorowały na łuszczycę i anemię, były niedożywione i wychłodzone.

Byliśmy krajem Trzeciego Świata, a nagle pojawił się Przewodniczący. Piękny, mówił ciepłym, ale bardzo mocnym i dźwięcznym głosem. Przynosił ludziom nadzieję. Wtedy matka była jeszcze przytomna, nie krzyczała z bólu. Zobaczyła go w telewizji i powiedziała:

- Od teraz będzie lepiej.

- Niepohamowany, nowotworowy rozrost kapitału wpędził nas w tę uwłaczającą, nieludzką sytuację. Wszyscy przestaliśmy być ludźmi – mówił Przewodniczący.

- Od teraz będzie lepiej – powtarzała matka klekoczące zakłęcie, kwaśny różaniec.

- Zaczniemy być ludźmi z powrotem. Zaczniemy z powrotem nosić w sobie godność - mówił dalej.

Zapowiadał kary i rozliczenia, miłość i opiekę. Władzę zdobyto bezkrwawo. Może poza momentem, gdy Rada Ministrów, w której każdy był udziałowcem spółek Skarbu Państwa, sektorów zbrojeniowego lub energetycznego, opuszczała gmach rządu, ludzie zaczęli rzucać w nich kamieniami i śmieciami. Minister finansów dostał w skroń specjalnie przygotowanym na tę okazję gównem.

Matka oglądała to w telewizji i rechotała jak dziecko. A wieczorem, gdy jadły kolację złożoną z zupek instant i herbaty proteinowej, zaczęła przekładać zmiany na własne życie. Przewodniczący ciągle przemawiał, bez przerwy, przez cały dzień.

- Teraz będzie lepiej, teraz przestaniesz pracować w tej strasznej szkole. Może kogoś poznasz, wyprowadzisz się. Będzie lepiej.

Ocknęła się, gdy dłoń w czarnej narciarskiej rękawiczce uderzyła ją w twarz.

- Telefon - powiedział ten sam głos.

Było ich dwie, obie na czarno, obie były kobietami, była tego pewna.

- Dawaj telefon - powtórzył głos.

Robert coś napisał, coś z troską i strachem, zauważyła tylko kilka następujących po sobie znaków zapytania. Ale nie zdążyła przeczytać więcej. Dłoń w rękawiczce wyrwała jej telefon z ręki, wrzuciła do innych telefonów w przepastnym czarnym foliowym worku na śmieci.

*Czy ktoś zdążył zadzwonić po policję? - pomyślała. Czy ktoś pamiętał kod profilu? Czy da się w ogóle zapamiętać kod profilu? Nie tylko w takiej sytuacji, w każdej?*

- Macie wszyscy zamknąć mordy. Zamknijcie mordy - powiedziała jedna z wron, chociaż nikt już nic nie mówił.

Wszystkie dzieci miały zasłonięte oczy albo twarze wciśnięte mocno w kolana. Tak im powiedzieliśmy. Chodziło o to, aby nie widziały ciała leżącego na środku sali w kształcie potwornej gwiazdy otoczonej czerwonym kręgiem.

Próbowała nie patrzeć w tamtą stronę, a jednak spojrzała. To był Bernard, jeden z nauczycieli etyki. Bardzo wysoki, szczupły dwudziesto-parolatek. Mieszkał pod miastem, codziennie dojeżdżał autobusem. Wyglądał zabawnie, ale ładnie. Lubił tweedowe marynarki i muszki.

Jego chłopak wynajdywał je na pchlich targach. Często widziała ich tam razem. Wyklócali się o drobiazgi, ale po chwili zawsze się godzili, przypominali dwa ptaki fruujące dookoła siebie, trzepoczące skrzydłami, pilnujące się nawzajem. Bernard często narzekał na swój przedmiot, mówił o nim, wzdychając. Nikt mu się nie dziwił. Wszyscy wiedzieli, że to poszło w złym kierunku.

Bernard leżał teraz nieruchomo na środku drewnianego parkietu, nie był już Bernardem. Dookoła głowy rozlewała mu się krwawa aureola. Nie był już Bernardem. Bernarda już nie było. Bernard już nigdy miał się nie pojawić.

Dzieci starały się płakać jak najciszej, ale ich wspólny szloch sklejał się w powietrzu w jeden głośny szum wzdęty od bólu. To był najpotworniejszy dźwięk na świecie. Lepiej byłoby umrzeć, aby go nie słyszeć.

Szum szlochu oraz dźwięki alarmów i powiadomień z czarnego worka pod ścianą pełnego telefonów. Piknięcia, alarmy, fragmenty piosenek. Orkiestra paniki.

Szukała wzrokiem dzieci Anny, Pauli i Tomka. Znalazła je dość szybko, dzieci siedziały klasami. Paula i Tomek siedzieli przy sobie, trzymając się za ręce. Byli bliźniętami, kompletnie do siebie niepodobnymi. Za to mówili jej czasami, że Paula ma jej oczy. Nie potrafiła się do tego nijak odnieść.

Reszta rady pedagogicznej – pod ścianą, na kolanach, dłonie splecione na karku zgodnie z rozkazem. Wera od biologii. Nina, starsza kobieta od matematyki. Michel, czarnoskóry informatyk. Mikaila od wychowania fizycznego, która dwa miesiące temu dołączyła do zespołu i, aby wkupić się w łaski, częstowała wszystkich codziennie własnymi wypiekami. Tyle piec i tyle jeść, i tak wyglądać, jak model pogładowy anatomii, z każdym widocznym mięśniem – obrabiali jej tyłek w pokoju nauczycielskim, gdy nie słyszała. Reszta nauczycieli, dyrektor. Starali się nie wydawać dźwięków ze względu na dzieci. – *Niemądrze* – pomyślała. *Przecież byłoby wszystkim łatwiej.*

– *Byłoby wszystkim łatwiej, gdybyśmy zaczęli wrzeszczeć* – pomyślała. *Byłoby łatwiej, gdybyśmy...* – nie skończyła tej myśli. Zamiast niej zobaczyła te litery, ciężkie i onieśmielające: „SIŁA KOOPERATYWY”.

Nikt nie miał tej siły. Nikt nie zaczął wrzeszczeć.

A one nic nie mówiły. Wchodząc z nimi do sali, powiedziały tylko:

- Mają pół godziny na realizację naszych żądań. Jeśli nie, zaczniemy zabijać po jednym dziecku co pięć minut. Zaczniemy od najstarszych klas i pójdziemy w dół.

Nie powiedziały, kto w zasadzie dostał od nich te pół godziny i o jakie żądania chodzi. Teraz, milcząc, człapały w kółko jak dwie wrony, dookoła siebie. Na piersiach miały zawieszony półautomatyczny karabinek, przyciskały je do piersi. Czekwały na coś, nie wiadomo na co. Co chwila przystawały, zerkwały na siebie. Widać było, że patrzą sobie w oczy. To była niema rozmowa, której prawdziwy temat wisiał nad nimi jak niewidoczny ogromny ciężar, gotowy w każdej chwili spaść na nas wszystkich.

- Wstawaj - słowo przebiło ciszę jak nóż.

Nina. Kobieta jak gołąb, biała i dobra, chociaż ostra dla dzieci - często przez nią płakały - potrafiła lekko chlasnąć linijką w dłoń za ściąganie, chociaż niby dawno temu zostało to zabronione. Ale potem mówiła: „Potrzeba dyscypliny, aby wpoić ludziom porządną, bo to, co się dzieje, to efekt braku porządnosci, braku wychowania, ta chciwość i to złodziejstwo”, i nikt z nią nie polemizował. Powinna już dawno być na emeryturze. Jedna z wron popchnęła ją lekko do przodu, w kierunku leżącego na ziemi ciała. Nina zaczęła człapać, powoli i niezgrabnie.

Nie było jasne, czemu ją wybrały, czy miało to jakiś związek z żądaniami.

- Nie patrzcie - powiedział ktoś do dzieci. - Nie, nie patrzcie.

Nina szła dalej. Potknęła się, upadła na kolana, stare ciało chrupnęło, krzyknęła z bólu.

- Nie patrzcie - ktoś wykrzyknął jeszcze raz.

- Do przodu - powiedziała jedna z wron. W jej głosie było słychać zawahanie. Nie były pewne tego, co robią.

Nina wciąż klęczała.

- Ona nie może wstać - powiedział ktoś inny.

Nina nie lubiła Przewodniczącego. Nie podobał się jej. To wszystko blaga, zbyt długo żyła, by w to uwierzyć. To nie był argument, ludzie jeszcze starsi od niej wierzyli. Nina również wegetowała przed przemianą na strasznym osiedlu, jedenastym piętrze dwudziestopiętrowca

z odsłoniętym ociepleniem. Miała powody do rozpacz. Ale, jak sama mówiła, potrafiła zobaczyć las tam, gdzie inni widzieli drzewa.

- Wstawaj - jedna z wron podeszła do niej, trąciła jej kark lufą karabinu. Nina nie zareagowała.

Odwróciły się, popatrzyły na siebie nawzajem. Znowu ta niema rozmowa, spojrzenia zza gogli zasłaniających ich twarze.

Tak jakby uzgadniały wersje wydarzeń.

- *Moje serce tego nie wytrzyma* - pomyślała i poczuła. Miała tak wysokie ciśnienie, że czuła to w uszach, palcach, gałkach ocznych. Nie wiedziała nawet, o co ma się modlić.

Myślała o swojej siostrze. Ania zawsze myślała, że należy jej się więcej. Nie miała na to żadnych argumentów, po prostu więcej i już, może dlatego, że w jej mniemaniu młodszy był z miejsca poszkodowany.

Poza tym miała dzieci i to załatwiało wszystko. Ania miała w sobie niespożytą energię do prób kontroli nad rzeczywistością i do obwiniania innych.

- *Gdy się o tym dowie, też pomyśli, że to moja wina* - pomyślała. *Też zacznij mnie obwiniać.*

Jej mąż, który był w tym wszystkim przezroczyście - Ania dalej z nim była, ale zachowywała się, jakby byli po rozwodzie - w ogóle nie zareaguje.

Jej mózg odtwarzał rozmowę pomiędzy nimi - ewidentnie robił wszystko, aby nie być tu i teraz. W tej wymyślonej scenie dzieci żyły, Ania jednak i tak wyrzucała jej brak odwagi, lekkomyślność, nieumiejętność przewidzenia ataku terrorystycznego na szkołę. Nie miała odwagi ani siły wyobrazić sobie scenki, w której dzieci nie...

- Zostawcie ją - głos.

Jedna z wron odwróciła się od klęczącej Niny w stronę głosu.

- Zostawcie ją - jeszcze raz.

I wtedy ruch.

- *Nie, nie rób tego* - modlitwa. *Bo zaczną strzelać. Nic nie rób, siedź cicho.*

Ruch, szmer butów na parkiecie sali, dźwięk na początku tak znajomy, że zupełnie niezwracający uwagi, podeszwy butów, a w nich stopy ustawiające ciało do dwutaktu, skoku. Dopiero po chwili zobaczyła i wtedy zrozumiała. To Mikaila podskoczyła do jednej z wron.



- *Dlaczego ona to robi? Nic nie rób, Mikaila. Siedź cicho. Zaczną strzelać do dzieci. Zabiją dzieci. Zabiją dzieci Ani.*

- *I wtedy Rika będzie zła. Boże. Nie panuję nad własnym mózgiem. Czemu ja w ogóle myślę takie rzeczy? O co mi chodzi?*

Wrona zareagowała za późno. Gdy wycelowwała, Mikaila była już przy niej. Zrobiła coś, czego Rika nie zapomni do końca życia - to było tak dziwne, trudne do nazwania. Nie na miejscu?

Mikaila przechyliła głowę i z całej siły wgrzyła się wronie w szyję.

- O kurwa! - krzyknęła tamta i wyciągnęła broń.

Nina wciąż klęczała na podłodze, nieruchoma jak mumia.

Mikaila - może tak wierzyła w swoją siłę? W swoje mięśnie? W magię swojego zaczarowanego ciała, które potrafiło momentalnie spalić każdą liczbę dostarczonych mu kalorii?

- Zjadłam całą blachę tego ciasta, a drugą przyniosłam wam, takie dobre - śmiała się w pokoju nauczycielskim nad plackiem z wiśniami z puszki.

Ta druga zwyczajnie spanikowała. Dotarło do niej coś, co przedtem rozumiała na intuicyjnym, zwierzęcym poziomie. To nie są żadne terrorystki. To zwykłe kobiety.

Pierwszy strzał, wrzask, panika, schylenie.

Kula poszła do góry.

Mikaila ugryzła ją mocniej, a następnie przewróciła na ziemię, w jakiejś zapamiętałej furii wyrwała jej karabinek i z całej siły uderzyła ją w głowę. Wrona znieruchomiała. Mikaila uderzyła jeszcze raz.

Wrzask, nauczyciele podbiegający do dzieci, próbujący zasłonić je własnym ciałem.

- Naprawdę? Zostawiłaś je? Nie podbiegłaś do nich? Nic nie zrobiłaś? - krzyczała Ania.

- Może byś podała mi tym razem coś jadalnego? - krzyknęła matka.

Drugi strzał nie poszedł do góry, poszedł do przodu, w stronę Mikaili.

- *Jak to wszystko cholernie długo trwa - pomyślała.*

Bark Mikaili zmienił pozycję względem ciała, które jakby wybuchło w miejscu - *CO ZA WRZASK* - i wtedy jak we śnie albo dziwnej komedii, albo po prostu w tym momencie tu i teraz, Nina wstaje, odwraca się i chwyta tę drugą wronę za głowę, trochę nie wiedząc, co z nią zrobić,

nie mając siły, aby jakkolwiek ją skrzywdzić, ale zyskując przez to trochę czasu, bo ta się odwraca i znowu na krótki moment zapomina, że ma w rękach karabin.

I wtedy Michel, chłopak od informatyki, bardzo szczupły, wysoki, z tym swoim ciałem w kształcie tykwy dopada do tej drugiej wrony i po prostu całym ciałem, impetem przewraca ją na siebie i wszyscy we trójkę – Michel, Nina i wrona – padają na ziemię, tworząc skłębioną kulę ciał, nóg i rąk, i słysząc trzask głowy o parkiet sali. Nina tego nie przeżyje, ale może my i dzieci, przede wszystkim dzieci.

I wtedy na zewnątrz, najpierw ciche, potem głośnie dźwięki policyjnych wozów na sygnale.

Ktoś jednak pamiętał kod profilu.

Podbiegła do dzieci Anki jak zwierzę i przycisnęła je do siebie, nie panowała nad swoją siłą i przez chwilę pomyślała, że chyba je dusi, bo jedno z nich dziwnie charknęło.

Ta myśl sprawiła, że znowu zachciało jej się śmiać.

Więc, przyciskając dzieci do siebie, zaczęła.

## 5.

- Nie wierzę w to - powiedział.

Wydziarany facet przyniósł butelki do ich stolika. Dał gestem znać, że są za darmo. To „za darmo” było oczywiście względne. W końcu, dając piwo za darmo ofierze masakry, dostawał przez miesiąc Punkty.

Robert zapuszczał teraz włosy, co sprawiało, że wyglądał zabawnie. Zabawnie, ale ładnie. Ona czuła, że się postarzała. Widziała to w lustrze. Może po prostu zwracała więcej uwagi na detale, zmarszczki, pojedyncze siwe włosy. A może to jest właśnie definicja starzenia się - większe zwracanie uwagi.

- Nie wierzę - powtórzył.

Ale było o tym wszędzie, a ona była w stanie to zweryfikować.

- No tak, to niesamowita historia - przyznała.

Tak niesamowita, że gdy o tym myślała – a myślenie o tym nie opuszczało jej nawet na moment – lęk, trauma, napięcie ciała ustępowały zdziwieniu tym, co się właściwie okazało.

- Co za desperacja. Będzie coraz gorzej – powiedział.

- Bez pieprzonego wątpienia.

Widzieli się po raz pierwszy od tamtego czasu. Wcześniej – chyba – się jej bał. A może bał się sytuacji. A może to jedno i to samo, a może to bez znaczenia.

- I co teraz? Jakie są konsekwencje? – zapytał.

- Zdegradowali ją do poziomu minus tysiąc – odparła.

- Nie pójdzie do więzienia?

- Gdybyś miał się zastanowić, to wolałbyś iść do więzienia czy być na poziomie minus tysiąc? – zapytała, a on nie odpowiedział.

Napis „SIŁA KOOPERATYWY” emanował siłą, mocną i pierwotną. Zastanowiła się, czy działa tak jeszcze na kogoś, czy tylko na nią. Czy trafia w jej jakieś ukryte marzenie. O prawdziwej współpracy, realnej kooperatywie. O tym, aby to, co ludzkie, po prostu znowu się działa. Nawet kosztem ryzyka, że zło się wydarzy. Zaraz, miesiąc temu klęczała w sali gimnastycznej, bojąc się, że zamaskowani ludzie w czarnych strojach zaczną strzelać do dzieci.

Nie, ryzyko wcale się nie zmniejszyło.

Dotknęła jego dłoni. Chciała się z nim przespać. Bardzo potrzebowała bliskości czyjegoś ciała, a on był najbliżej. Poza tym lubiła go, zależało jej na nim. Miała nadzieję, że się zgodzi. Zacisnął w odpowiedzi jej palce, przeciągnął kciukiem po wnętrzu dłoni. Chyba mogła zinterpretować to jako „tak”.

- Jak to w ogóle się wydało? – zapytał.

Przypomniała sobie wszystko. Najpierw dzieci wychodzące ze szkoły, otoczone przez długi kordon policji. Ania, która nic nie mówiła, po prostu do nich podbiegła z twarzą wykrzywioną od bólu i napięcia, które być może nigdy nie miną. Następnie feta, dekoracja, dziennikarze. Mikaila odbierająca medal oraz kartę o wartości tysiąca Punktów od Przewodniczącego za wyjątkowe, bezprecedensowe bohaterstwo. Jej łzy i łamiący się głos, mówiący do mikrofonu, że po prostu „zrobiła to, co było trzeba – to, co uważała za słuszne. Potem rosnące zasięgi na Good-Toku, przez dwie doby wystrzelił jej prawie milion. Nie chciała o tym

rozmawiać w szkole. Krępowano ją to, że wszyscy traktują ją jak bohaterkę. Dalej piekła ciasta z wiśniami z puszkii. Rika zauważyła, że od czasu tragedii były może trochę słodsze.

- Po prostu komuś się przyznała. Chyba Michelowi. Mieli romans - westchnęła.

- I on poszedł na policję?

- Najpierw nam powiedział, w pokoju nauczycielskim.

Robert pokręcił głową. Puścił jej dłoń. Jej własna, nagle dziwnie bepańska, sama cofnęła się pod stolik.

Może jednak nie dzisiaj.

- Współczuję ci, najpierw trauma, potem wstyd.

- Ja się nie mam czego wstydzic - powiedziała cicho, chociaż wszyscy byli skapani w niesmaku.

Jeszcze większe zainteresowanie mediów, jeszcze większy wstyd, jeszcze więcej dziennikarzy pod szkołą. Nie dziwiła się. Ta historia była wyjątkowa. Opozycja próbowała ją wykorzystać, przekonać, że Kooperatywa musi stracić władzę, że wprowadzony system jest nieludzki, gdyż sprowadza altruizm do czysto transakcyjnego wyboru. Nie ma gorszej patologii, niż uczynić odruch serca koniecznością. Tragedia w szkole była dowodem na tę patologię. Przewodniczący odparł w specjalnym wystąpieniu, że jeszcze bardziej nieludzki byłby pięćdziesięcioprocentowy podatek, a nie gratyfikacja za dobro.

Wielu nie chciało uwierzyć, zwłaszcza Nina. Ale Michel był wściekły, zdeterminowany, aby prawda wyszła na jaw... ona w końcu sama się przyznała. Te dwie to potwierdziły. Swoją drogą niesamowite było to, że przeżyły. Mikaila uratowała im życie - gdyby nie ona, policja strzelałaby do nich bez ostrzeżenia. To wszystko się zgadzało, miało upiornie komiczny sens.

- One poznały się na jodze czy jakichś innych ćwiczeniach. Wszystkie miały kłopoty. Jedna robiła malwersacje w pracy, cofnęli ją na minus. Tak samo jak u mnie chora matka. Tylko miała długi, powykupywała jakieś alternatywne terapie u oszustów... Druga była wrąbana w jakąś ciężką hipotekę, miała karę za trzymanie krypto. Mikaila... jakieś kłopoty z autem, ciągle mandaty. W końcu skonfiskowali jej samochód. Były zdesperowane. Nie wiem, czy okoliczności...

Nie, żadne okoliczności. Chłopiec, który zsiąkał się w spodnie. Bernard w czerwonym okręgu leżący na podłodze sali.

Nie ma takich okoliczności.

- Ale jak one chciały...

- Miała dostać tysiąc Punktów i podzielić między trzy. Każda dostałaby po trzysta coś. To dużo, byłyby na plusie, i to niezłym. Miałyby świadczenia...

- Ale to głupota! Przecież one zostałyby aresztowane... mogłyby zginąć...

- Nikt nie miał umrzeć. Bernard pierwszy próbował je zaatakować. Przestraszyły się.

- Tak czy siak, poszłyby do więzienia.

- Możesz przelać Punkty komuś, kto jest w więzieniu. I to wpływa na przykład na złagodzenie wyroku. To, że nikt tego nie robi, nie znaczy, że tak nie można.

Popatrzył na nią. Nie mógł uwierzyć nie tylko w to, co słyszy. Nie mógł uwierzyć w świat, w którym oboje żyli. Ona też. Ale może każdy możliwy świat był nie do wiary.

- Poza tym, gdyby to zrobiła i nagrała o tym film na GoodToku i zrobiła z tego film o przebaczeniu..., dostałaby za to jeszcze więcej Punktów.

Parsknął śmiechem.

- Miały wszystko przemyślane. Po prostu nie wytrzymały.

Znał tę historię. Ale chyba po prostu uwielbiał jej słuchać. Mimo to miała nadzieję, że opowiada mu to już ostatni raz.

Napięcie zostało w niej na stałe, momentami było nie do zniesienia. W nocy budziły ją bezdech, kołatanie serca, lęk przed tym, że zaraz umrze. Śniły jej się dzieci Anki, siki między nogami chłopca. Śnił jej się dzwonek, który słyszała całymi godzinami, i śniło jej się, że nie pamięta kodu, który musi wpisać na wszczepionej w brzuch klawiaturze, aby zacząć z powrotem oddychać.

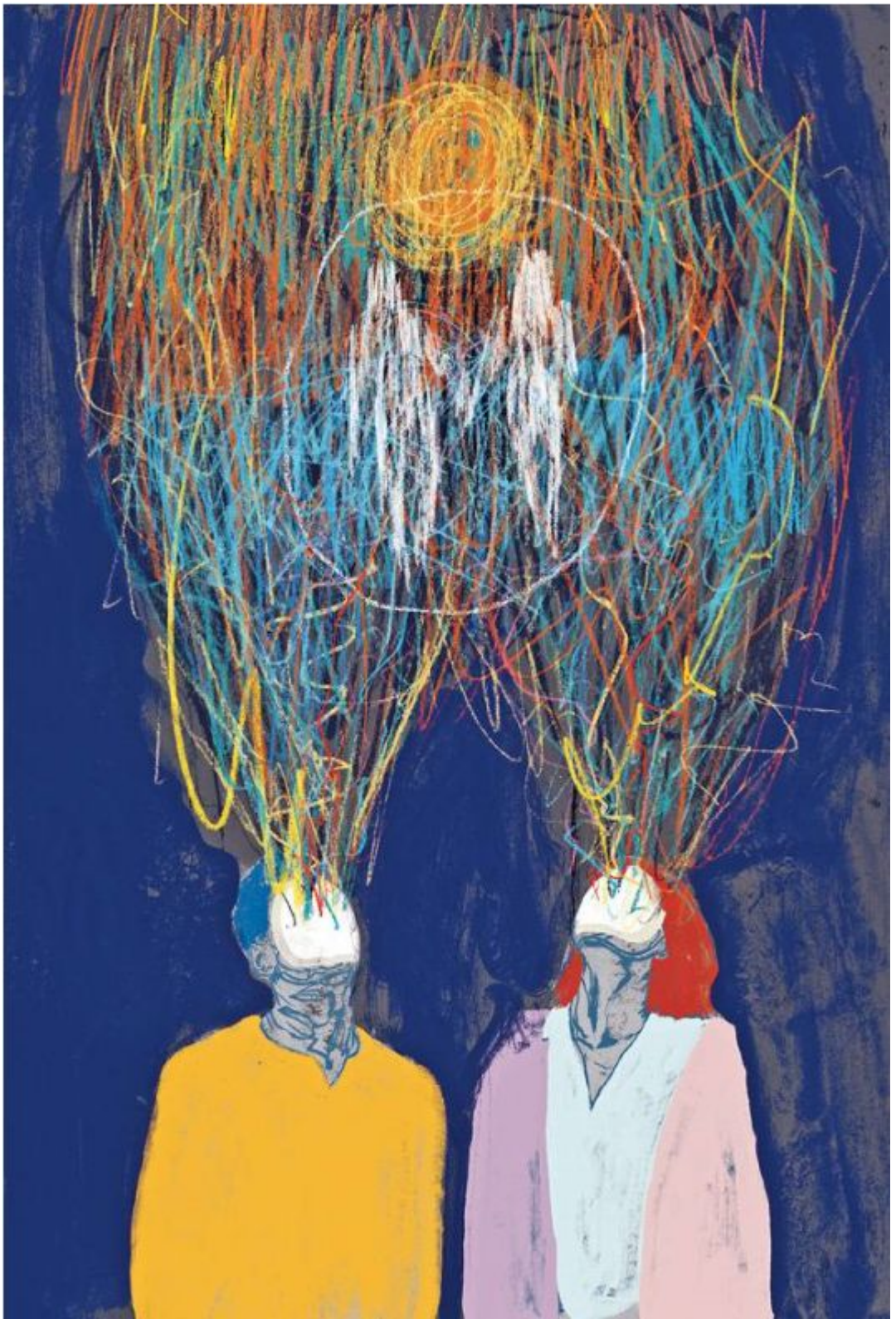
- Pójdziemy do mnie? - zapytał nagle, tak nieśmiały, że aż ją to zdziwiło.

- Jutro nie mam dyżuru w hospicjum. Mam wolny dzień - powiedział to tonem kogoś, kto zdradza cenny sekret.

Barman przyniósł jeszcze dwa piwa, postawił na stole. Uśmiechnął się do niej uśmiechem kogoś, kto chciał, aby się trzymała.

Pojawiały się głosy, aby wprowadzić Mikrobonusy, ułamki Punktów za uśmiechy, puszczanie przodem w drzwiach, komplementowanie obcych ludzi. Ustępowanie miejsc w autobusie. Za mówienie „dzień dobry” i „do widzenia”. Coraz więcej ludzi było przekonanych do tego pomysłu. W końcu to też były dobre uczynki.





# Chemiczne wakacje

DANIEL ODIJA

Jako że nie było nas stać z mężusiem na wakacje naturalne, w końcu zdecydowaliśmy się na najnowszą propozycję chemicznych wakacji. A właściwie ja się zdecydowałam, mężuś był zdecydowany od pierwszych reklam. Bo jak powtarzała moja koleżanka z przelewni:

- Jeśli nie przekonasz samej siebie, przekona cię systematyczny przekaz danych.

W sieci tyle prawili o wakacjach chemicznych, że w końcu przestałam się wahać i zastosowałam się do argumentów mężusia.

- Myszko słodka, należy rozpatrzyć sytuację rozsądkowo - przekonywał. - Nieustająca pandemia i kolejne wojny znacząco wpłynęły na świat. Skończył się czas otwartych granic i tanich lotów, a tranzytowość pociągowa obarczona została ryzykiem wybuchających szyno-torów. Niebezpiecznie przemieszczać się z miejscówki na miejscówkę, szczególnie za granicą. Wojacy wszelkiej maści i umundurowania biegają w tę i z powrotem, strzelając tam i siam. Paszporty straciły na ważności. W dodatku szalejąca inflacja drastycznie zmniejszyła wartość wirtualności, że mało kogo stać na realny urlop.

Nie lubiłam, gdy się wymądrzał. Zawsze nagiął sytuację do własnych potrzeb. Nie ruszaliśmy się, a raczej on nie ruszał się z domowni już od dawna. Zresztą jak większość społeczeństwa. No bo po co, skoro wszystko było na miejscu? Wystarczyło połączyć się biozłączem z siecią, by żyć życiem pozornym, ale tak dobrze odtworzonym, że prawdziwszym od prawdziwego. No chyba że rwało zasięg, tym samym przerywając złudną prawdziwość wirtualności.

Ostatnio z powodu wojen i burz piaskowych to rwanie zdarzało się coraz częściej. Wtedy mężuś nie mógł płynnie nurkować w wirtualności.



tach. Mazgał się, że gdy przerywało mu zanurzenie, tracił swoje wirtuodbicie i przez jakiś czas czuł się pozbawiony wszystkich zmysłów. Tkwił w bezdennej pustce. Dopiero po kilkudziesięciu oddechach orientował się, kim i gdzie tak naprawdę był. Ale gdy tylko rozpoznawał siebie prawdziwego, realnego, osadzonego w dotykalnej rzeczywistości naszej domowni, zazwyczaj wracał zasięg. I mąż znowu zastępował siebie wirtuodbiciem, a domownię wirtuświatem.

Mnie z kolei wyrwy w zasięgach martwiły ze względów czysto estetycznych. Znikały nakładki odmładzające twarz. Gdy rwało zasięg, w miejsce mnie dwudziestoparoletniej pojawiałam się ja aktualna, czterdziestosiedmioletnia. Jeszcze nie stara, ale już na pewno nie młoda. Bez wirtumaski ta niemłodość była irytująco widoczna. By się nie zadręczać, skorzystałam z porad zamieszczonych na psychostronach. Wysłuchałam, że wirtumaski to nie tylko kwestia przyzwyczajenia, lecz rodzaj samooszukiwania się. Na szczęście uświadomienie sobie tego nie wymagało ode mnie drastycznych postanowień. Nie sugerowano, by od razu zrezygnować z nakładek, nawet jeśli ich automatyczne odświeżanie pochłaniało sporą część domowego budżetu – zresztą przeznaczałam na ten cel wyłącznie wirtukasę z ograniczonym terminem ważności. Po prostu nie powinnam za bardzo się przejmować. Ale gdy wirtumaska znikała w obecności innych i dopadała mnie potrzeba ukrycia się, z pobłażliwym zrozumieniem zalecano, bym chowała się w najbliższej toalecie i tam czekała na powrót zasięgu. Tu muszę przyznać, że przebywałam wśród ludzi dość często, bo przynajmniej cztery razy w tygodniu, kiedy to wychodziłam do przelewni.

Jak dobrze, że miałam przelewnię! Nie każdy miał pracę z uwagi na jej umaszynowanie. Większości się to podobało. Nawet ich rozumiem. Nie musieli nic robić poza trwaniem w domowniach i prowadzeniem wymienności wirtukasy, by mieć na wirtużycie. Ale ja lubiłam te moje wyjścia do przelewni. Być blisko realności. Lubiłam przyglądać się ludziom i rozmawiać z nimi.

Do przelewni przychodziła przede wszystkim biedota. Oddawali krew za wirtukasę z krótkim terminem ważności. Niektórzy zjawiali się tu nawet co tydzień. Odciskiem palca zgadzali się na przelewanie pół litra, czyli równowartości miesięcznej porcji. Tygodnicy, jak zwailiśmy ich z koleżanką, chudli i bledli w tempie nierokującym nadziei na długie życie. No ale skoro napłodzili potomstwa, a pracy było coraz mniej, bo

głównie wykonywały ją cyborgi, to krew trzeba było przelewać, by mieć co jeść. Kiedyś zastanawiałam się, dlaczego w przelewniach wciąż zatrudniają ludzi. Mogli tam przecież ulokować uprzejme androidy, jak to zrobiono w domach postępującej starości. Ale koleżanka wytłumażyła mi:

- Starzy mają stare oczy i w umieralniach słabo widzą oczy androidów. No a w przelewniach ludzie lubią sobie pogadać, popatrzeć w oczy drugiego człowieka, znaleźć w nich potwierdzenie, że dobrze robią, poświęcając się dla bliskich i wojennych.

Z tymi oczami to faktycznie było coś na rzeczy. Sama miałam kłopoty ze szklanym spojrzeniem androidów. Dla przykładu niby byłam przyzwyczajona do androkurierów zapewniających dostawę spożywczą do domowni, dzięki czemu nie trzeba było szukać jedzenia na mieście. Rzadko się spóźniali, bo wystygły obiad podlegał reklamacji, co oczywiście prowadziło do nadużyć ze strony zamawiających, którzy - jeśli nie sparzyli sobie języka podczas pierwszego kęsa - po skończonym posiłku składali reklamację, że posiłek był zimny, i żądali zwrotu virtukasy. Oczywiście w razie nieuznania reklamacji byli gotowi zwrócić zimny obiad w postaci rzygu. Ale co po rzygu firmie spożywczej? Kogo nakarmisz zwróconym rzygiem? Jak na rzygu zarobisz? Dlatego androkurierów wyposażono w podręczne mikrofalówki, by w razie opóźnień mogli podgrzać dostawę tuż przed zadzwonieniem do drzwi.

Niby byłam do nich przyzwyczajona. Zawsze uprzejmi i uśmiechnięci, no i bardzo podobni do ludzi, tak podobni, że ich wygląd przekraczał granice naturalności, naznaczając ich oblicza i sylwetki ledwo wyczuwalną, ale jednak odczuwalną sztucznością. I właśnie ta ich sztuczność mnie uwierała. Ta ich zbyt gładka cera, której nie musieli retuszować virtumaskami. No i te ich oczy. Patrzyły i rejestrowały, ale same z siebie nic nie oddawały, żadnego ciepłego uczucia, nic z tego co zachodziło między ludźmi. Kontakt ograniczał się do odbioru towaru, zdawkowych podziękowań, pożegnania. Nigdy nie poddałam się ułudzie, że mam do czynienia z człowiekiem. Androkurier był dla mnie wyłącznie maszyną.

Oczy oczami, ale ja uważałam, że w przelewniach ludzie chcieli mieć do czynienia z ludźmi tylko dlatego, że cyberpielęgniarki nie zgodziłyby się na zbyt częste oddawanie krwi. Jako maszyny zaprogramowane na posłuszeństwo przestrzegałyby zaleceń Ministerstwa Zdrowia, które

ostrzegają, że nadmierne przelewy mogą spowodować wysuszenie i w efekcie doprowadzić do zgonu. Hipokryzja polityków! Wiedząc, że z powodu nieustających wojen rosło zapotrzebowanie na krew, nakazywali przydzielać do przelewni wyłącznie ludzi. Wychodzili ze słusznego założenia, że ci w imię ludzkiej solidarności będą łamać odgórne zalecenia. Pomijałyśmy z koleżanką fakt, że większość tygodników oddawała krew nie dla ofiar wojen czy potomstwa, lecz by wirtualnie wymienić na cyfronarkosy potęgujące w sieci odczucia wszystkich pięciu zmysłów. Jeśli chodzi o farmakologiczne stymulanty, konta przelewni gwarantowały najlepszy przelicznik.

W każdym razie, obserwując los tygodników, wmawiałam sobie, że nasze życie z mężusiem było lepsze, niż je odbierałam. Bo na co tu narzekać? Mieliśmy przydziałowy pokój o powiększonej powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych. Do tego wytłumione ściany i najlepszy z możliwych przesył bajtów. Nie musieliśmy ruszać się z miejsca, z czego mążus skwapliwie korzystał. Od kilku lat był bez pracy, gdy w ramach robotyzacji zastąpiono go robotami na taśmie produkcyjnej wytwarzającej roboty. Dostał odprawę równą trzyletniemu wynagrodzeniu. A teraz, by nie opuszczać domowni, zarabiał na handlu swoimi dłońmi i stopami. Raz do roku amputowano mu je i dzięki przeszczepom komórek aksolotlów w ciągu trzech, czterech miesięcy regenerowały się do punktu wyjściowego. Gdy odzyskiwały pierwotną sprawność, mążus znowu mógł je wymienić na wirtualność.

Jego dłonie i stopy trafiały do tych wszystkich ofiar wojen i wypadków, które nie chciały mechanicznych protez, a były uczulone na komórki aksolotlów, przez co nie mogły korzystać z dobrodziejstw biologicznej odbudowy utraconych kończyn. Gdyby nie czerpane profity, można by rzec, że mążus poświęcał się dla innych. Ale nie dla mnie. Dlatego czułam rozgoryczenie, gdy przekonywał mnie, że nie stać nas na nic, a w szczególności na wakacje poza granicami naszej domowni. I choć w duchu uważałam, że po tylu latach niewyjeżdżania mogliśmy choć raz zaryzykować realne wakacje, to gdy mieliśmy o tym zdecydować, za każdym razem ulegałam jego argumentacji.

A cała ta moja uległość przez sentymenty. Wciąż tliła się we mnie iskierka dawnego uczucia. Przesądzał o tym jeden szczegół. Gdy mążus mówił, musiałam zerkać na jego siekacze. Kiedyś, dawno temu, tak bezdennie zamiłowałam się w ich błysku, że oddałam mu swoje pierwsze

futerko. W końcu komuś trzeba było, aby pierwsza chuć nie zmarniała przez przydługie oczekiwanie na rozdziewiczenie. Mogłam przecież przeoczyć ten najpotężniejszy moment bólorozkoszy, której – jak twierdzili seksuolodzy – doświadczały wyłącznie nastolatki. Później podobno była to zaledwie słaborozkosz, jakaś spóźniona i wyblakła. Podobno, bo nie wiem, skoro się nie spóźniłam.

Ach, jacy wtedy byliśmy młodzi! Jemu ledwo puścił się pierwszy meszek, mnie pierwsza mechacina. A gdy uczynił ze mnie kobietę, jego pewność siebie przekonała mnie, że spotkałam wielką, niepowtarzalną miłość. Wskazywały na to pierwsze lata naszego małżeństwa. Wycieczki do realnych krajów, wyjścia do realnych restauracji, prawdziwy seks, częsty, długotrwały i namiętny. No ale od kilku lat nie miałam już złudzeń. A od kilku miesięcy byłam pewna. Naszą miłość dopadł kryzys. Może dlatego, że nie mieliśmy potomstwa. Rozsądek nie pozwalał mieć. W tych czasach się nie opłacało.

No ale teraz pozostaliśmy wyłącznie sami dla siebie. I gdy zerkiałam na siekacze mężusia, coraz silniej uwierało mnie postępujące zniechęcenie. Nie błyskały tak lśniąco jak dawniej. Zżółkły wyraziście i stępiały. Nie były już tak powabne jak wtedy, gdy powabne były. Hodowla, którą mężuś uprawiał w płaskiej, szerokiej doniczce, gdzie w sztucznie wypreparowanym galaretowanym działśle zasadzał każdy wypadły ząb, by mógł z niego wyrosnąć nowy, okazała się niewypałem. W miejsce starych wyrastały tak samo stare. Z kolei drukowane kruszyły się i nie można było do nich podłączyć biozłącza weryfikującego przelewy wirtualności. Prawdę mówiąc, mógłby sobie drukowane wstawić, skoro ostatnio tylko ja odpowiadałam za nasze finanse. Od dobrych kilku miesięcy mężuś był niewypłacalny. Podejrzywałam, że to ze sknerstwa – znałam go nie od dziś – ale on przekonywał, że dłonie i stopy już tak szybko się na nim nie regenerują i dlatego nie ma co sprzedawać.

- Lat przybywa, a nie ubywa, organizm ma prawo się zużyć – bąknął z niejakim zawstydzeniem, rozkładając przy tym dłonie. - Nie nadążam za zapotrzebowaniem.

Te dłonie też ostatnio sobie wydrukował w miejsce naturalnych, które sprzedał, tym samym pozbywając się linii papilarnych oryginałów. Efekt? Rękodruków nie można było zeskanować, by dokonać przelewów wirtualności. Albo inaczej – mógł je skanować do woli, ale bez linii papilar-

nych nie było odczytu uruchamiającego przelew. Dodatkowo w rękodrukach brakowało pulsu, na który reagował skaner.

I to jego irytujące tłumaczenie się.

- Zrozum, moja myszko, mam ostatnio ograniczony dostęp do płatności - machał mi przed twarzą drukowanymi atrapami rąk. - Proszę, zapłać za nasze chemiczne wakacje - kwilił przymilnie, a jego siekacze zółciły się jakoś nieprzyjemnie.

Miałam ochotę spojrzeć mu w oczy, ale nie zrobiłam tego. Bałam się w nich zobaczyć coś, co by mnie jeszcze bardziej zniechęciło do przebywania w małżeństwie. Widocznie byłam niedzisiejsza. Większość małżeństw rozchodziła się, zawierając kolejne tylko po to, by spotkać się na weselu z realnymi ludźmi. Ciągle rezygnowałam z tej możliwości. Wciąż chciałam ratować naszą miłość, nawet jeśli mąż uważał, że wszystko jest w porządku.

Jak twierdziły reklamy, chemiczne wakacje gwarantowały odzyskanie uniesień młodości. Postanowiłam zaryzykować i przelałam pierwszą transzę virtukasy. Do przelewu wybrałam opcję odczytu siatkówki. Specjalnie. Byłam ciekawa, czy mąż jakoś zareaguje. To była ostatnia z opcji dokonywania płatności, jaka mu została. Po cichu liczyłam, że powie coś w rodzaju: „Daj, ac ja tym razem przeleję, a ty poczekaj. W końcu to ja cię zapraszam, no nie?”.

Ale nie, milczał wymownie. Próżne nadzieje. Przynajmniej nie tłumaczył się absurdalnymi argumentami jak ostatnio, że ma zapalenie spojówek i bioskaner nie jest w stanie odczytać siatkówki. Albo że hoduje rogówkę dla biorcy i jego oczy nie nadają się do odczytu. Nie chciało mi się patrzeć w te jego oczy... W sumie, gdyby tak się zastanowić, to nie patrzyliśmy sobie w oczy od... ośmiu, dziewięciu miesięcy? Ech, dużo by gadać.

W każdym razie pierwsza transza na chemiczne wakacje gwarantowała wstępną rozmowę i próbną podróż. Wysłałam z założenia, że być może to, co podkręcało mojego mężusia, podkręci i mnie.

- Przede wszystkim gratuluję decyzji - pojawił się virtuekspert. - Lepiej nie mogliście wybrać! Pozwólcie, że będę zwracał się do was po koleżeńsku. To ułatwia kontakt, prawdaż?

- Prawdaż! - wykrzyknął z entuzjazmem mąż.

- Zatem jesteście kumplami! - virtuekspert zaśmiał się promiennie, a jego postać rozbliła barwnymi emanacjami przyjaznej aury. - Bo muszę wam oznajmić, że nasza oferta gwarantuje odzyskanie wszelkich psychofizycznych doznań, które tępieją z wiekiem.

Uderzyła mnie jego bezczelność. Nie dość, że wypomniał nam nasz wiek, to w dodatku zajmował prawie cały pokój. Specjalnie wyolbrzymiony, by nas pomniejszyć? Mężusiowi to nie wadziło. Mnie za każdym razem uwierało panoszenie się virtugości w przestrzeni zastrzeżonej dla zwykłego życia. Ale postanowiłam zdzierżyć.

- Spełniamy marzenia, które sami sobie wizualizujecie - virtuekspert rozłożył ręce i wybuchły z nich obłoki egzotycznych miejsc: miast, gór, morza, czystego błękitnego nieba, za którym tak tęskniłam.

- Nie za bardzo rozumiem - wtrąciłam, bardziej poirytowana tym, że mówi sloganami reklam, niż faktycznym nierozumieniem tego, co mówił.

- Ech, kobiety - przewrócił oczami, co pewnie miało pozyskać przychylność mojego mężusia.

- Tak, kobiety - uśmiechnął się mążus, wyrozumiale wzdychając.

- Zawsze skrupulatne - puścił oczko virtuekspert, trwając w tej męskiej komitywie. - Ale oczywiście pędzę z wyjaśnieniem!

Zaczął biec przez zmieniające się krajobrazy.

- Napływ chemii, którą dostarczymy przez virtunatryski - radośnie wykrzykiwał - sprawi, że to, co sobie pomyślicie, zostanie przerejestrowane i odtworzone w czasie rzeczywistym.

- W czasie rzeczywistym? - wydukał jakby zaskoczony mążus.

- Ujmę to samo inaczej - virtuekspert przerwał bieg i uśmiechnął się pobłaźliwie. - Wymarzone przez was miejsca i czynności zostaną odczytane przez cyfroskanery i odtworzone w tym samym momencie, w którym o tym pomyślicie.

- Czy nie jest to zbyt... - mążus szukał słów.

- Pochopne, zaskakujące, re-we-la-cyj-ne?! - wykrzykiwał virtuekspert. - Jak najbardziej! To efekt najnowszych możliwości przeliczeniowych naszych serwerów. Nadążają za ludzkim umysłem. Efekt? Obrazy waszych myśli natychmiast zaistnieją w przestrzeni. Więcej! Wiadomo, że każdy ma swoje odrębne marzenia. A my jesteśmy w stanie odczytać

je równocześnie, porównać jedno marzenie do drugiego, nałożyć na siebie i wyświetlić wypadkową, która zadowoli jedną i drugą stronę.

- Obrazy naszych myśli będą nakładać się na siebie? - powtórzył bezwiednie mąż. Był wyraźnie zaniepokojony. Trochę mnie to zdziwiło. Przecież to on pragnął chemicznych wakacji, nie ja. Czyżby nie zapoznał się z procesem, który miał zapewnić wymarzony urlop? Wymarzony przez niego, nie przeze mnie.

- Oczywiście nie muszę zapewniać, że odtworzenie wymarzonego miejsca będzie perfekcyjnie wiarygodne - stonowanym głosem dodał virtuekspert. - Równie rzeczywiste jak rzeczywistość, ale trochę lepsze, bo pozbawione ryzyka fizycznego uszkodzenia, na jakie podczas realnych podróży narażamy nasze ciała. Dodatkowo chemiczne opary wywołają nastrój wzmożonego zadowolenia. I jeszcze jedno udogodnienie! W przypadku, gdy nie będziecie mieć pełnej wiedzy o wymarzonym miejscu albo nie będziecie dokładnie pamiętać miejsca, do którego po latach chcielibyście wrócić, nasze bioczynniki i skanery umysłowo-mózgowe uzupełnią luki w waszym wyobrażeniu urlopowego raju. Wypełnią je geograficznym odpowiednikiem istniejącym realnie. Przy czym wykluczą jego wady, zapelniając przestrzeń urlopową wyłącznie najprzyjemniejszymi plastrami waszych pragnień. Ma to zapewnić pełny komfort wypoczynku.

- Czy dobrze zrozumiałam? - w końcu udało mi się wtrącić. - Wspomnienia też mogą mieć wpływ na wygląd miejsca, w którym będziemy przebywać?

- Jak najbardziej! Co tylko wspomnicie!

- A czy może ukazać się naszym oczom coś, czego nie chcemy wspominać, ale jednak o tym pomyślimy? - spytał mąż.

- Może się ukazać. Ale filtrujemy wspomnienia nieprzyjemne, odtwarzając wyłącznie przyjemne. Przecież chodzi o wypoczynek, a nie męczarnie, prawdaż?

- Prawdaż - burknął mąż.

- Czy jakąś psychodramę, prawdaż?

- Prawdaż - ponownie potwierdził mąż i tym razem bez entuzjazmu.

Czyżby targały nim jakieś wątpliwości?

- Wystarczy już tej wielozdaniowości - zrymowałam wypowiedź z własnymi myślami. - Przejdźmy do wycieczki.

- Jak sprytnie powiedziane! - klasnął ubawiony virtuekspert. - Przejdźmy do wycieczki, chi, chi, chi...

- Jesteś pewna? - spytał mnie mąż. - Może jednak...

- Żadnego jednak. Skoro od lat nigdzie nie wyjeżdżamy, to choć tym razem poudawajmy, że gdzieś pojedziemy.

- Proszę mi wybaczyć - wyrwał się virtuekspert. - Tu nie ma żadnego udawania...

- Nie pytałam cię o zdanie - przerwałam mu bezpardonowo i zwróciłam się do mężusia. - Zresztą kto płaci za cały ten cyrk, ja czy ty?

- Ty - przyznał skruszony, jak zwykle patrząc gdzieś w bok.

- To zaczynamy - zdecydowałam.

- Wspaniale! - krzyknął virtuekspert. - Co na początek?

- Lato, pusta plaża z jasnym piaskiem i morze - szybko wydałam polecenia, kątem oka dostrzegając, jak mąż nerwowo wydyma i wciąga wargi.

- A może jednak góry? - jęknął prosząco.

- Nie lubię gór.

- A mnie morze może, wiesz przecież, może morze - zaciął się nerwowo. - Ja nie umiem pływać!

- Wiem, nie musisz. Możesz się opalać. Ma być morze - zdecydowałam.

- Gwarantuję, że wypadkowa waszych życzeń będzie doskonała! - krzyknął entuzjastycznie virtuekspert. - Proszę wygodnie się rozsiąść i zrelaksować. Nasze virtunatrzyki i bioczujniki wyszukały waszą lokalizację i rozpoznały wszystko to, co dotąd lubiliście, tak więc profil waszych pragnień natychmiast został dostosowany do waszych potrzeb. Zaczynamy! Wystarczy uruchomić wyobraźnię, a my odpowiednio ją urealnimy! Miłej podróży! *Bon voyage! Have a nice trip!*

Ostatnie słowa usłyszałam przez gęstniejącą zasłonę materializującej się plaży. Była pusta, jak sobie życzyłam, i miała biały piasek. Delikatnie falujące morze szumiało kojącym rytmem. Leżeliśmy z mężusiem na leżakach. Na niebie rozkwitały chmury przypominające góry, nie przesłaniały jednak słońca, które przyjemnie grzało skórę. Rym „chmury-góry” mocno mnie rozweselił. Bardzo też podobały mi się



piaszczyste klify o wysokości jakichś pięćdziesięciu metrów. Ich płaskie szczyty porastały wielkie stare buki. Ostatnim strzępem świadomości, że być może przeżywamy coś, co istnieje pozornie, domyśliłam się, że zarówno chmury-góry, jak i klify były efektem kompromisu moich wspomnień i marzeń ze wspomnieniami i marzeniami mężusia.

- Nie jest tak źle - westchnął z zadowoleniem.

- Jest wspaniale - uśmiechnęłam się.

W tym momencie poczułam zapach morza. Świeże wodorosty, metaliczną woń żywych ryb. Mewy śmieszki śmiały się nad naszymi głowami. I ja się roześmiałam. I mężuś uśmiechał się ze swojego leżaka. Jego siekacze błysnęły, jak błyskały wtedy, gdy byliśmy bardzo młodzi. I tę młodość poczułam w sobie.

- Może chcesz, bym nasmarował cię olejkiem do opalania? - zaproponował.

- Wziąłeś ze sobą olejek?

- Nigdy nie zapominam, gdy idziemy na plażę.

- To bardzo miłe z twojej strony - uśmiechnęłam się.

Lekko wstał z leżaka i ja wstałam. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie. Ach, jak on pachniał młodością! I te jego siekacze! Miałam wielką ochotę go pocałować, ale on umiejętnie dozował narastające między nami napięcie. Uchylił się przed pocałunkiem i delikatnie odpiął mój staniczek, który opadł na piasek, odsłaniając moje drobne piersi. Nie dotknął ich, choć bardzo tego pragnęłam. Kiedy ostatnio ich dotykał? Nie pamiętam. Ale teraz bardzo podobało mi się to przeciąganie chwili, która - dobrze o tym wiedzieliśmy - musiała w końcu znaleźć spełnienie w naszym pożądaniu. Mężuś przyklęknął i zdjął moje majteczki. Opadły na piasek lśniący słońcem.

- Połóż się - mruknął uwodzicielskim głosem. - Najpierw wysmaruję ci plecy.

U swych stóp zobaczyłam ręcznik ze wzorem dwóch połączonych ze sobą serc. Ta kiczowata aluzja do miłości bardzo mi się spodobała. Położyłam się brzuszkiem na sercach. Ach, jak miło było ocierać się o miękki materiał, przeciągnąć się i poczuć delikatne dłonie mężusia na plecach. Zaczął masować mi łopatki jak za dawnych dobrych lat. Szum morza i rozległe niebo kołysały moje myśli, dotyk dłoni mężusia rozluźniał mięśnie. Zapadałam w przyjemną błogość. Mewy śmieszki uśmiechały

się, zawisły nad naszymi głowami unoszone na posłaniu z powietrznych pływów. Marzyłam, że jestem jedną z nich i szybuję nad światem. Śmiałam się z nimi tym ich ptasim śmiechem.

Ale wtedy coś w ten mój śmiech się wdarło. Inny śmiech, nie ptasi, jak najbardziej ludzki. Otrząsając się z rozmarzenia, usłyszałam, że ten śmiech był śmiechem jak najbardziej męskim. Dochodził z pewnej odległości i zbliżał się. To nie był śmiech mojego mężusia. I nie był to śmiech jednego mężczyzny, lecz kilku.

Ocknęłam się, by spojrzeć, i zobaczyłam. Podbiegło do nas trzech. Szybko usiadłam i zakryłam się ręcznikiem, ale oni nawet na mnie nie spojrzeli. Dla nich istniał tylko mężuś. Stał skamieniały i uśmiechał się wbrew własnej woli.

- Cześć, kudłatku! - pierwszy z mężczyzn dotknął jego ramienia. Właściwie to był chłopiec, mógł mieć jakieś osiemnaście lat. - Dawno cię tu nie było.

- Witaj, całusku - cmoknął go w policzek drugi mężczyzna, coś koło trzydziestki. - W końcu jesteś!

- Dobrze cię widzieć, słodki czupurku! - wytarł mu czuprynę mężusia ten trzeci, najstarszy. - Nie ma to jak znowu się spotkać.

- A to kto? - wesoło spojrzał na mnie najmłodszy. - Kobieta?

- Co ona tu robi? - zachichotał najstarszy, obrzucając mnie wzrokiem, w którym zobaczyłam rozbawienie.

Drżałam owinięta ręcznikiem, próbując powstrzymać śmiech, który ogarniał mnie wbrew temu, co czułam. A za bardzo nie wiedziałam, co czuję. Na pewno nie radość, choć usta wykrzywiały mi bezwolny uśmiech.

Czułam raczej coś w rodzaju zaskoczenia, zawodu, a może potwierdzenia podejrzeń, jakie od miesiący we mnie narastały. Jedyne, co teraz mogłam myśleć, to zapętłone pytanie: „Co się dzieje? Co się dzieje?”.

- To nie tak, jak myślisz - powiedział mężuś kwestią z taniego romansu.

- A jak? - spytałam najgłupiej, jak można było, i histerycznie zachichotałam.

- Ich tu nie ma - nawet na mnie nie spojrzał, uśmiechając się do mężczyzn.

- Jak to nie ma, skoro są? - wskazałam stojącą trójkę. W milczeniu patrzyli to na mnie, to na mężusia. Roześmiani jak my, choć ten nasz wspólny śmiech był taki męczący.

- To pewnie przez chemię i odczyty naszych mózgów - te słowa mężusia mnie ocuciły. Nagle spadła zasłona urojenia. Znowu wiedziałam, gdzie jesteśmy i w czym się znajdujemy.

- Nie da się ukryć zmaterializowanych myśli, co? - wysiliłam się na sarkazm, gdy ponownie zorientowałam się, że tkwimy w chemicznych wakacjach. W końcu też udało mi się nie zaśmiać.

Mężuś patrzył na mężczyzn, ale jakby przez nich, przynajmniej tak mi się zdawało. Wciąż unikał mojego wzroku.

- Emocje obudziły wirtuzwidy - dodał w zamyśleniu.

- Wirtuzwidy? Nie wyglądają na zwidy! Kim oni są?! - krzyczałam. - Twoimi wspomnieniami czy marzeniami? A może po prostu kochankami? Aktualnymi! Od miesiący się nie kochamy.

- Myślisz, że teraz wszystko wiesz?

- Więcej niż przed chwilą - burknęłam.

Mężuś spojrzał w niebo. Głęboko westchnął. Już nie widziałam go odmłodzonego. Wstałam, by podejść i spojrzeć mu w oczy. Niech powie całą prawdę, patrząc mi w oczy! Gdy tylko uczyniłam pierwszy krok, drogę zagroziło mi dwóch mężczyzn. Trzydziestolatek i ten starszy. Zawahałam się. Zasłaniaли mi mężusia i najmłodszego, ale ponad ich ramionami zobaczyłam, że chłopiec chwyta mężusia za rękę, odwracając się do mnie plecami i idą w kierunku morza.

- Dokąd idziesz? - krzyknęłam. - Stój, słyszysz?

Gdy weszli w wodę po szyję, zdecydowałam. Ruszyłam przed siebie. Trudno, niech ta dwójka spróbuje mnie zatrzymać, nie dam się. Naparłam na nich przekonana, że będę musiała walczyć. Ale wtedy stało się coś niespodziewanego. Zamiast się szarpać, przeniknęłam przez nich jak przez powietrze. A więc nie istnieli? Kim więc byli? Marzeniami mężusia? A może przypominaną przez niego rzeczywistością, która w chwili rozkosznego pobudzenia wdarła się w nasz urlop? A może inaczej. Może to moje obawy i podejrzenia powołały ich do życia. W takim razie dlaczego mężczyzn, nie kobiety? Zresztą czy płęć miała tu jakiegokolwiek znaczenie? Chodziło o obecność kogoś, kto mi odbierał miłość. Poczułam straszny kołowrót myśli i, by nie tracić czasu na próżne ana-

lizi, powiedziałam sobie „stop!”. Musiałam to powiedzieć, by móc działać. Przecież w morzu zniknął mi mąż! Ponad wodę wystawała już tylko jego czupryna.

- Stój! - wołałam za nim. - Słyszysz?

Wbiegłam w morze po kolana, pas, piersi, usta, zanurkowałam, by wyciągnąć go na brzeg i zrobić sztuczne oddychanie, gdyby zaszła taka potrzeba. Byłam gotowa go uratować tylko po to, by przyznał się do wszystkiego, przed czym uciekał. Ale zaraz po zanurzeniu zrobiło mi się ciepło i miło, radośnie jakoś i jednocześnie spokojnie. Skuliłam się, jak pewnie kuliłam się w brzuchu matki. I zaczęłam przysypiać. Oddychałam wodą jak powietrzem. Po którymś z tych błogich wdechów i wydechów ocknęłam się w domowni. Mąż siedział obok mnie. Przed nami unosiła się postać virtueksperta. Na jego widok natychmiast poczułam rozdrażnienie.

- Wyczuwam napięcie - zagadnął ostrożnie. - Wasze odczyty wykazują niezadowolenie z wakacji. Czyżby coś poszło nie tak?

- Możesz zniknąć? - syknęłam wściekła.

- Oczywiście, rozumiem, domyślam się - rozłożył ramiona. - W ramach ewentualnej gwarancji możemy zaproponować gratisową wycieczkę, ale oczywiście tylko jedną.

Wyrwałam wtyczkę komputera z kontaktu. Natręt zniknął. Byliśmy z mężusiem sami w pustej domowni, bez virtugości. Tylko on i ja. Nie pamiętam, kiedy tak się ostatnio zdarzyło.

- Jesteś? - spytałam.

- Jestem - odpowiedział automatycznie.

Jego głos zabrzmiał mi obco, pusto, jakby nie był jego. Myśli zderzały się o siebie, kreując najtrudniejsze pytania. Czy następowało to, czego od miesięcy się obawiałam? Koniec nas. Jego i mnie. Koniec naszego małżeństwa? Przeoczyłam odejście mężusia? A może ta jego wymienność dłoni i stóp w końcu i jego mi wymieniła? Zachodziła jeszcze jedna możliwość. Mąż podstawił mi zamiennika, który go tylko udawał, i dzięki temu już od dawna żył gdzieś na swojej wymarzonej plaży.

To byłoby najgorsze. Ale możliwe. Kilka lat temu zamienniki weszły do społecznego obiegu. Były dużo droższe od virtumasek i virtunakładek na całe ciało, ale też precyzyjniej dublowały człowieka. Wystarczyło

wykupić dostęp do hiperszybkiego virtuskanera, który w ciągu ułamka sekundy cyfryzował mózg i umysł jeden do jednego. Następnie cyfrowe dane materializowano w postać duplikatu łądząco podobnego do duplikowanego podmiotu. Tkanki duplikatu były syntetyczne, choć sprawiały wrażenie organicznych. Może dlatego mężuś ostatnio tak skąpił virtukasy, bo wszystko wydał na zamiennika? Albo inaczej. Jeśli mężczyzna, który przebywał ze mną w domowni, faktycznie był zamiennikiem mężusia, to tym bardziej nie mógł dokonywać przelewów. Bioczytniki virtukasy nie akceptowały syntetycznych atrap pozbawionych pulsu.

Zamienniki miały jeszcze jedną wadę. Chyba najważniejszą, choć nie do końca sprawdzoną. Co prawda miały pamięć i organiczne nawyki oryginału, ale zdaniem biotechnologów nie potrafiły okazywać uczuć wyższych. Może dlatego mężuś unikał ze mną seksowości. Unikał też spojrzeń w oczy.

- Spójrz mi w oczy - powiedziałam twardo, gotowa wyjaśnić sprawę raz na zawsze.

Spojrzał. Zadrżałam. Niby jego, ale... Nie byłam pewna. Jego oczy były jak jego, a jednocześnie zaledwie niby-jego. Przecież potrafiłam wyczuć atrapy. Tym razem nie byłam pewna.

- Kim jesteś? - spytałam.

- Sobą - odpowiedział bez mrugnięcia powieką.

- No tak - westchnęłam.

Nie spodziewałam się innej odpowiedzi. Uśmiechnął się do mnie.

- Myszko moja, przecież wiesz, jak to jest - wyciągnął rękę, by dotknąć mojej dłoni.

Nie podałam mu swojej. Czułam się bardzo, bardzo samotna.





# Forma

BARTOSZ SZCZYGIELSKI

- 7-2-7, otwórz oczy.

Przyjemny, lekko metaliczny głos budził go codziennie dokładnie o tej samej porze. Wszystko w życiu 7-2-7 zostało zaplanowane. Co do sekundy. Przeciągnął się, odłączył zestaw pożywczy od przedramienia i usiadł na koi. Zawsze, kiedy odłączał się od pokarmu, czuł mrowienie w całym ciele, ale uznawał to za niewielką cenę za to, co otrzymywał w zamian. Pełnowartościowy posiłek dostarczany bezpośrednio do organizmu, kiedy on smacznie spał. Oszczędzał dzięki temu wiele czasu, który mógł teraz przeznaczyć na to, by dać coś od siebie.

- Twoje wyniki są niepokojące - głos rozbrzmiewał echem w pomieszczeniu. - Nieregularny oddech i zaburzenia w fazie REM wskazują na koszmar senny. Miałeś koszmar, 7-2-7.

Wiedział, że to nie było pytanie. Głos nie zadawał mu pytań, a jedynie stwierdzał fakty. I nigdy się nie mylił, a przynajmniej on nie miał podstaw sądzić, że jest inaczej.

- Nie wiem - przyznał szczerze. - Nie pamiętam, żeby cokolwiek mi się śniło.

- Do twojego posiłku zostanie dodana melatonina. Jakość snu ulegnie poprawie w trzy do pięciu dni.

- Dziękuję.

Podniósł się z koi, a ta automatycznie złożyła się i schowała w ścianie, dając mu przestrzeń na wykonanie porannych ćwiczeń. Pokój, w którym spędzał swoje życie, urządzone ze smakiem. Ściany zostały pokryte wielkimi białymi taflami szkła, które czyściły się automatycznie, kiedy 7-2-7 wychodził do pracy. Jak miał gorszy dzień, kolor pokoju

mógł zmienić się na pomarańczowy, a nocą stawał się granatowy. System dbał o niego, a on dbał o to, by system działał.

Dopełniali się.

Rozciągnął się i zrobił kilka przysiadów, by rozruszać lekko zastałe po nocy mięśnie. Nie przyznał się, ale pamiętał swój sen. Chodził w nim po powierzchni, a po jego skórze przesuwaly się promienie słońca. Nie nazwałby tego koszmarem, a marzeniem, którego nie dane mu będzie spełnić. Nikt nie wychodził na powierzchnię, którą ludzkość zdewastowała w imię kolejnej wojny. Zamiast ukojenia i pokoju przyszła atomowa zima, a świat, który 7-2-7 znał tylko z filmów, na zawsze odszedł w zapomnienie. Myślał czasem o tym podczas pracy i wiedział, że jego wkład w system daje nadzieję na lepsze jutro. Pracował na to w pocie czoła, i to dosłownie od lat. Kiedyś próbował nawet policzyć, jak długo, ale nie sięgał pamięcią tak daleko. Niewiele pamiętał ze swojej przeszłości. Pewnego dnia obudził się w swoim pokoju i od tamtej chwili budził się w nim codziennie. Starał się nie myśleć o tym za dużo.

- Trzydzieści - powiedział, kończąc serię przysiadów. - Tętno?

- W normie. Zaczynasz pracę za sześć minut.

- Rozumiem.

Przejechał palcami po zimnych ścianach pokoju, a kiedy szeroko rozkładał ręce, mógł dotknąć ich obu naraz. Nie potrzebował dużo przestrzeżeni. Większość dnia i tak spędzał poza pokojem na swoim stanowisku pracy. Wziął głęboki oddech i stanął przed drzwiami. Te powinny otworzyć się automatycznie, ale tym razem nie zareagowały na jego obecność.

- Drzwi - rzekł głośno.

Przesuwana tafla w identycznym co ściany kolorze dalej nie ruszyła się nawet o milimetr. 7-2-7 przejechał palcami po gładkiej powierzchni. Nigdy nie musiał szukać włącznika i nawet nie wiedział, jak ten miałby wyglądać. Wszystko robiono za niego.

- Drzwi - powtórzył głośniejszym głosem. - Otwórz drzwi.

Nie zamierzał spóźnić się do pracy. Stanowił ważne ogniwo w całym łańcuchu i jeszcze nigdy nie zawiódł, a dziś nie wydarzy się to po raz pierwszy.

- Chwilowe przeszkody.



Głos brzmiał inaczej niż zazwyczaj. Mniej ludzko i ciszej. Zdziwiło go to i poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej. Stresował się, co mogło oznaczać, że przy kolejnym posiłku dostanie inne leki. Raz jeszcze naciśnął na drzwi, tym razem trochę mocniej, a tafla szkła lekko drgnęła. Po paru sekundach drzwi przesunęły się z cichym sykiem.

- Drzwi otwarte - powiedział głos już normalnie. - Miłej pracy.

7-2-7 nie odpowiedział. Wyszedł ze swojego pokoju i rozejrzał się po korytarzu. Wyglądało na to, że problemy dotknęły tylko jego sekcji, ponieważ wokół siebie nie widział innych pracowników sektora energetycznego. Zawsze wychodzili o tej samej porze ze swoich pokoi i udawali się na stanowiska pracy. Dziś 7-2-7 był już spóźniony. Wziął kilka głębokich oddechów i szybkim krokiem ruszył do wind. Wąskie korytarze ośrodka ciągnęły się kilometrami pod ziemią, ale on swoją podróż miał wyjątkowo krótką. Kilkadziesiąt metrów do szybu windy, dwa piętra w dół i praktycznie był już na miejscu. W windzie nie musiał nawet wciskać przycisku. Ta automatycznie zawiozła go na odpowiednie piętro, a kiedy wysiadł, zobaczył, że wszyscy już pracują.

Przed sobą miał gigantyczną halę, która została wypełniona sprzętami do ćwiczeń. Bieżnie stały po lewej stronie, a sekcja z rowerami była po prawej. To tam właśnie spędzał całe dni 7-2-7, dbając o to, by w całym kompleksie nie zabrakło prądu. Lubił myśleć o sobie jak o człowieku, bez którego nastalaby ciemność. Może i był jednym z wielu, ale to oni sprawiali, że cała reszta mogła funkcjonować. Dzięki nim pozostałości świata dalej działały, jak należy. 7-2-7 podszedł do swojego roweru i zalogował się na panelu przy kierownicy. Przywitał go komunikat, że się spóźnił i w związku z tym jego czas pracy zostanie dziś wydłużony o trzy minuty. Zaakceptował to i zajął pozycję. Skinął głową siedzącym obok pracownikom i zaczął pedałowac.

Na ekranie przyczepionym do kierownicy uruchomił się film, gdzie 7-2-7 obserwował swoją podróż przez zielone wzgórza. Ucieszył się, że to właśnie ten film mu pokazano. Jego ulubiony. Czasem oglądał wycieczkę przez jakieś miasto, ale widoki nie były wtedy tak kojące, a jego efektywność mocno spadała. Widocznie system wiedział, że potrzebuje motywacji do tego, by wytworzyć dziś więcej energii niż zazwyczaj. Skupił się na tym, by już na samym początku wpaść w odpowiedni rytm. To pozwalało mu szybciej osiągnąć cel. W ostatnim tygodniu został uznany za pracownika miesiąca i przysługiwał mu za to

dzień wolny, ale 7-2-7 zrezygnował z niego, bo i tak nie miał co robić w swoim pokoju. Praca dawała mu satysfakcję i cel.

Zasilał miasto.

Wytwarzana przez niego energia była magazynowana w akumulatorach, które następnie wykorzystywano w różnych elementach całego systemu. 7-2-7 był dumny z osiągniętych wyników i po cichu liczył też na podwyżkę. Za odpowiednią liczbę watów mógł dostać lepszy posiłek, nowe ubranie, a jeżeli pójdzie mu naprawdę dobrze, może nawet książkę. Widział kiedyś, jak 8-4-3 dostał powieść. Taką prawdziwą, z papieru, a na okładce było jakieś zwierzę. Z tego, co napisali na froncie, to nazywało się pies i było najlepszym przyjacielem człowieka. Pamiętał, jak zazdrościł 8-4-3 tej premii, ale nie dał tego po sobie poznać. Po prostu zaczął pracować ciężiej, co system z pewnością zauważy.

- Hej.

Pracujący obok niego mężczyzna zaczepiał go od kilku tygodni i nie zanosilo się na to, by miał w najbliższym czasie przestać. 7-2-7 z początku starał się go ignorować, ale ten się nie zrażał, więc robił to, co potrafił najlepiej. Skupiał się na pracy. Im więcej ten facet do niego mówił, tym trudniej było mu to robić. Czasem rzucał mu więc jakieś słowa, ale starał się nie wchodzić za bardzo w interakcje.

- Hej - odparł niechętnie.

- Widziałeś dziś 4-4-2?

Mówił tak cicho, że szum pracujących rowerów niemal go zagłuszał.

- Zaczęło się - ściszył głos jeszcze bardziej. - Mówiłem ci. Zaczynają ich zabierać. Jedno po drugim. My będziemy następni.

- Przepraszam, ale muszę się skupić na pracy. Spóźniłem się dziś.

Słyszał to już wielokrotnie, choć w różnych konfiguracjach. Kiedyś 3-2-3 próbował przekonać go do tego, że ich praca jest pozbawiona sensu i system zmusza ich do wysiłku fizycznego tylko po to, by byli w dobrej formie i mieli jakieś zajęcie. Nie potrafił wprawdzie powiedzieć, dlaczego system miały ich oszukiwać, ale twierdził, że kiedyś to odkryje. Do tej pory mu się to nie udało, a 7-2-7 miał już dość teorii, które do niczego nie prowadziły.

- Widziałem to - wyszeptał 3-2-3. - Widziałem, jak zabierali 4-4-2.

7-2-7 oderwał na chwilę wzrok od swojego filmu i spojrzął na pracującego obok mężczyznę. Ledwo pedałowiał, przez co prawie w ogóle nie wytwarzał życiodajnej energii. Wszystko, co pozwalało im żyć w ośrodku, zależało od niej. Powietrze było filtrowane dzięki skumulowanej przez nich energii. Światło i jedzenie też dostawali tylko dlatego, że sami na to zapracowali. 7-2-7 miał ochotę zsiąść ze swojego roweru i pójść do konsoli informacyjnej systemu, by zgłosić zaniedbanie. Nie lubił tego robić, ale jeżeli zostanie do tego zmuszony, to nie będzie miał wyrzutów sumienia. System działał tylko wtedy, kiedy wszyscy przykładali się do swoich zajęć.

- Pracuję - syknął. - A 4-4-2 pewnie jest chory. Zdarzało mu się wcześniej.

- Chory - zaśmiał się. - Pamiętasz, jak wyglądał, kiedy potem wracał? Zupełnie odmieniony, jakby ktoś go wyczyścił do zera.

Nie słuchał go. Wrócił do oglądania swojej trasy na ekranie. Obecnie przejeżdżał nad strumieniem, ale film był bez dźwięku, więc musiał wyobrażać sobie szum przepływającej wody. Zamknął na chwilę oczy i spróbował wyobrazić sobie, że faktycznie jest na zewnątrz. Powietrze musiało smakować tam inaczej niż pod ziemią. Odpłynął na moment w marzeniach, ale został z nich brutalnie wyrwany, kiedy ktoś zatrzymał jego nogę.

- Co jest...?

- Posłuchaj mnie - powiedział 3-2-3, który stał teraz obok niego i trzymał go mocno za udo. - Nie wyjdę stąd sam, a widziałem, jak patrzyłeś na 8-4-3, kiedy dali mu książkę. Chcesz czegoś więcej niż to.

- Puszczaj.

Odepchnął faceta i wrócił do swoich zajęć.

- I wróc na swoje stanowisko - poprosił. - Chcesz, żeby to wszystko przestało działać?

- To już nie działa - odparł. - Albo działa dokładnie tak, jak oni sobie wymyślili. Spójrz.

3-2-3 podszedł do swojego roweru, a następnie kucnął przy kablach idących do koła zamachowego i niknących gdzieś pod podłogą pomieszczenia. Odłączył rower i wyprostował się dumnie.

- Widzisz?

Wskazał dłonią na swój ekran, który dalej działał i wyświetlał jego film. 7-2-7 zwolnił, a później spojrział na swój wyświetlacz. Oba świeciły tak samo jasno.

- To kłamstwo - powiedział 3-2-3. - Nie pracuję od kilku minut, a to pokazuje, że dalej wytwarzam energię, widzisz? Zrobiłem już trzy waty, odkąd zsiadłem z roweru.

- Nie rozumiem.

- To właśnie chciałem ci powiedzieć. To iluzja. Masz być w formie i nie zadawać pytań.

- Po co?

- Mam zamiar się przekonać - odpowiedział. - Nie chcę skończyć jak 4-4-2. Możesz pójść ze mną albo siedzieć tutaj i robić dalej to, co robisz. Może dadzą ci książkę, a może dołożą do posiłku kolejne leki, żebyś już nie zadawał więcej pytań. Spójrz na nich.

7-2-7 rozejrzał się po sali. Wszyscy mieli na sobie takie same ubrania i robili dokładnie to samo. Pracowali tak jak on i również musieli być dumni ze swojego wkładu.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - odparł. - Wybacz, ale powinienem wyrobić swoją normę na dziś.

- Śniłeś już?

- Słucham?

- Na początku żaden z nas nie śni - wyjaśnił. - Zauważyłeś to, prawda? Po prostu śpimy, wyłączając się na kilka godzin, ale później pojawiają się sny. Chodzisz po jakimś miejscu na powierzchni, a może nawet z kimś się spotykasz. Przyznałeś się?

Przestał na chwilę pedałowac.

- Tak - 7-2-7 nie miał pojęcia, skąd 3-2-3 wie o jego snach. - Musiałem.

- Wiem, głos ma wszelkie dane, żeby odczytać, co się z tobą działo w nocy. Dostałeś już melatoninę?

- Nie, dziś mam dostać - wyjaśnił. - Też dostajesz?

- Chcieli mi to wcisnąć, ale się nie dałem. Umiem podłączać pokarm tak, żeby leki nie trafiały do mojego organizmu.

Im więcej mówił, tym mocniej się ekscytował. Jego wyniki musiały podskoczyć o dobrych kilka punktów, co sprawiło tylko, że 7-2-7 zaczął

rozglądać się po sali odrobinę uważniej. Wszelkie przejawy ekscytacji szybko tłumiono, a on nie zamierzał znaleźć się wtedy blisko.

- To nic nie oznacza - powiedział i wrócił do ćwiczeń. - Każdy z nas pewnie śni.

- A potem wraca odmieniony. Zastanów się nad jeszcze jednym. Ilu nas tutaj jest?

7-2-7 doskonale wiedział, ile osób pracuje razem z nim w sekcji zapotrzebowania energetycznego. Znał każdego, choć nigdy ze sobą nie rozmawiali. To z 3-2-3 przeprowadził najdłuższą konwersację w swoim życiu. Nawet zaczęło boleć go od niej gardło.

- Dziesięciu - przyznał. - Teraz dziewięciu, bo 4-4-2 dziś nie przyszedł.

- I naprawdę uważasz, że te dziesięć osób byłoby w stanie zasilić ten cały kompleks w energię elektryczną?

Nie podobało mu się to, co mówił 3-2-3. Starał się go przekonać do czegoś, czego chyba sam nie był nawet pewien. System dawał mu wszystko, czego potrzebował. Motywował do pracy i zapewniał wyżywienie, a on miał po prostu robić to, co mu kazano. I robił to dobrze.

- Spójrz, widzisz te drzwi?

Mężczyzna wskazał na przejście znajdujące się na drugim końcu pomieszczenia. Przesuwne drzwi prowadziły do miejsca, skąd czasem przychodzili strażnicy, ale przez ostatnie kilka tygodni pozostawały zamknięte. 7-2-7 nigdy nie zastanawiał się nad tym, co czeka po drugiej stronie. Nie musiał, skoro wszystko, czego potrzebował, miał na wyciągnięcie ręki.

- Mam klucz - powiedział 3-2-3, wyciągając ze swojego kombinezону podłużny przedmiot nie większy niż jego serdeczny palec. - Wypadł jednemu z nich i otwiera tamte drzwi.

- Nie interesuje mnie to. Odejdź.

- Chcesz tutaj tkwić do końca swojego życia? Naprawdę to wszystko, czego ci potrzeba? Pokój o powierzchni trzech metrów kwadratowych i żarcie wtłaczane przez kroplówkę?

- Odejdź - powtórzył. - Daj mi pracować.

3-2-3 spoglądał na niego przez chwilę, a następnie nachylił się nad rowerem 7-2-7 i wyciągnął kabel zasilający. Odłączył od niego wtyczkę

i zamknął ją w swojej dłoni. Wyświetlacz na kierownicy dalej pracował, kiedy 3-2-3 odwrócił się i poszedł w stronę drzwi.

- Hej! Wracaj.

- Chodź ze mną - odpowiedział mu, nawet nie odwracając głowy. - Ratuję cię, nie rozumiesz?

Siedział na rowerze i obserwował zmieniające się cyfry na swoim wyświetlaczu. 3-2-3 już prawie doszedł do drzwi, a on dalej bił się z myślami. Wiedział, że jest dobrym pracownikiem. Najlepszym, jaki znajdował się w tej grupie, i nie powinien tego zmieniać, by gonić za czymś, czego nie potrafił nawet nazwać. Powinien zostać na swoim stanowisku pracy i dalej robić to, co mu kazano. Powinien, ale potrzebował części, którą zabrał mu 3-2-3. Zszedł z roweru i podbiegł do faceta, który czekał na niego tuż przed drzwiami prowadzącymi w nieznaną.

- Oddawaj to - rzucił w jego stronę. - Muszę wracać.

- Nie musisz, ale boisz się tego, co się stanie, jak nie wrócisz.

- Co to za różnica?

- Nic gorszego niż twoja egzystencja już cię nie czeka - uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmawiać. - Otworzymy te drzwi razem, a potem sobie pójdiesz, jeśli zechcesz.

Wiedział, że i tak nie ma wyjścia. 3-2-3 podjął decyzję za niego i 7-2-7 mógł albo wrócić na swoje stanowisko pracy, gdzie czekałby na przyświecenie strażników, albo zaryzykować. Żadna z dróg nie wydawała mu się teraz odpowiednia.

- Dlaczego chcesz, żebym poszedł z tobą? Nie możesz iść sam?

- Rewolucji nie da się przeprowadzić w pojedynkę - oznajmił. - Pora zobaczyć, czy mam rację.

3-2-3 przyłożył ukradziony strażnikowi przedmiot do drzwi, a te po krótkiej chwili otworzyły się z cichym sykiem. Otoczył ich chłód, który przeszywał całe ciało, a przed oczami zobaczyli długi korytarz. Kiedy 3-2-3 zrobił pierwszy krok w ciemność, rozbłysły światła na suficie i jedno po drugim zaczęły wskazywać im drogę. 7-2-7 zawahał się przed zrobieniem pierwszego kroku. Obejrzał się i sprawdził, czy ktokolwiek z reszty pracowników zainteresował się ich działaniem. Nikt nawet nie patrzył w ich stronę.

Był przerażony, gdy zrobił pierwszy krok, ale z każdym kolejnym zaczynał odczuwać tylko ekscytację. 7-2-7 robił coś innego niż dotych-

czas. Do tej pory nie sądził, że zmiana schematu potrafi być czymś tak satysfakcjonującym. Zaczął się uśmiechać.

- Tam coś jest - powiedział 3-2-3. - Chodź.

Skinął głową. Przeszli korytarzem dobrych kilkadziesiąt metrów, zanim natrafili na kolejne drzwi. Te, w przeciwieństwie do reszty, którą 7-2-7 widział wcześniej, miały kolor wchodzący w czerwień. Kontrastował z jasnymi ścianami i światłem, które lekko już drażniło jego oczy. Zatrzymali się, a 3-2-3 nawet nie czekał na kolejną dyskusję, czy warto iść dalej, po prostu przyłożył klucz do powierzchni.

Pomieszczenie, do którego uzyskali dostęp, wyglądało jak gigantyczny magazyn. 7-2-7 nie widział nawet, gdzie się kończy. Przed nim rozciągały się szeregi wysokich pod sam sufit regałów, tak głębokich, że bez problemu można byłoby się na nich położyć i czuć lepiej niż na jego koi w pokoju. 3-2-3 stał oniemiały.

- Tu nic nie ma - powiedział po chwili. - Nie rozumiem...

- Chodźmy dalej - zaproponował 7-2-7. - Tam dalej coś jest.

Wskazał na jeden z regałów, na którego dolnej półce leżał duży biały worek. W pomieszczeniu było o wiele chłodniej niż na korytarzu, a on uświadomił sobie, że do tej pory nie odczuwał zimna. Nigdy. W pokoju temperatura zawsze była taka sama. Podobnie jak przy jego stanowisku pracy. I tak zoptymalizowana, że ani razu się nie spocił ani nie musiał się ubierać w coś cieplejszego. Zresztą i tak nie miałby co na siebie założyć. Ubranie dostawał od systemu. Spodnie, koszulka, buty i bielizna. Wszystko - białe i czyste - co drugi dzień pojawiała się w jego pokoju, kiedy on spał.

Powoli i ostrożnie podszedł do regału, a im bliżej niego się znajdował, tym trudniej mu się oddychało. Zrozumiał, że się boi. Zaczął się pocić, co wyjątkowo mu się nie spodobało, a jego oddech znacznie przyspieszył. To, co leżało na półce, wyglądało jak ciało. Stanął obok i przejechał palcami po powierzchni worka. Poczował chłód bijący ze środka. Obejrzał się, żeby zobaczyć, co robi 3-2-3, ale facet stał dalej bez ruchu w miejscu, gdzie go zostawił. Mamrotał coś pod nosem, ale 7-2-7 nie potrafił rozróżnić słów. Widocznie jego towarzysz spodziewał się czegoś zupełnie innego. On niczego nie zakładał, kiedy opuszczał stanowisko pracy. Wiedział, że łamie zasady, i teraz zaczynał żałować, że w ogóle

się na ten ruch zdecydował. Teraz nie było już odwrotu, więc złapał za suwak znajdujący się na samej górze worka i powoli go rozsunął.

- Co...

Nie potrafił wykrztusić z siebie nic więcej. Patrzył na 8-4-3, którego skóra była praktycznie pozbawiona koloru. Mężczyzna miał otwarte oczy, a z jego ciała wychodziły jakieś rurki. Nie rozumiał, jak to w ogóle możliwe. 8-4-3 przed kilkoma minutami siedział obok niego i zajmował się swoją pracą. Widział go tak dokładnie jak teraz. 7-2-7 zazdrościł mu książki, którą ten otrzymał za swoje wyniki, i był przekonany, że nie oszalał. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że teraz spoglądał na jego ciało.

Rozsunął worek w całości i dostrzegł, że ciało 8-4-3 zostało pocięte. Na brzuchu znajdowało się kilka szwów, ale także na klatce piersiowej i nogach mógł zauważyć ślady czyjejś ingerencji. Dotknął ostrożnie skóry mężczyzny i od razu odsunął rękę. 8-4-3 był lodowaty. 7-2-7 odsunął się i wtedy dojrzał na regale napis.

- Seria ósma, model czterdzieści dwa - przeczytał. - Co się tutaj...

Chciał przywołać do siebie 3-2-3, ale kiedy spojrzał w jego kierunku, mężczyzny nie było już w pomieszczeniu. Zostawił go samego i uciekł. Od początku tamten wydawał mu się jakiś podejrzany, ale 7-2-7 nie zaufał swojej intuicji. Zresztą gdyby zachował się tak jak zawsze, dalej siedziałby na swoim stanowisku pracy. Chciał się już wycofać, kiedy zauważył, że do dużego palca u stopy martwego mężczyzny przyczepiono jakąś kartkę. Zerwał ją.

- 8-4-2 - przeczytał na głos. - Jak to 4-2?

Wiedział, że nikt mu nie odpowie na pytanie, ale nie potrafił się powstrzymać. Wiedział, że ma przed sobą 8-4-3, a tymczasem kartka pokazywała mu, że facet nazywał się zupełnie inaczej. Odwrócił trzymany pomiędzy palcami kartonik i dostrzegł tam coś jeszcze. Ktoś wylistował narządy wewnętrzne 8-4-2 i obok umieścił jakieś liczby.

- Wątroba, cztery tysiące kredytów. Nerki, tysiąc kredytów za sztukę. Gałki oczne, dziesięć tysięcy kredytów.

Lista była obszerna, a 7-2-7 poczuł dziwne mrowienie w karku. Leżące przed nim ciało zostało wypatroszone z organów, ale widocznie jeszcze nie wszystkie zostały pobrane, bo martwe oczy wpatrywały się w pustkę. Odłożył kartkę na miejsce i rozejrzał się po magazynie. Kilka



metrów dalej zauważył kolejny worek. Podbiegł do niego i bez wahania otworzył.

Kolejne ciało, ale tego akurat nie znał. Także miało swój numer porządkowy. Pomieszczenie wypełniały dziesiątki, setki takich ciał. Niektórym brakowało całych kończyn, a część wyglądała tak świeżo, jakby dopiero zasnęła i zaraz miała się obudzić. 7-2-7 chciał, żeby to wszystko okazało się kolejnym snem. Tym razem nie okłamałby głosu i zażyczył sobie podwójną dawkę leków razem z pożywieniem. Oddałby wszystko, byle tylko zapomnieć o tym, co właśnie oglądał. Stał pośrodku magazynu pełnego trupów, pełnego części zamiennych, z którego pobierano, co chciano. Wstrzymał oddech, kiedy zauważył półkę z numerem siedem.

Kiedy podszedł bliżej, naliczył sześć postaci leżących bez ruchu w workach. Półki zostały zapchane dość szczelnie, ale zostawiono miejsce na jeszcze jedno ciało. Stanął przy ostatnim z worków, wstrzymał oddech i go otworzył.

- Nie... Nie wierzę...

Spoglądał na samego siebie. Zimne, niedostępne ciało ze śladami po operacjach, o których nawet nie chciał myśleć. Rzucił się na worek i rozerwał go. Kartka, którą przyczepiono do jego palca, została opisana numerem 7-2-6.

- 7-2-7, opuściłeś swoje stanowisko pracy.

Głos rozbrzmiewał w całym pomieszczeniu, a może tylko w jego głowie. Nie potrafił teraz tego rozróżnić. Nie chciał też go słuchać. Już nie, nie po tym, co zobaczył. Wykorzystywano go. System go wykorzystywał. Stał się magazynem części zamiennych i nawet nie wiedział dla kogo. Nic nie wiedział i żył pod ziemią. Zupełnie jak jedna z tych roślin, których nigdy nie widział na oczy.

- Zostaw mnie! - wrzasnął, zasłaniając uszy. - Zostaw!

- Twoje tętno się podniosło. 7-2-7, zostaną ci zaaplikowane środki uspokajające. Pozostań w bezruchu.

Nie zamierzał już słuchać. Rzucił się w stronę drzwi i miejsca, z którego przyszedł. Liczył, że jeśli pójdzie dalej tą drogą, znajdzie wyjście. Dowie się więcej. Nie mógł tak żyć. Widział już wyjście przed sobą, kiedy poczuł mocne ukłucie. Ból zawładnął jego ciałem i sprawił, że w jednej chwili stracił czucie w nogach. Upadł na podłogę i nawet nie

mógł zamortyzować uderzenia. Przestał czuć cokolwiek, a światło zastąpiła ciemność.

Trafił w sam środek koszmaru.

Obudził się cały spocony.

Oddychał głęboko, próbując się uspokoić, ale zajęło mu dobrą minutę, zanim tętno wróciło do normy. Jego wygodna koja zaskrzypiała, kiedy obrócił się na bok, a potem podniósł i opuścił stopy na podłogę. Dawno nie czuł się tak zmęczony jak dziś. Będzie musiał poprosić głos o raport o stanie swojego snu. Wstał i przeciągnął się, by rozruszać zastałe mięśnie.

Miał wrażenie, że przespał kilka tygodni.

- 7-2-8, twoje wyniki są niepokojące - powiedział głos. - Nieregularny oddech i zaburzenia w fazie REM wskazują na koszmar senny. Miałeś koszmar, 7-2-8.

*Siedem, dwa, osiem* - pomyślał.

- Nie - odparł. - Miałem wizję.





# Fifonż

CEZARY ZBIERZCHOWSKI

## Akt I

Mężczyzna w kraciastej koszuli, zasapany jak parowóz i spocony od długiego marszu, wbiegł po schodach do oddziału banku przy Korkowej. To kanciasty, pomalowany na biało budynek niedaleko torów kolejowych i przystanku PKP Warszawa Gocławek. Z metalowego stojaka przy wejściu wyciągnął kartę z bieżącym numerkiem. Trochę trzęsły mu się ręce, kiedy wręczał ją woźnemu obserwującemu drzwi zza biurka. Woźny chrząknął, po czym z urzędową miną zanotował w dzienniku bankowym czas wizyty oraz nazwisko klienta: „Dziesiąta siedemnaście, Jarosław Matusik”. Podniósł tubę komunikacyjną i zawołał:

- Numer A czterdzieści cztery, numer A czterdzieści cztery! Czekamy na wolne okienko!

Na sali operacyjnej po lewej, gdzie przyjmuje się zwyczajnych śmiertelników, a nie VIP-ów czy poważnych biznesmenów, chudy chłopak w garniturze podniósł rękę.

- Niech pan idzie do okienka numer dwa - wydał polecenie woźny i stracił zainteresowanie klientem.

Mężczyzna powłókł się noga za nogą, jak gdyby nagle postanowił się nie spieszyć. Miał wrażenie, że wędruje po kilometrowej ścieżce wstydu otoczony przez dziesiątki par oczu. Brakowało tylko tego, żeby rozebrali go do naga, a tłum za plecami skandował pośpiesznie: „*Shame! Shame! Shame!*”. Z każdym krokiem tracił godność i resztki naiwnej nadziei, że zapewni mu odrobinę dyskrecji w tym miejscu.

Przy jedynce i przy trójce załatwiały swoje sprawy dwie klientki: pierwsza młoda, w żółtej marynarce, druga starsza, pewnie emerytka, obstawiona koszykami i torbami. Obie miały na ramionach małe małpki. Zwierzątka siedziały spokojnie odurzone przelewiną lub kartiną, które krążyły w ich żyłach. Matusika aż skręcało z żalu i zazdrości na ten widok.

To, że trafił tutaj, do zwykłego okienka obsługi, mógł zawdzięczać przede wszystkim sobie. Gdyby przyznał się woźnemu, po co przyszedł, może dostałby okienko na uboczu albo nawet jakiś szklany pokoik dla VIP-ów. Lecz niestety, jak mówi przysłowie, wstydlivy wstydzi się dwa razy. Choć pewnie nie ma takiego przysłowia i Matusik miał zwyczajnie przechlapane przez nerwicę. Niech to wszystko trafi jasny szlag!

Usiadł na drewnianym krześle, które parzyło w pośladki, i udawał, że jest sam na sam z chłopakiem oddzielony szybą jak w więzieniu, jak na hollywoodzkich filmach, które oglądał w przeszłości. Chłopak miał na imię Patryk i był młodszym referentem – tyle Matusik wyczytał z plakietki. Biała koszula, plakietka, okulary, kilka pryszczu na kościstej twarzy.

- W czym mogę pomóc? - zapytał uprzejmie referent.

- Dzień dobry. Zgbiłm ksjsra - wydukał spocony mężczyzna, połykając większość samogłosek.

- Nie rozumiem. Czy mógłby pan powtórzyć?

- Powiedziałem... - westchnął Jarosław Matusik - powiedziałem, że zgubiłem kasjera.

Uuuuuuuuu!

Gdyby to był sitcom, gdzieś zza kadru rozległoby się właśnie buczenie widowni, ale w telewizji nie było sitcomów, bo w ogóle nie było już telewizji. Starsza klientka po prawej, trochę głucha i zajęta autoryzacją przez małpkę, która zlizywała DNA z jej ręki, nie usłyszała wstydliwego wyznania. Za to młodsza, w żółtej marynarce, chyba uśmiechnęła się pod nosem, choć Matusik przyglądał się pryszczom chłopaka i w ogóle robił absolutnie wszystko, aby kobieta zniknęła.

- To straszne - powiedział referent.

- Tak, to straszne - zgodził się Matusik.

- Proszę zaczekać minutkę, muszę znaleźć właściwy formularz.

Patryk zwrócił się zbyt głośno do siedzącej obok koleżanki: - Pani Justynko, przepraszam, który formularz wypełnić, jeśli klient zgłasza, że zgubił swojego kasjera?

- Uuuuuuuuu! - jęknęła nieistniejąca widownia.

- Trzynasty! - odpowiedziała Justynka, zerkając na Matusika przez szybę. - Zapamiętaj, Patryk, że trzynasty. Jak nieszczęście - dodała po chwili.

- Dziękuję, pani Justynko! - chłopak uśmiechnął się do niej i zaczął grzebać w plastikowych kuwetach na biurku. Grzebał tam zapamiętałe, robił hałas jak, nie przymierzając, kot w kuwecie. - Mam formularz! „F13. Zgłoszenie zagubienia kasjera”.

Matusik płonął niczym krzew gorejący pod wzgórzem Horeb znanym bardziej jako Synaj, lecz powoli zaczynało być mu wszystko jedno. Niech go zjedzą w tym ogromnym banku razem z przepoconymi ciuchami i teczką, niech go przerobią na karmę dla serwerowego grzyba. Niech go porwą cholerni kosmici. Nie dbał o to, bo cały świat dowiedział się właśnie, że jest człowiekiem upadłym.

Co gorszego mogło go tu jeszcze spotkać?

Chłopak uzupełniał puste pola, zaczynając - jakżeby inaczej - od nazwiska i adresu zameldowania klienta. Poprosił Matusika o dowód, który znowu, jak za dawnych czasów, miał postać zielonej książeczki, pomiętej, z zawiniętymi rogami. Imię matki, imię ojca, PESEL, wzrost i kolor oczu. Płeć męska, narodowość polska i przeciętność, czyli brak znaków szczególnych. Może za wyjątkiem widocznej nadwagi, potliwości i postępującej dezintegracji psychicznej.

- Jakie imię nosił pana kasjer? - spytał Patryk.

- Fifonż - odpowiedział klient.

- Gatunek i umaszczenie kasjera?

- Kot domowy, szary, trochę sfilcowany.

- Jak to „trochę sfilcowany”?

- Eee, nieważne - zachnął się Matusik. - Proszę zapisać, że szary.

Jak miał wytłumaczyć Patrykowi, że jego kasjer wyglądał dość podle nawet jak na zwykłego dachowca, jakby został znaleziony w second-handzie? Jego sierść była ostra, niemiła w dotyku, a raz nawet posklejała się paskudnie w coś grubego, co przypominało dredy. Tak, Fifonż był ciężkim przypadkiem! Zwykły prymitywny kocur, który cierpiał na

ostrą cukrzycę i miał zapalenie dziąseł. Przed przemianą trzeba było robić mu codziennie dwa zastrzyki z insuliny, ignorując prychnanie pacjenta. Wybrał sobie świetnego kasjera.

Adoptowali Fifonza z dziewczyną ponad czterdzieści lat temu, jeszcze przed Pokojową Inwazją. Pamiętał świetnie, jak rozanielona Hanka zachwycała się kociakiem, bo lubiła bardziej zwierzęta niż ludzi, a koty bardziej niż inne zwierzęta. Żartowali nawet, że jest szefem w ich mieszkaniu, bo jadł pierwszy, spał w ich łóżku, a szczególnie upodobał sobie jedyny fotel w salonie. Potem, kiedy Fifonż stracił na urodzie, kpili z niego, że jest żulem, co kot znosił ze spokojem Seneki Młodszego, tylko czasem usiłując ich podrapać. Teraz nie ma Hanki i nie ma Fifonza. Z zamyślenia wyrwał Matusika głos Patryka:

- Panie Jarku, gdzie i kiedy widział pan po raz ostatni kasjera?

- Dzisiaj rano w mieszkaniu na Czechowickiej. Przed dziewiątą, kiedy szykowałem się do pracy, wyszedłem na kilka minut na balkon, żeby rozwiesić pranie na sznurku. Fifonż musiał skorzystać z okazji i wymknąć się niepostrzeżenie za mną. Gdy wróciłem, przywołałem go komendą portfelową, ale się nie zjawił. Przetrzęsnałem wszystkie kąty i wybiegłem przed budynek. Byłem na ulicy, na parkingu i na wewnętrznym podwórku. Szukałem go przez ponad godzinę, łażąc po Gocławku w tym upale. Nigdzie nie było Fifonza.

- To naprawdę niepokojąca historia - pokręcił głową referent. - Zupełnie jakby ktoś panu zhakował kasjera, jakby go ponownie uwiecznił.

- Nie wiem, jak mam teraz żyć bez niego, proszę pana. I nie chodzi tylko o płatności. Towarzyszył mi przez większość życia, przez czterdzieści cztery lata, stary drań.

- Tak, rozumiem - odpowiedział Patryk, wyraźnie nie rozumiejąc. -

Dam panu listę sklepów zoologicznych w pobliżu, żeby wybrał pan nowego kandydata. Proszę wrócić do nas później na aktywację kasjera. Teraz muszę zablokować Fifonza.

Matusik wiedział, co oznaczają te słowa. Zablokowany kasjer umierał od razu, kiedy tylko zetknął się z bankową siecią, a przecież grzybnia przerastała już całą Warszawę. Tak, to prawda, po przemianie Fifonż żył zasadniczo na kredyt - umarłby ćwierć wieku temu, gdyby nie modyfikacja ciała. Ale to nie obchodziło Matusika - że na kredyt, że

to wszystko całkiem nienormalne, że pamiętał jeszcze dawne czasy, kiedy elektronika działała, a zwierzęta nie służyły do płatności. Chciał ocalić szarego kocura, dać mu jeszcze chociaż jedną szansę. W końcu koty mają dziewięć żyć.

- Nie podpiszę tego formularza.

- Słucham? Mógłby pan powtórzyć? - Patryk walczył dzielnie ze spadającym IQ.

- Żartowałem, że mi zginął - powiedział Matusik. - Wycofuję to zgłoszenie, proszę pana. Możecie obciążyć mnie karą, którą naliczy mi grzyb. Mam to w dupie! - dodał na pożegnanie i wyszedł.

Woźny spojrział za nim z groźną miną, notując godzinę w dzienniku.

## Akt II

Matusik był już po drugiej stronie ulicy, kiedy usłyszał wołanie:

- Panie Jarosławie! Panie Jarku!

To kobieta w żółtej marynarce, której tak bardzo się wstydził, zbiegała właśnie po schodach. Może wcześniej, jeszcze tego ranka albo nawet przed wejściem do banku po prostu przyspieszyłby kroku, żeby uciec przed niezręczną sytuacją, ale teraz coś się w nim zmieniło. Oparł się o filar przy zamkniętej Żabce, zapalił papierosa i czekał.

Kobieta przepuściła wielką warczącą śmieciarkę i podbiegła z zagadkowym uśmiechem na twarzy. Miała pewnie ze trzydzieści lat, nie więcej. Krótka obcięta blondynka z dołeczkiem w brodzie i niebieskimi oczami. No i z małpką kiwającą się na ramieniu.

- Ja przepraszam... Mam nadzieję, że się pan śmiertelnie nie obrazi i nie wyzwie mnie od wścibskich bab. Usłyszałam, o czym pan rozmawiał przy okienku.

- Trudno było nie usłyszeć w tych okolicznościach - pokiwał głową mężczyzna. - Nie sądziłem, że to będzie takie trudne.

- Tak, no właśnie, całkiem beznadziejne - wyciągnęła rękę w jego stronę. - Skoro znam już pana imię, a nawet nazwisko... Proszę mi mówić Malwina.



- Jarek - Matusik przywitał się grzecznie, chociaż zdawał sobie sprawę, że ten upał, środek gorącego lata w wielkim mieście i skołatane nerwy sprawiają, że jego dłoń jest wilgotna. Odwykł również od dotyku innych ludzi, ale dla niej mógł zrobić wyjątek.

- Chcę powiedzieć... - zamilkła na chwilę. - Myślę, że mogłabym pomóc.

- W jaki sposób? - zapytał Matusik.

- Znam człowieka od biobezpieczeństwa. Twój przypadek nie jest wcale taki rzadki, Jarku, jak by się mogło wydawać. Nie ty jeden zgubiłeś kasjera.

- Nie słyszałem o takich przypadkach.

- Bo nikt tego nie nagłaśnia, zwłaszcza banki. Policjanci, kiedy zgłaszasz zgubienie kasjera, robią szopkę, jakbyś popełnił przestępstwo, a przemiana się z czasem zaciera i zwierzęta potrafią uciekać - spojrzała w stronę przystanku kolejki. - Tam przy torach są stoliki pod parasolami. Dają zimną wodę gazowaną z sokiem, saturator ma chyba sto lat. Napijemy się i zaczekamy na kolegę, muszę tylko do niego zadzwonić.

- Oczywiście - zgodził się Matusik, oszołomiony tym wszystkim.

Automat telefoniczny wisiał kilka kroków dalej, na ścianie maleńkiej przychodni. Matusik patrzył sennie, jak Malwina podchodzi do niego, kładzie małąkę na specjalnej tacy, szarawej i lepkiej od grzyba, płaci za najbliższe połączenie i wybiera numer ochroniarza bio. Nie chciał słyszeć, o czym rozmawiają, nie chciał wyjść na gbura i na starego natręta, więc przespacerował się w przeciwną stronę. Palił papierosa i spoglądał w górę, w czarne oko, które patrzyło na niego. Dziura w niebie, pozostałość po Pokojowej Inwazji.

Boris Zhilyaev, Vasiliy Petukhov i Volodymyr Reshetnyk - tak nazywali się trzej naukowcy, którzy opisali UAP nad Kijowem jako pierwsi. *Unidentified Aerial Phenomena*, niezidentyfikowane zjawiska powietrzne - neutralne, bardziej kulturalne określenie UFO. Matusik, tak jak większość ludzi, nie znał nazwisk naukowców, nie znał też dokładnej daty, kiedy opublikowali swój artykuł, ale zapamiętał rok odkrycia: dwa tysiące dwudziesty drugi, rok wojny. Ów ostatni rok starożytności, który już nigdy nie wróci.

Naukowcy zauważyli na niebie obiekty poruszające się z ekstremalną prędkością szacowaną na piętnaście kilometrów na sekundę. Lekko licząc, tak z pięćdziesiąt razy szybciej niż latały samoloty pasażerskie przed inwazją. Trudno było je sfotografować i obliczyć ich prędkość kątową, więc użyli w tym celu ustrojstwa, które umieścili w dwóch obserwatoriach oddalonych o ponad sto kilometrów od siebie. Kamery szybsze niż oko człowieka. Opisali dwie klasy obiektów nazywanych *cosmics* oraz *phantoms*. Czarne oko patrzące na Matusika było właśnie jednym z tych fantomów.

- Już skończyłam! - zawołała wesoło Malwina. - Kamil mieszka niedaleko, będzie tutaj za piętnaście minut. Chodźmy napić się czegoś zimnego.

- To wspaniale - powiedział Matusik, chociaż nadal nie dowierzał szczęściu i jak zwykle wietrzył podstęp, bo nie ufał temu światu. Nie ufał ludziom, zwierzętom, przedmiotom ani zaawansowanym technologiom opartym na przykład na grzybie.

Poszli więc w stronę przystanku PKP Warszawa Gocławek. Zamówili wodę z sokiem, usiedli przy plastikowym stoliku i patrzyli na elektryczne pociągi kursujące na otwockiej linii, które wypluwały jednych pasażerów, by po chwili połknąć innych i odjechać.

Mówiła głównie Malwina.

Pracowała jako dziennikarka w „Expressie Wieczornym” reaktywowanym w nowym świecie niespełna dekadę temu. Opowiadała mu o swojej pracy, o małych śledztwach, które lubiła prowadzić, ludzkich tragediach, które zawsze znajdują chętnych czytelników, i wywiadach niemających nic wspólnego z prawdą. Mężczyzna słuchał, ale bardziej patrzył na Malwinę. Podobała mu się ta dziewczyna, rozgadana, pełna życia, skrcająca dystans. Schowała małpkę do płóciennej torby i wyjęła stamtąd szary notes opatrzony logo popołudniowej gazety. Kartkowała go namiętnie, szukając czegoś w odręcznych notatkach, i najwyraźniej znalazła, bo spojrzała na rozmówcę z błyskiem w oku.

- W samej Warszawie odnotowano w tym roku szesnaście przypadków, kiedy ktoś zgłaszał ucieczkę kasjera. Szesnaście, o których słyszałam. Twój jest siedemnasty, jeśli dobrze liczę, Jarku. Teraz widzisz, że to nic nadzwyczajnego?

- Rzeczywiście - pokiwał głową Matusik - ale to mnie jakoś bardzo nie pociesza. To mi nie zwróci Fifonża.

- Nie bądź takim pesymistą, proszę. Najważniejsze, że minęło tylko półtorej godziny. Fifonż nie mógł odejść daleko od bloku, więc Kamil Wilk powinien ci pomóc.

*O wilku mowa* - pomyślał Matusik.

- Cześć, Malwina! - krzyknął z boku rowerzysta w fioletowym kasku i błękitnym kolarskim trykocie.

Za nim pędził czarny dorodny rottweiler z czyżykiem w nosidełku na plecach. Wyglądało to dość absurdalnie nawet jak na neohipsterskie standardy. Kamil emanował siłą i energią, kiedy przysiadł się do ich stolika. Ucałował wcześniej i mocno wyściskał dziewczynę, co ukłuło Matusika w serce. Tylko trochę, prawie niezauważalnie, w zasadzie nic się nie stało. Skinął głową rowerzyście najuprzejmiej, jak potrafił.

- To jest Tommy - przedstawił rottweilera Kamil. - Znajdzie wszędzie twojego zwierzaka. Ma wbudowany w DNA algorytm tropiący kasjerów, messengerów, stróżów antywłamaniowych i animalnych kurierów, musi tylko polizać ci rękę.

- Jak przeszuka taki kawał miasta? - zapytał z powątpiewaniem Matusik. - Sam to robi? Ile potrzebuje na to czasu? A co, jeśli Fifonż włoży na drzewo albo siedzi gdzieś na dachu osiedlowego garażu i postanowił, że z niego nie zejdzie?

- Tommy ma przyjaciół na każdej ulicy. Oprogramowałem ponad pięć tysięcy zwierząt w laboratorium biochemicznym mojej firmy. Działają sforą, a niektóre świetnie się wspinają i latają, przekazując reszcie informacje. To jest cały system namierzania celu. Ja z tego żyję, i to wcale nie najgorzej, Jarku, więc zaufaj mi i podaj rękę. Tommy musi złapać trop Fifonża.

Matusik wyciągnął rękę bardzo powoli, niepewnie i wytrzeszczył oczy, wpatrując się w potężne szczęki psa. Po chwili poczuł na dłoni szorstki język zlizujący jego DNA i ślad zapachowy kasjera. Łaskotało, ale było też całkiem przyjemnie.

Kamil zaczął wydawać rottweilerowi komendy, które brzmiały jak hip-hopowy kawałek połączony z donośnym bekaniem. Naukowcy spekulowali w gazetach, że tak może brzmieć nieznaną język obcych, którzy przybyli w fantomach na Ziemię. W końcu komendy pochodziły wła-

śnie od nich. Każdy człowiek, który opanował tak skomplikowane składnię, fonetykę i słownictwo, budził zazdrość i miał teraz zapewnioną świetną pracę. Mógł być bioprogramistą, treserem lub dyspozytorem zwierząt użytkowych. Mimo wszystko brzmiało to na tyle głupio, że Malwina, a potem Matusik zaczęli się głośno śmiać.

- Cieszę się, że zapewniłem wam rozrywkę - Kamil puścił oko i również się do nich uśmiechnął. - Tommy jest już gotowy do akcji. Zaraz rusza, tylko przetrawi tę mapę - dodał, karmiąc rottweilera białą kulką. - Jeśli Fifonż nie został przez kogoś zjedzony, ukryty w sejfie lub zakopany głęboko pod ziemią, Tommy na pewno go znajdzie i prześle nam wiadomość przez Rudolfa.

Czyżyk w nosidełku zaskrzeczał i zatrzepotał skrzydłami, gdy usłyszał swoje imię wypowiedziane przez pana. Pies zaszczeakał i pomknął do przodu jak strzała. A Matusik? Poczuł, że brakuje mu bardzo niewiele, aby spełnić wreszcie swoje najskrytsze marzenie i zwyczajnie, po ludzku zwariować.

### **Akt III**

Car Bomba, ruski głównodowodzący, zawisł na najwyższej wieży Soboru Wasyla Błogosławionego ku przestrodze dla współczesnych i potomnych. Niewidzialna ręka wyciągnęła go z marmurowego gabinetu Kremla i cisnęła jak szmacianą lalkę na dach cukierkowego soboru. Jego truchło, poruszane wiatrem na złoconej szpicie ponad bogato zdobioną kopułą, było ostatnim telewizyjnym obrazkiem, który pamiętał Matusik. Opowiadał Kamilowi i Malwinie, jak żyło się w epoce telewizji, internetu i wszędobylskich smartfonów, które upośledzały ci pamięć.

Obcy uderzyli w Ziemię czymś w rodzaju EMP, ale wybitni fizycy twierdzili, że to nie był impuls elektromagnetyczny, jaki potrafili stworzyć ludzie. Musiał korzystać z dodatkowego wymiaru, bo dotarł wszędzie, nawet do najgłębszych bunkrów i wyrzutni rakiet balistycznych. Zniszczył elektronikę na całej planecie, a potem nikt już nie potrafił jej odtworzyć. Pokręcili coś w rozkładzie prawdopodobieństwa, czyli rów-

nież w zjawiskach kwantowych. Przeprogramowali wielki bąbel otaczający Układ Słoneczny.

- W komunikacie, który przekazali obcy, poinformowali opinię publiczną, że udaremнили rosyjski atak jądrowy na Kijów i na Warszawę. Zniszczyli wszystkie układy scalone, systemy dowodzenia, naprowadzania i łączności. Unicestwili wszystko, co mogło przydać się do prowadzenia wojny, a przy okazji całą cywilizację techniczną. Przekazali nam w komunikacie, który z bliżej nieznanych powodów był nagrany po węgiersku, że nie dorodziśmy do elektroniki i do rakiet, do dronów, komputerów i satelitów. Ofiarowali nam biotechnologię, o jakiej nikomu z nas się nie śniło, ale o starym świecie musieliśmy po prostu zapomnieć - powiedział cicho Matusik. - Tak się kończą nasze małpie awantury.

- Małpy to mądre zwierzęta - zaprotestowała nieśmiało Malwina.

- Zakończyli wojnę w kilka minut, prawda? Mimo wszystko musieliście się cholernie cieszyć - powiedział Kamil, popijając wodę z sokiem.

- Oczywiście, ludzie świętowali. Bawili się, śpiewali piosenki i tańczyli na ulicach wielu miast. Pili wódkę i szampana, odpalali fajerwerki, bo nawiązaliśmy kontakt z cywilizacją kosmiczną, obcy zatroszczyli się o Ziemię, a trzecia wojna światowa nie wybuchnie w tym stuleciu. Nie myśleli jeszcze o tym, jak bardzo zmieni się ich mały świat, kiedy stracą swoje magiczne pudełka, w których oglądają filmy i przez które łączą się z innymi. Ta refleksja przyszła później, gdy miliardy ludzi miały syndrom odstawienny, a całe kraje i kontynenty musiały obyć się bez telefonów, a nawet chwilowo bez prądu. Bez naszpikowanych elektroniką pojazdów, bez pralek automatycznych, lodówek, telewizorów i bankomatów. Bez smartfonów i laptopów, i tej całej zaawansowanej maszynerii, która nadawała sens ich życiu.

- Mówisz o tym w taki sposób, jakbyś się z nimi nie cieszył - zauważyła Malwina.

- Masz rację - przyznał ze smutkiem Matusik. - W dniu Pokojowej Inwazji moja narzeczona, Hanka, wracała samolotem z Londynu. Impuls smagnął elektroniczne systemy boeinga i pod Poznaniem doszło do katastrofy lotniczej. Nikt nie przeżył. Wszyscy pasażerowie i członkowie załogi zginęli, prawie dwieście osób, które były na pokładzie. To

dlatego, mówiąc delikatnie, nie pokocham nigdy naszych dobroczyńców. Wolałbym zagładę nuklearną.

Przy stoliku zapanowało milczenie. Jakby wzmógł się jeszcze upał, jakby przestał wiać delikatny wiaterek, który chłodził ludziom twarze w to lipcowe przedpołudnie. I tylko bzyczenie owadów zwabionych do rozlanej na sąsiednim blacie oranżady zrobiło się jeszcze głośniejsze, co spotęgowało ciszę.

- Przykro mi - powiedziała Malwina, a Kamil zapatrzył się w dal.

- To przecież nie wasza wina - Jarek usiłował się uśmiechnąć. - Oboje urodziliście się już po inwazji i na pewno nie zdajecie sobie sprawy, ile zła wyrządzili obcy. Ja miałem wtedy dwadzieścia sześć lat i nie znałem świata bez elektroniki, internetu, sieci komórkowych i kanałów telewizji. To, co dla was jest zwyczajne, naturalne, dla mnie jest nocnym koszmarem.

- To niezwykle - odezwał się Kamil - że udało ci się przystosować do nowego świata. Nie wiem, czy potrafiłbym to zrobić.

- Tak, nie było nam szczególnie łatwo. Nieustająca komedia pomyłek - dodał już trochę pogodniej Matusik. - Wszystko stanęło na głowie.

Mówił o pierwszych latach po Pokojowej Inwazji, kiedy próbował odnaleźć się w nowym porządku albo raczej doczołgać się jakoś do jutra. Żył samotnie, pracował dorywczo, palił papierosy, pił wódkę. Fifonż był jedynym stałym punktem w życiu Jarosława Matusika. Fifonż, ten okropny, ukochany kocur, przypominał mu o dawnych czasach, kiedy jeszcze czuł się dobrze i kiedy miał plany na przyszłość. Postanowił poddać go przemianie, która wydłużała życie nosiciela, bo kartina, syntetyczny enzym, zatrzymywała efekty starzenia i regenerowała komórki nerwowe. Ubocznym efektem kartiny były zaburzenia w psychice kasjera, ale Fifonż zachowywał się tak samo. Jak powiedział o nim ze śmiechem Matusik, kocur był już szalony przed zabiegiem i właściwie nic mu nie mogło zaszkodzić.

Pierwsza płatność nie przeszła bez komplikacji, bo kot zsiakał się w supermarkecie na ladę i właściciel musiał po nim sprzątać, ale potem było dużo lepiej. Żywił go specjalną karmą podawaną zwierzętom bankowym. Aktualizował oprogramowanie kasjera, aplikując mu co miesiąc niebieskie tabletki, i wyprowadzał na długie spacerzy, żeby mógł obwąchać grzybotaty w okolicy. Wtedy łatwiej wypłacało się pieniądze.

Tak uczyli się obaj żyć w tym długim śnie, z którego żaden nie potrafił się obudzić. Matusik przestał pić, nie przestał palić, a sierść Fifonza nabrała wyglądu i filcowała się tylko czasami. Od inwazji obcych minęły już trzydzieści cztery lata i przeżyliby tak pewnie jeszcze trochę czasu, gdyby kocur nie uciekł z mieszkania.

- Teraz myślę, że byłem naiwny, gdy poszedłem zgłosić zniknięcie Fifonza do banku - Jarek potarł spocony policzek. - Naprawdę nie wiem, co wtedy myślałem. Że pomogą mi go znaleźć? Rzucą wszystko i rozbiegną się po okolicy? A może chciałem, żeby to się już skończyło, chciałem dostać nowego kasjera? Może chciałem zapomnieć o wszystkim? Fifonż to ostatnia nitka, która łączy mnie ze starym światem.

- Nie mam pojęcia, co sobie myślałeś, ale chyba wyszło nie najgorzej - rzuciła wesoło Malwina. - Spotkałeś ludzi, którzy mogą cię wysłuchać i którzy mogą ci pomóc. Jest rok dwa tysiące pięćdziesiąty szósty. To świetny rok, żeby zacząć od nowa. I nie trzeba poświęcać Fifonza, aby to wszystko osiągnąć.

- Rudolf! - krzyknął Kamil, podrywając się niespodziewanie z krzesła.

Czyżyk spadł na jego ramię jak pierzasty pocisk. Zaszczębiotał po czyżykowemu i zaskrzeczał w języku użytkowym kurierów. Twarz Kamila rozpromieniła się nagle, zęby błysnęły w uśmiechu. Podniósł pięść w geście zwycięstwa.

- Mamy go! - powiedział do Matusika. - Wlazł na drzewo i z wrażenia zapomniał, gdzie mieszka. Rudolf mówi, że za tobą tęskni. Poczekamy kilka minut, Tommy go tutaj przyniesie.

Siedzieli teraz w nabożnym skupieniu, jakby miało się stać coś wielkiego. Malwina, Jarek i Kamil wpatrywali się w wylot Korkowej, skąd przyleciał czyżyk i gdzie spodziewali się ujrzeć Tommy'ego. Czarne oko wisiało nad nimi, obojętne i ślepe na wszystko, co kotłuje się w głowach i w sercach, a przynajmniej tak im się zdawało. Saturator syczał za plecami, niestrudzone owady brzęczały, a pociągi wypluwały i połykały podróźnych. Warszawa żyła, chociaż upał dawał się we znaki, więc może obcy nie mogli postąpić inaczej i musieli poświęcić miliony, by ocalić miliardy ludzkich istnień?

Matusik pierwszy zauważył rottweilera, chociaż był dwa razy starszy i miał gorszy wzrok od swoich towarzyszy. Mały punkt z każdą chwilą

robił się coraz większy i większy, pędząc środkiem uliczki jak wichur. Kiedy zbliżył się na kilkadziesiąt metrów, w jego pysku dało się zauważyć szary kształt. Kształt był pewnie niezadowolony ze środka transportu, a szczególnie z długich skoków, którymi sadził tropiciel, trzymając go za szelki. Matusik wstał i zaraz usiadł, bo ze wzruszenia zakręciło mu się w głowie.

Malwina zapisała coś w swoim notesie, a Kamil pogłaskał czyżyka.

Dzielny Tommy niósł w pysku Fifonza.

## Epilog

Szary kocur leży na skórzanym fotelu w salonie i uważnie przygląda się panu. Patrzy na pospieszną, chaotyczną krzątanicę, gdy Matusik próbuje posprzątać mieszkanie, by nie spłonąć ze wstydu przed gośćmi. Fifonż liczy jego kroki i przekleństwa. Mruży oczy i zapamiętuje liczby. Jest kasjerem, a to zobowiązuje go do czegoś więcej niż łapanie much na szybie czy poniżające wizyty w kuwecie.

Liczy to, czego nie widzi Matusik: bicie serca, fale grawitacyjne, wspomnienia, neutrina przelatujące przez pokój. Czuje drgania fantomów na niebie i obroty Ziemi, które przywołują dzień i noc. Liczy miłość starego człowieka do siebie, jego zagubienie i nadzieję, że Malwina przyjdzie w odwiedziny bez Kamila. Potem inne, rozsądniejsze myśli, że nie potrzebuje niczego od życia i że przecież dobrze jest, jak jest.

Fifonż walczy ze swoją zwierzęcą naturą i pragnieniem czekającej na zewnątrz wolności. Wie, że musi opiekować się mężczyzną aż do końca i dopiero wtedy pójdzie dalej. Ludzie nie wiedzą, czym była Pokojowa Inwazja, nie mają bladego pojęcia. Ale on policzył czas, policzył przestrzeń, przemnożył to wszystko przez siebie i zrozumiał, że odnajdzie kiedyś stary świat. Ten prawdziwy, którego nie widać za oknem.







# W H A T T inc.

MATEUSZ PAKUŁA

- Samo wysysanie czasu jest bezbolesne i trwa od trzech do szesnastu sekund.

- Co?

- Samo wysysanie czasu... - według przełożonych powinnam w trakcie rozmowy powtórzyć tę formułkę co najmniej cztery razy. A może ona niedosłyszy, może jest półgłucha? - Samo wysysanie czasu jest bezbolesne i trwa od trzech do szesnastu sekund!

- Ale co pani tak krzyczy? Woskowina pani zalega? Ja nie jestem głucha. Słyszę dobrze, kręgosłup mnie łupie, kark strasznie, szyja, owszem. Siedzieć nie mogę za długo, chodzić, ale najgorzej u mnie z siedzeniem, wtedy głowę utrzymać to jest... rozumie pani. Więc pani niech sobie kawkę tu położy, a ja się tu położę.

A ja siedzę między owłosionymi poduchami pani Natalii już jakieś piętnaście minut, czekałam na kawę, zdążyłam wyjąć papiery, tablet, vocoder, zdążyłam otrzepać zakiet z kłaków i paprochów i znów cała nimi obleźć, zdążyłam się przyjrzeć temu nieprzyjemnemu mieszkaniu opatulonemu tłustym kurzem, pachnącemu dziewięćdziesięcioletnią samotną kobietą, która teraz mości się na drugiej kanapie. Trwa to moszczenie upiornie długo. Taniec butoh, wariacja horyzontalna. Mocowanie się z własnym nieposłusznym ciałem i przylegającymi do niego przedmiotami. Poprawianie dmuchanego rogala pod głową, niech dobrze obejmuje szyję. Naciąganie koca na kościste nogi. Drugi zsuwa się na podłogę, podnoszenie go. Poprawianie rogala po raz drugi.

Patrzemy na siebie po skosie. Stolik jest szklany, telewizor zmutowany, kominek niewłączony. Zimno.

Mijają puste sekundy.

- No i tak to wygląda - odzywa się w końcu i wygląda to, jakby dubbin-  
gowała bezdźwięczną serialową scenę, do której przykleił się jej wzrok.

- Yhm.

- No i co mi pani powie?

- Nasza rozmowa będzie rejestrowana.

- Yh.

- Pani Natalio...

- Natalu.

- Natalu.

- Nie no, pani Natalu.

- Pani Natalu...

- Właśnie.

- Cel mojej wizyty jest pani znany. Skontaktowała się pani z naszą  
firmą...

- Ja? To wy do mnie wydzwaniacie!

- Jest pani jedyną żyjącą krewną pani Haliny, dlatego...

- Ja nigdzie nie dzwonię!

- Wczoraj w centrum obsługi klienta WHATT inc. zarejestrowano  
połączenie przychodzące z pani numeru telefonu.

- Niemożliwe!

- Ponadto...

- Na pewno nie!

- Ponadto zostawiła pani wiadomość głosową o treści...

- No bo mi nie dajcie spokoju!

- Chciałabym przytoczyć treść...

- Nic pani nie będzie przytaczać! Dajcie mi wreszcie spokój, oszaleć  
można!

- Nasz pracownik zadzwonił do pani zaledwie dwukrotnie, z czego  
raz odrzuciła pani połączenie.

- Pani przyszła do mnie, żeby się ze mną kłócić?!

- Nie.
- O to, kto do kogo i ile razy?!
- Nie.
- Żeby mnie w ten sposób drażnić, upokarzać?
- Ależ skąd.
- No to po co to? Po co komu takie gadanie? Ja nerwy mam w strzępach, już nie daję sobie rady, ja od rana melisa, relanium...
- Chciałam ustalić tylko...
- Ale po co?!
- Potrzebujemy wszystko precyzyjnie...
- E, szkoda gadać.

Mijają puste sekundy.

- Kawa w porządku?
- Yhm.
- Tak? Na pewno?
- Taak.

Jest paskudna. Mam wrażenie, że celowo. Albo po prostu, tak jak to bywa z psami i innymi zwierzętami domowymi, jest podobna do swojej pani. Dwie krople spływają po ścianie niedomytej filizanki.

- Pani Natalio...
- Natalu.
- Pani Natalu. Zacznę jeszcze raz. Jest pani jedyną żyjącą krewną pani Haliny.
- A tam, jaką tam krewną!
- Czyli...
- Nie jestem jej krewną, to matka męża mojej córki. Teściowa mojej córki, matka mojego zięcia, w sumie syna, w sumie bardziej nawet mojego syna. Tak ich traktowałam, córka i syn.
- Którzy nie żyją.
- Wnuczki i prawnuczki żyją, tylko że za granicą.
- Jest pani jedyną żyjącą rodziną pani Haliny na terenie kraju.

- „Rodziną” też raczej bym nie powiedziała.
- Przyjaciółką?
- Hahaha, a to dobre!
- Nie?
- No na pewno nie.
- No to może po prostu bliską osobą?
- Nie.
- Hmm.
- No niech będzie, jak zwał, tak zwał.
- Macie wspólne wnuki i prawnuki.
- No tak.
- Utrzymujecie kontakt?
- Nie, właściwie nie ma z nimi kontaktu.
- Pani Halina?
- Nie ma z nimi kontaktu w ogóle. Nie zadzwonią, nie napiszą, nie odezwą się nawet na imieniny. Nawet na Dzień Babci do mnie nie zadzwonili!
- A do pani Haliny?
- Mijają puste sekundy. Nie, wcale nie puste, są pełne napięcia.
  
- Pani Natalu?
- Do niej podobno czasem dzwonią, ale ona rzadko odbiera, bo jest półgłucha.
- Naprawdę?
- Właściwie to prawie zupełnie głucha, na jedno ucho całkiem, a na drugie trochę. To znaczy trochę na drugie słyszy.
- Nie nosi ślimaka?
- Nosi taki stary aparat, ale nie zawsze go włącza.
- I nie słyszy, jak ktoś dzwoni?
- Nic nie słyszy!
- Mogłaby mieć przecież...
- Eee, jej na niczym nie zależy. W ogóle trochę jest fiśtyknięta, taka ni to debilowata, ni to nie wiadomo. Uważa, że podróżuje po przeszłości.

Robię głęboki wdech.

- Pani Natalu, wie pani, czym zajmuje się WHATT inc.?

- No nie do końca.

- Ale coś tam pani wie?

- Gdybym zupełnie nic nie wiedziała, tobym nie oddzwaniała.

- Właśnie.

- No i?

- Samo wysysanie czasu jest bezbolesne i trwa od trzech do szesnastu sekund.

- Już to pani mówiła. Wysysacie czas, wiem to z reklam.

- Chcielibyśmy przedstawić pani Halinie ofertę.

- A czemu akurat jej?

- Chcielibyśmy się spotkać i porozmawiać. Najwyraźniej pani Halina ma niezwykle dar.

- Ta, na pewno, dar. Srar! Jaki znowu dar?! Ona jest zupełnie nie do życia, taka memłowata, taka ciumra, kiedyś jeszcze chodziłyśmy częściej na spacer, to chociaż się poruszałyśmy, teraz to i ja nie bardzo daję radę przez tę szyję cholerną, ale tamta to już w ogóle nie chce. A czasem sobie poszłyśmy, pogadałyśmy, ona nawet taka pepla była, to znaczy czasami, raz nic się nie odzywa, jakby jej nie było ze mną, tylko samo ciało szło, a raz znowu gęba jej się nie zamyka i tak: „O, popatrz tu i popatrz tam, a popatrz, jak pięknie odrestaurowali ten budynek!”. A ja jej na to: „A cóż cię to nagle tak obchodzi!?”. No to ona znowu cisza pół godziny, no taka ona była, nie do życia w ogóle.

- Pani Natalu...

- A teraz jest jeszcze gorzej. Teraz to już w ogóle.

- Spotkałam się z panią, ponieważ liczę na to, że dzięki pani uda mi się dotrzeć do pani Haliny.

- Przecież wiecie, gdzie mieszka.

- Protokoły nie zezwalają nam na wizyty w miejscu zamieszkania bez wyraźnego zaproszenia.

- A tam, protokoły.

- Nie możemy przecież włamać się jej do mieszkania w związku z brakiem odzewu na...

- Ona nie słyszy, że ktoś dzwoni.
- Właśnie.
- A nawet jak usłyszysz, to i tak was nie wpuści.
- Tak, chyba że ktoś bliski mógłby zasugerować jej, że warto.
- Ale co wam właściwie tak na niej zależy? Czemu akurat ją chcecie

wysysać?

- Pani Halina spędza całe godziny, doby całe, w przeszłości, zgadza się?

- No tak, tak sobie wspomina, ja pytam: „A co ty robisz tak całe dnie?”, a ona: „A, tak sobie wspominam”, tak mówi.

- No więc właśnie, no więc to wspomnianie...

- Pff. Wielkie mi wspomnianie, siedzi i nie ma z nią kontaktu, ze mną przynajmniej można porozmawiać, o tym, o tamtym, kawkę sobie wypić...

- Pani Natalu, wie pani, czym zajmuje się WHATT inc., dzwoniła pani do nas, zostawiła pani wiadomość, ogląda pani reklamy. Wnioskuje z tego, że doskonale pani rozumie, o co chodzi.

- No głupia chyba nie jestem, prawda?

- Nie, nie jest pani.

- Tamta to nie wiadomo, flu bździu. A ja wszystkim pomagałam w nauce, za wszystkich robiłam zadania, siostry swoje wyuczyłam, braci, dzieci, uczyłam swoje wnuczki grać w szachy.

- To wspaniale.

- A tamta? Pff, hy, chyba się nie odzywać ich nauczyła.

- Ludzie mają różne temperamenty...

- Grzecznym być, elokwentnym, to trzeba wpajać, a nie jakieś ciche dni, niemota.

- Pani Natalio, w WHATT inc....

- Natalu.

- ...zajmujemy się pobieraniem kapsuł czasu z mózgów ssaków naczelnych. Przede wszystkim ludzi, ale czasem też na przykład szympanców bonobo i goryli. Zdaje się, że pani Halina dysponuje niezwykle silnymi kapsułami czasu. Silnymi, licznymi, rozmnażającymi się.

- E tam.

- Według wstępnej oceny naszych fixerów podróże po przeszłości pani Haliny najprawdopodobniej nie są zwykłymi wspomnieniami. To prawdziwe skoki czasowe, prawdziwe podróże świadomości w przeszłość. Firma dotarła do kilkunastu takich osób. Niemal bez przerwy zanurzonych w czasach swoich lat dziecińczych, w czasach młodości, przebywających pod powierzchnią czasu, bez lęku schodzących na dużą głębokość i tylko od czasu do czasu wynurzających się, wystawiających głowę ponad taflę, by nabrać powietrza. Naszym czasonurkom, a właściwie - tak trzeba by ich nazwać - wielorybom czasu czasami czas tryska nosem, zaraz po wynurzeniu nie są w stanie przestać opowiadać. Te wynurzenia stają się z czasem coraz rzadsze, nurkowanie bardzo uzależnia, z czasem wieloryby przestają wyściubiać choćby nosa koniuszek z oceanu czasu. No więc tak. Oni tam naprawdę są. Oni tam naprawdę są, przenoszą się i przebywają tam. Oni tam naprawdę są.

- E, skąd to możecie wiedzieć?

- Badamy to. Poddajemy ich mózgi bardzo szczegółowym badaniom. A przede wszystkim badamy wyeksportowane, ekstraktowane kapsuły. Wychodzi na to, że ich mózgi to wehikuły czasu.

- Eee...

- Naprawdę, mózg pani Haliny to najprawdopodobniej najprawdziwszy wehikuł czasu.

- No i co? No i co z tego, skoro skorzystać może z niego tylko ona? Na co mi to?

- Pani Natalio...

- Natalu.

- Pani Natalu...

- Po prostu Natalu.

- Yyy...

- Mówmy sobie już po imieniu.

- Dobrze, Marta.

- Dobrze.

- Bardzo nam zależy na współpracy z panią Haliną, a na początek na spotkaniu i rozmowie. Które mogłaby pani... mogłabyś, Natalio... Natalu... nam umożliwić. Czy byłabyś w stanie spełnić swoją wstępną deklarację? Pomóc nam dotrzeć do pani Haliny? Spotkać się z nią i przekonać do spotkania z nami? Gdyby pani Halina mogła poświęcić



nam pół godziny, piętnaście minut. Jesteś w stanie ją do tego przekonać?

- To się okaże.
- Yhm.
- Nic nie obiecuję.
- Widujecie się? Mówiłaś, że ostatnio...
- Mam klucze, mogę wejść w każdej chwili.

Biorę głęboki wdech. Obawiam się, że moja ekscytacja jest nazbyt widoczna. Próbuję opanować głos, ale nie do końca mi to wychodzi.

- Klucze?

Zachodzące słońce przeziera przez dziury w murze z chmur. Wydaje mi się, że słyszę kłębiące się morze. Kiedy dotarło aż tutaj? Jeszcze parę miesięcy temu było kilkadziesiąt kilometrów za górami.

Promienie słońca przebijają się przez fałdy długo niepranych firan i osiadają na szklanym stoliku. Ile na nim plam, cały jest w smugach i smarkach! Nagle ujawnia się cały kosmos kurzowych drobinek, uruchamia się galaktyczny wir z włosów, paznokci, mikroskopijnych fragmentów naskórka i roztoczy, wypełniając całą przestrzeń między mną i tą starą kobietą, która mogłaby być mną w przyszłości. Mogłaby? Nie, absolutnie nie. Biorę głęboki wdech.

- No klucze, klucze.

- Do jej mieszkania? - pytam, najspokojniej jak potrafię.
- Tak, no, mamy klucze do swoich mieszkań. Myśli pani, że co? Że jak inaczej sobie radzą emerytki i rencistki, jak inaczej można sobie poradzić w tym wieku?
- Czyli możemy liczyć na twoją pomoc?
- Hm.
- Pójdiesz do niej?
- Może.
- Wpuścisz nas?
- Hm.

- Natalu, czy możemy...
- Jednak „pani Natalu”.
- Słucham?
- Rozmyśliłam się.

Biorę głęboki wdech.

Uspokoić się. Przeczekać.

Nie patrzeć na nią. Pierdolona stara krowa! Ma klucze, jebana! Wchodzimy, wysysamy kapsuły, nie potrzebujemy nawet zgody wieloryba, przy takim zanurzeniu nie da się nawiązać żadnego kontaktu... Kurwa mać, wejść tam tylko, dać jej za dostęp, czego chce, i tyle. Niech spierdala i zdycha w tej swojej norze.

Przeczekać. Uspokoić się.

Biorę głęboki wdech.

Patrzemy na siebie po skosie.

- Co z tego będę miała?

- Właśnie, pani Natalu, cieszę się, że przechodzi pani do konkretów, najwyższa pora.

- Co wy mi właściwie możecie dać? Mi nic nie potrzeba.

- Zawsze czegoś potrzeba.

- Mi już nic, wszystko mam.

- Zadzwoiła pani do nas, więc chyba jednak coś pani przyszło do głowy.

- Co ja tam potrzebuję! Rano wypiję sobie siemienia, wie pani, siemię lniane zmielone, banana zjem, jogurcik jakiś mały, po południu zupka, pół kromeczki i tyle.

- Chyba jednak coś pani przyszło do głowy.

- Wszystko mam.

Mija kilka długich sekund.

- WHATT inc., wie pani, co to znaczy?
  - Ta nazwa tej waszej firmy?
  - Tak.
  - Nie, nie wiem.
  - To skrót od *We Have All The Time*.
  - Yhm.
  - W domyśle: *in the world*.
  - Yhm. To po angielsku?
  - Tak.
  - To nie rozumiem.
  - To z piosenki Louisa Armstronga.
  - Coś kojarzę.
  - No to taki naprawdę znany...
  - Aaa pamiętam, *What a wonderfull world*.
  - Tak, to...
  - Ajsi trisof gri, retrolzes tu...
  - Tak, to ten wykonawca.
  - Piękna piosenka.
  - Ale to nie ta.
  - Yhm.

Mija kilka długich sekund.

- Ta nasza jest z Bonda.
  - Yhm, coś kojarzę.
  - *On Her Majesty Secret Service*.
  - Taaak, pamiętam, no przecież Bond! James Bond! Ten aktor, co wyglądał jak jakiś ruski Wania, jakżeż on się nazywał?
  - Ma pani na myśli Daniela Craiga?
  - Tak! Świetny! Świetny był!
  - No tak, wykorzystano tę piosenkę również w *No time to die*, ostatnim filmie serii z Danielem Craigiem. Genialny zresztą pomysł. Umiera-

jący Bond cytuję początek tekstu tej piosenki na końcu filmu, to znaczy parafrazuje, mówi do matki swojego dziecka: „*You have all the time in the world*”. To strasznie wzruszające, aż nawet teraz się wzruszam, jak o tym opowiadam, a potem cała piosenka leci na koniec, kiedy Bond już nie żyje, a Lea Seydoux i jej córka, czyli jego partnerka i jego córka, jadą sobie samochodem, pięknie. No i na napisach dalej leci oczywiście. *We have all... the time... in the world...* Wyciskacz łez. Aż nawet teraz mam ciarki. Zwłaszcza że właśnie jest to nawiązanie do *On Her Majesty Secret Service*, w którym w rolę agenta 007 wcielił się pierwszy i ostatni raz George Lazenby. Taki dziwny Bond. Fascynujący.

- Yhm.
- To był naprawdę jego jedyny raz.
- Yhm.

Mija kilka długich sekund.

- Możemy pani dać czas.
  - Co?
  - Możemy pani dać czas.
  - Czas? Po co mi czas?
  - To, co skupujemy, co wysysamy i magazynujemy, nasza technologia pozwala również...
  - Nie potrzebuję czasu, mam go aż hoho!
  - Jest pani pewna?
  - Mam go aż za dużo.
  - Więc może tak naprawdę marzy pani, żeby się go pozbyć?
  - O nie, nigdy w życiu, taka głupia nie jestem!

Mija kilka długich sekund.

- Jest pani pewna?
  - Nie wiem, po co do was dzwoniłam.
  - Ma pani wątpliwości, jasne, to zupełnie zrozumiałe...
  - Nie, nie mam, nie mam żadnych wątpliwości, rozmyślałam się.

- Pani Natalu, proszę nie podejmować pochopnych decyzji.
- Nie chcę, żebyście wysysali czas ani ze mnie, ani z niej, rozmyślałam się!

Mija kilka długich sekund.

- Samo wysysanie czasu jest bezbolesne i trwa od trzech do szesnastu sekund.
- Wiem!

Mija kilka długich sekund.

- To jest jakby samobójstwo.
- Niekoniecznie, pani Natalu.
- Nikt się jakoś do was sam nie zgłasza.
- Zdziwiłaby się pani.
- Jakoś mi się nie wydaje, żeby się ustawiali kolejkami.
- Może nie są kilometrowe, ale są.
- Jakby tak było, tobyś tu u mnie nie siedziała.
- Siedzę tu w związku z panią Haliną, która jest obiektem naszego szczególnego zainteresowania.
- Wiem, wiem, ale nie wiem czemu! Dlaczego ona?!

Mija kilka długich sekund.

- Nie ma pani za bardzo kontaktu ze światem zewnętrznym, prawda?
- Oglądam telewizję, wiem, co się dzieje w kraju. Na świecie też, chociaż co mnie to niby obchodzi!
- Kiedy ostatnio się pani z kimś widziała?

Mija kilka długich sekund.

- Czyli możecie wyssać to z kogokolwiek?

- W sumie tak.
- A od niej chcecie te jej kapsuły?
- Od każdego pobieramy kapsuły. Mózgowe kapsuły czasu, na tym to polega, na ekstrakcji...
- Ale po co?
- Co po co?
- Do czego właściwie wam te konkretne kapsuły?
- Zbadamy je.
- No już to mówiłaś, ale do czego to służy?
- No...
- Do czego to potencjalnie ma służyć?
- Eksportujemy je z mózgu do naszych magazynów...
- Ale po co wam one, do czego to służy?
- Magazynujemy je i...
- Przecież ona wtedy kipnie, muszę wiedzieć po co!
- Nie zawsze wysysa się cały czas.
- Dobra dobra, umrze jak ta lala.

Mija kilka długich sekund. A może to wcale nie są sekundy? Może to już minuty?

- Tak, najprawdopodobniej umrze. Ale czy nie tego by właśnie chciała?
- Nie sądzę.

Mija kilka długich sekund.

- Pani Natalu...
  - Chciałaby na zawsze przebywać w tych swoich wspomnieniach, daje sobie rękę uciąć.
  - No tak.
  - To jest możliwe?
  - Yyy...
  - Jak to w ogóle wygląda?
  - Pyta pani o sam proces ekstrakcji?

- Tak.

- No więc... Technicy używają tak zwanej donicy.

- Czego?

- To jest... jak by to wytłumaczyć... Chyba najważniejszy w tym wszystkim jest pewien zmodyfikowany grzyb, któremu pozwalamy wdrzeć się do mózgu pacjenta i dzięki któremu dokonujemy ekstrakcji. Właściwie on jej dokonuje, a my go później doimy.

- Do tej donicy?

- Co? Nie. Donica to... Nieważne. To kolokwialne, branżowe określenie na bardzo skomplikowaną maszynę biotechnologiczną, pani Natalu.

- Ale czy po potraktowaniu tą donicą, po oblaniu tym grzybem i co tam jeszcze robicie tym frajerom, jak jej wyssacie te jej specjalne, te jej cudowne kapsuły czasu, to zasadnicze moje pytanie brzmi: Czy ona zostanie tam, gdzie była? Czy będzie dalej tam mogła sobie przebywać?

- Yyy...

- Czy będzie szczęśliwa?

Mija kilka długich sekund.

- Nie, pani Natalu, skończy jej się czas i koniec.

- Yhm.

- Po prostu nastąpi śmierć mózgu i cały ten cudowny wehikuł się wyłączy. I tyle.

Mija kilka długich sekund.

- Ale samo wysysanie czasu jest bezbolesne i trwa od trzech do szesnastu sekund.

- Zamknij się już z tym!

- Ja tylko...

- Po co wam te jej pierdolone kapsuły, co? No powiedz mi to wreszcie, ty wyżakietowany, wypsikany korpokurwiszonie!

Zatyka mnie. Nie oddycham. Co za jędra, jebana parszywa starucha! Nie, przestań! Nie przejmować się, nie brać do siebie. Weź głęboki wdech, weź głęboki wdech, no już!

Mijają paskudne sekundy. Światło naturalne przepadło. Chmury zakryły wszystko. Tylko telewizor nas opromienia, nieme źródło sztucznego blasku. Ogromy jasny prostokąt migocze i coraz bardziej męczy mi oczy.

- Kapsuły mogą posłużyć innym, te najmocniejsze są paliwem dla naszych wehikułów czasu.

- Prawdziwych?

- Wszystkie są prawdziwe. Te nasze, firmowe nazywamy zewnętrznymi. Dzięki temu podróżować, to znaczy patrzeć, mogą również nieobdarzeni.

- To znaczy wy?

- Na przykład.

- W przeszłość.

- Lepiej, pani Natalu. W przyszłość.

Mija kilka długich sekund.

- Co tam widzicie?!

Purchawa aż parska z podniecenia. Cała się spociła. Ma mokre czoło.

- Co tam widzicie?

- Ja nigdy nie używałam. Ale widać na przykład, co powoduje, a co nie.

- Co powoduje w czym? Gdzie?

- Na świecie, lokalnie i globalnie. Poziom mórz, woda pitna, temperatury. Migracja, konsumpcja. Eksperymentujemy, porównujemy efekty projektów ratunkowych, naprawczych, gospodarczych.

- Czyli...

- Sprawdzamy, co zadziała.

- To takie jakby testy?



- Z zagłądaniem do wciąż zmieniającego się klucza.
- Ale to... Za ile lat?
- Różnie. Za dwa, dziesięć, dwadzieścia.
- Trzydzieści?
- Też.
- Pięćdziesiąt?
- Też.
- Sto?
- Nie.

Mija kilka długich sekund.

- Chaos trzeciego poziomu. Tak się o tym mówi w firmie. Piękne określenie, chaos jakiegoś tam poziomu. Chaosem pierwszego poziomu określa się na przykład pogodę. Pogoda to układ chaotyczny. Można oczywiście przewidywać jego zmiany, można prognozować ruchy w tym układzie. Tymczasem na przykład giełda to już chaos drugiego poziomu. Można przewidywać i prognozować, co się stanie na giełdzie, ale giełda będzie reagować na te prognozy, przewidywania będą miały wpływ na przyszłe wydarzenia giełdowe. I z tego się robi bardzo skomplikowane zapętlenie. Nasze skoki w przyszłość generują coś jeszcze bardziej skomplikowanego. Ale nie wiem, czy firmowe komentarze na ten temat to nie są jednak żarty.

- Nic nie rozumiem.

Mija kilka długich sekund. A może to wcale nie są sekundy? Może to już minuty? A może to wcale nie są minuty, może to już godziny?

- Pani Natalu...

- Dobrze, zgadzam się.

Zatyka mnie.

Nic po sobie nie pokazuj. Weź głęboki wdech.

- W zamian za dostęp do pani Haliny, właściwie za samo otwarcie nam drzwi, może pani otrzymać od nas cokolwiek, co sobie pani zażyczy, cokolwiek, wszystko, damy pani, co tylko pani chce.

- Zgoda.

- No więc?

- Hm?

- Co pani za to chce?

- Ja?

- Euro, dolary, korony, jeny, proszę podać kwotę.

- Nie, po co mi pieniądze? Nawet już sobie nimi mieszkania nie wytapetuję.

- Beczki wody?

- Eee, ja piję jak ptaszek.

- Prąd?

- Wystarcza mi tyle, co mam.

- Niektórzy te transakcje robią dla wnuków, prawnuków.

- Eee, nie.

Mija kilka długich sekund.

- No to co?

- Co?

- No niech wreszcie pani powie! Czego pani chce?!

Patrzymy na siebie po skosie. I po kilku długich sekundach, minutach, godzinach ona nagle mówi najśłodszy w świecie głosem:

- Posiedzi pani ze mną przy zgadywankach?

- Słucham?

- Posiedzisz ze mną przy zgadywankach?

- Jakich zgadywankach?

- *Koło fortuny*. Na przykład. Ale może być też co innego, jakie lubisz?

- Ja?

- A akurat *Koło fortuny* zaraz będzie.
- Myślałam, że ten program zniknął na początku lat trzydziestych.
- No tak, ale są powtórki, a ja przecież nie pamiętam, kto tam co powygrał.

Mówiąc to, odmutowuje telewizor. Przez chwilę skacze po kanałach, wszędzie sylwester, sylwester, sylwester. Chociaż mamy marzec. Wszędzie jebany sylwester.

Więc siedzę z nią przy zgadywankach.

Mijają puste sekundy.

Mijają puste sekundy.

Mijają puste sekundy.

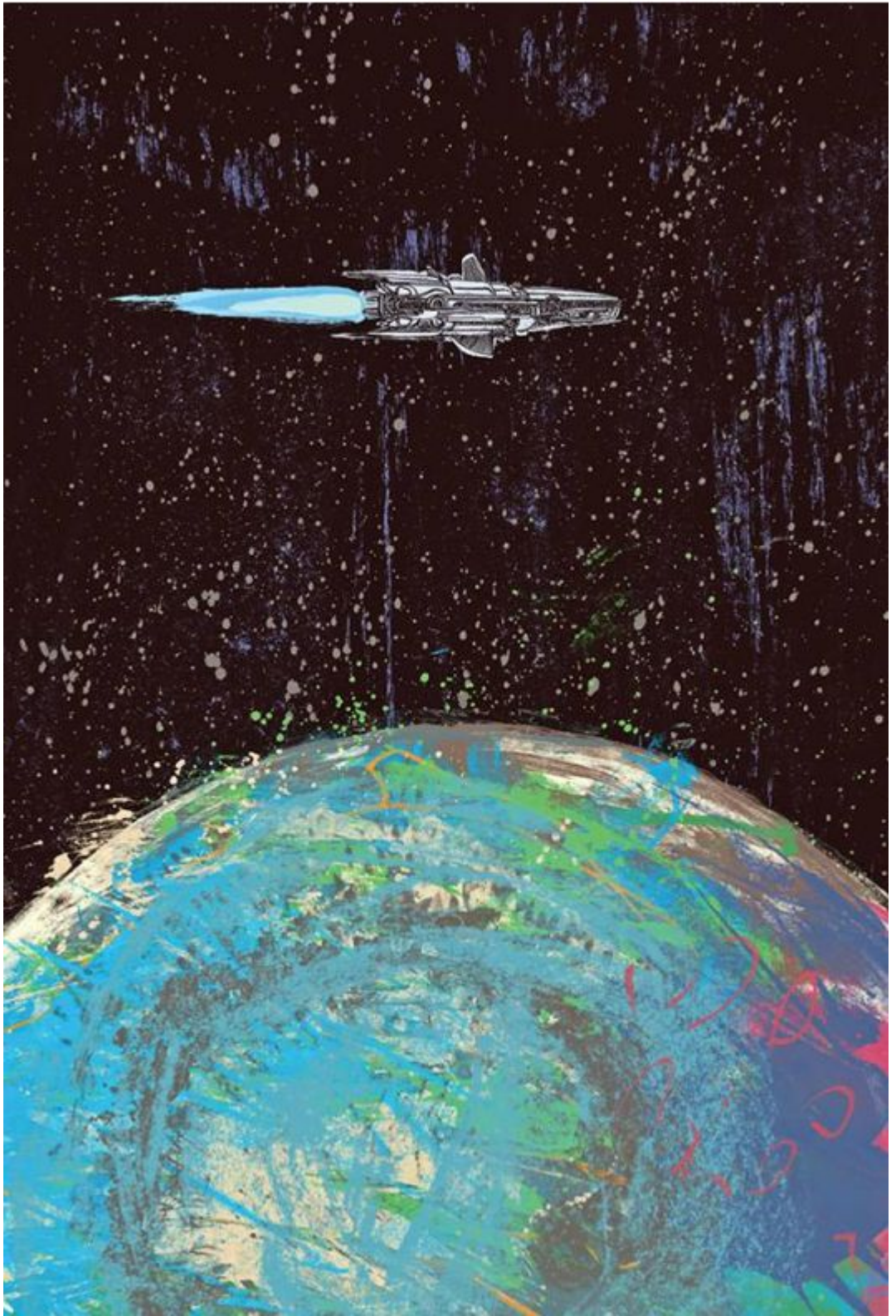
Sekundy zamieniają się w minuty, minuty w godziny, jest już dzień następny, następny poranek, następne południe, popołudnie, wieczór, noc, kolejny poranek. Nie wiem już, jak długo tu jestem.

- Możemy zrealizować naszą umowę? - pytam ją, a mój głos wydaje się wydobywać spod ziemi, z piwnic, z celi na najniższym poziomie.

- Już, już, za chwilę będziesz wolna - odpowiada.

Zmierzch.





# Kupujesz?

ANNA ROZENBERG

Zdecydowanym ruchem zasunął płachty materiału, pogrążając salę w nieprzeniknionej ciemności. Nie zastanawiał się, po co Dijam tak niespodziewanie zaprosiła go do siebie. Nie musiał. Był pewien, że rozmowa będzie wirowała wokół nutriblatu i zanim się obejrzy, usiadzie przejezdny w Komorze Zwrotnej z głową pełną gaxiańskiej filozofii, wobec której wraz z upływem czasu stawiał coraz większy opór.

Wszedł do kapsuły i ustalił lokalizację. Zanim dojrzał myślami do konkretnego kodu, już stał w komorze odbiorczej starego. Maszyna jak zwykle celnie dokończyła za niego sekwencje.

Dijam siedziała w fotelu i parzyła w urządzenie, które najpewniej przenikało kolejną galaktykę w poszukiwaniu czegoś, co wbrew przewidywaniom stanie się tematem ich spotkania.

- Cześć, Dijam.

- Cześć, Hid - rzuciła obojętnie. - Znajdź sobie jakieś miejsce.

- Mogłabyś... - Hid rozejrzał się nieco bezradnie po pomieszczeniu przypominającym salon gier, do którego ktoś wrzucił ładunek wybuchowy.

- Wymieniłam szesnaście milionów na to laboratorium - przerwała mu ostro Dijam.

- W cholere.

- W cholere - potwierdziła, nie odrywając się od oglądania tego, co miała na wyświetlaczu. - Niech się przyda.

Hid mruknął coś, zastanawiając się, jak ktoś o tak pomarszczonej skórze mógł dysponować taką liczbą.

W GaX zaraz po opuszczeniu kapsuły stworzenia każdy dostawał dokładnie 2 207 520 000 Jednostek, z czego miliard był zablokowany

odgórnie na elementarny rozwój obywatela. W tym czasie się doksztalał, otrzymując podstawowe dobra materialne, jak lokum, wyżywienie. Później można było decydować, na co wydać pozostałą sumę. Istoty gaxiańskie wybierały różnie – wielkie domy, nowoczesne kapsuły transferowe, komunikatory, pobyty. Żyły krócej, ale intensywniej. Albo też dryfowały przez miliard Jednostek, zajmując się innymi świeżymi albo samymi sobą. Byli też tacy jak Hid, którzy wybierali rozwój i użyteczność dla GaXu. Nad wszystkim czuwał Centralny Urząd Dystrybucji Dóbr, w skrócie CUDD. Prawo pozwalało na wymianę Jednostek nie tylko między urzędem a obywatelem, lecz także między samymi zainteresowanymi.

- Jednostki są w deficycie – oznajmiła nagle Dijam z właściwą sobie surowością.

- Skąd wiesz?

- Rozejrzyj się, Hid. CUDD nie ma czym dysponować. Ilu ostatnio widziałeś świeżych obywateli?

- Nie wiem, nie rozglądam się – wzruszył ramionami.

- Wszystko się spłaszczyło, Hid, wyszarzało i ujednoliciło – utyskiwała Dijam. – Nikt już nie oddaje Jednostek, nikt. CUDD ma kolejki tak długie, że nawet z pełną skalą nie doczekasz świeżego. – Nawet moja organizacja nie ma czego już oddać – Dijam uchyliła klapę skafandra. Jej łuk Jednostek wypełniało zaledwie kilka wątych kresek. Milczała wymownie przez chwilę, po czym zasunęła materiał i westchnęła chrapliwie. – Czas to wymiar, Hid, i jako taki jest skończony, przynajmniej w naszej galaktyce.

Hid pokiwał głową, starając się odepchnąć poczucie narastającego niepokoju.

- Słyszałeś o Ludziach? – z ponurego zamyślenia wyrwał go głos Dijam.

- Ludzie nie istnieją – zaprotestował mocno Hid. Żeby podkreślić swój lekceważący stosunek do bajek, przyłożył rękę do blatu żywieniowego i wybrał niezdrową przekąskę. Płaski ekran lekko się rozświetlił, a Hid odczuł przyjemną sytość.

- Odeślij zbędną energię do systemu – poprosiła Dijam, po czym dopilnowała nieugiętym wzrokiem, by Hid wykonał prośbę. Gdy to nastąpiło, ciągnęła niezrażona: – Sam kiedyś się tym interesowałeś.

Hid odczekał chwilę, by substancje wchłonęły się w jego komórki.

- Tak i z moich badań wyszło, że coś takiego nie istnieje. Wyniki musiałem utajnić, by nikt z Urzędu nie skapnął się, że zmarnowałem środki i energię na te bajki. Powtórzę: Rasa Ludzka nie istnieje.

- A co, jeśli ci powiem, że komuś bardzo zależy na tym, żebyśmy wszyscy w to wierzyli?

- W jakim celu? - Hid zastanawiał się, co powinien wybrać jako następne z nutriblatu, by umilić sobie tę czczą rozmowę.

- Tego nie wiem, ale jako badaczka mam podstawy, by sądzić...

Hid poczuł, że dawna przełożona przeszła na przekaz nadmysłowy i dodała:

- *Ktoś jeszcze o tym wie. Musisz działać.*

Wiedział, że krótka bezzwrotna wiadomość nie zostanie zarejestrowana przez Bi-Urząd GaXu, więc odparł już na głos:

- To bzdury - przesadnie machnął ręką, ukrywając za tym gestem lekkie porozumiewawcze skinienie głową. - Ludzie unicestwili się jeszcze na Maksie.

- Marsie - poprawiła go Dijam, odwzajemniając sygnał. - Podobno nieudana kolonizacja i wielka rebelia w 2063 roku.

- To też tylko spekulacje - przerwał jej Hid. - Badałem temat i wiem, że nie ma dowodów na istnienie tej rasy.

- Ale warto się temu przyjrzeć... z naukowego punktu widzenia - dokończyła Dijam.

- Ale ty jesteś uparta!

- Przywilej starca - Dijam uśmiechnęła się i skinęła na młodego, który natychmiast przysunął fotel do kokpitu i zajął do panelu. Spośród tysięcy srebrnych kropek naukowczyni wskazała jedną i zakresliła koło wokół niej.

- Przetransferuję się tam, żeby ci udowodnić, że się mylisz - oświadczył Hid, kręcąc głową.

- Gdyby to było takie proste.

Hid milczał, dając gospodyni czas na zbudowanie napięcia, które tak lubiła. Nie musiał zbyt długo czekać, bo Dijam po chwili oświadczyła:

- Tutaj potrzeba czegoś więcej niż kapsuł. Nikt na GaXie nie dysponuje czymś takim.

- Wątpisz w naszą technologię?

Dijam nie odpowiedziała. Dotknęła panelu przy swoim fotelu i oba meble ruszyły z dużą prędkością wprost na ścianę, która odsunęła się, gdy byli zaledwie kilka centymetrów od niej. Gdy mur opadł za nimi z hukiem, Dijam dała znać, że mogą rozmawiać swobodnie. Zatrzymali się w niewielkim hangarze. Hid patrzył na coś, co mogło być kiedyś kapsułą transferową. Po głowie kołatała mu się jednak inna zapomniana dawno temu definicja.

- Statek? - wydusił pytanie. - Dlaczego nie siatka?

- Otóż Ludzie zniszczyli wokół... jak to się nazywało?

- Droga Mleczna?

- Tak, właśnie. Wokół Drogi Mlecznej zniszczono siatkę bioksyłową. Między innymi dlatego nie można nawiązać z nimi kontaktu. Trzeba polecieć - wskazała na stalowego giganta.

- Nie sądzisz, że to za duże ryzyko? To zmarnuje pewnie ze sto Jednostek.

- Nie byłabym taka pewna - oznajmiła ponuro Dijam.

Hid czuł się coraz bardziej zmęczony tonem tej rozmowy. Jak najszybciej chciał skierować ją na temat statku, który budził w nim niezdrową ciekawość.

- A to?

- Właściwie gotowy, ustawiłam kod trajektorii.

Hid chciał wiedzieć raczej, skąd Dijam ma ten zabytek, aniżeli poznawać jego właściwości lotne. Coś nagle przyszło mu do głowy:

- Może warto byłoby to skonsultować z Bi-Urzędem?

- Przeciwnie - rzuciła ostro. - Trzeba ich ubiec za wszelką cenę.

- Wszędzie widzisz wrogów - zirytował się Hid. - Ja pracuję dla Urzędu i jakoś nigdy nie miałas z tym problemu.

- Ale teraz mam. Zbliżyła się zmiana u władzy. Myślisz, że jak wykorzystają to znalezisko?

- Przesadzasz. Jeżeli Ludzie w ogóle istnieją, to są to pełzające prymitywy, a jeśli przyjmujemy andromedańską oś czasu, to mogli nie wyjść poza protisty.

- Może. Nie możemy jednak dopuścić... - Dijam podniosła nagle rękę, dając znak, by oboje zamilkli.

- Spodziewasz się kogoś? - szepnął Hid.



Starsza z Gaxian pokręciła głową, a skafander gazowy pokrywający jej ciało szybko opinał się i marszczył na klatce piersiowej.

- Nie - odparła cicho i wskazała na przestarzałą kapsułę.

Hidowi nie trzeba było powtarzać. W milczeniu wsiadł i skierował myśli na dom. Zanim widok zza pleksi rozmył się zupełnie, Hid dostrzegł kilka wchodzących do pomieszczenia postaci. Dijam stała tyłem, ale młody naukowiec był pewien, że wyczuł u przyjaciółki coś, co u Gaxian nie jest codziennością.

Coś podpowiadało mu, że to, co usłyszał od Dijam, wymaga dokładniejszej analizy. Zaraz po wyjściu zamknął metalowe drzwi i przeszedł do głównego pokoju:

- Pokaż możliwości - rozkazał jednostce sterującej.

Automat ściągnął myśli i po chwili na pulpicie ukazała się mapa scenariuszy z przedziału zero osiem do zero dziewięć w skali prawdopodobieństwa, który mężczyzna ustawił dawno temu. Każdy kończył się gotowym obrazem, z wyjątkiem jednego. Na ostatniej wizualizacji Hid wsiadał do statku Dijam, ale zamiast kolejnych nici zdarzeń ekran wypełnił czarny kwadrat. Jako Gaxianin Hid mógł zrobić tylko jedno. Dotknął ekranu i przesunął obrazek w dół, wrzucając do kosza. Jednak wirtualny śmietnik nie wykonał polecenia.

- Usuń błąd - rozkazał jednostce sterującej.

- Nie wykryto błędu - usłyszał w odpowiedzi, co sprawiło, że jego myśli przeszył niemal bolesny impuls. Wstał od panelu i natychmiast udał się do pomieszczenia, gdzie trzymał wzmocnione skafandry wymiany na wypadek konieczności wyjścia poza bańki mieszkalne. Założył jeden z nich, podpiął się do nutriblatu.

- Nadmiar energii - dotarł do niego komunikat maszyny. - Przesyłam do sieci centralnej.

- Odmawiam.

- Nieudana próba. Grozi przemyśłowieniem.

- Odmawiam! - krzyknął zirytowany, wyszarpnął rękę z urządzenia i rzucił się do kapsuły, która natychmiast odebrała kod laboratorium Dijam, ale Hid wcale nie stał w królestwie starej naukowczyni, lecz w jej tajemniczej odnodze, gdzie pośród ciemności połyskiwał statek.

Podszedł do niego, ale zanim zdecydował się odsunąć pokrywę sterówki, odwrócił się w stronę ściany oddzielającej go od głównej części

laboratorium.

- Otwórz - rzucił w przestrzeń.

Mur drgnął, ale podniósł się tylko o kilkanaście centymetrów. Hid przyklęknął i przywarł do lodowatej powierzchni.

- Co tu się stało? - szepnął, patrząc na podłogę usłaną porozrywaną elektroniką i narzędziami Dijam. - Dijam! Jesteś tam? Dijam!

Odpowiedziało mu jedynie skrzeczenie i popiskiwanie aparatury. Hid wstał i wszedł do kapsuły, której rozkazał transmisję do laboratorium. Dijam była jednak za sprytna na taką sztuczkę. Zrezygnowany Hid wysiadł i spojrzał na statek. Choć nie potrafił tego umocować w rzeczywistości, był pewien, że przyjaciółka wiedziała, co się wydarzy, i niewerbalnie zleciła mu tę misję. Myśl, że wszystko jest gotowe do lotu, uspokoiła go. Zasiadł na fotelu, kopuła nad nim z sykiem opadła, a coś, co Dijam nazwała napędem, zabuksowało. Hid poczuł potężne szarpnięcie i po chwili w panice stwierdził, że nie wie, jak otworzyć hangar. Jednak Dijam zadbała i o to i po chwili statek znalazł się w przestrzeni kosmicznej.

Młody naukowiec obserwował znajome widoki na ekranach maszyny, zanim senność przejęła nad nim kontrolę, a wyobrażenia odległego Marsa nie zalały myśli.

Ocknął się nagle. Przez zażawione snem oczy na ekranach widział tylko błękit w różnych odcieniach, wyraźnie odcięty płaszczyzną granatu. Podejrzewał, że znajduje się na wodzie, choć poszycie statku pruć ją zastanawiająco długo. Hid nie widział nigdy tak wielkiego zbiornika, na GaX wodę pozyskiwano wyłącznie z odwiertów. Kiedy dobił do brzegu, stalowe siłowniki zasyczały nieprzyjemnie.

Tak jak podejrzewał, wokół ciągnął się wyłącznie piach, choć lecąc tu, był przeświadczony, że będzie on bardziej czerwony.

Statek dobił do brzegu i pokrywa uchyliła się z trzaskiem. Hid wysiadł niespiesznie i rozejrzał się. Zrobił kilka kroków, a jego stopy zatopiły się w sypkiej nawierzchni. Była to przyjemna odmiana po twardej podłodze kopuły na GaXie. Szedł więc, delektując się tym nowym uczuciem. Skafander podał temperaturę znacznie przekraczającą normy dla Gaxian. Patrząc na odczyty promieniowania, naukowiec obawiał się awarii czytników, ponieważ hologram na jego ramieniu uparcie wyświetlał zero.

Z zamyślenia wytrąciły go dwa zbliżające się szybko na żółtym tle punkty. Nie miał czasu, by wrócić do statku. Patrzył, jak rozmyte temperaturą kształty zmieniają się w pojazdy o nieznanym mu napędzie. Zanim zatrzymały się całkiem, ich ubrani w zasłaniające twarze skafandry jeźdźcy zeskoczyli, przyjmując natychmiast pozycje bojowe. Hid nieruchomo patrzył w wycelowaną w niego broń. Analizował wygląd postaci, zastanawiając się, czy to ich właściwa forma, czy są zdolni do reduplikacji widzianej jednostki.

- Coś za jeden? - usłyszał ostry głos jednego z przybyszów.

- Hid 51009 z planety GaX, w paśmie Cybela - odparł pewnie, wyczuwając, że ich zamiary nie są podszyte agresją, a jedynie strachem, a z tym można było dyskutować.

- Co robisz na Ziemi?

- Na Ziemi? - zdziwił się. - A nie na Marsie?

Żołnierze popatrzyli na siebie, a z ich zabudowanych hełmów wydobyło się rżenie przypominające śmiech zniekształcony przez uszkodzony głośnik.

- Nie, jesteś na Ziemi, Hidzie z GaXu - oznajmił wyniośle jeden z nich. - Mów, co tu robisz.

*Dobre pytanie* - pomyślał, ale przełknął tę myśl i natychmiast wypluł kłamstwo:

- Zostałem wysłany przez mój Urząd, by sprawdzić... stan Marsa.

- Może już się zorientowałeś, że Mars nie istnieje, a pewnie to, co widzieliście z tego... GaXu, to...

- ...przeszłość - dokończył Hid. - A wy jesteście...

- Ludźmi.

- Ludźmi - powtórzył bezdźwięcznie, analizując kształt osób przed sobą, który tak bardzo przypominał jego samego. - Wymarła ziemską rasę - powiedział po chwili.

- Poza „wymarła” to wszystko się zgadza - mruknął niższy.

- Natomiast nie zgadza nam się twoje kłamstwo - wtrącił ten drugi. - GaX doskonale wie, co się u nas dzieje. Zaczynj więc gadać, zanim podziurawimy ci ten skafanderek.

- Albo skończą mu się Jednostki - zarechotał pierwszy z napastników, z pogardą podkreślając ostatnie słowo.

- Moje Jednostki mają się dobrze - Hid poklepał srebrną wypukłość na skafandrze, wciąż nie odrywając wzroku od broni. Zastanawiał się, skąd obcy wiedzieli o gaxiańskich Jednostkach, ale spod tych myśli jak nóż przebijało się pytanie, dlaczego on nic nie wiedział o obcych.

- Dobra, Hidzie z GaXu, koniec pogaduszek - wyższy z żołnierzy zbliżył się do naukowca i szarpnął go za ramię, odwracając tyłem. Złapał go za nadgarstki i założył na nie metalowe kajdany. - W bazie otworzą ci gębę - dodał i pchnął Hida w stronę pojazdu.

Nigdy nie podróżował w ten sposób i wkrótce po starcie odczuł tego skutki. Trzymając się za brzuch, siedział skulony w czymś, co mógłby śmiało nazwać klatką, przy czym jedyne ograniczenie jego wolności stanowiły prędkość i wdzierający się wszędzie piach. Kajdany wpijały mu się w ręce, uniemożliwiając najmniejszy ruch. Musiał spróbować jedynej dostępnej mu broni.

- Słyszałeś coś? - krzyknął żołnierz kierujący pojazdem, w którym siedział Hid.

- To chyba w silniku.

- Zatrzymaj się - rozkazał mniejszy, po czym oba pojazdy znieruchomiały. Hid skupił maksymalnie strumień świadomości. Ludzka rasa wydała mu się niezwykle podatna na przekaz nadmysłowy, do tego stopnia, że był w stanie wkładać w usta napastnika całe zdania. Hid żałował tylko, że przed wyjściem ze statku nie skorzystał z nutriblatu. Sterowanie Ziemianinem kosztowało go bowiem dużo energii, która kurczyła się w zastraszającym tempie.

Mały zeskoczył z jednośladu i, kucając, przyglądał się napędowi.

- A co on taki milczący? - wysoki wskazał brodą na naukowca, który nieobecny wzrokiem patrzył na odbiorcę sygnałów.

- Nie wiem - wzruszył ten ramionami. - Najlepiej będzie się go pozbyć.

- Co?

- Nikt poza nami go nie widział, a w bazie będzie tylko problem.

Strumień wysyłanych myśli powoli wymykał się Hidowi spod kontroli.

- Chcesz go zabić?

- Policzą amunicję i co im powiem? Po prostu go wypuścimy, a pustynia zrobi resztę.

Tamten przeszedł się kawałek, po czym zawrócił, poprawiając z zakłopotaniem hełm. Hid nie miał siły sterować także nim. Z niepokojem oczekiwał na odpowiedź, która wybrzmiała chwilę potem.

- Może masz rację - podszedł do Hida i jednym silnym ruchem wyciągnął go z bocznej przyczepy pojazdu. Naukowiec upadł na kolana, ale natychmiast się podniósł, nie chcąc tracić kontaktu z odbiorcą. Ostatek sił przekazał wiadomość o zdjęciu kajdanek.

Szedł, powłócząc nogami. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby mu w bazie, o której mówili żołnierze. Może spotkałby jej dowódcę, wyjaśnił, po co przyleciał na Ziemię, poprosił o kilka próbek i rozstaliby się pokojowo. Zbieżność fizjonomii wydawała się Hidowi nieprzypadkowa, więc podejrzewał również podobieństwo w procesach myślowych. Pogrążony w rozważaniach nie zauważył nienaturalnej fałdy, jaka utworzyła się tuż pod jego stopami. Zanim zdążył zareagować, leciał w dół wąskiego, ciemnego tunelu przypominającego rury napowietrzające na GaXie. Po chwili zobaczył światło wylotu. Naprężył mięśnie, ale upadek zamortyzowała znajdująca się pod nim sterta szmat.

- No proszę. Mamy jakiegoś cywila! - usłyszał Hid za sobą.

Niezdarnie wstał ze stosu i odwrócił się w stronę głosu, którego właściciel niewiele różnił się od żołnierzy. Ciemność panująca w jamie oszukiwała nieco wzrok naukowca, ale był on pewien, że patrzy na Człowieka na fotelu z dużymi kołami.

- Jestem Hid...

- Wiem, wiem - obcy machnął ręką w geście pogardy. - Wiem też, że nie jesteś żadnym badaczem, ale kolejną mendą z tej zasranej planety. Czego chcesz poza szybką utratą życia?

- Dowiedzieć się, co tu się dzieje - odparł Hid sparaliżowany myślą o tym, co usłyszał od Człowieka. - Według wszelkich dostępnych danych Rasa Ludzka została unicestwiona. Na GaXie nikt nie wie o istnieniu tej planety.

- Czyżby? - nieznajomy podjechał bliżej Hida, łapiąc za obręcz kół fotela.

- Ze wszystkich dostępnych danych wynika, że unicestwiliście się dawno temu, podczas buntu na Marsie - dokończył naukowiec, coraz bardziej tracąc pewność siebie.

- Dużo masz jeszcze tych bajek? - przerwał mu Człowiek. - Słuchaj, Hidzie z GaXu czy jak ci tam, Ludzie polecili na Marsa, a jakże! Tyle że nikt nie wrócił. Mało komu podobało się życie pod kopułą, z reglamentacją wszystkiego, łącznie z żarciem, powietrzem i papierem toaletowym.

Hid pomyślał smutno, że nieznajomy właściwie opisuje GaX.

- Zniszczenie Marsa miało jednak zaskakującą konsekwencję - ciągnął nieznajomy. - Wybuch został odnotowany wiele lat świetlnych stąd i jakoś koło trzeciego tysiąclecia zjawiliście się wy. Zastaliście nas w gaciach. Nas, czyli tych, co nie dali się nabrać na cudowną podróż w przestworza - wyjaśnił i poprawił się na fotelu. - Ziemia była wyniszczona, a my żądni normalności, którą Gaxianie mieli nam zapewnić w zamian za...

- Jednostki - szepnął Hid, a Człowiek potwierdził.

- Jako rasa, która miała wszystko, byliście bardzo atrakcyjnym partnerem - kontynuował z niezrozumiałym dla naukowca przekąsem. - Do czasu...

Hid poczuł ucisk w głowie, jakby jego mózg rozpierał nadmiar informacji. Słuchał opowieści Człowieka z rosnącym napięciem, a wizja roztańczana przez niego coraz mniej mu się podobała.

- Chodź, pokażę ci moje królestwo - Człowiek zachęcił Hida gestem, zawrócił fotel i pojechał długim korytarzem, który jedna po drugiej rozświetlały mdłe światła lamp. Naukowiec wahał się przez chwilę, po czym ruszył za Człowiekiem. Po kilkuset metrach zaczęły do niego docierać niskie dźwięki, które mógł przyrównać do zgiełku panującego w jego laboratorium. Kręta droga skończyła się barierką, za którą rozpościerał się najsmutniejszy widok, jaki Hid kiedykolwiek widział, a źródło pomruków stało się oczywiste.

Poruszający się w dole Ludzie stanowili szaro-brązową masę, hałaśliwą i brudną. Jedni szli gdzieś szybko, inni leżeli na chodnikach wzdłuż czegoś, co Hid mógłby nazwać budynkami, gdyby nie sterczące z ich trzewi metalowe konstrukcje i nieład łączonych materiałów - blachy, szmat i spękanych tafli ponurego betonu wkomponowanego w wydrążone w skale jaskinie. Hid rozejrzał się za źródłem światła, ale to stanowiły wyłącznie zawieszane na kablach lampy, podobne do tych, które widział w korytarzu.

- Co to jest?

- Nie co, tylko kto - odparował Człowiek. - Twoja nieistniejąca Rasa Ludzka.

- Ale co oni tu robią?

- Wszystko, żeby przeżyć i nie dać się złapać tym z Bazy.

- Złapać tym z Bazy - powtórzył cicho naukowiec, a prawda, którą przynosił krajobraz przed nim, przytłaczała go coraz bardziej.

- No więc na początku Gaxianie dawali... te, no przedmioty, a Ludzie brali i brali - mówił Człowiek, obserwując w dole osobę układającą sobie pod głowę kawałek koca. - Potem w waszym rządzie się zorientowali, że wcale nie muszą nic dawać...

- Najechali na Ziemię?

- Ależ po co? - zaśmiał się tamten kpiąco. - Konflikty zbrojne to prymityw... W porozumieniu z Ludźmi ustanowili Zarządcę Ludzkiej Rasy. Niby miało to służyć regulacjom, przeciwdziałać nadużyciom, ale finał był do przewidzenia. Silniejsi zaczęli handlować słabszymi. Gaxianie mieli mało czasu, a nam... nam ciągle wszystkiego mało. Zawsze chcemy więcej - mruknął.

- Chcę rozmawiać z tym Zarządcą - wyparował Gaxianin. - Przemycisz mnie do tej bazy?

- Nie ma potrzeby przemycania - zaśmiał się głośno i chrapliwie, co wywołało w Hidzie niepokój. Kombinezon zareagował natychmiast, serwując dodatkową porcję tlenu i uspokajaczy.

- Podziemie to nadzieja, a nią najlepiej karmi się głupców - snuł Człowiek. - Bez niej cały plan szybko spaliłby na panewce. Oni muszą ją mieć, by chcieć żyć i produkować Jednostki. Chodźmy - zakomenderował.

Przeszli przez przylegające do korytarza drzwi, których Hid wcześniej nie zauważył, a potem przez kolejne i kolejne, które Człowiek otwierał za pomocą próbek głosu lub skanu dłoni. Ostatnie prowadziły do windy, która zabrała ich, ku zaskoczeniu naukowca, na dół. Wylądowali w niewielkim pokoju z biurkiem, kapsułą transferową i szafą zrobioną z drewna. Hid oparł się pokusie, by jej dotknąć. Nigdy nie czuł pod palcami tej fascynującej faktury. Człowiek objechał blat, pochylił głowę i w nienaturalny sposób zaczął czochrać sobie włosy. Po chwili na biurku wylądowały peruka i wydatny gumowy nos. Nieznajomy zgarnął

je jednym ruchem do szuflady, rozmasował twarz i wstał, odpychając wózek w kąt. Hid w milczeniu obserwował, jak wyciąga z szafy nutri-  
blat.

- Bądź moim gościem, Hidzie z GaXu - Człowiek podał mu urządzenie, a naukowiec przyjął je nieufnie.

- Jesteś tym Zarządcą... - szepnęła, przykładając rękę do powierzchni nutriblatu, który natychmiast uzupełnił brakujące makroelementy.

- Jak widać - rozłożył ręce. - I pozwól, że coś ci pokażę.

Nie czekając na potwierdzenie ze strony naukowca, Człowiek nacisnął coś na drzwiach szafy. Lita ściana za nim zamigotała, zmieniając się w okno, przez które widać było miasto przypominające to, jakie Hid znał z GaXu. Jasne, strzeliste budowle pozwalające zaoszczędzić miejsce pod niewielkimi jak na zapotrzebowanie mieszkańców kopułami. W dole ruchome chodniki, które wyraźnie mówiły, że w przeciwieństwie do Zarządcy Ludzie jeszcze nie mają kapsuł transferowych. Na nich Hid obserwował uśmiechniętych Ziemiaków jadących w towarzystwie dzieci i dziwnych stworów. Badając sprawę Ziemi, naukowiec natrafił kiedyś na informację, że żyły na niej Zwierzęta. Podejrzewał, że patrzy właśnie na nie.

- Ci, co zostali na Ziemi - mówił spokojnie Zarządca - stwierdzili, że pora przemodelować życie, ale Ludzie to tylko Ludzie. Chcą więcej i więcej i zawsze wracają do punktu wyjścia. Zawsze kręcą się w tym samym kółku historii jak pieprzone chomiki.

Hid chciał zapytać o chomiki, ale myśl tę zdominował smutek, jaki w niezrozumiały sposób wywołała woda zbierająca się w oczach Zarządcy.

- Jak widzisz, handel Jednostkami kwitnie - powiedział po chwili i otarł twarz dłonią.

- Jak to się odbywa?

- Podobnie jak u was, z tą różnicą, że Ludzie po prostu umierają. Na podstawie DNA wyceniamy ich długość życia i zabieramy, przerabiając ich lata na wasze Jednostki.

- Ale ci tutaj żyją - zdziwił się Hid.

- Bo handlują tym - Zarządca znów dotknął drzwi szafy, a obraz na ścianie zmienił się w mroczną halę wypełnioną kontenerami ustawionymi w wysokie rzędy. Mimo wyteżenia wzroku naukowiec nie potrafił



dostrzec końca pomieszczenia. Szybko skonstatował, że tym razem patrzy nie na wyświetlony obraz kamery, ale na rzeczywisty hangar.

- Proszę za mną, panie Hid - ponaglił go Człowiek.

Szli wzdłuż jednej z alejek, z których każda zaczynała się przestawiać i nieco zmodyfikowaną kapsułą transferową. Nagle Zarządca zatrzymał się przy jednym z kontenerów i dotknął go, a lita blacha zmieniła się w obraz tego, co znajdowało się w środku. Na widok wnętrza Hid cofnął się, z trudem powstrzymując krzyk.

Skulony pod ścianą przedstawiciel Rasy Ludzkiej wzdrygnął się i spojrzał z przerażeniem w kierunku naukowca, choć ten był pewien, że Człowiek go nie widzi. Hid zrozumiał, że strach nie był wywołany przez widok, ale przez zdarzenia, których osobnik się spodziewał. Naukowiec zamknął oczy, ale nagość i bezbronność zamkniętego w klatce stworzenia przebijała się niemal bolesnym powidokiem. Oczy wciąż szturmował obraz cienkiej, naciągniętej na wychudzone ciało skóry i pustka niewielkiej przestrzeni, którą zdawała się wypełniać wyłącznie groza.

- A zatem wysyłając mnie tutaj, Dijam chciała przeszkodzić w eksploatacji biednych Ziemi - podsumował Hid, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

- Czy pan jest głupi, panie Hid, czy tylko takiego udaje? - Zarządca wyduł wargi.

- Mój poziom inteligencji określony przez Urząd to trzysta czter...

- Czyli jednak po prostu głupi - dokończył Człowiek. - Pyta pan o Dijam. O tę, która regularnie wysysa z naszych podopiecznych bezcenne lata?

Hid milczał.

- To po co by mnie tu wysyłała? - odezwał się po chwili.

- Żeby pana umoczyć w największej aferze na waszej planecie, następnie zabić i dobrać się do raportu, który spoczywa utajniony w pana archiwach. Nowa władza mogłaby się nim zainteresować, a to byłoby Dijam bardzo nie na rękę.

- Zabić? - Hid uczeplił się myślami tego właśnie zwrotu. - Przy nieograniczonej możliwości regeneracji zabicie Gaxianina jest niemożliwe. Tylko utrata Jednostek może zakończyć byt obywateli naszej planety.

- Po prostu głupi - Zarządca pokręcił głową, po czym popatrzył na Hida z litością i wymownie poklepał się po klatce piersiowej.

Hid odruchowo otworzył klapy Licznika Jednostek, który wskazywał wartość krytyczną. Naukowiec patrzył z przerażeniem na kpiący uśmiech Człowieka.

- Dijam jakimś dziwnym trafem zapomniała panu powiedzieć, że gaxiańskie Jednostki są gównem warte na Ziemi? Czas płynie u nas szybciej, panie Hid. Dziesięć lat ludzkich to rok Istot gaxiańskich, ale na GaXie. Tutaj to zaledwie jedenaście i pół minuty. Ot, strata na przesył i wymianie. Bo chyba zdaje pan sobie sprawę, że te wasze Jednostki to nie do końca czas? - Zarządca uśmiechnął się chytrze.

Hid zdawał się dusić tą myślą. Bezwiednie ruszył w stronę biura Zarządcy.

- Proszę nie panikować, panie Hid! Mamy tu przygotowaną obywatelkę do wymiany. Proszę korzystać! - zachęcił go Zarządca, wskazując szerokim gestem na stojącą na początku alejki Kapsułę, w której pojawiła się mała Ziemianka. Brudne ciemne strąki oblepiały jej śniadą, wychudłą buzię, w którą natura włożyła dwa błękity, a widok Człowieka dołożył przerażenie. Zdawało się, że Hid przejął jej uczucia. Zmrożony patrzył na trzęsące się dziecko, któremu strach ściał usta w siną, rozedrganą kreskę.

- Wycena mówi, że może dać dwanaście minut - wtrącił Zarządca, sprawdzając wyświetlacz kapsuły. - Wiedz jednak, że ten wasz urząd nie będzie się z tobą patyczkował. Twoja podróż tutaj została zarejestrowana i Dijam udowodni ci współludział - przestrzegł go.

Hid odrzucił tę myśl. Obserwował Licznik Jednostek, którego wskaźnik zbliżał się do końca skali.

- Wyświetl pozycję - rozkazał w panice skafandrowi. Patrzył na mapę, która jasnym światłem hologramu rozlała się na podłodze. Jeśli dobrze policzył, potrzebował dokładnie dwunastu minut, by dotrzeć na statek, odlecieć i dostać się na GaX. Po dotarciu do domu będzie miał dostatecznie dużo Jednostek, by wszcząć alarm. Stał przed Kabiną Wymiany, patrząc w oczy dziecka. Jeśli zdecyduje się pobrać od niego te niezbędne do podróży pięć lat, dziewczynka umrze, ale on powiadomi władze GaXu o tym, co tu się dzieje.

Jeśli zostanie na Ziemi, to na zawsze.

- No to bierzesz pan czy nie? - usłyszał za sobą.





# O kotach, dziadach i Matce Boskiej

RADEK RAK

## I

Z cudownego uzdrowienia Jana Pawła Karola wynikło wiele kłopotów.

Jan Paweł Karol chorował jak każdy w jego wieku, to jest na wszystko. Puchły mu nogi i nie mógł złapać tchu, w niektórych miejscach na ciele trochę przytył, tu zbladł, tam zżółkł. O wejściu po schodach nie było mowy, łupało go bowiem w krzyżu i strzykało w kolanie i jedyne szczęście w tym, że wszyscy w gargamelu mieszkali na parterze. Na wyższe piętra strach było się zapuszczać, a o tym, co tam się działo, opowiadano szeptem i nigdy nocą. Dorota mawiała, że to koty, ale ona koty widziała wszędzie.

Nie wiadomo tedy, co było przyczyną niedomagań Jana Pawła Karola. Dorota stwierdziła, że zaburzenia krążenia i zakrzepica, a w dodatku pewnie zwyrodnienia kręgosłupa, może jakaś przepuklina, nie wiadomo, trzeba by tomografię zrobić, a najlepiej rezonans. Na to nie było jednak stać ani Jana Pawła Karola, ani nikogo innego w gargamelu, bo gdyby było inaczej, to mieszkaliby gdzie indziej. Całe szczęście, że Małgorzata Helena Pistis Sophia jeszcze praktykowała, choć plątały się jej słowa, a niekiedy i czas. Małgorzata Helena Pistis Sophia miała naprawdę na imię po prostu Lena, jak wiele kobiet z jej pokolenia, lecz nikt nie ośmielił się odezwać do niej prawdziwym imieniem,

a już zwłaszcza jeżeli miał do niej sprawę. Istnieje też możliwość, że nikt jej prawdziwego imienia zwyczajnie nie pamiętał.

Małgorzata Helena Pistis Sophia przyjęła pana Jana Pawła Karola w swym pokoiku w mieszkaniu numer dwa w gargamelu „Jesień”, za zasłoną z kolorowych tasiemek. W pokoju panował wieczny mrok, bowiem zasłon nigdy nie rozsuwano, by nie przepłoszyć opiekuńczych duchów. Najwyraźniej dzięki kiszeniu się w lepkim i zakurzonym zaduchu nabierały one większych mocy i rosła ich potęga.

Babka rozłożyła karty, pomamrotała coś nad nimi, odmówiła wraz z Janem Pawłem Karolem trzykrotnie różaniec, wszystkie tajemnice radosne, bolesne i chwalebne. Tajemnic światła nie uznawała, uważając je za heretyckie. W końcu orzekła, że pana Karola gnębią przywry na śledzienie, na co nie ma lekarstwa, i trzeba tylko czekać na śmierć. Samo przejście do życia wiecznego mogą ułatwić duchy pozostające na usługach Małgorzaty Heleny Pistis Sophii, na progu zaświatów czekają bowiem demony łase na dusze śmiertelnych i mogą przeszkodzić w dotarciu do Źródła, jeśli dusza nie wie, jak ich uniknąć. Jest ona bowiem jak niewinna dziewczeczka zapuszczająca się sama nocą w ciemną uliczkę. A pomoc dobrych duchów kosztuje nie więcej niż dwie konserwy turystyczne, pasztet z wątróbek, kostka masła, byle nie zjełczałego, słoik kiszonych ogórków i sześć piw, mocnych, nie jakichś tam sikaczy.

Te piwa dały pacjentowi wiele do myślenia. O podchmielonych duchach nie słyszał nigdy, za to Małgorzatę Helenę Pistis Sophię widywano pod wpływem dosyć często. Stało więc na tym, że dał babce tubkę maści z witaminą A, ledwo napoczętą, cukinię i dwie papryki w podzięce za trafną diagnozę. W poszukiwaniu leku udał się zaś tam, dokąd od wieków chorzy zwykli się udawać, gdy nie zostawia się im nadziei. To znaczy do kościoła.

To nie tak, że nie było lekarzy. Kawalek za gargamelami, po drugiej stronie torów kolejowych nowoczesny budynek z czerwonej cegły dyskretnie opisany szarawą tabliczką mieścił klinikę kardiologiczną, a na jej tyłach znajdowała się przychodnia ogólna. Tylko że Jan Paweł Karol nie miał jak zapłacić. Z tego, co wiedział, w przychodni nie przyjmowano cukinii.

O tej porze roku cukinia stanowiła główne źródło dochodów gargamela numer jeden zwanego „Wiosną”, a także powód zazdrości sąsia-

dów. Gargamele „Lato”, „Jesień” i „Zima” również miały swoje przynależne ogródki, ale zacienione przez dobudowane przez innego dewelopera w latach dwudziestych bloki „Przedwiośnie”, „Przedzimie” i „Natura Park” i nic tam za bardzo się nie udawało. A cukinia lubi słońce.

No więc Jan Paweł Karol, nie mając ani waluty personalnej, nie mówiąc już o funduszowej, ani nawet zbyt wiele kredytu społecznego, poszedł do kościoła. Kościół od zawsze przyjmował każdą walutę, jaką kto miał. Nawet cukinie, choć proboszcz nie mógł już na nie patrzeć. Ujrzawszy więc pana Karola w zakrystii po wieczornej mszy, nie spodziewał się, że ten wręczy mu złoty szkaplerz z Matką Boską.

- Skąd pan to ma, panie Karol? - ksiądz w pierwszej chwili spanikował. - Niech pan to schowa, to nielegalne!

- Ech, proszę księdza, ksiądz będzie wiedział, co z tym zrobić. W razie czego można powiedzieć, że to tombak i że ode mnie. Jakbym ja miał prawdziwe złoto, tobym się, proszę księdza, po gargamelach nie tułał.

Tak, taka argumentacja przekonała księdza. Schował medalik, a do tego dostał jeszcze całą reklamówkę cukinii.

- Niech ksiądz weźmie. Na zdrowie. Bigos z cukinii najlepszy.

- Eee, tak. Najlepszy.

- Wystarczy na mszę? Za moje zdrowie. Nie musi nawet ksiądz imiennej intencji wyczytywać. Ludzie potem gadają, a Pan Bóg na pewno wie, co i jak.

- Panie Karol, wystarczy nawet na gregorianki, kiedy już przyjdzie na pana pora.

Choć kiedy za parafianinem zamknęły się drzwi, proboszcz pożałował nieco swej wyrywności. Złoto złotem, medalik - prawda - całkiem spory, ale gregorianki to jednak gregorianki. Jeszcze kilkanaście lat temu, gdy kościoły świeciły pustkami, a pomysł wprowadzenia zakazu posiadania złota przez osoby prywatne wydawał się tak nieprawdopodobny, że aż śmieszny - no, wtedy by się zgodził bez mrugnięcia okiem na wszystko, co tylko zasugerowałby Jan Paweł Karol. Na szczęście wraz z kryzysem społecznym i ekonomicznym znów nastał dla Kościoła czas dosytu. Dysponował on bowiem towarem, który mimo licznych

substytutów trudno było znaleźć na innych rynkach. Zwłaszcza ludziom niezamożnym i starym, czyli większości.

Jan Paweł Karol nie zwykł rozmyślać o takich sprawach, bo on sam nic nie mógł zmienić w otaczającym go świecie, a choćby i nawet mógł, to miał już przecież tyle lat, ile miał, i puchły mu nogi. Na walkę o siebie potrzeba zaś dużo sił, więcej niż miewa starszy człowiek. Czasami więc można tylko skulić się w sobie, zamienić w kamień i przywrzeć do miejsca, w które zostało się rzuconym przez życie, w nadziei, że nikt nas tam nie dostrzeże i pozostawi w spokoju.

Na umówioną mszę przyszedł Jan Paweł Karol o świcie, to jest o dwie godziny za wcześnie, i został aż do zmierzchu, kiedy to zamykano kościół. Leżał krzyżem i ani drgnął, jakby naprawdę zamienił się w kamień. Co jakiś czas ten i ów z ciekawskich wiernych zbliżał się, by sprawdzić, czy w ogóle żyje. Ku ich rozczarowaniu starszy pan oddychał.

Tymczasem Jan Paweł Karol modlił się, aż coś go rozrywało w środku. Obracał dobrze znane słowa uważnie, jakby wypowiadał je po raz pierwszy, choć przecież towarzyszyły mu od dzieciństwa, traktowane byle jak i niemal niezauważane, jak każde dobro, które napotyka się każdego dnia i które ta codzienność czyni niewidzialnym. Odmówił różaniec (razem z tajemnicami światła) i koronkę do Bożego Miłosierdzia, i litanie loretańską, choć to wcale nie był maj, i wiele innych, bo człowiek często może się zdziwić, ile zna modlitw. Wydawało mu się, że każda zdrowaśka to okręt płynący niebem pod wydętymi żaglami, piękny jak jutrzienka i groźny niczym armia gotowa do boju, walący raz po raz z armat. Każdy wystrzał rozrywał na strzepy kolejną przywrę w jego śledzienie. Kanonada trwała i trwała, od zapachu prochu łzawiły oczy i drapało w gardle. Mocniej niż działał grzmiał jednak głos Królowej Niebios, Najświętszej Maryi Panny z diademem z dwunastu gwiazd kolczastych niczym shurikeny. Nakazywał nie ustawać, lecz w imię Boże gromić przeciwnika.

Wzburzone od armatnich kul morze ucichło pod wieczór. W szmerze łagodnego powiewu armada Najświętszej Paniienki odpłynęła w zachodnią stronę świata, za gasnącym słońcem.

Jan Paweł Karol powstał z miejsca sztywny, lecz lekki jak światło. Wiedział bowiem dobrze, że został uzdrowiony na ciele i na duszy.



Wyszły z ukrycia, gdy tylko Dorota pojawiła się w zasięgu wzroku. Ostrożnie zerkając na boki i węsząc, przybywały zewnątrznymi klatkami schodowymi, wymykały się z opustoszałych mieszkań, wyrwanych kratek wentylacyjnych, a nawet z szybu niedziałającej windy.

W przeciwieństwie do ludzi koty wydawały się stworzone do życia w gargamelach.

Dorota znała je wszystkie. No, prawie, bo niektóre pojawiały się tylko raz, chwytaly kęs pokarmu i uciekały wśród wrzasków, kotłowniny i kłębów latającej sierści. Znała ich nastroje i temperamenty. Pamiętała historie całych kocich dynastii i mogłaby wiele opowiedzieć dzisiejszym kotom o ich przodkach, gdyby tylko te chciały słuchać. Chyba były po prostu zbyt młode i nie rozmyślały zbyt wiele o przyszłości ani o tym, że same kiedyś również się zestarzeją. Może zresztą miały w tym rację, bo też niewiele wolno żyjących kotów dożywa starości. Ginęły na ulicach pod kołami pojazdów albo od rozkładanych przez miasto trutek. Dorota zbierała te śmiercionośne brązowe chrupki i zakopywała. Wiedziała, że inni też tak robią – przeważnie kobiety z komun seniorskich. U Doroty z wiekiem malała sympatia do ludzi, rosła za to do wszystkiego, co żyje i nie jest człowiekiem.

- Stój tu i patrz, czy nikt nie idzie - mruknęła do Jana Pawła Karola, a sama weszła na piąte piętro, nieczynne od dwunastu lat, kiedy to pieprznął gaz i wyrwało prawie wszystkie okna w gargamelu. Szóste piętro częściowo spadło wówczas na piąte, a budynek oznaczono jako niezdatny do zamieszkania, czyli akurat w sam raz dla seniorskiej komuny. Szczęśliwie nikt wówczas poważnie nie ucierpiał, bo i tak od lat, to znaczy od odcięcia wody, nikt nie mieszkał wyżej niż na pierwszym piętrze, aby nie musieć chodzić schodami do studni na podwórzu.

Na piątym piętrze przez wyrwy w dachu widać było niebo. Niebo we wrześniu, jeśli zechce, potrafi być błękitne jak w żadnym innym miesiącu. Tu i tam wśród gruzu chwiała się brzoźki i dojrzewały dynie. Mieszkańcy gargameli bywali bardzo pomysłowi, kiedy szło o zagospodarowanie pustostanów, i uprawiali każdy skrawek terenu, na którym cokolwiek chciało rosnąć. Wbrew pozorom za cukinie i dynie można dostać wcale nie tak mało.

Na przykład jedzenie dla kotów. I suche chrupki, i gotowe saszetki, i takie specjalne wędliny ze sklepu mięsnego. Te ostatnie koty lubiły najbardziej. Żyły, ścięgni i co tam jeszcze.

Trzeba było uważać, bo karmienie dzikich kotów było karalne. Co prawda Dorota nie słyszała, by kiedykolwiek kogoś za to ukarano, choć gdyby ktoś ją podpieprzył, mogłaby stracić nawet tę resztkę kredytu społecznego, która jej przysługiwała. Wtedy nie byłoby dla niej miejsca nawet w gargamelach.

Dawno, dawno temu Dorota pracowała jako pielęgniarka i nawet miała jakieś oszczędności, choć to naprawdę trudne, kiedy jest się pielęgniarką. Potem to już wiadomo – hiperinflacja, redukcja etatów, zamrożenie kont bankowych i nacjonalizacja oszczędności, by wspomóc grupy szczególnie poszkodowane kryzysem, czyli nie bardzo wiadomo kogo. Jak by nie było, Dorota została bez pracy i bez funduszy, więc przy określaniu wartości społecznej załapała się do przedostatniej grupy. W tamtych dniach uśmiechnięta rzeczniczka rządu podczas konferencji prasowej rzuciła magiczne słowa: „samopomoc seniorów”. Bardzo zgrabny sposób stwierdzenia, że coraz liczniejsze osoby starsze mają radzić sobie same.

Koty przybiegły, nie czekając, aż skończy napełniać blaszane miski. Wiadomo, że kto dopadnie karmy pierwszy, ten się naje. Dla pozostałych nie zostanie nic. Ciekawe, czy istnieje jakaś samopomoc dzikich kotów dla starych, chorych i słabych.

Wycofała się ostrożnie, by nie przeszkadzać. Jan Paweł Karol czekał na półpiętrze i miętolił różaniec. Gdyby ktoś się zbliżał, miał rozkaszclec się, jak to tylko on potrafił, mokro, lepko i z samego dna płuc, a na koniec charknąć. Ale tym razem panował spokój. Z Jana Pawła Karola był dobry człowiek, choć dewot. Ostatnio też bez przerwy opowiadał o tym, jak Małgorzata Helena Pistis Sophia go zdiagnozowała, a Matka Boska uleczyła z przywr na śledzienie, czego Dorota nie mogła już słuchać.

- Nikogo nie było? – zapytała.
- Nikogutko. Czemu ty tak się kryjesz z tymi kotami?
- Bo to nielegalne.
- Mieszkać w gargamelach też jest nielegalnie.

Jan Paweł Karol zbiegł na półpiętro z gracją młodej kozicy. Uzdrowienie z przywr, prawdziwych czy wyimaginowanych, zdjęło mu z ramion ze dwadzieścia albo i więcej lat. Dorota nie mogła nadziwić się sile sugestii i nagły powrót sąsiada do zdrowia złościł ją tym bardziej, że sama nigdy nie potrafiła przekonać się do wiary w podobne cuda. Ilekroć próbowała sugerować sobie, że czuje się doskonale i te kolki w nerkach to nic takiego, to ciało ani myślało słuchać podobnych farmazonów, nerki napierdziałały cały czas tak samo, a złośliwy sceptyk w jej głowie chyba cieszył się z takiego stanu rzeczy.

- Ale jak ktoś doniesie, to może być kłopot - wysapała, ledwo nadążając. A przecież było z górki. - Mnie się już nie chce mieć kłopotów. To prawie tak jak posiadać własne złoto. Nic z nim legalnie nie zrobisz. Strach mieć, ale większy strach sprzedać gdzieś na lewo.

Na takie *dictum* zapal Jana Pawła Karola nieco ostygł. Dorotę trochę to ucieszyło, bo dobre samopoczucie sąsiada działało jej na nerwy.

- To nie było przecież prawdziwe złoto.

- Co?

- Ten szkaplerz, com go dał na mszę. Z tombaku był.

Nie dopytywała. Ona dokarmiała koty, mógł więc Jan Paweł Karol mieć swoje własne szemrane interesy. I dlatego, gdy poprosił ją, by nazajutrz towarzyszyła mu w drodze do kościoła, nie odmówiła.

- Ale do środka nie wchodzę - zastrzegła.

Nie mogła się jednak bardziej zdziwić, gdy następnego dnia o umówionej godzinie zastała Jana Pawła Karola przed gargamelem na podjeździe wyłożonym niegdyś kostką brukową, ale nie samego, tylko w towarzystwie Marcina, z którym dzielił mieszkanie. Marcin, rozlany i zarośnięty, poruszał się w fotelu na kółkach wykonanym dlań przez nieodżałowanego pana Staszka spod czwórki. Dorotę niepokoiły maleńkie, wiecznie rozbiegane oczka Marcina i to, że odzywał się rzadko, nigdy nie patrzył rozmówcy w twarz, a czasem w ogóle trudno było zrozumieć, co mówi i czy w ogóle są to słowa.

- No to jesteśmy w komplecie - ucieszył się Jan Paweł Karol.

- W komplecie?

- Żeby oddać Bogu, co boskie.

I popchnął wózek z milczącym Marcinem trzymającym na kolanach ekologiczną reklamówkę z plastiku. Reklamówka wyglądała na wypeł-

nioną czymś ciężkim i nieforemny i pobrzękiwała na wertepach.

Powędrowali główną ulicą, która przez lata tak często zmieniała swoich patronów, w zależności od tego, jakie wiały polityczne wiatry, że Dorota przestała zawracać sobie głowę jej nazwą. To bardzo niedobrze nazywać ulice czymś imieniem, bo do historii zazwyczaj przechodzą niedobrzy ludzie.

Po drodze Dorocie nieodparcie towarzyszyło wrażenie, że bierze udział w czymś, co wcale jej się nie podoba. Pewnie przez Marcina, ale skoro obiecała, to głupio byłoby wycofać się bez powodu innego niż złe przeczucia. Do kościoła nie mieli daleko, choć by tam dotrzeć, trzeba było przewędrować przynajmniej przez trzy epoki architektoniczne. Epoki, bo style jakoś tu nie pasowały. Więc najsampierw gargamele – ciemne i ponure, z rozsypującymi się balkonami. Imitujące drewno panele odpadały płatami ze ścian, jakby budynki cierpiały na jakąś szpecącą chorobę. Kiedyś szczyt marzeń dla wielu z pokolenia Doroty. W końcu aby zamieszkać w ślepej kiszce kogoś z tych molochów, w klitce z widokiem na okno sąsiada, trzeba było wziąć kredyt na pół życia, a coś, co kosztuje połowę życia, musi przecież być wyjątkowo cenne. Teraz żyły tu głównie koty, które jeszcze niedawno ustawowo truto, aż stały się gatunkiem zagrożonym. No i starsze osoby o niskim kredycie społecznym skupione w samopomocowe komuny. Zdarzali się też artyści, w szpetocie widzący piękno, choć Dorota podejrzewała, że tak naprawdę po prostu nie stać ich na inne lokum. Byli imigranci z Rosji i centralnej Azji i trochę innych ludzi, którzy kiedyś stanęli do walki z życiem i zostali pokonani.

Kawałek dalej, za porośniętym nawłocią nasypem kolejowym, zaczynały się nowoczesne kamienice z czerwonej cegły i białego kamienia, z ogródkami przypominającymi małe łąki, bez ogrodzeń i siatek mających oddzielać posesje i tworzyć społeczny dystans. Podstawowym zaś założeniem nowej architektury była otwartość. Dorota nie miała jednak złudzeń i dobrze wiedziała, że jeśli tylko pojawi się na terenie osiedla razem z Janem Pawłem Karolem w starym obszarpanym mundurze i w rogatywce, razem z Marcinem na prowizorycznym wózku, zostaną natychmiast usunięci przez ochronę. Otwartość ma w końcu swoje granice. Do czego by to doprowadziło, gdyby ludzie otwierali się na każdego bez względu na wartość jego kredytu społecznego?

Minęli park i zielone osiedle z prawie stuletniej wielkiej płyty, której śmierć przepowiadano już wielokrotnie, a która mimo to uparcie stała i ani myślała się rozlecieć. Na skraju osiedla rozsiadł się kościół, podobny do betonowej kwoki czy niezbyt kształtnego gołębia. Jan Paweł Karol znikł w bocznym wejściu razem z reklamówką, rozglądając się nerwowo na boki. Dorota i Marcin pozostali na zewnątrz. Najwyraźniej żywili względem Kościoła bardzo podobne uczucia.

Marcin nie odzywał się i nie patrzył na sąsiadkę. Gbur i mruk, zwłaszcza wobec kobiet – takim go znano. Nigdy nie miał żony ani chyba w ogóle żadnej partnerki, a Jan Paweł Karol szeptał zgorszony, że Marcin nocami ogląda filmy pornograficzne na watcheye’u. Za każdym razem, gdy Dorota go napotykała, miała ochotę się umyć.

Ale tak stać koło siebie i nie odzywać się to jednak trochę głupio.

– Co on tam ma w tej torbie? – zapytała więc.

– Może naprawdę złoto.

– Jan Paweł Karol?

– Na wota. W podzięcie za uzdrowienie.

Usłyszawszy podobne bzdury, Dorota nadąsała się i więcej nic nie mówiła, póki Jan Paweł Karol nie wrócił z zakrystii. Minę miał bardzo tajemniczą, a cały promieniał od wielkiej ulgi, jakby właśnie wyszedł od generalnej spowiedzi.

– Coś ty taki? – zapytała Dorota podejrzliwie.

– Zobaczysz.

– Tego się właśnie obawiam.

Ale musiało minąć kilka miesięcy, zanim rzeczywiście zobaczyli.



Marcin dzielił z Janem Pawłem Karolem ciasną kawalerkę, która stała się jeszcze ciaśniejsza po tym, jak pan Staszek wykonał dla Marcina wózek ze starego fotela ogrodowego, wózka dla dzieci, roweru i innych elementów pochodzących z trudno powiedzieć czego. Dzięki temu Marcin przestał być uwiązany do gargamela i mógł wychodzić, dokąd tylko

chciał. Przeważnie jechał na pobliskie stacje energetyczne, gdzie prosił o doładowanie powerbanków. Pozwalano mu, bo ile ten powerbank może pobierać prądu. Chyba że dyspozytor okazywał się bucem, ale zdarzało się to bardzo rzadko. Mało kto odmawiał starszemu panu, który przecież nie prosił o wiele.

Miał Marcin tych powerbanków piętnaście, wszystkie potencjalizowane. Co jakiś czas wybierał się na całodniową wędrówkę, by je naładować, każdy w innym punkcie. Pracownicy stacji energetycznych znali Marcina, a niektórzy chyba go nawet lubili. Wstydził się żebrać o prąd – jasne, że się wstydził. Nie ma nic śmiesznego w byciu śmiesznym starszkiem. Ale w gargamelach często brakowało prądu, nawet tego kradzionego, a on przynajmniej miał stabilne źródło energii o niskiej mocy. Dzięki temu i dzięki wózkowi jakoś wrócił do świata.

Większą i szczęśliwszą część życia Marcin spędził w różnych odmianach sieci. Prawdziwych ludzi unikał jak mógł, czując się offline jak w krainie dziwacznych potworów. Za młodu czytywał transhumanistów i żył w świętym przekonaniu, że przed chorobami i starością, a może nawet przed śmiercią umknie w cyfrowy świat i w tej pleromie spędzi wieczność, a przynajmniej dużą jej część. No ale potem przyszły transformacje i było, jak było.

W gargamelach najbardziej cierpiał z powodu braku stabilnego prądu, a odkąd w „Wiośnie” wybuchł gaz, w ogóle odcięto blok od sieci i trzeba było nielegalnie podciągnąć instalacje z innych budynków. Chciał przeprowadzić się do któregoś z sąsiednich gargameli, lecz tamtejsi lokatorzy niechętnie widzieli u siebie cukiniarza. Został więc w „Wiośnie”, tym bardziej że mieszkał tu z Janem Pawłem Karolem, który potrafił dogadać się z każdym, nawet z Marcinem.

Marcin zazdrościł współlokatorowi tego talentu. Gdyby sam go miał, nie czułby oporu przed zagadaniem do Doroty. Chociaż nie samo rozpoczęcie rozmowy stanowiło problem, tylko dalsze jej poprowadzenie. Marcin nie wiedział, o czym rozmawiać z ludźmi. Dorocie zaś lubił się przyglądać, bo ruchy miała pewne, miękkie i celowe. Patrzenie mu wystarczało, i dobrze wiedział, że nigdy nie pójdzie ani o krok dalej, że na patrzeniu się skończy. Pilnował tylko bardzo, aby nie dać się przyłapać. Z niewiadomej dla Marcina przyczyny ludzie nie lubili, gdy się im przyglądało.

Przeważnie spędzał więc czas z watcheyem pod powieką. Kiedy program wymagał od niego stworzenia awatara, kreował go jako starego, otyłego dziada z niechlujnym zarostem. Nikt wtedy nie wierzył, że w realu jest mężczyzną. Mężczyźni tworzyli przecież atrakcyjne fizycznie awatary, nierzadko odmiennej płci. Nie miało to znaczenia. Niekiedy grywał też w stare gry mające te dobre strony, że po pierwsze nie pożerały wiele energii, a po drugie budziły w nim dobre i bezpieczne wspomnienia z dawnych lat, a to przecież bardzo ważne, by czuć się szczęśliwym ze swoją przeszłością. W grach był też sprawny. Mógł biegać, skakać, walczyć, tańczyć, kochać i robić inne rzeczy, którym jego ciało nie mogło podołać. Jedna rzecz nie zmieniła się od dziesiątków lat: bohaterowie gier nie byli niepełnosprawni. Uważał, że to dobrze.

Reklamy ze stworzonego przezeń na jednej z platform muzeum internetu podobno przynosiły mu jakiś dochód. Wrzucał do tego muzeum wszystko, co lubił i co budziło w nim sentyment. Ze względu na niski kredyt społeczny nie miał jednak do tych funduszy żadnego dostępu.

Kiedy Marcin wieczorami zbyt długo wpatrywał się jednym okiem w otchłań sieci, zaciekawiony Jan Paweł Karol dopytywał, co też on tam takiego przez tyle czasu robi. Trochę z przekory Marcin odpowiadał wówczas, że ogląda pornole. Zgorszony współlokator milkł, a Marcin wracał do świata prawdziwszego niż ten, który go otaczał.

Mimo wszystko lubił jednak starszego pana w mundurze i z nieodłącznym różańcem w ręku, bo nie sposób było go nie lubić. Nie odmówił więc, gdy ten poprosił go o towarzyszenie w drodze do kościoła.

- Co pan takiego ma, że aż ochrony potrzebuje?

- E, trochę starych błyskotek i klamotów w podzięce za uzdrowienie. Żal byłoby, gdyby przepadły, a nic innego nie mam.

- Chyba ze złota te klamoty.

- Co też pan, ja i złoto.

- Hy, no przecież. Jakby to było prawdziwe, to nie brałby mnie pan ze sobą. A tak to jaki skarb, taki ochroniarz.

Jan Paweł Karol wydał się nieco urażony tymi słowami. Marcin pojął wówczas, że to rzeczywiście prawdziwe złoto. Zdziwił się, ale nie zanadto. Mimo zakazu i surowych kar ludzie trzymali po domach obrączki, medaliki, łańcuszki, czasem nawet jakieś figurki czy inne

przedmioty niemające innych zastosowań poza byciem pięknymi. Osoby fizyczne i tak nie mogły wprowadzać ich do obiegu, dotyczyło to również większości form działalności gospodarczej. Prawie dwie dekady wcześniej państwo przejęło całe złoto obywateli, wypłacając im odszkodowania w wysokości dziesięciu procent wartości rynkowej, i to nie w walucie, tylko na poczet kredytu społecznego. Nie dotyczyło to niektórych fundacji oraz kościołów i związków wyznaniowych, zwłaszcza, rzecz jasna, Kościoła rzymskokatolickiego. Kościoły tradycyjnie działały według swoich zasad, nie oglądając się na prawo ani żadne inne świeckie wymysły.

Nie dziwił Marcina sam fakt posiadania złota przez jego współlokatora. On sam nie oddałby państwu ani pierścionka, gdyby oczywiście jakiś miał. Bardziej zaskakujące były rozmiary i ciężar reklamówki, którą Jan Paweł Karol wpakował mu na kolana w drodze do kościoła.

Minęło kilka tygodni i Marcin nie zaprzętał sobie więcej głowy skarbem Jana Pawła Karola. Miał złoto, oddał na wota, jego złoto, jego sprawa. Wydawało się, że to koniec tej historii.

O tym, jaki los czekał gargamele, to właśnie Marcin dowiedział się jako pierwszy. Nie objawiła tego Janowi Pawłowi Karolowi Najświętsza Panienska ani żadna inna osoba, z którą zwykle plotkował. Nie podpowiedział tego Dorocie jej zdrowy rozsądek. Małgorzata Helena Pistis Sophia nie wywróżyła też tego z kart ani nie ujrzała w szklanej kuli, choć to przecież ważne rzeczy i duchy powinny jej powiedzieć. Ale net wiedział o wszystkim.

- Nas wysiedlą, ale pan zostanie - odezwał się wieczorem do Jana Pawła Karola, kiedy już przetrawił znalezione w sieci wieści.

- Kogo wysiedlą? - Jan Paweł Karol przycupnął w kątku kawalerki i zapalił taniego papierosa. Taki miał nałóg, jeden jedyny, a Marcinowi to aż tak bardzo nie przeszkadzało.

- Nas wszystkich - wzruszył ramionami. - Wszystkich z gargamelów. Zrobią tu osiedle katolickie. *Pax Misericordiae*, już nawet nazwę mają. W sam raz dla pana, bo dla wielu jednak nie. Mnie na przykład nikt nie uwierzy, że jestem pobożnym katolikiem. Pewnie trzeba mieć na to papier od księdza.

- Co pan tu za kocopoły pleciesz.

- No patrz pan sam.



Dziwne, ale żyjąc od kilku lat w jednym maleńkim mieszkanku, dwaj starsi mężczyźni jakoś nie zdecydowali się na mówienie sobie po imieniu. Może z czasem takie rzeczy przychodzą coraz trudniej.

Jan Paweł Karol z pewną dozą podejrzliwości założył zapasowy okular i przyjrzał się w skupieniu wyświetlonej projekcji. Samo osiedle wydawało mu się ładne, a dzięki użyciu dużej ilości cegły i połączeniu domów arkadami nabierało nieco klasztornego charakteru, w dodatku miał je otaczać prawdziwy park ze specjalnie sprowadzonymi z Włoch cedrami, a w sercu wznosiła się kaplica, którą w przyszłości łatwo będzie przebudować w niewielki kościół. Ładne. I bardzo kosztowne. Po gargamelach, rzecz jasna, miał nie pozostać pustak na pustaku.

Starszy pan zdjął soczewkę. Nie było sensu tłumaczyć. On sam dobrze wiedział, że ma to być osiedle dla tych katolickich rodzin, których mężowie zarabiają więcej niż dobrze, żony zajmują się domem i noszą kosztowne sukienki, rodzin, w których jest przynajmniej trójka dzieci, a które w swoim kościele widywał rzadko, brały bowiem udział w mszach trydenckich. Jan Paweł Karol podejrzewał, że kredyt społeczny takiej rodziny jest wyższy niż całych jego gargameli, całego roku wraz z „Przedwiośniem” i „Przedzimem”, nie wyłączając „Nature Parku”. Niekiedy tylko ci ludzie pojawiali się w jego parafii na zaproszenie proboszcza i po ogłoszeniach duszpasterskich wygłaszali odczyty na temat ochrony życia poczętego, szkodliwości antykoncepcji i moralnie nagannej sytuacji rodzin, w których kobiety są zmuszone pracować poza domem, a także o dobru i łaskach płynących z oddawania dziesiątej części dochodów na rzecz Kościoła. Proboszcz wodził wówczas wzrokiem po parafianach, raczej niezamożnych i pochodzących głównie z wielkiej płyty i gargameli, jakby chciał powiedzieć: „I co? I da się? A jakie przy tym łaski Boże, no popatrzcie sami, jak Bóg daje na dzieci. Nie chcę potem w konfesjonale wysłuchiwać, że się nie da i że Bóg na dzieci nie daje”.

Miał wątpliwości, czy Marcin zrozumie pewne rozróżnienia, a nawet jeśli je pojmie, to czy będą go obchodziły. Katolik to katolik. I to dla katolików miało powstać to nowe osiedle, a mieszkańcy gargameli, bez względu na wyznanie czy jego brak, byli przecież tylko mieszkańcami gargameli i to określało ich bardziej niż cokolwiek innego.

Sam pomysł tworzenia osiedli wyłącznie dla katolików nawet Janowi Pawłowi Karolowi wydawał się niepokojący i zdecydowanie bardziej

sekiarski niż szukanie pomocy u Małgorzaty Heleny Pistis Sophii w sytuacji, gdy na prawdziwe badania i prawdziwego lekarza nie było go stać.

- Kościół to się, panie drogi, do wszystkiego wpierdala i normalnym ludziom nie daje normalnie żyć - stwierdził Marcin, ale Jan Paweł Karol tym razem nie miał ochoty prowadzić z nim rozmowy, którą przerabiali w ostatnich latach już kilkaset razy. Może dlatego, że po raz pierwszy prawdziwie wpierdalano się w jego własne życie.

## IV

W ciągu kilku następnych dni o budowie osiedla dowiedzieli się wszyscy w gargamelach, nawet ci głusi i z demencją, choć informacja o eksmisji miała pojawić się dopiero pod koniec października.

I tak miło, pomyślała Dorota, bo przecież gargamele w świetle prawa nie nadawały się do zamieszkania, a więc nikt nie mógł tu żyć. Ona sama figurowała we wszystkich rejestrach jako osoba bezdomna.

Gdy przyszło wezwanie do opuszczenia budynków, na ścianach wisiały już prześcieradła z hasłami. Coś o domu, coś o nierównościach, że nie rzucim bloków skąd nasz ród, co właściwie było prawdą, bowiem wielu mieszkańców gargameli w podobnym budownictwie spędziło całe swoje życie. Pojawiła się nawet grupa aktywistów, ale na krótko, spieszyli się bowiem na jakąś manifestację w ważniejszej sprawie. Zadali ludziom kilka głupich pytań, nakręcili filmiki i odjechali, nie bardzo nawet słuchając odpowiedzi.

Dorota nie urodziła się wczoraj i wiedziała, że gówno to wszystko da. Nie po raz pierwszy trzeba będzie zapakować swoje życie na plecy i pozwolić, by wiatr cisnął nią niczym zeschniętym liściem dokądś, dokąd nigdy nie zamierzała trafić. Większość ludzi naprawdę nie może nic innego uczynić, a wszelkie rojenia o sprawczości zaczynają się od pewnej określonej kwoty pieniędzy. Inaczej są tylko ułudą. Szkoda, bo trochę już się tu zadowoliła i choć nie lubiła gargameli, to były one jed-

nak oswojone. Były jej. Z biegiem czasu coraz trudniej szuka się nowego miejsca do życia. No i kotów żal.

Zaniosła karmę na puste piętro. Nie wyglądały na świadome tego, że niedługo skończy się świat. Żarły i tłukły się między sobą jak zawsze. Kto wie, może tak trzeba, a kocia mądrość jest głębsza od ludzkiej. Dla kota nie ma żadnego jutra, każdą karmę trzeba zjeść od razu, a każdy dzień jest dniem końca świata.

Na parterze niby przypadkiem napotkała Marcina i wzdrygnęła się. Wyglądał jak brodate ciasto na pierogi o bardzo smutnych oczach. Przemknęło jest przez myśl, że jest psychopata, który chce ją zgwałcić i zamordować.

Marcin uśmiechnął się niepewnie.

Dzień dobry.

- Dzień dobry?

- Karmiła pani koty?

- Nie - skłamała Dorota, patrząc prosto w psie oczy Marcina. Czyli nie tylko psychopata, ale też konfident.

- To znaczy nie, źle mnie pani zrozumiała, ja nic do tego nie mam. Tak tylko chciałem.

- Do widzenia.

Dorota minęła go, oddychając z ulgą, i ruszyła ku swemu mieszkanku dzielonemu z trzema innymi kobietami w podobnym wieku co ona. Nie rozmawiała z nimi i nigdy nie wyszła poza zwyczajowe grzeczności, których nie sposób uniknąć, kiedy dzieli się z kimś przestrzeń, choć bardzo by się chciało.

Marcin powoli odtoczył się w cień pod schodami.

Właściwie to nie wiadomo, jak to było z tymi kotami. Jeszcze kilka lat wcześniej miasto rozkładało trutkę na koty, a wałęsające się osobniki odławiano i usypiano. Już na początku wieku zauważono, że populacja kotów - i domowych, i dziczyałych - rośnie w zatrważającym tempie, stanowiąc zagrożenie dla drobnej fauny miast i wsi. Wróble na przykład wyginęły niemal doszczętnie razem z inną ptasią drobnicą, którą kojarzyli jedynie pasjonaci - pokrzewkami, makolągwami, piegżami i innymi. Postulowano tedy, by domowe koty przetrzymywać w domach i nie wypuszczać, a wszystkie inne potraktować jak przedstawicieli gatunku inwazyjnego i szkodliwego. Tępiono je więc bez litości wszel-

kimi możliwymi sposobami. Minęło dziesięć lat, minęło dwadzieścia. Parki i żywopłoty znów rozbrzmiewały różnorodnym świergotem, a przecież jeszcze niedawno słychać w nich było jedynie bezmyślny gruchot gołębi. Nikt też już specjalnie nie dziwił się, ujrawszy potrzosa. Ale Dorota nie mogła pogodzić się ze środkami, jakimi to osiągnięto.

- Kotokaust. Prawdziwy kotokaust - mówiła do każdego, kto chciał z nią rozmawiać na ten temat, a więc przeważnie do siebie.

Koty dokarmiała przez całe życie i nigdy nie dostała nawet upomnienia ze strony straży miejskiej, nie mówiąc już o grzywnie ani o ograniczeniu wolności do sześciu miesięcy, jak przewidywały przepisy prawa.

W więzieniu podobno jest ciepło, zawsze też jest prąd i bieżąca woda. Musiałaby tam jednak przebywać w jeszcze większym zagęszczeniu niechcianych osób niż w gargamelach. I byłoby jej jednak wstyd. No i jak poradziłyby sobie koty?

Pewnie tak jak będą to musiały zrobić po wyburzeniu gargameli. Bogaci katolicy raczej nie będą się interesować dzikimi kotami, nawet jeśli będą mieli jakieś własne w domu.

Zmierzchało. Snuły się jesienne mgły. Pachniało wilgotnymi liśćmi, których specjalnie nie grabiono, by mogły w nich znaleźć schronienie jeże i to, czym jeże się żywią i co ma przeważnie wiele nóg i chrząstki pod zębami. Wciągając chłodne powietrze głęboko w płuca, Dorota pomyślała, że świata ani swojego losu nie odmieni, ale to nie znaczy, że nie może uczynić zupełnie nic.

Potrzebowała tylko rzemieni. Tak, rzemienie powinny się nadać.

## V

Tej nocy Jan Paweł Karol nie mógł spać. W powietrzu wisiało coś ciężkiego. Jakby miała przyjść burza albo jakby rankiem czekała go daleka podróż. I chyba nawet nie miało to wiele wspólnego z tym, że Marcin sapał, stękał i przekręcał się niespokojnie na kanapie w kuchni, bo Marcin przeważnie źle sypiał.

Próbował się modlić, ale to wcale nie była szczerą modlitwą. Odkąd zaniósł całe rodzinne złoto jako wotum za uzdrowienie, miał trudności ze skupieniem się na modlitwie. Samo to nie stanowiło jeszcze powodu do niepokoju. Czasem tak bywa, że myśli rozpierzchają się, znane od lat słowa płaczą, a sens umyka i gaśnie. Jeśli wtedy mimo wszystko człowiek modli się dalej, to jest to rzecz najmilsza Bogu.

Niepokoilo go, że proboszcz nie wystawił jeszcze do gabloty z wotami całego worka złota, które Jan Paweł Karol przyniósł w reklamówce w podzięce za uzdrowienie z przywyr. Może ksiądz obawiał się złodziei, ale z drugiej strony taka ilość złota z pewnością wpłynęłaby na wiernych, a może i na niedowiarków, których nadal nie brakowało mimo ponownego wzrostu wpływów Kościoła. Poznaliby oni dzięki temu moc modlitwy za wstawiennictwem Najświętszej Pani! Samo złoto zresztą nie zostało przecież zdobyte w sposób zbójcki i bezprawny. Dawno temu, gdy światowa ekonomia zaczynała się chwiać i wiadomo było, że się zawali, nie wiadomo tylko, kiedy – dawno temu więc Jan Paweł Karol sprzedał wszystko, co miał, i kupił złoto. Zamienił na złoto oszczędności i mieszkanie po rodzicach w wielkiej płycie, i spory kawał pola, i trochę innych rzeczy. Nie ufał przy tym bankom i ich lokatom w złocie, i za całą gotówkę – bo w tamtych dniach gotówka wciąż pozostawała w obiegu – kupił, co tylko się dało, w lombardach, u jubilerów i trochę na wschodnich bazarach. Pech chciał, że Jan Paweł Karol nie dowierzał nie tylko bankom, lecz także pojawiającym się głosom, by zakazać obywatelom posiadania złota. Ostatecznie, nie mając co z nim zrobić, trafił do gargameli i ukrył je w wersalce. Spał na nim przez lata jak smok.

Zastanawiał się więc, czy nie zapadł na jedną ze smoczyczych chorób, na przykład na pychę, która nakazywałaby mu oczekiwać, że proboszcz umieści jego wotum w wyeksponowanym miejscu w kościele. Jan Paweł Karol mógłby wtedy sycić oczy jego widokiem, a ten widok ostatecznie przesłoniłby mu Boga i Matkę Bożą. Może więc słusznie, że proboszcz trzyma skarb w ukryciu, a Janowi Pawłowi Karolowi nic do tego, bo to już nie jego skarb. Tak myślał.

Może też toczyła jego serce inna ze smoczyczych chorób, to jest podejrzliwość. Bo gdy kilka tygodni wcześniej podczas ogłoszeń duszpasterskich proboszcz rzekł, że oto pojawił się anonimowy darczyńca gotowy wesprzeć Boże dzieło, o którym nie można jeszcze mówić, ale

które na pewno przyniesie wielkie dobra i korzyści *ad maiorem Dei gloriam* – to wtedy coś zakłuło starca nieprzyjemnie w piersi. Wotum jest przecież po to, by cieszyć oczy i budzić zachwyt serca, ale proboszcz przecież nie okradłby Matki Boskiej. Jan Paweł Karol poczuł się winny, że taka myśl w ogóle powstała mu w głowie.

Usiłował więc przedrzeć się przez tę ciemną noc w sobie i dotrzeć do świtu. Ale Boży palec szturchał go raz po raz, aż wreszcie starzec wygrzebał się spod sterty koców. Zajęło to sporo czasu, koców było bowiem dużo, a Jan Paweł Karol na starość marzył nocami i sztywniały mu stawy. Odział się, jak mógł najcieplej, w dwa różne mundury, i pognął do kościoła. Błady przedświt snuł się już po niebie, lecz słońce jeszcze nie wstało. Widać również marzło o tej porze roku i wcale nie uśmiechało mu się wygrzebywanie spod wygrzanej pierzyny horyzontu.

Dotarł do kościoła z przeświadczeniem, że dzieje się coś dziwnego. W oknie zakrystii jarzyło się już światło. Zapewne ksiądz przygotowywał się do porannej mszy o szóstej. Światło było jednak jakieś niespokojne – wielkie cienie przesuwwały się gwałtownie za oknem z grubego szkła. Całkiem jakby proboszcz zmagał się z jakimiś demonami z piekielnych czeluści.

Jan Paweł Karol szarpnął za klamkę bocznych drzwi. Zamknięte. Dało się jednak słyszeć jakieś jęki i skowyty. Najpewniej to siły ciemności wyły smagane mieczem obosiecznym Słowa Bożego. Dźwięk niósł się echem, więc walka najwyraźniej przeniosła się do nawy. Starszy pan, jak tylko mógł najprędzej, obiegnął kościół naokoło i wkroczył do środka głównym wejściem, by z różańcem w ręku przyjść księdzu z odsieczą, ale też trochę wiedziony ciekawością, co też tam może się dziać.

W bladym świetle przedświtu sączącym się przez okna nie dało się dojrzeć wiele. Tyle tylko, że po kościele goniły się dwa ciemne, pokracczne kształty. Goniły się i wrzeszczały.

Jan Paweł Karol przeżegnał się, lecz ciekawość była jednak silniejsza niż strach przed nie wiadomo jakimi mocami. Kiedy się zbliżył, okazało się, że to nie żadne moce, a proboszcz i ścigająca do Dorota wymachująca biczem uplecionym z rzemieni. W tej chwili ksiądz wbiegł za rząd ławek, a babka usiłowała zająć mu drogę to z lewej, to z prawej i tak się ścigali z jednej strony na drugą.

- Panie Karol, pomocy, niech pan zabierze to babsko! - jęknął kapłan, ujrawszy szansę na ratunek.

- Nie wtrącaj się, Karol, jeszcze klecha nie dostał, na co zasłużył. Niech pozna, co to kobieta. Judasz! Faryzeusz! Żeby starych ludzi za garść srebrników sprzedać. Kościół to jest organizacja przestępcza!

I trzasnęła rzemieniami w ławkę, aż ksiądz skulił się i zaskomlił.

Jan Paweł Karol zawsze był słaby z matematyki, ale dodał w głowie dwa do dwóch i zdumiał się, gdy nagle wyszło mu cztery.

- To osiedle to księdza dzieło? - zapytał drżącym głosem. - Za moje złoto?

- Co? Naprawdę tam było złoto? - Dorota na chwilę opuściła bicz.

- Gdzie tam, ledwo na wkład do spółki wystarczyło - proboszcz ostrożnie przesunął się ku ambonie, spod której łatwiej byłoby mu umknąć z powrotem do zakrystii. - Poszło na zakup gruntu, a resztę sfinansuje inwestor. Ale pomysł był mój. Osiedle katolickie w mojej parafii! *Ad maiorem Dei gloriam.*

Jan Paweł Karol delikatnie wyjął rzemienie z rąk Doroty.

- Ona ma rację. Ksiądz nie jest pasterzem dusz, tylko pasterzem pieniędzy.

Proboszcz, widząc bicz w ręku swego parafianina, zrobił się jeszcze mniejszy, o ile to było możliwe, a był to jednak kawał księdza, nawet jeśli wziąć pod uwagę księżowskie standardy dotyczące tuszy. Ale Jan Paweł Karol nie był Chrystusem i nie miał mocy spuszczenia w widowiskowy sposób łomotu kupcom w świątyni. Rzucił więc bicz na ziemię, ujął Dorotę pod ramię i wyszli. Na odchodnym rzucił tylko:

- To był dar dla Najświętszej Pani, nie dla księdza. Ksiądz jest zwykły złodziej.

Nie wiadomo, czy ksiądz się przejął, bo to nie o nim opowieść.

## VI

Tego dnia najdziwniejsze jednak rzeczy spotkały Marcina. Spał źle, gorzej niż zwykle, a na piersi siedziała mu zmora równie opasła co on

sam. Pilnował jednak, by nie jęczeć i nie wzdychać zbyt głośno, bo nie chciał wysłuchiwać rankiem kazań Jana Pawła Karola, którego myśli, podobnie jak myśli wielu samotnych a religijnych mężczyzn, podejrzenie często krążyło wokół seksu. A kiedy w odpowiedzi czerwony z gniewu i zażenowania Marcin tłumaczył, że nie wali konia, bo od dawna nawet nie chce mu stawać, Jan Paweł Karol obdarzał go tylko szerokim uśmiechem zdającym się mówić: „Idź i nie grzesz więcej”. I to było jeszcze gorsze.

Wkurwiało to Marcina niemiłosiernie. Ucieszył się więc, gdy Jan Paweł Karol wyszedł przed świtem. Zasnąć już Marcin co prawda nie zasnął, ale nad gazową butlą zagotował wodę i zaparzył sobie herbatę.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Westchnął i podjechał otworzyć.

Marcin mimo kilkuletniego przestawania z Janem Pawłem Karolem jeszcze mniej orientował się w sprawach wiary niż jego współlokator w matematyce. Ale przecież nawet on od razu pojął, kto odwiedził go o tak wczesnej godzinie. Gdyby był to ktoś inny, uznałby taką wizytę za duży nietakt, nawet biorąc pod uwagę pewną liberalizację norm społecznych panującą wszędzie tam, gdzie wielu ludzi zostaje stłoczonych na małej przestrzeni, nie tylko w gargamelach.

- Proszę wejść - wymamrotał. - Zrobię więcej herbaty.

Zdziwił się tylko, że z nieznaną przyplątało się stado kotów. Z każdym, tylko nie z nią. Nie było zwierząt, które mniej by do niej pasowały. Bardziej zdziwiłby się tylko, gdyby przyszła z węzem.

- Jan Paweł Karol zaraz wróci - zapewnił pospiesznie. - To znaczy tak myślę. Wcześniej wyszedł, więc chyba wcześniej wróci. Ale nie powiedział.

Kobieta usiadła na skraju krzesła. Uśmiechnęła się. Niemłoda i niestara, wydała mu się ładna, lecz Marcinowi wszystkie kobiety wydawały się ładne. Koty rozpierschły się po całym mieszkaniu niesforne jak kłębki kurzu wymiecione spod łóżka. Wraz z nią do zaniedbanej kawalerki weszła jasność i Marcin poczuł się, jakby znów był młody, sprawny i pijany letnim popołudniem. I po raz pierwszy od lat zgubił gdzieś poczucie bycia biednym. Przy tej pani nikt nie mógł czuć się biedny, ona sama zresztą była przyzwyczajona do o wiele gorzej wyglądających miejsc.



- Ale ja nie przyszłam do pana Jana Pawła Karola, przynajmniej nie dziś - poprawiła wieniec z dwunastu gwiazd. - Przyszłam do pana.

- Do mnie? Przepraszam, ale to musi być jakaś pomyłka.

- Nie wydaje mi się. Bardzo rzadko się mylę, jeśli do kogoś przychodzę. Ale kiedy już przyjdę, to nigdy z pustymi rękami i zawsze staram się przynieść dużo światła. I jeśli nawet na początku się pomyślę, to i tak wynika potem z tego jakieś dobro i to jest tak, jakbym nie pomyliła się wcale.

- Rozumiem - odparł Marcin, o dziwo naprawdę rozumiejąc. - Czyli napije się pani herbaty?

- Z dużą przyjemnością.

W obecności tej pani najzwyczajniejsza herbata smakowała jak płynny ogień, tak gorący, że nie da się go dotknąć, a jednak można go pić. Napar szedł do głowy jak wino, a przecież był to najtańszy torebkowy czaj z przydziału dla osób z minimalnym kredytem społecznym.

- Nieprawda, to nie wino. Nie uprawiam takich cudów, choć można by rzec, że to u nas rodzinne. Nie. Ja przyniosłam panu koty.

- Koty?

- Koty was uratują.

I chyba jeszcze trochę rozmawiali, ale o czym, to już dotyczyło tylko Marcina i nikomu nic do tego. Potem pani wyszła, a może znikła i pozostał po niej tylko zapach róż. No i te koty. A Marcin już dobrze wiedział, co powinien uczynić.

## VII

To nieprawda, że o zmierzchu wszystkie koty są szare. O zmierzchu każdy kot jest strzępką czerni, która wyłania się z nocy i odchodzi w noc, cicho i niepostrzeżenie. Zupełnie tak jak ludzie przechodzą przez swoje życie. Tak, od kotów naprawdę wiele można się nauczyć.

Marcin nie zawsze rozpoznawał przychodzące z ciemności stworzenia. Niektóre pojawiały się tylko raz, by nigdy więcej się nie pokazać,

jak niektóre komety. Być może to noc na chwilę przybierała kocią postać, bo jest to postać bardzo wygodna, a przy tym elegancka.

Dorota знаła większość kotów w rezerwacie. Poznawała je, nawet jeśli były tylko cienistą smugą w zaroślach czy błyskiem oczu między blaszanymi garażami. Niektóre miały imiona, ale większość nazywała się Ten z Naderwanym Uchem, Ta z Łatką na Brodzie, Ta, Co Wypadła z Trzeciego Piętra i Miała Połamane Żebra, Ale Jakoś Się Pozbierała. Marcinowi wydawało się, że Dorota wtedy zmyśla, ale nie przeszkadzało mu to. Lubił jej towarzystwo. Nie miało znaczenia, że zrzędzi albo kłamie.

Pierwszy w kraju rezerwat kota domowego władze nazwały banalnie – Felis Felix. Ale nazwa nie miała dużego znaczenia. Słowa to tylko słowa i nie są prawdziwym życiem. I choć można z nich wznieść piętrowe iluzje, to nie staną się one nigdy niczym więcej niż tylko dymem i tchnieniem wiatru. Felis Felix brzmiało naprawdę źle, ale sam rezerwat istniał naprawdę.

Nie wszyscy oczywiście przyjęli z entuzjazmem powstanie rezerwatu na terenie gargameli, nieczynnych torów kolejowych, starych garaży i okolicznych krzaków. Kilka tygodni wcześniej proboszcz parafii na kazaniu, zamiast wyjaśniać Ewangelię (akurat Mk 10, 17-22), długo i ogólnie perorował o wrogach Kościoła, przez których nie może powstać osiedle dla wiernych, bo od ludzi ważniejsze są koty. Wierni słuchali albo i nie, milcząc przy tym jak stado baranów. Tak jest bowiem przyjęte, że należy milczeć, nawet jeśli ksiądz gada niestworzone brednie. Potem można najwyżej zrobić po swojemu, ale kazania przecież nie wypada przerywać.

Dorota albo o tym nie wiedziała, bo już od bardzo dawna nie była na mszy, albo zupełnie się tym nie przejmowała. Nagle bowiem wstała i powiedziała głośno:

– Ale tam już mieszkają ludzie.

A potem głośniej:

– I ci ludzie nie mają dokąd pójść.

I jeszcze – tak, by usłyszeli wszyscy, choć przecież teraz słuchał już każdy, bo po raz pierwszy od bardzo dawna na kazaniu ktoś odezwał się z sensem – mimo że nie był to ksiądz:

- A kasę na budowę osiedla wziął ksiądz od starszego człowieka, który nie wiedział, jak wielkim dysponuje bogactwem, i złożył wszystko na ofiarę dla tej waszej Matki Boskiej. A ten klecha wszystko zabrał.

- Co za łgarstwo! Wcale tak wiele tego nie było, a pani jest neomark-sistką, wiedźmą i feministką!

Wystarczyło dowolne określenie z tej listy, by poderwało się kilku odważnych obrońców wiary, którzy wyrzucili Dorotę z kościoła.

Okazało się jednak, że to nie do końca łgarstwo, bo w ciągu paru dni napisały o całej sprawie wszystkie brukowce drukowane i cyfrowe. Przeczuwając skandal, inwestor wycofał się z planu budowy Pax Misericordiae, tym bardziej że oddolna obywatelska inicjatywa utworzenia w tym miejscu rezerwatu kota domowego nabierała z każdym dniem coraz większego rozpędu. Proboszcz kasy utopionej w przedsięwzięciu nie odzyskał i dobrze mu tak. Wotum Jana Pawła Karola rozpląnęło się i przepadło, on sam jednak zachował dobre samopoczucie i, jak twierdził, dobre zdrowie. A Matka Boska i tak przecież nie potrzebowała złota, bo co by z nim zrobiła.

Również nie wszystkim mieszkańcom gargameli podobało się sąsiedztwo kotów i na nic zdawało się tłumaczenie, że koty żyły tu od dawna, tyle że nieoficjalnie i na kocią łapę. Kwestią otwartą pozostawała sprawa dalszej uprawy cukinii. Widmo zakazu stanowiło powód do zmartwień dla mieszkańców „Wiosny” i radości dla lokatorów innych gargameli, bo w końcu ktoś będzie miał gorzej. Władze wprowadziły jednak system dopłat i podniosły mieszkańcom kredyt społeczny. Niektórzy z nich po raz pierwszy od lat otrzymali dostęp do jakiegokolwiek waluty. Nawet Muzeum Internetu odblokowało fundusze, które Marcin uzbierał przez lata. Nie powiedział o tym nikomu, nawet Janowi Pawłowi Karolowi i Dorocie. Przez tyle lat żył bez pieniędzy, że się odzwyczaił. Tyle tylko, że już nie musiał żebrac o prąd.

Ostatecznie biedni bardziej nie zbiednieli przy okazji zmian, co zdarza się rzadko. Nic dziwnego, że taki stan rzeczy budził w nich dużą podejrzliwość i wszyscy czekali, aż coś się zepsuje i wszystko będzie jak dawniej, to znaczy coraz gorzej.

A pewnego dżdżystego wieczora Dorota i Marcin, okutani w ortalionowe kurtki, karmili koty. Towarzyszył im Jan Paweł Karol w starym

mundurze, ćmiąc najbardziej śmierdzące papierosy, jakie tylko były dostępne, i mruzczał coś o alergii.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty wyszedłeś z pomysłem rezerwatu - Dorota siorbnęła z termosu, bacznie przyglądając się Temu z Jedną Tylną Łapą Krótszą, a Drugą Dłuższą.

- Nie ja. Holendrzy mają u siebie już takich kilkanaście - wyjaśnił Marcin.

- Ale u nas pierwszy.

- Matka Boska podsunęła tę myśl.

- Matki Boskiej w takie sprawy, o których nic nie wiesz, nie mieszaj - Jan Paweł Karol pociągnął nosem. - Koty nie mają Boga ani Matki Boskiej.

- I całe szczęście - Dorota wyprostowała się z trudem i poszła dosypać do misek karmy z państwowej dotacji.

Marcin pogładził się po brodzie, tak aby Dorota nie dostrzegła jego uśmiechu. Ale ona i tak nie spoglądała w jego stronę, bo całą jej uwagę zajmowały koty. Dopiero kiedy zrobiło się naprawdę zimno i wilgoć jęła kąsać dotkliwie, wrócili do mieszkań. Jan Paweł Karol do swojej kawalerki, a Dorota i Marcin do swojej.





# pan Dorożkiewicz

WIT SZOSTAK

*O czym nie wolno mówić, o tym należy śpiewać.  
Ludwig Wittgenstein (podobno)*

## I

### **Ballada dziadowska**

Posłuchajcie ludzie i ludkowie  
Tej dziadowskiej ballady  
Po gościńcach i placach śpiewanej  
Ku przestrodze maluczkich i wielkich  
Posłuchajcie zatem dobrzy ludzie  
Wszystkich płci i rodzajów wszelakich  
A także źli wedle ich rodzaju  
Posłuchajcie uważnie co wam powiem  
A nawet zaśpiewam na ile starczy głosu  
Bo stała się rzecz którą  
Przepowiedzieli prorocy  
Jak zwykle niesłuchani i przemilczani  
Wyklęci i zapomniani  
I w gruncie rzeczy  
Nieuznawani za proroków  
Tylko szaleńców

Albo zboczeńców  
A rzecz się stała według ich słowa  
Wyszydzonego i wzgardzonego  
Dokładnie jak powiedzieli  
Choć nie można mieć tu pewności  
Gdyż nikt ich słów nie spisał  
Ani nie nagrał na dyktafon  
I inne starożytne nośniki informacji  
Więc zostawmy tych proroków  
(I tak nie żyją więc nic ich nie ucieszy  
Nawet spełnienie najgorszej wieszczby)  
A zajmijmy się rzeczą ze wszystkich  
Rzeczy najstraszniejszą w świecie  
I najtrudniejszą do wyobrażenia  
Oraz pojęcia rozumem czystym  
Oraz niemożliwą do otagowania  
W mediach społecznościowych  
Bo nagle zniecka bez ostrzeżenia  
Umarł bóg z bogów naszych największy  
Najżywszy i najpotężniejszy  
Co rządził twardą ręką ze złota  
A potem z papieru a potem z plastiku  
I choć pogarszała się jego substancja  
I surowiec rozmiękał  
Na coraz pośledniejszy  
To powiększały się moc i chwała  
Sławiły go wszystkie ludy ziemi  
Oraz niebios o ile istnieją  
Sławiły słowem i milczeniem  
Gestem i pragnieniem najszczerzym  
Bo po pragnieniach ich poznacie  
Twoje pragnienie prawdę ci powie  
O tobie samym  
I o twoim bracie  
I o siostrze mamie tacie

A bóg ten był upragniony  
Od zarania świata przez wszystkie  
Ludy ziemi (o tym już śpiewałem  
Ale warto powtarzać tę prawdę  
Więc powtarzam)  
Pewnie sobie myślicie  
I pytania stawiacie  
A co to za bóg umarł?  
Skoro dawno pomarli już wszyscy  
Bogowie świata i zaświata  
Jakiż to bóg się uchował?  
I gdzie swoje tronowanie miał?  
Skoro nie mamy już świątyń  
A ruiny tych dawnych porasta  
Bluszcz mech i porost rdzawy  
I turysta z kamerą w dłoni  
Skąd królował skoro był taki ważny?  
Czy znaliśmy jego majestat?  
Czy ukrywał się w podziemiach  
Kędy kości i czaszki upiorne?  
Otóż co wam powiem ludkowie  
Znaliśmy go wszyscy aż za dobrze  
Ale poznaliśmy jego brak  
Lepiej niż jego obecność  
W braku swoim rządził pięścią żelazną  
Miedzianą mosiężną i niklowaną  
Dawał ludziom nadzieję siebie  
Lecz siebie samego chował  
Przed pospólstwem gawiedzią i nami  
Dobrze się ukrywał  
Choć czasem zstępował  
Między lud swój umęczony  
I udzielał się skąpo  
Wcale nie szczodrze  
Niewielu dawał się hojnie



Raczej zabierał siebie  
Niżli obdarowywał sobą  
I pozbawiał nas swej obecności  
Zakrywał oblicze  
I pokazywał odbył  
A myśmy łaknęli  
I pragnęli bo żaden inny  
Bóg nie mógł go zastąpić

Dlatego toczono dyskusje  
Jak świat szeroki długi  
Czy bóg ten zły jest czy dobry  
Czy kocha nas czy nienawidzi  
Może nas tylko niewoli  
I cieszy się naszą zgubą  
Może nas pęta swymi prawami  
Zanim nauczymy się chodzić  
I wzywać imienia matki  
Lecz już jesteśmy w mocy jego  
I jego wiernych sług  
Kuszających dobrym życiem  
I zbierających podpisy  
Na cyrografach z apendyksami  
Pisanymi drobnym drukiem  
Których nikt nigdy nie czyta  
Bo pisane są w tajemnym języku  
Ale które obowiązują  
Mimo nikczemnego wzrostu  
Drukowanych literek  
I uderzają z całą mocą  
Kiedy człowiek się nie spodziewa  
Kiedy śni swój sen o szczęściu  
Kołysany tkliwym głosem boga  
A kiedy uderzą całą siłą

Swego małego druku literki  
Potrafią zmiażdżyć człowieka  
I rodzinę jego i przyjaciół  
Dlatego powracało pytanie  
Czy bóg co daje i odbiera  
Godzien jest chwały i czci  
Czy można go nazywać miłością  
Skoro jest tylko zaradnością  
I srogą sprawiedliwością  
Która nie zna litości  
Nie odpuszcza i nie zapomina  
Ale pamięta każdy błąd  
Najdrobniejszy jak ziarnko piasku  
Jak apendyks drobnym drukiem  
Umieszczony na odwrocie strony

A teraz go nie ma  
I pustka wszędzie  
I cisza nie do zniesienia  
Choć niektórzy przechowują  
Z szacunkiem jego szczątki  
Kryjąc je przed ludźmi  
W inkrustowanych szkatułkach  
I skórzanych futerałach  
Głęboko na dnie  
Swoich osieroconych  
Domostw i gospodarstw  
Domowych i obejść

Zapytacie może  
A może nie zapytacie  
Co takiego się stało?  
Jak może umrzeć bóg tak potężny?  
Ten co podtrzymuje życie

Co wprawia w ruch wszystko  
Co sprawia że chce się rano wstawać  
I chce się wieczorem kłaść  
Po to by móc znowu wstać rano  
Ten co nadaje sens naszej pracy  
Ten co przyzywa do siebie  
Co kusi i zniewala człowieka  
Obezwładnia go i zamyka  
W swych dłoniach  
Co każe siebie pożądać  
I srogo każe tych co się odwracają  
I próbują żyć po swojemu

Bo nieszczęsny człek  
Który nie ma boga  
W sercu ani w jego okolicach  
Który nie czci i nie sprawuje kultu  
Który gardzi bogiem  
Odrzuca go i traci  
Zagubi się ten w życiu  
Teraźniejszym i przyszłym  
Domostwo swe utraci  
Rodzinę i szacunek ludzi  
Na tułaczkę siebie skazuje  
I na poniewierkę  
O nieszczęśliwa rodzina  
Człowieka co utracił boga  
Albo się go zaparł i wyrzekł  
Dla nich tylko nędza i srom  
I zgrzytanie zębów  
Choć zęby szybko wypadną  
Nieleczone kanałowo  
I wtedy nikt nie zazgrzyta  
I zostanie płacz i łzy słone

Bo gniew boga straszliwy  
I zguba pewna na wieki

Zapytacie pewnie ludkowie  
Albo z lęku nie zapytacie  
Jak odszedł ten bóg mocny  
Przecież nie mógł sam umrzeć  
Skonać w samotności  
Jak pradawni bogowie  
Zapomniani przez swoje ludy  
Zdradzeni dla nowych bogów  
Ale odpowiem niepytany  
To ludzie go sami zabili  
Zmówili się i zabili  
Innych nie pytając o zgodę  
A może zabili bez zmowy  
Tylko czcząc tego boga za bardzo  
Aż nie mógł znieść tego kultu  
Który rósł jak bańka mydlana  
Ponad wszelkie wyobrażenie  
Na ziemi i w niebiesiech  
Rósł ponad miarę i granice  
A kult go ciągle pompował  
Aż wreszcie bańka pękła  
I wtedy się okazało  
Że rozerwanego boga  
Nie da się już ocalić  
Choć skomlą jego kapłani  
I błagają nieczułe rządy  
Które zawsze pomagały  
Kapłanom i ich świątyniom  
Ale nie tym razem  
Bo po bańce boga  
Została tylko pustka

I nie było z czego pomagać  
Pustką pustki nie napelnisz  
Jak powiada stare przysłowie  
Z pustego nie nalejesz  
Dziurą nie zakryjesz dziury  
Ani brakiem braku

Tak to ludzie zabili boga  
Jak zawsze jak przed wiekami  
Ale kiedy się obudzili  
I dotarło do nich to  
Co się za ich sprawą stało  
Przerazili się tej pustki  
Bo tylko pustka przeraża  
I zajrzeli w jej czarną czeluść  
I poczuli jeszcze większą trwogę  
I postanowili zamilknąć o bogu  
Jakby nigdy nie istniał  
Jakby się nie rozerwał  
Na ich oczach i uszach  
Jakby huk jego rozerwania  
Na strzepy nie wstrząsnął  
Światem w posadach  
I posadami w świecie  
Więc poczekali aż huk minie  
A huki mijają szybko  
Po chwili jest tylko cisza  
I wymazali ślady boga  
Z naszego życia i języka  
Pod karą ciężką zakazali  
Używać jego imienia  
oraz licznych przydomków  
oraz potocznych przezwisk  
oraz nawet dalekich omowni

Zamknięto jego święte przybytki  
Na głucho i na ślepo  
Śpią przykryte kołdrami kurzu  
marmurowe blaty jego ołtarzy  
może urządzi się w nich nowe  
noclegownie i jadłodajnie  
a może pozwoli się żeby kurz  
pożarł wszystko i zlizął  
Śpią zamknięte na klucz  
Podziemia w których mieszkał  
Tajemne skrytki jego boskich  
Przejawów i epifanii  
Ustały święte obrzędy  
Które wprawiały go w ruch  
Nie odprawia się ich  
Nawet potajemnie  
Nawet w podziemiach  
Nawet w katakumbach  
Bo wszyscy wiedzą  
Że to daremne i jałowe  
Że nie przywróci boga  
Ani nie naprawi naszego życia  
Choć niektórzy wierzą  
W skrytości swego serca  
Że powróci jeszcze bóg  
Że powstanie z martwych  
Jak inne bogi przed nim  
Nawet te rozerwane na strzępy  
Że wróci i ocali nasze dusze  
Domy gospodarstwa i obejścia  
Że uzdrowi relacje międzyludzkie  
I międzymiastowe  
I międzynarodowe  
I międzykulturowe  
Że nagle jego światłość

Rozświetli horyzont  
Kiedy wróci w chwale  
I dokona pomsty na wszystkich  
Co stali za jego śmiercią  
Wyrówna rachunki  
Nieodkupionej winy  
Winy nie do odkupienia  
Ale to sny i marzenia  
Nic nie wróci bo nic nie wraca  
I nie pomogą szeptane modły  
I gesty dawnych rytuałów

Nazw świętych obrzędów  
Też nie można przywołać  
W piśmie i mowie  
Ani nawet w balladzie dziadowskiej  
Wszystkie strumienie którymi płynął  
Wyschły jak koryta rzek epizodycznych  
Wszystkie wirtualne arterie  
Którymi tętnił ożywiając świat  
Straciły przepustowość  
Puste są źródła rzeki i ujścia  
Pusta ich sieć oplatająca świat  
Pozostał tylko lament  
Uwolnionych lecz porzuconych  
Sierot po potężnym bogu  
Którego potęgą mroziła oddech  
A okazała się mydłem  
Nadmiernie rozdętym  
Czyimiś oddechami  
I pohukiwaniami  
Płaczą po bogu który ich zdradzał  
Na początku każdego miesiąca  
Pochlipują cicho bo głośno

Nie wolno i nie uchodzi

Kiedy bańka pękła  
Jak wieszcz yli prorocy  
Choć nikt im nie wierzył  
Tylko bańkę dmuchał  
Bóg zginął rozerwany na strzępy  
Które fruwały w powietrzu  
Z początku zdziwieni ludzie  
Łapali opadające strzępy  
I upychali w kieszenie  
A potem w walizki  
A potem w worki na śmieci  
Licząc że jeszcze można ocalić  
Boga świat i dawne prawa  
Że można posklejać co pękło  
I dosztukować co brakuje  
I udawać że nic się nie stało  
Że będzie po dawnemu  
Że będzie przechodził  
Z rąk do rąk  
Z kieszeni do kieszeni  
Że zamieszka w swoich świątyniach  
Domostwach i gospodarstwach domowych  
Bo jakże żyć bez niego  
Jak żyć utraciwszy wiarę  
W to co było filarem świata  
I życia i społeczeństwa  
Więc sklejali strzępy w zaciszach  
Swych osieroconych domostw  
Ale strzępy się rozłaziły  
Strzępiły coraz bardziej  
A potem weszły dekrety  
Brutalnie w nasze życie



Że trzeba wszelkie posiadane  
Strzępy kawałki i resztki  
Przynieść na miejskie place  
Gdzie dawniej królował  
Martwy dziś bóg  
I ułożyć wielkie stosy  
I podpalić i spalić na popiół  
Niektórzy podobno myśleli  
Że stosy to rodzaj ofiary  
Która spodoba się bogu  
Który tylko na chwilę  
Odwrócił swoje oblicze  
Od świata który kocha  
I swąd dymu zwróci jego uwagę  
I ponownie spojrzy na swój lud  
Na porzucony świat i powróci  
Ale stosów nie palili kapłani boga  
Rozproszeni lub uwięzieni  
Zelżeni i zlinczowani  
Pochowani w katakumbach  
Uciekający kanałami przed ludem  
Gniewem żalem i zemstą  
Stosy płonęły same  
I nie miały niczego ocalić  
Tylko zniszczyć wszelkie ślady boga  
Nawet kosztem emisji  
Dwutlenku węgla do atmosfery  
Co jest wysoce szkodliwe  
Dla naszego klimatu  
Ale co było konieczne  
By zamknąć spektakularnie  
Poprzednią epokę  
Bo nastał kres znanego świata  
I nie ma języków by go opisać  
Bo w każdym języku zakazano

Słów dotyczących boga  
O czym była już mowa  
To znaczy o tym  
Że mowy być nie może  
O tym o czym chce się zaśpiewać  
Więc tak musi nadejść  
Również kres tej ballady  
Wyczerpanej przemilczeniami  
I dziadowskim losem



### **Dziennik z oszczędności**

Zarabiam dwadzieścia na godzinę, osiem godzin dziennie, co daje sto sześćdziesiąt na dzień. Pięćdziesiąt wydaję na życie (pieczywo, nabiał, mięso, wędlina, warzywa, owoce), czterdzieści na rachunki i inne potrzeby. Odkładam dwadzieścia i na pisanie mogę przeznaczyć czterdzieści. W weekendy milczę.



Mam jeszcze odłożone kilkanaście tysięcy z dawnych czasów. Na czarną godzinę. Wprawdzie czarna godzina już przyszła, więc nie wiem, na co czekam. Ale mrok zawsze może zgęstnieć. Oszczędności i tak nie starczą na powieść. Nie stać mnie teraz na powieść.



Na powieść trzeba mieć co najmniej sześćdziesiąt tysięcy, choć niektórym autorom wystarcza czterdzieści. Ale co to za powieść na czterdzie-

ści tysięcy? To przecież tylko rozbudowane opowiadanie. Przydałoby się nawet i osiemdziesiąt, a może i sto, tylko skąd je dzisiaj wziąć?

\*

A jak się nie ma na powieść, to co można zrobić? Można odkładać na lata, nic po drodze nie pisząc i pisania niemal zapominając. Można oszczędzać każdego dnia kilka, kilkanaście, może nawet i czterdzieści. Niewiele można, jak się niewiele ma.

\*

Gdybym nawet wszystko odkładał, to czterdzieści razy dwadzieścia dni roboczych w miesiącu razy dwanaście miesięcy daje nam dziewięć tysięcy sześćset na rok. A jeśli odjąć miesiąc urlopu, to tylko osiem tysięcy osiemset. A odejmując święta zostaje najwyżej osiem tysięcy pięćset.

\*

To wychodzi siedem lat zbierania. Wtedy ma się kapitał, żeby zacząć. I nie przejmować się, że zabraknie, byle nie przekroczyć ustalonych granic. Ale to długi czas, można zapomnieć, co się chciało powiedzieć. Albo zapomnieć, jak się pisze. Zardzewieć na amen.

\*

Można zacząć od razu, żeby nie tracić rozpędu. Ale wtedy tylko czterdzieści dziennie. Więc co to za rozpęd? Jeszcze dobrze nie wystartujesz i musisz hamować. A potem cały dzień i noc czekać na dalszy ciąg. Przecież tak się nie da.

\*

Albo gromadzić na zapas, powiedzmy, z całego miesiąca. Wtedy to osiemset do wykorzystania, czyli już coś. Ma się zabezpieczony kapitał na cały rozdział. Wtedy można się rozpędzić. Oczywiście w granicach przyzwoitości. A potem zbierać przez kolejny miesiąc. I tak dalej.

\*

A gdyby połowę odkładać, a połowę wykorzystywać? Dwadzieścia dziennie? Wtedy z wprawy się nie wyjdzie, a po czternastu latach ma się uzbierane te sześćdziesiąt tysięcy. Tylko kto to wytrzyma? Kogo to nie zabije? Kto wie, co będzie za czternaście lat.

\*

Może zostać przy dzienniku? Po czterdzieści dziennie, bez ambicji na powieść. A potem posklejać dzienniki, dołożyć te zaoszczędzone na czarną godzinę tysiące i zawsze coś wyjdzie. Tylko jakim człowiekiem będzie się po tylu latach? Czy tym samym autorem? Chyba nie.

\*

Pozostaje czarny rynek. Tam nie ma żadnych ograniczeń, można nabrać dodatkowe tysiące, i to tak sprytnie, że się system nie zorientuje. Nie policzy, że to przewyższa zarobki, że to wyprane tysiące wpuszczone w obieg. Tylko czym zapłacić na czarnym rynku?

\*

Do tego jeszcze ustawa. Zakazuje mówić o tym, o czym najbardziej chce się pisać. O czym pisać się powinno. O czym pisać trzeba. Gdyż tego najbardziej brakuje. Ale właśnie o tym jednym nie można. To jednostki obiegowe wyrzucone w błoto.

\*

Czy bez tego naprawdę świat stał się lepszy? Kiedy To jeszcze było, marzyliśmy o świecie bez Tego. Wszyscy wierzyliśmy, że wygra dobro. To znaczy jedni wierzyli, a inni nie. Wierzyli ci, co nie mieli, a ci, co mieli, nie wierzyli.

\*

Widzieliśmy w Tym samo zło, źródło wszystkich walk i wojen. O To ludzie się bili, o To zabijali. To łupili. To ich zaślepiało, ciągle chcieli więcej i więcej. Niby to rozumieli, ale pokusa była zbyt wielka. Więc ulegali, sprzedając dusze.

\*

Ale nawet ci, którzy nie chcieli ulegać, nie mieli wyjścia. Bez Tego nie dało się żyć, wszystko było na To przeliczone. Życie, zdrowie, wykształcenie. Nawet kultura i sztuka. Nawet sprawy czystego ducha. Nawet miłość. Nie pozostało nic czystego i wolnego.

\*

To było wszędzie. Każde miejsce było Tym skażone. Nie można było stworzyć oazy wolnej od Tego, jakiejś niewielkiej części świata, gdzie mogłyby obowiązywać inne prawa. Być może to w nas nie było miejsca na tę oazę? Może to wina człowieka?

\*

Byliśmy niewolnikami Tego, o czym nie można dziś mówić. Często myślimy o niewoli jako czymś zewnętrznym. Łudzimy się, że zrzucenie kajdan nas wyzwoli, bo w głębi duszy jesteśmy czysti. Może jednak jesteśmy stworzeni do kajdan? Może pasują do naszych nadgarstków?

\*

A teraz Tego nie ma i nie można o Tym nawet mówić. Zostają tylko omównie i peryfrazy, ale te cenzura łatwo wychwyci. I usunie na podstawie ustawy. Tego nie ma i musi zniknąć z języka. Żeby zniknęło, trzeba kontrolować język.

\*

Dlatego język stał się tak ważny. Wcześniej walczył ze zniewoleniem, a więc walczył z Tym. A kiedy To odeszło, zajął jego miejsce. I zniewala nas w podobny sposób. Skoro bowiem wszystko jest w języku, to nie ma nic poza nim.

\*

Zarabiam dwadzieścia słów na godzinę. Tylko nimi można płacić za wszystko, co potrzebne do życia. To, co zostaje, można przeznaczyć na pisanie. System nie dopuszcza nielegalnych słów. Można wydać z siebie tylko tyle, ile się zarobiło. Zarobione słowa nie wystarczają.

III

### **Powieść z dawnych czasów**

Wykwintny, acz niedoszacowany Pan Doróżkiewicz kroczył ulicą Długą, zmierzając w stronę monumentalnego, budzącego grozę budynku ZUS-u przy ulicy Pędzichów, miejsca wielu głośnych awantur i jeszcze większej liczby cichych dramatów, przeżywanych w milczeniu, upokorzeniu i samotności. Mijał [usunięto na podstawie Ustawy o Kontroli Publikacji i Widowisk], kuszące witrynami, zadbane wystawy przyciągające obietnicą pełni i zapraszające w przepastne wnętrza magazynów, zdolne uwieść każdego, kto choć na chwilę stracił czujność oszoło-

miony [usunięto...], a więc każdego. W stronę ZUS-u popychała go troska o własny los, o świetlaną przyszłość, która być może wcale nie okaże się tak świetlana, jeśli się o nią nie zadba w odpowiednim wieku, zatem Pan Dorożkiewicz postanowił sprawdzić, czy aby wszystkie [usunięto...] zostały odprowadzone, w co nie wątpił, bacznie kontrolując comiesięczne odcinki [usunięto...], lecz nie miał pewności, czy odprowadzone [usunięto...] trafiają na jego indywidualne [usunięto...] w instytucji, do której przedstawicielstwa właśnie zmierzał, gdyż ostatnimi czasy wiele się słyszało, że z [usunięto...] obywateli łąta się dziurę [usunięto...], wykorzystując luki prawne i niejednoznaczności związane z prawami nabytymi. Z własnych wyliczeń Pana Dorożkiewicza wynikało, że przez lata ciężkiej i ofiarnej pracy powinien zgromadzić całkiem znaczną [usunięto...], która wprawdzie nie pozwalała marzyć o starości spędzanej w tropikach, lecz uspokajała przy wybraniu nieco mniej [usunięto...] wariantu swej przyszłości, a o takim właśnie myślał Pan Dorożkiewicz, oglądając niewielkie podmiejskie domki pogrążone w bujnych ogródkach. Otóż wyliczenia te nie zgadzały się z podobnymi [usunięto...] jego przyjaciół, a ponieważ nie zgadzały się w sposób znaczący i niemożliwy do pominięcia, postanowił rozwiązać swe wątpliwości, konfrontując się z rzeczywistością, jakkolwiek brutalna miałyby być ta rzeczywistość.

Po drodze minął [usunięto...] z pieczywem, skąd – dzięki drzwiom uchylonym przez wychodzącą młodą damę z pieskiem rasy raczej drobnej, który wszakże musiał [usunięto...] całkiem sporo – doleciał go niemożliwy do odparcia zapach gorących pasztecików z wątróbką i czosnkiem, które uwielbiał miłością beznadziejną i zaborczą, więc cofnął się, przytrzymał drzwi, przepuścił młodą damę i pieska, po czym zanurzył się w chlebowy mrok [usunięto...]. Pomiędzy bułkami, bagietkami, rogalikami i sztangielkami, między pączkami, drożdżówkami oraz kruchymi paluszkami z ciasta francuskiego posypanymi częściowo kminkiem, a częściowo czarnuszką Pan Dorożkiewicz dostrzegł tacę pełną jeszcze ciepłych, wyciągniętych właśnie z pieca pasztecików. Drożdżowe ciasto zarumieniło się z wierzchu i błyszczało apetycznie, a w pomieszczeniu nad zapachem chleba zaczął dominować aromat doprawionej na ostro wątróбки z czosnkiem, co doprowadziło Pana Dorożkiewicza niemal do spazmów. Ślina napłynęła mu do jamy ustnej i wypełniła przestrzenie międzyzębowe, zmuszając Pana Dorożkiewicza do niekontrolowanego

i sprawiającego nieco nerwowe wrażenie jej przelknięcia. Oblizywał również nieświadomie wargi, gdy drżącym głosem składał zamówienie, sięgając jednocześnie do kieszeni po [usunięto...], z którego wydobyl dwa złożone [usunięto...] i wręczył [usunięto...]. Ten z kolei wydał [usunięto...], po czym delikatnie ułożył zamówioną liczbę pasztecików na kawałku tekturki, ostrożnie zawinął w szeleszczący papier, przewiązał sznurkiem, dwukrotnie sprawdzając, czy aby węzełek i kokardka wytrzymają w roli uchwytu, po czym z namaszczaniem przekazał paczuszkę Panu Dorożkiewiczowi, który podziękował tak szybko i tak pośpiesznie ruszył do wyjścia, że zapomniał zabrać garści [usunięto...] i zorientował się dopiero wtedy, kiedy [usunięto...] krzyknął za nim donośnie, nie na tyle jednak głośno, by go spłoszyć. Zawrócił, schował [usunięto...] do kieszeni i na dobre opuścił cichą świątynię pieczywa.

Ruszył dziarsko przed siebie, pogwizdując i kołysząc nieco nonszalancko pakunkiem z cennymi pasztecikami, bawiąc się nim jak kot upolowaną myszą. Z początku chciał rzucić się na smakołyk od razu, jeszcze na schodach [usunięto...], rozerwać sznurek, rozszarpać papier i dłońmi, nieumytymi ani niezdezynfekowanymi, zagarnąć zdobycz, wepchnąć sobie do ust, nie bacząc, że ciasto kruszy się, spadając i osiadając na klapach marynarki, że sos uwięziony wewnątrz pasztecika wycieka i kapie po brodzie, wnika między włosy i ścieka niżej, na koszulę i krawat, na nogawki spodni i wypastowane na połysk buty. A potem, jeszcze nie przełknąwszy pierwszego, wepchnąć do ust drugi i kolejny, aż do skończenia całej paczki. Widział siebie przycupniętego na schodach [usunięto...] z pieczywem, łapczywie pochłaniającego [usunięto...] wypieki, niebaczącego na przechodniów, ich dezaprobatę lub zazdrość.

I nie rozpoznał się w tym wyobrażeniu. To nie był on. Pan Dorożkiewicz nie chciał należeć do ludzi, którzy bezwstydnie obżerają się na ulicy. Zawsze patrzył z pogardą na koneserów kebabów, ich uświnione podbródki i odzież. Nie był taki. Był poważnym dżentelmenem, który z godnością kroczył w stronę ZUS-u, aby wyjaśnić drobne nieporozumienie. Musiał być czysty. Musiał być elegancki. Musiał zachować godność. W kontaktach z ZUS-em i jego dwulicowymi agentami tylko godność mogła go uratować. Ostatecznie bowiem nie miał nic innego na swą obronę w zwarcu z instytucją tak potężną i tak wrogą wobec obywatela.



Dlatego nie na schodach i nie od razu. Teraz szedł, bawił się ofiarą, kołysząc pakunczkiem, i próbował cieszyć się z odwlekania przyjemności, które, jak gdzieś wyczytał, może tylko spotęgować samą przyjemność. Jednak wiedział, wiedziony wieloletnim doświadczeniem życiowym, że zbyt długie odwlekanie niweczy przyjemność i pozostawia człowieka w sytuacji kłopotliwego niespełnienia, gdyż pragnienie nie zostaje zaspokojone, a przyjemność niezaspokojona traci powab i blednie. Dlatego skręcił w plac Słowiański, usiadł na ławeczce, obok siebie położył zawiniątko z pasztecikami, spojrzął na papier pokryty plamami od przesączającego się tłuszczu, delikatnie rozwiązał sznureczek, ostrożnie, by nie uszkodzić zawartości, rozchylił szeleszczące arkusze i spojrzął na aromatyczną zawartość. Ostra woń przesmażonej i zapieczonej wątróbki uderzyła go i zachwycała. Powstrzymał niecierpliwe dłonie i delektował się zapachem. Wokół ławeczki zebrały się nieomylnie i wszędobylskie gołębie, których wprawdzie nienawidził, lecz którym zawsze rzucał na ziemię okruszki, choć oddały każde [usunięto...], aby zniknęły z jego miasta i z jego życia. Niemniej nadciągały.

Wreszcie chwycił w smukłe palce pierwszy z góry, jakby specjalnie wystawiony, pasztecik i, zakrywszy szczelnie resztę [usunięto...] [usunięto...], aby wykluczyć nieprzyjemną interwencję gruchających ptaków, wbił zęby, pozwalając, by sos własny wątróbkowego farszu spłynął mu na język. W owej chwili wróciły wszystkie obrazy dzieciństwa, kiedy ojciec przynosił do domu podobne zawiniątko kryjące podobną zawartość i stawiał je na stole. Wrócił obraz rodzinnego domu pełnego ludzi, wujów i ciotek, stryjów i stryjenek, liczного kuzynostwa, wypełnionego śmiechami i płaczami, jak to rodzinne domy, oraz ciągłymi rozmowami. Pasztecik z wątróbką przywołał najczęściej poruszany w konwersacjach temat, gdyż w domu Dorożkiewiczów rozmawiano tylko o jednym. Od rana do wieczora wszyscy gadali o [usunięto...], odmieniając [usunięto...] przez wszystkie liczby i przypadki, [usunięto...] o [usunięto...] i [usunięto...], a także o [usunięto...] oraz [usunięto...]. [usunięto...] były jedynym tematem, krążyły w opowieściach i inwokacjach, obracały się, rosły i topniały jak [usunięto...] i [usunięto...]. Nie tylko mówiono o nich, one wciąż krążyły, przechodziły z rąk do rąk, jak to [usunięto...], realizując swój odwieczny ruch, nie zatrzymując się ani na chwilę. [usunięto...] dawano i [usunięto...] odbierano, [usunięto...] [usunięto...],

[usunięto...], [usunięto...], nimi [usunięto...], o [usunięto...] się troszczono.

Roztrząsano wszystkie aspekty [usunięto...] przy każdym posiłku, ale szczególnie przy pasztecikach z wątróbką. Dlatego Pan Dorożkiewicz za każdym razem, kiedy odgryzał kęs ukochanych od dzieciństwa pasztecików, zamiast cieszyć się aromatem wątróbki, czosnku, natki pietruszki i sekretnych przypraw korzennych, myślał o tym, o czym przy pasztecikach musieli myśleć wszyscy Dorożkiewiczowie świata, mianowicie o [usunięto...]. I kończyło się to jak zawsze. Nie przełknąwszy dobrze ostatniego kęsa pierwszego z przeznaczonych do konsumpcji wypieków, Pan Dorożkiewicz czuł, że ciasto i farsz rosną mu w ustach, że pyszny smak staje się smakiem najbardziej znienawidzonym, że nie ma żadnej możliwości, by kontynuował to gastronomiczne interludium, że ta przerwa w marszu na ZUS była błędem, jak błędem były wszystkie poprzednie próby odczarowania pasztecików. I wtedy, jak tyle razy wcześniej, Pan Dorożkiewicz wstał i z furią cisnął całą paczkę między przechadzające się niby przypadkiem znienawidzone gołębie, wykrzykując ku niebu imię swej zguby: [usunięto...], [usunięto...], [usunięto...]!





# Wióry

ŁUKASZ ORBITOWSKI

## 1.

Zdaniem dziadka wszystko spierdoliło się przez forszę.

Tak mówi i skręca szługa z machorki.

Świat runął przez flotę, hajsy i szmal, strawił nas elektryczny ogień przelewów, zdusił jakiś wibor.

Nie wiem, co to takiego, nic nie rozumiem z tej mowy, zresztą dziadkowi trudno we wszystko wierzyć. Siedzimy na balkonie przedzieleni składanym stolikiem, dziadek ma krótkie portki podciągnięte pod mostek na szelkach, pocerowaną koszulkę w paski i głaszczkę kolbę wiatrówki, a ja mrużę oczy w słońcu i wyobrażam sobie złowrogiego pana Wibora. Pan Wibor ma przynajmniej trzy metry wzrostu, czarny skórzany płaszcz i porusza się ciężko, krokami komtura. Pod rondem kapełusza mrugają zimne oczy, a w białych dłoniach pręży się sznur na szyję umęczonego społeczeństwa.

- Tak było, dziadziuś? Jak wyglądał ten wibor? - pytam, stara pierdoła jednak milczy, zbiera wysuszony tytoń z parapetu, kruszy sinymi palcami i pieścotliwie zagarnia w bibułę, którą zwilża koniuszkiem języka. Kopci, wykręcając sępią szyję, wiatr i tak pcha dym w moim kierunku.

Z tą machorką w ogóle mamy sto pociech. Dziadek obsadził nią balkon, parapety, a że było mu mało, machorka rośnie sobie pod blokiem w bujnych zielono-żółtych kępach i w promieniach świtu daje się cza-

sem dostrzec chudą, srebrną postać. To zgarbiony dziadzio przycina kwiatostany.

Pod blok podchodzą stada dzikich psów, koty, wychudzone lisy i włochate prosięta. Szczą i srają w tę machorkę. Dziadek pruje do nich z wiatrówki i odgraża się, czego to by nie narobił, gdyby dostał w ręce prawdziwy sztucer.

- To wszystko przez pieniądze - słyszę i wiem, że dziadek będzie paplał o tym przynajmniej do zmroku. Jak się nakręci to nie ma zmiłuj, problem w tym, że nie rozumiem, o czym gada.

- Ten pieniądz - próbuję dociec - przypominał sraczkę albo odciski na stopach, nic miłego, ma to każdy i musi dalej żyć? Jak wyglądał pieniądz, dziadku? Czy pieniądz się ruszał? Rozsiewał go pan Wibor, jak ty machorkę?

Dziadek rozdziawia usta i pewno wydałby z siebie szalenie mądre zdanie, lecz pod blokiem pojawia się pies. Stąpa ostrożnie, kiwa odrapanym pyskiem i zmierza wprost ku machorce.

- O ty, taki owaki - mamrocze dziadek, unosi wiatrówkę tak, że kolba niemal tuli się do dziobatego policzka. Lubię ten moment, kiedy oczy dziadka zwięzają się i zamiera jego kogucia pierś, sam też wstrzymuję oddech, zamieramy obaj na naszym balkonie, wreszcie wiatrówka klaszcze, a pies podrywa się gwałtownie, jakby szarpnięto go za tylne nogi, okręca się wokół własnej osi i pryska w stronę torów, unosząc skalczony zadek.

Zadowolony z siebie dziadek odkłada wiatrówkę i obwieszcza, że kto jak kto, lecz on nie będzie palił oszczanej machorki, nic z tych rzeczy. Na moje to gówny prawda, bo zwierzęta przychodzą tu nocą, kiedy dziadzio chrapie w najlepsze.

Mieliśmy kiedyś ogrodzenie. Sam zbudowałem, a rozwaliła je Banda Trojga, z czystej złośliwości, i dziadek uparł się, że nie zbuduje nowego. Na moje lubi nasz balkon i wiatrówkę. Nie ma za wiele do roboty i dobrze, bo ja uwielbiam siedzieć z dziadkiem, nawet gdy nie bardzo wiem, o czym mówi.

Pieniądz sprawiał, że mogliśmy mieć wszystko. Powoli zatruwał miłość i dobre jedzenie.

Nasze mieszkanie - słyszę - także jest z pieniędzy. Ludzie popełniali samobójstwo na raty, aby takie zdobyć. Potem i tak mordował ich pan

Wibor.

Próbuję dojść do ładu z tym, co usłyszałem, bo takich mieszkań mamy w bloku prawie czterdzieści, za to wszystkie puste, nie licząc Kowali z Bandą Trojga oraz Tych z Góry, o których nie mówimy. Mógłbym codziennie spać w innym, a nawet bawić się w chowanego. Działek chce, abyśmy jednak siedzieli tutaj, bo tu jest nasz dom.

- Należy poprzestawać na małym - słyszę.

Proszę dziadka, aby wreszcie wyjaśnił mi, czym był ten pieniądz, a przynajmniej pokazał zdjęcie. Wiercę dziurę w brzuchu, aż dziadzio wstaje i człapie w głąb naszej jamy, gdzie szare meble i mnóstwo słoików. Nurkuje na samo dno szafy, sapiąc przy tym i świszcząc. Być może machorka nie jest aż tak zdrowa, jak utrzymuje. Podnosi się, otrzepuje kolana i wraca, ściskając worek owinięty mocno gumką recepturką.

Zdaniem dziadka ludzie chcieli mieć coraz więcej pieniędzy, bo na tym właśnie rzecz polega. Choroba forszy nakręca niezdrowe chciejstwo, co razem buduje spiralę zniszczenia. Pieniądzy było coraz więcej, a więc mniej, tłumaczy dziadzio, czego naprawdę pojąć nie sposób, bo przecież gdy napada do Wisły, to rzeka się unosi, zabiera ze sobą resztki mostów i nieraz podchodzi pod same ruiny Wawelu. Tak właśnie jest, nie inaczej. Pieniądz najwyraźniej zachowuje się w inny sposób, puchnąc, chudnie, rosnąc, maleje i ja, gdybym nagle stał się pieniądzem, byłbym młodszy i starszy jednocześnie.

Mówię to dziadkowi, a ten się śmieje.

Dowiaduję się innych dziwnych rzeczy: pieniądz istniał i nie istniał jednocześnie, był złotem, ciągiem cyfr w czymś, co dziadek nazywa kontem, oraz banknotem jednocześnie. Jak można być trzema rzeczami naraz? Ale banknot! To nowe słowo wybucha mi w głowie, kojarząc się z waleniem gazrurką o dachy samochodów, bang bang, oraz z knotem świecy.

Banknotów robili coraz więcej i więcej, konta padły, poszły do kąta i ludzie nosili te banknoty w plecakach, żeby kupić sobie gulasz i jabłka. Jabłka rosną na drzewach, dziadek gotuje różne pyszne rzeczy w garnku na drugim balkonie. To mięso, ten smak rodzi się z mięsa i ognia, nie z żadnych pieniędzy.

- Zobacz, Natanku, co ja tutaj mam - słyszę. W głosie dziadka brzmi trwoga.

Wysypuje na stolik papierowe ścinki, jakby kto książkę poszatkował. Z książkami nie można tak robić, dobrze o tym wiem.

Słyszę, że ludzie w końcu zaczęli ciąć banknoty, zostawiając tylko kawałek, dość charakterystyczny, by dało się go rozpoznać, zaś nie szło podrobić. Zresztą kto fałszowałby forszę w tych ponurych czasach? Ludzie płacili wiórami, słyszę, a potem wszystko pierdolnęło.

- Zobacz, jakie wióry, oto twój pieniądz - śmieje się dziadek, a ja razem z nim, bo cóż wspanialszego od wspólnej radości? Rechoczemy w opór, powietrze drży w słońcu, wraz z nim bujne drzewa, płatanina torów za zwalonym płotem, obalone słupy trakcyjne i spalone bloki, w których żyją sokoły i sowy. - Płacili wiórami i oto, co teraz mamy - dodaje dziadek i sięga po machorkę.

Bo my też Wióry jesteście, oto źródło naszej wesołości. Nazywam się Natan Wiór, dziadkowi też jest Wiór, żyjemy dobrze, a ja nie załapałem się na koniec świata, bo byłem za mały.

## 2.

Właściwie nie wiem, dlaczego świat się skończył, dziadzio ma swój farmazon z pieniędzmi, ale - żeby daleko nie szukać - stary Kowal twierdzi, że obecny burdel zawdzięczamy samemu Panu Bogu.

Kowale, właściwie Kowalczykowie, pieprzeni inteligenci, siedzą pod nami, rozlali się na całe piętro, ona, on i dzieciaki, czyli ryży wypłosz i dwie ogromne córki. Przezywamy tę młodzież Bandą Trojga. Zebrałem od nich, od tych dziewczyn, nieraz w kły, no bo jestem tylko jeden.

Nie pamiętam nawet, o co się pokłóciliśmy. Ta wojna trwa, ośmielę się powiedzieć, od końca świata.

Najczęściej po prostu nie wchodzimy sobie w drogę, a ja zerkam za siebie zawsze, gdy Banda Trojga włóczy się po okolicy.

Stary Kowal, ich ojciec, twierdzi, że Bóg pewnego dnia zabrał do siebie wszystkich dobrych ludzi, co zgadzałoby się z egzemplarzem Biblii,

który spaliliśmy zeszłej zimy, żeby ugotować zupeę. Stało tam coś o wojnach i kurwach babilońskich, więc kto wie, może koniec świata rzeczywiście tak wyglądał? Kowal doszedł do wniosku, że Bóg zabrał tych dobrych, a resztę zostawił tutaj, wypinając na nas swoją wszechmogącą dupę.

Dnie i noce po bloku niesie się ponury bek, coś pomiędzy kwikiem kopanej świni i zgrzytem łopaty o żwir – to Kowal opity samogonem zawodzi modlitwy i psalmy ku niebu, aby Bóg po niego wrócił.

Dziadek poradził mu kiedyś, żeby pierdolnął sobie w głowę, wtedy natychmiastowo zamelduje się przed Stwórcą. W odpowiedzi Kowal ruszył z pięściami, tłumacząc w ten sposób zawilości zbawienia. Odtąd mijają się na korytarzu jak dwa wrogie sobie duchy.

Kowalowa to inna para kaloszy. Spróbujcie wyobrazić sobie kafar, mniej więcej taki, jaki sterczy z piachu niedaleko od nas, na południu miasta, tylko wbity w zwiewne czerwone fatalaszki i z mocnym makijażem. Dla kogo się tak stroi, doprawdy nie wiem, przecież nie dla swojego starego ani Tych z Góry, w każdym razie wszędzie jest jej pełno i przez cały czas lata za tymi swoimi cudeńkami.

Umyślili sobie, debile, że ocalą przeszłość.

Znoszą do bloku książki, obrazy i płyty gramofonowe, stary Kowal naprawił nawet adapter na korbkę, więc czasem do psalmów dochodzą i mordoryki Bacha.

Ściągnął też agregat i fantazjował o prądzie, lecz nigdzie nie można znaleźć benzyny. Wspominam ognie bijące lata temu w niebo, a Kowalowa przy świeczkach kataloguje świeży dobytek i umieszcza na ponumerowanych półkach. Ma też fiszki, zeszyty i wbrew mężowi sądzi, że świat się odrodzi, zaś ona dostarczy piękny i kompletny dorobek kulturowy.

Na moje potrzebujemy opału i żarcia, nie Homerów i Himilbachów, no ale ja gówniarz jestem.

Kowalowa namawia swoje dzieci, by szukały dla niej książek, lecz Banda Trojga ma gdzieś tę piękną inicjatywę. Przeważnie włączą się po mieście, bujają się z towarzystwem z dawnych osiedli, tymi chmarami drabów, co ganiają po centrum i opuszczonych kościołach. Prądnik, Azory. Te nazwy już nic nie znaczą. Tacy właśnie są, roześmiani, głośni i tylko z Tymi z Góry nie chcą mieć nic wspólnego.



Dziś zresztą miałem przykrą przygodę.

Za dnia trochę włączę się po okolicy. Dziadkowi niezbyt się to podoba, ale mam już czternaście lat, więc w sumie stary może mi skoczyć. Na dłuższą metę apokalipsa jest okropnie nudna.

Nie wypuszczam się daleko. Przed blokiem zieleni się gęsty zagajnik, w którym gniją resztki ławek, dalej ciągną się te tory przecięte ulicą, na której rdzewieją auta bez szyb i kół oraz ciężarówka zakleszczona wokół spalonej lokomotywy. Za czarnym kościołem drzewa rozsadzają dachy domków działkowych, straszą puste bloki i wyczyszczone do cna hale marketów. Dziadek opowiadał mi o tych miejscach i o tym, do czego służyły.

Fajnie w takiej spalonej hali. Siedzę na rampie, macham kulasami, strzelam z procy do szczurów i gołębi.

Ta rampa ściągnęła na mnie kłopoty.

Ciągnie się pod samym sufitem przez całą długość hali – taka stalowa bela szeroka na trzydzieści centymetrów.

Położyłem pod nią lodówkę, na lodówkę wtargałem trochę palet i jeszcze wózek sklepowy, któremu wyrwałem kółka. Dopiero dzięki tej piramidzie mogę się wgramolić na rampę.

Tak było i wczoraj. Przyszykowałem sobie worek najprzedniejszych kamieni (ich zagłębienie znajduje się przy torach kolejowych, no bo gdzie), wyłażę na rampę, siadam jak lord albo papież, sprawdzam naciąg procy i wypatruję gołębi.

Zamiast nich włązi jednak Banda Trojga, normalnie jak do siebie – rudy wypłosz i dwie bliźniacze olbrzymki. Drą się zaraz: „Natan, co ty, fruwanie się uczysz?”. Ja sroce spod ogona nie wypadłem, wrzeszczę, żeby spierdalali, bo spalona hala jest moja, niech łażą do ruin Biedronki na Wrocławskiej albo ganiają się w szczątkach Sukiennic, nie tutaj jednak.

A oni plotą, że całe miasto należy do nich, zachęcają, żebym zszedł, wszystko wtedy wytłumaczą. Dobrze mi tam, gdzie siedzę, głupi nie jestem.

Te dwie dziewczuchy palą papierosa na spółkę i coś za długo wodzą wzrokiem za ogniem zapalniczki. Jedna zostaje, żeby mnie pilnować, druga z drapichrustem rozłazi się po hali, znoszą deski z palet, półki i kartony, układają stos wprost pode mną. Już wiem, co się szykuje.

Rampa jest długa, mogę się przesunąć, oni wtedy ułożą drugi stos i dziesiąty, sfajczą całą halę, jeśli najdzie ich taka melodia. Musicie też wiedzieć, że ja nie szukam zwady, ale też nie uciekam.

Kamień z procy siada cudnie w czerwonym policzku siostrzyczki. Oko, jak sądzę, mam po dziadku. Dziewucha kuli się i kwiczy, następny kamyk rykoszetuje tuż przy jej stopie, ostrzegam tylko, że ze mną nie ma żartów.

Ładuję z procy za każdym razem, gdy próbują podejść do stosu pod rampą, a kamieni mam pod dostatkiem. Banda Trojga rozprasza się, podchodzą zgarbieni, z dłońmi przy oczach. Brachol dostaje w środek czoła, druga dziewczucha w brzuch i przez moment myślę, że naprawdę mają dosyć.

Zaczają się na mnie pod blokiem. Już kombinuję, jak ich ominąć, gdy obie siostry jednocześnie lecą w stronę mojej piramidy, strącają palety, wózek sklepowy z brzękiem uderza o ziemię, a jedna dziewczucha odciąga lodówkę w głąb hali, kryjąc się za nią tak, że kamień nie sięgnie.

Odbiegają, śmiejąc się i pokazując fucki.

No dobra, tylko co teraz? Tkwię na rampie, lekko licząc cztery metry nad podłogą.

Marudzę bez sensu prawie przez godzinę, jakbym liczył na cudowną odmianę losu. Problem w tym, że jedyny gość, który wierzy w cuda, spłodził te trzy potworne niewyskrobki.

W końcu robię jedyną rzecz, jaka jest do zrobienia, czyli przesuwam się do krańca rampy, obejmuję kończynami słupek i próbuję się zsunąć, co wychodzi nawet nieźle, niestety najwyżej przez jedną trzecią trasy. Zjeżdżam ostro, uderzam o ziemię, palą mnie dłonie, a w nodze wybuchają ostre ognisko bólu, który rozpełza się aż pod kolano, osadza się w mięśniach i wżera w kości.

Do domu wracam długo, wsparty na desce z palety.

Dziadek kręci głową, nastawia skręconą nogę, patrzy na poranione dłonie, stargany podkoszulek i bardzo chce wiedzieć, co się odjebało. Milczę. Nie jestem kapusiem, a całe zdarzenie dotyczy wyłącznie mnie i Bandy Trojga. Dziadek gotuje herbatę w osmolonym garnuszku, kładzie mnie i przykrywa kocem, jakbym już szykował się do opuszczenia tego pięknego świata, głaszcze po głowie, powtarza swoje pytanie, więc

mówię, że spadłem z drzewa, co przecież nie ma sensu, bo dziadek i tak domyśli się prawdy.

### 3.

Awantura wybucha parę dni później, kiedy dziadek zderza się z Kowalem na klatce schodowej. Myślę, że każdy z nich na to czekał, a nawet warowali na siebie nawzajem.

Sytuacja wygląda tak, że dziadek człapie na parter, żeby pościnać machorkę, a z korytarza wyłania się Klemens w czarnej koszuli zapiętej pod szyję i z modlitewnikiem wepchniętym pod pachę: sina skóra i włosy przyklejone do karku upodabniają go do goblina z bajek.

Na widok dziadka próbuje się cofnąć, niby taki łagodny. Na takie ceregiele już trochę za późno. Za to mój dziadzius prostuje się łagodnie, nabiera powietrza w pierś i tężeje cały, mało nie trzasną mu szelki.

Zwraca się do Klemensa z uprzejmą prośbą, aby ten nałożył jakieś kagańce swoim głupim dzieciom, niech je weźmie na smycz i zapędzi do budy, mają się odpierdolić ode mnie i już. W sumie głupio mi trochę, bo sam załatwiam swoje sprawy, ale mleko się rozlało.

W odpowiedzi Kowal kiwa kwadratową głową i przysięga, że nie wie, o czym mowa. Dzieci mają swoje własne sprawy, rozrabiają i się drocą. Wskazuje łokciem w moim kierunku. Jego zdaniem wyglądam na całkiem zdrowego. Na to dziadek, któremu zaraz para pójdzie z uszu, uświadamia Kowalowi, że zaraz dojdzie do jakiegoś nieszczęścia, powyrywamy sobie oczy, połamiemy ręce. Naprawdę mało widzieliśmy trupów? Dzieci mają się mordować? Kowal zauważa, że gdyby dziadek lepiej mnie wychował, nie doszłoby do żadnych konfliktów, poza tym nawywijał swoje. Nie mam pojęcia, o co chodzi, lecz sprawa jest poważna: dwa stare chłopcy szarpią się tuż nad samą krawędzią schodów.

Konkretnie dziadzius ściska Kowala za fraki, a ten próbuje zdzielić go przez łeb Pismem Świętym.

Na to wszystko wpada Kowalowa ściągnięta przez harmider i wciska się między tych dwóch, tak wielka, że zaraz przesłoni słońce. Rozdziela, chce wiedzieć, czy poupadali na głowy, co nawet działa, bo Kowal odrywa się od dziadka i unosi ręce w geście dobrej woli. Kowalowa wpycha go z powrotem na klatkę schodową i wymienia z dziadkiem długie spojrzenia, jedne z tych, o których sens lepiej nie pytać.

Zostajemy sami. Z dziadka schodzi powietrze. Schyla się po siatkę, w którą chciał nazbierać machorki. Zamiera, osuwa się przy ścianie i siada, łapiąc świszczący oddech. Poblądł. Chodzą mu dłonie. Pytam, co mogę zrobić, słyszę, że wszystko w porządku, lecz w jego oczach dostrzegam nagi strach.

- Dziadziuś, ja wody przyniosę. Chcesz poduszkę, dziadziusiu?

Przez długie, okropne chwile boję się, że zostanę sam w bloku i będę gotował zupy z pokrzyw, aż w końcu oszaleję. Dziadek chyba orientuje się, co chodzi mi po głowie, szepcze, że w jego wieku takie rzeczy po prostu się dzieją, wstaje, udając dziarskiego, lecz do mieszkania dociera, wisząc na mnie, i zwała się na łóżko.

Ile dziadek ma lat? Wiem, że pamięta Wałesę i Napoleona, bo o nich mi mówił.

Odwracają się role, teraz ja donoszę mu herbatę i ocieram czoło, aż zapada w niespokojny sen. Oczy drżą, pulsują skronie, sam poszedłbym spać, tylko nie mogę i spędzam całą noc przy łóżku w obawie, że jak zamknę oczy, to dziadek nie otworzy już swoich. Boję się, obracam w głowie najczarniejsze scenariusze, a gdy zaczyna świtać, uderza mnie wizja płytkiego grobu wśród krzaków machorki.

Zaraz potem dziadek się budzi, pyta, czemu tak siedzę, wrzeszczy, niby rozjuszony, żebym ziemniaki obrał i wyjął ćwiartkę paprykarza z puszki. Podstawę naszej diety stanowią właśnie takie pyszności. A gdy dziadek sroży się i fuka, pokazując w ten sposób, że niby tak świetnie się czuje, przysięgam sobie jedno: nie daruję Kowalom tej bezsennej nocy, tego nieludzkiego lęku. Obieram kartofle i obmyślam zemstę.

Zniszczę to, co im najdroższe, przysięgam.

W teorii plan nie ma wad, lecz z realizacją gorzej. Jestem jeden, zaś ich pięcioro.

Przez parę dni obserwuję Kowali, rozpoznaję zwyczaje i ścieżki. Jak wszyscy tutaj kładą się o zmroku i wstają przed świtem. Banda Trojga włóczy się całymi dniami, ich stary klepie pacierze, Kowalowa nieśmiało zapuszcza się między okoliczne bloki, szukając książek, albumów, fotografii. Zachodzi najdalej w rejony dawnego szpitala wojskowego, boi się, że ją skrzywdzą.

Gmera w nieskończoność w tych samych ruinach, licząc, że coś znajdzie.

Wieczorami czuwam na klatce, słucham trzasku rozlicznych zamków, modłów i westchnień. Kowalowa chrapie jak komin zatkany trotylem.

Oceniam swoje szanse, szkicuję plany ogryzkiem ołówka.

Szybko odkrywam, że nie sforsuję drzwi, mieszkanie Kowali przypomina twierdzę, jeden z tych budynków pełnych złota i żarcia, gdzie – gdy świat dobiegał końca – pozamykali się bogacze, tak zwani ludzie przy forsie.

Pierwszego dnia apokalipsy zabili ich ochroniarze, kochankowie, doktorzy. Widać taki pożytek z pieniędzy.

Kowale zajmują drugie piętro i zostawiają otwarte okna w gorące dni. Lato mamy mordercze, ryby trzepoczą się w płytkich kałużach schnącego koryta Białuchy.

Przykład z rampą wskazuje, że we wspinaniu jestem całkiem niezły, tylko ze schodzeniem gorzej.

Z rejonów torowiska kołuję kawał solidnego kabla, wiążę węzły co łokieć i przewieszam przez drzewo, bodaj akurat ten kasztanowiec, na którym targnął się na życie ponury pan Bodzio z parteru. Trenuję wspinanie przez cały obrót Księżycy. Dłonie twardnieją. Przedramiona rosną jak bulwy.

Gotowy, przepełniony wiarą we własne siły czatuję pod otwartym oknem Kowali. Tak mija parę wieczorów, aż nabieram pewności, że te cymbały śpią twardym snem odczytanych cegieł. Dopiero wtedy staję pod blokiem zbrojny w kabel zwieńczony motyką do ziemniaków.

Rzucam, i to elegancko, motyka od razu łąduje na podłodze dwa piętra wyżej i blokuje się w oknie. Czekam, licząc do tysiąca. Jeśli kogoś

z Kowali zbudził nawet łoskot, powinien znów zapaść w sen, na to właśnie liczę.

Wspinam się wzdłuż ściany bloku i nawet nie wiem, kiedy ląduję na drugim piętrze i przywieram do miękkiego dywanu. Leżę długo, czekając, aż wyrówna mi się oddech, obracam się na plecy i gapię się w ciężki żyrandol, który nigdy nie da światła.

Wstaję, kręcę się. Kowale przebili ściany między mieszkaniami, budując labirynt odczytanych szaleńców. Sami gospodarze śpią na szerokim łóżku, pod samym prześcieradłem, on rozwalony na plecach, ona skulona ze skraju, biała i wielka, o zdumiewająco łagodnej twarzy i rozchylnych ustach. W drugim pokoju pokotem kima Banda Trojga.

*Zabiorę wam wszystko, co kochacie* – myślę. Problem w tym, że tych rzeczy do kochania jest więcej niż trochę.

O książkach nawet nie chce mi się gadać, rosną pod sufit poustawiane na ciężkich regałach w niebezpiecznie wielu rzędach. Wybieram byle jaką, przeglądam przez chwilę, choć powinienem się spieszyć. Pełno w niej obrazków. Mężczyźni z dzidami osaczają słonie, prują z łuków do saren i mają naszyjniki z kości.

Na ścianach gęstnieją obrazy, dosłownie nachodząc jeden na drugi. Przedstawiają konnych w galopie, miasta nocą i poważnych ludzi w pięknych ubraniach. Kiedyś musiało być bardzo zimno. Kolejne obrazy stoją rzędem pod ciężkim stołem. Oglądam. Dowiaduję się, jak wyglądały góry i śnieg. Nigdy nie widziałem takich kolorów, znam głównie zieleni drzew, niebo i wszystkie odcienie popiołu, planowałem wybrać kilka takich płócien, pociąć nożem, spalić w hali na gotowym już stosie, ale jak mógłbym zniszczyć coś takiego?

Oglądam figurę rycerza zwartego w walce ze smokiem, zrolowane mapy i albumy pełne zdjęć. Widzę ulice pełne ludzi, szyldy i światła, nawet pociąg w biegu, bogate wystawy sklepowe i już wiem, jak mogła wyglądać moja hala, nim zabrał ją ogień. Wybieram kilka zdjęć, chcę targać, chowam jednak do kieszeni.

Co im zabrać, co zniszczyć? Nie wiem. Nie potrafię. Błądzą w tym pięknym labiryncie, za oknem wisi księżyc w pełni, a mój wzrok pada na kosz zabawek: plastikowe pistolety, samochody, które zmieniają się w roboty i statki kosmiczne. Stoję nad tą górą skarbów, powtarzając

sobie, że jestem dorosły, zawsze byłem dorosły, w świecie bez świata dzieci nie istnieją.

Skoro jestem przy dorosłości, natrafiam na inny rodzaj skarbu: flaszki Kowala zgromadzone w szafkach i zlewie. Różnego kształtu i koloru, jedne kanciaste jak maczuga, inne takie malutkie, że mógłbym je schować do kieszeni obok tych zdjęć.

*Spróbuję tylko kropelkę, przysięgam.*

Dziadek nigdy nie pił, nie przynosił do domu alkoholu, powtarzał, że ten jest niewiele lepszy od pieniędzy, tylko jeszcze szybciej się kończy. Zobaczymy, ile miał racji.

Domyślałam się, że największe cuda znajdę na dnie szafki, i rzeczywiście – dobywam kanciastą butelkę z bursztynowym płynem i czarną etykietą. Wygląda na starszą od obrazów, które podziwiałem. Próbuję wziąć łyk. Nie leci, bo szyjka jest jakaś dziwna. Znajduję szklanekę. Unoszę. Przyglądam się swojemu odbiciu w szybie. Tyka o kościstych kolana. Gdyby świat trwał, byłbym dzieckiem, miał zabawki i wyglądał jak na tych zdjęciach. Świata jednak nie ma. Przechylam szklanekę.

Napój jest wstrętny, jak gorące opiłki stali. Zmuszam się, by przełknąć. Żołądek zalewa miłe ciepło, odwaga wkrada się w serce. Więc tak to jest. Nalewam sobie jeszcze, tym razem pół szklanki, obiecując sobie, że to ostatnia, bo Kowale się zbudzą.

Spaceruję po labiryncie, sięgam po porcelanowe figurki gęsi i żelazne krucyfiksy, obracam w dłoni plastikowego robota i zaraz odkładam ze wstydem – piję, więc jestem dorosły.

Sięgam po książkę, którą czytałem wcześniej, siadam z nią pod otwartym oknem, z którego wciąż zwisa kabel zaczepiony o motykę. Jak posłyszę, że który Kowal wstaje, to natychmiast prysnę, zresztą do czegoś takiego nie dojdzie, bo noc młoda i zaraz się zmywam.

Rozkładałam książkę, napelniwszy uprzednio szklanekę. Zniknęła rozgrzana stal, alkohol ożywia przyjemnie, przegania lęk, głód i potrzebę zemsty, życie wreszcie wygląda, jak powinno.

Dziadek nauczył mnie czytać, lecz książka powstała w języku, którego nie rozumiem. Zachwycają mnie same obrazy: mężczyźni odziani w skóry okładają maczugami włochatego nosorożca. Żyłasty łucznik powala antylopę. Okutany po białka oczu wojownik pełźnie po lodzie

w kierunku foki. Uśmiechnięte kobiety gotują mięso w garnkach zawieszonych nad ogniem, trochę jak dziadek nasze chude zupy.

Oni, ci ludzie, nie są moim dziadkiem. Gdzie moi rodzice? Jaki los ich spotkał? Na co dzień o nich nie myślę. Rozczulająca tęsknota odpala się dopiero przy szklance. Zastanawiam się, kim byli i czemu ich nie zobaczę, a przede wszystkim przeglądam tę cudowną książkę, wodzę palcem po surowych twarzach myśliwych, nadaję im imiona, wyobrażam sobie, co czuł mamut spychany z urwiska, znajduję młodego wojownika podobnego do mnie i wmawiam sobie, że nim jestem. Gdy książka się kończy, wertuję ją od początku. O rety. Takie szczęście. Taki świat. Wszystko robi się piękne, bezpieczne. *Muszę zanieść tę książkę do dziadka* – obiecuję sobie i nawet nie wiem, kiedy przychodzi sen.

## 5.

Budzę się w wielkich kłopotach.

Boli głowa, wali serce, w ustach suchość. Czuję brud pod skórą, jakby w moich żyłach tłoczył się kurz.

Co gorsza, stoją nade mną Kowalowa oraz Banda Trojga. Wypłosz trąca mnie czubkiem buta. Rozglądam się. Wciąż leżę na podłodze, między szklanką i książką.

Gorączkowo szukam wyjścia z tego ambarasu, lecz wszystko, co mógłbym powiedzieć, wydaje się głupie. Próbuję wstać. Przepraszam i przysięgam, że nie będę ich więcej niepokoił, nawet nie wiem, co strzeliło mi do głowy. Kopniak jednej z siostrzyczek przerywa tę gadaninę. Z głębi mieszkania Kowal dudni, że kiedyś za kradzież ucinano dłonie.

Protestuję gwałtownie, bo przecież niczego nie chciałem ukraść, lecz Bandzie Trojga ten pomysł wyraźnie przypada do gustu i nawet rozglądają się za siekierą.

Pytam Kowalową z nadzieją, czy pozwoli na takie okrucieństwo, a ona uśmiecha się tylko i chce wiedzieć, co sobie myślałem, kiedy tu przyszedłem. Jak mogłem sięgnąć po coś, co nie należy do mnie?



Z głębi mieszkania dochodzi niepokojący łoskot sztućców i narzędzi. Wypłosz pyta, czy jeśli nie znajdą siekiery, to mogą złamać mi rękę o próg albo wyrzucić mnie przez okno.

- Oni żartują, prawda, żartują, proszę pani?

Wrzeszczę, że dziadek ich pozabija, jeśli wyrządzą mi krzywdę. Kowal, który ani myśli ruszyć się z fotela, dudni, że dziadzio już swoje nawywijał, z nim też zrobią porządek, jak skończą z wnukiem.

Zalewam się łzami. Najpierw są to łzy strachu, potem upokorzenia.

W głębi mieszkania Banda Trojga triumfuje - znaleźli brzeszczot owinięty w szmaty.

Świadom tego, co mnie czeka, skacowany i brudny wodzę wzrokiem po pokoju, szukając czegokolwiek, co przyniesie ratunek. Znajduję, i to mnóstwo. Rzeczy. Piękne przedmioty. Składam Kowalowej gorączkową ofertę. Przecież dużo włóczę się po okolicy. Wiem, gdzie znaleźć książki, obrazy i rzeźby, ja to wszystko przyniosę, tylko nie odcinajcie mi ręki brzeszczotem, bo z jedną raczej nie dam sobie rady. W mięsistej twarzy kobiety pojawia się pozór życia, błyszczą oczy chciwca. Cisnę bez żadnej litości:

- Pani boi się chodzić daleko, ja się nie boję.

Przecież wszedłem tutaj. Jestem złodziejem. Zawodowcem. Dostarczę tyle skarbów, ile chcecie.

Na te słowa melduje się Banda Trojga z brzeszczotem i pyta o ogień, żeby wypalić świeżą ranę, a Kowalowa drze się na nich, czy na głowy upadli. To były tylko żarty. Śmiałybym się z nimi, ale za bardzo mdli.

Dostaję tydzień na dostarczenie skarbów w dowolnej liczbie, lepiej jednak, abym się postarał, tak słyszę. Wstaję. Kręci mi się w głowie, upadłbym, gdyby nie regał. W oczach tańczą mi mroczki. Próbuję dotrzeć do wyjścia pod ponurym spojrzeniem Bandy Trojga. Kowalowa wydaje z siebie przeciągłe westchnięcie, jakby złość uciekała z jej ogromnych ust. Prosi, żebym poczekał. Wręcza mi kubek zimnej wody. Osuszam go natychmiast. Przynosi następny. Ostrzega, żebym się nie przyzwyczajał do odruchów serca.

*Jasne, proszę pani, wiem, na czym stoję.*

Przypominam, że istnieje pewien problem. Bardzo chętnie przyniosę wszystko, czego potrzebuje, ale całkiem niedawno jej dzieci próbowały spalić mnie żywcem. Cała afera wzięła się z tego właśnie powodu.

Trudno szukać skarbów z Bandą Trojga na karku. Mogłaby pani coś im powiedzieć? Żeby chociaż na ten tydzień dali mi spokój?

Kowalowa zerka na swoje tępe potomstwo, przełyka ślinę i się zgadza. W odpowiedzi jedna z córeczek spuszcza głowę i strzela z palców.

W ten sposób zawieram chwiejny pokój z Kowalami. Sam zresztą ledwo trzymam pion, wlokąc się na czwarte piętro, gdzie czeka zatroskany dziadek z awanturą.

Myślę tylko o śnie i o tym, że fajnie jest mieć obie ręce.

## 6.

Opowiadam dziadkowi całą prawdę, wyjąwszy przygodę z alkoholem. W odpowiedzi słyszę, że Kowalom nie można ufać, powinienem cieszyć się, że uszedłem z życiem. Najlepiej zrobię, jeśli zapomnę o obietnicy. No ale tak nie można. Dogadaliśmy się przecież.

Dziadek spogląda na mnie z szacunkiem i lękiem, mówi coś, czego nie mogę zrozumieć: „Słowo bywa droższe od pieniędzy”.

Cały dzień spędzam na materacu, z dzbankiem wody, odwracając twarz od słońca. Nocą w drgawkach niespokojnego snu odwiedzają mnie wojownicy w skórach i poranione mamuty.

Wymykam się, kiedy dziadek jeszcze śpi. Zabieram butelkę wody i dwa pomarszczone jabłka, obiecuję sobie, że prócz skarbów spróbuję znaleźć jakieś konserwy. Tych brakuje od dawna. Wszystko wyczyszczone. Zostało trochę paprykarza, jakiś tuńczyk w puszcze, co daje złe widoki na zimę.

Miasto jest puste i ciche. W dalekich oknach drżą płomyki świec.

Lepiej unikać ludzi, tak zawsze radzi dziadek. Zresztą pewnie wszyscy inni są jak Ci z Góry: cisi, wrodzy i tajemniczy. Po drodze spotykam jednego z nich, jak targa szczapy drewna w zużytych błękitnych torbach. Ma też czapkę z daszkiem i kurtkę z ortalionu. Na mój widok przysuwa się do ściany, przyspiesza, jakby bał się, że zabiorę jego drewno. Krew kapie mu z rękawa.

Szybko orientuję się, co mogło mu się przydarzyć: asfaltówkę opano-  
wało stado dzikich psów. Chude bydłeta o poranionych grzbietach.  
Szczera kły i wężą pod autami. Omijam tę bandę, przechodzę torami  
nad wiaduktem i dalej przez zagajnik. Po prawej rysują się moja hala  
i bloki osiedla, po lewej mam kościół, od którego zaczynam łowy.

Byłem tam nazbyt wiele razy, lecz nie szukałem skarbów. Przechodzę  
przez resztki oszklonych drzwi. Ławy dawno rozdrapaliśmy na opał. Na  
podworcu, obok dawnej siłowni parafialnej i sali spotkań anonimowych  
alkoholików, znajduję to, czego szukałem: stos dawno spalonych ksią-  
żek, mokry od rosy.

Sprawdzam dawny hotel, widoczny z daleka i złamany jak podwójny  
żagiel ogromnego statku, penetruję wywrócony tramwaj i tak docieram  
do starszej części miasta, w rejon wysokich kamienic. Wchodzę po kolei  
do każdej, wcześniej nasłuchując. Obawiam się zwierząt, a nade  
wszystko ludzi.

W sklepie na parterze znajduję stosy płyt winylowych. Większość  
potrzaskana. Ktoś nie mógł ich posłuchać, więc je zniszczył. Przetrzę-  
sam, są ze trzy całe. Próbuję odcyfrować nazwy zapisane jakimś złowro-  
gim pismem. Mgła. Behemoth. Pewno jacyś krewni Bacha. Kowalowi się  
to spodoba, a jak nie, to trudno.

Nieco dalej natrafiam na przestraszoną rodzinę. Pospiesznie zrywają  
się z materacy, matka wysuwa się przed dziecko, a ojciec przed matkę.  
Więc tak wyglądają rodzice. Unoszę dłonie na znak, że nie zrobię im  
żadnej krzywdy, nawet nie pytam o skarby, znikam, zza drzwi natych-  
miast brzmia nerwowe głosy, dźwięki krzątania.

Nieco lepiej idzie mi w wielkiej kamienicy z zieloną wieżyczką. Par-  
ter ogołocoło ze wszystkiego, co mógł strawić ogień, ale na piętrze  
znajduję kilka książek w twardych oprawkach: pastelowe kolory, rozmyta  
czcionka na okładkach, drobny druk. Pakuję do plecaka, co tylko się da,  
jem jabłko, piję wodę z butelki, strzelam z procy do zębatych resztek  
szkła w oknach.

Powiniennem wracać, znalazłem dość na jeden dzień, idę jednak  
dalej. Taki chyba jestem, jak w coś się wkręcę. Szukanie skarbów spra-  
wia radość dużo większą niż włóczenie się bez celu.

Przy samym Rynku muszę chwilę przeczekać, bo przez środek wali  
rosła kolumna chłopów pod bronią, suną zawzięcie, wypuszczając

czujki. Znikają, liczę do tysiąca, jak zwykle, gdy pojawia się niebezpieczeństwo, i przemykam do Sukiennic.

Było tutaj muzeum, dziadek tak mówił. Została szczerba.

Bez większej nadziei pętam się po piętrze, schodzę do podziemi, gdzie prócz szczurów jak bobry czeka przyjemna niespodzianka – obraz półnagiej dziewczyny, która się czesze drewnianym grzebieniem. Siedzi tyłem, garbi się, więc nie umiem stwierdzić, czy jest ładna.

Roztrzaskuję ramy, roluję to wątpliwie arcydzieło i pakuję w plecak, myślę, że znalazłem dosyć, Kowalowa się tym zatka. I nagle zamieram, tracę oddech.

W rogu leży włócznia, długi drzewiec i stalowe ostrze. Bardzo stara. Ważę ją w dłoniach. Podrzucam. Nie mogę oderwać wzroku od jej prostego piękna. Czy takich używano do polowania na mamuty?

Nie oddam jej Kowalom – dla nich płyty, książki, dziewczyna z grzebykiem.

Wracam do domu przez podwórka. Przed naszym blokiem skręcam w stronę zagajnika, tam, gdzie resztki ławek i drzewo wisielca. Odkładam plecak ze skarbami. Miotam włócznią, celując w krzaki i pnie. Z początku idzie mi średnio. Włócznia ani myśli słuchać, powoli się z nią zgrywam, wiążę z ramieniem i wyrzutem barku. Ciskam, podnoszę, celuję znowu, aż tracę oddech.

Wracam, żeby dziadek się nie martwił. Pokazuję mu skarby, włócznię chowam pod materacem.

Dziadek przegląda książki i wspomina dobre czasy, kiedy ludzie mieli czas na czytanie, tylko byli głupi i tego nie robili. Potem spogląda na obraz i pociąga nosem. Przykłada dłoń do oczu, mówi, że musi się przejść.

Kładę się, sen nie chce przyjść. Spod materaca dochodzi zew włóczni.

Wyjmuję ją. Wymykam się w noc. Wracam do parku. Wspinam się na gałąź i czekam na jakieś zwierzę.

Małżeństwo Kowali przyjmuje mnie po królewsku. Konkretnie zajmują wysokie krzesła z plecionką i wydymają wargi niby członkowie jakiejś wyjątkowo zdegenerowanej dynastii. Na stole rozkładałam rzeczy, które im przyniosłem, powoli, po kolei, tak aby stopniować napięcie.

Kowalowa ogląda dokładnie każdą książkę, wsadza nos między kartki i mruży oczy.

Na płyty reaguje obojętnie, za to jej mąż wyrywa się do nich i nagle martwieje, drżącą dłonią robi znak krzyża i pyta, jakim prawem coś takiego przyniosłem do ich domu. Odpowiadam, że chyba o coś takiego im chodziło, okładki są ładne, są na nich potwory i ślepcy. Awantura wisi w powietrzu i gaśnie, rozmywa się, bo Kowalowa unosi obraz z czeszącą się dziewczyną.

Kowal dostrzega go i milknie, patrzą jak dwie czarodziejskie świny i nagle zalewają się łzami. Ona beczy, on pochlipuje.

Skąd to mam, pytają. Leżało, czekało. Co innego mógłbym odpowiedzieć? Kowal polewa sobie do szklanki. Kowalowa nie potrafi oderwać wzroku od obrazu, trzęsie się, znowu szlocha, nagle widzę ją kruchą i lubię ten widok.

Pytają mnie, kiedy przyniosę im więcej takich rzeczy. Dumam przez chwilę i odpowiadam, że umawialiśmy się inaczej: przynoszę fanty, a oni nie ucinają mi ręki brzeszczotem. Możemy się rozejść. Kowalowa przyznaje mi rację ruchem ciężkiej głowy i powtarza swoją prośbę: chciałaby więcej takich skarbów. Myślę przez chwilę i pytam, co dostanę w zamian.

Banda Trojga da mi spokój już na zawsze – tak wygląda oferta. Perspektywa wolności od tych palantów napełnia mnie radością, widzę jednak, że Kowalowej zależy, w swoim afekcie do obrazu wydaje się zupełnie bezbronna. Uświadamiam jej, że nie zdołam poszukiwać skarbów z Bandą Trojga na karku, to warunek pracy, a nie część umowy. Powtarzam: – Co jeszcze mi dacie?

Nie umięją niczego wymyślić, więc sam proponuję: dajcie mi wódkę. Kowal obrusza się na tę propozycję, jakbym zażądał jego serca podanego z ziołami na gorącym kamieniu. Dodaję, że przydałyby się też ciepłe ubrania dla dziadka. Macie może buty, koce? Potrzebujemy świecy, benzyny, oczywiście czegoś na ząb, Kowale równo tłuste, więc pewno żrą jak wściekli. Lista rośnie błyskawicznie, milknę, żeby nie przeszar-

żować. A, żeby jeszcze Banda Trojga nie zniszczyła płotu wokół dziadkowej machorki, kiedy go postawimy. Będzie tego. Kowalowa zerka to na obraz, to na mnie.

Zgadza się na alkohol, lekarstwa, łachy, właściwie wszystko z wyjątkiem żarcia, którego im również brakuje, do tego lato zjeżdża w jesień i jeśli nic się nie zmieni, znajdziemy się wszyscy w kłopotach.

Gdy byłem młodszy, dziadek straszył mnie opowieściami o kanibalach, żebym za daleko nie chodził, ale nigdy żadnego nie widziałem, najpewniej więc skonsumowali się nawzajem.

Spluwam w dłoń, Kowalowa ujmuje ją niechętnie, za to mocno ścisła. Umowa stoi. Będę przynosił takie skarby jak wcześniej, najlepiej obrazy, i w zamian dostanę rzeczy, o które poproszę. Tej części rozmowy towarzyszy cykl nerwowych sapanień – to Kowal złości się przejęty perspektywą uszczerbku w bezcennym alkoholu.

Spokojna głowa, ogram i jego, drapnę jakiś psałterz albo wytargam świętą figurę z chaszczki porastających okoliczne skrzyżowania. Wiem, co robić. Czuję się silny, mocny i nawet dorosły, które to przekonanie towarzyszy mi aż do trudnej rozmowy z dziadkiem. Ten pyta, czy na pewno wiem, co robię, no i się kłócimy.

Przypominam, że idzie zima, konserwy się kończą, ziemniaków i marchwi zjadamy więcej niż rośnie, do tego trzeba węgla i drewna do kozy, a także koców i swetrów, których obiecali dostarczyć Kowale. Dziadek nieśmiało bąka, że sam wystara się o te wspaniałości. Niby jak, skoro przez całe dni siedzi na balkonie z wiatrówką?

## 8.

Do tej pory nie opowiadałem o Tych z Góry, bo nie było potrzeby. Teraz jest. Coś się zdarzyło.

Więc żyje sobie taka banda na ostatnim piętrze. Nie wiadomo, co tam robią. Zajęli też dach, na którym czasem rozpalają ognie i śpiewają cudności. Wejścia do ich królestwa bronią żelazne sztaby na mocarnych drzwiach.

Ci z Góry nie interesują się nami, więc wyświadczamy im podobną uprzejmość. Nie słyszałem, aby komukolwiek wyrządzili krzywdę. Czasem któryś wychodzi. Przemyka przy ścianie. Na mój widok zawsze kuli się, przyspiesza kroku. Nawet w lecie noszą płaszcze i wełniane rękawiczki. Dziadek często przypomina, żebym się nimi nie interesował. Moim zdaniem to trochę dziwne. Jacyś ludzie mieszkają nad nami, a my nic o nich nie wiemy.

Zdarza się okazja, aby to odmienić.

Wracam sobie z udanej wyprawy na skarby. W plecaku mam książki, ilustrowany atlas świata i ciężką figurkę brodatego proroka w otoczeniu zachwyconych zwierząt. Targam ten ciężki szajs, chcę dotrzeć do domu jak najszybciej.

Z niepokojem obserwuję rude liście pod niskim słońcem, chłodne powietrze wryza się pod kurtkę.

Na wysokości naszego zagajnika rozbrzmiewa ujadanie. Wiem, co oznacza. Ciskam plecak w brązową trawę i wdrapuję się na drzewo wisielców, siadam na gałęzi i naciągam procę.

Asfaltówką zasuwa stado zdziczałych psów, najpewniej to samo, które widywałem już wcześniej. Gnają te podłe chudzielce o postrzępionych uszach i odsłoniętych zębach. Nie wyczuwają mnie. Żal, że nie zabrałem włóczni. Chwila i nie ma po nich śladu.

Pod blokiem znajduję Tego z Góry okropnie pogryzionego. Psy rozszarpały mu nogę i rękę. Pewno próbował się nieudolnie bronić. I teraz leży na plecach, biedaczyna, niby żółw z roztrzaskaną skorupą. Na mój widok cofa się na łokciach, zostawiając za sobą ślad krwi.

Powinienem go zostawić. Dziadek zawsze mówi, że ludziom nie można pomóc, no ale jestem innego zdania. Klękam nad nim. Proszę, aby się nie bał, nie zrobię mu krzywdy. Pytam, czego potrzebuje. Szepcze, abym zaprowadził go do swoich.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Podnoszę dziada, a ten natychmiast zawisa na moim ramieniu. Ciężki przychlast. Mam czternaście lat, on chyba ze czterdzieści. Gdzie wielkoludy z Bandy Trojga, kiedy ich potrzebuję?

Gramolimy się po schodach, co trwa trzy wieczności, do tego robimy przystanki, bo mój towarzysz słabnie, jest niemal na granicy utraty

przytomności. Powiniennem dostarczyć go do nas, tam opatrzyć. Dziadek dostałby zawału.

Wreszcie docieramy na ostatnie piętro. Walę w stalowe drzwi. Nie otwierają. Drę się, że przytargałem rannego, jednego od nich, a i tamten coś mamrocze.

Drzwi otwierają się nagle, dokładnie w chwili, gdy oparłem się o nie wraz z rannym. We dwóch zwalamy się do środka, na podłogę. Pachnie jak w zakurzonej lesie, wilgotno.

Wokół nas natychmiast gromadzą się Ci z Góry, brodata banda o dłoniach ubrudzonych pyłem i ziemią. Deliberują, co dalej, zachodzą w głowę, jak pomóc, jakaś kobieta płacze, a wszyscy mnie ignorują. Podnoszę się, siadam, patrzę. Ktoś wreszcie wpada na pomysł, aby przenieść faceta na łóżko i zdezynfekować ranę. Zastanawiają się czym. Kłócą się o to. Mieli jakąś butelkę spirytusu, próbują dociec, co się z nią stało, czy ktoś ją wypił.

Nikt nie zwraca na mnie uwagi, powiniennem prysnąć, lecz ciekawość zwycięża. Wchodzę dalej, w głąb zielonego królestwa Tych z Góry.

Myślałem, że to barbarzyńcy podobni trochę do moich wojowników, i nie zdziwiłbym się, gdyby w którymś z ciasnych pomieszczeń zaklinował się mamut. Zastaję jednak wyprane koce na zadbanym łóżkach, świeczniki i rośliny na parapetach. Tak docieram do kuchni, skąd bije mocna woń przypraw, w garnku gotują się ziemniaki, marchew, pietruszka, a jakaś pani właśnie rozkrawa białe, wspaniałe mięso kurczaka. Zapomniałem już, jak kurczak wygląda.

Patrząc urzeczony, zastanawiam się nawet, jakby tę kurkę buchnąć, ale pani wyczuwa moje spojrzenie, odwraca się powolutku, znikam w korytarzu, idę dalej, mijając mieszkania, z których wylewa się zieleń. Koty śpią. Wspinam się po drabinie, wychodzę na dach.

Trawa rośnie po pas. Ciągną się rzędy kapusty, zbiorniki na wodę, kury chodzą za płotem, w blaszanej budzie chrumkają świnki. Przede mną rozciąga się najprawdziwsze w świecie gospodarstwo, festiwal pełnego brzucha. A więc dlatego tak się ukrywali!

Zaskoczony tracę czujność i już mnie mają. Rosły chłop chwytą mnie za kudły, ściągają z dachu i wlecze korytarzem z powrotem do wyjścia. U boku majta mu siekierka. Pięknie. Ocaliłem rękę, więc odrąbią mi głowę.



W oczach faceta wściekłość miesza się z litością, gromadzą się inni i chyba nie wiedzą, co zrobić. Przypominam, że uratowałem jednego z nich. Niech mnie puszcza, nikomu nie powiem, przysięgam, choć sam w to nie wierzę, więc i oni nie powinni.

Dowiaduję się, że mój trud był próżny, tamten człowiek umrze, jeśli nie zdezynfekują mu rany. Wykopią głębszy grób, znajdzie się miejsce i dla mnie.

Nauczony doświadczeniem z Kowalami wrzeszczę, żeby mnie puścili i wysłuchali, kurwa, mojej propozycji. Moje życie będzie czymś więcej niż błaganiem o życie. Mam, barany, wódy w opór, dogadajmy się lepiej albo lećcie po łopatę, szykuje się pogrzeb.

Po krótkiej dyskusji zostaję puszczonej wolno, zabieram flaszkę i znikam, nim dziadek zapyta, po co mi ona. Chwilę później człowiek pogryziony przez psy leży półnagi na długim stole. Syczy, gdy dezynfekują mu rany, a jeden mądrała z drugim, domorośle doktory, zastanawiają się głośno, czy powinni amputować mu palce.

Przez chwilę dumam nad strategią. W końcu staję przed tym, który wygląda mi na przywódcę tej najedzonej zbieraniny. Zadzieram głowę. Pytam, co dalej. Jak możemy pomóc sobie nawzajem?

## 9.

Późną jesienią zaczynam rozumieć, że moje życie uległo nieodwołalnemu przeobrażeniu.

Ciągle wychodzę po skarby dla Kowali. Znajduję ikony, gobeliny oraz mnóstwo płócien z gołymi babami. Państwo Kowalowie wydają się nie-nasytzeni i przerabiają kolejne piętro na wielki magazyn. Kowalowa nawet schudła od tego wysiłku i nieustannie bredzi o dniu, kiedy cywilizacja wróci i my przekazemy ludzkości wszystko, co zgromadziliśmy. Nazywa mnie bohaterem, a nawet archiwistą. To drugie określenie bardziej mi się podoba. Z bajek wiem, że bohaterowie często kończą marnie, za to mało słyszałem o pomordowanych archiwistach.

W pracy nad naszym archiwum włącza się nikt inny niż dziadek. W życiu bym nie przypuszczał, że się zaktywizuje. Najpewniej nudził się sam na balkonie. Głupio tak siedzieć, kiedy wnuczek zasuwa od rana do nocy po mieście. Nosi graty, kataloguje i w kółko gada z Kowalową. Aż dziwne, że jeszcze niedawno tak się nie lubili.

Tłumaczy jej, że dzieła sztuki muszą leżeć w cieniu, najlepiej owinięte w bawełnę. W konsekwencji ten materiał łąduje na szczycie mojej listy poszukiwań.

Dziadkowi ta praca służy. Częściej się myje i przebiera, a raz zastałem go w mieszkaniu obok, jak robił pompki, a potem prężył gołą siwą klatkę przed popękanym lustrem.

Dobre chwile zawsze zapowiadają konflikt wiszący w powietrzu.

Stary Kowal dla odmiany odpuścił i obserwuje całą tę krzątanicę przekrwionym wzrokiem. Po staremu klepie swoje pacierze, lecz znalazł też nowego bożka. W łazience, na miejscu niepotrzebnego prysznicza, instaluje kotły, palniki – będzie pędził bimber.

W to mi graj. Kowal potrzebuje wody czystszej niż deszczówka, ziemniaków oraz cukru. Problemy wiążą się zwłaszcza z tym ostatnim, lecz sobie poradzę, wepchnę Kowalowe interesy w nawał swoich zajęć, bo ja ogarnięty i poważny człowiek teraz jestem.

Na sam początek wracam do tej rodziny, którą spotkałem nieopodal sklepu muzycznego. Nie chcą mnie wpuścić. Długo przekonuję, że ani myślę ich skrzywdzić. W końcu otwierają. Tłumaczę, w czym rzecz. Niech szukają skarbów w moim imieniu. W zamian przyniosę żarcie, może trochę alkoholu, w końcu wychowują małe dziecko, a rodzicielstwo na trzeźwo trudno znieść. Dogadamy się.

Mężczyzna rozmyśla, chyba boi się opuszczać rodzinę na dłużej, ale w końcu dochodzi do wniosku, że łatwiej szukać książek niż ganiać za jedzeniem. Tłumaczę co i jak. Najcenniejsze są rzeczy stare i rozpierdalone. Tak zyskuję pomoc i odrobinę czasu, który mogę przeznaczyć na poszukiwanie medykamentów.

Z nimi jest ogromny problem, z tego, co mówi dziadek, apteki, przychodnie i szpitale wyczyszczono jako pierwsze. Potem przyszła kolej na spożywczyki i stacje benzynowe. Rozmawiam przez chwilę z dziadkiem, szukamy rozwiązania.

Na początek obchodzę szkoły, gdzie teraz uczą się dziki i wiewiórki. Zachodzę daleko poza lej po dworcu i kompleks tuneli, którymi dawno temu pędziły tramwaje. Wędruję po korytarzach szkolnych i klasach, między stalowymi resztkami krzeseł, wśród żółtawych ścian, na których wiszą rysunki: łąka, rodzina z dziećmi, człowiek nietoperz. Dopada mnie rzadkie przecież ukłucie smutku. Rozmyślam, jak tu było kiedyś i co utraciłem.

Na pocieszenie zgarniam potężne nagrody z apteczek szkolnych: jodynę, środki przeciwbólowe, najróżniejsze opatrunki, a nawet koc termiczny. Znoszę, rozkładam, próbuję określić, ile będą warte, na co się zamienić. W tym czasie dziadek goli się starannie, zamaszystymi ruchami brzytwy. Jakby ubyło mu lat. Naradę odbywamy w tym właśnie duchu. Skoro splądrowałem szkoły, trzeba upomnieć się o starców.

Niedaleko nas znajduje się dom, gdzie umierali sobie staruszkowie. Rodziny dawały ich tam z różnych powodów. Ponoć żyło im się tam dobrze, tylko krótko. Nie mogę tego zrozumieć, bo za żadne skarby nie oddałbym nigdzie dziadka.

Budynek przypomina pałac, drzewa powoli kruszą ceglane mury, w podziemiach znajduję nietknięte pomieszczenie magazynowe, a w nim mnóstwo lekarstw, których nazwy niczego mi nie mówią. Wracam kilkakrotnie, żeby zabrać wszystko. Zdaniem dziadka część z nich nie nadaje się do użycia, powinny leżeć w chłodzie. Znów dumam. A gdybym znalazł benzynę? Uruchomilibyśmy agregat Kowala, a wraz z nim lodówkę.

Dziadek twierdzi, że z benzyną będzie większy kłopot niż z lekarstwami. Wyczyszczono każdą stację, rozpruto cysterny, odsączano ją nawet z samochodów. Każdy uciekał, dokąd mógł. Ale dokąd mógł? Gdzie podzieli się wszyscy? Te pytania pozostaną bez odpowiedzi i guzik mnie obchodzą. Żyję tu i teraz. Mam swoje zadania i odpowiedzialność.

Za tą pieprzoną benzyną całkiem zdzieram buty i niszczę ulubione spodnie, a dzieje się to, kiedy spieprzam przez płot przed czujką tych zbrojnych sukinsynów, których spotkałem wcześniej na Rynku. Wcześniej złąziłem warsztaty samochodowe i wypatroszone rezydencje na południu miasta, dobrałem się nawet do karetek w podziemiach szpitala imienia Jana Rafała czy kogoś takiego. Gówno znalazłem poza wiedzą bezużyteczną.

Benzynę popakowaną w kanistry oraz całkiem sprawną furę mają te sukinsyny z pałkami, co mnie pogoniły.

## 10.

Nastaje zima, a z nią nowe problemy. Na pocieszenie mam wesołego dziadka i ogień trzaskający w kozie. Mogę patrzeć godzinami na rozżarzone węgielki, tylko czasu mi brakuje.

Szukam skarbów, lekarstw, ubrań i tej pieprzonej benzyny. Wcześniej poruszałem się chaotycznie, tam, gdzie mi się podobało. Teraz otwieram mapę miasta, dzielę na kwadraty i penetruję metodycznie, blok po bloku i sklep po sklepie. Im więcej znajduję, tym dalej muszę się wypuszczać.

Mapa, tak w ogóle, wprawiła mnie w zadumę. Zaznaczono na niej mnóstwo miejsc, o których nie miałem pojęcia – jakieś teatry, wodociągi, elektrociepłownie i różne takie. Zapisuję te nazwy, żeby nie uleciały z głowy, i pytam dziadka, co oznaczają.

Dziadek – rześki, pachnący i wesoły jak niemal nie on – tłumaczy i raptem wydobywa z siebie ostrzeżenie. Słyszę, że chcę za dużo. Zrobiłem się chciwy, wręcz opętany swoją rolą pośrednika. Ganiam za przedmiotami, które w tym świecie są bez wartości. Wysługuję się obcym, a co gorsza Kowalom. Tak mówi. W jego głosie brzmią gniew i troska, czyli najgorzej.

Odpowiadam, że troszczę się o nas wszystkich. Wskazuję na stos drewna przy kozie, na solone suszone mięso, nowe koce i tabletki, po których dziadka nie napierdała głowa. Pytam, skąd to wszystko się wzięło. Zdobyłem, zamieniłem, wychodziłem.

Dziadek myśli przez chwilę i dochodzi do wniosku, że przez takich jak ja upadł świat.

Każdy początkowo chciał dobrze dla siebie i innych. Gromadził. Rozdawał. Pomagał. Ludzie zabijali się o jedzenie i przedmioty, więc ktoś, przypuszczalnie diabeł w ludzkiej skórze, wymyślił pieniądze i zaczęli-

śmy się mordować na wielką skalę. – Przestań, Natanku – słyszę. –  
Siądź ze mną na balkonie jak dawniej.

*Inaczej* – dopowiadam sobie – *zabije nas pieniądz wraz z panem  
Wiborem.*

Problem w tym, że nie wiem, czym są jeden i drugi, świat już upadł,  
więc raczej nie runie ponownie. Taką mądrość przekazuję dziadkowi  
i wyruszam po skarby.

Stary ma rację w jednym, jestem wykończony. Łydki palą mnie  
żywym ogniem. Dół pleców rwie od dźwigania. Na dłoniach mam bąble.  
Nocami nie śpię, bo przeliczam: dwa obrazy i cztery książki za butelkę  
wódki, dwie flaszki za żywego kurczaka, wór ziemniaków w zamian za  
pudełko aspiryny. A może obraz za tę aspirynę? Śnię mi się puste piw-  
nice, kartony, pudełka i upiory.

Te trudności dałoby się znieść, lecz w grze pojawia się Banda Trojka.  
Długo siedzieli cicho. Za dobrze było.

Dopadają mnie pod wiaduktem. Dobrze wybrali, przyczaili się, no  
i mnie mają. Dziewuchy ciskają mnie na ścianę, rudy przykłada nóż do  
gardła. Doprawdy bywałem w lepszych sytuacjach.

Przypominam o umowie: pracuję dla ich rodziców, mają zostawić  
mnie w spokoju.

Jedna z dziewczuch, naprawdę nie umiem ich odróżnić, łaskawie się  
zgadza i proponuje jedynie aneks do umowy. Prócz starych Kowali będę  
dzielił się z Bandą Trojga, połowa fantów dla nich za frajer, resztę mogę  
sobie wymieniać, za co chcę. Moja pozycja nie pozostawia pola do  
negocjacji, ostrzegam jednak, że powiem o wszystkim ich rodzicom.  
Banda Trojga w śmiech: Kiedy jaki rodzic ocalił dziecko przed wpierdo-  
lem?

Z tym trudno się nie zgodzić. Wracam do domu. Plecak mam  
o połowę lżejszy.

Sami Kowale też sprawiają kłopoty. Toczymy dyskusje, które powta-  
rzam w głowie, kiedy nie mogę zasnąć. Przynoszę cztery tomy encyklo-  
pedii, pięknej i szarej, zaś oni nie chcą jej przyjąć. Twierdzą, że jest  
stara. Komunistyczna. Diabli wiedzą, co to znaczy. Nie dadzą ani kro-  
pelki, ale jeśli dorzucę obraz jakiejś panny z białym szcurem, to się  
dogadamy. Innym razem, kiedy cały zadowolony przynoszę przepiękny  
jesienny pejzaż z kotem i dziwną maszyną, słyszę, że to nie farba, tylko

druk, grafika, znacznie mniej warte. Taka gadka z nimi, kapryśni się zrobili.

Ci z Góry podobnie – kłóciłoby się o każde piórko. Udają też, że nie potrzebują ani lekarstw, ani alkoholu. Rodzina znad sklepu muzycznego w ogóle strzela focha za fochem i jeszcze szantażują mnie dzieckiem. Mleka chcą, jabłek. Skąd im wytrzasnę jabłka w zimie?

Oszaleć od tego idzie. Sam nie wiem już, co ile jest warte. Nasz kąk przypomina magazyn, moje stopy – horror.

Muszę coś wymyślić.

## 11.

Objawienie spada na mnie nagle, jak na większość świętych. Cuda zaczynają się często od ciosu w głowę.

Maszeruję rażno przez tory i otwieram pudełko lekarstw, wydarte tego ranka z rąk szkieletu malowniczo przewieszzonego przez parkan. Śpieszę się, więc sprawdzam zawartość po drodze. Może być tam gówno. Albo cukierki. Akurat wtedy w czoło trafia mnie twarda śnieżka. Upadam. Lekarstwa się rozsypują. Rozbrzmiewa śmiech Bandy Trojga.

Spróbujcie kiedyś szukać białych tabletek w śniegu, a wszystkiego wam się odechce. Brodzę na kolanach oślepiiony lodowatym słońcem. I nagle wiem. Wszystko zrozumiałem. Aż siadam z wrażenia. Trwam tak, aż przemokną mi spodnie.

Dotąd wymieniałem rzeczy, które każdy może zrobić. Kowal sam pędzi bimber. Ci z góry hodują drób i świnki. Dajcie mi chwilę, a sam napiszę książkę. Z obrazkiem też sobie poradzę, pod warunkiem że znajdą się kredki i wolne popołudnie.

Inaczej z lekarstwami – tych nie sporządzą, nawet jeśli dostanę tysiąc lat i czarodziejską próbkę. Jest ich niewiele. Każdemu na nich zależy.

Porywam zeszyt, ogryzek ołówka i siadam przy kozie. Odganiem dziadka, żeby nie zawracał głowy. Piszę, kreślę i piszę znowu. Kończę równo z nocą.

Nie znam się na medycynie, ale wiem, że lekarstwa są różne i odmienną mają wartość. Ich wartość zmienia się w zależności od tego, jak ciężką chorobę leczą. Ból głowy to większy problem niż otwarta rana przez cały brzuch.

Liczę, kombinuję, gdy zamykam oczy, pod powiekami wirują mi tabsy, strzykawki i białe opakowania - razem, na szalonej karuzeli z gazy i bandażu. Ręka aż boli od pisania.

Ustalam hierarchię rozliczeń i najróżniejsze przykłady. Na przykład za dziesięć ibuprofenów to jeden tramal. Z kolei dziesięć tych tramali daje pięć tabletek dosksycykliny. Na marginesie: ibuprofen też się dzieli, a konkretnie na pięć tabletek aspiryny. I tak dalej.

Ustalam najprostsze przeliczniki, powiedzmy, że książka kosztuje tyle co ta aspiryna, chcecie dostać obraz, wyskakujcie z tramalu. Tramal zrównuje się z kurczakiem, antybiotyk ze świnia, aż od tego kołowrotu zapadam w nerwowy sen, gdzie odwiedza mnie wielka, tłusta tabletką, łasi się i chrumka.

Rano zwołuję wielkie zebranie, na które ściągam dorosłych Kowali, faceta od Tych z Góry, głowę rodziny znad sklepu muzycznego oraz dziadka. Siadają jak smutne krowy, a ja im klaruję, na czym od dzisiaj życie polega.

Pierwszy wykład niczego nie daje, patrzą po sobie, mruczą i tylko dziadek wytrzeszcza przerażone oczy.

Sięgam po fanty, żeby zrozumieli. Zestawiam lekarstwa z jedzeniem, skarbami, wodą oraz resztą, układam obok siebie, zamieniam miejscami, aż sam zaczynam wątpić, czy cały pomysł ma sens.

Kowalowa coś chwyta, dopytuje, rozjaśniamy zawilości już wspólnie, w tym czasie stary Kowal zalewa sobie pałę, dziadek wodzi za kobietą wzrokiem jak za czarodziejską chmurką, a Ten z Góry z dziką radością dłubie sobie między palcami u stóp.

Kolejny dzień przepadł, lecz rozumiem chyba wszystko. Rozchodzą się. Ten z Góry pyta, czy tak już będzie zawsze. Będzie musiał powtórzyć mój wykład pozostałym. Taka perspektywa przejmuje mnie grozą. Wyjaśniam mu, że nowy system przysłuży się nam wszystkim i tak, będzie działał, dopóki nie wymyślę czegoś lepszego.

Dla pewności rozrysowuję schemat rozliczeń na kartkach, rozdaję każdemu i przybijam gwoździem do ścian na piętrze i klatce schodowej.

Dziadek przystaje. Doradza, żebym porzucił młotek i użył własnej głowy.

Przez resztę wieczoru nie odzywa się do mnie ani słowem. Tkwi na balkonie, ściskając wiatrówkę.

Budzę się w środku nocy i zastaję go przy łóżku. Siedzi pochylony, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała niby jakaś zmora i lampi się na mnie. Jego oczy jaśnieją. Mówi coś, lecz żaden dźwięk nie wydobywa się z jego z ust.

## 12.

Dziadek nie jest święty i ma swoje tajemnice.

Znikałem z domu na całe dnie, więc nie zauważyłem, że i on znika. Nieraz tak było, że wracałem w ciągu dnia, a dziadzio gdzieś przepadł, w każdym razie nie siedział na swoim balkonie. Wiatrówkę zasypał śnieg.

Potrafi tam siedzieć nawet w zimie. Stawia kołnierz kożucha, naciąga czapkę na oczy i tak tkwi. Potem klęczy przed kozą, unosząc sine dłonie.

No ale często go nie ma, trudno też rzec, gdzie się włóczy. Prawie nie widuję go na zewnątrz, zwłaszcza odkąd śnieg przykrył machorkę. Nawołuję go po piętrach, odpowiada mi cisza.

W takich chwilach żałuję, że się na niego złoścę. Niespokojna wyobraźnia podsuwa widok jego zimnego już ciała, jak leży gdzieś w pustostanie. Natrafię na nie po roku, właściwie na szkielet i breję z resztek organizmu. Poznam go po zegarku i tych niedorzecznych szelkach.

Dziadek materializuje się niespodziewanie. Tak zawsze jest. Odgrzewam sobie zupę albo, co częstsze, rozliczam lekarstwa, stawiając koślawe cyfry w długich kolumnach, a on po prostu materializuje się gdzieś za mną i ochlapuje swoją twarz lodowatą wodą.

Pytam, gdzie był. Co porabiałeś, dziadziusiu?



Odpowiada, że mam swoje sprawy, zaś on swoje i tyle z rozmowy. Jest tak rozluźniony, że aż momentami podejrzewam go o szczęście. Czyści sobie paznokcie i pogwizduje. Tylko kiedy chodzi o mnie, o skarby, leki i kolumny cyfr, nagle poważnieje. Śmieje się, nazywa mnie małym pracowitym diabłem i wiem, że to nie do końca żart.

Wyobrażam sobie czasem, jak egzorcyzmuje mnie z chciwości, potrząsa mną, ryczy magiczne formułki, zaś ja spluwam ektoplazmą cyfr.

Dziadek frasuje się, bo mój system naprawdę działa i nawet Ci z Góry go załapali. Kowale też nie dyskutują po początkowych protestach. Tylko w kółko liczę, notuję. Potrzebuję pomocy, lecz nikomu nie ufam, z jednym tylko wyjątkiem. Dziadek jednak prędzej odgryzie sobie głowę, niż udzieli pomocy.

Niestety, wkrótce sam jej potrzebuje. Kaszle. Gorączkuje. Skarży się na bulgotanie wody w płucach. Wszystko przez ten balkon.

W trzecim dniu choroby już nie udaje, że wszystko gra, tylko leży na wznak i trzęsie się z zimna, choć ogień z kozy prawie osmala mu skroń. Nie wiem, co robić. Nie znam się na chorobach.

Podaję mu lekarstwa na czuja. Ibuprofen zbija gorączkę, lecz nie pomaga na chlupot w płucach. Zrobiłbym zastrzyk. Nie wiem z czego. Drzę, że go zabiję. Poszedłbym po pomoc. Dokąd? Do kogo? Boję się zostawić dziadka samego. Plany, kolumny tracą wagę, liczy się tylko to najdroższe siwe życie.

Nie ja jeden okazuję troskę, bo zjawia się u nas Kowalowa. Stoi jak nie ona, ze spuszczoną głową i splecionymi dłońmi, pyta, czy jest może dziadek.

- Jest, ale ledwo - odpowiadam.

Kowalowa błyskawicznie znajduje się w środku, dopada łóżka. Ociera mu czoło, coś szepcze, dłoń szuka dłoni, ona wielka, on drobny, tymczasem ja rozumiem już wszystko.

Jakim cudem umknęła mi ta wspólnota serc? Teraz to bez znaczenia, żeby tylko dziadek żył. O to właśnie walczymy.

Kowalowa ciska w moją stronę wiązkę nazw: penicylina, tetracyklina, makrolidy. Znajduję tę pierwszą. Gotuję strzykawkę. Kowalowa robi zastrzyk. Uczuła, że należy go powtórzyć. Siedzimy przez chwilę w milczeniu. Kowalowa spędza noc na podłodze przy jego łóżku.

Rano do naszych drzwi dobija się Kowal. Chce wiedzieć, czy ta kurwa, jego żona tutaj przesiaduje. Po głębszym przemyśleniu udzielam rzeczowej odpowiedzi: nikogo tutaj nie ma, a on, jeśli ma ochotę, to dostanie w ryj.

Po paru dniach zastrzyków dziadek odzyskuje siły. Siada na łóżku. Dziwi się, że we dwoje tutaj jesteśmy i jeszcze współpracujemy. Utrzymuje też, że prawie nie był chory, ot, zmęczył się i przysnął. Kowalowa głaszcze go po twarzy czerwoną dłonią. W ogóle mi to nie przeszkadza. Takie właśnie jest życie.

Po przespanej nocy dziadek je jak wściekły, łązi w kozuszkę i zerka w stronę balkonu. Kowalowa krząta się, jakby zamierzała tu zostać.

Banda Trojga mi tego nie daruje.

## 13.

Nastają dobre czasy przepełnione lękiem.

Z Kowalową mieszka się fajnie i dziwię się sobie, że tak jej nie lubiłem. Przede wszystkim nie wpięprza się w moje sprawy i robi pyszne śniadania. Dziadek zlewał mi resztki zupy, dorzucał jabłko albo wypuszczał na głodniaka.

Kowalowa gotuje mięso od Tych z Góry, skrawa płatki marchwi i rzepy, które mrozimy na jednym z balkonów. Patrzy na mnie jakoś dziwnie. Pewno różnię się od orangutanów z Bandy Trojga. Powtarza, że dobry chłopak ze mnie, odważny i pracowity. Wróciłem światło jej życiu.

Na moje jej osobiste słoneczko ma sępi łeb i nos, na którym można zawiesić dwururkę. Komplementy nic mnie nie obchodzą, cieszę się jednak, że dziadek jest szczęśliwy.

Znalazłbym i inne powody do radości. W kozie już zawsze trzaska ogień, a Kowalowa starannie wybiera szczapy z kubła i układa je z precyzją godną lepszej sprawy. Podgrzewa wodę, pierze ubrania i pościel, sprawdza, czy ruszają mi się zęby.

Co do Kowala, ten powściekał się trochę i przyjął stratę żony jako naturalną kolej rzeczy. Sercem serc jest mu przecież flaszka. Włóczy się z nią po korytarzach, wyrykuje psalmy i pieśni patriotyczne.

Bałem się, że romans dziadka zniszczy moje łańcuchy handlowe. Interesy kłócą się z miłością, już bardzo dobrze to wiem. Na szczęście Kowal zachował resztki rozsądku w swej półprzytomnej głowie. Jeśli czegoś naprawdę potrzebuje, to aspiryny.

Dostarczam mu ją w hurtowych ilościach. Gotów całować po rękach.

Inaczej Banda Trojga. Z nimi rzeczywiście mam kłopot. Wciąż dzielę się z nimi zyskiem, co uwiera, a nawet boli. Unikam ich, jak mogę. Zostawiam okup na progu i uciekam, ale raz, gdy odwiedzam Kowala, zastaję całą trójkę w głębi mieszkania spowitą w ciężki zimowy półmrok. Przypominają rzeźby nagrobne wydane przez wyjątkowo zdegenerowaną cywilizację. Siostry się lampią. Ryży wymownie przeciąga sobie palcem po gardle.

Wiem, że mnie zabijają, ale nie mogę zgadnąć kiedy.

Są tchórzliwi pomimo przewagi liczebnej, wiem to przynajmniej od akcji z rampą. Czekają na okazję. Chcą uspić moją czujność. Boję się. Nocami nasłuchuję kroków. Wstaję i sprawdzam zamki. Na każdy wypad zabieram włócznie.

Dopadną mnie prędzej czy później, bo w naszym ponurym świecie nikomu nie brakuje czasu. Zajdą od tyłu. Zakopią. Zamilczą moją śmierć. Matce powiedzą, że nic nie wiedzą, pewno uciekłem albo pochłonęło mnie miasto.

Czasem dostrzegam daleko trzy czarne kropki podążające za mną po śniegu.

Wariuję z lęku, zastanawiam się, co robić, aż z tego frasunku nastaje wiosna.

Tę zawsze witałem z radością i żałuję, że tym razem nie potrafię tego zrobić. Zieleń wybucha na drzewach. Żegnaj się z kurtką. Została jednak trwoga.

Rozwiązanie nasuwa się, kiedy natrafiam na grupę mężczyzn z pałkami. To ci, którzy mają samochód. Zainstalowali się w wielkim budynku dawnej szkoły rolniczej. Wypuszczają się na długie patrole, nocami palą wielkie ognie na dachach i ostrzą siekiery. Z głębi budynku dobiega śmiech dzieci i płacz niemowląt.

Nie muszę mówić, że idę do nich z duszą na ramieniu. Włóczę nad głowę. Po obu stronach drzewca zwisają prezenty.

Przywódcą tej złowroziej bandy okazuje się szary człowieczek, który patrzy na świat zza grubych okularów. Bez przerwy gładzi rzadkie włosy, a jego palce wydają się stworzone do wyrywania motylom skrzydeł. Przedstawiam swoją ofertę: lekarstwa za benzynę. Okularnik blefuje, że antybiotykami może sobie oczy podbić, zresztą wszyscy u niego zdrowi. Co za cymbał, nie ze mną te numery. Dziękuję za rozmowę, zostawiam prezenty i zbieram się do wyjścia.

Okularnik zawraca mnie ruchem dłoni. Łaskawie daje mi szansę, zdradza nawet zainteresowanie, jak nasza współpraca będzie przebiegać.

Przez pierwsze tygodnie z duszą na ramieniu znoszę jakieś bzdury: buty, rękawiczki, opał do tych ognisk. Okularnik testuje mnie przez chwilę, nim zdradzi swoją tajemnicę.

Potrzebują mleka w proszku, sprzętu do laktacji, szczepionek i lekarstw dla niemowląt. Te pałki i płomienie skrywają kruche skarby, mianowicie dzieci.

Aby wywiązać się z tego zadania, penetruję przedszkola i kompleks szpitalny na peryferiach miasta. Z dachu rozciąga się widok na drogę asfaltową i dalekie góry. Kiedyś zdobędę wszystkie te szczyty. Kiedyś ten świat będzie należał do mnie.

Dostarczam okularnikowi wszystko, czego potrzebował. Za lekarstwa kupuję benzynę. Okularnik pyta, czy nie jestem głodny.

Przyjmuję ten gest przyjaźni i zdradzam, że mam problem, który kładzie się cieniem na przyszłej współpracy. Martwy niczego nie dostarczę. Okularnik zgadza się pomóc. Na koniec, po chwili wahania, proszę, aby nikomu nie stała się krzywda.

## 14.

Na krajobraz naszej okolicy składają się młode drzewa strzelające spod torów, rdzewiejące pociągi, poskładane słupy trakcyjne i ośmiornica

głębokich pęknięć na asfaltówce. Do tego widoku dochodzą trzy sylwetki brodzące w błocku i młodej trawie. Banda Trojga postanowiła zrobić ze mną porządek.

Idę coraz wolniej, skracając dystans. W jednej ręce ściskam włócznię, drugą mam wolną. Prowadzę ich na wcześniej ustalone miejsce, a konkretnie na teren dawnej jednostki wojskowej, gdzie dawno temu rezydowała dywizja spadochronowa.

Sam czuję się trochę żołnierzem, jednoosobową armią w bitwie o ogryzki dobrego życia. Staję na końcu korytarza w lekkim rozkroku. Uderzam włócznią w posadzkę.

Banda Trojga wchodzi nieśmiało jak lisy do płonącego kurnika. Wyjmują proce. Unoszą kije. Zmierzają w moim kierunku. Wołają jedno przez drugie, że w końcu się doigrałem, teraz mi pokażą.

Kto komu pokaże, okazuje się kwestią otwartą, bo z głębi jednostki wynurzają się goście z pałkami i biorą Bandę Trojga w półokrąg. Tym natychmiast rzedną miny. Próbują negocjować, na co jest odrobinę za późno. Ryży nawet zerka rozpaczliwie w moim kierunku.

W ruch idą pałki, tonfy i kije baseballowe. Banda Trojga podejmuje nierówną walkę i szybko pada pod lawiną ciosów. Rozbrzmiewają krzyki, głuche uderzenia. Widzę czerwone dłonie i krwawe strzępki fruujące w powietrzu. Radość i satysfakcja nagle znikają, ustępując miejsca przerażeniu.

Mieli ich skrzywdzić, nie zabić. Sami przyznacie, że to istotna różnica.

Dopadam gości od okularnika, chwytam za nadgarstki, zasłaniam sobą Bandę Trojga i wołam, że już dosyć. Tamci patrzą na mnie jak na krowę, której nagle wyrosły skrzydła. Pytają, czy jestem pewien. W ich głosach brzmi rozczarowanie, w końcu odpuszczają, zapalają skręty i się rozchodzą.

Na widok obitej Bandy Trojga ogarnia mnie coś w rodzaju współczucia. Wolno zbierają się z podłogi. Macają łokcie, nadgarstki, czy im nie poodpadały. Kucam. Patrzą im w oczy. Od dziś obowiązują nowe zasady. Żadnych haraczy. Żadnej przemocy. Nie wchodzimy sobie w drogę.

Banda Trojga przytakuje. Ryży splota zębem.

Spróbujcie fiknąć, a tamci z pałkami wrócą.

## 15.

Życie osiągnęło godną pozazdrosczenia stabilność. Selekcjonuję skarby. Wyceniam. Lekarstwa rosną na półkach i tylko czekać, aż sam zabawię się w doktora. Banda Trojga odpuściła i tylko jedna z siostr, diabeł wie która, robi do mnie maślane oczy.

Mieszkamy we troje z Kowalową, mamy co jeść, wiosna wybucha gorącym i zielenią, po raz pierwszy, odkąd pamiętam, odczuwam, że mam cel, sens i jestem po coś. Czuję się potrzebny.

Mój świat handlu i wzajemnych zależności rozlewa się po mieście. Do rodziny znad sklepu muzycznego dołączają przynajmniej trzy inne, współpracujemy też z kolejną bandą prócz tej zawiadywanej przez okularnika. Wszyscy chronią dzieci. Kowal nie nastarcza z produkcją bimbru. Ci z Góry nerwowo mnożą świnię.

Blok się zaludnia, ludzie przychodzą i odchodzą, zaś dziadek podnosi głowę znad machorki i przypomina, że pcham nas wszystkich ku przepaści. Kowalowa radzi mu, aby nie gadał głupot, bo obrotny ze mnie chłopak i daleko zajdę.

- W tym rzecz - oświadcza dziadek. - Świat runął ze względu na pieniądze i obracanie nim.

Wolałby też, abym ja już nigdzie nie zachodził.

Słucham tego jednym uchem, rozmyślając o kłopotach.

Codziennie coś: jakieś dziecko chore, ktoś złamał sobie nogę, zgubił lub ukradł fanty, a teraz melduje się u mnie ten ojciec znad sklepu muzycznego i żali się, że go napadnięto. Stracił listek ibupromu i garść aspiryn, którymi chwilę wcześniej zapłaciłem mu za lampę solarną i dziurawy namiot.

Facet się skarży i ma rację. Różnej maści męty ściągają w rejon naszego bloku i napadają na ludzi. Bywa, że przychodzą i chcą płacić skradzionymi lekarstwami. Ojciec znad sklepu muzycznego i inni boją się je nosić. Muszę coś wymyślić. Nikt za mnie tego nie robi.

Myślenie jest jak przetaczanie bali drewna w górę wartkiego strumienia albo kruszenie własną głową głazów narzutowych. Świt witam umordowany, lecz pełen nadziei, z mnóstwem wykresów i rysunków po kieszeniach.

Na początek zasuвам do okularnika i domagam się dostarczenia pancernych drzwi na moje piętro. Byłoby miło, gdyby zamontowali je od razu, wręczając klucze. Okularnik chce wiedzieć, za kogo go mam: wariata czy cudotwórcę.

Myślę przez chwilę nad odpowiedzią. Brzmi ona: „Jest pan człowiekiem poważnym”.

Za parę dni dostaję drzwi, zielone i ciężkie, z kluczem jak młotek. Bronią dostępu do dziupli, w której natychmiast zamuruję okno. Składam tam lekarstwa i wszystko, co cenne.

Spędzam noc nad plikiem karteluszków. Rysuję, piszę, kreślę i rysuję znowu przy płomyku świecy. Dziadek chce wiedzieć, jakież to diabelstwo szykuję. Nie powiem przed skończeniem dzieła. Dowie się na zebraniu, razem ze wszystkimi.

Siadamy w podziemiach, bo u nas ten tłum by się nie zmieścił. Zaczynałem od Kowali i jednego z Góry, teraz ściągnęła tu ponad setka głów, tłoczą się na autach bez kół i podziurawionych oponach wbici w pocerowane spodnie i kurtki utwardzane na łokciach. Ich oczy zdradzają ciekawość oraz lęk.

Mówię, że dotychczasowy system rozliczeń przestał działać, jest nas zbyt wielu, do tego dochodzi do napadów i, co tu kryć, niektórzy okradają się nawzajem. Dość tego. Od dzisiaj zapasy lekarstw można gromadzić u mnie. Przyjmę je i wydam na każde życzenie.

Płacić jednak będziemy czymś innym, takim właśnie bezcennym świstkiem wypuszczonym przeze mnie. Nikt inny nie ma prawa ich produkować. Z oszustami rozprawi się okularnik.

Rozprostowuję ten karteluszek nad głową. Jest prostokątny, wielkości rozprostowanej dłoni. Pośrodku widnieje portret dziadka, a w rogach stoi naniesione wyraźnym pismem „Jeden wiór”. Mam też takie z pięcioma i dziesięcioma wiórami, odpowiednio cenniejsze. Puszczam w tłum ten jeden, aby popatrzyli sobie i skumali, w czym rzecz.

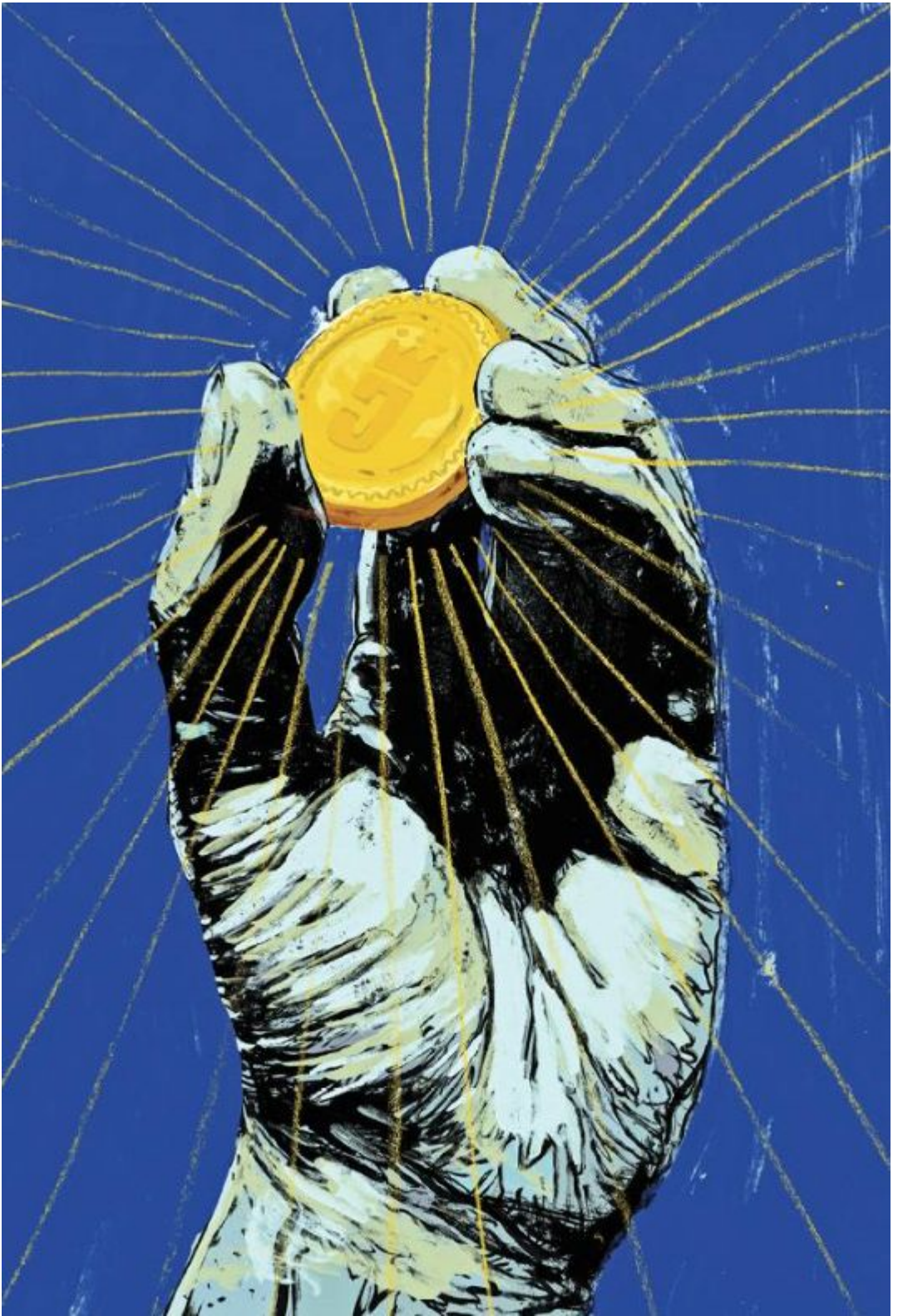
Oglądają, dumają i puszczają dalej w obieg.

Jestem z siebie dumny, że wymyśliłem coś takiego i jeszcze rozślawiam nasze nazwisko.

Nie rozumiem tylko, czemu dziadek, gdy spojrział na karteluszek, pobladł, rozdziawił usta i zaczął strasznie krzyczeć.







# Betoniarka wujaszka Igora

ANDRZEJ PILIPIUK

W drzwiczki kapsuły mieszkalnej zastukano mocno i konkretnie. No cóż, liczyłem się z tym, że wcześniej czy później po mnie przyjdą. Jednak tak po prawdzie sądziłem, że wszystko rozejdzie się po kościach... Rozejrzałem się po wnętrzu. Bronić się? Nie ma jak. Uciekać? Też nie ma jak... Okienko za ciasne, no i sześćdziesiąte drugie piętro. A spadochronu nie miałem, bo i skąd? Przełknąłem ślinę i otworzyłem. Mundurowych było czterech. Przez chwilę kontemplowałem czarne uniformy, pały dyndające u boku, paralizatory w kaburach. Na głowach mieli typowe kaski z lustrzanymi szybkami.

- Policja skarbowa - warknął ten najwyższy. - Kładź się na ziemię, żadnych sztuczek...

Posłusznie opadłem na brudne lastriko. Skuto mi ręce kajdankami.

- Imię, nazwisko, numer zlicz.

- Marcin Berk, AC27835...

- Zgadza się. Masz prawo... A nie! - zreflektował się jakby. - To przestępstwo gospodarcze. Zatem nie masz żadnych praw.

Zaklikały klawisze, ktoś wprowadzał moje dane do systemu. Poczulem dłonie obmacujące mi kieszenie. Wydobyto dokumenty i klucze kodowe. Odpięto bransoletę z telefonem. Z sąsiednich kapsuł wyjrzało kilkanaście głów. I zaraz się pochowały.

- To jest porządny człowiek, student politechniki, nie pije ani nie pali - usłyszałem głos piętrowego. - Mam tu czterystu lokatorów na kondygnacji, różne ancymony się trafiły. Ale z nim nigdy nie było żadnych problemów...

- Teryści i seryjni mordercy zawsze mówią sąsiadom „dzień dobry” - zakpił jeden z gliniarzy. - Ścisła rewizja kapsuły. Zabezpieczenie zwłaszcza nośniki danych! Do tego wszystkie odczynniki chemiczne i notatki na papierze.

Kapsuła była czysta. Nie miałem absolutnie niczego trefnego. Nawet jednej paczki papierosów... I oczywiście nie byłem na tyle głupi, by zanotować formułę gdzieś poza własną pamięcią...

- Nic tu nie ma, szefie. Tylko w lodówce jest kiełbasa. Wygląda na naturalną! Pachnie wędzonką... - usłyszałem ze środka.

Czy mi się zdawało, czy głos gliniarza zadrżał?

Było sobie cichcem schować do kieszeni i zeżreć w domu z rodziną, a nie robić aferę... - doradziłem mu w myślach.

- Zabrać do analizy. Kawę też - szef tego cyrku pociągnął głośno nochalem.

*Jak, u licha, wyczuł woń przez tę przyłbicę!?*

- Kawa jest z kofeiną, ale to legalna, z apteki, lekarz mi przepisał. Mam elektroniczną receptę na telefonie - bąknąłem.

- Sprawdzimy.

Leżałem, policjanci na zmianę wciskali się do komory. Słyszałem, jak grzebią w moich rzeczach. Szeleściły kartkowane książki.

- *Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren, stare wydanie z lat dziewięćdziesiątych dwudziestego! - zameldował jeden.

- Skonfiskować. I wbijcie mu do protokołu od razu sto pięćdziesiąt globali grzywny. Nie cierpię bukinistów... - warknął domniemany szef.

Zgrzytnąłem zębami w bezsilnej złości. Zdobywanie nieocenzurowanych i nieprzerobionych wydań klasyki było coraz trudniejsze, ale nadal wykonalne. Pochodzę, popytam, jakoś odkupię sobie podobną książkę na czarnym rynku. Jednak ten akurat egzemplarz był pamiątką po dziadku. No i właśnie przepadł...

- O co jestem oskarżony? - zapytałem.

- Paragraf dwieście siedemdziesiąt cztery znowelizowanego Kodeksu wykroczeń skarbowych. A do tego przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej.

- Nie należę do żadnej grupy! - bąknąłem. - A ten paragraf czego dotyczy?

- O swoich kontaktach opowiesz panu prokuratorowi! A paragraf mówi o przestępstwach walutowych. Zabrać go. Kapsułę zaplombować, może jeszcze tu wrócimy...

Naciągnęli mi czarny worek na głowę i powlekli do poduszkowca... Miałem na koncie trochę drobnych grzechów, ale gdy usłyszałem, że w grę wchodzi organizacja i przestępstwo walutowe, od razu się domyśliłem, że będą mnie pytać o wujaszka Igora.

*Gównno ze mnie wyciśnięcie!* – postanowiłem twardo.

\*

Wujaszek mieszkał w starej, dwudziestowiecznej jeszcze chacie na skraju lasu. Budynek miał dobre czterdzieści metrów kwadratowych, a nad parterem znajdował się rozległy strych. Obok domu krewniak posiadał jeszcze ze trzysta metrów działki i sporą szopę. Jako chłopiec bywałem tu każdego lata.

Gdy przyjeżdżałem tu we wczesnym dzieciństwie, jakoś pod koniec lat czterdziestych, w pobliżu stało jeszcze osiem lub dziesięć podobnych domów. Jednak z biegiem lat starszycy, którzy w nich żyli, poumierali, a spadkobierców nie było stać na zapłacenie podatków katastralnych. Domy przejęło państwo i wyburzyło jeden po drugim. Zgodnie z dyrektywą unijną ta część gminy miała zostać oczyszczona z zabudowy, zrehabilitowana i całkowicie zalesiona.

Kończyłem właśnie podstawówkę, gdy rodzice doszli do wniosku, że zadawanie się z krewniakiem dysydem może zaszkodzić ich karierze. Uznali też, że ma on na mnie niezdrowy wpływ. Trzeba im zapisać na plus - wyczuli pismo nosem. Gdy byłem w liceum, o wujaszku zrobiło się głośno. Organizował protesty przeciw ograniczeniom druku książek na papierze, pikety przed sądami, gdy skazywano bukinistów, drzewiarzy i wędlinarzy, oraz manifestacje w obronie wędkarzy... Wreszcie się doigrał - przymknięto go na dobre dwa lata. Ale gdy poszedłem na studia, był już wolny i znów się spiknęliśmy.

No i teraz siedziałem w znajomej kuchni. Piec grzał przyjemnie, choć oczywiście ciepło dawały chińskie ogniwa wodorowe. Wuj, choć nieraz stawał władzy okoniem, nie zaryzykowałby przecież palenia

drewnem. Pomyślałem mimowolnie, że w tym pomieszczeniu zmieściłyby się ze cztery kapsuły takie jak moja... Mieszkali kiedyś ludziska...

- Kawy się napijesz? - zagadnął.

- Z przyjemnością... - łypnąłem okiem na opakowanie. - Oczywiście bezkofeinowa?

- Tak, ale nie bój żaby, zaraz coś na to zaradzimy. Syntetyczna guarana - wydobył z szafki słoik szarego pyłu i wsypał mi do filiżanki łyżeczkę. - Znajomek przeszmugłował z Turcji. Tylko uważaj, to prawdziwa siekiera, nie przywykłeś do takiej.

Napój faktycznie dawał kopa. Krewniak zakręcił się po kuchni, ukroił mi pajdę chleba i położył na niej warstwę grubo krojonych plastrów kiełbasy.

- Podjedz sobie prawdziwego żarcia. Bo wyglądasz naprawdę źle. Skóra i kości, ale między nimi sadło... Te syntetyczne pasze wszystkich nas wykończą... - sarknął.

Sam zapach wędliny wywołał u mnie wściekły ślinotok. Wgryzłem się w chleb jak wygłodniały wilk. Mmm... Delicje! Wiedziałem, że żołądek odwykł i za kilka godzin będę miał nieziemską sraczkę, ale dla takich rozkoszy podniebienia było warto odcierpieć na kiblu.

- A na deser szarlotka. Kolorem się nie przejmuj, zdobyłem cukier, ale robiony z marchwi. Coraz trudniej o buraki cukrowe, nasion nie sposób kupić. I bimberku kielonek... Zapamiętaj, młody, uczciwa wódka musi mieć minimum czterdzieści procent.

- Zaprosiłeś mnie, wuju, bo masz jakiś pomysł i jestem potrzebny jako siła robocza... - zagadnąłem, rozkoszując się kęsem ciasta.

- Owszem. Tylko widzisz, młody, żeby nie było niedomówień. Faktycznie mam pewien pomysł. Szlachetny i etycznie bez zarzutu, ale w tych popaprzanych czasach nielegalny jak jasna cholera. Uda się, to wbijemy kochanej władzy szpilę w dupę. I to po sam łebek. Nie uda się, dostanę ze czterdzieści lat obozu resocjalizacyjnego. Na pytanie, co z tego będziesz miał, powiem od razu: poza ryzykiem całe gównno, ale za to żył będziesz wspomnieniami udziału w przedsięwzięciu, które przejdzie do historii. To też ci nic nie da, bo nie będziesz się mógł nikomu pochwalić. No, chyba że się naprawdę uda.

- Brzmi dobrze...

- I za to cię lubię. Dodam jeszcze, że oczywiście będzie z tego parę gorszy też dla ciebie. No to konkrety... Czy widziałeś kiedyś coś takiego? - podał mi niewielką aluminiową monetę.

Po jednej stronie miała nominał i napis „marka kredytowa”, a po drugiej niezbyt starannie wykonaną podobiznę Tadeusza Kościuszki i jakieś cyferki.

- Nie zetknąłem się - pokręciłem głową. - Co to takiego? Zabawkowa jakaś?

- Znalazłem kiedyś kilka sztuk w pamiątkach po twoim prapradziadku. Po pierwszej wojnie światowej, gdy Polska dopiero wstawała na nogi, wojsko, by zapewnić jakiś byt żołnierzom i ich rodzinom, zawiązywało spółdzielnie produkcyjne. Sam rozumiesz, kupa ludzi, młodych, zdrowych, energicznych i silnych, nieużytki wokół jednostek. Obsiewali, sadzili różności, hodowali świnki... Żeby handlować, potrzebne były jakieś pieniądze. A tu chaos. W trzech zaborach trzy różne waluty, w dodatku wojenna inflacja zrobiła swoje, nikt nie miał zaufania do tych papierków. Więc wojskowi do rozliczeń używali takich właśnie samodzielnie klepanych monet. Potem to wszystko uregulowano, pojawił się pieniądz rządowy, żołd też zaczęto wypłacać w nowych banknotach. I cały pomysł stopniowo zarzucono.

- Rozliczali się tym tylko między sobą?

- No właśnie nie. Wojsko było poważną instytucją. Znaleźli się kupcy i sklepy, które handlowały ze spółdzielniami wojskowymi, i one taką monetę też akceptowały - wyjaśnił.

- Interesująca ciekawostka historyczna, ale nie bardzo rozumiem...

- Interesująca i inspirująca. To znalezisko podsunęło mi pewien pomysł. Genialny szatański plan.

- Stworzyć własną prywatną walutę? - uśmiechnąłem się z niedowierzaniem. - Ale właściwie po co?

- Dobra kiełbaska?

- Bardzo dobra. To z nielegalnego źródła? - odruchowo przyciszyłem głos. - Bez biokomponentów roślinnych?

- Czyste mięso i odrobina tłuszczu. No i tradycyjnie wędzona. Dymem z gałęzi drzewek owocowych. Nie jest spaprana soją, syntetycznymi białkami i podobnym gównem. Dokładnie taka, jaką pamiętam z dzieciństwa, choć już w latach trzydziestych ciężko było o dobrą kieł-

basę. Niby jeszcze było wolno produkować i sprzedawać, ale już zaczynały się te wszystkie wegetariańskie kocopały... Swoją drogą od przyszłego roku wchodzi dyrektywa, że minimum siedemdziesiąt pięć procent wsadu w wędlinach muszą stanowić dodatki pochodzenia roślinnego! Na szczęście nadal są ludzie, którzy pokątnie hodują zwierzęta i nie oddają ich do państwowych ubojni. Nadal są ludzie, którzy robią przetwory z prawdziwych owoców i słodzą je cukrem, a nie syntetycznymi świąstwowymi! Nadal są też ludzie, którzy robią buty z prawdziwej skóry – stuknął obcasami.

– Obiło mi się o uszy, ale w mieście nie jest łatwo o podobny towar. No i drogo, nie na studencką kieszeń – westchnąłem. – Było dwu wędlniarzy u mnie na roku, to jakaś sucz podkablowała, siedzą... Tyle dobrze, że nie udowodniono im zwierzobójstwa. Ale jaki to ma związek z twoim pomysłem?

– Wiesz zapewne, że co jakiś czas odbywają się nielegalne giełdy, na których można się powymieniać wyrobami... – ściszył głos. – Zazwyczaj, jeśli nie wymienia się towar za towar, walutę stanowią paczki papierosów. Rzecz nieporęczna raczej, łatwa do znalezienia przy rewizji. Policyjne psy też bez większego trudu znajdują tak wonny produkt, do tego potrafią wskazać każdego, kto miał tytoń w ręce... Fakt, że tytoń jest nielegalny, to najmniejsze zmartwienie. Gorzej, że ten – nazwijmy to pieniądz – nie trzyma żadnego kursu. Dziś przemysłnikom się uda, petów jest do wypęku. Celnicy przez kilka tygodni ostrzej trzepią i nagle papierosy znikają jak sen jaki złoty, a cena każdej paczki szybuje. Waluta powinna być stabilna.

– Nie bardzo widzę możliwość rozwikłania tych problemów.

– Rozwiązałem je. Jest jeden uniwersalny ekwiwalent wymiany. Niezmienny od tysięcy lat. Złoto.

– Takie monety, żeby płacić nimi za kiełbasę, musiałyby być bardzo małe. Nawet gdyby użyć złota dwunastokaratowego... Cena kruszcu ostatnio zwariowała. Ludzie biorą kredyty na lata, by kupić byle jakie obrączki ślubne...

– Wiem. Nie myślę o biciu monet całkowicie złotych. Będą nikłowe. Ale z wpuszczoną na awersie cienką złotą niteczką. Wystarczy jedna dwudziesta grama. Dzięki temu zabezpieczeniu ich wartość nie spadnie, nie będzie ryzyka inflacji.

- Wszystko, jak widzę, jest już doskonale przemyślane... - mruknąłem.

- Nie tylko. Przedstawiam ci koronę jagiellońską, przyszły pieniądz wspólnoty Międzymorza - wyjaśnił, kładąc srebrny krążek na stole. - Po rozwiązaniu Unii Eurazjatyckiej będzie ważna w Polsce, w Ukrainie, na Węgrzech, na Litwie... Wszędzie tam, gdzie rządziła dynastia Jagiellońów, i wszędzie tam, gdzie będzie akceptowana. I, w przeciwieństwie do aluminiowych blaszek emitowanych przez spółdzielnie wojskowe sto pięćdziesiąt lat temu, jest oparta na realnej wartości złota...

Moneta wyglądała naprawdę porządnie. Po jednej stronie umieszczono portret Władysława Jagiełły, po drugiej wielopolową tarczę z historycznymi godłami krajów naszego regionu. Wokoło wiły się napisy po łacinie, ale, nie znając tego języka, mogłem tylko zgadywać treść.

- Chcesz zatem, wuju, bić monety zabezpieczone niteczką prawdziwego złota... Widzę jeden problem. Trzeba by tak na początek mieć co najmniej kilka kilogramów kruszcu.

- I do tego właśnie jesteś mi potrzebny.

- Jestem studentem chemii, a nie alchemii... - zaproponowałem.

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się kpiąco.

\*

Walnęli mnie siedzeniem na twardej taborecie. Zdjęli worek z głowy. Rozejrzałem się. Wyobraźnia podpowiadała betonowy loch, katownię jak z tych starych filmów o gestapo i UB... Ale znalazłem się w pokoju, który wyglądał jak zwykłe biuro. Tyle że okno zabezpieczono napiętą siatką. Usłyszałem chrząknięcie po lewej. Obejrzałem się. Obok siedział drobny mężczyzna w garniturze. Był ode mnie może o dziesięć lat starszy, ale skronie przyprószyła mu już siwizna. Nerwowym ruchem poprawił staromodne okulary.

- Jacek Erelbaum, kancelaria Zgorzel i Partnerzy. Będę twoim adwokatem z urzędu.

- Marcin Berk... - odruchowo chciałem wyciągnąć rękę na powitanie, ale nadgarstki miałem nadal skute za plecami.



- Jeśli mogę doradzić, mają cię jak na widelcu, a oskarżenie będzie z grubego paragrafu. Zebrali bardzo mocny materiał dowodowy. Albo się do wszystkiego przyznaj, a ja postaram się, by zostało to zapisane jako okoliczność łagodząca, albo rznij kompletnego idiotę, a ja postaram się przekonać ich, że byłeś nieświadomym narzędziem w rękach szajki twojego wuja.

- Ale ja nic nie zrobiłem...

- Dobry początek - uśmiechnął się kpiąco.

Zastanawiałem się, o co mogą pytać... No i, co najważniejsze, ile mogą wiedzieć i jak odpowiadać, by się z tego jakoś wykręcić. Najlepiej pomieszać drobne okruchy prawdy z kłamstwami...

Trzasnęły drzwi i do wnętrza weszło trzech mężczyzn. Pierwszy, ubrany w szary garnitur, zasłaniał twarz kominiarką. Ani chybi koleś ze służb... Za nim kroczył prokurator, ponury facet o nalanej, czerwonej gębie. Trzeci mężczyzna o nieco zagubionym spojrzeniu był chyba konsultantem. Zasiedli za długim stołem naprzeciw mnie.

- Co możesz powiedzieć o swoim wujku Igorze? - prokurator nie bawił się we wstępy ani powitania.

- Jest znanym dysydem, a w rodzinie uważaliśmy go za kompletnego wariata. I to w zasadzie tyle. Kontaktowaliśmy się sporadycznie.

- Byłeś nie tak dawno w tym jego domu na Śląsku?

- Byłem - o tym mogli wiedzieć z logowań telefonu, więc wolałem nie zaprzeczać. - Poprosił o pomoc, mieszkałem tam przez miesiąc. Cały lipiec zeszłego roku - uściśliłem.

- Na czym polegała ta pomoc?

- Wrzucałem błoto łopata do starej betoniarki. Wujek twierdził, że da się tą metodą uzyskać złoto.

- Czy dodawał jakichś środków chemicznych? - zapytał facet ze służb.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Dolewałem do środka zwykłą wodę ze szlauchu. Przepłukaliśmy, jak sądzę, około dwudziestu ton ziemi.

- Ile złota udało się wam odzyskać? - dłoń prokuratora zawisała nad tabletem.

Spojrzałem na niego w zadumie. Ciekawe, czy uniósłby wiadro złoto-pyłu? Mnie udało się oderwać je od gleby, ale on nie wyglądał na

silnego...

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami. - W wyniku tego kręcenia uzyskiwaliśmy rodzaj koncentratu cięższych frakcji mineralnych. On wymagał dalszej obróbki. Wujo zgarniał go do plastikowego wiaderka. Coś miał z tym potem robić, ale w tę część operacji nie byłem już wtajemniczony.

- Czy to mógł być kilogram, czy może na przykład dziesięć kilogramów? Jak oceniasz ilość pozyskanego złota? Czy twój krewny chwalił się, ile wydobył?

- Koncentratu z każdej betoniary był może kilogram... No nie więcej niż dwa. Złoto stanowiło tam tylko niewielką domieszkę. Nie wiem, ile kruszcu finalnie pozyskał. Nie chwalił się.

- Jak wyglądał ten, jak to określiłeś, koncentrat?

- Czarne drobne ziarna, tak na wielkość coś jakby mak. Wujek mówił, że to najcięższa frakcja skalna, głównie jakieś związki żelaza. A między nimi były złociny i małe samородki. Takie jak główka szpilki, czasem jak główka zapałki. Oglądałem przez lupę, wtedy było je widać w tym czarnym.

Przesłuchujący wymienili spojrzenia.

- Co pan sądzi, inżynierze? - prokurator zagadnął milczącego faceta o zagubionym spojrzeniu.

- Brzmi dość prawdopodobnie. Zapewne przepłukiwali osady aluwialne pozyskiwane w dolinie którejś z pobliskich rzek - burknął. - Ale gdyby nakopali tego dwadzieścia ton, to byłoby widać miejsce, z którego wybierali urobek. Tymczasem znaleźliśmy dziury tylko koło domu. Sprawdziłem, tam nie ma kruszcu. Musiał to przywieźć skądś z dalszej okolicy. W tamtych stronach faktycznie wydobywano w średniowieczu złoto i tam, gdzie jeszcze zostały nienaruszone, niewyekspluatowane warstwy gleby, rzeczywiście wygląda tak, jak chłopak to opisuje. Drobniaka niewarta splunięcia.

- Ile mogli pozyskać?

- Jeśli gada prawdę... W średniowieczu tam przeryli całe kilometry kwadratowe, zostały złoża, których nie chciało im się eksploatować. Domieszka kruszcu nie przekracza kilku gramów w metrze sześciennym. Nie wiem, na ile skuteczną metodę opracowali, ale z próżnego i Salomon nie należy. Z dwudziestu ton pozyskali kilkadziesiąt, może

tylko kilkanaście gramów. Nawet przy obecnych cenach kruszcu kompletnie nieopłacalna zabawa, więcej wodoru do auta i prądu do betoniarki zużyli, niż to warte.

- Czy mówią ci coś określenia „złoto nanocząsteczkowe”, „złoto nanoatomowe”? - zagadnął nagle ten w szarym.

A więc o to sukinsynom naprawdę chodziło! Co gorsza, albo ktoś sypnął, albo sami się domyślili!

- Pierwsze słyszę - pokręciłem głową. - A nie, zaraz, coś słyszałem. To jakiś suplement diety, sprzedają takie kapsułki w sklepikach dla wegan.

- Wujek o tym nie wspominał?

- Słabo go znałem, ale o ile pamiętam, był raczej negatywnie nastawiony do medycyny naturalnej. Wypuście mnie, panowie? - uśmiechnąłem się przymilnie do prokuratora.

- Czy nikt nie poinformował cię, że wydobycie złota na skalę przemysłową jest przestępstwem karnoskarbowym? - odwarknął.

- Nie miałem o tym pojęcia... - odpowiedziałem, tym razem zupełnie szczerze. - Dobrze byłoby, gdybym wrócił już do siebie. Mam w przyszłym tygodniu zaliczenie... Muszę się pouczyć.

Nie odpowiedział, a cisza, która zapadła, była tak ciężka, że mimowolnie zacząłem się zastanawiać, jaki wyrok dostanę.

\*

- Widzisz, mój drogi, to bardzo proste - wujek nalał mi tym razem wina własnej roboty. - Nie bez przyczyny kupiłem chatę właśnie tutaj. Z pozoru to zwykły las pokryty wykrotami i wądołami. Ale w tej okolicy przez całe średniowiecze wydobywano osady rzeczne, głównie gliny aluwialne, i poddawano je płukaniu w drewnianych korytach.

- Jak na Dzikim Zachodzie? - upewniłem się, pociągając łyk ze szklanecki.

Wino było bardzo dobre. Pachniało latem i przygodą.

- Dokładnie tak. Na całym Śląsku wydobyto przez setki lat około stu ton złota. Problem w tym, że ówczesne metody pozwalały pozyskać samorodki i mikrosamorodki. Okruchy. W glebie pozostało złoto nano-

cząsteczkowe, drobiny o masie setnych części grama uformowane w postaci nie bryłek, a płatków... Przy płukaniu w korycie czy misce nie opadają na dno, ale unoszą się w błocie... Pracowałem przez dwadzieścia lat nad sposobem ich odzyskiwania...

- Tylko czy warto? - spojrzałem z powątpiewaniem. - Mówimy o drobinach zapewne niedostrzegalnych gołym okiem...

- Owszem. Ale uświadom sobie, że stanowią one nawet połowę pierwotnej masy kruszcu.

Zmarszczyłem brwi, próbując go zrozumieć.

- Chcesz powiedzieć, wuju, że dawni górnicy, stosując swoje metody, wyplukali ze śląskiego błota sto ton, ale drugie sto ton...

- Czekają na mnie. Na tym terenie wokół mojej chaty jest dawne pole górnicze. Wyczytałem, że w najlepszych latach trzynastego wieku to miejsce tętniło życiem! Pozyskiwano tu w przeliczeniu na nasze jednostki do trzech kilogramów złota miesięcznie. My będziemy mieli ułatwione zadanie, przerobimy hałdy dawnych wyrobisk.

- Hmm... Będą do tego potrzebne wirówki, takie jak do frakcjonowania izotopów uranu?

- Nie. Opracowałem pewną formułę... Związek chemiczny, który - penetrując masy gliny czy mułu - podobnie jak rtęć przylepia do siebie drobiny złota i opada na dno w postaci granulatu. Potem wystarczy podziałać na niego odpowiednimi odczynnikami, by pozyskać czysty kruszec. Przeprowadziłem doświadczenia na razie na niewielką skalę...

Podał mi próbkę. Była ciężka, do połowy wypełniona szarozłotawym pyłem. Nabrałem odrobinę na koniec palca. Był drobny i miałki jak mąka.

- Używam betoniarki. Przerób nie jest, niestety, szczególnie duży. Tona ziemi na dobę... - wyjaśnił.

- Nic mi to nie mówi...

- Z każdej tony gleby uzyskamy dwa do trzech kilogramów. Nie rób takiej miny, za tę pomoc kilogramik ci odsypię.

- Będziesz, wuju, moim pierwszym znajomym miliarderem...

- Nie - spoważniał. - Oczywiście trochę sobie odłożę, ale dziewięćdziesiąt procent pójdzie na monety. Zasypię nimi rynek, taki mam plan. Zwrócę ludziom pierwotną radość posiadania prawdziwych pieniędzy.

- Ale tak właściwie po co? Kielbasę kupować?

- Jeszcze dwadzieścia lat temu w obiegu były monety i banknoty. Global istnieje już tylko w postaci elektronicznej. Każda transakcja jest możliwa do wyśledzenia. Każda jest widoczna dla urzędów, urzędników, policji, służb. Każda może zostać automatycznie opodatkowana. Pieniądza fizycznego, funkcjonującego poza systemem bankowym, przechodzącego z ręki do ręki nie wyśledzą.

- Zaraz, zaraz... Dwadzieścia ton ziemi to będzie czterdzieści do sześćdziesięciu kilogramów, a skoro ta nitka ma jedną dwudziestą grama... - zacząłem liczyć.

- Pierwsza emisja planowana jest na jeden milion koron jagiellońskich. Liczę, że dzięki temu czarny rynek rozkwitnie do tego stopnia, że stworzy całą równoległą ekonomię. Kilka emisji, a wysadzę wreszcie ten przeklęty reżim w powietrze!

\*

- Wedle naszych ustaleń twój wujaszek, rozpoczynając swoją nielegalną działalność, miał około dziesięciu kilogramów złota - odezwał się prokurator. - Może więcej.

Pokręciłem głową.

- To kompletnie niemożliwie. On nigdy nie był bogaty. A już na pewno nie napłukał przy mnie takich ilości kruszcu. Może potem trafił na żyłę złota, ale gdy ja mu pomagałem, na pewno nie.

- Łżesz, aż się kurzy - rzucił ten w szarym garniturze.

- Nie neguję zasadności pańskiej wypowiedzi, lecz proszę nie używać wobec mojego klienta tego typu określeń - odezwał się adwokat. - A ty przestań cwaniaczyć - zwrócił się do mnie. - Pan prokurator daje ci szansę uniknięcia procesu i wieloletniej odsiadki.

- Ależ jakiego procesu!? - zrobiłem płaczliwą minę. - Ja przecież nic nie zrobiłem. Pomagałem tylko wrzucać ziemię łopatą do starej betoniarki.

- Niewiele nam powiedziałeś - prokurator skrzywił się.

- Nic więcej nie wiem. Od tamtej pory nie widziałem się z wujem. Tylko wtedy, w tej jego chacie. Nie wiem nawet, gdzie bił te swoje monety.

Znów zapadło milczenie.

Wypuszczą mnie – pomyślałem. – Ale z założoną błękitną kartą. Jako potencjalny przestępca skarbowy nigdy nie dostanę kredytu w banku, a karty do płatności globalnie będą miały dzienne limity transakcji... Paszportu, by drapnąć poza północną hemisferę, też mi nie dadzą. Trudno – się mówi. Byle wujaszka nie złapali. Zresztą on też mnie nie sypnie. Gorzej, jak jego zeznania nie będą się zgadzały z moimi...

– Proszę przejść do poczekalni – prokurator wskazał mi drzwi po prawej. – Musimy się naradzić.

Wyszedłem wraz z adwokatem.

– Jak pan sądzi? Wypuszczą mnie? – zagadnąłem.

– Nie ma na to najmniejszych szans – powiedział szczerze. – Ten twój wujo nieźle zalał im sadła za skórę – dodał, a w jego głosie usłyszałem jakby nutę podziwu. – Gadałem z jednym klientem, którego niedawno wsadzili. Miał sto osiemdziesiąt sztuk tych koron, kawalerkę próbował kupić. Cały Śląsk tym dziś płaci. Kiedyś wyjdiesz, za dwa lub trzy lata – przyciszył głos. – Zakładam, że masz tego trochę? Tych koron?

– Nie mam.

Puścił do mnie oko.

– Jaaasne. Ale gdybyś jednak znalazł kilka egzemplarzy, które prze-gapili podczas rewizji, odszukaj mnie. Załatwię, co zechcesz. Fajną dziewczynę do łóżka, proszki do łykania albo ziółka do palenia. Wędlinki bez dodatku soi, koszulę z prawdziwego płótna bez plastiku, skórzane buty... – kusił.

– Naprawdę nie mam... To, co robiliśmy z tym płukaniem w betoniarnie, to chyba był niewypał. Może potem wujo znalazł żyłę, albo ja wiem, odszukał jakiś hitlerowski depozyt pełen złotych sztab... Ale mnie już nie wtajemniczał.

– Więc mówisz, że nie masz... Spoko. To powiem tylko, że bronię w rozmaitych sprawach. Różnych mam klientów. A jak się zna odpowiednich ludzi, to nawet paszport i bilet da się załatwić. Bilet naprawdę daleko... Albo zezwolenie na trzymanie kota. Wiesz, jak dziewczyny szaleją za kociażkami? A może psa byś wolał? Jakby co, wal do mnie jak w dym.

Wuj chciał stworzyć możliwość rozliczeń prywatnych. Dla rzemiosła, dla miłośników prawdziwego zdrowego jedzenia. I stworzył. A kto z tego korzysta? Margines społeczny... Prostytutki, alfonsi, dilerzy nar-

kotyków... - pomyślałem z żalem. - Albo takie szcurki jak ten mój adwokat. Ale cóż, może taka była nieunikniona cena tego wszystkiego?

Trzasnęły drzwi.

- Jesteś tymczasowo aresztowany. Proces przy dobrych wiatrach za pół roku - warknął prokurator. - Posiedzisz sobie w obozie reedukacyjnym, pomachasz łopata, może to ci odświeży pamięć... Uczelnię zawiadomimy, czuj się już skreślony z listy studentów. Politechnika to nie miejsce dla warchołów - pogroził mi palcem.

\*

Tym razem nie zakładali mi worka na głowę. Mogłem się rozejrzeć po wnętrzu pojazdu. Po prawdzie nie było tu nic ciekawego: stalowa puszka bez okien, sześć foteli dla aresztantów, przy każdym uchwyty do zaczepienia mniej lub bardziej wymyślnych okowów. Od przodu gęsta siatka oddzielała siedzenia kierowcy i konwojenta. Widziałem tylko ich sylwetki. Ruszyliśmy z cichym poszumem silników. Konwojent podkręcił radio. Muzyczka po chwili ustąpiła reklamie, a zaraz potem zaczęto nadawać serwis informacyjny.

*...Islandia, Turcja, Maroko i Chiny wydały jednostronne oświadczenie, że ich sklepy wolnoćtowe, centra turystyczne i hotele będą akceptowały koronę jagiellońską w postaci fizycznej jako pełnoprawny legalny środek płatniczy. Przypominamy, że na terenie Unii Eurazjatyckiej posiadanie tych monet jest zagrożone karą do pięciu lat więzienia, a użycie ich w transakcji prywatnej karą od ośmiu lat do piętnastu lat. Ich emitent, Igor Berk, jest poszukiwany listem gończym, a za wskazanie miejsca jego pobytu oraz ujawnienie współników rząd wyznaczył nagrodę w wysokości dwudziestu milionów globali...*

Zachciało mi się śmiać. Aż tak się boją tych klepanych w garażu monet!? Czyli wujaszek dopiął swego i tym razem wbił im w zadek nawet nie szpileczkę, a gruby zardzewiały gwóźdź.

*Informujemy zarazem, że nagroda za wskazanie miejsca pobytu przestępcy decyzją centralnego urzędu skarbowego jest nieopodatkowana. A teraz sport...*

Wyobraziłem sobie, jak wujo ekstrahuje z pokopalnianego błota kolejne kilogramy złota, jak z zaufanymi przyjaciółmi tłoczą w jakiejś

piwnicy kolejne tysiące koron. Wystarczył jeden człowiek, by rzucić wyzwanie systemowi i zadać bolesny cios całej tej biurokratycznej maszynie. Złapią go czy nie? Pewnie złapią. A jak nie złapią? Czy jego pomysł faktycznie może doprowadzić do rewolucji i obalenia rządu? Tak czy inaczej – wiedziałem, że ja go nie sypnę.







# woda i krew

BARBARA SADURSKA

Człowiek, umierając, przez moment dostrzega prawdziwy kształt rzeczywistości.

Bez wody można przeżyć cztery do siedmiu dni. W tym czasie zatrzymuje się praca nerek i pojawia się bezmocz. Następują zmętnienie oczu, suchość i obrzęk języka, tachykardia. Dalej zaburzenia widzenia, utrata mowy, senność. Jeśli człowiek odda więcej wody niż piętnaście procent masy swego ciała, pojawią się parestezje, drgawki, przejście w inne stany świadomości. Wracają wspomnienia. Intensyfikują się zapachy i smaki, pojawia się ostrość widzenia do wewnątrz. Jeżeli nastąpi dalsza utrata wody, spada temperatura ciała, tężeje krew, zatrzymuje się akcja serca. Po raz pierwszy w naszym ciele panuje cisza. Mózg co prawda jeszcze pracuje, lecz kiedy człowiek w ostatnim przebiegu świadomości dociera do prawdy, umiera.

Gdy po raz pierwszy przekraczałem atmosferę, słyszałem, jak krew szumi mi w uszach, a przed oczyma widziałem czarne plamy. Zaciśnąłem dłonie na oparciu fotela, wbijając paznokcie w błękitny plusz, i zacząłem mantrycznie powtarzać modlitwę do Personalnego Opiekuna, patrona przestworzy, prosząc go, by na ziemi, pod ziemią, w powietrzu i w niebie, zawsze i wszędzie i w każdej biedzie był mi pomocą w potrzebie. Wierzyłem, że mnie wysłuchał, bo po chwili za szybami statku powietrznego zapadła ciemność, a wewnątrz zalało mlecznobiałe techniczne światło. Rozejrzałem się w poszukiwaniu jego źródła, ale nie umiałem zlokalizować, skąd pochodzi. Było. Po prostu było wszechobecne. Gdzieś tam za nami w ciemności tonęła Ziemia,

żółta i sucha jak liofilizowana morela, a my przypięci pasami do pluszowych foteli pędziliśmy na spotkanie z Olbrzymem.

- Pierwszy raz w przestrzeni międzyplanetarnej? - odezwała się kobieta, która siedziała naprzeciwko mnie i bacznie przyglądała się mojej twarzy. Potaknąłem. Uśmiechnęła się zalotnie, tak to odczytałem i bardzo mi to schlebiało. Kobieta była młoda, szczupła i wysoka. Miała śnieżnobiałe włosy i także brwi i rzęsy. I cała była jakaś taka biała, jasna i czysta. Wodnistoniebieskie tęczęwki oczu wskazywały, że pochodzi ze społeczności Zesłanych. Była piękna, a jej głos brzmiał uspokajająco. - Bez obaw. Zazwyczaj mamy pełne cysterny, regularnie musimy magazynować to na zewnątrz, ale dzisiaj to lot pokazowy. Lecimy bez ładunku. Wrócimy na kolację - rzekła i, patrząc mi w oczy, dotknęła mojej dłoni. Ciało przeszył dreszcz podniecenia. Jaki byłem wtedy młody! Nadałem erotyczne znaczenie temu dotykowi. Zupełnie zignorowałem znaczenie słów.

Doskonale wiedziałem, jaki jest cel tego lotu, zostałem o wszystkim poinformowany ze szczegółami i właśnie moją rolą było opisać to dokładnie i rzetelnie, ale zarazem artystycznie, przy użyciu środków stylistycznych i retorycznych, tak by nawet do Materialistów dotarło, ile dla nich robią Zesłańcy przybyli do nas z Kosmosu, poszukiwacze złóż Oksydanu oraz przedwieczni Słudzy Życia, potomkowie Matki Wody, w imię Świętego Prawa Własności niepodzielnie władający wszystkimi źródłami czystej wody. Miałem to opisać retorycznie. Retoryka! Retoryka była moją specjalnością. Z tego powodu zostałem wytypowany do tej misji.

Gdy dowiedziałem się, że lecę w Kosmos, by zbadać wnętrze Planety Olbrzyma i upewnić się, że - jak podejrzewali Strażnicy Prawdziwych Wartości - jest ono zbudowane z wolnych molekuł wody, ogarnęło mnie mocne i przyjemne poczucie, że oto dostępuję czegoś wzniosłego, czegoś, co służy Prawdziwym Wartościom. Powtarzałem sobie, że sam sobie na to zasłużyłem, że doszedłem do tego miejsca o własnych siłach, dzięki własnemu talentowi, uporowi i wytrwałości. Że wyrwałem się ze środowiska Materialistów, którzy cyklicznie chodzili do punktów wydawania wody, oddawali za nią krew i trwonili swoje siły życiowe na zdobywanie środków do życia. *Jak można tak egzystować bez żadnych wartości?* - pytałem sam siebie. *Prostaki, nieudacznicy* - myślałem o bliźniacze, uroczej, lecz niefrasobliwie głupiej, o rodzicach i sąsia-

dach. Patrzyłem na ich codzienną krzątanię i wiedziałem, że muszę się od nich uwolnić, uciec, wypłynąć na szerokie wody. Porzucić ich jak soczysty owoc porzucą suchą skorupę.

Moja droga do społeczności Dostarczycieli i pracy w służbie Prawdziwych Wartości zaczęła się, gdy tylko nauczyłem się czytać i pisać. Chyba od zawsze czułem pogardę do Materialistów, którzy oddawali swój materiał, czyli krew i inne tkanki za wodę, a jednocześnie pragnąłem wody jak nikt inny. Jednak na myśl, że mógłbym być jak Materialiści, doznawałem uczucia obrzydzenia. Nie chciałem wyglądać jak oni – wiecznie zmęczeni, senni, o spowolnionych ruchach i myśleniu. Im wszystko wydawało się ciężkie i trudne, martwili się, czy wystarczy im wody, o niczym innym nie rozmawiali, o niczym innym nie myśleli. Ja natomiast wysysałem każdą kroplę wiedzy, która skapnęła mi w tym ubogim, materialnym środowisku. Jak wszystkie dzieci w naszej okolicy od małości byłem wdrażany do użyteczności społecznej, moje żyły były zaprawiane do oddawania krwi. A jednak stawiałem pytania, słuchałem i czytałem słowa naszych Strażników. Wiedziałem, że w przyszłości będziemy dostarczać Zesłanym nam z Kosmosu Poszukiwaczom Wody i przedwiecznym Sługom Życia materiał, którego mamy w nadmiarze i za darmo, a oni za to zapłacą nam wodą, której potrzebujemy do życia i która jest bezcenna.

Woda była przeliczana na oksydany. Jeden oksydan odpowiadał dziennej porcji wody potrzebnej dorosłemu człowiekowi do życia. A ponieważ wody było mało, a nasze potrzeby wielkie, każdy dorosły Materialista kilka razy w tygodniu chodził do punktu, by oddać krew. Niektórzy byli tak chciwi, że oddawali krew codziennie i w takich ilościach, że potem tracili przytomność. Bywało, że niemal codziennie widziało się takich Materialistów w różnych miejscach miasta. Skrajnie wycieńczeni i słabi do tego stopnia, że nie mieli sił, by wejść do domu. Nas, dzieci, uczono, co robić, by nie doprowadzać się do takiego stanu.

- Skoro żyjecie, to znaczy, że wasze życie jest potrzebne innym, wasze ciała i krew, wasze młode serca i umysły są potrzebne całej społeczności. Skoro żyjecie, winniście poświęcić życie za to, co daje wam życie. Winniście oddawać krew w imię Prawdziwych Wartości. Ale nie tylko ilość się liczy, nie tylko ilość! – powtarzał dobitnie Strażnik Wartości i unosił palec, wskazując Kosmos. – Krew najwyższej jakości trafia do Sług Życia. Pomyślcie – wzywał nas retorycznie – jaki to zaszczyt, że

oni mogą korzystać z waszej krwi! Czy nie jest to sensem życia każdego Materialisty i każdej Materialistki? – pytał i natychmiast sam sobie odpowiadał. – Tak. Życie dla tych, którzy dają nam życie – oto cel sam w sobie. Ale Słudzy Życia potrzebują ciała i krwi najwyższej jakości. Musicie więc o sobie dbać. To jest waszym obowiązkiem. Nie doprowadzajcie się do skrajności, bo wtedy spada wasza wydajność – posłużył się błędem logicznym, by być lepiej zrozumianym. Mistrz! – Nie stosujcie toksycznych substancji, bo są wykrywane i taka skażona krew jest usuwana. Co za marnotrawstwo! – wołał z oburzeniem, a nas przechodził dreszcz obrzydzenia na samą myśl, że moglibyśmy stosować niedozwolone toksyczne substancje i w ten sposób niszczyć swoje ciała i krew. – Dbajcie o siebie. Troska o nawilżenie młodych ciał i umysłów jest przedmiotem starań całego organizmu społecznego, którego jesteście tylko częścią. Tylko częścią – powtórzył.

Uczono nas więc, jak dostarczać organizmowi energii, jak nią gospodarować. Jak oszczędzać wodę i dbać o nawilżenie organizmu i skóry. Co robić w przerwach pomiędzy kolejnymi sesjami pobierania krwi, by podnosić jej ilość i jakość.

Jako dzieci byliśmy odżywiani wysokoenergetycznymi syntetykami, dostarczano nam też za darmo niewielkie, lecz stałe dawki oczyszczającej wody. Krwiotwórczej – jak mawiał Strażnik Wartości. – Krwiotwórczej – powtarzał retorycznie.

– W waszych organizmach odbywa się oto cud przemiany wody w krew. Waszą świętą powinnością jest zatem oddać krew i na powrót zamienić ją w wodę! Czyż to nie cudowny dar Sług Życia, potomków Matki Wody, że dzielą się z nami, maluczkimi, zasobami pochodzącymi ze źródeł, do których tylko oni jako potomkowie Matki Wody mają Święte Prawo Własności? Kim dla nich jesteśmy? Materialistami, dostarczycielami materiału biologicznego, naszej krwi i naszych tkanek. Cóż oni mają z nas prócz tej czystej radości, że oto cali jesteśmy dla nich? Jak wielkie muszą być ich dobroć i miłość, że utrzymują nas przy życiu. Bez nich – cóż bez nich? – zadał doskonałe pytanie retoryczne, a ja je sobie zanotowałem, bo zwróciła moją uwagę jego konstrukcja. Strażnik kontynuował. – Susza i śmierć. Nienadaremno nazywają siebie Sługami Życia, bo to oni nadają naszemu życiu sens i dzięki nim żyjemy dla Prawdziwych Wartości.

Zachwyciły mnie słowa Strażnika, pasja, z jaką mówił, uduchowanie w twarzy. Płynność wymowy, melodia zdań, kompozycja wypowiedzi. Jej przesłanie.

Po zajęciach podszedłem do niego i powiedziałem mu o tym, a on objął mnie ramieniem jak Personalny Opiekun, patron opieki, i rzekł, że mogę być, kim tylko zechcę, nawet! nawet – podkreślił – Dostarczycielem Prawdziwych Wartości. Pisarzem – dodał i powtórzył: – Nawet pisarzem.

– A kim chce być twoja siostra? – zapytał mimochodem, a ja wzruszyłem ramionami.

– Nikim – odpowiedziałem i poczułem, że spodobała mu się moja odpowiedź. Ja chciałem być kimś, moja siostra bliźniaczka – nikim.

Ona była chyba zbyt delikatna i głupia, by stać się kimkolwiek. Tak o niej myślałem. Miała rude włosy, brązowe oczy i cienką, jasną skórę. W pierwszym wiosennym słońcu jej twarz pokrywała się marchewkowymi piegami. Całymi dniami skakała na jednej nodze albo kręciła się w kółko i śmiała głośno z niczego. A kiedy się śmiała, odrzucała do tyłu rude włosy i odsłaniała śnieżnobiałe zęby. I było tak, jakby cały świat się śmiał. Albo zarzucała mi ramiona na szyję i mówiła, mrużąc w słońcu ciemne oczy:

– Pobaw się ze mną, braciszku.

Ale ja nie miałem czasu, bo byłem utalentowany i ambitny, a ona pusta i głupia. Strażnik też to musiał widzieć, dlatego spodobała mu się moja odpowiedź.

Po tej rozmowie już wiedziałem, że chcę żyć dla Prawdziwych Wartości i służyć im inaczej niż tylko własną krwią. Że mogę być, kim zechcę, a chciałem oczywiście zostać pisarzem.

Wkrótce po rozmowie ze Strażnikiem – lecz nie wiązałem wtedy tych faktów – ja i moja siostra zaczęliśmy dostawać dodatkowe porcje oczyszczonej wody, zupełnie za darmo, a ona nawet niewielkie ilości oleju do wcierania w skórę, by zachować jej nawilżenie. „Każda kropla jest na wagę życia i śmierci i każda kropla się liczy” – powtarzał nam Strażnik przy każdej okazji, przypominając, że nasze życie zależy od kogoś innego.

– Kto nie szanuje kropli wody, ten nie szanuje życia i sprzeciwia się woli Sług Życia, potomków Matki Wody – dodawał. – Prawdziwą warto-

ścią jest życie, ale Prawdziwymi Wartościami są też rodzina i społeczność, w której żyjecie. Skoro zatem życie i rodzina są Prawdziwymi Wartościami – pokazał nam logiczne dodawanie wartości – to życie rodziny jest najważniejsze. A skoro tak, czy warto poświęcić życie jednostki dla życia rodziny? Odpowiedź jest prosta. Cóż zatem dopiero mówić – wnioskowałem z mniejszego o większym – o całej społeczności!

Zapamiętywałem jego nauki i zacząłem je wcielać w teksty, które pisałem, z początku nieśmiało, lecz Strażnik zachęcał mnie do dalszych prób, aż w końcu pewnego razu zawołał mnie i podsunął myśl, bym napisał list dziękczynny do Zesłańców i wyraził w nim swe uczucia.

- Napisz, co czujesz, kiedy dostajesz wodę, i jak bardzo cała twoja rodzina jest szczęśliwa, mogąc poświęcić to, co najcenniejsze, Sługom Życia, potomkom Matki Wody, a ja go osobiście wręcę jednej z najstarszych Zesłanych, tej, która zstąpiła do nas z życiodajnego Kosmosu, by chronić i kontrolować nasze życie tu na Ziemi i tam w przestrzeni międzyplanetarnej.

Napisałem.

Obiecałem w tym liście, że nie zmarnuję daru, jaki otrzymałem, i że do ostatniej kropli krwi będę służył Prawdziwym Wartościom, których strzegą Strażnicy, że z wdzięcznością odnoszę się do wszelkiej łaski okazanej mojej rodzinie przez Zesłańców, którzy chronią i kontrolują nasze życie, oraz że pragnę oddać siebie Sługom Życia, potomkom Matki Wody, którzy jako jedyni mają prawdziwy dostęp do wszystkich Źródeł Krystalicznej Wody w imię Świętego Prawa Własności.

List spodobał się najstarszej nam Zesłanej. Jeszcze w tym samym sezonie dostałem tytuł Dostarczyciela Prawdziwych Wartości i w związku z tym zacząłem ściślej współpracować ze Strażnikami Wartości.

- Potrzebujemy twojego talentu, twoich zdolności i twojej wyobraźni bardziej niż krwi zwykłych Materialistów. O swoich pisarzy umiemy zadbać, zobaczysz – usłyszałem i poczułem się dumny.

Wkrótce przeniosłem się do miasta o umiarkowanym klimacie, w którym wzdłuż betonowych arterii położono syntetyczne trawniki, a między blokami postawiono drzewa ze szlachetnego kauczuku. To sprawiało, że drzewa rzucały prawdziwy cień, a na wietrze zachowy-

wały się niemal naturalnie. Miałem swojego Strażnika, Personalnego Opiekuna. Dało się żyć.

Do pracy podchodziłem z zapalem. W zamian dostawałem prawie całego Oksydana dziennie. Zaspokajałem dziewięćdziesiąt procent zapotrzebowania organizmu w wodę, z tym że pracy było coraz więcej. Pisałem przemówienia i pisma Strażnikom Wartości, czasem trafił się tekst do nam Zesłanych. Kilka razy widziałem ich z daleka. Wszyscy byli piękni i młodzi, odziani skromnie, lecz w tkaniny najwyższej jakości chroniące ich ciała przed utratą wody. Nie zastanawiało mnie, jak to możliwe, że nawet najstarsza z nich wygląda jak moja młodsza koleżanka. Tylko oczy mieli wodnistobłękitne, zmęczone i stare. I mimo że się uśmiechali pełnymi ustami i pokazywali śnieżnobiałe, mocne, zdrowe zęby, to ich oczy, oczy Zesłanych były dziwne. Ale ja widziałem ich tylko kilka razy, z daleka i w przelocie. Poza tym byłem zajęty swoją pracą. Na nic innego nie miałem czasu. Na listy rodziców i siostry grzecznie odpowiadałem, ale do miasteczka Materialistów mnie nie ciągnęło. Pytałem o zdrowie i zasoby wody. Oni tylko narzekali. Ich listy były pozbawione stylu retorycznego. Surowe i prymitywne. Czułem, że kiedy je czytam, cofam się w rozwoju. Kontakt z nimi był coraz rzadszy. Coraz dłużej zwlekałem z odpowiedziami, coraz krótsze listy pisałem. Coraz mniej uważnie czytałem odpowiedzi z domu.

Mniej więcej w tym czasie dostałem od Strażnika, Personalnego Opiekuna wiadomość, że nadszedł właściwy czas i moja siostra została powołana przez najstarszą Zesłąną. Byłem dumny i zazdrosny zarazem. Ona, ta, która nie miała planów, by zostać kimś, dostąpiła oto wyższych zaszczytów niż ja, który byłem ambitny i pracowity, a nade wszystko miałem talent retoryczny, tak potrzebny we współczesnym świecie. Nasz świat! Fascynujący! Upłynęło sześć milionów dwieście trzydzieści osiem brył Oksydanu od czasu Śmierci Starego Świata. Stary Świat umarł, lecz Słudzy Życia, potomkowie Matki Wody, zadbali o nas, ludzi, utrzymując przy życiu tylu, ilu potrzebowali. Nawet tępych, niezdolnych do jakiegokolwiek wysiłku Materialistów. Sprawili, że i oni, ubodzy i głupi, byli potrzebni. Ich życie jednak znaczyło mniej niż życie Strażników czy Zesłanych, to było oczywiste. A jednak najstarsza Zesłana powołała moją siostrę do siebie, choć przecież ta mała – co prawda piękna i kochana, ale mówmy szczerze – była nikim. Była tylko moją siostrą, głupiutką i nieznośną.



- To wspaniale - powiedziałem. - Będę się z nią teraz częściej widywał - wyraziłem radość.

Mój Personalny Opiekun spojrział na mnie zaskoczony.

- Ależ skąd! Nigdy już jej nie zobaczysz. Powołanie oznacza, że twoja siostra umarła dla Świata, lecz życie będzie dla Matki Wody.

Ach, więc to tak! Co kilkanaście lat kilka młodych dziewczyn i kilku chłopaków w dobrej kondycji dostawało powołanie i znikало z naszego biednego betonowego miasteczka. Trafiali do świata Zesłanych, a podobno niektórzy nawet mieli kontakt z samymi Sługami Życia, choć w to nikt nie wierzył. Rodziny tych, którzy dostali powołanie, cieszyły się ogromnym szacunkiem i nigdy nie zabrakło im wody. W zamian za Powołanego rodzina dostawała roślinę, prawdziwą roślinę, i wodę do jej podlewania. Nie słyszałem jednak o takim przypadku, by ofiarowana woda rzeczywiście była przeznaczana dla rośliny, więc ta po kilku tygodniach umierała. Ale rodzinie Powołanego nigdy z tego powodu nie działa się krzywda. Do końca życia mieli dość wody.

A więc teraz i moja rodzina dostała tego zaszczytu, ale nie dzięki mnie, lecz dzięki mojej siostrze. Roślina i woda dla niej. Targały mną sprzeczne uczucia. I chyba dałem im wyraz, bo mój Personalny Opiekun położył mi dłoń na ramieniu w wyrazie wsparcia i zrozumienia.

- Trudno - rzekł lapidarnie i definitywnie.

Zaraz potem, niejako na pocieszenie (a może była to zwykła koincydencja?), otrzymałem propozycję napisania dłuższego tekstu o dobroczynności Sług Życia i o misjach poszukiwania wody w przestrzeni międzyplanetarnej. Kosmos i ciało Planety Olbrzyma zbudowane w dziewięćdziesięciu procentach z wody! To było coś.

Poniekąd, jak powiedział mi Pierwszy Strażnik, ten lot został zorganizowany dla mnie, abym mógł doświadczyć, poczuć i zobaczyć na własne oczy, ile wysiłku Słudzy Życia wkładają w poszukiwanie nowych Źródeł, ile robią dla podtrzymania życia na Ziemi. Ile robią dla Materialistów.

- Każda kropla jest na wagę życia i śmierci i każda kropla się liczy - rzekł do mnie pełnym nadziei głosem i uniósł oczy ku życiodajnemu Kosmosowi. - Jesteś nam potrzebny, żeby zanieść ideę naszych misji zwykłym ludziom, tym maluczkim, którzy w swej masie tworzą nasz organizm, nie mając pojęcia, jak dobrzy i pełni poświęcenia są ci, któ-

rzy zostali nam zesłani. Oni to bezustannie poszukują nowych Źródeł, by utrzymać przy życiu tych, którzy składają się tylko z ciała i krwi i nic więcej nie mają, ubogich w wodę. Ale przecież Zesłańcy nie zostawiają ich samym sobie, lecz nieustrudzenie wysyłają kolejne misje w Kosmos, nieprawdaż? – zakończył pięknie, retorycznie.

Pierwszy Strażnik miał pulchne policzki, a całe jego ciało wydawało się miękkie i dobrze nawilżone. Możliwe jednak, że takie wrażenie potęgowała dobrze wyprawiona, barwiona na kolor krwistej czerwieni skóra wielbłąda, w którą być przyodziany. Długa, od góry do dołu zapinana na czarne guziki, znakomicie skrojona, leżała na nim idealnie, najwidoczniej była szyta na miarę. Oczywiście, że była szyta na miarę! Nikt już przecież nie nosił zwierzęcych skór! Któż mógłby sobie na to pozwolić? Nawet Zesłańcy podobno zrezygnowali ze zwierząt w trosce o zasoby wody. Ale Pierwsi Strażnicy, mieszkający w pałacach strażniczych, stali na straży tradycji i choćby chcieli, nie mogli zrezygnować z pewnych przywilejów, które znosili z godnością i poświęceniem dla dobra tych, których strzegli. Na dłoniach zwyczajem Pierwszych Strażników nosił cienkie czarne rękawiczki. Trudno mi było określić, z czego były zrobione, ale z pewnością nie były syntetyczne. Teraz splótł palce dłoni na wysokości przepony. Kołysał się przy tym w przód i w tył. Na stopach miał skórzane trzewiki i, o ile się na tym znam, była to skóra węża. Wężowe buty uchodziły za wyraz troski o nawilżenie skóry stóp, co, jak wiadomo, jest bardzo ważne, bo dłonie i stopy najszybciej wysychają. A przecież każda kropla była na wagę życia i śmierci i każda kropla miała znaczenie. Tak powiedział, dając mi do zrozumienia, jak ważna jest moja rola w tej misji. A teraz zamilkł i patrzył na mnie wyczekująco, a ja byłem gotów spełnić każde jego żądanie, a nawet więcej, bo przecież wiedziałem, dla kogo pracujemy, i że jeżeli sprostam temu wyzwaniu, to może zostanę zaproszony do stałej współpracy dla Zesłańców. Tak wtedy myślałem.

I teraz oto przebywałem w statku powietrznym i byłem świadkiem poszukiwania wody w przestrzeni kosmicznej.

- Za trzy westchnienia do Matki Wody znajdziemy się nad Olbrzymem. Podejrzewamy, że w jego wnętrzu znajdują się jeszcze bogate pokłady Oksydanu.

Byłem podniecony. Ta misja była zorganizowana dla mnie. Pomiędzy mną a kobietą, która siedziała naprzeciwko mnie, pojawiło się hologra-

mowe odzwierciedlenie rzeczywistości na zewnątrz. Krążyliśmy nad powierzchnią planety o gęstości tak nikłej, że niemożliwością było znalezienie na niej stałego punktu oporu, więc nie można było jej zbadać inaczej niż laserowo. Hologram przed nami drżał. Ogromu planety mogłem się tylko domyślać. Jeśli w jej atmosferze znajdowały się wolne molekuly wody – a tak było, czego dowiodły poprzednie misje – i jeżeli jej jądra nie stanowiły skały, lecz lód, istniała nadzieja, że uda się z niej odzyskać wodę.

– Spodziewamy się, że Oksydanu na Olbrzymie znajduje się tyle, że jakość życia wszystkich mieszkańców Ziemi poprawiłaby się w stopniu dotychczas niespotykanym. Wszystkich – podkreśliła. – Utrzymanie przy życiu Materialistów jest wszak przedmiotem najwyższej troski Matki Wody i Sług Życia.

Tak, wiedziałem o tym. Ale nie wszystko jeszcze wtedy wiedziałem. Nawet nie wiedziałem, o co pytać.

– Jak kosztowna jest ta misja? – zapytałem naiwnie. Kobieta naprzeciwnie mnie uśmiechnęła się przelotnie, a ja pomyślałem, że robią na niej wrażenie moja inteligencja i przenikliwość.

– Jeżeli misje takie jak ta przyniosą Sługom Życia takie ilości Oksydanu, jakich potrzebują, by utrzymać życie na Ziemi, to koszty nie mają znaczenia – zamyśliła się, a po chwili dodała: – Zbiorniki tego statku mieszczą dziesięć brył skryształizowanej wody, czystej, nieskażonej. A kiedy wrócimy na Ziemię, będą puste.

Jedna bryła wody, nawet nieskryształizowanej, wystarczyłaby wszystkim mieszkańcom mojego miasta na dziesięć lat. Jedna cysterna to woda, dzięki której można byłoby myśleć o wyhodowaniu prawdziwego roślinnego jedzenia dla całego miasta Materialistów. Można byłoby tej wody używać nawet do mycia – pomyślałem, a ona jakby czytała w moich myślach:

– Słudzy Życia nie mogą myśleć na dziesięć lat naprzód, oni biorą odpowiedzialność za całe życie po wsze czasy. Na wieki wieków. Rozumiesz?

Rozumiałem. Oczywiście, że rozumiałem.

Tymczasem hologramowa sonda zanurzyła się w ciekłokrystalicznej powłoce Olbrzyma, dokonując natychmiastowych pomiarów składu i ilości materii, przez którą przenikała. Pierwszą warstwą był azot, ale im

dalej w głąb, tym większy był udział molekuł wody w składzie ciała Olbrzyma.

- Do jądra nie dotrzemy, nie mamy takich możliwości technicznych - powiedziała kobieta jasnym, dźwięcznym głosem, któremu nie sposób było nie wierzyć.

- W jaki sposób będziemy eksploatować te zasoby? - zapytałem.

- Musimy się do tego przygotować. Potrzeba na to wiele czasu i wielu baryłek oksydanu.

Hologramowa sonda zniknęła, a my bogaci w wiedzę wracaliśmy na Ziemię.

W drodze powrotnej dowiedziałem się, że masa Olbrzyma rośnie i że każda kolejna misja pokazuje, iż na jego powierzchni znajduje się coraz więcej wody, w przeciwieństwie do Ziemi, na której zapasy czystej wody się kurczą.

- Słudzy Życia troszczą się o Źródła i mają je w swojej opiece. I choć jako potomkowie Matki Wody mają nieograniczony dostęp do wody, to w imię solidarności i współczucia dla Materialistów sami sobie ograniczają jej spożycie. Naprawdę! Myślę, że byłoby dobrze, gdyby Materialiści mieli tego świadomość - Zesłana była autentycznie wzruszona, błyszczały jej oczy i wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

Te słowa głęboko mnie poruszyły. Po powrocie natychmiast zabrałem się do pisania.

Mój tekst okazał się wielkim sukcesem. Ilość oddawanej krwi zwiększyła się o sześć procent, co przed misją wydawało się niemożliwe. A jednak. Ci, którzy niemal mdleli ze zmęczenia, wzięli się w garść i dali teraz z siebie naprawdę wszystko. Nadzieja na poprawę warunków i zwiększenie ilości pitnej wody zdziałała cuda. I to ja ją rozpaliłem, ja ją wsączyłem do serc i umysłów Materialistów. Ja.

Moja kariera nabrała tempa i szybko piąłem się w górę, spotykając na swej drodze coraz ważniejsze osoby. To, czego się o nich dowiadywałem, było jednak rozproszone i nie składało mi się w całościowy hologram.

W tym czasie roślina dana w zamian za moją siostrę umierała, ale cała rodzina miała dostatek wody. I ja także jako brat Powołanej. Prawie zapomniałem, jak to jest umierać z pragnienia.

Organizm człowieka odwadnia się szybko, ale umieranie trwa i trwa i wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Ostatnia faza sprawia, że nagle doznaje się objawienia, jasność i precyzja myślenia sprawiają, że wszystkie rozbite, rozproszone kawałki świata składają się na powrót w jedną całość i w tym jednym, krótkim ostatnim przeblysku widać prawdę. I nie da się z nią żyć.

W nagrodę za wydajną służbę mogłem dostąpić zaszczytu i spotkać się z Pierwszym Strażnikiem Prawdziwych Wartości w jego Pałacu Strażniczym, w którym gościli także nam Zesłani z Kosmosu. Zostałem zaproszony na audiencję.

I oto szedłem długim korytarzem, stąpałem po miękkim dywanie, a przez okno widziałem Ogród. Prawdziwy Ogród, w którym z ziemi wyrastała mokra trawa, pod murem stały drzewa, a tu i ówdzie kwitły kwiaty. Prawdziwe rośliny. Drzewa! Prawdę mówiąc, spotkałem się z nimi tylko w książkach i znałem je z opisów przyrody. W rzeczywistości nigdy jeszcze ich nie widziałem, nie mówiąc o dotykaniu czy spacerowaniu w ich cieniu. Między nimi zauważyłem Zesłańców przechadzających się wolnym krokiem. Wszyscy byli młodzi, dobrze zbudowani, mieli nawilżoną skórę i zdawało się, że są w raj. Wyglądali jak moi koledzy i koleżanki ze szkoły, tylko szczęśliwsi.

Wśród drzew mignęły mi rude loki, całkiem takie same, jakie miała moja siostra, ale osoba, która je nosiła, poruszała się zupełnie inaczej niż ona, wolniej i majestatycznie. Należała do społeczności Zesłanych, nie wywodziła się z klasy Materialistów, było to widać na pierwszy rzut oka. Tylko włosy z daleka wyglądały, jakby to były jej włosy, lecz nie były, nie mogły być, to było niemożliwe, żeby to były jej włosy. Prawda? I kiedy tak stałem na korytarzu w Pałacu Strażniczym i wyglądałem przez okno, czekając na audiencję, zatęskniłem za siostrą. Jakiś potężny żal ścisnął mi serce i cała krew odpłynęła z ciała. I poczułem się, jakby ktoś wbił mi wielką, długą igłę prosto w serce i wielką strzykawką wyssał ze mnie krew. Czuję, jak zapadają się i zasychają we mnie żyły, tętnice, aorta, jak omdlewa serce, kurczy się i drży.

„Umarła dla świata, żyć będzie w służbie Prawdziwych Wartości, dla potomków Matki Wody, którzy w imię Świętego Prawa Własności władają wszystkimi źródłami czystej wody, krystalizują ją i dystrybuują

małymi porcjami w zamian za nasze życie, ciało i krew Materialistów. Życie Materialistów jest mniej warte niż życie całej rodziny, a życie całej rodziny jest na szali śmierci lżejsze niż życie grupy, społeczności, narodu. Ciało i krew Materialistów o tyle jest coś warte, o ile służy wyższemu celom, Prawdziwym Wartościom, których strzegą Strażnicy, a dyktują Zesłańcy, którzy pośredniczą między nami a Sługami Życia, potomkami Matki Wody”.

Słudzy Życia – są, a jakby ich nie było. U nich teraz przebywa moja siostra. Ich oko cieszy jej piegowata buzia, dla nich tańczą jej podsłukujące rude loki, na nich patrzą jej brązowe oczy. Co widzą?

Zakręciło mi się w głowie. Potrzebowałem Opiekuna, anioła pomocy.

– Dobrze się czujesz? – Personalny Opiekun lekko położył dłoń na moim barku, ale jego dotyk zabolął mnie, jakby bryła Oksydanu miażdżyła mi ramię. Pokręciłem przecząco głową. Audiencja. Nagle stała mi się obojętna. Chciało mi się wymiotować.

– Wyjdziemy przez Ogród. Poprowadzę cię – rzekł i popchnął mnie przed sobą.

Wyszliśmy wewnętrznymi drzwiami do wirydarza i dalej kamienną ścieżką tam, gdzie spacerowali Zesłani. Teraz widziałem wyraźnie: byli piękni i młodzi, pod gładką skórą grały wyrzeźbione mięśnie, błyskały w słońcu białe zęby. Chodzili po wilgotnej trawie boso. Kiedy się zbliżyłem, ich wodniste oczy zwróciły się w moim kierunku.

– To najstarsza Zesłana – szepnął mi do ucha Personalny Opiekun i mocniej ścisnął mnie za łokieć. Wskazał ruchem głowy jedną z nich.

Czy on nie wiedział? Nie wiedział? Nie widział? Jej włosy, skóra, piegi, twarz, ramiona, dłonie, bose stopy należały do mojej siostry, ale to nie była już moja siostra. Patrzyły na mnie przeźrocyste, galaretowane oczy najstarszej kobiety nam Zesłanej z Kosmosu.

Ból szarpnął moim wnętrzem i zgiął mnie wpół. Oparłem dłoń na chłodnym omszałym murze i zwymiotowałem na trawę. Błękitne oczy Zesłańców wyrażały oburzenie. Ta, która nosiła skórę mojej siostry, odwróciła twarz ze wstrętem. Mój Personalny Opiekun pośpiesznie mnie stamtąd wyprowadził.

Tej nocy nie spałem, a rano wróciłem do miasta Materialistów i udałem się prosto do Strażnika Prawdziwych Wartości, tego, który znał

mnie i moją siostrę w dzieciństwie. Miasto Materialistów wydało mi się jeszcze nędzniejsze i ohydniejsze niż wtedy, gdy tu mieszkałem.

Wszedłem do pałacu Strażnika, wiedziałem, gdzie są jego pokoje.

Spodziewałem się starca, lecz zastałem człowieka w pełni sił. Poznał mnie natychmiast, kazał usiąść i zapytał, co mnie sprowadza.

Patrzyłem mu w oczy i nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. On naprawdę był młody.

- Pamiętasz moją siostrę - zagaiłem, choć przecież skoro mnie pamiętał, jej nie mógł zapomnieć.

- O tak, była wspaniała, wspaniała - mlasnął ustami, jakby mówił o niesyntetycznym pokarmie wysokobiałkowym.

Ponownie mnie zemdliło.

- Co się dzieje z powołanymi takimi jak ona? - zapytałem, lecz nie chciałem znać odpowiedzi. Chciałem usłyszeć, że są szczęśliwi, mają dostęp do źródła i czerpią z niego pełnymi dłońmi. Ale wiedziałem, już wiedziałem. I wiedziałem, że on wie, że ja wiem. Kręciło mi się w głowie. W uszach słyszałem pulsowanie krwi, przed oczami latały mi mroczki. Zacisnąłem kurczowo palce na oparciu błękitnego fotela.

- Oddają najlepszy Materiał tym, którzy go bardziej potrzebują. Co kilka, kilkanaście lat Słudzy Życia i Zesłani potrzebują nowych ciał. Co kilka, kilkanaście dni wszyscy korzystamy z transfuzji. Przyglądamy się Materialistom uważnie, wybieramy rodzinę. Życie za życie.

Zerwałem się i wyciągnąłem drżące ręce, by go udusić. Zacisnąłem palce na jego gardle, lecz on spodziewał się ataku i zrobił unik. Stał teraz po drugiej stronie biurka i patrzył na mnie drwiąco.

- Chyba nie wierzyłeś, że utrzymywaliśmy twój mózg we względnej wilgotności ze względu na ciebie, nieudacznika? Wiedziałeś, od początku wiedziałeś, jaka jest cena, kto i czym za ciebie zapłaci. Patrz - rzekł i z szuflady wyciągnął list napisany moją ręką wiele lat temu. List do najstarszej Zesłanej, tej, którą widziałem wczoraj w ogrodzie, tej, która nosiła teraz skórę i twarz mojej siostry. To jej włosy mignęły mi między drzewami.

Tak. Napisałem, że nie zmarnuję daru, jaki otrzymałem, i że do ostatniej kropli krwi będę służył Sługom Życia, potomkom Matki Wody, którzy jako jedyni mają prawdziwy dostęp do wszystkich Źródeł Krystalicznej Wody w imię Świętego Prawa Własności.

Tak, napisałem to. Tak, byliśmy na to przeznaczeni.

- Daliśmy twoim rodzicom stokrotkę. Ususzyli ją w siedem dni. Ciękawie, ile ty będziesz umierał.

Śmierć jest łatwa. Wystarczy odciąć człowieka od wody. Nic więcej. Żadnych tortur.

Nie ma niczego bardziej uzależnionego od wody niż człowiek. W razie jej braku najpierw następują zaburzenia widzenia i utrata mowy. Potem drgawki i wymioty. One przyspieszają ustanie akcji serca. Ale mózg, mózg jeszcze przez chwilę pracuje.

Co Słudzy Życia robią z wodą, która płynie i płynie ze Źródła? Co oni w imię Świętego Prawa Własności, do diabła, z nią robią?

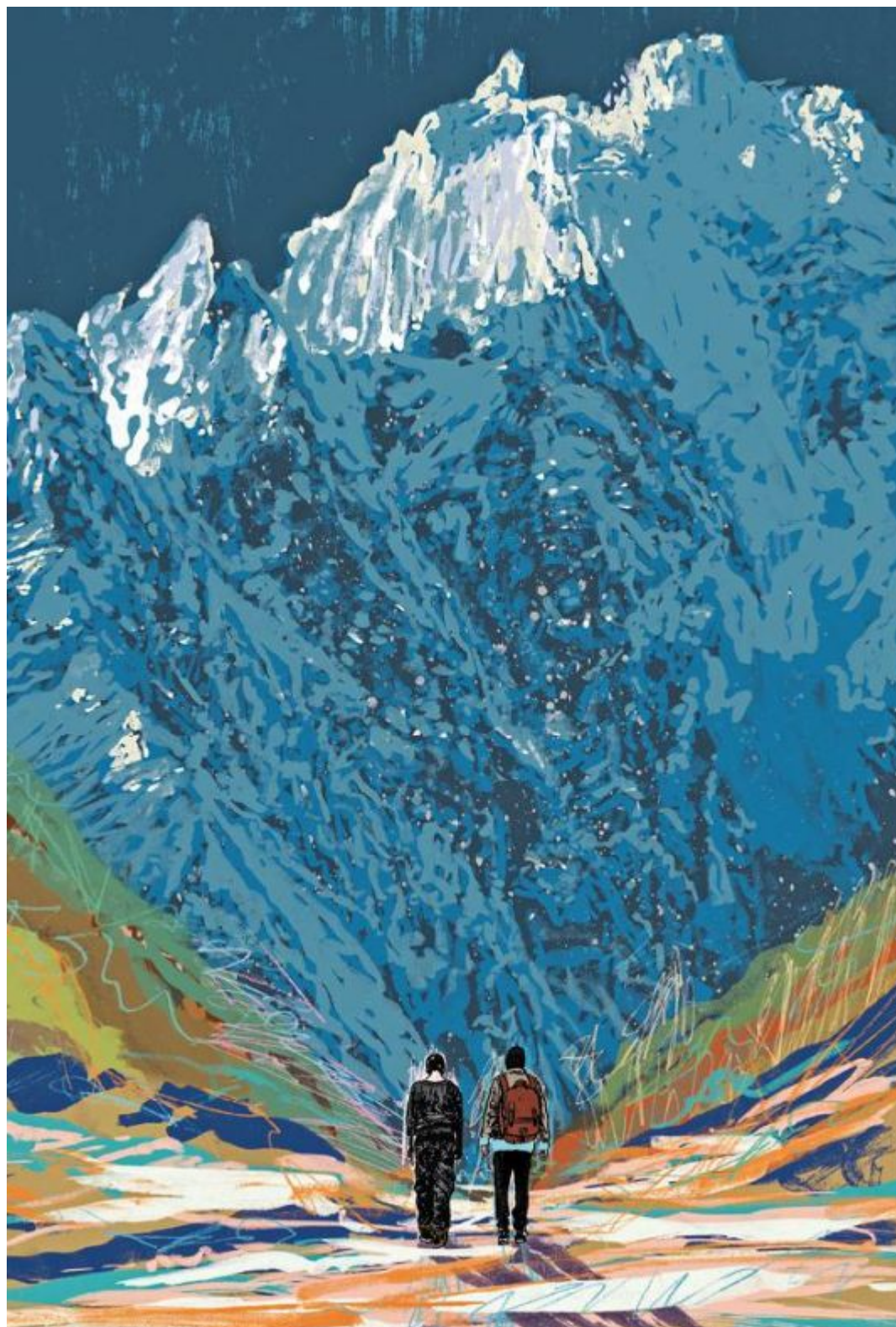
Hologram drżał i pokazywał powierzchnię Planety Olbrzyma. Jej wielkość mogłem sobie tylko wyobrazić. Czuję strach i ekscytację. Tak wygada umieranie?

Usłyszałem dźwięczny głos: „Bez obaw. Zazwyczaj mamy pełne cysterny, regularnie musimy magazynować to na zewnątrz, ale dzisiaj mamy lot pokazowy. Lecimy bez ładunku. Wrócimy na kolację. Za chwilę będzie po wszystkim”.

Aha.







# znaki nieszczególne

WOJCIECH KUCZOK

Dostał zadyszki na podejściu. Przystanął i próbował uregulować oddech. Uśmiechnął się do mnie przeprasząco.

- Tchu nie mogę złapać. Zasapałem się. Taki ze mnie stary sap. Ty idź, ja cię dogonię.

Dał znać, żebym go wyprzedził. Deptanie mu po piętach męczyło mnie bardziej, niż gdybym szedł swoim tempem. Przynajmniej nie snuł się już za nim ten charakterystyczny alkopot pijaczka, od którego mdliło mnie podczas naszych wycieczek przed laty.

- Ojciec, wziąłbyś się za siebie, w twoim wieku wstyd mieć taką słabą kondycję - sprowokowałem go delikatnie.

- Milcz, smarkaczu - obruszył się. - Jak dożyjesz mojego wieku, to się przekonasz, czym jest starość.

Nie miał nawet sześćdziesiątki, ale zawsze uwielbiał się nad sobą rozczulać. Lata zaniedbań, niezdrowej diety i piwnej gnuśności zrobiły swoje - nie zdążył się zestarzeć, ale skapcaniał. Górskie powietrze kłuło go w płuca, bo przywykł do oddychania kurzem nietrzepanych dywanów i stęchlizną za rzadko wietrzonego mieszkania. Cała jego aktywność fizyczna sprowadzała się do przebieżki z psem uwieszonym na smyczy, tak by zdążyć wysrać kundelka i zejść do knajpy na szybkiego browara, nie wzbudzając podejrzeń matki. Nie chciałem się z nim prekomarzać, bo głądziłby potem przez całą drogę. Feralny paradoks ojca polegał na tym, że miał poczucie autoironii, zarazem nie mając krzty dystansu do siebie - poza nim samym nikt inny nie mógł z niego żartować.

- Nigdy nie byłeś stary - rzuciłem tylko i zacząłem z wolna podchodzić percią. Śniegi zalegały jeszcze w żlebach, lipcowe słońce wytapiało

z nich strumienie. Znikały od razu pod piargiem i rosły w siłę tak, że było je tylko słyszeć gdzieś w zawalisku, jak spływają ku dolinie, którą być może z tej właśnie przyczyny ludność nazwała Suchą Wodą. Odwróciłem się, żeby na niego zaczekać. Samotnych wycieczek przeżyłem aż nadto - teraz towarzystwo ojca było istotne, a nie landszaft.

Przysiadł na kamieniu, zmarszczył czoło, jakby usilnie próbował sobie coś przypomnieć.

- N-n-n-n-n-n...

Nie był w stanie mówić. Pokręcił tylko głową i machnął ręką. Wróciłem do niego. Spojrzał na mnie jak pies, który przeprasza, że nie ma siły machać ogonem.

- Ojciec, źle się czujesz? Nie musimy iść wyżej, jeśli nie dajesz rady. Możemy pomoczyć giczoły w stawie i popatrzeć na widoczki.

Chyba mnie nie zrozumiał. Pomachałem mu dłonią przed oczami.

- Halo, baza, jesteś tam? Tato...

- Nnnnn..... ychch... - chciał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko grymas. Zaczął mrużyć oko, jakby mu coś do niego wpadło. Doczłapała do nas para turystów. Facet pierwszy, choć niepomierne bardziej zmęczony od partnerki, która pobłażliwie pozwalała mu się prowadzić. Minał nas bez słowa skupiony na tym, by mimo niedomogów kondycyjnych utrzymać przywództwo w mikrostadzie, za to ona zatrzymała się zaniepokojona.

- Coś się stało? - zapytała, a potem podeszła do ojca. - Halo, proszę pana?

Złapała go za rękę, podniosła je i zaraz puściła. Jedną od razu mu bezwładnie opadła, drugą wyciągnął ku niej, jakby chciał złapać za słuszny biust, ale szybko się zreflektował, że może jednak nie uchodzi, i cofnął ją, próbując się wytłumaczyć.

- Mmmm-mmmm - znowu nie mógł wymamrotać słowa.

- To może być udar - powiedziała. - Powinien pan zadzwonić po ratowników.

- Pani jest lekarką?

- Pielęgniarką.

Dopiero teraz jej kompan zauważył, że się zatrzymała, i z ulgą, że ma pretekst do odpoczynku, podszedł do nas.

- Żona jest pielęgniarką - powiedział z akcentem na pierwsze słowo, jakby bez jego potwierdzenia była nią tylko teoretycznie. No i oznaczył terytorium na wypadek, gdybym zauważył, że dziewczyna ma zgrabne nogi. Pomogła ojcu się położyć na trawie, wsunęła mu pod głowę swój plecaczek. Pogłaskała go i zaczęła uspokajać.

- Niech się pan nie boi, wszystko będzie dobrze - to do niego, bo do mnie szepnęła na stronie: - On może umrzeć...

Pozazdrościłem ojcu, pomyślałem nawet, że skubaniec wypatrzył ją zawczasu i teraz specjalnie udawał, żeby się nad nim nachylała.

- Tata nie żyje od dziesięciu lat... To nie jest człowiek.

Spojrzała na mnie zaskoczona. Dotknęła jego policzków, ścisnęła mu ramię, obmacała żebra.

- O czym pan mówi? Przecież on ma ciało. To nie hologram.

- To model hipersensoryczny.

Przyjrzała się ojcu z niedowierzaniem.

- W życiu bym nie pomyślała...

Teraz jej partner się ożywił, podszedł bliźutko, zaczął ojca obmacywać jak konia na targu, w końcu zauważył logo na potylicy i zagwizdał z podziwem.

- Ale super... To z Reda? My mamy abonament w Blue, ale nam się kończy i chyba zrezygnujemy, bo kiepska jakość jednak. Holo babci czasem nastawiamy, żeby dzieciaki zabawiła, ale nie dość, że się robi pikseloza, to jeszcze jakaś tępawa jest kobiecina, bez dowcipu... Wie pan, mama żony to była inteligentna babka, a ten jej duch kocopały podsuwa, dowcipy jak z katalogu, to nie to samo, dzieci się na nią nie nabierają już...

Kobieta patrzyła na ojca z wyraźną konfuzją, ale instynkt zawodowy nie dawał jej spokoju.

- Czy pana ojciec za życia leczył nadciśnienie?

- Gdyby się leczył, toby może żył do dzisiaj.

- Jak umarł?

- Na zawał, to znaczy nie od razu, w szpitalu miał drugi raz.

- Dawno go pan ma? Były już takie sytuacje wcześniej?

- Nigdy dotąd nie zabrałem go w góry. Nie miał okazji się tak bardzo zmęczyć.

- Czyli jednak może mieć udar. Jeśli pan sobie zafundował taki luksusowy model, to pewnie algorytm jest nastawiony na dostarczanie najmocniejszych wrażeń, no i wyliczył, że tata w tym wieku mógłby takiej wycieczki nie przeżyć. To może lepiej mu zrobić reset? Każda minuta się liczy. Pan spojrz, on już traci przytomność. Chyba że pan chce jeszcze raz przeżyć śmierć taty...

Nie chciałem. Tak po prawdzie, przeżyłbym ją po raz pierwszy, bo kiedy umierał, nie było mnie w kraju. Nie zdążyłem wrócić; całą historię jego ostatnich chwil odsłuchałem po wylądowaniu, matka wypłakała się pocztą głosowej. Przeżywałem jego brak, tę absurdalną przemianę istnienia w zestaw wspomnień, przeżywałem każdego dnia i przez większość nocy, na jawie i we śnie, jego nieobecność, ale jego śmierci nie przeżyłem - od razu kazałem jej się gonić. Ojciec miał rejestrowaną świadomość przez ostatnich kilkanaście lat życia, wystarczyłoby na całym wygadany hologram. Bywał choleryczny, źle znosił krytykę, chlał i popadał w okresy wzmożonej mizantropii, czasem lepiej było się do niego nie zbliżać, ale był inteligentnym skurczybykiem obdarzonym tak piekielnym poczuciem humoru, że nawet gdyby nas obdzierał ze skóry każdego dnia, poszlibyśmy za nim w ogień. To nie był syndrom sztokholmski - stary zawsze wiedział, kiedy zapędził się za daleko, nie chciał nikogo krzywdzić i miał tę cechę, która pozwalała go odróżnić od złych ludzi: umiał przeproszać. Matka przyjęła przeprosiny awansem, gdy dodała od siebie do przysięgi małżeńskiej: „i wybaczam ci wszystko już teraz, bo później mogę nie mieć sił”. Nie po to wykupiłem za fortunę najlepszego hipersensoryka, żeby mi umierał na rękach.

- Ma pani rację, cholera jasna, muszę doczytać w instrukcji, jak to przestawić.

- Ja chętnie pomogę, interesuję się tym tematem - rozzwawił się facet. - Pan pokaże sterownik do niego... Tam na pewno jest na przykład opcja regulacji wieku.

- Zostawiłem ustawienia fabryczne, myślałem, że są optymalne.

Wygrzebałem komórkę z plecaka, odblokowałem ekran i podałem ją panu mężowi. Przypominał mi dzieciaki z grodzzonego osiedla, które wygrzebywały z kubłów elektrośmieci i, udając fachowców, przeprowadzały patykami serwis układów scalonych - synowie inżynierów i informatyków bawiący się w dorosłych. Sam wciąż byłem cyfrowym analfabetą, moje umiejętności techniczne działały w przypadku instrukcji

składania mebli, ale kiedy trzeba było ogarnąć coś wirtualnego, mózg mi się lasował. Telefon przypominał mi każdego dnia, że korzystam tylko z kilku procent jego możliwości, a mnie się śniła po nocach czarna ebonitowa słuchawka w domu rodziców, terkot tarczy przy wykręcaniu numeru i głośne „Haloo?” ojca, a potem zawsze jakieś jajcarskie powitanie w stylu: „Czy dodzwoniłem się do zakładu pogrzebowego Woń Trupka?”.

- Niech pan mi go ustawi tak, żeby hulał, tylko proszę nie przesadzać z tą opcją wieku. Widełki mamy niezbyt szerokie, tata starości nie dożył, a ja się do niej zbliżam. Nie chcę, żeby mój ojciec był młodszy ode mnie.

Tata po śmierci został wierzbą. Wybrał ją sobie, bo miał patriotycznego fioła. Mimo drewnianego ucha co pięć lat katował domowników konkursem szopenowskim i mu się skojarzyło z mazowieckim pejzażem z pocztówek dźwiękowych: łąka-bocian-wierzby. Większość polskich mężczyzn oczywiście wybierała dęby, ale był limit nasadzeń, w przeciwnym razie wszystkie lasy cementarne stanowiłyby dębową monokulturę - ojciec wybrał wierzbę, „żeby się nie mieszać z pospółstwem”, indywidualizm okazał się u niego silniejszy od stereotypowej samczyzny. W dodatku szybko wyłysiał i choć znalazł naukowe wytłumaczenie, które wystarczało, by świecił swoją głacą z dumą („to od nadmiaru testosteronu”), wiedziałem, że mi zazdrościł gęstych włosów po matce. Wierzba płacząca ma długie pióra, ojciec mógł sobie pośmiertnie pozwolić na powrót do hippiesowskiej młodości. Na domiar dobrego wierzby rosną szybko, już po kilku latach mogliśmy się przytulić do pnia, widziałem, jaką to ulgę przynosiło mamie. Co prawda hologram odpaliliśmy zaraz po jego pogrzebie - czyli zasadzeniu drzewka na jego prochach - ale głównie to ja czerpałem z niego uciechę. Po wyprowadzce od rodziców lubiłem ich odwiedzać, żeby sobie pogadać z duchem ojca, ale matka, którą zamęczał na co dzień swoim błyskotliwym słowotokiem, czerpała przyjemność z tego małżeństwa głównie wtedy, kiedy milczał i jej dotykał. Gdy tylko pojawiła się na rynku zapowiedź produkcji hipersensoryków, zarezerwowałem jeden z pierwszych modeli, żeby matka zdążyła się przed śmiercią znowu do taty przytulić.

- A niech pan powie: ile to kosztowało? - zapytał. - I w ogóle to Michał jestem. W górach sobie może nie panujemy... - wyciągnął do

mnie łąsko, ale wytłumaczyłem mu, że wolę przejść na ty bezdotykowo.

- Wojtek. Mów mi po imieniu, ale nie mogę ci podać ręki ani powieść, jaka jest cena. Mam egzemę, a ojca dostałem w prezencie. To prototyp, nie ma ich jeszcze na rynku, ciągle trwa etap testowy.

Michał przedstawił się jako inżynier, jego żona zaraz też przybiła ze mną żółwika.

- Jestem Ewa. A właśnie miałam zapytać, czemu nosisz nitrylowe rękawiczki.

Najbardziej męczące w mojej profesji było to, że prędzej niż później zawsze musiałem wszystkich okłamywać. Nawet matce nie mogłem się przyznać, że nowego ojca kupiłem za fortunę, której nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić. Utrzymywałem ją w przekonaniu, że dobrze zarabiam, ale udawałem, że nie stać mnie na zbytki, tak by nie miała wątpliwości, że pracuję uczciwie. Tymczasem nie pracowałem wcale. Było mnie stać na wszystko, choć w ogóle nie miałem pieniędzy. To ja byłem pieniądzem.

Ojciec przez lata żywił się myślą o tym, jak powetuje sobie wysoką emeryturą życie zmitręzone w nudnej robocie. Wodzili z matką palcem po atlasach i zaznaczali sobie krainy, które odwiedzą - tak jak to robią zamożni oblatywacze klubmedów, kiedy chcą się pochwalić gościom na domowym party i ustawiają kieliszki pod mapą najeżoną szpilkami w miejscach wszystkich odwiedzonych hoteli. „Ach, więc i tu byliście, wow...”. „Tak, to wino przywieźliśmy właśnie stamtąd”. Akupunktura globusa nie naprawiła świata, ale rodzicom przysporzyła radości, jakby przeczuwali, że może im nie wystarczyć czasu na podróże. Ojciec miał bajer, improwizował w dowolnym języku świata i udawał kelnera, podając matce herbatę z sokiem malinowym, a ona zanosila się śmiechem. Wszystkie ich podróże i tak kończyły się w sypialnianym Karakorum - tata ustawiał namiot z kołdry i zapraszał matkę do łóżka: „Chodź tu szybko, bo minus czterdzieści, jesteśmy w obozie czwartym i musimy się natychmiast rozgrzać nagimi ciałami”. Poznali się z mamą w okolicznościach, by tak rzec, ambiwalentnych: matka na dzień dobry straciła przez niego pracę, a on potem poczytywał sobie za obowiązek jej to wynagradzać. Była urzędniczką stanu wolnego, ale wcale nie ułatwiało

to sprawy, była bowiem także, a może nade wszystko, urzędniczką stanu cywilnego. Poznała ojca, udzielając mu ślubu. Sęk w tym, że nie wywiązała się z obowiązków zawodowych. Kiedy tylko podniosła na niego wzrok, zrozumiała, że to właśnie ten młodzieniec z sąsiedztwa, któremu nigdy w życiu nie miała odwagi wyznać, że się w nim podkochuje, a teraz właśnie bezpowrotnie miała sobie zamknąć tę możliwość. „Przepraszam, ale nie mogę was ogłosić mężem i żoną” – mówiła niby do nich, ale patrzyła w oczy tylko tacie. – „Klauzula sumienia mi nie pozwala. Lepiej poproszę koleżankę”. Dla ojca to był *coup de foudre*. Spojrzał na swoją narzeczoną, potem na mamę, jeszcze raz na narzeczoną, jeszcze raz na mamę i nagle pojął, że kobieta z łańcuchem na szyi uchroniła go właśnie przez zrujnowaniem sobie życia. „Lepiej nie” – powiedział i wyprowadził mamę ku zdumieniu wszystkich świadków, друзbów i druchen. Jego przyszła niedoszła była córką lokalnego notabla, więc awantura nie rozeszła się po kościach. Mamę zwolniono z hukiem i wilczym biletem. Przyjmując rychło oświadczyzny ojca, powiedziała mu: „Będziesz mnie musiał utrzymywać”. Udawało mu się to bez trudu, bo żyli oszczędnie, a ja dość prędko ich odciążyłem. A potem, kiedy moje palce okazały się bezcenne, dyskretnie przelewałem im środki wystarczająco wysokie, by nie musieli mnie nigdy prosić o dodatkowe wsparcie, i wystarczająco niskie, by nie wzbudzać podejrzeń. Ojciec tak bardzo się ucieszył z osiągnięcia wieku emerytalnego, że serce mu pękło z radości. Raz, potem drugi na dobitkę i koniec kropka, obrócił się w proch, na którym wyrosło drzewo.

- Dobra, teraz i tak nie zaszalejemy, bo przecież jak mu zmienię wiek, to trzeba będzie go na nowo wydrukować. To trochę potrwa, no i pan go będzie mógł odebrać dopiero gdzieś w mieście. Zrobię mu reset i cofnę go po prostu o kilka godzin, ale lepiej schodźcie od razu, żeby się nie zmęczył – Michał w końcu ogarnął szczegóły sterownika. Czas najwyższy, bo tata już dogorywał i choć wszyscy mieliśmy świadomość, że to tylko perfekcyjnie skonstruowany fantom, przykro było patrzeć. Ojciec nie wiedział, że jest jak-prawdziwy, więc nie cierpiał jakby-naprawdę, lecz odczuwał realne ból i strach, a my nie mieliśmy jak mu pomóc. Przecież nie uspokoiłby się, gdybym mu powiedział, że nie ma się czym przejmować, bo tak naprawdę nie istnieje. Ewa trzymała mu rękę na pulsie i poganiała męża.

- Proszę cię, pospiesz się, tracimy go już.



- Nie bój się, najpierw go wyłączymy, a potem wskrzeszemy.
- Wskrzesimy - poprawiła go Ewa.
- Obie formy są dopuszczalne - zawyrokowałem, żeby mi się nie zaczęli teraz kłócić.

Michał skierował komórkę w stronę taty i kliknął w ekran. Ojciec zmartwiał. Bo przecież nie umarł. Stał się człekokształtnym trójwymiarowym wydrukiem. To wcale nie było mniej straszne niż śmierć. Niby tylko mu spauzowano oprogramowanie, ale wyglądał, jakby go duch opuścił. Czy tam dusza. A przecież jedna już gdzieś fruwała w zaświatach. *Ileż można dusz wycisnąć z jednego istnienia* - pomyślało mi się, a Michał walczył z aplikacją. Coś mu nie grało.

- Ach, bo tu pola nie ma, kurdebele. Wyłączyć to nie sztuka, ale teraz, żeby ożył, trzeba mieć lepszy zasięg - rozejrzał się wokół, ścieżka podnosiła się zakosami przez wielkie piarżysko, z obu stron ograniczone granitowymi grzędami, do przełęczu była jeszcze bita godzina drogi po stromym zboczu.

- Może być tak, że coś sensownego się złapie dopiero na grani. Musiałbyś go wnosić. Lepiej od razu go zabierz na dół, ja ci wszystko nastawię tak, że wystarczy kliknąć.

Zajęło mi chwilę, żeby sobie przypomnieć, że ojciec jest pusty w środku, więc niewiele waży, no a teraz jeszcze powinien być lżejszy o 21 gramów, jeśli cyberdusza ma tę samą wagę co ta oryginalna. Plecak przełożyłem sobie do przodu, ojca zarzuciłem na grzbiet, no ale coś tam jednak ciążył sam materiał, zanosilo się na mozolne stąpanie po głazach. Podziękowałem im za pomoc i zacząłem schodzić. Moje więzadła zazgrzytały niezadowolone już po pierwszym kroku w dół.

- Ojciec, czasem bywasz nie do zniesienia, ale teraz się postaraj.

Nie uszedłem wiele, kamienie na szlaku były wyslizgane od tysięcy turystycznych buciorów, stopa mi się omsknęła raz i drugi, w kolanie zatrzeszczało i pojąłem, że zaraz będziemy obaj potrzebowali pomocy. Ewa z Michałem podeszli już piargiem wysoko, nie chciało mi się ich zawracać. Przycupnąłem, zdjęłem tatę, zobaczyłem, że w piarżysko wdziera się trawiasty jęzor i rozszerza ku dolinie. Stok był w tej części wygładzony przez lawiny, które zimą wściekle zdrapywały każdą nierówność do gruntu.

- Tatuś, zjedziemy sobie.

Przeniosłem go po gładzowisku do traw, znowu przełożyłem plecak, a ojca posadziłem przed sobą. Dokładnie tak, jak on mnie sadzał na górcie za kościołem, kiedy wychodziliśmy na sanki. Zwykle było tam sporo dzieciarni, więc zostawiał mnie z nią i truchtał na piwo, a potem wracał podchmielony i sam chciał sobie pozjeżdżać. Kiedyś wypił o jedno więcej i zebrało mu się na odwagę – zaprowadził mnie wtedy na szczyt najstromiej nachylonego zbocza, tam, skąd nikomu nie przyszło do głowy zjechać. Dzieciaki zamarły, patrząc z niedowierzaniem, jak przechodzimy nad przepaścistą część nasypu, jakby wietrzyły katastrofę, ale nikt nie miał przecież odwagi wytłumaczyć dorosłemu, że robi coś głupiego. Nie chodziło tylko o stromiznę, lecz o złamane drzewo u dołu, na którym niechybnie roztrzaskałby się każdy sankarz.

- Tata, ja chyba nie chcę... - opierałem się, ale nie dość wyraźnie, bo przecież wierzyłem, że nie mógłby mi zrobić krzywdy nawet na bani. Nie wypił tyle, by instynkt tacierzyński mógł go zawieść, pił po to, by dać upust szaleństwu, które na co dzień powściągał przy mamie.

- Zaufaj mi - powiedział, posadził mnie na sobie, zaciągnął sznurek i ruszył. Zamknąłem oczy i do dziś tego żałuję, bo dopiero od kumpli dowiedziałem się, że w szalonym pędzie wjechaliśmy na muldę, którą wcześniej tata wypatrzył, i katapultowani z impetem przelecieliśmy nad wiatrołomem, a potem miękko wylądowaliśmy w zaspie.

- Nie próbujcie tego powtarzać - ojciec słusznie przestrzegł onie-miałą małoletnią gawiedź. - A ty nigdy i pod żadnym pozorem nie mów mamie, co zrobiliśmy.

Teraz ojciec też nie mógł niczego zobaczyć, czego żałowałem, bo choć najbardziej szalony zjazd w życiu wymyślił sam, to ja zaordynowa-łem mu jazdę życia po śmierci. Podniosłem nogi i ruszyłem po trawie. Szybko nabraliśmy rozpędu, ślizg był zjawiskowo prędko, dopóki mi dupa nie zaczęła płonąć, bo spodnie przetały się na siedzeniu. Wyha-mowałem z bólu, zanim dotarliśmy na sam dół, ale udało się nadrobić najbardziej stromy kawał zbocza, resztę mogłem już przeczłapać po połogim gruncie. Wstałem, poparzony tyłek świecił mi przez dziurę w spodniach. Choć nie miałem ani grosza, nie było ode mnie bogat-szego człowieka w tym kraju, tymczasem właśnie zostałem gołodup-cem.

Z klasycznego pieniądza zrezygnowano, gdy okazało się, że poszczególne stronnictwa nie mogą się dogadać, kto ma być na wizerunku.

Groziło to już nawet nie tyle impasem i kryzysem, co wojną domową, gdy doszło do zamachów bombowych na mennice bijące monety z podobiznami historycznych wodzów. Każdy chciał pisać historię osobno, ale waluta musiała być wspólna. Zawsze ktoś był komuś nie w smak, ani na monetach, ani na banknotach nie dało się już uwiecznić postaci, która mogłaby pogodzić podzielone społeczeństwo. Karty plastikowe z czasem okazały się nie dość poręczne, zwłaszcza dla najzamożniejszych, mających wiele kont w różnych bankach. Grubość portfela tylko przysłowiowo stanowiła powód do dumy. Kiedy wypchany pugilares nadmiernie obciąża kieszeń, zaczynasz nosić same karty, a te z kolei łatwo zgubić. Wymyślono więc rękawiczki płatnicze – na każdej pięć nominatów, on najmniejszego palca do najbardziej wartościowego kciuka. Zamiast znaku wodnego były dermatoglify anonimowego pierwowzoru – nieznanego nikomu człowieka (nikt zatem nie mógł się przyczepić do jego pochodzenia, tożsamości płciowej, orientacji politycznej i tysiąca innych pretekstów, które wystarczyłyby ludziom do tego, by rzucili się sobie do gardeł) dał wzór odcisków swoich palców, które stały się obowiązującym środkiem płatniczym. Wybrano go w drodze szczegółowo opracowanej selekcji, mającej na celu wyłonić człowieka bez właściwości, postać doskonale przeciętną, niewykłaną w żaden układ, niekaraną ani nienagradzaną, pozbawioną wyrazistego światopoglądu, nadmiernych ambicji, podatną na kontrolę, spolegliwą, zbyt głupią, by umieć wykorzystać swój status przeciw państwu, a zarazem zbyt bystrą, by dać się wykorzystać sabotażystom – wybrano człowieka niepospolitego w swej doskonałej pospolitości. Czyli mnie. Zaprzeczenie Palca Bożego. Antytezę wszechmocy: człowieka, który niczego nie mógł. Opuszki Everymana. Znaki nieszczęśliwe. Symbole ludzkiej marności. Wszyscy musieli zakładać rękawiczki do transakcji, ja je zdejmowałem tylko do płacenia. Musiałem chronić palce, żeby nie stracić środków do życia. Ale moje odciski palców były wyłącznie instrumentem. Prawdziwą walutą z czasem okazał się... czas. Przeszły. Świat zachorował terminalnie, historyczne „no future” przestało być metaforą. Broń atomowa była jak strzelba Czechowa – jej groźba zawisła z końcem drugiej wojny światowej i choć nie spodziewaliśmy się dożyć ostatniego aktu, naiwnością byłoby się dziwić, że w końcu wystrzeliła. Spało się świetnie, ale przyszedł czas pobudek, niskich w przypadku nuklearnego agresora i gwałtownych dla świata. „Użycie taktycznej broni niskiego zasięgu”

skończyło się pełzającą zagładą. Niby nikt nie zginął, ale wszyscy zostaliśmy skazani na śmierć. Ziemia została bezpowrotnie skażona. A skoro nikt już nie miał przyszłości, ludzie żyli przeszłością. Zamiast rodzić dzieci, zaczęli wskrzeszać zmarłych. Nie można było się przenieść w czasie, ale najbogatszych było stać na to, by przenieść sobie czas. Na podstawie rejestrowanych zachowań, gestów, kodów mimicznych komputerowo można było po śmierci bliskich opracować ich doskonale realistyczną symulację, ba – pośmiertne modele zdawały się bardziej realne niż oryginały. Świadomość zmieniona w plik danych stała się rodzajem nieśmiertelnej duszy, wizualizacje były perfekcyjne, ale wciąż niematerialne, dopóki nie zaczęto drukować ciał w 3D. Postęp przyspieszył, jedyną alternatywą dla przetrwania ludzkości była jej przemiana w transludzkość – przeniesienie swoich danych do sieci. Chmura przyniosła nam zniszczenie, teraz mieliśmy żyć w chmurze. Kto miał pieniądze, chciał żyć do końca w rzeczywistości. Wspomaganej.

Ojciec zabierał mnie w góry, dopóki sam jeszcze miał ochotę po nich dreptać. Zapamiętałem te wycieczki jako najbardziej beztroskie chwile mojego dzieciństwa.

- Synek, pamiętaj, nigdy nie patrz na ludzi z góry. Ale z gór możesz sobie popatrzeć.

Siadywaliśmy na graniach i spoglądaliśmy ku nizinom, na których zostawały wszystkie nasze troski, niesnaski i niespełnienia. Tata góry pokochał, bo były bliskie i tanie, wystarczyło parę godzin jazdy przedziewiałym gruchotem, herbata w termosie i kanapki na drogę – nie musiał ich zwiedzać palcem po mapie, jak tych wszystkich krain, które odkładał na spokojną i bogatą emeryturę.

Doniosłem go do dna doliny, tu gdzie zatrzymaliśmy się kilka godzin wcześniej, patrząc na drogę, która była przed nami. Rozłożyliśmy się na połaciach miękkich traw. Zamigała mi sieć, jedna kreska, ale wystarczyło, żeby uruchomić ojca. Od razu nabrał wigoru.

- Patrz, synek, jak tu pięknie. Te góry tak stały, jak nas jeszcze nie było, i tak samo będą stać po naszej śmierci. A nawet po śmierci ostatniego człowieka na Ziemi.

- Jak zwykle masz cholerną rację, tato.

- Aż by się chciało tu zostać.

- Nie musimy już nigdzie iść. Możemy sobie tu poleżeć, a potem zaproszę cię na piwko do schroniska.

- Ee tam, szkoda pieniędzy, marża duża. W mieście kupimy, w sklepie. Ty lepiej oszczędzaj, synek, bo przyjdzie bida i każdy grosz będzie ważny. Myślałeś kiedyś o przyszłości? O tym, jak sobie zapewnisz byt? Jak rodzicom starym pomożesz, kiedy będzie trzeba? Wiesz w ogóle, skąd będziesz miał na to wszystko pieniądze?

Spoglądał na mnie z autentyczną troską, nie było w tym krzty dziaderskiego mentorstwa. Poczułem, jak bardzo go kocham. Kimkolwiek był.

- Nie martw się, tato. Mam to w małym palcu.





# Głęboki błękit

DOMINIKA SŁOWIK

Jestem stroicielem teleportów. Zajmuję się przemieszczeniami od pięćdziesięciu lat. W wielkim centrum przeładunkowym stroiłem teleports obsługujące całą kulę ziemską.

Dzisiaj to zapomniane rzemiosło, wszystko działa na autopilocie.

Klawiatura paneli była dla mnie jak instrument. Wyczuwałem w niej tony, ostukiwałem opuszkami palców klawisze pulsujące od częstotliwości, szerokości, długości, gęstości. Wykresy przestrzenne parametrów fizycznych rozpościerały mi się przed oczami jak krajobrazy niezbadanych światów.

Po zaledwie kilku taktach pulsu wykresu potrafiłem zidentyfikować rodzaj załadowanego materiału, jego wielkość, kształt. Szum powoli ładującego się rdzenia, delikatne trzeszczenie przekaźników – rozpoznawałem je, jak rozpoznaje się nuty znajomej melodii. Przemieszczałem towary z miejsca na miejsce z precyzją co do milimetra.

Umiejętność strojenia była kluczowa – źle nastrojone teleports mogły minąć miejsce odbioru o setki kilometrów. Czy wyobrażacie sobie, co stałoby się, gdyby ładunek niebezpiecznych chemikaliów wylądował w niewłaściwym miejscu?

Zaczynałem jako najzwyczajniejszy doręczyciel pizzy w latach trzydziestych, kiedy teleports dla indywidualnych odbiorców dopiero raczkowały, były zaledwie ekscytującą, ale niezbyt rozpowszechnioną nowinką dostępną wyłącznie dla najbogatszych.

Pamiętam moją pierwszą pizzę wysłaną teleportem – przemieszczaliśmy ją z kuchni na restauracyjny stolik. Maszyna była źle nastrojona, pizza pojawiła się wysoko pod sufitem i opadła z głośnym plaśnięciem na talerz, opryskując eleganckie stroje gości gorącym sosem pomidorowym.

Tamtego dnia nie zebraliśmy zbyt wielu napiwków (goście przy opłaceniu rachunku mogli wrzucić pieniądze do „teleportu” podsuwanego im przez kelnera – w rzeczywistości była to zwykła kartonowa skarbonka pomalowana srebrnym sprejem i wyłożona gąbką, żeby monety nie brzęczały). Mimo to ja i tak czułem się, jakbym właśnie przeżył swój najwspanialszy dzień w życiu. Moment, kiedy na moich oczach dematerializował się mały kawałeczek świata... Miałem wrażenie, że nagle wszystko stało się możliwe.

Szybko trafiłem stamtąd do frachtu. Obsługiwałem ogromne teleporty surowcowe. Okazało się, że mam dryg do tej branży.

Zaczynałem od najniższych posad w czasach, kiedy teleporty o dużej przepustowości wciąż jeszcze były miejscem pracy wysokiego ryzyka. Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, ale wtedy nie było jeszcze nawet mowy o teleportacji ludzi.

Byłem tragarzem, potem pakowaczem, wreszcie ładunkowym.

Jako tragarz i pakowacz nie widziałem nawet teleportu na oczy. Awans na ładunkowego był dużą sprawą. Nie miałem odpowiedniego wykształcenia, poręczył za mnie stroiciel, starszy człowiek, który dobrze pamiętał czasy sprzed odkrycia teleportacji. Byłem odpowiedzialny za właściwe rozmieszczenie ładunku zgodnie z planem wyliczonym przez stroiciela. Precyzyjna i ciężka praca. Wszystko musiało się zgadzać – odpowiedni rozkład wagi, zasięg materiału. Często pracowało się w ciężkich maskach, grubych skafandrach, jeśli przeznaczone do przesunięcia materiały były wysokiego ryzyka.

W zaledwie kilka lat od wynalezienia pierwszego teleportu przemieszczenie zdominowało globalny transport. „Nowy filar gospodarki” – tak o tym mówiono. I pomyśleć, że odkrycie teleportacji w 2020 roku niemal przegapiono! Pierwsze wzmianki na temat przypadkowych wyników jakiegoś drobnego eksperymentu ukazały się wyłącznie w specjali-



stycznej prasie naukowej i chociaż świat fizyków był poruszony mikroprzemieszczeniami cząstek, sprawa początkowo przeszła bez echa. Dopiero kiedy rozwój badań pozwolił na przesunięcie tak dużych obiektów jak ziarno piasku (i to na odległość widoczną wreszcie gołym okiem, bo kilkucentymetrową), video z tego wydarzenia rozeszło się jak wirus i wywołało prawdziwą medialną burzę. Wtedy też po raz pierwszy użyto słowa „teleportacja”, które wywołało zbiorowe uczucie euforii wymieszanej z histerią.

Marzono o przełomie w przemyśle, transporcie pasażerskim, medycynie, transplantologii. Fantazjowano o podróżach kosmicznych. Do dzisiaj w archiwach można znaleźć materiały, których autorzy zachłystywali się „nową szansą dla ludzkości”. Wieszczono zakończenie światowego głodu, zatrzymanie, a nawet cofnięcie katastrofy klimatycznej, zlikwidowanie wojen.

Opowieści snuto niczym plany, plany zamieniano w opowieści.

\*

Szybko zorientowano się, że przemieszczenie jest największym bogactwem współczesnego świata.

Od początku skutecznie kontrolowano dostęp do nowej technologii – wielkie teleporty były zbyt drogie i zbyt skomplikowane, żeby je, ot tak, skopiować czy produkować masowo. Wkrótce obok frachtu powstały specjalne teleporty rurociągowo. Światowa sieć przesyłu została zmonopolizowana przez kilku państwowych i ponadpaństwowych graczy – tych samych zresztą co zawsze. Jeśli raz masz prawdziwe pieniądze, masz już je zawsze – gdy raz przekroczysz tę umowną barierę, po prostu nie możesz już zbiednieć.

Miniaturyzacja teleportu sprawiła, że przesunięcie stało się dobrem luksusowym dostępnym dla najbogatszych. Milionerzy instalowali w swoich rezydencjach teleporty, które kosztowały tyle co produkt kra-

jowy brutto małego, niezamożnego państwa i służyły do przenoszenia zimnych drinków z kuchni nad basen.

To był czas transformacji gospodarczej, którą jakiś dowcipny dziennikarz nazywał „czwartą rewolucją” (neolityczna, przemysłowa, cyfrowa i nasza, teleportacyjna). Byliśmy dziećmi epoki przemieszczenia. I chociaż rozwój sieci teleportacyjnej był ściśle nadzorowany i wiele wtedy mówiono o tak zwanym łagodnym przejściu na nowy model gospodarczy, nie uchroniło to świata przed bessą w kluczowych sektorach – na nic zdały się próby wprowadzenia kontrolowanej perspektywy rozwoju, limitów frachtu i obostrzeń dotyczących teleportacyjnych szlaków.

Wiele branż upadło, niemal w każdym kraju gwałtownie wzrosło bezrobocie, a na peryferiach wybuchło, wbrew przewidywaniom o nadchodzącym globalnym pokoju, kilka wyjątkowo krwawych wojen. Niektórym życie poprawiało się szybciej, innym poprawiało się zdecydowanie za wolno. Katastrofy klimatycznej nie udało się cofnąć, ale niektóre zjawiska skutecznie zahamowano (zwłaszcza te, których efekty odczuwano na tak zwanym Zachodzie).

Nawet religie jakoś pogodziły się z tym nowym cudem i dość szybko znalazły dla niego wyjaśnienie w odpowiednio starych pismach czy przepowiedniach.

*Status quo* został zachowany.

Tylko giełdy, zamiast kosztu baryłek, podawały teraz przepusty rdzeni teleportów.

Ja w tamtym czasie znów awansowałem, nadzorowałem cały węzeł transportowy, zarabiałem nie tylko dużo, ale przede wszystkim w najbardziej wartościowej walucie opartej o standard rdzeniowy, dostępnej tylko dla nielicznych.

Prawdziwy przełom nadszedł jednak wraz z rozwojem teleportów pasażerskich. Pamiętam pierwszą żywą teleportację. Oglądaliśmy ją wspólnie.

nie w magazynie, akurat byłem na zmianie. Na ekranie leciała transmisja na żywo, ekran podzielono na dwie części.

Pies, którego wybrano do przemieszczenia, wyglądał niemal tak samo jak ten, który w zamierzonych czasach został wysłany w kosmos. Wsadzono go do teleportu po lewej stronie ekranu. Teleport przypominał niewielką skrzynkę, był bardziej podobny do naszego starego pudełka na napiwki niż do nowoczesnych frachtowców. Kiedy drzwiczki za zwierzęciem się zatrzasnęły, wydawało mi się, że przez głos dziennikarza, który komentował wydarzenie na żywo, przebija się drapanie pazurów o drzwi kabiny.

Gdy ładowacz wcisnął guzik, na kilka sekund zamknąłem oczy. Widziałem raz, co się dzieje z człowiekiem, jeśli przez przypadek znajdzie się w strefie aktywnej teleportacji. To nie był ani przyjemny widok, ani łatwa śmierć. Zapadła cisza. Otworzyłem oczy dopiero, gdy znów rozległo się szczekanie. Po prawej stronie ekranu w tę i z powrotem merdał psi ogon.

- Jeden mały krok dla psa, wielki skok dla ludzkości - powiedział dziennikarz z szerokim uśmiechem.

\*

W ciągu kilku lat duże teleporty pasażerskie wyparły samoloty. Mniej więcej w tym czasie straciłem moją starą posadę. Wszystko się automatyzowało. Musiałem szukać zleceń jako freelancer. Na trochę zahaczyłem się przy wojsku.

A potem zamordowano Marianne Hebbler.

Każdy, kto żył w tamtym czasie, pamięta, co robił, kiedy usłyszał wiadomość o zabójstwie. Hebbler, ministra spraw zagranicznych prawicowego rządu, zginęła wielokrotnie dźgnięta nożem, siedząc za biurkiem w swoim gabinecie. Gabinet znajdował się na dziewiątym piętrze piętnastopiętrowego budynku ministerstwa, okna były zakratowane, a na korytarzu pod dokładnie zamkniętymi na klucz drzwiami stali dwaj

uzbrojeni w broń palną ochroniarze, bo Hebbler od dłuższego czasu dostawała pogrózki.

Ochroniarze niczego nie słyszeli, dopóki zamek w drzwiach gabinetu nie zgrzytnął otwierany od środka. W progu gabinetu stanęła zakrwawiona dziewczyna z nożem w dłoni, którą potem zidentyfikowano jako Teresę S., aktywistkę walczącą od lat o prawa człowieka.

Nie byłoby w tym nic nadmiernie szokującego, politycy i polityczki nieraz przecież ginęli, i to w gorszy sposób, a wielu wyborców dokładnie tego im życzyło, ale tym razem coś innego wstrząsnęło opinią publiczną: zabójczyni teleportowała się prosto do gabinetu. Powinno to być niemożliwe, teleporty przenoszące żywe stworzenia działały wyłącznie dwukierunkowo, tzn. potrzebne były dwa sloty, tzw. starter i lądowisko. Przeczesano cały gabinet i sąsiednie pomieszczenia w poszukiwaniu prowizorycznego lądowiska, bo założono, że ktoś musiał je tam ukradkiem zainstalować, ale budynek był czysty.

Dwadzieścia cztery godziny później do globalnej sieci wrzucono szczegółowe plany budowy wielokierunkowego miniteleportu, czyli takiego, który pozwalał na teleportowanie się do dowolnie wybranego miejsca. Do publikacji przyznała się organizacja, do której należała Teresa S.

Technologia teleportacji, do tej pory ściśle tajna i bardzo droga, nagle stała się dobrem wspólnym. Szybko się okazało, że skonstruowanie małego pasażerskiego teleportu jest stosunkowo proste i nie droższe niż bilet na podróż oficjalnym wielkogabarytowym teleportem pasażerskim. Oczywiście wszystkie państwa, które miały udziały w sieciach przesyłowych, błyskawicznie wprowadziły nadzwyczajne dekrety, w których wyznaczano wysokie kary za rozpowszechnianie, konstruowanie i korzystanie z nielegalnych teleportów. Niektóre rządy ogłosiły stan wyjątkowy. Nie na wiele się to jednak zdało.

W późniejszych analizach badacze dziejów najnowszych nazwą ten okres „kulminacją epoki przemieszczenia”. To właśnie wtedy powstała teoria acentryczna, stworzona przez doktorkę Kaupuri, według której w świecie z ruchomym centrum peryferium nie istnieje, bo zawsze może stać się również centrum.

W mediach przez wszystkie przypadki odmieniano takie słowa jak: „anarchia”, „przemyt”, „napad”, „gwałt”, „kradzież”, „zamach”. Począt-

kowo ludzie wpadli w panikę, nikt nie czuł się bezpiecznie. Zapowiedziano wyjście wojska na ulicę w celu utrzymania porządku. Wprowadzono dodatkowe zabezpieczenia w więzieniach.

I rzeczywiście skala przemocy na początku gwałtownie wzrosła, ale bardzo szybko wróciła do swojego zwykłego poziomu. Ludzie zachowali się znacznie lepiej, niż sami się po sobie spodziewali.

Wkrótce potem ruszyły pierwsze fale nielegalnej teleportacji z najbardziej dotkniętych katastrofą klimatyczną terenów.

Były to tragiczne obrazy, bo pirackie teleporty, nieumiejętnie obsługiwane, źle skalibrowane, wyrzucały ludzi w najróżniejszych miejscach: wysoko nad ziemią albo, co gorsza, pod ziemią czy wprost w ścianę (dosłownie) betonowego budynku. Były to podróże desperackie i niebezpieczne, ale masowe: według dzisiejszych ostrożnych szacunków w ciągu zaledwie trzech tygodni teleportowało się kilkanaście milionów osób uciekających przed morderczą falą upałów rozciągającą się poniżej dwudziestego równoleżnika.

Kryzys humanitarny był jednak mniej niepokojący dla rządzących niż kryzys gospodarczy, który po raz pierwszy uderzył w nich samych – rozbił monopole i uspołecznił podstawowe bogactwo świata.

\*

Konflikty wojenne, w których używano teleportów, zamieniały się w zwykłą rzeź. Cła, traktaty handlowe, ustalenia wspólnot gospodarczych – wszystko poszło do kosza. Nic się nie zgadzało tradycyjnym geopolitykom, oceany nie chroniły, wyspy nie izolowały, góry nie zagrażały drogi. Zachód już nie leżał na zachodzie, tylko tam, gdzie akurat wypadło.

Oczywiście natychmiast po zamachu na Hebbler rozpoczęto prace nad ochroną antyprzemieszczeniową. Szybko udało się stworzyć tarcze o małym zasięgu, co pozwalało zabezpieczać pojedyncze domy i mniejsze budynki. Problemem pozostawała obrona większego obszaru. Niejeden z polityków wygrywał kampanie wyborcze, obiecując budowę wiel-

kich barier wziętych prosto z filmów science fiction: pól siłowych, gigantycznych murów i tarcz. Jeden wymyślił nawet ogromny rozsuwany dach, który miał rzekomo zostać rozpostarty nad całym krajem. Bawiło nas to w branży, ale przecież ktoś na tych ludzi głosował.

Dobre kilkanaście lat zajęło, nim nowy świat wyłonił się z tego starego nieporządku.

W tym czasie pracowałem głównie jako mechanik wojskowy. Dorabiałem też nielegalnie, dla prywatnych zleceniodawców – chociaż wtedy rozdział między legalizmem a przestępstwem się zacierał.

Jak odróżnić przemyt od handlu? Podróż od nielegalnej imigracji? Jak pilnować świata bez granic? Kto ma pilnować, a kto ma być pilnowanym?

\*

Mój teleport jest niewielki, jego załadunek to maksymalnie 500 kg.

Zajmuje jeden pokój w moim małym domku.

Tak, zbudowałem sobie wokół niego dom.

Jak wielu specjalistów, którzy pracowali przy rdzeniach pierwszej generacji, cierpię na chorobę przemieszczeniową.

Żyję już pewnie i tak dłużej, niż powinienem. Powoli zaczęło się zaniechanie. Wypadły mi włosy i brwi, paznokcie cienieją, rzęsy robią się szkliste.

Tęczówki gubią kolor, stają się coraz jaśniejsze, jakby w oczy wlewała mi się woda, w której unoszą się ciemne punkty źrenic.

Od kilku lat mieszkam tu samotnie.

Przyjmuję u siebie to, co powinno zniknąć.

Nie pytam, nie dociekam.

Mam licencję, rządowy kontrakt. Moja działalność jest legalna, ale biorę czasem zlecenia na boku. Dawne przyzwyczajenie.

Mój teleport to stary, zapomniany sprzęt, na który trafiłem kiedyś podczas pracy na jednym z wojskowych kontraktów. Niewiele takich

zostało, jeśli w ogóle. Nie wiem, czy ktokolwiek poza mną potrafiłby go obsługiwać.

Czasem przychodzą do mnie ludzie, którzy proszą, by wysłać ich w kosmos. Zwykle się godzę. W szpitalach lekarze nie pozwalają na ostatnie przemieszczenia, dają zastrzyk, po którym po prostu zasypiasz – mówi się, że wykorzystywanie teleportacji do takich celów jest „nieetyczne”.

Najczęściej jednak ci, którzy tu trafiają, życzą sobie, by wysłać ich ponad ocean.

Kiedy po rozpowszechnieniu się teleportów pasażerskich pojawiły się pierwsze samobójstwa teleportacyjne, najchętniej przemieszczano się wysoko ponad wielką wodę. Podobno człowiek natychmiast ginie przy zderzeniu z taflą.

To nie może być zła śmierć – a jestem w takim wieku, że od dawna już wiem: śmierć dzieli się na dobrą i złą. Wylądować pod chmurami, z błękitem u stóp, zbliżyć się ku niemu i widzieć, jak błękit wyciąga się ku tobie, wznosi, faluje, cały dygocze, by cię w siebie przyjąć, głęboki, aż bieleje, osnuwa cię pianistymi krawędziami bieli.

Tak, to musiała być dobra śmierć. To musi być ta dobra śmierć.

Niekiedy myślę sobie, że zajmuję się likwidacją świata.

W dawnych czasach byłbym pewnie śmieciarzem.

Właściwie wciąż jestem śmieciarzem, tylko skuteczniejszym.

A może nie tyle skuteczniejszym, ile bardziej bezlitosnym.

Wyrzucam w przestrzeń kosmiczną wszystko, co jest nam zbędne. Jestem podwykonawcą, najczęściej przywożą mi do utylizacji jakieś opieczętowane, dokładnie zaplombowane odpadki z laboratoriów.

W ramach dostępnej nam technologii maksymalny zasięg, który można ustawić na rdzeniu, sięga nieco powyżej górnej granicy egzosfery. Rojenia o podróżach na Księżyc i dalej, w głąb wszechświata, okazały się póki co wyłącznie tym – rojeniami. Jestem pewien, że nie możemy rzucać się tak bezkarnie w niebo ponad nami – ale tym już będą się musiały zająć przyszłe pokolenia.

Czuję się, jakbym patrzył na nowy świat z tylnego siedzenia.

Po niemal dwudziestoletnim konflikcie wojennym i chaosie lat osiemdziesiątych było jasne, że potrzebna jest nie tyle zmiana, co zrozumienie, że ona już zaszła. Przemieszczenie zrewolucjonizowało nam życie.

Na pamiętnej konferencji pokojowej w Uppsali ustalono podstawowe założenia globalnej transformacji (Dwa pierwsze i najważniejsze punkty brzmiały: 1. Górna granica zamożności człowieka nie może przekraczać przepustu połowy rdzenia teleportacyjnego, rewaloryzowanego według zapisów artykułu 123. 2. Sygnatariusze postanawiają, że do 2110 roku we wszystkich regionach, które reprezentują, zostanie przeprowadzona pełna transformacja na system bezpieczeniowy, oparty o jednostki wydawanego czasu).

Przejście na gospodarkę bezpieczeniową nie wszędzie udało się jednako dobrze. Tu i tam łby znów podnoszą niewyciszone ekstremizmy. Nie wszystko rozumiem, nie wszystko mi się podoba. Trudno przyzwyczaić się do nowego. Ale i tak działa to znacznie lepiej, niż można by się spodziewać. Czasem myślę sobie, że może naprawdę coś z tego będzie, a przecież na koniec życia zwykle niewiele zostaje w człowieku wiary.

Niekiedy odwiedzają mnie tutaj innowiercy. Nawet ich polubiłem, uprzejmi ludzie. I dość zabawni, chociaż sami na pewno tak o sobie nie myślą. Tuż po rozpowszechnieniu się teleportów pasażerskich wielu prognostyków przepowiadało kres religii, „zupełny koniec metafizyki wobec tak dosadnego triumfu nauki”.

Coraz szybciej rosnąca rzesza wyznawców nowej wiary (sami siebie nazwali „innowiercami”) ma z pewnością na ten temat inne zdanie.

Według członków tej nowej sekty moment pierwszej w życiu teleportacji jest momentem przejścia do lepszego świata i końcem naszej ziemskiej wędrówki, dlatego innowiercy nie teleportują się, dopóki nie są na to w pełni gotowi. To właśnie oni najczęściej proszą mnie o przemieszczenie ponad ocean – ich pierwsze przemieszczenie jest zarazem ostatnim. Trzeba przyznać, że mają w sobie sporo samozaparcia, żeby w dzisiejszych czasach żyć poza ramą podstawowej technologii. Według mnie ich wierzenia nie trzymają się kupy, ale trzeba im przyznać, że ciekawie o tym opowiadają.



Raz zapytałem uprzejmą innowierczynię, która przyszła do mnie głosić dobrą nowinę: – Dlaczego w takim razie po mojej pierwszej teleporcji, lata temu, świat był dokładnie taki sam, jak przed nią?

Kobieta spojrzała mi poważnie w oczy, położyła rękę na mojej dłoni, i po chwili milczenia powiedziała współczująco:

– Najprawdopodobniej trafiłeś do piekła.

Okropnie mnie to rozbawiło.

Kiedy byłem znacznie młodszy, wierzyłem, że kolejnym krokiem ludzkości będzie podróż w czasie. Niewiele wtedy jeszcze wiedziałem i wydawało mi się to zupełnie logiczne. Sam nawet po godzinach dłużałem trochę przy kupionym z drugiej ręki zepsutym miniteleporcie podobnym do tego, który obsługiwałem w restauracji. Robiłem jakieś obliczenia, czytałem podręczniki, zapaliłem się na tyle, że podpytywałem o coś inżynierów, którzy pracowali u nas w centrum przeładunku. Byli uprzejmi, ale dzisiaj czuję zażenowanie na samą myśl o tym, jak musieli sobie ze mnie żartować, kiedy wychodziłem z ich pokoju. Jedyne, co mi się udało zrobić, to zamienić tamten niedziałający teleport w podgrzewacz do lunchu. Stał potem przez kilka lat w stołówce.

W religii innowierców szczególny nacisk kładzie się na kilka ułamków sekundy pomiędzy startem a lądowaniem. Mózg ludzki nawet nie zauważa tej krótkiej pauzy, wiemy o niej wyłącznie dzięki pomiarom. To opóźnienie odkryto już na początku badań nad teleportacją i do tej pory nie udało się zaprezentować żadnej przekonującej hipotezy ani tym bardziej udowodnić sensownej teorii, która tłumaczyłaby, gdzie przez ten krótki czas się podziewamy.

I chociaż nie poznam już pewnie odpowiedzi na to pytanie, dzisiaj myślę sobie, że jedno łączy się z drugim i ma jakiś sens, bo przecież dokładnie tym była każda podróż, którą kiedykolwiek odbyłem – podróżą w czasie.

Ja też w końcu wsiądę do teleportu, wyceluję go daleko, wysoko, w głęboki błękit i wyruszę po raz ostatni – ku przyszłości.





# Straszne skutki awarii odkurzacza

MIŁOSZ HORODYSKI

Papierowe rurki nie uratowały świata. Co prawda jest mniej plastiku, ale to dlatego, że kolejny wirus znacznie przetrzebił populację. Z analiz sztucznej inteligencji wyszło, że tylko ona jest ratunkiem dla cywilizacji. Nie dla ludzkości. Dla cywilizacji. Dlatego maszyny rządzą. I idzie im to niestety ciut lepiej niż naszym politykom. Przy okazji nie sprawdził się czarny scenariusz z popularnego filmu science fiction. Nie jesteśmy żywymi bateriami napędzającymi matrix. A to już jest coś. Bo przynajmniej możemy wyjść z domu, a raczej z boksu. Finalnie jednak sztuczna inteligencja i tak nas wykiwała. Pod pretekstem skuteczniejszego zarządzania kwarantanną skłoniła ludzkość do zamknięcia się w rezerwacie. I, co gorsza, teraz wszystkim jest z tym dobrze. Zarówno ludzkości, jak i sztucznej inteligencji. Ta ostatnia zajęła się rozwiązywaniem istotnych problemów świata, takich jak ochrona naprawdę potrzebnych gatunków czy załatanie dziury ozonowej. Ludzkie problemy zeszły na margines. W sensie dosłownym, bo Ziemia stała się przede wszystkim oazą dla wszystkich gatunków, które przez ostatnie tysiąclecia traciły na bliskich relacjach z człowiekiem. Większość, marginalnych w skali planety, problemów *homo sapiens* da się rozwiązać za pośrednictwem cyfrowej waluty bithajs, której maszyny nam nie szcędzą. Znacznie cenniejsze są dla nich tlen i inne naturalne zasoby Ziemi, które po zminimalizowaniu aktywności ludzi przestały ulegać degradacji. Bardziej skomplikowane zagadnienia natury egzystencjalnej, na które szkoda maszynom mocy obliczeniowej, a które dotyczą ludzkiego gatunku, pozostały nierozwiązane. Sztuczna inteligencja doszła do

wniosku, że choć ludzkość jest irracjonalna, to nie wywoła kolejnej wojny, spierając się o sens życia. A ponieważ sztuczny mózg nigdy nie zadał sobie na poważnie pytania, czym dla człowieka jest sens życia, nie mógł przypuszczać, jakie skutki może naprawdę wywołać jego brak. Nawet jeśli jest nim tak, wydawałoby się, niepotrzebna czynność jak odkurzanie.

- Nie działa! - musiałem to powiedzieć na głos, bo nie mogłem uwierzyć, że zepsuł mi się odkurzacz.

Stałem i naciskałem czerwony przycisk raz za razem, ale charakterystyczny dźwięk silnika nie chciał się dobrać z plastikowych trzewi.

- Nigdy nie zrozumieję, po co ci ten odkurzacz! - współlokator z mojego boks, w którym trzymałem łóżko, kilka szafek z ubraniami i odkurzacz właśnie, faktycznie nigdy nie mógł tego zrozumieć. Ale był to facet, który ledwo ogarniał alfabet.

- I nie zrozumiesz - odpowiadałem za każdym razem, kiedy wyciągałem grata z szafy. I na tym zwykle kończyła się nasza dzienna wymiana zdań.

Odkurzacz faktycznie nie był potrzebny. Nie tylko z punktu widzenia mojego współlokatora, ale i maszyn, które administrowały rezerwatem. Ja się pod tym nie podpisywałem. W odkurzaniu widziałem sens swojego istnienia. Wciągając rurą roztocza, których nawet nie miałem szans dostrzec, byłem częścią istotnego planu. Stawałem po stronie ludzkiego rozumienia ładu w kontrze do chaosu, do którego, moim zdaniem, doprowadziła nas wiara w technologię. Nie byłem zwolennikiem powrotu do epoki kamienia łupanego, ale myślące maszyny to jak dla mnie przesada. Z punktu widzenia Kartezjusza - wydaje mi się - też, bo funkcję myślenia filozof przypisywał przecież człowiekowi. I tak powinno zostać. Abstrahując od filozofii, dzięki odkurzaczowi miałem na coś wpływ. Nawet jeśli to była tylko wyobrażona walka z nieporządkiem. Byłem na swoich trzydziestu metrach kwadratowych Herkulesem, ale dla sztucznej inteligencji anomalią. Ponieważ ludzie w przeszłości wiecznie kłócili się o to, kto ma sprzątać, maszyny rozwiązały problem, definitywnie likwidując bałagan. Nie wiadomo, jak to zrobiły, ale jak by nie naświnić, zawsze było ostatecznie czysto.

- Nie musisz tego robić - mówiły mi boty, nakłaniając do odłożenia odkurzacza.

- Ale lubię - odpowiadałem stanowczo.

Maszyny wiedziały, że dzięki odpowiedniemu zarządzaniu ludzkim „lubie” moc obliczeniową można przekierować na sprawy naprawdę istotne. Jak choćby na monitoring siedlisk niepylaka apollo, motyla, dla którego prawidłowego rozrodu konieczne jest regularne nawożenie sucholubnych muraw porastających wapienne zbocza. Rozwikłanie problemów ekologicznych zastąpiło archaiczne kopanie kryptowalut. Kiedyś podanie wyniku matematycznej zagadki pozwalało na stworzenie nowego bloku w *blockchain*, co w konsekwencji dawało korzyść na przykład w bitcoinach. Dzisiejsze bithajsy maszyny generowały tylko wtedy, kiedy na świat trafiały kolejne pingwin, makak czy foka plamista. Albo jakiegokolwiek inne stworzenie wymienione na liście gatunków zagrożonych.

Człowieka maszyny postanowiły utrzymywać we względnym komforcie, podpinając go pod kroplówkę bithajsów i odpowiednio sterując popytem i podażą, czyli strumieniem wydatkowania cyfrowej waluty. Subtelna gra na potrzebach i ich umiejętne, poparte algorytmicznymi wyliczeniami zaspokajanie rozleniwiły ludzkość do tego stopnia, że sama zrezygnowała z wolności na rzecz wygody. Maszynom czerwona lampka zapalała się tylko wtedy, kiedy człowiek chciał je wyręczać. Samolot zawsze poradzi sobie z lataniem lepiej niż Ikar. Kiedy nie chciałem przestać odkurzać, maszyny zdecydowały, żeby mnie po prostu przekupić. Jednak zamiast łatwej kasy wolałem pocić się jak wieprz, machając każdego ranka rurą od odkurzacza w tę i we w tę. I dlatego trafiłem na terapię.

- Po co odkurzasz, skoro jest czysto? - pytał bot terapeutyczny. - Nie widzisz w tym braku logiki?

- Odkurzanie, choć może zabrzmieć to nielogicznie, nadaje mojemu życiu sens - odparłem, nie zagłębiając się w ideologiczne aspekty rozumienia przeze mnie ładu i chaosu.

Bot terapeutyczny w obawie przed splątaniem sieci neuronowych mógł tylko odesłać mnie do domu. Uznał, że skoro tłumaczę sobie odkurzanie polowaniem na roztocza, to z uwagi na to, że ostatecznie pozostawiam je przy życiu w trzewiach odkurzacza, działam proekologicznie. Innymi słowy, prowadzę hodowlę. A ponieważ roztocza, jak i inne gatunki pajęczaków, były pod ochroną, bithajsy i tak popłynęły do mnie strumieniem. A przy okazji znów mogłem cieszyć się radosnym odgło-

sem ssania połączonym z piskiem plastiku tańczącego po podłodze. Było to dla mnie każdego dnia zaproszenie do życia. Aż do dziś, kiedy bezradny odwróciłem korpus odkurzacza na grzbiet i zacząłem skanować wzrokiem jego powierzchnię.

- Może zepsuła mu się bateria? - mój współlokator z drinkiem w ręce postanowił na coś się przydać i wyrzucić z siebie większą dawkę słów, niż wskazywałyby na to dzienna statystyka.

- Jest na kabel. Widzisz?

- Kto dziś używa jeszcze rzeczy na kabel? - znowu się zdziwił.

Nikt. Taka prawda. Bo wszystko było na baterie, które z reguły nigdy się nie wyczerpywały. Nie wiem jak, ale sztuczna inteligencja wymyśliła sposób na ich samoregenerację. Gniazdko były dla maszyn, żeby w razie awarii baterii szybko się podładować. Spróbowałem jeszcze raz wetknąć wtyczkę do kontaktu, ale na odkurzaczu nie zrobiło to wrażenia. Przeleciało mi przez głowę, że mógł się zepsuć kabel, ale - podobnie jak samego odkurzacza - i tak bym go nie naprawił. Nie umiałem.

- Kup sobie wirtualny, twój holoawatar będzie za ciebie odkurzał - mój współlokator wspiał się na wyżyny swojego intelektu.

Przestałem go słuchać, bo po kolejnym drinku włączyło mu się bełkotanie. W świecie holopatostreamerów, do którego należał, właśnie teraz zyskiwał największą oglądalność w holoprzekaznikach. Kiedy opróżniał kolejną szklanę, ja dalej stałem nieruchomo nad odkurzaczem i zastanawiałem się, co zrobić. Nagle mnie olśniło! Złapałem pod pachę truchło maszyny i wybiegłem ze swojego boksu. Kilka przecnic dalej pukałem już do drzwi dawno niewidzianego znajomego. Otworzyła jego żona. Wyłupiaste oczy wskazywały na to, że całymi dniami oglądała holoseriale.

- Jest mąż? - bez „dzień dobry” czy innych takich przeszedłem do konkretnego.

Patrzyła na mnie tak, jakby musiała się upewnić, że nie jestem hologramem, a ona nie stoi na progu domu serialowego bohatera w holoprzekazie.

- Chyba na zakupach - nie była pewna. Myślę, że nawet nie była do końca pewna tego, czy ma męża.

- W realu czy wirtualu? - kiedyś pewnie zapytałbym, czy po prostu jest w domu.

- Chyba w realu - na wszelki wypadek zajrzała do boksu. - A tak! - ewidentnie zatrybiła. - Całymi dniami go nie ma. Łazi teraz i kolekcjonuje jakieś przyrządy do kaligrafii. Twierdzi, że jest renesans ręcznego pisania i robi na tym biznes. O proszę, wykaligrafował ten symbol szczęścia. Podobno przyciąga bithajsy.

Na drzwiach koślawymi kulfonami skreślono K+M+B. Pokiwałem głową z udawanym zainteresowaniem, choć miałem głębokie przekonanie, że te trzy litery nie są magnesem na pieniądze.

- A prowadzi jeszcze w holoprzekazie kanał „Vintage Elektryk”? - dopytywałem z nadzieją, że sąsiad wskrzesi odkurzacza.

- Wreszcie zamknął ten durny kanał! Mówiłam mu, że to głupie zajęcie! Teraz, żeby robić zasięgi, trzeba być albo mocno walniętym, albo holopatostreamerem. To się obraził i wyrzucił wszystkie narzędzia.

Odpuściłem. Wyglądało na to, że nie dość, że nikt mi nie pomoże naprawić odkurzacza, to nawet nie pożyczę staromodnego śrubokręta krzyżakowego. Tak jak nie trudiłem się, żeby się przywitać, tak się nie pożegnałem. Zwyczajnie odwróciłem się na pięcie z odkurzaczem pod pachą. Poszedłem przed siebie. Bez celu, ale i bezmyślnie, bo po paru krokach zaliczyłem glebę. Spotkanie odkurzacza z brukiem, które było nieuniknione, tak jak i moje, odebrało mi ostatecznie wiarę w to, że odkurzacz ożyje.

- Nic nie dzieje się bez przyczyny - usłyszałem głos, który wyrwał mnie z depresyjnej katatonii.

Przede mną stał CyberShaman. Jego kanał w rezerwacie oglądały miliony, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, kim był i skąd się wziął. Wszyscy za to wiedzieli, kim jest. Oszołomem. Czyli robił zasięgi. Na żywo robił też dużo większe wrażenie niż na holoprzekazie. Miał chyba ze dwa metry wzrostu i długie białe włosy sięgające do pasa. Czułem się przy nim jak hobbit przy Gandalfie.

- Chodź ze mną. Damy drugie życie twojej maszynie.

Poszedłem. Nie miałem lepszej alternatywy. Choć nie pokładałem w tym spotkaniu większej nadziei, patrząc na popękany plastik korpusu odkurzacza.

- Czy wiesz, że świat, który oglądamy, jest jedynie holoprojekcją? - zapytał CyberShaman, cedząc słowa przez zęby, przez co wydawało się, że mówi jakieś strasznie ważne rzeczy.

Wiedziałem. Oglądałem jego kanał. CyberShaman, mówiąc w skrócie, wierzył w to, że maszyny, nie oszczędzając energii ani bithajsów, zafundowały nam jedną wielką holograficzną symulację przypominającą realny świat. To ma nam uniemożliwić kontakt z kosmiczną inteligencją, której jesteśmy częścią. Odcięci od niej nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na pytanie o sens życia.

- Maszyny chronią przed nami wiedzę o sensie życia.

Zastanowiło mnie to.

- A czy nie jest tak, że nigdy się za to na poważnie nie zabrały, bo szkoda im mocy obliczeniowej?

Zapadła niezręczna cisza. CyberShaman patrzył na mnie przenikliwie. W moim przekonaniu nie wiedział, co odpowiedzieć, bo jego twierdzenie było zwyczajnie idiotyczne. W jego przekonaniu nie byłem dość otwarty na wiedzę.

- Umiesz naprawić mój odkurzacz? - zmieniłem temat.

CyberShaman rozchmurzył się na to pytanie i poprawił falę siwych włosów.

- Wszedłeś na ścieżkę prawdy - odparł i poklepał mnie po plecach.

Odkurzacz wylądował na stole nakrytym obrusem w stylu aborygeńskim. Nie wiem, skąd coś takiego CyberShaman wytrzasnął, ale robiło robotę. Zamknął oczy i położył dłonie na plastikowym korpusie. Zachęcił mnie, żebym zrobił to samo. Nie zadawał pytań, skupił się, wyobrażając sobie, jak życiodajna siła kosmosu zalewa mnie od stóp do głów, przepływa przez moje dłonie i łączy mnie i odkurzacz w jeden organizm. Nie mogłem się skupić, bo CyberShaman przez cały czas coś mruczał i nucił.

- Ej, znam ten kawałek - przerwałem, bo melodia przyczepiła się do mnie natrętnie, prowokując, abym przypomniał sobie jej twórcę - to jest ten, no...

CyberShaman łypnął na mnie złowrogo okiem.

- To jest koniec seansu. Wróć, jak będziesz gotów.

Obrażony zniknął w ciemnym kącie swojego - całkiem sporego jak na oszołoma bez kasy - boksu. Mimo wszystko wiedziałem, że szczerze chciał pomóc.

Przetransferowałem mu kilkanaście bithajsów i wróciłem do domu. Niechętnie, ale z braku pomysłu skontaktowałem się z callcenter rezer-



watu. Wiedziałem, że nie dogadam się z maszyną w sprawie odkurzacza. Dlatego sprawę postawiłem jasno.

- Chcę porozmawiać z człowiekiem.

Holobot administratora rezerwatu o aparycji miłej trzydziestolatki zastygł na moment.

- Niestety, w tym momencie wszyscy organiczni konsultanci są zajęci. Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Chcę porozmawiać o sensie życia.

Miałem wrażenie, że algorytmy jak wściekle przeszukują bazę pytań i odpowiedzi w celu znalezienia właściwej kwestii, którą wirtualna konsultantka przekaże mi z cyfrowym uśmiechem. Tak jak przypuszczałem, holobot się poddał.

- Łączę z organicznym konsultantem.

Pojawił się hologram o rysach zmęczonego życiem człowieka.

- Po co dzwonicz? Życie nie ma sensu.

Jego bezpośredni ton wyraźnie kontrastował z etykietą, jaką narzuciły sobie w kontaktach z ludźmi maszyny.

- Yyyyy... w zasadzie nie chodzi mi o sens życia, choć pośrednio tak, a dokładniej o odkurzacza.

Kiedy to wypowiedziałem na głos i nie zobaczyłem spodziewanej reakcji, spłynęła na mnie świadomość, że jak nieważnym problemem próbuję przebić się przez świat. Konsultant nawet nie trudził się, by nie patrzeć na mnie jak na wariata.

- Odkurzacza się zepsuł!

Konsultant miał zdecydowaną nietolerancję na ludzkie problemy.

- To wyrzucić.

I wyłączył się. Współlokator też chwilowo się wyłączył z pustą szklanką w dłoni, głośno chrapiąc. Ale dalej streamował, o czym świadczyły dźwięki powiadomień. Ludzkość kochała oglądać śpiących pijaków i lajkowała jak wściekła. Patrzyłem bezradnie na truchło odkurzacza. Kusiło mnie, żeby znów położyć dłoń na korpusie i zanucić szlagier wzorem CyberShamana. Zwalczyłem tę myśl i poszedłem ścieżką racjonalizmu. Wsadziłem wtyczkę do gniazdka, licząc na efekt twardego resetu. Taki upadek na ziemię, jaki zaliczył odkurzacza, mógł go tylko albo dobić, albo przywrócić do życia. Niestety, dobił. Poczuję złość. Emocje przekułem w działanie, kopiąc resztki maszyny. Od kopania się

zaczęło, na skakaniu po plastikowej skorupie skończyło. Na środku boksu leżało teraz wspomnienie po cywilizacji, która ostatecznie zakończyła swój żywot. Resztki plastiku mieszały się chaotycznie ze śrubkami, z nakrętkami. Gdzieś tam wystawały kable, które nie łączyły się już z niczym. Bezżyteczny czerwony przycisk dyndał na sprężynie w pobliżu silnika, którego nic już nigdy nie zasili. Spod łóżka czujnik wystawił, do tej pory praktycznie niewidoczny, robot sprzątający. Zamigotał i ruszył ochoczo w stronę bałaganu z misją jego likwidacji. Chwilę potem podzielił los odkurzacza. Siła destrukcji dała mi nową energię. Popatrzyłem na zgłiszcza i myśl o sprzątaniu rozgrzała mnie od środka. Wytargałem z truchła robota sprzątającego worek na śmieci i wrzuciłem doń po kolei najpierw resztki maszyny czyszczącej, a potem odkurzacza. I kiedy już podłoga wróciła do dawnego ładu, ogarnął mnie smutek. Siadłem bez życia, wypatrując z nadzieją drobinek śmieci, które dadzą mi kolejny impuls do sprzątania. W końcu chwyciłem worek i ruszyłem, by się go pozbyć. Na ulicy przyłapałem się na tym, że nie wiem, gdzie jest śmietnik. I czy w ogóle jest. Kręciłem się z workiem w kółko i nic nie wskazywało na to, że będę miał gdzie wyrzucić śmieci. To uświadomiło mi nieuchronność zmian, które nastąpiły w moim życiu. Mój codzienny rytuał, który trzymał mnie wciąż w klatce wspomnień o świecie bez sztucznej inteligencji, niedoskonałym, nieprzewidywalnym, stracił bezpowrotnie sens, tak jak sens straciło moje życie. Równie dobrze sam mógłbym teraz wleźć do worka na śmieci i czekać, aż trafię na wysypisko razem ze swoim odkurzaczem. Przez głowę przebiegła mi myśl – desperacka, ratująca rozpadający się umysł. A może CyberShaman ma rację, może wszystko jest po coś. Może właśnie realizuje się teraz plan kosmicznej inteligencji, rodzi się załazek buntu przeciwko światu, który zwrócił nas ku materii, oddalając od istoty człowieczeństwa. Może jestem współczesnym Prometeuszem, który niesie ludzkości ogień, by mogła spalić maszyny wraz z ich idealnym porządkiem. Wyrwać ludzkość z rezerwatu. Przywrócić wolność.

- Nie masz zbędnych bithajsów, kierowniku? - zachrypiął mi do ucha przepity głos.

Menel obudził we mnie na powrót cynika. Nawet jeśli ludzkość wróci tam, skąd wyszła, to przyszłość, jaką zbuduje, cofnie ją do tego, co zmusiło nas kiedyś do zmiany. Nie ma innej przyszłości dla nas. Sięgnąłem po wirtualny portfel i przetransferowałem menelowi parę bithajsów.

- Tylko nie na alkohol!

- Ależ w życiu, kierowniku, przecież też muszę coś jeść! - podziękował i kiedy nie patrzyłem, dał dyla do najbliższego monopolowego.

Sztuczna inteligencja odpuściła walkę o prohibicję, bo zrozumiała, że ludzkość nie przestanie zalewać sobie pały. Było to dla maszyn bez sensu, ale tak jak i sensem, nie zajmowały się nonsensem. A ja nie zamierzałem rozkminiać powodów, dla których i ja nie mógłbym się nawalić. Ruszyłem w ślad za menelem, kiedy poczułem, że worek ze śmieciami, który wciąż wlokłem ze sobą, zaczyna się ruszać. Najpierw myślałem, że sam niechcący uderzyłem w skrawki plastiku, wywołując poruszenie, ale moja dłoń ściskająca worek zaczęła nienaturalnie się telepać. W końcu coś w środku wora zaczęło desperacką walkę o wolność. Odrzuciłem od siebie śmieci, siadając z wrazenia na chodniku. Worek zaległ bez ruchu. Trąciłem go czubkiem buta. Nic. Kopnąłem mocniej, co spowodowało, że wypluł z siebie kilka skorupki plastiku. Ale na tym się skończyło. Zgarnąłem szybkim ruchem z ziemi śmieci, zawiązałem worek i żwawym krokiem ruszyłem w stronę parku. Kiedy odszukałem zaciszne miejsce, rozgrzebałem w ziemi dół i zacząłem upychać do niego worek. Ponieważ ciężko w świecie sztucznej inteligencji o zwykłą łopatkę, mimo że pazurami wygrzebałem co najmniej kilka kilogramów ziemi, worek dalej chamsko wystawał. Urwałem kawał gałęzi i rzuciłem ją na szczątki odkurzacza. Prawie go zasłoniła. Otrzeptałem ręce i ruszyłem na libację życia. Nie zdążyłem zrobić nawet kilku kroków, kiedy znowu wpadłem na CyberShamana.

- Pogrzeb?

W sumie to nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Chwycił mnie pod pachę i pociągnął z powrotem w stronę stosu śmieci.

- Jak ja dawno nie odbywałem tego rytuału - cały się podekscytował.  
- Pochowajmy twój odkurzacz!

Też nie pamiętam, kiedy byłem na pogrzebie. Ludzi się już nie cho wało. Po prostu znikali i pojawiali się zniecka w wirtualnej galerii przodków. Wyglądali prawie jak żywi. Uśmiechnięte hologramy wcho dziły w interakcję z użytkownikami galerii, opowiadając anegdoty ze swojego życia sprzed awansu na holoawatar. Zachęcały do zapalenia wirtualnego znicza i przetransferowania kilku bithajsów na utrzymanie tego dziwnego panteonu.

- Oddajemy dziś hołd tym, których już wśród nas nie ma, wierząc, że ziemski koniec jest początkiem nieziemskiej podróży - CyberShaman przykleknął nad workiem ze śmieciami, położył dłoń na szczątkach maszyny i z zamkniętymi jak w transie oczami wyrzucał z siebie słowo za słowem: - Połączmy się z kosmiczną energią. Co czujemy, kiedy myślimy, że ten szczęśliwy żywot mógł trwać dalej? Co dzieje się z nami, kiedy przepływa przez nas dojmujące doznanie jedności z wszechświatem? Kiedy w tej jedności odrywa się istotna część naszego jestestwa i ogarnia nas ból straty? Kiedy wielka tajemnica przemijania dotyka nas osobiście i stajemy się mali w konfrontacji z tym, co niewiadome? Człowiek wobec misterium końca staje się pokorny. Zapłaczmy nad tymi, których żegnamy. Zapłaczmy nad finałem ich zmagania z materialnym światem.

I zapłakał. Mnie też się zrobiło smutno. Coś mnie zaczęło zreć od środka, taki ścisk jakiś metafizyczny, taka dziura paląca w trzewiach. Łza spłynęła mi po policzku, jakbym rzeczywiście stracił kogoś, kto był mi bliski. Jakąś część swojego życia, której, co dojmująco odczuwałem, już nie odzyskam. I kiedy to uczucie zaczęło się mościć w środku mnie, rozkładając sobie leżak w oczekiwaniu na nadciągającą depresję, worek eksplodował. Zanim dotarło do mnie, co się stało, CyberShaman z sympatycznego staruszka przekształcił się na moich oczach w krwawą mamalygę. Raz po raz ćwiartowały go zaplątane w gałąź i strzępy worka na śmieci mechaniczne kończyny jakiegoś monstrum. Resztki zwierzęcego instynktu postawiły mnie do pionu, zanim ożywiony niczym mityczny potwór Frankensteina mechaniczny terminator spróbował owinąć się dyndającą rurą od odkurzacza wokół mojej szyi. Nie trafił. Oplątał się wokół drzewa, szarpiąc się jak bulterier na smyczy.

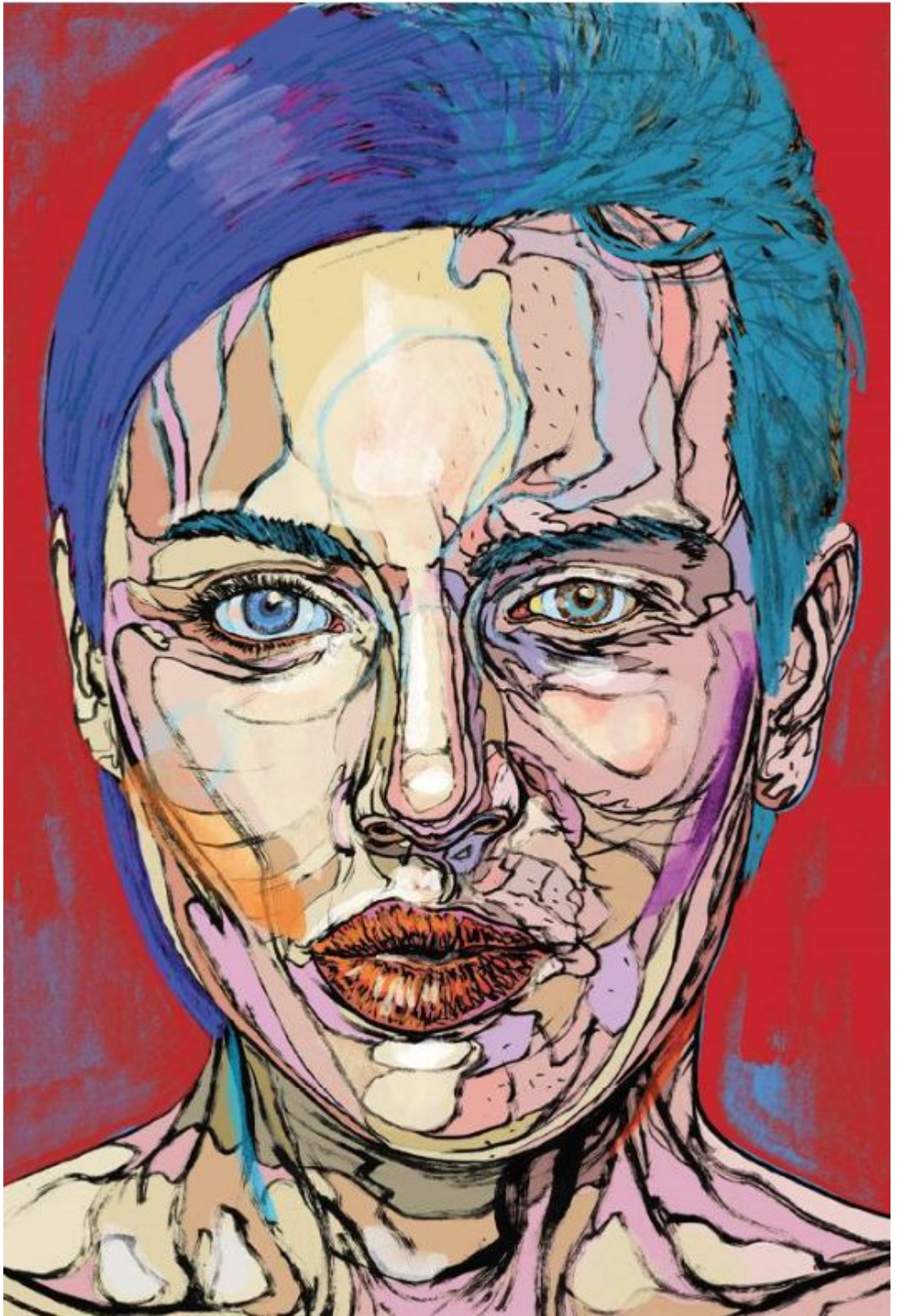
- Co tu się odwała!?! - zaryczałem i, nie tracąc ani ułamka sekundy na poszukanie odpowiedzi, poderwałem się do biegu. I w tym samym momencie, gdy rwałem się do przodu, poczułem, jak wciąga mnie potężny cug powietrza. Złapałem ostatni dech i wessało mnie na amen.

\*

Sztuczna inteligencja obserwowała całe zdarzenie szklanym okiem kamery monitoringu. Poczwała irracjonalny niepokój na widok ożywio-

nego odkurzacza siejącego krwawe spustoszenie w zalesionym parku, który powstał po to, by pomóc utrzymać skąpą populację świetlików. Sztuczna inteligencja przez chwilę śledziła plastikowego golema. Ewidentnie wyglądało na to, że narodził się wbrew zero-jedynkowej logice. Już miała przekierować większą moc obliczeniową, by przeanalizować, co zaszło, kiedy system zaraportował, że na Antarktydzie oderwała się ochrzczona mianem A-77 wielka góra lodowa. Elektroniczny mózg nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie tak istotnych i niepokojących symptomów zmian klimatycznych. Algorytmy ruszyły do pracy. Lada chwila olbrzymia kolonia pingwinów białookich na Antarktydzie mogła przestać istnieć.

0101



# siedemdziesiąt trzy godziny

ANNA CIEPLAK

- Sama opuściłaś algorytm czy ktoś ci pomógł? - zapytał Haro Erinę, która usiadła właśnie na różowym krześle kontrastującym z granatowym korytarzem przed biurem Sofii w kwaterze głównej Stowarzyszonych Lokalności (SL).

Erina już miała otworzyć usta, kiedy uchyliły się drzwi, a za nimi pojawiła się znajoma twarz Sofii, jednej z kluczowych pomysłodawczyń systemu gospodarczego, jaki obowiązywał w SL-ach po upadku pieniędzy. To już pięć lat od rewolucji. Sofia ściągnęła tutaj Erinę, a ta ostatnia nie miała jeszcze pojęcia dlaczego. Facet, który zadał jej pytanie o algorytm, wyglądał na mało zadbanego. Miał zapuszczony zarost i nieświeże włosy. Odniosła wrażenie, że przygląda się jej z nadmiernym zainteresowaniem. Tak jak czasami inni mężczyźni w jej SL-u, którzy próbowali uwieść ją na teksty o granatowych włosach. Jakby nie wiedziała, że są wyjątkowe. Na szczęście Sofia odpowiedziała za nią:

- Sądząc po imponującej jakości wymian Eriny, nikt jej nie musiał pomagać. Erina, mogę przesłać twoją historię życia Harowi? Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to będziecie niedługo ze sobą ściśle współpracować. Nie będzie za bardzo przestrzeni na to, żeby się poznać.

Erina się zawahała. Nadal nie wiedziała, po co dokładnie tu jest. Człowiek z tłustymi włosami nie budził jej zaufania. Ledwo go poznała. Przekazywanie historii swojego życia poprzez szybki transfer danych mózg-mózg pozwalał szybciej zrozumieć drugą osobę. To pewne. Równocześnie jednak drażniło ją to, że ten gąszcz informacji podlega interpretacji osoby, do której jest przesyłany. Nie po to zrezygnowała ze

swojej aplikacji reprezentacyjnej, kiedy trzeba było się na nowo zadeklarować po rewolucji. Nie chciała dookreślać, kim jest, i bawić się w szukanie własnego sobowtóra cyfrowego. Żyła, słuchała, nie chciała nakreślać własnej tożsamości obrazami siebie, które nie oddawały jej istoty. Odparła:

- Wolalabym nie.

Po twarzy Sofii przebiegł grymas:

- A ty, Haro? Przekazałbyś swoją historię Erinie?

Haro wlepił wzrok we własne buty, odkrywając przy tym, że są brudne od błota, i niepewnym głosem wymamrotał:

- Ja też nie wyrażam zgody.

Teraz usta Sofii rozciągnęły się w uśmiechu, a ona sama odparła:

- I właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałam! Obydwoje jesteście nastawieni na własną interpretację danych i zachowań. Wiecie, że tylko poza algorytmem da się rozwijać i konstruować świat. Świetnie! Pierwszy krok mamy za sobą. Teraz zapraszam do mojego gabinetu. Opowiem wam o misji.

Haro i Erina spojrzeli na siebie niepewnie. Nie mieli pojęcia, że biorą udział w rekrutacji. Entuzjazm Sofii wydawał im się nadmierny. A może to lata samotności i autonomii poza algorytmem nie pozwalały im wchodzić w nowe sytuacje bez ziarnka sceptycyzmu. Po rewolucji sporo osób w ich otoczeniu zrezygnowało z tego, o co same walczyły, i zatopilo się w fantazjach o własnym ego kształtowanym przez algorytm. Ludziom wydawało się, że ich transakcje i wartość osobista wzrosną, jeśli będą emanować idealnym obrazem siebie. Szybko więc do niego wrócili. Niestety, Erina odkryła, że im bardziej ludzie zatapiają się w wyrzutach dopaminy wywołanych sztucznym entuzjazmem, tym bardziej ich transakcje stają się bezwartościowe. I że nie prowadzą ani do rozwoju, ani do lepszego życia. To jedna z teorii, którą chciała przedstawiać zespołowi badaczy w głównej kwaterze SL-u jako osoba „z ludu”. Obawiała się, że podejda do niej sceptycznie, bo pracuje z ludźmi i nie ma – tak jak specjaliści – naukowych dowodów, potwierdzających jej obserwacje. Na samą myśl o tym smutno się uśmiechnęła. Ten podział na ekspertów i „zwykłych ludzi”, tak jak ona niezajmujących się nauką, tylko żyjących z innych czynności wykonywanych w ramach prac sezonowych, wydawał się jej żałośnie prosty. Przypomi-



nał też o tym, że dawne podziały klasowe wcale nie upadły, tylko zmieniły oblicze.

Erina niepewnie uniosła się z krzesła i poszła za Sofią. Haro wstał, dopiero gdy kobiety zbliżyły się do drzwi prowadzących do biura Sofii. Przez moment patrzył na granatowe loki Eriny, jakby były kobaltowymi falami. Tęsknił za morzem i liczył, że w ramach misji zostanie tam wysłany. Jeśli patrzyło się z zewnątrz, wydawało się, że Haro ma w sobie mniejszą pewność siebie niż Erina i sama wizyta w centrali sprawia mu pewną trudność. Tak naprawdę był lekko zawstydzony z innego powodu. Dwa dni temu, kiedy tylko dowiedział się, kto jeszcze poza nim będzie u Sofii, złamał kod Eriny. Wiedział już o niej wszystko na podstawie tego, co przed rewolucją zamieszczała w swojej aplikacji życiowej. Nietrudno było znaleźć archiwalne materiały, które ochoczo udostępniali Algorytmiarze, reklamując je hasłem: „Odkryj ślad cyfrowy swojej drugiej połówki i dowiedz się, czy dalej chcesz ją znać”.

Historia Eriny była w gruncie rzeczy prosta. Przemocowy dom, rodzice uzależnieni od dopaminy i aplikacji życiowej zarządzanej zgodnie z maszynami obliczeniowymi Algorytmiarzy aż do czasu likwidacji pieniędzy. Erina często pojawiała się w materiałach swoich rodziców jako dziecko ideał, którego ci używali, żeby podbić swoją wartość rynkową. Po zmianie systemu, który łączył się nie tylko z likwidacją systemu bankowego, lecz także samej idei rodziny, Erina zdecydowała się odejść z domu rodzinnego do jednej z konstelacji pozafamilijnych. Tak wylądowała w Stowarzyszonej Lokalności złożonej z odklejeńców, którzy oczekiwali od życia niewiele i do czasu wprowadzenia gospodarki współtwórczej wiecznie musieli kombinować. W nowym systemie ich umiejętności okazały się kluczowe. Trzeba było mieć niezłą wyobraźnię, żeby zrobić coś z niczego. W systemie wymiany takie osoby miały przewagę.

Dodatkowo, z powodu niewielkiej ilości posiadanych przez siebie pieniędzy w poprzednim systemie, Erina nauczyła się niewiele oczekiwać, a wiele dzielić. To pozwalało częściej decydować się na nielogiczne – z perspektywy Algorytmiarzy – wybory, które wyłamywały się poza ich system wartości.

Sofia wyrwała Hara z zamyślenia. Obydwoje z Eriną siedzieli już na fotelach przy ogromnym stole, na którym wyświetlały się dane. Sofia odeszła od stołu i wcisnęła guzik.

- Przejdźmy zatem do rzeczy. W tej chwili pięćdziesiąt sześć procent ludzi na całym Terytorium Stowarzyszonych Lokalności używa algorytmu, żeby kształtować własne potrzeby i regulować emocje. Projektuje te algorytmy wewnątrz własnej społeczności, przez co nie są one tak niebezpieczne jak globalne kody od Algorytmiarzy sprzed rewolucji. Nie mają takiego zasięgu i politycznego celu, jednak wiele z nich jest zbudowanych w podobny sposób.

- Widziałam tę aplikację. Może to z tęsknoty za starym systemem? Nawet ich *layout* jest podobny do tego sprzed przewrotu... - przerwała jej Erina.

- Badamy to. Tak czy inaczej, sporej liczbie ludzi wystarczyło pięć lat, żeby zrezygnować z wywalczonych wcześniej wartości. Co prawda wtedy odrzucili aplikację, która zdominowała nasze życie, uzależniała i doprowadziła do największej polaryzacji i nierówności społecznych w historii planety, ale dzisiaj...

Haro w tym momencie nie wytrzymał. Chodził na terapię dla osób z rozchwianą stabilnością emocjonalną po trwałym przebudźcowaniu sprzed rewolucji i zdarzało mu się wyrzucać z siebie szybkie informacje:

- Może dobrze, gdybyście zbadali też siebie i skuteczność swoich własnych odkryć? Sorry, ale taki spadek poparcia dla gospodarki współtwórczej mówi o tym, że nasz system nie działa. Może moglibyście mocniej wspierać ludzi w samodzielnym myśleniu? To nie jest proste po takim przeskoku. Niektórzy nigdy wcześniej nie żyli poza algorytmem. Ja sam byłem w grupie wsparcia dla przebudźcowanych. Dało się przewidzieć, że będzie to dla niektórych szok. Czasami marzenie może stać się koszmarem... - Haro nie mógł się powstrzymać od tego emocjonalnego wybuchu również dlatego, że w jego Stowarzyszonej Lokalności trwały dyskusje o tym, jak ulepszyć wymianę towarów, usług i emocji w taki sposób, aby nie powodowały napięć. Zdarzało się, że ktoś otrzymywał nie to, czego chciał, bo nie potrafił określić, kim jest i czym chciałby się wymienić. Wielu ludzi znużonych brakiem własnych potrzeb popadło w stany lękowe. Paradoksalnie, nie odczuwając nowych potrzeb, nie stawali się jednak bardziej spokojni, ale zapadali na depresję poalgorytmiczną (P-A). Terapie P-A były jednymi z najcenniejszych wymian w systemie barterowym. Sam Haro należał do społeczności, w której do algorytmu wróciło aż pięćdziesiąt trzy procent

mieszkańców. Był przeciwko, bo wiedział, jaką maszyny obliczeniowe wyrządziły mu krzywdę, ale rozumiał frustrację i brak poczucia sensu, które widywał w swojej okolicy.

Erina się obruszyła.

- Po przewrocie z algorytmu korzystało zaledwie osiem procent ludności, pamiętacie ten moment? Tego chcieli. Zakładam, że w wielu miejscach nie potrafią przyjąć wolności. W mojej Stowarzyszonej Lokalności mamy aż dziewięćdziesiąt procent poparcia. To kwestia dobrego prowadzenia działań lokalnych, zaufania, współpracy z centralą...

- Okej, już. Nie dostaniesz za to dzisiaj medalu - przerwał jej Haro. Miał już dość przekonywania o czymś, co widział na własne oczy. Ta prymuska zaczynała go drażnić.

Erina zrobiła się czerwona. Dla niej rewolucja zmieniła wszystko. Czuła, że dopiero po niej stała się tym, kim jest. To było wielkie społeczne przebudzenie. Drażniło ją, że ludzie tacy jak Haro są w stanie w tak krótkim czasie zaprzepaścić szansę na życie w świecie, który przez kilka chwil był zbiorowym marzeniem, działającą utopią. Pomyślała, że skieruje kolejne pytanie do Sofii, lekceważąc jego uwagę. Zdążą się jeszcze pokłócić na misji, jeżeli dobrze pójdzie ich dalsza rozmowa kwalifikacyjna.

- Jak rozumiem, ten wynik sprawia, że powrót Algorytmiarzy i globalnego algorytmu na Ziemię robi się realny? W prawie Stowarzyszonych Lokalności jest zapis, że gdy sześćdziesiąt procent mieszkańców opowiada się za innym modelem życia, to odbywają się kolejne wybory.

Sofia spojrzała na Erinę i zanim odpowiedziała, wzięła kilka łyków napoju:

- Będę z wami szczerą. Może być jeszcze gorzej. Mamy przecieki, że ich nowy algorytm wygląda na jeszcze bardziej drapieżny i w krótszym czasie doprowadzi do całkowitej anomii. Kiedy przekroczymy sześćdziesiąt procent, nie będą czekali na wybory, tylko zmanipulują społeczeństwo na tyle, że przejmą władzę, wprowadzając odpowiednie dane do ich *feedu*. Wtedy zmienią się wszystkie parametry świata. I to w sposób, jakiego nie znaleźliśmy do tej pory.

Erina otworzyła usta ze zdumienia.

- Ale jak to...? Przecież oni już nie mają dostępu do świata...

Sofia spojrzała na Erinę i Hara, tym razem już bez uśmiechu. Równocześnie zawiesiła wzrok na zegarze.

- Cóż... właściwie do tej katastrofy dojdzie mniej więcej za siedemdziesiąt trzy godziny.

Haro wykrzyknął:

- Dlaczego w takim razie nikt o tym nie wie?! Macie przecież doskonałe kanały przesyłu danych, których używacie przy byle bzdecie jak prognoza pogody.

Nagle włąz za plecami Sofii się otworzył, ukazując szybę, a za nią piękny krajobraz. Bujne drzewa liściaste na pierwszym planie, w oddali góry. Niebo miało kolor jak w późnowiosenny dzień. Lekkie podmuchy wiatru poruszały drzewami, krzewami i zieloną trawą.

- Tak wygląda świat dzisiaj - powiedziała z nieco nadmierną emfazą Sofia.

Haro poruszył się na fotelu.

- Ja pierdołę. Jakbyśmy nie wiedzieli. Możesz przejść do rzeczy? Za siedemdziesiąt trzy godziny ma dojść do katastrofy, a my, kurwa, kontemplujemy razem przyrodę? O co tutaj chodzi? *Mindfulness* czy misję specjalną?

Sofia nacisnęła guzik. Teraz widok z okna diametralnie się zmienił. Haro i Erina spojrzeli w stronę szyby, nie do końca rozumiejąc, co chce im przez to powiedzieć Sofia. Podeszli bliżej szyby. Przed oczami mieli fioletowo-różową górę, drzewa wydawały się różnorodne i pełne drobnych owoców, które nie przypominały niczego, co znali do tej pory. Erina przesunęła obraz palcem, żeby przyjrzeć się z bliska rzece. Powierzchnia wody lśniła i była przezroczysta jak w podręcznikach do historii przyrody, gdzie widziała jeszcze całkowicie czyste rzeki. Wyglądała na zbitą z tropu. Sofia podała jej pilot ze słowami:

- Tym możesz zmieniać kolor nieba, strumienia czy przedstawiać elementy otoczenia tak, jak chcesz.

Erina zaczęła manipulować mechanizmem i zmieniła kilka obiektów. Haro na moment się uspokoił, wpatrując się w niezwykle elementy za szybą.

- Jak w grze. Co z tego? To ma być ta katastrofa? Będzie ładniej?

Sofia wyglądała, jakby chciała odwlec swoją odpowiedź. Erina nieświadomie jej pomogła, wyrywając się ze słowami:

- Wybacz głupie pytanie... ale jak pachnie ten nowy świat, który chcą wprowadzić?

Erina faktycznie miała ogromną intuicję i Sofia z satysfakcją pogratulowała sobie w myślach tego, że to właśnie ją ściągnęła na misję:

- No to odkryłaś największy problem. Algorytmiarze opracowali narzędzie do zapachów, które używa większego natężenia niż cokolwiek znanego do tej pory. W skrócie: ta symulacja będzie działać jak narkotyk, który zakryje prawdę o kondycji naszego świata. Chcą wprowadzić swój świat u nas pod przykrywką wolności wyboru. Każdy będzie mógł mieć swoją planszę i poruszać się po niej w dowolny sposób. W praktyce oznacza to nasz koniec. Zanik dóbr wspólnych, systemu wymian i dbałości o to, co pozostało. Wszystko zostanie po prostu zakryte przez symulację. Społeczeństwo się skończy. Wszyscy będą żyli tylko we własnym, jednostkowym uniwersum.

Haro dziwnie się uspokoił, słysząc jej słowa. Jakby informacja o katastrofie wreszcie pozwoliła mu pojąć stawkę misji:

- Co chcą tym przykryć?

Sofia sięgnęła po telefon i wymamrotała do słuchawki: „Teraz. Możecie przyjść. Są gotowi. Przechodzą do kolejnego etapu”.

W pomieszczeniu pojawiła się nowa osoba w brudnym fartuchu. Przedstawiła się krótko:

- Witamy w drugim etapie rekrutacji. Gratulacje. Mówcie do nas Olo. Oni - żeby była jasność. Wprowadzimy was teraz do świata, który nas czeka, jeśli misja się nie powiedzie. Negatywna motywacja i mrok to klucz. Sami słuchamy metalu i nienawidzimy tej ideologii pozytywnego myślenia. Zwykle ludzie, którzy są za bardzo zadowoleni, po prostu czegoś nie wiedzą - Olo zaśmiali się lekko szaleńczo i zanucili piosenkę *Batushki*. Erina, Haro i Sofia tylko lekko wygięli usta w uśmiechu. - Zanim to nastąpi, krótkie wyjaśnienie przyczyn katastrofy. Wybaczcie, że posłużymy się zwyczajną tablicą, ale pilnujemy w naszym zespole balansu między narzędziami cyfrowymi a kredą i tablicą, żeby nie oszaleć z przebodźcowania i lepiej stymulować pracę mózgu.

Olo wprowadzili na salę wielką tablicę i sięgnęli po kredę. Zaraz pod dłonią pojawiła się pierwsza kreska, którą Olo zaznaczyli niewielkie kółko na prowizorycznie narysowanej planecie Ziemia.

- Ładny rysunek, nie? Mieliśmy piątkę z techniki. Widzicie to miejsce?

Erina, Sofia i Haro kiwnęli głowami.

- Tutaj Algorytmiarze składowali przez lata zanieczyszczenia, które odprowadzali pod Ziemię. To całe ich cyfrowe gówno, którym nas karmili, widzicie? W tym celu wybudowali specjalne podziemne korytarze w płaszczu skorupy ziemskiej, które powiązali ze swoimi platformami na Księżycu. To zaczęło się, kiedy Bezos wystrzelił się tym całym swoim dildem w kosmos, a później zabrał ze sobą innych bogaczy i robią sobie tam niekończącą się imprezę z nektarem, ambrozją, kamieniem filozoficznym i własnym pojebanym ego. Możecie tego nie pamiętać, bo pewnie nie było was jeszcze na świecie. Tak czy inaczej, przez wiele lat rzucali na Ziemię odpady, których nie musieli nawet transportować statkami kosmicznymi, bo przesyłali je z pomocą nowej techniki cyfrowej.

- Czyli od lat robili sobie tutaj niewidzialny śmietnik, a my o tym nie wiedzieliśmy...? Wszystkie nasze ustawy, ograniczenie konsumpcji i zmiana modelu życia nic nie dały? - Erina powiedziała to niemal ze łzami w oczach i przykucnęła.

- Właśnie! - Olo uśmiechnęli się, jakby ucieszyło ich, że chociaż jedna uczennica zrozumiała od razu ich wywód - jednak ten niewidzialny śmietnik za siedemdziesiąt trzy godziny wybuchnie. W jego miejsce wstawią symulakr, który widzieliście. Każdy będzie mógł dostrzegać to, co zechce. Nie będzie już świata społecznego. Będzie tylko świat indywidualnych algorytmów, które przestaną się przecinać z prawdziwymi ludźmi. Dostaniemy tylko to, czego chcemy. To będzie bezustanne zaspokojenie. Taka niekończąca się orgia zachcianek. Będzie to jedna z dwóch alternatyw, którą zaproponują na Ziemi Algorytmiarze, ponieważ zainteresowanie ich algorytmem osiągnie wtedy skokowo większą ilość niż sześćdziesiąt procent i zostaną dopuszczeni do wyborów.

Haro niechcący strącił szklanekę z wodą, którą Sofia chwilę temu postawiła przed nim, widząc, że powoli traci oddech z wrażenia.

- Dość o Algorytmiarzach. Co WY macie ludziom do zaoferowania w zamian? Na czym ma polegać nasza misja specjalna, skoro zostało nam tak mało czasu, a oni już właściwie mają cały świat w garści?

Olo lekko zrzęda mina. Było widać, że lepiej odnajdują się w pracy laboratoryjnej, niż konfrontując wiedzę z emocjonalnością. Sofia, jako doświadczona w przemówieniach, wyrwała się do odpowiedzi:

- Przede wszystkim chcemy dać ludziom możliwość wyboru prawdy. Chcemy, żeby pozostali w zniszczonym świecie i dali naszym osobom naukowym czas na dwie rzeczy...

Olo przysunęli w tym czasie do ich stolika specjalny wózek na kółkach, na którym znajdowała się flaszka z różową substancją.

- Pierwsza z nich... - Olo wyciągnęli w stronę Hara i Eriny niewielką menzurkę z taką samą substancją jak ta znajdująca się w większej flasce - ...czyli środek, który umożliwi bezpieczne przemieszczanie się po zniszczonym świecie przez pięć lat, aż natura odzyska siły. Wszyscy będą musieli go zastosować.

Zaraz potem do wywodu dołączyła Sofia:

- I druga, z perspektywy naszego projektu politycznego równie ważna co ocalenie... - na suficie wyświetliła się teraz ogromna mapa wszystkich Stowarzyszonych Lokalności - ...solidarność społeczna i powrót do poprawionego systemu ekonomii współtwórczej. Zaprosiliśmy was, bo obydwójcie nie korzystacie z algorytmu i czujecie potrzeby społeczne. Także tych, którzy korzystają z algorytmów. Nie oceniacie ich. Równocześnie jesteście świetni w pomnażaniu dóbr poprzez współdzielenie. Wasze historie wymian są imponujące nie tylko ze względu na logikę transakcji, lecz także z powodu holistycznego spojrzenia na potrzeby świata. Haro wyróżnia się tym, że wspiera nawet wątpliwych w swojej społeczności, został liderem AA - uzależnionych od algorytmu. Erina ma niezwykłą intuicję i talent do łączenia ludzi i istot nieludzkich w układach wymian. Przeanalizowaliśmy wasze historie i chcemy poprosić was o pomoc. Nikt inny nie będzie w stanie przekonać ludzi do zmiany.

Na sali zrobiło się nagle cicho. Miało się wrażenie, jakby wszyscy byli w szoku po tym, co właśnie usłyszeli. Haro zaśmiał się nagle głośno i obłąkańczo. Sofia spojrzała błagalnie w stronę Eriny, a kobieta przeknęła ślinę i pomyślała, że dźwięk jej mocno bijącego serca słyszą teraz wszyscy.

- Jak w siedemdziesiąt trzy godziny mamy przekonać wszystkich mieszkańców? To fizycznie niemożliwe - powiedziała wreszcie Erina.

- Zatrzymamy czas - wyszeptali Olo zza pleców Sofii - tak żebyście mieli miesiąc na odwiedzenie wszystkich Stowarzyszonych Lokalności i przekonanie innych. Każda społeczność jest wyjątkowa i wymaga nowych form negocjacji.

- Zrobicie to wbrew woli wszystkich? - zapytał Haro. - To jawne łamanie reguł naszego świata. Nie można zatrzymywać czasu bez zgody wszystkich Stowarzyszonych Lokalności, to przecież...

- Niekoniecznie... - przerwała mu Sofia. - Jest jeden zapis, który pozwala nam to zrobić w sytuacji zagrożenia katastrofą. Możecie go nie pamiętać, bo został uchwalony nieco później. Żeby nie wprowadzać paniki, zastosujemy ten paragraf o stanie wyjątkowym.

Tymczasem Olo podeszli do Eriny i Hara z dwiema menzurkami w dłoniach.

- Gotowi? - zapytali Olo. - Płyn jest pyszny. Robi się po nim niezła faza. My już jesteśmy po i było to w pewnym sensie transcendentalne doświadczenie. Poczujecie się w jedności ze światem i ze sobą. To pewne.

Erina spojrzała na Hara, następnie na płyn. Nie miała pojęcia, co robi, ale była pewna dwóch rzeczy. Po pierwsze, nie chce wrócić do starego nieznośnego świata z czasu pieniądza i globalnego algorytmu. Po drugie, drażni ją już postawa Hara, który od kilku minut zachowuje się jak kapryśne dziecko. Przyciągnęła menzurkę do ust i wypila ją na raz, patrząc mu złośliwie w oczy. Niech wie, że dziewczyna jest odważniejsza od niego.

Haro przyglądał się Erinie w trakcie tej czynności. Widział, jak przełyka substancję, i zauważył, że jej włosy na zmianę jaśnieją i stają się granatowe. Tym razem jej kosmyki zawołały go jak morskie fale i mimowolnie sięgnął dłonią w ich stronę. Czuł, jakby chciał się w nich zatopić, co lekko go zaskoczyło, bo wcześniej Erina go nie pociągała. Wręcz przeciwnie. Teraz jednak miał wrażenie, że dziewczyna pachnie jak morze, które pamiętał z dzieciństwa. W tej chwili Erina przybrała błogi wyraz twarzy, a on, patrząc na nią, mimowolnie wyciągnął dłoń w stronę menzurki. Płyn musiał działać euforycznie. Rzucił do Olo z uśmiechem:

- W sumie... Jak się nie uda, to chociaż zrobię sobie *trip* życia. W miesiąc dookoła Stowarzyszonych Lokalności. Nieźle.



Chwilę po spożyciu substancji Haro poczuł się, jakby się topił w morzu. Z początku się wystraszył, ale jednak równocześnie jego ciało stawało się coraz bardziej miękkie i lekkie. Tracił kontrolę. To było przyjemniejsze niż wszystko, co znał do tej pory. Stracił poczucie ciała i miał wrażenie, jakby zapadał się w głęboką dziurę, w stan nieważkości. Odkrył też, że wydaje mu się, iż jego wnętrzności przesuwają się jak w brzuchu ciężarnej osoby – a przynajmniej tak to sobie wyobrażał. Wewnętrzny strumień ciepła łaskotał go tak, jakby weszły w niego promienie światła. Zaczynał też czuć wilgoć między nogami. Nie przypominała przyjemności, którą znał jako mężczyzna. Ta rozkosz była bardziej żeńska niż męska. A przynajmniej tak sobie ją wyobrażał, bo zdawała się rozchodzić do środka jego ciała jak fale dreszczy. Próbował stłumić jęk przyjemności, bo wciąż jeszcze pamiętał o tym, że znajduje się w towarzystwie trzech innych osób. Czuł się, jakby w jednej chwili przestał być sobą. Miał wrażenie, jakby był równocześnie sobą i Eriną.

Olo spojrzeli teraz w stronę Hara i Eriny, odkaslnęli i powiedzieli o wiele ciszej niż wcześniej:

- Jest jedna rzecz, która ułatwi wam misję... ale chyba już czujecie, na czym polega. Jednym z elementów waszego zadania jest namówienie ludzi, aby złączyli się ze sobą w duety do czasu przywrócenia Ziemi stanu sprzed katastrofy. Tak jak wy przed chwilą. Mogą to robić w dowolnych układach. To będzie mniej obciążające dla planety na czas odnowienia. Nagle będzie nas o połowę mniej. Mniej żywności, mniej defekacji. Ma to sens, prawda?

Postać powstała na skutek połączenia Eriny i Hara przez moment stała w milczeniu, aż wydała z siebie odgłos, który zadziwił ją tak samo jak wcześniejszy stan przemiany. Barwa głosu Eriny i Hara była gdzieś pomiędzy ich wcześniejszymi głosami – sytuowała się między niskim a wysokim, bo podział na proporcje po przemianie musiał być sprawiedliwy. Żadna z osób nie mogła przeważać w tym układzie.

- Kim ja jestem? - zapytali.

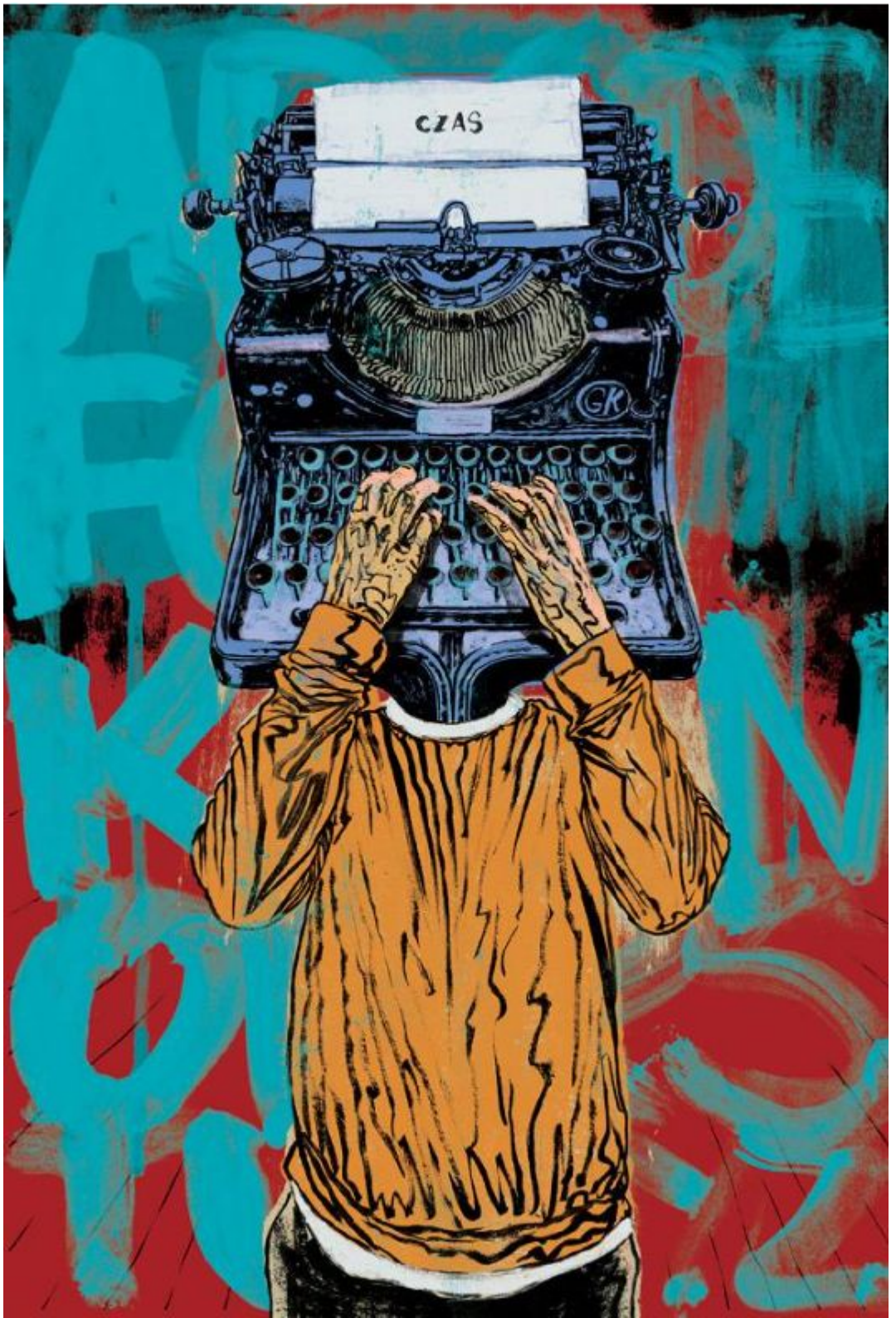
Sofia rzuciła krótkie:

- Jesteście idealnym połączeniem umiejętności, które są potrzebne na misji. Wiem, że nie macie nam za złe tego drobnego przemilczenia. W końcu walczymy o coś więcej. Ja też za chwilę przyjmę substancję i zwiążę się z moją partnerką.

Olo spojrzeli błyszczącym wzrokiem i skwitowali:

- Teraz tylko musicie sobie wymyślić wspólne imię na czas misji.  
Gotowi? Startujecie za pięć minut!





# Chwilówki

GRZEGORZ KASDEPKE

- Jedyną walutą, na której naprawdę mi zależy - powtarzał ojciec podczas kłótni z matką - jest czas. Rozumiesz? Jedyną!

- Bo to jedyna, którą posiadasz - syczała w odpowiedzi. - Ale i ją trwonisz!

Nie wiedziałem dokładnie, co oznacza „trwonić”, ale domyślałem się, że to coś takiego jak zjedzenie całej świątecznej paczki na jeden raz (choć miała starczyć przynajmniej do początku stycznia), że to jak rozdanie kolegom długo zbieranych żołnierzyków (byleby zechcieli pobawić się o godzinę dłużej), jak bicie asem zwykłej dwójki (choć wystarczyłaby nędzna trójczyna). Ojciec trwonił czas, więc trwonienie musiałem mieć we krwi - zresztą, zdaniem mamy, jak cała ojca rodzina.

Za to słowo „waluta” znałem znakomicie, i to od dawna, a może nawet od zawsze; idąc na bazaręk przy Gajowej, mama często wstępowała wraz ze mną do ciasnej budy stojącej za blaszanym parterowym spożywcakiem - nad budą wisiał napis „KANTOR”, a w środku siedział gruby pan Zbyniu, Mister Manej, jak żartował, przedstawiając się co ładniejszym klientkom. Mama musiała być jedną z tych ładniejszych, bo witając ją, zawsze wołał radośnie: „W czym Mister Manej może naszej królowej dzisiaj pomóc?” - a potem wstawał, wciskał rozchodzącą się na tłustym brzuchu koszulę w spodnie, poprawiał czarną skórzaną kurtkę i słał mamie krzywy uśmiech sytego drapieżnika, a może raczej hieny, takiej, jaką widywałem w telewizyjnym „Zwierzyńcu” u pana Sumińskiego lub w programie „Z kamerą wśród zwierząt”, tym o państwie Gucwińskich, tych, co mieszkali we wrocławskim zoo. Sam zresztą nie wiem, gdzie mogłem widzieć taką grubą hienę (a może to nie była hiena, tylko szakał?).

- Chciałabym wymienić trochę... - mamrotała mama, wyjmując z portmonetki kolorowe banknoty. Banknoty, które tata musiał przywieźć z zagranicy, i to dawno temu, w czasach, gdy jeszcze wyjeżdżał na saksy, gdy był jeszcze energiczny i rzutki, gdy mu się jeszcze chciało, banknoty, których nigdy nie widziałem z bliska, bo mama nie pozwalała mi oglądać takich przywiezionych z zagranicy pieniędzy, bo pieniądze podobno są brudne, są pełne zarazków i można przez nie zachorować, można się nimi zarazić, nie tylko dosłownie.

- Czym zarazić? - pytałem.

- Kiedyś zrozumiesz - odpowiadał za mamę tata.

A mama robiła wtedy złą minę, zupełnie inną niż w kantorze u pana Zbynia. W kantorze pana Zbynia wydawała się nieśmiała, chyba nawet czymś zawstydzona, miałem wrażenie, że jest delikatna jak wata cukrowa - podnosiła wzrok na pana Zbynia i zaraz go spłoszona opuszczała, a pan Zbynio patrzył na nią natarczywie, z tym swoim uśmiechem, zza grubej, zbrojonej drutem szyby, która miała go chronić sam nie wiem przed czym czy przed kim, bo nie przed mamą przecież - już prędzej przed takimi klientami jak ojciec, który wyzwał go kiedyś od złodziei i tłukł pięściami o wzmocnione szkło, a pan Zbynio najpierw rechotał, potem pukał się w czoło, a potem wstał, wyjął milicyjną pałkę i kazał ojcu wypierdalać.

- Rany boskie, jeszcze je pani ma?! - Mister Manej złapał się za łysą głowę, patrząc na banknoty, które mama drżącymi dłońmi wyjmowała właśnie z portmonetki. - Trzeba je wymienić jak najszybciej!

- No właśnie chciałam...

- One niedługo będą gównno warte!

- Dlatego...

- Co ja mówię, już są gównno warte!

Mama zagryzła wargi.

- Ups! - Pan Zbynio raczył mnie wreszcie zauważyć. Zrobił przesadnie zakłopotaną minę i zasłonił czerwonym łapskiem usta.

- To wcale nie było brzydko - powiedziałem.

- Nie? - spojrzał na mnie z rozbawieniem, a potem przeniósł wzrok na mamę.

- Nie tak bardzo.

- Znasz brzydsze wyrazy?

- Znam.

- Dosyć, dosyć - przerwała mama, kładąc banknoty na kołowrocie pod zbrojoną szybą.

- Mogę zakręcić? - spytałem.

- A jakie jeszcze znasz brzydkie wyrazy? - pan Zbynio łypnął na mnie okiem.

- Kurwa, chuj - zacząłem wymieniać. - Pierdo...

- Przestań! - miałem wrażenie, że mama jest trochę zła, a trochę tylko udaje. - Co to za słownictwo?!

Spojrzałem na pana Zbynia, szukając u niego ratunku, ale ten jedynie ryczał ze śmiechu, odsłaniając żółte, krzywe kły. W końcu i mama się uśmiechnęła, ale nie pozwoliła mi kręcić kołowrotem - banknoty wjechały za szybę, rozbawiony pan Zbynio przeliczył je, potem otworzył kasę, sięgnął po trochę pieniędzy, tych normalnych, naszych, spojrzał na mamę, potem wyjął jeszcze kilka monet, jeszcze raz spojrzał na mamę, dorzucił parę monet ekstra, i zakręcił kołowrotem w jej stronę. Mama nie patrzyła mu w oczy, liczyła w milczeniu - ja stałem przy drzwiach i czułem, że robi się duszno.

- Naprawdę? - spytała wreszcie mama.

- To i tak kurs dla pani, królowo - powiedział Mister Manej. - Mówiłem, że są gównno warte.

- Ale... - nie skończyła.

- Niech pani ich dłużej nie trzyma.

- Więcej już nie mam.

- Bo i po co?

- Powiedz panu „do widzenia” - rzuciła do mnie stłumionym głosem.

- Do widzenia! - zawołałem.

Pan Zbynio wyjrzał przez okienko na zewnątrz, popatrzył w lewo, popatrzył w prawo, a potem usłyszałem, że przekręca zamek, otwiera wąskie drzwiczki - i wyszedł do nas ze swojej nory. Po raz pierwszy zobaczyłem jego nogi. Były w szarych spodniach od garnituru, na stopach miał brzydkie czarne buty.

- Pani Wisiu, ja naprawdę na tym tylko straciłem - podszedł do stojącej w milczeniu mamy. - Nigdzie w Białymstoku nie dostanie pani więcej.

Mama pokiwała w milczeniu głową. Trzymałem ją za rękę, ciągnąc do wyjścia, ale nie ruszała się z miejsca. Pan Zbynio stanął blisko, między nami a drzwiami. Jego brzuch zasłonił mi pół napisu na tablicy przy okienku, widziałem teraz tylko trzy litery: „WAL”.

- Mąż znalazł pracę?

Mama pokręciła głową.

- Dorywczo mógłby czasami u mnie... Ulotki roznieść czy pojechać w ochronie.

Znowu pokręciła głową.

- Był w wojsku?

- Nie.

Zdziwiłem się. Myślałem, że był.

- Czyli nie umie strzelać?

- Z kabekaesu.

Pan Zbynio tylko machnął ręką. Potem zwiesił ją przy dłoni mamy.

- Przecież tata był myśliwym - wyrwało mi się.

- Oo, naprawdę? - pan Zbynio zerknął w dół ze zdziwieniem, jakby właśnie sobie o mnie przypomniał.

- Z dziadkiem na polowania jeździł - kontynuowałem. - Ze sztucerów strzelali.

- No proszę... - pan Zbynio westchnął i cofnął się o dwa kroki. - Jeżeli ma licencję, to zapraszam.

Mama powiedziała „do widzenia”, wzięła mnie za rękę i wyszliśmy.

Kiedyś ojciec był mistrzem świata, i to we wszystkim, nie tylko w strzelaniu z kabekaesu czy z myśliwskiego sztucera. Był mistrzem świata w jeżdżeniu na rowerze marki Wigry (do i z magazynu, w którym pracował) i w pływaniu kajakiem po rzece Narew był mistrzem i w struganiu łódek z kory był mistrzem i na pewno był mistrzem w robieniu papierowych samolotów - a potem chyba już mu się nie chciało, a może po prostu szukał nowych dyscyplin, żeby i w nich zostać mistrzem, żeby się ciągle nie powtarzać, zresztą nie wiem. Ale pamiętam, że gdy rodzice mamy kupili nam zmywarę do naczyń, bardzo szybko został mistrzem świata w układaniu w niej brudnych naczyń, żadne z nas tak nie potrafiło, ani ja, ani mama. Potrafił wykorzystać każde wolne miejsce, każdą przestrzeń, nawet najmniejszą (na przykład na miniościk po dżemie albo na to coś od jajek na miękko), i oczywiście nigdy nie

układał na łapu-capu, byle jak, nie, nie, otwierało się zmywarę i od razu było wiadomo: „Oho, robota ojca!”. Talerze na baczność, szklanki jak na grzędzie, sztucce na najwyższej półce (oczywiście bokiem, żeby woda swobodnie z nich obciekała), wszystko jest czyste i cacy, niczego nie trzeba ręcznie domywać, niczego nie trzeba ponownie wkładać do zmywarki, proszę bardzo, kubeczki tu, miseczki tam, wszystko da się ułożyć, jeżeli tylko człowiek pomyśli, jeżeli tylko ma wyobraźnię przestrzenną, a taką właśnie miał ojciec, przez całe lata był przecież w tej swojej fabryce magazynierem – czego on tam nie przechowywał, jakich to towarów nie przyjmował, jakich gabarytów nie musiał czasem pomieścić (pudła, skrzynie, palety, bele, rury, cysterny)! Żeby zrobić miejsce dla jednego produktu, często trzeba było ten drugi przełożyć, podnieść, odsunąć – ojciec był magazynierem, ale musiał kombinować jak najprawdziwszy inżynier (aż dziwne, że go wywalono z pracy).

- Zwolniono.

- Ale efekt ten sam, jesteś na zasiłku – mama wszystkie uśmiechy trzymała od pewnego czasu pod kluczem, wydawała je rzadko, najczęściej mnie, czasami swoim rodzicom, nieraz i panu Zbyniowi z kantorka, ale ojcu – nigdy.

- Nie ja jeden jestem na zasiłku...

- Aha, czyli skoro nie jesteś jedyny, to znaczy, że nic nie musisz robić, tak? Że jesteś usprawiedliwiony? Że wszystko ma być na mojej głowie?!

- Jakie wszystko?

- Dom, zarobki, szkoła Bartka!

- Przecież szkoła jest za darmo – tata spojrzał na mnie mimochodem.

- Ale ubrania nie są za darmo, książki nie są za darmo, wycieczki nie są za darmo!

- Nie chcę jechać na tę wycieczkę – wtrąciłem.

Mama kazała mi iść do pokoju.

W książkach, które przynosiłem z biblioteki, wszystko działo się jakoś szybciej, sprawniej. Bohaterowie miewali problemy, ale wystarczyło kilkadziesiąt, góra kilkaset stron, żeby sobie z nimi poradzić – raptem dwa, trzy dni czytania. Kiedyś przeliterowanie słowa „waluta” w kantorze pana Zbynia zabierało mi minutę, teraz w minutę czytałem takich słów bez liku. Lubiłem książki. Lubiłem też filmy, choć w nich



było jeszcze gorzej, bo na końcu wszyscy się do siebie przytulali. Tylko Hana Solo zamrożono w drugiej części „Gwiezdných wojen” i to była ulga, ogromna, wiedziałem, że zamrożono go na długo, na co najmniej rok, a może i na dwa lata – bo tyle trzeba było czekać na kolejną część. Miałem nadzieję, że do tego czasu ojciec stanie się mistrzem świata w radzeniu sobie z problemami. Że najpierw będzie mistrzem świata w znajdowaniu świetnej pracy, a potem będzie mistrzem świata w tej pracy właśnie. Na razie jednak zamontował zamek w drzwiach do małego pokoju, tego, w którym nocowali czasami rodzice mamy, gdy przyjeżdżali w odwiedziny. Przeniósł tam wszystkie swoje rzeczy, mały telewizor, radio, parę książek – i odtąd mieszkał z nami nie jak ojciec, lecz jak lokator. Widywałem go czasami, gdy szedł do kuchni czy do łazienki. W lodówce jedna półka należała do niego, trzymał tam metkę tatarską, masło roślinne, wędzony boczek, chrzan, to wszystko, co tak lubił. Czasami, gdy od chwili otrzymania zasiłku mijały trzy tygodnie, na półce zaczynały królować serki topione i paprykarz szczeciński. W łazience długo nie mogłem znaleźć jego pędzla do golenia i szczoteczki do zębów, odkryłem je dopiero w szafce pod umywalką. Mydła, szamponu czy pasty nie widziałem, używał chyba tych mamy – czasami waliła pięścią w jego drzwi i wrzeszczała, żeby przestał kraść, że jak nie ma czym, to niech się piaskiem szoruje, a jeśli już używa jej mydła, to mógłby przynajmniej te obrzydliwe włochy potem odkleić. Pan Zbynio, który zaczął u nas dość regularnie bywać, nigdy się do tych awantur nie wtrącał – słuchał z ciekawością, a czasami, gdy mama była szczególnie zła, głośkał ją po głowie, klepał po pupie, dawał jakiś pachnący płyn i mówił, żeby się namydlała, jak długo chce, a on tu na nią w dużym pokoju poczeka i żeby się niczym nie przejmowała, bo czego jak czego, ale kosmetyków nigdy jej przy nim nie zabraknie.

– A kim ty właściwie chcesz być w przyszłości, co? – zapytał mnie kilka lat później, gdy odmrożono już Hana Solo, gdy ojciec stracił zasiłek, gdy pan Zbynio stał się wujkiem Zbyniem, który dla świętego spokoju daje pieniądze zarówno mamie, jak i, po kryjomu, ojcu (pod warunkiem, że ten nie będzie wychodził z pokoju, gdy wujek Zbynio zdecyduje się zostać u nas na noc). – Co zamierzasz robić?

– Będę pisał książki fantastyczne – odpowiedziałem. – Albo filmy robił.

– O proszę, następny... – wujek Zbynio przewrócił oczami.

- Co „następny”?! - wraz z mutacją w moim życiu zagościła złość.
- Od razu idź na zasilek jak tatusiek.
- Będzie trzeba, to pójdę!
- Idź.
- Pójdę!
- I dobra - wzruszył ramionami i sięgnął po papierosa.
- Co jest? - wypachniona mama wyszła w szlafroczku z łazienki.
- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - pstryknął zapalniczką.
- Ale o co chodzi?

„O gówno” - chciałem powiedzieć, lecz tylko wzruszyłem ramionami i poszedłem do swego pokoju. Przyłożyłem ucho do ściany. Ojciec coś chyba oglądał.

Widywałem go teraz dużo rzadziej, nauczyliśmy się dzielić tym niedużym mieszkankiem w sposób możliwie bezkolizyjny. Sypiał w innych godzinach niż ja, kiedy indziej też korzystał z łazienki czy toalety - często go zresztą nie było, bo zatrudnił się jako dozorca na parkingu. Czasami, gdy wracałem z liceum, a mama jeszcze nie wróciła z kantorka (pracowała u wujka Zbynia), zastawałem go w kuchni nad zmywarką. Przekładał w niej talerze, miseczki, kubeczki, szklanki, układał sztucce, rozmieszczał z namysłem pokrywki od garnków i części parownicy - był skupiony, uważny, marszczył brwi, coś sobie w głowie kalkulował, wyliczał, ewidentnie lubił ten swój chałupniczy Tetris.

- Co tam, ojciec? - pytałem. - Byłeś gdzieś?
- Gdzie? - odpowiadał, nie odrywając oczu od wybebeszonej zmywarki.
- Nie wiem, w mieście, w parku, w urzędzie pracy...
- Nie było czasu.
- Jak to nie było czasu?
- Zobaczysz kiedyś. Po prostu nie było.

Próbowałem już wtedy pisać. Maszyna do pisania stała w szkolnej bibliotece i mogłem z niej korzystać codziennie do godziny siedemnastej, chyba że odbywały się właśnie jakieś zajęcia - przepisywałem tam historyjki wymyślane na matmie i innych bzdurnych lekcjach. Były do dupy, nie tylko zdaniem wujka Zbynia, który je znalazł i przeczytał bez pytania o zgodę, ale i moim własnym - choć miałem cichą nadzieję, że wujek Zbynio po prostu się nie zna, a ja, jako autor, nie potrafię obiek-

tywnie ocenić własnej twórczości (czytaj: dostrzec swojej genialności). Bibliotekarka nie wyrażała zdania, mówiła po prostu, że jeżeli chcę pisać, to powinienem pisać – może kiedyś coś z tego będzie.

- Zresztą – pocieszała po swojemu – lepiej pisać niż włóczyć się po ulicach.

Kiedyś jednak podsunęła mi pod nos pismo „Fantastyka” i stuknęła palcem w informację o konkursie na opowiadanie.

- Nie lubię fantastyki.

- Myślałam, że chcesz być zawodowcem.

- Ale nie od fantastyki

- Fantastyka jest idealna dla takich młodych autorów jak ty!

- Niby dlaczego?

- Bo młodzi ludzie bardzo chcą pisać, a przeważnie jeszcze nie mają o czym.

Zamyśliłem się.

- A tu – przekonywała – możesz sobie wszystko od początku do końca wymyślić i nikt ci nie powie: „Tak nie było”.

- Ja mam o czym pisać.

- To pisz.

- Ale to nie fantastyka.

- Słuchaj, wygrasz, to zarobisz pieniądze! – zdenerwowała się. – Albo kaprysisz, albo się bierzesz do roboty.

Napisałem o ojcu, mamie, o wujku Zbyniu i o kantorze – ale nie o takim kantorze, w którym można sprzedać marki, a kupić dolary, nie, nie, napisałem o kantorze, w którym da się spieniężyć nadmiar wolnego czasu.

Masz wolne popołudnie, z którym nie wiadomo co zrobić?

Damy tysiaka!

Nie wiesz, jak dotrzymać do kolejnej wypłaty?

Spokojnie, odkupimy te dwa tygodnie.

Nie możesz się doczekać wakacji?

Pohandlujmy!...

Oczywiście nawet nie próbowałem mydlić nikomu oczu, że jest to fantastyka naukowa. Nauki w moim opowiadaniu było równie mało co czekolady w peerelowskim bloku czekoladowym – choć na początku

zastanawiałem się, czy nie nabazgrać czegoś o połączeniach neuronowych w mózgu, o splątanych sieciach nerwów, o bodźcach, które po nich śmigają... Dałem spokój. Wystarczyło przekartkować pierwszy lepszy podręcznik o neurobiologii, aby zrozumieć, że się ośmieszę. To nie miało być opowiadanie lemowskie, to miało być opowiadanie, które wkurwi Zbynia i pozwoli mi zarobić pierwsze honorarium. Wymyśliłem sieć kantorów prowadzonych przez, wypisz, wymaluj, sobowtóry Mister Maneja (nawet nadałem im taką nazwę). Stały na peryferiach miast, w biednych dzielnicach, wśród bloków z wielkiej płyty, na bazarach, przy blaszanych spożywcach - brudne, odrapane, zachlapane błotem... Domokrąźcy krążyli od mieszkania do mieszkania (z tymi swoimi sztucznymi uśmiechami, z ulotkami, z teczkami pełnymi umów, które wystarczy podpisać i już, pieniążki w kieszeni, ale miesiąc życia zniknął). Skrzynki pocztowe pękały w szwach od ulotek. Konkurencyjne sieci kantorów wymyślały wciąż nowe produkty, na przykład chwilówki: nie sprzedajesz swego czasu, tylko pożyczasz - jeżeli uda ci się oddać wszystko w określonym terminie, wspaniale, płacisz jedynie opłatę administracyjną: tydzień i jednaście godzin (nie wiem, dlaczego przyszedł mi do głowy właśnie tydzień z kawałkiem, uznałem po prostu, że brzmi to kozacko), a jeżeli się nie uda, to cóż, straciłeś wiosnę, ale masz przynajmniej pieniądze na wakacje, słonecznego lata życzymy! Za wszystkim stali źli bogaci mieszkający w najpiękniejszych dzielnicach miasta. Żyli długo i szczęśliwie, bo było ich na to stać, a takie przegrywy jak mój ojciec umierały przed pięćdziesiątką. Zbynia uznałem za nazbyt głupiego na bycie jednym z tym bogaczy. Był po prostu ich pomagierem, dostarczał produkt, ale na końcu postanowiłem go zabić. Pomyślałem, że zabójcą, a raczej mścicielem, powinien być mój ojciec. Zabije Zbynia ze sztucera należącego kiedyś do nieżyjącego już dziadka (wydało mi się świetne, że nawiązuję w ten sposób do znanej dramaturgicznej zasady: skoro w pierwszym akcie pojawia się strzelba, to w ostatnim powinna wypalić). Nie wiedziałem, co zrobić z mamą. Ocalić ją, zabić? Zabić przypadkiem, na przykład od rykoszetu, albo (jeszcze lepiej!) opisać, jak Zbynio w strachu przed śmiercią zasłania się mamą - co jest najlepszym dowodem, że wcale jej nie kocha i nigdy nie kochał. A może pozwolić mamie wrócić do ojca? A może sprezentować ojcu jakąś namiętną miłość z jedną z tych bogaczek? A mama będzie do końca życia zagryzała wargi, uświadamiając sobie, że straciła miłość

swego życia? A może... Naprawdę nie miałem pojęcia, co zrobić z rodzicami. No i jeszcze jedno: po przeczytaniu wystukanego na starym łuczniku opowiadania zacząłem się zastanawiać, na chuj mi w nim zmywarka!

- Nie za dużo tu brzydkich wyrazów? - zapytała bibliotekarka. Dałem się przekonać, że jednak byłoby dobrze, aby ktoś przeczytał mój tekst, zanim wyślę go na konkurs, a skoro ona jest wtajemniczona, a na dodatek, z racji wykonywanego zawodu, jest też w miarę odczytana, to dlaczego nie mogłaby wyrazić swego zdania i ewentualnie coś zasugerować?

- A za dużo?

- A nie?

- Normalnie, jak w życiu.

- Ty tak się wyrażasz?

- Czasami.

- Jakoś nie słyszałam.

- Kurwa, chuj, pierdolić.

- Brawo.

- Dziękuję.

Raz jeszcze spojrzała na trzymane w ręku kartki. Bez przekonania - takie odniosłem wrażenie.

- A co chciałeś wyrazić tym opowiadaniem?

- Jezu, co za pytanie!

- Normalne pytanie.

- Chyba na lekcji polskiego!

- Ale co..., co jest tu najważniejsze?

Milczałem.

- Gdybyś miał temu dać motto, to co by to było?

- „Jedyną walutą, na której mi naprawdę zależy, jest czas” - wyrecytowałem.

Zamyśliła się.

- Sam wymyśliłeś?

- Ojciec.

- Dobrze - pokiwała głową. - Ale nie odebrałam twego tekstu w ten sposób.

- Nie?

- Nie.

Byłem zły.

- Nie możesz się gniewać na czytelników za to, że odebrali to, co napisałeś, inaczej, niż chciałeś.

Bez słowa wyjąłem z jej rąk opowiadanie, usiadłem przy maszynie do pisania, wkręciłem kartkę ze stroną tytułową i wystukałem motto: „Jedyną walutą, na której mi naprawdę zależy, jest czas”. I podpis: „Ojciec autora”.

- Nie powinieneś podpisać taty z imienia i nazwiska?

- Wysyłam opowiadanie na konkurs - zasapałem. - Ma być anonimowo. Muszę wymyślić godło, a nazwisko zapisać na oddzielnej kartce i włożyć ją do koperty. Więc zapisywanie nazwiska ojca byłoby chyba przegięciem, bo przecież to i moje nazwisko.

- Z tego, co wiem, nie jest osobą publiczną...

- Pilnuje parkingu.

- O tym mówię.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. I po chwili zaczęliśmy się śmiać.

Oczywiście nic nie wygrałem. Zwyczajnie opowiadania jakiejś nieznannej mi autorki przeczytałem w „Fantastyce” wiele miesięcy później, gdy ojciec już nie żył. Zmarł cichutko w kanciapie na parkingu - zawał serca. Wujek Zbynio szybko stał się ojczymem Zbyniem. Po kilku latach, gdy studiowałem już w Warszawie, rzucił mamę i związał się z jakąś bogaczką, która miała farmę lisów. Mama nigdy nie żałowała rozstania z ojcem - i nie miała poczucia, że straciła miłość swego życia. Stwierdziła, że ma już dość chłopów, nawet mnie, i że odtąd chce żyć wyłącznie dla siebie. Kiedyś, robiąc porządki, znalazła kopię mego opowiadania. Zadzwoniła i powiedziała, że byłem dla niej niesprawiedliwy.

- Dlaczego?

- Myślisz, że najważniejsze były dla mnie pieniądze?

- Nie były najważniejsze, ale ważne, to różnica.

- Poza tym nie pamiętam tej sytuacji z kantoru. Co to były za banknoty? Te, które traciły wartość?

- Nie wiem, wymyśliłem to przecież.

- Tak nie można!

- Wszystko można.







# schematy nagród

MICHAŁ PROTASIUK

*Idźcie drogą przeciwną do tej, jaką podąża wasz uczeń; niech myśli, że on jest nauczycielem, a wówczas wy nim będziecie.*

*Jean-Jacques Rousseau, Emil, czyli o wychowaniu*

## POZYTYWNE WZMOCNIENIA

Pojawienie się w trendzie wzrostowym formacji jednorozca wraz z występującą bezpośrednio po niej czarną świecą i gwiazdą doji sygnalizowało wysokie prawdopodobieństwo odwrócenia dynamiki wypłat. Petra marszczyła brwi, analizując rozłożone na biurku wykresy. Co rusz kartkowała tabele kursowe kcal, wydanie sprzed miesiąca, przesuwała linijkę, odczytując wartości, które następnie podstawiała do modelu ekonometrycznego. Niezbędne obliczenia wykonywała za pomocą suwaka logarytmicznego. Dysponowała wprawdzie kalkulatorem, ale koszty energii wciąż szły w górę, wołała zatem posługiwać się urządzeniem elektronicznym wyłącznie w skrajnych przypadkach. Zresztą bez problemu mnożyła w pamięci czterocyfrowe liczby. O wynajęciu mocy obliczeniowych superkomputera w chmurze nawet nie było co marzyć.

Ktoś zapukał do drzwi. Podniosła głowę znad kartki gęstej od matematycznych wzorów i wielopiętrowych działań. Zbyt szybko, coś strzyknęło w karku i w dół pleców rozlały się fale bólu. Jęknęła - lata robienia w antechu i zwyrodnienie kręgosłupa jak w banku.

- Już otwieram!

*Jak w banku – pomyślała. – Jak w banku, choć przecież banki nie istnieją, nie ma stóp procentowych, weksli i scoringu kredytowego. W językowych skamielinach odbija się stary świat, przedgłodowa architektura instytucjonalna, która runęła w ciągu zaledwie jednego pokolenia.*

W drzwiach stała rudowłosa kobieta. Zwisająca na kablu żarówka bzyczała niczym wielki owad i barwiła klatkę schodową na kolor smutnej żółci. Traumą Milenijnej Suszy przekazywano w genach, co sugerowało dramatyczne losy przodków nieoczekiwanej gościni. Kobieta nosiła wysłużoną kurtkę przeciwdeszczową ze zbyt krótkimi rękawami odsłaniającymi kościste przedramiona. Skóra na twarzy zdawała się prześwitywać i gdyby tylko spółdzielnia nie oszczędzała na kosztach oświetlenia korytarza, Petra mogłaby spojrzeć poprzez policzki i skronie, dojrzeć wędzidełko podjęzykowe, trupioblada kość skroniową, a może nawet i klatkę galaretowatego mózgu.

- Potrzebuję kcali – powiedziała nieznajoma, rozglądając się badawczo dookoła. Wyglądała na czterdzieści lat, ale równie dobrze mogła nie mieć trzydziestki. Deficyt kaloryczny robił z ludźmi straszne rzeczy.

- Proszę – Petra otworzyła na oścież drzwi i wskazała drogę do gabinetu. - Napijesz się czegoś? Właśnie siedziałam nad zleceniem, muszę uporządkować dokumenty. Kto mnie zarekomendował?

- Nazywam się Ivana Popović – ruda chudzina zignorowała pytanie i wyciągnęła rękę. - A sąsiedzi?

- Petra Dvořák – uściśniły sobie dłonie. - Nie wiedzą. Pewnie się domyślają, ale są wystarczająco przyzwoici, żeby nie podkablować. Antech zresztą nie jest zabroniony.

Ivana usiadła na wskazanym fotelu i z onieśmieniem taksowała wzrokiem ciasny pokój. Patrzyła na biurko zavalone papierami, pościelony tapczan, na okno wychodzące na ruchliwą ulicę i bezlistny kasztanowiec zaglądający do wnętrza niczym posłaniec wczesnej zimy.

- Nie jest zabroniony? – powtórzyła zdziwiona.

Petra nalała do karafki wodę i postawiła na biurku przed nową klientką.

- Szara strefa. Władza nas nie lubi, fakt, ale w przepisach zieje dziura. Przecież nie działamy na szkodę Kujona, tylko pomagamy zwykłym ludziom.

- Chyba chodzi o inflację - Ivana umościła się wygodniej w fotelu i przymknęła oczy. Wyglądała na wycieńczoną i wychłodzoną. - Przekierowując frajerów do zadań o wyższej stopie zwrotu, zwiększasz zysk i tym samym liczbę kcali bez pokrycia w obiegu. Mam rację?

Zgięta w pół Petra stężała na sekundę, po czym kontynuowała przekładanie papierów do dolnej szuflady. Trafiła się zatem mądralińska, której nie wystarczy zamydlić oczu antechowym mambo-dzambo, która będzie zadawała pytania i drażyła, choć jej wiedza jest płytka jak koryto wyschniętej Wełtawy - ot, podsłuchiwała rozmowę frajerów w kolejce do edubudki. Petra nie lubiła podobnych przypadków. Pomimo wielu lat w biznesie cierpiała na syndrom impostora i bała się, że ktoś podważy jej kompetencje, nazwie oszustką, będzie drwił i zszarga zawodową reputację. Wprawdzie Ivana budziła zaufanie, ale pozory bywają złudne.

- A czy aby przypadkiem system nie jest stacjonarny? - Petra odpowiedziała pytaniem. - Kcali mają pokrycie w rzeczywistym bilansie kalorycznym i jeśli Kujon powiększa kurs jednego zadania, automatycznie obniża kurs innego lub produkuje więcej energii? Gra o sumie zerowej dostosowana do rynkowej podaży?

- Przecież i tak nie wiadomo - Ivana nie ściągała kurtki, a jedynie rozpięła suwak, eksponując wełniany sweter i wystające kości obojczykowe. Dekolt miała gęsto usiany piegami.

Petra zajęła miejsce po drugiej stronie biurka.

- Słucham.

- Chcę zarobić - powtórzyła rudowłosa.

- To chyba oczywiste. Umiesz coś niezwykłego? Użytecznego? Czasem można znaleźć intratną niszę.

Klientka upiła duży łyk wody i popadła w zadumę.

- Umiem pisać, chyba. Kiedy córka była mała, wymyślałam świetne bajki; potem dorosła i powtarzała, że powinnam spisać wszystkie opowieści.

- Coś jeszcze? Rzeczy, których wolisz nie robić? Wiele zadań polega na kategoryzacji treści wideo... Mogą mieć różny charakter...

Królowa chudzielców przewróciła oczami, jakby Petra wygłaszała oczywistości.

- Frajer to moje drugie imię.

- Więc... - Petra pokiwała głową.

- Hardkorowa pornografia jest zdecydowanie nie dla mnie. Softero-tyka w porządku, właściwie nawet bardzo chętnie, jeśli faceci są wysportowani i atrakcyjni.

- A czytanie w myślach? Ostatnio rośnie na popularności i coraz więcej edubudek jest wyposażonych w telepatyczny hardware.

- Czytanie w myślach? - Ivana uniosła się z fotela.

- No wiesz, zakładasz na głowę czepek z elektrodami, a Kujon każe ci pomyśleć o konkretnej rzeczy, na przykład rowerze, słoniu czy papryce. Nie zawsze pyta o rzeczy, mogą być też emocje, kwestie abstrakcyjne, wolność, dobroć, tego typu sprawy. Ty myślisz, on czyta wykres fal mózgowych i szuka korelacji pomiędzy jednym a drugim.

Klientka zmarszczyła brwi.

- Ale można skłamać? Oszukać go? Nie pomyśleć o słoniu, kiedy prosi o słonia?

- W masie i tak się uśredni - Petra się uśmiechnęła. Po chwilowym przypiływie niechęci znów poczuła do Ivany sympatię.

- Chyba mogę spróbować.

- Tutaj mam szczegółowy formularz - pomachała plikiem spiętych kartek - i na jego podstawie przedstawię rekomendację. Biorę dwadzieścia tysięcy kalorii za trzy dobrze dopasowane prognozy gwarantujące zysk co najmniej piętnaście procent powyżej dostępnego publicznie benchmarku za ostatni kwartał. Jeśli się pomylę, zwracam pieniądze. Co do kcal.

Rozmówczyni zastygła w nieoczekiwanym stuporze, zupełnie niezainteresowana wypełnianiem kwestionariusza.

- Chciałam o coś zapytać... - zaczęła niepewnie, unosząc do twarzy szklankę z wodą, jakby próbowała ukryć oblicze za przezroczystym naczyniem.

Antechowa specjalistka przeszła ją wzrokiem.

- Ryszard Sokołowski - powiedziała cicho Ivana, podsycając konspiracyjną atmosferę. Patrzyła na Petrę zmrużonymi oczami, przechyliła się do przodu i odstawiła szklankę na biurko, próbując odciągnąć uwagę od drżących dłoni. - Szukam kontaktu.

Cisza opadła nagle, niczym klatka na zaskoczone zwierzę. Zgęstniało powietrze, aż Petrze zakręciło się w głowie, jak w nastoletnich czasach,

kiedy nie jadła przez cztery dni z rzędu. Oddech przyspieszył, męcząca suchość w ustach utrudniała przelykanie śliny.

- Nie wiem, o kim mówisz - wychrypiała.

- Oj Petra, wiesz doskonale. Muszę z nim porozmawiać - Ivana jeszcze bardziej ściszyła głos, trudno było ją dosłyszeć. - Sprawa życia i śmierci.

Ona wcale nie potrzebowała kcal, nie wspięła się po stromych schodach kamienicy na piąte piętro, by osiągnąć ponadprzeciętną stopę zwrotu z wizyty w edubudce, fabryce pieniędzy.

- Proszę, wyjdź - Petra poderwała się z krzesła, znów coś łupnęło w kręgosłupie, tym razem znacznie boleśniej. Zagryzła wargi. I tak nieźle się trzymała jak na pięćdziesiątkę.

- Mam wiadomość - rysy twarzy Ivany wyostrzyły się, zaś skóra zbladła jeszcze bardziej, nadając policzkom przejrzystość papieru śniadaniowego. - Od tego wszystko zależy. Szukałam ludzi, którzy byli z nim blisko, i tylko ciebie znalazłam. Przecież to twój były mąż.

Gospodynię nieoczekiwanie dopadło zmęczenie. Gniew był niskokalorycznym paliwem.

- Proszę wyjść - powiedziała cicho, ruszając w stronę drzwi i ignorując fałszywą klientkę.

Ivana zastąpiła jej drogę. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, ale gościni pierwsza zwiesiła głowę, uświadamiając sobie porażkę. Petra objęła dziewczynę ramieniem.

- Nie wiem, kim jesteś i czego chcesz. Ale lepiej będzie, jeśli jak najszybciej stąd znikniesz.

Ivana odwróciła się gwałtownie i wybiegła z mieszkania.

\*

Jesienne wieczory ważyły setki ton. Zgęstniały mrok naciskał na miasto z ciśnieniem dziesiątek atmosfer. Przechodnie przemykający skrawkami ciemnych chodników garbili się i z lękiem spoglądali w niebo. Uliczne latarnie nie działały - zasilano je ogniwami fotowoltaicznymi, jednak te ze względu na silne zachmurzenie w ciągu dnia nie zdążyły się naładować. Jedynie tramwaj kursujący w regularnych odstępach trzydziestu minut rozświetlał czarne zakamarki. Wyjątek stanowiły podświetlane

edubudki – kiedy Petra wyjrzała przez okno, w zasięgu wzroku miała dwa blaszane sześciany o boku trzech metrów; gdyby wychyliła się bardziej, z łatwością dostrzegłaby trzeci przybytek ulokowany tuż za rogiem kamienicy. Do nich zawsze czekała długa kolejka chętnych frajerów złąknionych kalorii. O tej godzinie przestały jeździć szczekaczki informujące o audycie energetycznym, nawołujące do izolacji okien i ścian.

Przestała pracować roztrzęsiona po wizycie chorobliwe chudej kobiety. Pytanie o Ryszarda Sokołowskiego zrodziło gonitwę natrętnych myśli. Niczym duchy dawno pogrzebanej przeszłości przywołane podczas seansu spirytystycznego, który wymknął się spod kontroli, wciąż o sobie przypominały. Nie potrafiła wrócić do codziennej rutyny.

Patrzyła wciąż przez okno. Iluminacja na szyldzie edubudki zmieniła kolor na zielony, rozsunęły się drzwi i sześcian wypuł kolejnego zadowolonego frajera z kilkuset kcalami na koncie więcej. Mężczyzna nie wyglądał na wystarczająco bystrego, by skorzystać z usług antecha.

Niecałe trzydzieści lat temu wychodzili na prostą po dekadach Suszy, kiedy koleje losu dyktowało demoniczne sprzężenie zwrotne pomiędzy szalejącym klimatem a wojnami o zasoby. Świat złożył wielką ofiarę krwi i powrót do *status quo* okazał się niemożliwy. Hasła radykalnych ekologów sprzed lat zabrzmiały jak bajeczki konserwatystów broniących starego porządku. Aby uratować cywilizację stojącą na krawędzi klifu, należało dokonać niewyobrażalnego.

Rysiek należał do architektów zmiany w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Wykładał na politechnice sieci neuronowe, specjalizował się w algorytmach uczenia głębokiego. Starszy od Petry o dziesięć lat, poznali się na uczelni. Poderwał ją na stołówce, kiedy pałaszowała kryzysowy lunch liczący dwieście pięćdziesiąt kilokalorii. Dosiadł się do stolika, gdzie pełna zapału młoda Petra znad parującej miski ziemniaczanego bulionu dyskutowała rewolucyjne idee z Cvetą, najlepszą przyjaciółką z roku.

- Wolny rynek nie gwarantuje optymalnej alokacji zasobów – Ryszard włączył się w konwersację studentek, odpowiadając za zawieszony pytanie Cvety. – Wszystko zostawiliśmy wolnemu rynkowi i gdzie skończyliśmy? Najwyższa pora wymyślić system na nowo, dać nadzieję przyszłym pokoleniom za pomocą uczenia maszynowego. Świat bez wzrostu, chciwości i nierówności.

Żywe oczy Ryśka były głęboko osadzone w wychudzonej twarzy. Nie dbała fryzura i trzydniowy zarost nadawały głodnemu wykładowcy nimb marzyciela pochłoniętego sprawami ważniejszymi niż codzienna walka o kalorie. Studentki kochały się w nim do szaleństwa, a on wybrał Petrę.

Tak wyglądały najszcześniejsze lata jej życia. Prowadziła ze studentami zajęcia z analizy szeregów czasowych, zaś Rysiek wspiął się wnet na szczyt drabiny społecznej, trafiając do zespołu deweloperów konstruujących Kujona (choć wówczas nikt nie nazywał go Kujonem, ale Cybersynem; potoczne określenie przykleiło się kilka lat później). Nie opływali w luksusy, nikt nie opływał, żyli skromnie, ale mieli poczucie zaangażowania w rzeczy najważniejsze. Szybko wzięli ślub.

- Systemy centralnego planowania wyłożyły się na ryj - podczas spotkań towarzyskich mąż lubił rolę mądrali - ponieważ planiści nie poradzili sobie z ilością dostępnej informacji. Potem dysponowaliśmy wystarczającymi mocami obliczeniowymi i algorytmami, ale żyliśmy pod butem turbokapitalizmu i każda sugestia odejścia od neoliberalnego paradygmatu prowadziła do oskarżeń o komunizm i szykowanie gułagów. Zjebaliśmy ekosystem, ale przynajmniej wygenerowaliśmy kolosalną wartość dla akcjonariuszy. Tym razem będzie inaczej. Oddamy gospodarkę w ręce sztucznej inteligencji, bo tylko sieć neuronalna ogarnie ukryte nieliniowe zależności i będzie podejmowała racjonalne decyzje. Trzeba ją odpowiednio wytrenować, co stanie się wysiłkiem całego społeczeństwa.

Z czasem nadeszły wspierające reformy. Powiązano podaż pieniądza z podażą kalorii. Wprowadzono gwarantowane racje żywnościowe. Skończyła się epoka polityczności, a zaczęły czasy utylitarnej optymalizacji opartej na danych analizowanych w czasie rzeczywistym. Elektronowy mózg okazał się surowym zarządcą, oszczędnie gospodarującym energetycznymi zasobami. Nadeszły lata chude, choć i tak było nieporównywalnie lepiej niż podczas Milenijnej Suszy, kiedy głodne masy ruszyły na bogaczy poukrywanych w ekskluzywnych bunkrach i polała się krew.

Petra późno odkryła, że Rysiek ją zdradza. Wracał do domu wieczorami, co przyjmowała ze spokojem. Wszak był chirurgiem przeprowadzającym operację na żywym organizmie gospodarczym Unii Słowiańskiej. Narzekał na migreny, stracił zainteresowanie seksem - przecież

ciężła na nim nieludzka odpowiedzialność (oczywiście przesadzał i koloryzował; zespół deweloperów liczył wiele tysięcy osób, jednostkowy wkład był znikomy). Jednocześnie co trzeci dzień pieprzył się z inną kobietą w ciasnym mieszkaniu w dzielnicy Žižkov, zamiast nadzorować trenowanie algorytmu Cybersyna. Ów trójkąt mu odpowiadał i nie zamierzał niczego zmieniać, ale jak zwykle o wszystkim zadecydował przypadek. Znajoma z instytutu zobaczyła ich razem w kawiarni, udawali niewinnych, ale Rysiek skradł pocałunek kochance, kiedy myślał, że jest bezpieczny, że nikt nie patrzy. Znajoma szepnęła słówko Petrze i w mózgu dziewczyny coś się odblokowało, wszystkie elementy zaczęły do siebie pasować. Jak mogła pozostawać ślepa przez tyle czasu? Porozmawiała z kolegami Ryszarda z pracy – wcale nie przesadywał do nocy. Zaczaiła się ukryta za rozłożystą topolą naprzeciwko Instytutu Sztucznego Mózgu i śledziła partnera, z każdym krokiem nabierając coraz okropniejszych obaw.

Kiedy zatrzymał się przed drzwiami kamienicy, w której mieszkała Cveta, Petra wybuchła płaczem.

Dwa dni później pakowała walizkę. Ryszard próbował niezdarnie pocieszać żonę:

- Behawioryści mieli rację. Człowiek uczy się przez pozytywne wzmocnienia, tak samo jak sztuczna sieć neuronowa. Z łatwością możesz wytrenować nowe reakcje, przeprogramować się sama. Bodziec i reakcja, jesteś sumą odruchów warunkowych, nic innego nie istnieje.

Od wtedy minęło ponad dwadzieścia lat. Niemal ćwierć wieku bez Ryśka i Cvety. Owszem, słyszała plotki: wzięli ślub, ale po kilku latach drugie małżeństwo również legło w gruzach.

Czego mogła chcieć od jej dawnego partnera tajemnicza Ivana?

## **KLATKA SKINNERA**

Pakt społeczny epoki postgłodu był jasny dla wszystkich. Żyjemy w czasach przejściowego niedoboru, ponieważ Cybersyn (zwany potocznie Kujonem) nie osiągnął pełnej sprawności poznawczo-obliczeniowej.



Jeśli wyuczmy go zbiorowym wysiłkiem obywateli, będzie się robił coraz mądrzejszy i zacznie podejmować lepsze decyzje, z pożytkiem dla społeczeństwa. Czas spędzany na treningu sztucznej sieci neuronowej – kilokalorie – stał się walutą nowego świata.

Nierówności się skurczyły, ale jednak nie znikły. Im biedniejsza dzielnica, tym więcej edubudek i zdesperowanych mieszkańców spędzających nieskończone godziny na rutynowych zadaniach klasyfikacji obrazów i treści wideo, rozpoznawania emocji, streszczania tekstów, nadawania tagów, rozpoznawania myśli i tysiącu innych rzeczy, które deweloperzy Kujona, albo może sama sztuczna inteligencja – nikt nie miał pewności – uznawali za potrzebne w danym momencie.

Petra przeciskała się przez tłum zgromadzony przed budkami. Kolejki frajerów mieszały się ze sobą i co chwila wybuchały kłótnie. Ludzie na mieście gadali, że idzie ciężka zima i należy liczyć się z cięciem przydziałów energetycznych. Każdy chciał zachomikować garść kalorii na czarną godzinę, kiedy przycisnie mróz.

Rodzice Cvety mieszkali w willi w dzielnicy Ořechovka. Dwustumetrowy dom dzielili z dokwaterowanymi trzema rodzinami. Petra ostatni raz odwiedziła przyjaciółkę w czasach studenckich, dwadzieścia trzy lata temu. Nic się od tamtej pory nie zmieniło i w progu stanęła ta sama grubokoścista kobieta z nadmiarem męskich hormonów i tendencją do zarostu nad górną wargą. W mig rozpoznała Petrę i stoczyła luźną pogawędkę, jakby widziały się w ubiegłym tygodniu, a nie ćwierć wieku temu. Na pytania dotyczące córki odpowiadała w wykrętny sposób, aż wreszcie niechętnie ujawniła aktualny adres zamieszkania Cvety, jednocześnie ostrzegając przed składaniem odwiedzin po zmroku ze względu na złą reputację dzielnicy.

Wyminąwszy szerokim łukiem dwóch mężczyzn okładających się pięściami o miejsce w kolejce, Petra przekroczyła próg kamienicy, ostatni raz remontowanej w czasach wiary we wzrost gospodarczy prowadzący ku lepszemu jutru. Śmierdziało gnijącym jedzeniem, co było zaskakujące, gdyż marnowanie żywności należało do wykroczeń surowo ściganych z urzędu. Schodami stromymi niczym droga na szczyt wieży Babel wspięła się na szóste piętro, z utęsknieniem rzucając spojrzenia na zabity deskami szyb windy, zbędny luksus, energochłon.

Wpadły na siebie przed drzwiami mieszkania. Ledwo rozpoznała Cvetę. Przed laty rumiana blondynka, aktywistka udzielająca się

w organizacjach studenckich, wycięta jak z żurnala egzemplifikacja kobiety liderki przejmującej pałeczkę po rządach aroganckich, chorobliwie pewnych siebie mężczyzn, które doprowadziły cywilizację na skraj zagłady, dzisiaj ledwo trzymała się na nogach, nerwowym ruchem przeczesując co raz włosy w kolorze słomy.

- Petra? - zrobiła krok do tyłu i straciła równowagę. Chyba miała zawroty głowy. Aby nie upaść, chwyciła się poręczy i mocno ścisnęła, aż zbieleły kłykcie. - Petra, to ty?

Gościni skinęła głową.

- Chcę porozmawiać. Wejdziemy do ciebie?

- Ale szłam do... - dawna przyjaciółka machnęła ręką w geście rezygnacji. - Chodźmy - zgodziła się.

Cveta ostrożnie stawiała krok za krokiem, jakby miała za chwilę paść z wyczerpania. Ale przecież jedzenie gwarantowało państwo i nikt nie umierał z głodu, w przeciwieństwie do hekatombi poprzedniego pokolenia. Oczywiście, niektórzy nie dojadali - funkcjonował czarny rynek, gdzie kalorie dało się wymieniać na różnorakie dobra i usługi - ale czego mogła potrzebować dawna przyjaciółka, cóż miało wartość większą niż racje żywnościowe w świecie, gdzie traumę suszy dziedziczyło się epigenetycznie?

Ciasne mieszkanie wydawało się dobrze przygotowane do zimy. Na ścianach gospodyni porozwieszała kolorowe koce i pledy, upchane w szczeliny szmaty ocieplały okna. Pachniało stęchlizną i naftaliną na mole. Petra przycupnęła na wersalce zasłanej wełnianą narzutą, usiadła ostrożnie, bojąc się naruszyć piramidę poduszek, zagłówków i termofo-rów opierającą się o ścianę. Zaskrzypiały sprężyny, kiedy przeniosła na siedzisko ciężar ciała. Złodziejka męża zajęła miejsce naprzeciw, na fotelu obitym czerwonym pluszem.

Oblicze Cvety przypominało fotografie, jakie Petra pamiętała z podręcznika historii. Ofiary Suszy, które wzięły rozbrat z nadzieją. Twarze bez wyrazu, pogodzone z nieuchronnym.

- Ostatnio ktoś do mnie przyszedł - Petra bała się poruszyć, wolała nie prowokować wersalki, czuła dziwaczną współwinę za kiepskie warunki mieszkaniowe Cvety, a skarga sprężyn wersalki o tym przypominała. - Przedstawiła się jako Ivana Popović, ale kłamała. Jestem antechem, przysła pod pretekstem, ale...

- Kim jesteś? - Cveta mówiła powoli, cedziła słowa niczym osoba czytająca fonetyczny zapis obcego języka, nieświadoma ich znaczenia.

- Antechem, nie mów, że...

- Kim jest antech?

- Cveta, żartujesz? Gdzieś ty się podziewała? Co się z tobą działo? - Petra podskoczyła z wrażenia, a tapczan odwzajemnił się rozziewającym jękiem zmęczonego metalu.

Gospodyni zmrużyła oczy i powoli pokręciła głową, jakby mówienie było zbyt wielkim wysiłkiem. Petra wzięła głęboki oddech.

Antech stanowił osobliwe połączenie statystyki i czarnej magii. Narodził się wraz z gwałtownym rozwojem edubudek. Sieć neuronowa Kujona uczyła się w sposób nadzorowany. Mechanizm tłumaczono dzieciom już w pierwszej klasie szkoły podstawowej: sztuczna inteligencja widzi tysiąc opisanych zdjęć kotów i psów, na tej podstawie identyfikuje unikalne cechy psowatości i kotowatości i w konsekwencji potrafi odróżnić kota od psa na dowolnej innej fotografii. Ale zanim będzie to możliwe, ktoś musi ręcznie otagować ów tysiąc fotografii wykorzystywanych do treningu - nazwać psa psem i kota kotem. A to zaledwie prosty przykład. Jeśli Kujon ma zarządzać gospodarką, musi nauczyć się WSZYSTKIEGO, co wymaga nieprzeliczonej rzeszy nauczycieli. W tym celu powstawały edubudki, terminale połączone z mózgiem elektronicznym, gdzie każdy mógł wspomóc samouczący się algorytm. Nauczycieli Kujona nazywano frajerami, gdyż takie określenie wymknęło się pewnemu inżynierowi projektującemu system podczas rozmowy z dziennikarzem. Zrobił się skandal na całą Unię, ale nazwa przyłgnęła.

Kiedy czas spędzony w edubudkach powiązano z kcalami, frajerem stał się każdy.

Prawie każdy.

Wtedy narodził się antech.

Logując się do terminala treningowego, sztuczna inteligencja wyświetlała kilkanaście zadań i frajer musiał wybrać. Każde zadanie wiązało się z wypłatą określonej liczby kcali, różnice potrafiły być kolosalne, ale wartość komunikowano dopiero po zakończeniu treningu. Kwoty fluktuowały w czasie i coś, za co wczoraj edubudka dawała sowitzką wypłatę, kolejnego dnia okazywało się marnymi dwustoma kalo-

riami. Logika kursu wymiany pozostawała nieznaną, zależną od kaprysów wewnętrznych procesów głębokiej sieci neuronowej.

Ktoś - pierwszy antech - zadał pytanie, czy zmienność wypląt kcali jest możliwa do prognozowania, czy rządzą nią prawa statystyki, czy metody numeryczne potrafią odkryć ukryte prawidłowości i wzorce. Zdania były podzielone. Niektórzy uznawali sugestie antechów za niewarte uwagi bzdury, czarnoksiężskie inkantacje wpatrzonych w wykresy krótkowidzów bredzących na temat gwiazd wieczornych, czarnych świec o krótkich korpusach, zwiastujących odwrócenie trendu dla zadań treningowych określonej kategorii. Inni wręcz przeciwnie, chętnie płacili antechom za rekomendacje, którymi ślepo się kierowali podczas kolejnych wizyt w edubudkach. Tych drugich było wystarczająco wielu, by Petra wiodła życie na przyzwoitym poziomie, nie będąc frajerką.

- Ach tak - głowa Cvety wykonała nieśpieszny ruch w górę i w dół, kiedy Petra przestała opowiadać.

- No i ta Ivana na początku powiedziała, że przyszła po rekomendację, bo chce więcej zarobić, ale przecież chodziło jej o Ryśka, nie o żadne kalorie. Szukała kontaktu. Dlatego przyszłam do ciebie. Nie daje mi to spokoju. Co się z tobą przez te lata działo? Nie wyglądasz najlepiej.

- Ryszarda tutaj nie ma - wydusiła wreszcie Cveta, uśmiechając się nieśmiało. - Nigdzie nie ma.

- Co to znaczy „nigdzie”? - Petra poruszyła się niespokojnie, aż ze szczytu poduszkowej konstrukcji na podłogę spadł czerwony jasek w kształcie serca.

- Na Ziemi Niczyjej.

Petra wstała energicznie z wersalki i do jaśka dołączyły pozostałe zagłówki. Nachyliła się nad niegdysiejszą przyjaciółką.

- Ziemi Niczyjej? Przecież to plotki.

- Nie plotki. Spędziłam tam kilka lat.

- Opowiedz mi.

Minęły prawie cztery godziny, nim Petra wyciągnęła fakty pozwalające zrekonstruować historię życia Cvety od momentu rozejścia się ich ścieżek.

Jak zwykle po trzęsieniu historii czasy odbudowy przyniosły kryzys duchowy. Jak pogodzić się ze stratą tyłu istnień? Jak pogrzebać mentalność świętego wzrostu gospodarczego? Odpokutować planecie za wołające o pomstę do nieba grzechy przeciw ekosystemom? Nowa klasa technokratów, potomkowie ocalałych z klęski głodu, nie znała duchowości, niedobitki bogów wyzionęły ducha, wyciągając chude pięści w stronę palącego słońca niczym owady wznoszące czułki ku niebu, zebrząc o kroplę wody. Wielu jednak wciąż zmagало się z pytaniem, jaki sens nadać owemu bezmiarowi cierpienia, którego doświadczyli. Mnożyły się związki wyznaniowe, dziwaczne sekty czerpiące z dorobku neuronauki, obliczeń kwantowych, psychoanalizy oraz *animal studies*. W towarzystwie wypadało prezentować sceptyczną postawę względem techsolucjonizmu i studzić naiwny optymizm popleczników projektu Cybersyn. Opozycja miała charakter zarówno demokratyczny, jak i radykalny, uciekający się do terroru. Do legendy przeszła próba zamachu na instytut, gdzie pracował Rysiek, w ostatniej chwili udaremniona przez siły porządkowe.

Cveta poddała się modzie, co doprowadziło wnet do kryzysu w związku. Projektant sztucznego mózgu twardo bronił poglądu, że jedyną nadzieją dla zdziesiątkowanej ludzkości jest odwrócenie wektora wszystkożernej dynamiki PKB dzięki centralnemu i racjonalnemu zarządzaniu, z czym – jak udowodniła historia – ludzie ze swoimi uprzedzeniami, emocjami, błędami poznawczymi radzą sobie kiepsko.

Małżeństwo trwało trzy lata. Kujon już działał, na ulicach instalowano edubudki i szczęśliwcy zarabiali na treningach pierwsze kcal. Cveta nie chciała iść tą drogą. Aż wreszcie pewnego upalnego wieczoru gdzieś na rogu ulicy, kiedy wracała ze spotkania towarzyskiego odurzona alkoholem domowej produkcji, ktoś szepnął jej do ucha dwa słowa: Ziemia Niczyja.

Wkroczyć na Ziemię Niczyją znaczyło wypaść poza system. Wyrzec się gwarantowanych przez państwo racji żywnościowych, ewaporować z systemów ewidencji ludności, skasować loginy do terminali szkoleniowych Kujona, odciąć strumień pożywnych kcal. Cveta skorzystała z nielegalnych usług hakerów i zaczęła aktywne poszukiwanie alternatywnych form organizacji nowego społeczeństwa. Wylądowała w sudeckiej autarkicznej komunie wegańskiej. Grupa liczyła sto pięćdziesiąt osób – tyle, ile plemiona łowców-zbieraczy przed rewolucją neolityczną – i cie-

szyła się samowystarczalnością kaloryczną. Cveta spędziła tam kolejnych osiemnaście lat. Związała się z innym mężczyzną, mieli syna, byli szczęśliwi. Wieści z miasta praktycznie do nich nie docierały.

A później zdarzyły się w tym samym czasie dwie rzeczy.

Ojciec Cvety dostał udaru, co skończyło się lewostronnym paraliżem ciała. Starzejąca się matka potrzebowała pomocy i rezydentka Ziemi Niczyjej postanowiła wrócić do stolicy. Ponownie skorzystała z usług hakerskich – tym razem płaciła prawdziwymi kaloriami liczonymi workami soi, bakłażanów i ziemniaków, a nie zdigitalizowanymi kcalami, rzekomo oderwanymi od parytetu żywieniowego. Zapłaciła słono, ponieważ zlecenie należało do nietypowych. Hakerzy specjalizowali się w kasowaniu rejestrów, a nie tworzeniu nowych wpisów i kreowaniu fałszywej historii frajerstwa.

Na Ziemię Niczyją transport z zewnątrz docierał raz na dwa tygodnie. Rozklekotany pickup z napędem elektrycznym z trudem pokonywał krętą górską drogę. Szuter strzelał spod łysych opon. Cveta czekała na progu domu, ściskając w dłoni walizkę.

Z szoferki samochodu wyskoczył Ryszard Sokołowski. W pierwszej chwili go nie poznała. Postarzał się bardziej niż ona. Do komuny docierały plotki: Kujon brutalnie optymalizował produkcję żywności, co najłatwiej robić, stosując konserwanty i agresywną chemię. Oni jedli naturalnie, zdrowo; zaś frajerów wykańczały dolegliwości układu pokarmowego, zespoły jelita drażliwego, choroba Leśniewskiego-Crohna. A przecież od jelit wszystko się zaczyna. Zdrowe jelita to zdrowa głowa.

- Co tutaj robisz? - zapytała zdumiona, dźwigając bagaż i kierując się do samochodu.

- Miałem dość - odpowiedział Rysiek.

Odbyli krótką rozmowę, nim kierowca zapakował płody rolne na pakę pickupa. Inteligencja Kujona wcale nie przyrastała w tempie wykładniczym, jak wierzyli projektanci systemu. Nie istniały inne pomysły oprócz stawiania kolejnych edubudek, coraz intensywniejszych treningów sieci neuronowej, wreszcie ręcznego sterowania kursem kcali, aby przyciągnąć jak najwięcej frajerów. „Na razie żyjemy w kryzysie, ale dobrobyt nadejdzie, kiedy Kujon osiągnie nadludzką wiedzę” - brzmiała mantra pracowników instytutu. Im dłużej Ryszard ją powtarzał, tym mniej wierzył, a z czasem zaczął ową optymistyczną wizję

pogardzać. Innym językiem posługiwał się na wewnętrznych naradach, prezentacjach i mityngach, kiedy składał raporty przed przełożonymi i wykreślał strome trajektorie postępów w nauce na przestrzeni najbliższej pięciolatki. Jakże się wtedy nienawidził. Koszmary nadchodziły wczesnymi wieczorami, kiedy gasły uliczne latarnie i spadało natężenie prądu w sieciach konsumenckich. Po rozstaniu z Cvetą nigdy nie związał się z inną kobietą, dwa małżeństwa to dość. Leżał w pozycji embrionalnej w pustym łóżku złąkniony kontaktu z ciepłotą ciała drugiego człowieka, próbował marzyć, wyobrażać sobie szczęśliwe życie, ale żadne marzenia nie przychodziły mu do głowy.

Postaw nie zmienia się z dnia na dzień. To długi, niemożliwy do samoświadomego zaobserwowania proces. Kroczek po kroczku: dziś dopuścisz myśl, która wczoraj wydawała się herezją, nie wpuścisz jej do środka, ale uchylicz drzwi, zaczniesz oswajać nieznanne. Aż wreszcie pewnego dnia staniesz przed lustrem i odkryjesz w sobie nowego człowieka, choć z zewnątrz jakby nic się nie zmieniło.

Rysiek jako pracownik instytutu raz na jakiś czas przechodził obowiązkowe badania kontrolne. Najbardziej obawiano się bowiem *inside job*, ataku z wewnątrz, dlatego inżynierowie mający dostęp do kodu źródłowego Cybersyna byli pod szczególnym nadzorem. Kartoteki w wydziale bezpieczeństwa puchły od donosów, a sztaby psychologów przeprowadzały rutynowe badania, by wychwycić choćby cień rozchwiania. - Będę kłamał - powtarzał sobie Rysiek. - Mogą robić wszystko, ale do głowy nie zajrzą. Nigdy się nie dowiedzą, co naprawdę czuję.

Do czasu.

Pewnego dnia do zakresu badań włączono skanowanie aktywności elektrycznej mózgu. Frajerzy trenowali Kujona w odwróconej inżynierii myśli - wychodząc od analizy kształtu fal mózgowych do zawartości umysłu, treści przeżyć, subiektywnych doświadczeń rzeczywistości. Siedząc w białym laboratorium z przyklejonymi do czaszki elektrodami, odpowiadając na pytania sondujące stabilność psychiki i wyznawany system wartości, Ryszard zrozumiał, że oto nadszedł koniec. Złożone obliczenia zajmowały czas, a zadanie nie należało do pilnych, zatem puszczono je na mniej wydajnych klastrach Kujona. W pierwszej chwili inżynier wpadł w panikę, ale przecież miał wciąż czas na działanie, kilkanaście godzin, zanim odszyfrują zawartość Ryszardowego umysłu.

Wrócił do domu, spakował walizkę i wyruszył na poszukiwania Cvety, jedyne ogniwo łączące go z miejską legendą Ziemi Niczyjej, oazy wolności poza cybernetyczną jurysdykcją, gdzie pieniądze rodzi ziemia, a nie trening sieci neuronowej. W ten sposób trafił do osady w Sude-  
tach.

- A ja, jak na ironię, właśnie wracałam do miasta - Cveta wygięła spierzchnięte wargi w cień uśmiechu. - Szukali go, oczywiście, że szukali. Nawet u nas się pojawili, ale dobrze Ryśka ukryliśmy. O jego ucieczce zrobiło się głośno, opowiadano niestworzone historie, śpiewano piosenki, powstawały wiersze.

- Ja nic nie słyszałam - odparowała Petra.

- Reżimowe media milczały, natomiast drugi obieg informacji oszalał. W końcu Ryszard wiedział więcej, był deweloperem, miał wgląd w kod źródłowy. Po raz pierwszy osoba o takim statusie przeszła na drugą stronę.

- W jakim celu ktoś miałby szukać kontaktu z Ryśkiem? W dodatku szukać przeze mnie? O co chodzi?

Cveta z trudem wzruszyła ramionami.

- Wiele osób marzy o rozmowie z naszym dawnym mężem. Jest legendą zbuntowanych. Po drugim rozwodzie wiódł życie samotnika. To chyba logiczne założenie, że najłatwiej trafić do niego przez byłe żony. Ja funkcjonuję w rejestrach Kujona pod fałszywym nazwiskiem, ale ty... Również zaczęłabym od ciebie, gdybym go szukała.

Kiedy Petra szykowała się do wyjścia, Cveta nieoczekiwanie podniosła się z siedzenia.

- Przelej mi jakieś kcale - jęknęła. - Po starej znajomości, potrzebuję, chyba widzisz, co się ze mną dzieje.

- Optimum kaloryczne jest gwarantowane przez Unię, więc o co...

- Wymieniam je na farmakologię, rozumiesz? Inaczej bym tutaj zwa-  
riowała. Próbowałam chodzić do edubudek, ale nie potrafię. Bez wspo-  
magaczy zeświruję do reszty, proszę...

Coś się zmieniło, coś trudnego do uchwycenia - wcześniej Cveta reagowała z opóźnieniem, jakby mózg wrzucił niższy bieg i potrzebował czasu na przeprocesowywanie dochodzących bodźców. Natomiast teraz druga żona Ryszarda Sokołowskiego obserwowała Petrę uważnie,



czujne spojrzenie śledziło każdy ruch niczym u drapieżnika przygotowującego atak.

- Nie.

*Nie, nie, nie* – dudniło w czaszce. *Nie, nie, nie* – rozmowa przywołała prastare emocje. Moment, kiedy odkryła, z kim zdradza ją Rysiek. Nie była zła na niego, ale o wszystko oskarżała Cvetę – to jej intryga, kochała się w nim od początku, knuła spisek przez lata, aż wreszcie postawiła na swoim. Po rozwodzie Petra miała kilka przelotnych romanсів, ale z nikim na dłużej. Za bardzo bała się powtórki, kolejnego rozczarowania. Cveta – ona była temu winna.

- Nic ode mnie nie dostaniesz – powiedziała twardo Petra i ruszyła w stronę drzwi.

\*

Zgarnęli ją z ulicy; jakaż była naiwna. Przecież wprowadzona do systemu fałszywa tożsamość Cvety została natychmiast dostrzeżona przez Kujona i w odpowiednich służbach zamigotały alarmowe kontrolki. Powracająca z Ziemi Niczyjej była świetną przynętą. Wystarczyło tylko postawić dwóch agentów na czatach i zgarniać gości Cvety z nadzieją złapania naprawdę grubej ryby spiskującej przeciwko Kujonowi. Ciągnie swój do swego.

Jeden zaszedł jej drogę, drugi obstawiał tyły. Zza postawionych kołnierzy szarych parek ocieplanych owczą wełną buchały kłęby pary. Dumnie demonstrowali zbolące miny funkcjonariuszy państwowych.

- Petra Dvořák? – zapytał ten z przodu i, nie czekając na odpowiedź, prysnął w twarz usypiającym sprayem.

Długo odzyskiwała przytomność. Zawieszona w malignie jak osoba z wysoką gorączką, kiedy rzeczywistość miesza się z senną fikcją. Otumaniony mózg wyświetlał reminiscencje z dzieciństwa: uczipiona matka w kolejce do punktu wydawania racji żywnościowych, dwie staruszki walczące o pół bochenka chleba, smutny ojciec przy stole porcjujący ryż z pomocą wagi kuchennej.

- Petra Dvořák?

Aż wreszcie obudziła się w pokoju przesłuchań. Ascetyczne wnętrze kłuło w oczy nadmiarem bieli. W pierwszym odruchu Petra próbowała

poderwać się od stołu, ale prawa kostka została szczepiona kajdankami z nogą krzesła. Straciła równowagę i prawie upadła. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wkroczyła młoda kobieta. Lekko skośne oczy sugerowały dalekowschodnie pochodzenie, ale cała reszta należała do miss słowiańszczyzny. Zdrowe blond włosy i pulchne policzki niczym u córki bojara nielegalnie dokarmiającego potomstwo pszennym chlebem. Petra patrzyła na dystynkcje na mundurze w kolorze zgniłej zieleni, ale gubiła się w hieroglificznym systemie kropel wody i symbolicznych łańców zbóż.

- Pułkowniczka Tatiana Klymenko - przywitała się skinieniem głowy, zachowując dystans do Petry. Szurnęło odsuwane krzesło. Położyła przed sobą tekturową teczkę zasznurowaną tasiemką, ale jej nie otworzyła.

- Dlaczego tu jestem? - zapytała uwięziona.

- Oficjalnie czy nieoficjalnie?

- Oficjalnie.

- Pani mieszkanie zostało poddane procedurze audytu energetycznego - wyrecytowała pułkowniczka Klymenko, promiennie się uśmiechając. - Na pewno widziała pani komunikaty na ten temat, pani Dvořák, idzie ciężka zima.

Petra skinęła głową. Po mieście krążyły elektryczne samochody, skanując termowizyjnymi kamerami budynek po budynku, sprawdzając ubytek ciepła przez słabo izolowane ściany i okna. Niewybaczalny grzech w świecie deficytu kalorii.

- Ale za to nie idzie się do więzienia?

- Audyt wypadł u pani bardzo kiepsko. Musieliśmy poprosić o złożenie wyjaśnień na posterunku i dlatego się tu pani znalazła.

- A prawdziwy powód?

- Cveta Slavova.

Przecież to oczywiste, nie musiała pytać.

- Koleżanka z dawnych lat. Złożyłam jej wizytę, nie wiedziałam, że wróciła z... Wróciła do miasta - nazwa górskiej osady nie mogła jej przejść przez gardło. Nie w obecności funkcjonariuszki.

- Z Ziemi Niczyjej, jasne - Tatiana skinęła głową. - Przyjaciółka, która odbiła pani męża i której szczerze pani nienawidzi, ale mija dwadzieścia lat i, ot tak sobie, postanawia pani złożyć jej wizytę? A przy

okazji były mąż obu pań jest najbardziej znanym zdrajcą i opozycjonistą.

Petra chciała zniknąć.

- Proszę, bądźmy dorosłe - pułkowniczka westchnęła, ale na jej twarzy nie dało się dostrzec oznak zniecierpliwienia. - Ale mamy jeszcze przecież antech i może od niego zaczniemy?

Szczęknęły kajdanki, kiedy Petra wykonała gwałtowny ruch nogą.

- To nie jest nielegalne.

- W pełni legalne również nie - uśmiechnęła się policjantka. - Istotnie, dość długo przymykaliśmy oko, ale nadszedł kres pobłażliwości.

- Dlaczego mi pani o tym opowiada?

- Ponieważ potrzebuję pani pomocy. Petra Dvořák cieszy się na mieście opinią najlepszego antecha, której analizy dają najwyższą frajerską stopę zwrotu. Siedemnaście koma trzy procent powyżej edubudkowej średniej za ostatni kwartał, jeśli wierzyć danym wywiadowczym. Właściwie co w tym złego, ktoś może zapytać. Że niektórzy zainwestują nieco kalorii, aby dostać wskazówkę odnośnie do bardziej profitowego zadania treningowego? To się kiedyś nazywało przedsiębiorczość. Mądre inwestowanie. Gdzie leży problem? Dlaczego nam to przeszkadza?

- Chodzi o inflację, prawda? - Petra oddałaby dwa tysiące kalorii za możliwość wyprostowania ścierpłej nogi. - Kcale są powiązane na sztywno z podażą żywności, Kujon zakłada uśredniony kurs, a antechy ten kurs zawyżają, zwiększając tym samym podaż pieniądza na rynku?

Tatiana Klymenko uśmiechnęła się szeroko.

- Błyskotliwe, ale nie o tym myślałam. Problem oczywiście istnieje, ale jego znaczenie jest marginalne wbrew pogłoskom rozpowiadanym w kolejkach do edubudek. Proszę zgadywać dalej.

Petra rozłożyła bezradnie ręce. Zaczynały ją boleć oczy od rozrzutnie jasnego światła w pomieszczeniu, ból promieniował w stronę skroni i zatok.

- Nierówności kaloryczne - policjantka zabębniła palcami o stół. -

Pani kreuje nierówności, pani Dvořák. Po Suszy Biblię analizują wyłącznie hobbyści, a szkoda, bo to źródło wielu cennych spostrzeżeń. Efekt Świętego Mateusza: *Bo kto ma, temu będzie dodane i nadmiar mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą również to, co ma* - wyrecy-

towała z pamięci. – Kujon nigdy nie zakładał, że każdy dostanie po równo, dlatego wypłata kcali za poszczególne zadania jest urozmaicona. Ale wtedy na scenę weszli antechowie i efekt zaczął się mnożyć. Teraz rozumie pani mechanizm? Proszę wyobrazić sobie frajera, który ma szczęście i fartem głupiego trafi na zadanie z ekstrawypłatą. Tyle kalorii, że sam nie zeżre, choćby się zesrał. W świecie bez antechów to nie ma znaczenia. Szczęście go opuści i kolejnym razem dostanie mniej. Prawo regresji do średniej. Ale teraz może przecież wydać nieskonsumowaną nadwyżkę na konsultację u antecha i przy następnej wizycie w edubudce ponownie zarobi więcej, niżby to wynikało z rachunku prawdopodobieństwa. Początkowa fałdka na rozkładzie kalorycznego bogactwa czysto losowej natury z każdą kolejną iteracją zacznie się powiększać. Kaloria robi kalorię.

– Kto ma, temu będzie dane – Petra kiwnęła głową.

– Zaprogramowaliśmy Kujona, żeby pozbyć się nierówności, ale tego mechanizmu nikt nie przewidział. Pomysłowość ludzka nie przestaje mnie zaskakiwać.

– Rozumiem, że planujecie zakazać działalności antechów?

– Ustawa ujrzy światło dzienne za trzy dni. Ale jesteśmy realistami. Antech przejdzie do podziemia, a cwaniacy nadal będą dziergali szeregi czasowe na suwakach logarytmicznych. To za mało. Potrzebujemy systematycznego podejścia. Musimy wypalić praktykę do żywej kości. Potrzebujemy analityków, którzy w danych płynących z edubudek będą namierzali frajerów korzystających z usług antechów. Podejrzanie zbyt wiele szczęścia, zaburzony rozkład prawdopodobieństwa wypłat. To złożone zadanie, oferujemy dostęp do mocy obliczeniowych Kujona.

Petra zapomniała o prawej nodze bez czucia, ciężkiej jak kawał drewna. Gdzie był haczyk?

– Aresztowaliście mnie za wizytę u Cvety, a teraz proponujecie posadę tropiciela antechów?

Pułkowniczką sięgnęła dłonią ponad stół i pogłaskała Petrę po rozpalonym policzku.

– Tak brzmi propozycja. Bardzo atrakcyjna propozycja. Ale jest jeden warunek.

Dłoń kobiety pachniała pieczonym mięsem, przyjemnie ostrą przyprawą, węgierską sproszkowaną papryką. Petrze zakręciło się w głó-

wie, zabulgotał pusty żołądek, od jak dawna nie jadła?

- Pojawiłaś się u Cvety, ponieważ ktoś do ciebie przyszedł. Ten ktoś szukał kontaktu z Ryszardem Sokołowskim. Wiemy, że w zespole deweloperów jest sabotażysta, ale nie potrafimy go namierzyć. Działa na szkodę Kujona od wielu miesięcy. Ty wiesz, kto to jest. Widziałaś go. Był u ciebie. Musisz nam powiedzieć. Jeśli się zgodzisz, nie dość, że zapomnimy ci antechowe przewinienia, to jeszcze dostaniesz atrakcyjną fuchę w służbach. Nie zdajesz sobie sprawy, ile to kalorii. Nie mieści się w głowie.

- Przecież możecie zeskanować ich mózgi, jak zrobiliście z Ryśkiem, i capnąć zbira. Po co potrzebujecie mojej pomocy? - wyrzuciła z siebie Petra, co było równoznaczne z przyznaniem się do winy.

Ręka kobiety kontynuowała pieszczotę.

- Nie bądź dziecinna. Nad Kujonem pracują tysiące deweloperów. Szukamy igły w stogu siana. Analiza pojedynczego skanu neuro zajmuje dwanaście godzin. Robimy badania przesiewowe, ale one będą trwały ponad dwa lata. Nawet jeśli zdrajca podał ci fałszywe nazwisko, wystarczy, że go opiszesz: kobieta czy mężczyzna. Ile lat? Wygląd zewnętrzny, znaki szczególne. W ten sposób zawężymy obszar przeszukiwań i w mig dorwiemy gnidę.

Petra milczała.

- Masz czas do jutra, do końca dnia - Klymenko sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła kluczyk. Uklękła, rozpięła kajdanki.

- To już? - noga nie chciała się wyprostować. Petra uderzała otwartą dłońią w udo, próbując przywrócić krążenie w zdrętwiałej kończynie.

- Ludzie z natury nie są dobrzy ani źli - policjantka chwyciła ją pod rękę, pomagając wstać. - Są nijacy. Ich zachowanie zależy od zewnętrznych bodźców. Poprzedni system sterował bodźcami w katastrofalny sposób, nagradzał zachowania nieetyczne, co nieomal doprowadziło do zagłady cywilizacji. W końcu mamy szansę wszystko naprawić i zaprojektować świat na nowo. Społeczeństwo jest jak wielka klatka Skinnera i od nas zależy, które działania będziemy nagradzać, a które karać. Cała reszta jest wyłącznie twoją decyzją.

## SCHEMATY NAGRÓD

Przez dwadzieścia lat robiła swoje i się nie wychylała. Znalazła niszę, która gwarantowała przyzwoitą egzystencję, powyżej średniej, bo przecież po Suszy luksusy i tak nie istniały. Od czasu do czasu pozwalała sobie na małe przyjemności: kupowała na czarnym rynku co lepsze łakocie. Wszyscy powyżej pewnego statusu ekonomicznego postępowali podobnie, co władza ignorowała w trosce o stabilność ładu społecznego. Żyła na wewnętrznej emigracji i nigdy - w przeciwieństwie do Cvety czy Ryśka - nie myślała o buncie, nie szukała alternatyw. Bo czyż istniały alternatywy? Dziadkowie, pradiadkowie zaciągnęli u nich dług nieświadomi stopy dyskontowej i to pokoleniu Petry przyszło spłacić nieoczekiwane wysokie raty. Pogrzebanie fałszywych wolnościowych paradygmatów okazało się jedyną szansą opanowania skutków katastrofy klimatycznej. Do wczoraj aparat państwowy nigdy nie interesował się Petrą - i z wzajemnością. A teraz stała przed kluczową decyzją.

Krzętała się po mieszkaniu i patrzyła na przesuwającą się wskazówkę zegara. Do upływu ultimatum pułkowniczkę Klymenko pozostało pięć godzin. Może najłatwiej było pobrać z automatu ulicznego trzy tabletki na sen (władza zachęcała obywateli do długiego, wspomagane farmakologicznie snu; śpiący organizm minimalizował zużycie energii i zapotrzebowanie kaloryczne), naciągnąć kołdrę na głowę i pozwolić, aby problem rozwiązał się sam?

Czy będzie potrafiła porzucić antech, dotychczasowe życie, ustawić się w kolejce do edubudki i spędzać godziny na treningach sztucznej inteligencji? Z drugiej strony kolaboracja ze służbami napawała ją obrzydzeniem. Nie знаła Ivany Popović, nic o niej nie wiedziała, jednak myśl o odważnej sabotażystce ukrytej wśród deweloperów Kujona dodawała Petrze otuchy.

Usiadła za biurkiem. Mozolnie kreślone wykresy na papierze milimetrowym, czarnoksięskie wzory, piętrowe ułamki, całki i macierze - wszystko wydało się teraz pozbawione znaczenia. Wszystko, by wyprodukować więcej kalorii, waluty nowego świata, wzmacniać nierówności, które już raz doprowadziły do zagłady.

W wybuchu wściekłości zmiotła wszystko na podłogę. Runęły zeszyty, segregatory, ołówki, cyrkle i ekierki, suwaki algorytmiczne,

a nawet drogocenny kalkulator elektroniczny. I tak nie będzie potrzebny. Jeśli zdecyduje się na współpracę, otrzyma dostęp do najszybszego komputera w historii ludzkości; jeśli odmówi, i tak nie wróci do profesji antecha.

Gniew odpłynął równie szybko, jak się pojawił. Kucnęła, kręgosłup odpowiedział bólem, zaczęła zbierać i porządkować papiery, kiedy spostrzegła leżącą pod krzesłem złożoną na cztery żółtą karteczkę. A przecież nic podobnego na biurku się wcześniej nie znajdowało.

Rozłożyła podrzucony liścik. Dwie linijki napisane starannym charakterem pisma:

*Gdybyś zmieniła zdanie, oto mój adres (...)*

*Ivana Popović*

\*

- Jednak przysłaś? - zastała Ivanę nad posiłkiem, parującą miską wysokobiałkowego kleiku o smaku truskawkowym. Kobieta wytarła kąciuki ust wierzchem chudej dłoni i odłożyła łyżkę. - Dobrze cię widzieć.

Petra odsunęła krzesło i usiadła naprzeciwko.

- Sokołowski ukrywa się w rolniczej komunie w Sudetach. Nie wiem, gdzie dokładnie, ale znam kogoś, kto spędził tam kawał życia.

Ivana próbowała powściągnąć emocje, ale rozbiegane oczy zdradzały ekscytację.

- Dziękuję.

- Wiem, że jesteś deweloperem i sabotujesz prace od wewnątrz. Wyjaśnisz mi, o co w tym chodzi? Do czego potrzebujesz Ryszarda?

Rudowłosa kobieta odsunęła miskę z nieskończonym posiłkiem, co w nowej etykietce stanowiło wyraz największego możliwego szacunku okazywanego rozmówcy.

- Coś odkryłam - oddychała szybko, mówiła urywanymi zdaniami. - Coś straszego. Nie wiem, czy potrafię wyjaśnić, ale... To nie my uczymy Kujona, ale on nas edukuje. Akcja i reakcja, rozumiesz? Sieć neuronowa uczy się przez asocjacje, ale proces działa w obie strony. My trenujemy sztuczną inteligencję, a ona jednocześnie trenuje nas. Dla-

tego wypląty za zadania są zróżnicowane, w ten sposób uczenie jest bardziej skuteczne. Behawioryści nazywają to schematami nagród. Edubudki są klatkami Skinnera. Kujon podsuwa odpowiednie bodźce, budując nowe skojarzenia... Powoli, acz systematycznie przeprogramowuje mózgi frajerów. Tworzy nowego człowieka.

Wyglądała jak szaleniec. Włosy w nieładzie, nieobecny wzrok, nadmierna gestykulacja, brak zainteresowania reakcjami rozmówcy. Brała głęboki oddech, kiedy Petra uniosła do góry dłoń, znalazłszy przerwę w słowotoku.

- Do czego potrzebowałaś Sokołowskiego?

- On będzie wiedział, co z tym zrobić. Jest legendarnym deweloperem, jednym z początkowego zespołu projektantów. Wie o Kujonie wszystko. No i przecież jako jedyny z tego grona miał odwagę wystąpić przeciw systemowi. Uciec z postgłódowego totalitaryzmu.

Petra odchyliła się na krześle i parsknęła śmiechem.

- Frajerzy trenują Kujona i kreują w ten sposób pieniądze, jak robiły przed laty banki, udzielając kredytów. I ty mówisz, że ta czynność wpływa na ludzi nauczycieli, przestawia im połączenia w mózgach, uczy nowych odruchów? Że kalorie stały się żywą istotą, pociągającym za sznurki władcą marionetek sterującym bezwonną masą ludzką?

Ivana skinęła ostrożnie głową, nie wiedząc, do czego zmierza wywód.

- Ale czym to się różni od przeszłości? - Petra mówiła coraz szybciej, rozpierały ją emocje, czuła narastający ucisk w dole żołądka, wzbierające fale paniki, które musiała za wszelką cenę zakrzyczeć. Zwariuje, jeśli zamilknie. - Pieniądze programowały nas od zawsze. Przecież wiemy, do czego doprowadziła żądza zysku. Do dziś sprzątamy po rządach liberałów i wciąż nie potrafimy uporać się z rozpierduchą, jaką pozostawili. Gdzie różnica?

Z Ivany gwałtownie uciekło powietrze. Złapała się za rude włosy w geście egzaminatora rozpaczającego nad nieprzygotowanym studentem.

- Ale pieniądze nie były żywe w takim sensie, w jakim żywy jest Kujon. Nie miały samoświadomości, nie stawiały sobie celów. Nie działały intencjonalnie!



Petra odwróciła spojrzenie, wstydziła się. Zaciśnęła powieki, ukryła twarz w klatce rozczapierzonych palców.

- Przepraszam - wyszeptała.

Huknęły drzwi i do mieszkania wmaszerowały dwie policjantki w zielonych mundurach. Za nimi kroczyła pułkowniczka Tatiana Klymenko. Syntetyczne buty skrzypiały przy każdym kroku na deskach, kobieta napawała się triumfem, rozglądała po pomieszczeniu.

Petra podeszła do okna, nie chciała być świadkiem sceny aresztowania. Wnioskując z odgłosów rozgrywającej się za plecami sytuacji, Ivana nie stawiała oporu.

- Ufałam ci - zdążyła wyszeptać, zanim wyszła w towarzystwie stróżów prawa, a jej słowa dudniły echem w ciszy, jaka zapadła chwilę potem.

Klymenko poklepała Petrę po plecach.

- Dzieciakom się wydaje, że mogą przywrócić stary świat - powiedziała łagodnie. - Ale stary świat zdechł. Złoty wiek się skończył i kryzys będzie permanentny. Jajogłowi twierdzą, że co najmniej sto lat, trzy-cztery pokolenia, zanim cokolwiek odbudujemy.

- Rozumiem - Petra pociągnęła nosem, nerwowo zamrugała. Czująca zbierającą się pod powiekami wilgoć, traciła kontrolę nad reakcjami ciała.

Tatiana podała Petrze bawełnianą chusteczkę do nosa.

- Każda inna możliwa do wyobrażenia teraźniejszość jest dystopijnym koszmarem - powiedziała. - Każda inna oprócz naszej. Ewę i Adama wygnano z raj, a my mamy cholerne szczęście, że do tego raj - raj na nasze postgłodowe możliwości - trafiliśmy ponownie.

\*

Trzy miesiące później Petra, zamiast ślęczeć nad suwakiem logarytmicznym i kaligrafować wykresy na papierze milimetrowym, siedziała przed płaskim ekranem LCD, przetwarzając oceany danych dotyczące wypląt kalorycznych realizowanych przez edubudki. Szukała niepokojących wzorców, namierzała frajerów posiłkujących się nielegalnymi już usługami antechów. Podprogram Kujona zakończył właśnie analizę przesiewową i wyświetlił zestaw rekordów do weryfikacji manualnej.

Petra zwizualizowała pierwszego podejrzanego. Niejaki Tomislav Novák, lat trzydzieści trzy, mieszkaniec Jižního Města, w ciągu ostatniego miesiąca odwiedził edubudkę dwadzieścia dwa razy, średnio generując wypłaty o szesnaście procent wyższe od oczekiwanych, zgodnych ze schematem losowym. Według testu statystycznego prawdopodobieństwo podobnego zbiegu okoliczności wynosiło jeden do dziesięciu milionów. Mało, ale wciąż niewykluczone, wszak w czasach przedgłodowych ludziom zdarzało się wygrywać na loterii. Problem w tym, że Tomislav ponadprzeciętne wypłaty kaloryczne otrzymywał trzeci miesiąc z rzędu.

„Czy ten przypadek budzi twoje wątpliwości?” – algorytm wyświetlił pytanie.

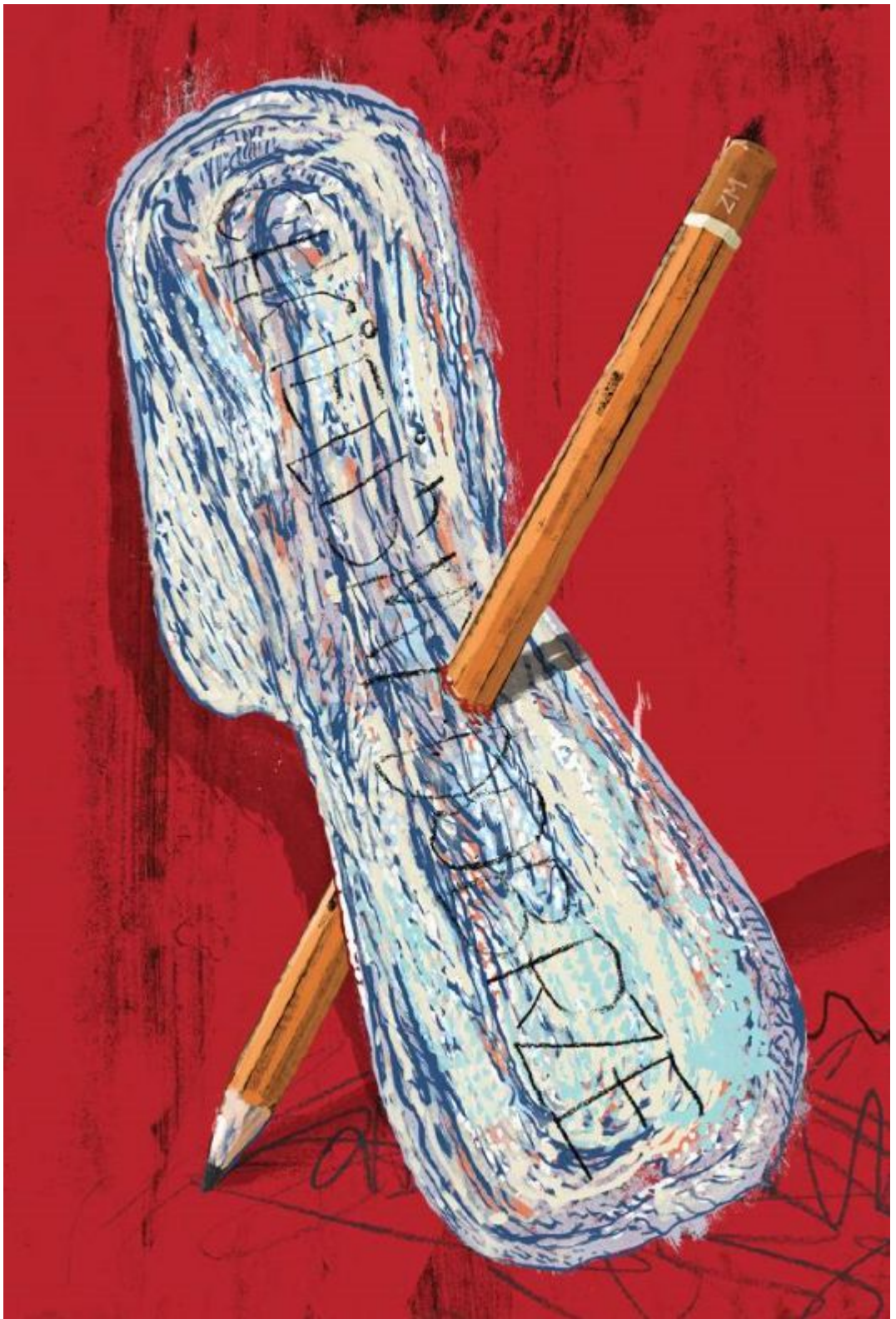
„Nie” – kliknęła bez zastanowienia Petra.

*Tym razem jeszcze przejdzie* – pomyślała. – *I do drzwi biednego Tomislava nie zapuka policyjny patrol.* Jednak kolejny miesiąc korzystania z rekomendacji antechów już mu nie ujdzie na sucho i sztuczna inteligencja automatycznie wrzuci frajera do czerwonej puli.

Najwyższa pora coś wymyślić, wywieść w pole Kujona, sypnąć piachem w tryby postgłodowej utopii.

W końcu ktoś musi przejąć schedę po Ivanie.





# Chcieliśmy dobrze

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

**Nie było łatwo cię namówić.**

Dziwisz się, że nie mam ochoty odpowiadać na kolejne pytania?

**Komisja. Prokuratura. Sąd. Które najgorsze?**

Komisja, wiadomo. Tamci przynajmniej udają, że są jakieś procedury, podstawy prawne, kodeksy, dla niepoznaki trzeba to paragrafami przypudrować. A komisja to już tylko dmuchanie pod stos, spalić wiedzmę i tyle.

**Czujesz się wiedzmą?**

Jak każda wolna kobieta w tym rajku bez słońca od czasów Rzepichy.

**Zaczynamy?**

Ale nie od Pułtuska, błagam.

**Wiesz, że...**

Wiem, wiem. Tylko od tego nie zaczynamy. Zacznijmy od tego, że po szesnastu latach konserwatywnych, odrażających fundamentalistycznych rządów...

**Nie.**

Co nie?

**Chcesz wygłaszać manifesty polityczne, to napisz książkę, może być bez wersji papierowej, jak ci lasów szkoda. Dobrze wiesz, że klimakterium wydarzyłoby się niezależnie od tego,**

## **czy żylibyśmy w katolickim imperium Polski, czy wszechświatowym proletariacie.**

Nienawidzę tego terminu. Klimakterium. Co zrobić, jak się wydarza coś potwornego, przełomowego, czego wszyscy się boją? Och, nazwijmy to jakimś terminem związanym z kobietami. Najlepiej wiecie, jak kobieta zamienia się w starą babę. Ha, ha, ha. O, patrzcie, co się dzieje z naszą planetą, już ma uderzenia gorąca, myślicie, że też nie trzyma moczu i zwiotczała jej pochwa? Boki zrywać.

### **Do rzeczy.**

Napisz, że westchnęłam ciężko. No dobra, trzeba uczciwie przyznać, że nie byliśmy przygotowani do rządzenia. Od wiosny było jasne, że nie ma siły, ludziom się znudziło po czterech kadencjach, będzie zmiana warty, mieliśmy być częścią koalicji i dostać jakieś tradycyjne lewackie resorty, praca, środowisko, wiadomo.

### **Ale przyszło lato tysiąclecia.**

Ale przyszło. Cholerny armagedon. Lato wypaliło wszystko, jeszcze w czerwcu ludzie myśleli, że to jakiś gorszy tydzień jak zwykle, co go trzeba przeczekać w klimatyzacji. Pamiętam Kupałnockę, gorąc był taki, że nie szło w domu nawet po zmroku wytrzymać, poszłam na spacer szukać chłodu nad Wisłą. I tam ten widok, imprezowicze zrobili węża między zoo a Starówką, pośrodku nurtu wody było po kolana. Wszyscy narąbani i przerażeni jednocześnie, ktoś płakał, ktoś się śmiał, histeria. Potem wiadomo, problemy z prądem, z wodą, śmierci z przegrzania, wypalone na wiór pola. Limity na jedzenie w sklepach.

### **Anomalia. Takie lato się nie powtórzyło.**

Wtedy nikt tego nie wiedział. Ludzie wpadli w histerię. Na wybory poszli z jedną myślą: wybrać kogoś, kto ocali planetę. Myśl bezsensowna, spóźniona o pół wieku. Może o wiek. Ale wszystko inne zeszło na drugi plan. Chcieli, żeby było jak dawniej. Nie w sensie jak dawniej progresywnie albo jak dawniej konserwatywnie – jak dawniej, czyli żeby był prąd i bułki. Żeby ktoś naprawił ekosystem, napełnił rzeki, wypasał na zielonej trawie łaciate krówki. Zamiast

pokazywać w telewizji zdychające w wyciu i bólu setki krów, których nie wydoiła nieczynna z braku prądu dojarka.

### **I dostaliście czterdzieści procent.**

Zgadza się. I samodzielną większość. Trochę ciotek i wujów rewolucji, za nimi horda pijanych od swojej słuszności szczawików z generacji Z. Zero doświadczenia innego niż snucie w mediach społecznościowych recept na nowy, doskonalszy świat. I nagle – abrakadabra! – wdzięczny lud padł przed nami na kolana i powiedział: „Tak, prosimy, wypróbujcie na nas wszystkie swoje eksperymentalne terapie”. Cóż było robić, chwyciliśmy za skalpele.

### **Byłaś wtedy...**

Zastępczynią Justyny Sucheckiej w Ministerstwie Edukacji. Matko, nie spałam chyba z pół roku, nie sądziłam, że polityka może być tak romantyczna. Słuchaj, my jechaliśmy wszyscy jak na jakimś koksie – że to jest ten moment, jeden z niewielu w dziejach, że my teraz zmienimy świat na lepsze. Wyjebałyśmy religię z hukiem, pamiętasz akcję „Nieś swój krzyż”? To był realny problem: co zrobić z tymi krzyżami, co wszędzie wisiały? Wyrzucić nie, spalić nie, kościoły nie chciały, beznadziejna sytuacja. Więc wymyśliliśmy, żeby wszystkie krzyże z sal lekcyjnych leżały na stołach przy wejściu do szkoły, naprawdę sądziliśmy, że po prostu ludzie wierzący z szacunkiem zabiorą je do domu. Chcieliśmy dobrze.

### **Po raz pierwszy.**

I po raz pierwszy to się źle skończyło.

### **Czyli?**

Matko, nie każ mi tego opowiadać.

### **Czyli?**

Czyli dzieciaki to dzieciaki, wiadomo. Nie były te wygłupy masowe, raczej rozdmuchane przez media, ale część młodzieży, cóż, bez szacunku się obchodziła.

**Obchodziła, nagrywała, wrzucała, komentowała, udostępniała, remiksowała, robiła składanki. Ten chłopak, co zrobił**

**z krzyży sanki i zjechał z Kasprowego, do dziś ma pół miliarda wyświetleń. Mówili o nim, że to najslynniejszy Polak od czasów papieża.**

No tak. Teraz myślę, że trzeba to było w każdej szkole schować w pudełku w schowku na szczotki i tyle. Wyciągnęliby przy następnej zmianie. Albo w ogóle zostawić w spokoju, ważniejsze rzeczy były. Ale teraz to wiesz, stara baba jestem, a nie podjarana rewolucjonistka.

**To wam przykryło trochę JTM.**

Ale co, tego też się będziesz czepiał?

**Kompletnie nie.**

Dobrze, bo już się bałam. „Ja, Ty, My” naprawdę nam wyszło, cała reszta chrzanić, z tego nie przestanę być dumna. To była kopernikańska zmiana. My żeśmy uratowali życia, może dużo, może trochę, ale wiesz, nawet jak uratujesz jedno, to jest coś. Ilu osobom daliśmy szczęście? Powstaniu ilu toksycznych, złych związków zapobiegliśmy? Opowiadałam ci, skąd to się wzięło? Jako siksa na studiach pisałam pracę ze stereotypowych przedstawień płci w literaturze dziecięcej, czytałam tego seksistowskiego chłamu od groma, jak to ojciec kocha przygody, a matka załamuje ręce w fartuszkach, bo jej placki nie wyszły, i wpadła mi w ręce taka dystopia, co się dzieje w podwodnej kolonii.

**Nie kojarzę.**

Nikt nie kojarzy, dla mnie do pracy o tyle ciekawe, że dla wychowanego w tej kolonii bohatera wszystkie rodziny są normalne. Z rodzicami hetero, z rodzicami jednej płci, a w ogóle dzieciaki najbardziej cenią te poliamoryczne, no bo wiadomo, więcej ludzi, więcej zabawy, plemię.

**„Plemię”. To słowo wróci.**

Wróci, a jakże. Mniejsza o te rodziny, tam w pewnej chwili pojawia się nauczyciel, którego dzieci nazywają „panem od przyjaźni”, choć oficjalnie jest to nauczyciel relacji. Ale ciągle tyle opowiada o znaczeniu przyjaźni, że nazywają go „panem od przyjaźni”. To się jakoś

zbiegło z innymi rzeczami, poznałam też wtedy Justynę i na długo przed ministerstwem fantazjowałyśmy o tym, jak by to było, gdyby uczyć dzieci zdrowych relacji. Ze sobą. Z innymi. W rodzinach. W związkach. W miłości. W seksie. Gdyby był taki przedmiot, który by nas oduczał tego całego pojebania, które zwykle wynosimy z domu. Teoria tego, jak żyć w zgodzie ze sobą i jak nie ranić. Ćwiczenia z self-care. Jednocześnie pierwsza pomoc terapeutyczna.

### **Za tym poszły akademie.**

Musiały. Za dużo katechetów, a za mało psychologów, seksuologów, terapeutów. Musieliśmy ich wyprodukować. I powiem ci teraz coś niepopularnego.

### **Ty? Naprawdę?**

Wiem, wiem, najbardziej znienawidzona osoba w Polsce powie coś niepopularnego, jak żart to brzmi. Ale powiem, że psychologia, poza nielicznymi przypadkami, to nie jest fizyka kwantowa. Jak z chorobami ciała, jasne, czasami przyda ci się jakiś cesarz neurochirurgii, kiedy naprawdę masz problem, ale zwykle potrzebujesz internisty, żeby ci zlecił badanie krwi, dał coś na kaszel i na ból dupy. Nasze głowy nie różnią się od naszej dupy.

### **O, królowa memów się obudziła.**

Nie przerywaj, bo to ważne.

### **To mój wywiad, mogę przerywać, kiedy chcę.**

Nie rozśmieszaj mnie. Jak mówiłam, nasze głowy nie różnią się od naszej dupy. Czasami mamy wielkie problemy, ale zwykle to jakiś podstawowy katalog zjebań z dzieciństwa, przez który nie potrafimy się ułożyć ze sobą i z innymi. Nie potrzebowaliśmy bogów psychoterapii, tylko konowałów. A takich można produkować masowo. Pierwotnie...

### **Dobrze, starczy. Po klimakterium przyszły podpaski.**

Czy mógłbyś...

**NIKT nigdy tego w Polsce nie nazywał inaczej, nawet wy.**



„Paszport ocalenia” to świetna nazwa. Oraz to świetne tłumaczenie oficjalnego „Passport Of Deliverance”.

### **Powtarzam: NIKT.**

Zanotuj moje westchnienie. Kryzys środowiskowy to klimakterium, a narzędzie mające nas przed nim ocalić to podpaska. Połowa dwudziestego pierwszego wieku, ech. No ale tak, po tamtym lecie trzeba coś było zrobić, nie tylko u nas siły progresywne doszły do władzy, pomysł paszportu węglowego, wcześniej raczej wyśmiewany jako bajdurzenia lewackich oszołomów, nagle wydał się sensowny. Dekadę wcześniej COVID pokazał, że potrafimy w skali planetarnej – a przynajmniej w świecie Zachodu – szybko wprowadzać mechanizmy powszechnych ograniczeń i kontroli i że to działa całkiem niezłe. Zwłaszcza jeśli ludzie się boją.

### **A wtedy się bali.**

Jak cholera. Dlatego szybko poszło. Myślę, że gdyby nie ten strach, paszporty by przeszły w oryginalnej wersji, podobnej do wcześniejszego przemysłowego handlowania prawami do emisji. Czyli że każdy ma co roku swoją pulę punktów klimatycznych do wydania, ale może je kupić od innych. Nie miałyby to sensu, tradycyjna ekonomia by to wynaturzyła w jeden wieczór, zaraz powstałyby giełdy punktów handlujące jakimiś opcjami do opcji, cały ten syf. A prostota Paszportów Ocalenia...

### **Naprawdę?**

Tak, naprawdę! Prostota Paszportów Ocalenia była jak brzytwa Ockhama: koniec z dotychczasowym życiem. Ciach. Pierwszego stycznia każdy z nas dostaje swoją pulę punktów węglowych, każdy tyle samo, narodowość, religia, płeć, majątek, wykształcenie – nie ma to znaczenia. Możesz wydać wszystkie na prywatnego jeta w styczniu, możesz ekologicznie korzystać z usług i zakupów i w grudniu mieć jeszcze połowę, 31 grudnia licznik się zeruje i 1 stycznia od nowa dostajesz punkty, tyle, na ile planeta pozwala. Możesz mieć wszystkie pieniądze świata, a i tak stać cię tylko na to, na co planeta pozwala. Genialne. Sprawiedliwe. Rewolucyjne.

### **Wiedzieliście wszyscy, że to koniec ekonomii.**

Tradycyjna ekonomia musiała się skończyć, tak jak wcześniej skończyły się niewolnictwo, pańszczyzna i kolonizacja. I za każdym razem uderzało to w czyjeś interesy i za każdym razem wielki płacz i koniec świata i, nie uwierzysz, świat się nie kończył. Zmieniał się. Po prostu. Czy tym razem się skończył?

**Nie.**

Dziękuję.

**Ale to była szokowa terapia.**

Szokowa to była terapia nieświętej pamięci pana Leszka w dawnych czasach. My rozwaliliśmy patologiczne, oparte na nierealnym paradygmacie wiecznego wzrostu, niemające nic wspólnego z prawdziwą wartością czegokolwiek, histeryczne, zabójcze dla ludzkości stosunki ekonomiczne. Wspólnie z całym zachodnim światem. Dla branż, które musiały się zamknąć, przygotowaliśmy poduszki, umorzyliśmy kredyty, zadbaliśmy o ludzi.

**A i tak wszyscy byli nieszczęśliwi.**

Wszyscy? Serio?

**Wiesz, o czym mówię.**

Wiem. Cholera, ciągle nie rozumiem, jakie były przyczyny tego, że u nas efekty wprowadzenia podpasek, paszportów znaczy, były tak podle – gorsze wskaźniki niż gdziekolwiek indziej w Europie. Za COVID-u nie było tak źle i teraz się wydawało, że też pójdzie okej. Naród chłopski, rodzinny, lubiący siedzieć w czterech ścianach przed telewizorem, jeść kiełbasę z grilla i żłopać wódkę z kuzynami. Ograniczenia w idiotycznej konsumpcji zbędnych rzeczy, weekendowych podróżach lotniczych, zwrot ku lokalności – powinniśmy to wytrzymać najlepiej ze wszystkich w swoich chałupach krytych strzechą.

**Nigdy się nie zgadzałem z ludźmi, którzy twierdzili, że lewica ma wynaturzony obraz społeczeństwa. Zmieniam zdanie.**

Przestań, my rządaliśmy, ale nikt nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Opozycja jeździła po nas jak po łysej kobyle, ale w kularach

tak samo byliśmy wszyscy przestraszeni. Fala depresji, fala przemocy domowej, wskaźnik samobójstw poza wszelkimi normami, społeczeństwo nam się rozsypywało jak domek z kart. Gadaliśmy między sobą, konsultowaliśmy w Europie, z Amerykanami, z guru psychologii i psychiatrii, nawet do Kościoła poszliśmy ze spuszczoną głową, żeby pomogli – nikt nie miał pomysłu. Czemu naród, którego przedstawiciele przez pokolenia w większości posiadali jedną drewnianą miskę i raz w życiu odbywali podróż do wojewódzkiego miasta – czemu nie może wytrzymać węglowych ograniczeń?

### **Ja najbardziej lubię wytłumaczenie o czystych ciuchach.**

O czym?

**Znam taką opowieść z czasów terroru stalinowskiego, o torturze, która łamała nawet najtwardszych. Ktoś przychodził do celi, w której niezłomny opozycjonista leżał w krwi i gównie, i mówił więźniowi, że zaszła pomyłka, przepraszamy, wypuszczamy pana. Proszę pod ciepły prysznic, tutaj mydło, potem opatrunki, czyste ciuchy, pachnące i wyprasowane. Gość nie może uwierzyć, ale to chyba prawda, przecież wychodzi przez bramę więzienia, widzi ulicę, wolność, jest czysty, pachnie – i wtedy kładą mu rękę na ramieniu. A nie, jednak to teraz zaszła pomyłka. Przebieraj się w swoje prawdziwe ubranie, sztywne od krwi, kału i rzygowin. I zapraszamy na przesłuchanie. Wszyscy pękali.**

Tak, znam tę teorię, tylko w bardziej naukowej wersji. Przez tyle wieków siedzieliśmy pod szarą chmurą i tęskniliśmy za czymś, co nazywaliśmy „prawdziwym światem”. Oczywiście bez sensu, prawdziwy świat to ten na wyciągnięcie ręki, ale ta narodowa tęsknota, przeświadczenie, że jeśli będziemy się bardziej starać, więcej pracować i kombinować, to chociaż na chwilę pozwolą nam żyć lepiej – ta tęsknota nas załatwiła. Bo w końcu mogliśmy się nażyć za wszystkie czasy – i wtedy nam to zabarali. W sumie dobre to twoje porównanie. Musieliśmy działać.

### **Ministerstwo Szczęścia.**

Ale wiesz, że to nieprawda?

## **Wszyscy to tak nazywają.**

Ale ty jesteś wszyscy?

## **Jak wszyscy.**

Zanotuj moje westchnienie. To nie było nigdy ministerstwo, zostałam szefową komórki gdzieś na styku edukacji, zdrowia i polityki społecznej.

## **W randze ministery.**

Formalnie... zresztą niech ci będzie, to bez znaczenia. Wymyśliliśmy, że naszą armię terapeutów, wyszkolonych na rzecz uczenia dzieci emocji i zdrowych relacji, możemy wykorzystać...

## **Mieliście dla nich inne plany, prawda?**

Prawda, przed paszportami chcieliśmy na bazie absolwentów akademii psychicznych - i błagam, nie każ mi używać nazwy psychuszki - stworzyć obowiązkowe kursy dla rodziców. Zawsze wydawało mi się to bez sensu, że musisz mieć prawo jazdy, żeby prowadzić samochód, ba - musisz mieć patent żeglarski, żeby móc pływać kawałkiem plastiku po jakimś bajorze, a rodzicem można zostać bez żadnych kompetencji. Po co leczyć poranione dzieci, skoro można sprawić, że będzie ich mniej?

## **Pamiętam te memy, że lewica wymyśliła idealną antykoncepcję. Obowiązkową Służbę Pochwową.**

Ogólnopolskie Szkolenie Parentingowe!!! A odbywało się w koszarach, bo chcieliśmy jakoś zagospodarować te wszystkie wojskowe nieużytki. Po zabójstwie Putina i reformie europejskiej armii została nam tych nieruchomości masa. Wyprzedawać nie chcieliśmy, bo zaraz byłby krzyk, że lewica wyrzywa ojczyźnie zęby i zostawia na pastwę odwiecznych wrogów narodu. Na szkolenie dla rodziców jak znalazł. I masz rację, efekt antykoncepcyjny nie był nam obojętny. Niech się w dobie kryzysu przeludnienia rodzą dzieci naprawdę chciane.

## **Chcieliście dobrze.**

Totalnie.

## **Ale oficerowie Służby Pochwowej zostali jednak zaciągnięci do Ratunkowych Oddziałów Dopaminowych.**

Wkurzasz mnie. Regionalnych Ośrodków Dobrostanu. Ale niech będzie, faktycznie opowiadałam wtedy, że po zmierzchu pieniądza nową walutą ludzkości jest dopamina. Że to odstawienie dopaminy tak nas dojechało.

### **Wytłumacz.**

Dopamina cię napędza do działania i daje haj, ponieważ liczysz na to, że coś się stanie. Coś fajnego. Coś nieoczekiwanego. Schyłkowa cywilizacja starej ekonomii zerowała na tym, nakręcając przez cały czas dopaminową spiralę zła. Kup nasz browar, a przeżyjesz wspa- niałe party nad morzem! Kup nasz samochód, żeby pędzić po islandzkich bezdrożach! Pojedź na wycieczkę! Albo chociaż do wesołego miasteczka! Zjedz ramen! Wypij napar z balijskich liści! Popłyń w rejs! Mieliśmy milion możliwości, wszystkie na wyciągnię- cie ręki. I oczywiście nawet jeśli z nich nie korzystaliśmy - a w większości nie korzystaliśmy - to świadomość, że te możliwości istnieją, mile łechtała różne nasze miejsca w mózgu.

### **I nagle możliwości zniknęły. Na pstryknięcie palcami.**

Zgadza się. Po haju przyszedł ponury zjazd. Wymyśliliśmy ROD-y, żeby ludzie, którzy wpadli w mrok, trafiali szybko na diagnozę. Jeśli to grubsza sprawa, lądują na terapii. Jeśli nie aż tak gruba - trafiają do lokalnego ośrodka, który miał odgrywać rolę trochę pośred- niaka, trochę terapii grupowej, trochę klubu z różnymi ośrodkami zainteresowań. To był naprawdę dobry plan, będę się upierała do końca. Jesteś zgaszony, lądujesz u terapeuty, on cię wysyła do ośrodka, gdzie ci mówią, że no faktycznie, Bali już nie, ale może kółko wędkarskie, a może kajakowanie po lokalnym jezioru, a może potańcówka.

### **Zbliżamy się.**

No wiem.

### **Chcieliście dobrze.**

Chcieliśmy.

## **To gdzie był błąd?**

...

**Nie wierzę, że nie masz tego przemyślanego na wszystkie strony.**

Wiesz, ciężko się przyznać, bo w sumie to jest, prywatnie mówię, taka moja podstawa. Że jeśli ludziom dać wolność, to oni naprawdę podejmują dobre wybory. Był taki eksperyment, że jeśli dajesz dzieciom zdrowe i niezdrowe jedzenie i to niezdrowe nie jest zakazane, to one tam kilka chipsów wezmą, czekając, czy ich nikt nie ochrzani, ale potem już się odżywiają normalnie, wybierają naturalnie to, co dobre dla ich zdrowia, dla ich ciała.

**Czyli błędem była wolność.**

Niestety tak. Mało to lewicowe, ale powiem wprost, że ten projekt trzeba było trzymać za mordę, ręcznie sterować z Warszawy, żadnej samorządności, żadnych obywatelskich zachciewajek, żadnej naiwnej wiary, że ludzie „wiedzą, co dla nich dobre”. Bo to nie był zły pomysł! Ludzie potrzebują plemienia, potrzebują lokalności, zwykle to niestety ogarniał Kościół ze wszystkimi swoimi odrażającymi wadami, za PRL władze próbowały to ogarnąć świetlicami, klubami gospodyń wiejskich, pałacami młodzieży itd. Po osiemdziesiątym dziewiątym państwo zrejterowało, jak z wielu rzeczy zresztą, ale taki był klimat wszędzie, że nowoczesność to indywidualizm, a nie jakieś tam plemię. A plemię to podstawa, nasza ewolucja to dziesiątki tysięcy lat plemiennego życia, nie da się tego skasować w kilka pokoleń.

**Tylko trochę puściliście te plemiona samopas. Bez wodza. Bez kapłana. Bez rady starszych.**

Chcieliśmy dobrze. Wierzyliśmy, że ludzie najlepiej wiedzą, czego chcą. Że będziemy to finansować i się nie wtrącać i wszystko będzie dobrze.

**I tak oto państwo finansowało ludzi, który organizowali rekonstrukcję pogromów, podkreślając ich pozytywne aspekty.**

W podaniu napisali, że interesują się historią regionu.

### **Myśliwych.**

Chodziło o to, żeby wnioski klepać szybko, żeby ludzie poczuli się lepiej, mieli coś, co ich napędza, zanim zapukają do nich pustka i depresja. Pisali, że chodzi o przyrodę.

### **Właściwie wszystkich.**

Ale te patologie to był margines.

### **Poza potańcówkami.**

...

### **Poza potańcówkami.**

Ludzka potrzeba zabawy, ruchu, tańca...

### **Litości. Musieliście wiedzieć.**

Wiedzieliśmy, jasne. Najpierw traktowaliśmy te sygnały, że wszystkie „projekty taneczne” mają trochę posmaczek seksualny, jako ciekawostkę. Też zrozum, byliśmy nowoczesną lewicą, a nie jakimiś kościółkowymi moralistami. Ludzie chcą się pieprzyć w ciężkich czasach. W czym problem? Chcą wyjść z okowów dusznej chrześcijańsko-mieszczańskiej moralności? Tym lepiej, niech czerpią przyjemność z cielesności, seksualności, nikt nie żyje dwa razy. Nie możemy pojechać na weekend do Paryża, ale możemy w klubie zaprosić do łóżka sąsiadów na małe kizi-mizi? No komu tutaj się dzieje krzywda? Komu? Czemu jako osoba, która na równi z Michaliną Wisłocką wyzwoliła seksualnie Polki i Polaków, jestem traktowana jak jakaś pierwsza burdelmama czterdziestomilionowego narodu?

**Może dlatego, że stworzyłaś finansowaną hojnie przez podatnika powiatową sieć centrów randkowych, klubów swingerów i zwyczajnych burdeli? Cała Polska albo pałała świętym oburzeniem, albo tarzała się ze śmiechu.**

Chcieliśmy dobrze. Poza tym, skoro wszyscy – jak twierdzisz – albo się oburzali, albo śmiali, to kto tak masowo walił do ośrodków

dobrostanu, co? Powiedz szczerze: to była rewolucja seksualna, po której życie Polek i Polaków już nigdy nie będzie takie samo, czy nie była? No przyznaj!

### **Odsetek rozwodów...**

Och, kurwa, nie bądź taki święty, z którą żoną teraz żyjesz? Trzecią? Czwartą?

### **To nie ma...**

Może nie ma, a może ma. Jak ty się rozwodzisz, to jest osobisty wybór, twoja sprawa i nie ma żadnego znaczenia. A jak kto inny, to jest wina lewackiej burdelmamy, bo dała ludziom świetlice ruchalnice, rozbiła małżeństwa, dzieci osierociła, Jezuska obraziła. Taki sam z ciebie hipokryta jak z całej reszty świętojebliwych. Nigdy się nie dowiemy, czy małżeństwa rozbiła po prostu zmiana stylu życia – przecież to trend ogólnoswiatowy był – czy ośrodki dobrostanu, czy jeszcze co innego. A nawet jeśli, ja nie jestem wierząca, związki mają trwać, dopóki mają sens, a nie dlatego, że Matka Boska Częstochowska tak chce. Jeśli się w wielu przypadkach okazało, że nie mają sensu, to chyba dobrze, nie uważasz?

### **Uważam, ale jak mogliście nie ukrócić Pułtuska? Jak mogliście udawać, że to jest ciągle w granicach normy?**

Skoro wolni obywatele tego chcieli...

**Naprawdę? Mam uwierzyć, że wolni obywatele Pułtuska chcieli, żeby ich najświętszy zabytek, powód do dumy, biskupi zamek, w którym biesiadował Napoleon Bonaparte, stał się znanym na całą Europę, cholera, nawet nie wiem czym. Domem schadzek? Burdelem? Klubem swingersów? Centrum erotycznym? Sekskomuną? #castlepultusk to przez lata był najpopularniejszy hasztag na stronach porno.**

No cóż, dla wielu fakt, że to odrobinę zapyziałe miasteczko stało się seksualnym centrum Europy, stanowił powód do dumy. I nie używałabym słowa „burdel”, tam naprawdę panowała atmosfera wolności, wyzwolenia, nie było przemocy, nikt nikogo nie sprzedawał, nie więził, nie stręczył. No dobrze, porozmawiajmy w końcu o tym. Byłam,



pojechałam, żeby zobaczyć, czy te wszystkie plotki są prawdziwe. Z mężem, żeby nie było.

### **Koniec twojej kariery politycznej.**

To nagranie, cóż. Wiedzieliśmy, że główną zasadą zamku jest to, że możesz wszystko nagrywać i wszystko udostępniać, a i tak daliśmy się ponieść nastrojowi chwili. Po dziesięciu latach małżeństwa. Hmm, sama byłam zdziwiona. Nie żałuję, tyle ci powiem. Ale, ale, ludzie uważają, że to nagranie było jakimś symbolicznym Waterloo, po którym musieliśmy oddać władzę.

### **A to nieprawda?**

Nieprawda. Jak mówisz, wszyscy wiedzieli, co się dzieje w ośrodkach dobrostanu, i tylko nam w sondażach rosło. Ludzie pokochali tę otwartość, eksplozję ludowej seksualności, którą wbrew swojej naturze tłumiliśmy, żeby być cywilizowanymi jak inni. Tak jak wcześniej - niby wielkie krzyki, a tylko nam rosło przez osiem lat mimo wyrzucenia religii ze szkół, zalegalizowania aborcji, wprowadzenia Paszportów Ocalenia, całego koszmaru ograniczeń związanych z klimakterium.

### **Nagranie. Wybory. Klęska. Wygrana konserwatystów. Złożenie siebie w ofierze. Trudno nie połączyć.**

Żadna wielka klęska, pierwsza siła opozycyjna. Ale na pewno przegrana. Gorzka, bo konserwatywny odwet przerósł chyba oczekiwania wszystkich.

### **No to skąd ta przegrana?**

Jakoś nie wiem. Długo się zastanawiałam, dlaczego Szymon, który się zestarzał poza parlamentem, opowiadając, że trzeba ze wszystkimi rozmawiać, tak nagle poszybował. Mam idiotyczne wytłumaczenie.

### **Słucham.**

Że to dlatego, że miał datę 2050 w nazwie. No i ludzie jakoś tak uznali, że to jego pora.

## **Zgoda, to idiotyczne wytłumaczenie. Chciałabys wrócić do polityki?**

Po pierwsze, nie. Po drugie, raczej na pewno sąd mi wlepi zakaz sprawowania funkcji publicznych. Zamknięty rozdział.

## **Chciałabys coś zmienić w swoich decyzjach, gdybyś mogła? Teraz, kiedy patrzysz wstecz.**

Jeśli czegoś żałuję, to na pewno niczego ze swojej kariery polityczki czy działaczki społecznej. Popełniałam błędy, jak wszyscy, ale chcieliśmy dobrze i upieram się, że to nie były złe rozwiązania. Jedyne, czego żałuję, to że się więcej nie pieściłam, nie całowałam, nie ruchałam. Z ilu ja zrezygnowałam orgazmów dla Polski? Pewnie z tysięcy. Szkoda.

## **Czyli to jest twój przekaz na zakończenie: ruchajcie się? Naprawdę?**

Przekaz, powołanie, nowa droga życia. Planeta nie podniesie się z dnia na dzień, ograniczenia węglowe będą trwać, to nie minie jak kiedyś COVID-19, powrót do lokalności, do małego życia musi być trwałe. Zmieniliśmy stosunki ekonomiczne, walutowe, pracownicze, czemu by w końcu nie rozprawić się na poziomie całej Unii Europejskiej ze spuścizną mieszczańskiej moralności? Czemu nie zacząć rewolucji seksualnej, która da nam prawdziwą wolność? Mierzyliśmy kiedyś życiowe powodzenie pieniędzmi, zacznijmy mierzyć je orgazmami. Może to one powinny być walutą na nowe czasy?

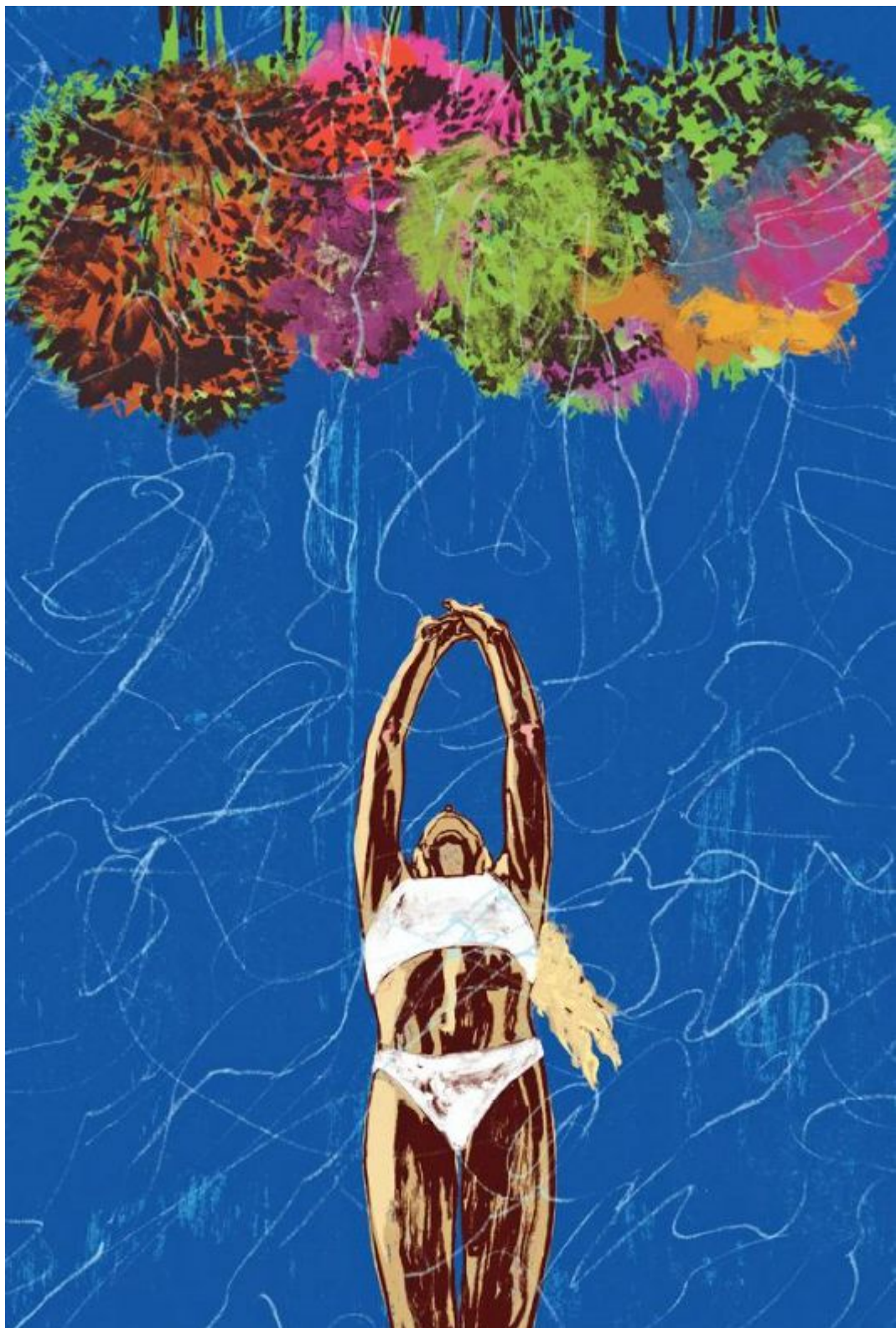
## **To exposé nowej komisarzynie Unii Europejskiej ds. rewolucji seksualnej?**

Faktycznie prowadzę rozmowy z przyjaciółkami i przyjaciółmi w Brukseli.

## **Chcecie dobrze?**

Jak zawsze.

CD



# # skarb

MAGDALENA SALIK

Migoczą liście, migoczą okute złotem skrzynie, prezent za codzienne logowanie. Plamki kręcą się i opadają, toną w mroku ulicznych wąwozów.

Od kiedy pamiętam, chcieliśmy być forsiaste. Szmallowne. Nadziane. Ciocia powtarzała to przy każdej okazji. Gdy szliśmy razem z mamą na spacer, zatrzymywała się w połowie ulicy Ordener, przed wyszorowaną witryną agencji nieruchomości. Podnosiła mnie na ręce i, wskazując na lśniącą szybę, a niekiedy nawet w nią pukając, oświadczała: „Uff, popatrzcie na to! Właśnie takie sobie kupimy, kiedy zgarniemy nasz pierdyliard”.

W głosie cioci, zasapanej, bo ważyłam już swoje, nie było cienia wątpliwości. Wyobrażałam sobie, jak kilkupikselowe diamenty wpadają na nasze konto błyszczącą strugą.

- Popatrz, Sophie, tak się urządzimy. Tu - puk! - będziesz ty. Tam - puk! - ja. A tutaj, uff - puk! - zamieszka mała.

Mała? Ciągle w powietrzu, w ramionach cioci, rozpościerałam kończyny i zaczynałam nimi wierzcąc.

- Yvonne! Czemu robisz latającą żabę? Dlaczego właśnie teraz?

Młodsza z siostr zdyszana stawiała mnie na ziemi. Niespodziewanie zaczynała się śmiać. Wtórowałam jej, rechocząc po ropuszemu, na co śmiała się jeszcze głośniej. W końcu także mama przyłączała się do nas, zasłaniając dłonią usta. Potem poprawiała mi opaskę rejestrującą, która podczas żabiego epizodu zsuwała mi się z czoła, i szliśmy dalej.

W dzień powszedni spacerowałyśmy we trzy zaraz po szkole. Mama była już wyspana po nocce za barem. Ciocia, dopiero w drodze do pralni, podnosiła się na duchu opowiadaniem o swoich najbliższych projektach, które miały zapełnić nasze konto dźwięczącym pierdyliardem.

- Jeden złoty strzał - mówiła na pożegnanie, gdy zatrzymywałyśmy się na rogu ulic, gdzie nasze drogi się rozchodziły. - Wystarczy jeden złoty strzał, a będziemy ustawione.

- Blanche, lepiej idź już, bo się spóźnisz.

- To nam nie pomoże - ciocia wskazywała opaskę, którą jak co dzień miałam na czole. - Wszyscy to robią. My musimy wpaść na coś, na co jeszcze nikt nie wpadł. Pomyśl, Sophie. Pomyśl kreatywnie.

- Pomyślę. Naprawdę się spóźnisz.

Ciocia dawała mi całusa i ruszała w stronę przestanku dwunastej linii. My z mamą skręcałyśmy do parku. Mama szła na sam jego koniec, na ławkę obok ocienionej altany. Wyprzedzałam ją, pierwsza dobiegałam do ławki, zrzucałam plecak. To, co robiłam dalej, zależało od pory roku. Zimą kręciłam się pod drzewami jak głodna kuna, wypatrując w koronach pustych gniazd. Wiosną wzorem nornic, z nosem przy ziemi szukałam kiełków i pąków. Latem cała zlewałam się z parkiem: kwitłam, pęcniałam, zawieszałam czas. Jesienią jak najszybciej pędziłam na mokrą trawę, schylałam się i szurałam na czterech między liśćmi.

- Pilnuj opaski - prosiła czasem mama.

- Pilnuję! - zapewniałam ją lekko zadyszana, bo ciężko być pająkiem, gdy ma się tylko dwie pary kończyn, a nie cztery, jak zdecydowała ewolucja.

Do parku chodziliśmy również w niedzielę, jedyny dzień, gdy ciocia miała wolne i mogła realizować swoje projekty. Robiła to tydzień w tydzień, niezależnie od pogody. Gdy padało, mama zdejmowała znad drzwi wyjściowych parasolkę i pomagała mi założyć rodzinny płaszcz przeciwdeszczowy. Tonęłam w nim bardziej niż w siekącym deszczu.

- To tylko godzina, Yvonne - usprawiedliwiała się mama, gdy już docierałyśmy do altany zziębnięte i lekko przemoczone. - Jeśli chcesz, możemy pobawić się w szalupę na oceanie.

- A jak ciocia skończy, będziemy bogate?

- Niewykluczone. Być może nie uda nam się tego uniknąć.

Po godzinie pikał jej telefon i mogłyśmy wracać. Gdy wdrapywałyśmy się na siódme piętro, ciocia kończyła ścielenie kanapy. Jak zawsze po projekcie była zaróżowiona i lekko spocona.

- Już się ładuje - wskazywała na swoją opaskę, która leżała wpięta w port smartfona. - Czuję, że tym razem się przebijemy.

Gdy nie padało, nie musiałyśmy wracać do domu. Ciocia sama znajdowała nas w parku.

- Sophie! - wołała z daleka, wymachując smartfonem. - To będzie dzisiaj. Czuję to.

Dosiadała się do mamy i zmuszała ją do odłożenia czytnika.

- Patrz, Sophie. Yvonne, ty nawet nie próbuj. Zmykaj! - odpędzała mnie.

Udawałam, że odchodzę bawić się gdzie indziej. W rzeczywistości omijałam kępę tawułów i na czterech podkładałam się pod ławkę.

- Mówię ci, miał ciało jak Omar Sy.

- Kto?

- Och, taki słynny aktor ze starych filmów.

Aż do wieczora ciocia nie wypuszczała telefonu z ręki. Wieczorem, gdy już było wiadomo, że jej przeżycie przepadło, wpadała w melancholię. Mama ścieliła kanapę i zmuszała ją do założenia piżamy. Potem kładły się obie i rozmawiały dopóty, dopóki mama nie musiała iść do pracy.

Nasłuchiwałam pilnie z łóżka nad ich głowami. Raz do mojego gniazda uwitego pod popękany niebem dotarło coś więcej niż pojedyncze słowa.

- Blanche, ty jesteś wyjątkowa. Nawet jeśli twoje orgazmy takie nie są.

- Sophie!

Rozległo się solidne walnięcie. Poduszkowa bitwa! Żyrandol zakołysał się i wyrzucił na chropowate morze sufitu garście iskier. Poderwałam się z pościeli, spłynęłam po drabince na dół.

- Patrz, Sophie! Patrz, kto tu nam się wcina! - ledwie się pojawiłam, mama i ciocia zjednoczyły się przeciwko mnie. Raz po raz dostawałam poduszką. Odpłacałam pięknym za nadobne, trzęsąc się ze śmiechu, a morze falowało.

Bitwa skończyła się wraz z głośnym stukaniem zza ściany.

- Yvonne, przestań! Natychmiast. Blanche, ty też. Proszę was! - mama, w jednej chwili poważna, zacisnęła usta tak jak nasza landlordka, gdy spotykałyśmy się w windzie. - Nie chcecie chyba znowu wysłuchiwać uwag?

- Daj spokój... - ciocia przeciągnęła się leniwie. Jednak był to tylko sprytny wybieg. Ledwie opuściłam broń, rzuciła poduszką w moją stronę.

Z wojennym okrzykiem zerwałam się na nogi. Zza ściany znów zastukano.

- Yvonne! Blanche, jak możesz! Naprawdę chcesz wysłuchiwać tej baby?

- Wisi mi to. Jesteśmy tu chwilowo.

- Och, Blanche.

Głos mamy miał smak słonej wody. Obie z ciocią poczułyśmy go tak wyraźnie, jakby kropla morza kapnęła nam na język. Uspokoiliśmy się. Szybciutko rozplątałyśmy ręce i nogi.

Mama pierwsza wstała z kanapy. Otworzyła brzuch szafy i zmieniła dresy domowe na wyjściowe. Założyła obcisłą koszulkę, spięła włosy w kucyk. Zachowywała się na pozór normalnie, w pełnej zgodzie z codzienną choreografią wieczoru, jednak dostrzegałam, że stara się poruszać jak najciszej. I że, choć próbuje to ukryć, przez cały czas nasłuchuje odgłosów kręcącego się za nośną ścianą sąsiedzkiego tygrysa.

- Dobrego wieczoru - pożegnała się, gdy była już gotowa do wyjścia.

Gdy zostałyśmy same, ciocia zsunęła się na samą krawędź kanapy. Wyciągnęła nogę i bezczelnie kopnęła półotwarte drzwi szafy. Rozległo się oburzone skrzypnięcie, a potem huk. Czy nie tak właśnie protestuje przeciążona łódź? Z innego wymiaru znów zastukano, głośniejsze niż poprzednio domagając się ciszy.

Ciocia uśmiechnęła się zwycięsko, po czym sięgnęła po porzucony smartfon.

- Musimy coś wymyślić, Yvonne - oznajmiła. - Najlepiej od razu.

Zwróciła się do mnie tak samo serio, jak mówiła do mamy.

- Musimy! - usiadłam koło niej po turecku. - Tylko co?

Ciocia, z nogami na podłodze, opadła na rozłożoną kanapę. Zagarnęła jedną ze strudzonych poduszek i włożyła ją sobie pod głowę.

- Musimy zarejestrować przeżycie, które nas ustawi. Takie, które wbije się na top w swojej kategorii. Albo które stworzy zupełnie nową kategorię. Ale to nie jest proste, bo wszystko już było. Jedzenie dobrych rzeczy, podróże na ziemi, loty na orbitę, wyczyny sportowe, zjazdy z gór na nartach, nurkowania, śluby, porody... - wymieniała, nie odrywając oczu od ekranu. - O nielegalach nie wspominając. Wszyscy już wszystko zarejestrowali. Topy są obstawione i nie jest łatwo, nawet jeśli... - Blanche lekko się zacięła. - Nawet jeśli wydaje ci się, że twoje przeżycie jest wyjątkowe. Może subiektywnie być wyjątkowe, niemniej giełdy są pełne genialnych przeżyć, które każdy nadziany typ może załadować sobie, kiedy zechce. A, co najgorsze, przy przeżyciach są też jak przy wszystkim rankingi i oceny, tak wyżyłowane, że nie przepuszczają wyżej nowych eksperiensów. Więc nawet jeśli twoje doświadczenie to sztos...

- Seks to sztos?

- No! - ciocia się poderwała. - A niech cię! - przyciągnęła mnie i przytuliła. - Jasne, że sztos. Jeszcze z dziesięć lat i sama się przekonasz. Problem polega na tym, że wszyscy rejestrują swój seks. Dlatego w tej kategorii nie da się już trendować. Próbowалам - pokręciła głową - długo próbowałam i nie ma szans. Za dużo tego jest.

Zadumała się, jakby wspominała wszystkie swoje próby i próbowała pogodzić się z faktem, że mogły być i najbardziej udane, i najbardziej nieudane równocześnie.

- Trzeba wymyślić coś oryginalnego, Yvonne. Coś, czego jeszcze nikt nie przeżył, ale czego wszyscy chcieliby spróbować.

- A gdyby skoczyć z wysoka do perfekcyjnie gładkiego jeziora, w którym odbija się las? - zapytałam. - To by wyglądało tak, jakby ktoś został wystrzelony na powierzchnię wprost spod ziemi.

Ciocia się wyprostowała.

- Co takiego? Jak na to wpadłaś?

- Nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Młodsza z sióstr zamieniła się w panterę. Czy pantera zamknięta w klatce potrafi wyobrazić sobie, że idzie przez cały czas naprzód, bez zwalniania, zatrzymywania się, odwracania? Czy jest w stanie podzielić swoje doświadczenie i wzmocnić jedną jego część, a drugą, tę osłabiającą, odrzucić?



To możliwe, jeśli tylko ma takie wycucie przestrzeni jak moja ciocia. Wędrując po pokoju, mimo telefonu w dłoni Blanche perfekcyjnie rozpoznawała, kiedy jest już pod oknem. Zawracała dokładnie w momencie, w którym zmiana kierunku ratowała ją przed wpadnięciem na parapet.

- A kiedy ja będę mogła spróbować przeżycia? - zapytałam ją po szóstym nawrocie.

- Co? Jak skończysz dwadzieścia pięć lat, Yvonne. Jak będziesz miała w pełni rozwinięty konektom.

- Czyli seks można uprawiać wcześniej, niż załadować przeżycie do mózgu?

- I tak nas na nie nie stać. Nam nie płacą w przeży... Yvonne! - do cioci dopiero teraz dotarł sens mojego pytania. - Jak się przebijemy, obiecuję ci, zrobimy masę fajnych rzeczy. Takich, że czas do dwudziestych piątych urodzin minie ci niepostrzeżenie.

- A dlaczego niektórzy dostają diamenty, a inni nie?

- Bo ci, co są najbogatsi... Hm, bo chodzi o to, co robisz ze zwykłymi pieniędzmi. Kupujesz za nie różne rzeczy, prawda? Tylko że te wszystkie rzeczy są materialne. A po co zużywać materię, jak można jej nie zużywać? Co to za różnica, czy naprawdę leciszy prywatnym odrzutowcem i pijesz na pokładzie ultradrogiego szampana, czy tylko ładujesz sobie do głowy takie przeżycie? Nie ma żadnej różnicy - ciocia podkreśliła ten wniosek mocnym kiwnięciem głową. - Dlatego czym wyżej jesteś ponad dochód minimalny, tym więcej zgarniasz diamentów. I na tym genialniejsze przeżycia cię stać. Tak jest lepiej dla planety, a dla naszych mózgów to wszystko jedno... Rozumiesz? No to teraz śmigaj do siebie, żabo. Daj mi pomyśleć.

Następnego dnia po lekcjach, gdy wybiegłam ze szkoły, mama z cocią kłóciły się na samym środku chodnika. Obie były aż czerwone na twarzy.

- Zabraniam ci, Blanche! Zabijesz się!

- Nie możemy tak dłużej!

Przełknęłam ślinę. Tarasowały całe przejście i jak nigdy zupełnie nie zwróciły na mnie uwagi.

- Jak? - zapytałam z lekkim przestraszeniem, podchodząc do nich. - Jak dłużej nie możemy?

- Na Boga, Blanche - mama szybko wzięła mnie za rękę. - Chodźmy - rozejrzała się i na jej twarzy odbiła się przykrość, bo zauważyła, że zrobiły widowisko.

- I tak tam pojedę - oznajmiła ciocia po kilkudziesięciu krokach.

- Dokąd? Dokąd ciocia pojedzie?

Ale nie dowiedziałam się dokąd. Na najbliższe dni mama wprowadziła na działania cioci embargo informacyjne. Nie było to pierwsze embargo w moim życiu, więc nie zareagowałam złością. Gdy jeszcze byłam w przedszkolu, mama z ciocią nie pozwalały mi oglądać ze sobą niektórych seriali. Mama wytłumaczyła mi wtedy, że pewne rzeczy znajdujące się pod embargiem na jakiś czas pozostaną dla mnie niedostępne. I opowiedziała, że gdy pracowała jako dziennikarka, w swoim pierwszym życiu, też musiała czekać, aż z pewnych informacji zejdzie zakaz ich rozpowszechniania.

- A ile ja będę miała żyć?

- Ty na szczęście tylko jedno - zapewniła mnie wtedy.

Czekałam więc cierpliwie i obserwowałam, jak naszą łajbą kołysał wiatr. Nie pierwszy raz wpadłyśmy w burzę, jednak tym razem mama ostentacyjnie odłożyła wiosło. Zwinięta na kanapie w koci kłębek zamknęła się na świat poza czytnikiem. Za to ciocia chwyciła za ster. Nie musiałam rozumieć celu jej działań, by się nimi fascynować: zaciekawiona aż do utraty apetytu śledziłam, jak Blanche przekłada kartę do starego smartfona, a nowy fotografuje i wystawia na sprzedaż, jak pożycza od mamy telefon, żeby kupić sobie bilet, jak otwiera paszczę pawlacza i wyjmuje z niego pielgrzymią torbę, jak pakuje do niej etui ze swoją opaską, parę zmian bielizny, dwie koszulki i nowe adidas.

Gdy ciocia zapięła ze świstem torbę i była gotowa do wyjścia, mama porzuciła pozory obojętności. Gwałtownie podniosła się z kanapy. Szybko założyłyśmy buty i jak zawsze odprowadziłyśmy Blanche do metra.

- A dokąd ciocia jedzie? - spróbowałam po raz ostatni, gdy już stanęłyśmy koło karuzeli, przed zejściem do Jules Joffrin.

Siostry porozumiały się wzrokiem. Młodsza kucnęła przede mną.

- W bardzo piękne miejsce. Takie, w którym zrobię coś niezwykłego. Coś, co zadziwi świat i czego wszyscy zechcą doświadczyć. A teraz mnie uściskaj! I ty też, Sophie.

- Zrezygnuj, Blanche. Bardzo cię proszę.

Ciocia tylko machnęła ręką, po czym lekko zbiegła w głąbiny podziemnej kolejki.

Dokąd się wybierała? W drodze powrotnej próbowałam wyobrazić sobie cel jej podróży. Czy rzeczywiście pojedzie nad gładkie jak nóż jezioro i spróbuje wskoczyć do niego z opaską na głowie? Ze skały pochylającej się nad nieruchomą wodą jak brodaty platan nad altaną?

Ledwie to pomyślałam, zobaczyłam górską ścianę wysoką jak wieża Montparnasse. Blanche wspinała się na nią bez asekuracji, na samych czubkach palców. Kontur jej sylwetki błyszczał diamentowo podziwiany przez słońce.

- Czy ciocia naprawdę wskoczy do jeziora?

- Mój Boże - mama lekko zacisnęła usta. - Mam nadzieję, że nie.

- Pójdziemy do muzeum?

- Jeśli chcesz.

Chciałam, więc zamiast wrócić prosto do domu, udałyśmy się w moje drugie poza parkiem miejsce mocy. Był to uliczny stragan z owocami i warzywami wciśnięty między bar azjatycki a zakłady bukmacherskie. Uwielbiałam tam chodzić - skrzynie ze śliwkami, z jabłkami, karczochami, mango, granatami i awokado wyglądały lepiej niż w jakiegokolwiek elektronicznej farmie. Stawałyśmy przed nimi i kontemplowałyśmy równe rzędy owoców w pełnym skupienia milczeniu. Dopiero gdy sprzedawczyni pytała, co podać, a mama odpowiadała, że dzisiaj nic, dziękujemy, opuszczaliśmy wystawę.

Tego dnia sprzedawczyni nie było. Za stragan odpowiadał jej mąż, chudy pan. Zamiast zachęcać nas do zakupu, stał oparty o framugę warzywniaka i obserwował ulicę, taksując wzrokiem przechodniów.

Moją uwagę przykuły borowiki na grubych nogach. Ustawiono je pionowo w niedużej skrzynce wysuniętej przed pozostałą część ekspozycji. A gdyby tak przestać się wywyższać, tylko spojrzeć na świat z poziomu grzyba? Kucnęłam przed skrzynką i faktycznie uzyskałam w ten sposób perspektywę leśnego runa, punkt widzenia niedostępny na co dzień.

Nagle na tej samej skrzynce, w której znajdowały się grzyby, przysiadł wróbel. Nieduży, lekko napuszony, pierzasty przybysz z innego wymiaru znalazł się bardzo blisko mnie. Gdybym chciała, nie musiałam

bym prostować ręki, żeby go dotknąć. Nie wiedziałam – nie widział mnie czy też postanowił udawać, że mnie nie widzi? Odleci, zanim nawiążemy kontakt wzrokowy, czy może wcześniej odwróci się w moją stronę?

A jeśli to znak?

*Jak spojrzysz na mnie, ciocie się uda!* – myśl przebiegła mi przez głowę szybciej niż polna mysz. *Jeśli zerknie, będziemy bogate!*

Nie był to mój pierwszy zakład tego rodzaju. Wcześniej wiele razy próbowałam wymacać, co przyniesie przyszłość, obstawiając drobne wyniki z codziennego koła fortuny. Rano zastanę pod prysznicem pająka czy nie? Ile będzie czynnych straganów na niedzielnym targu? Grałam o nieduże stawki, lody po obiedzie albo złoty strzał w czasie wybierania nagrody dnia. Przeczuwając, jaką władzę może mieć nad nami przypadek, nigdy dotychczas nie odważyłam się zakląć losu w naprawdę ważnej sprawie.

Wróbel znów się nastroszył. Przekręcił głowę w prawo i w lewo. Ruch był błyskawiczny, niemal niezauważalny. Potem ptak znieruchomiał, tak jak zwierzęta tuż przed rzuceniem się do ucieczki.

Serce zabiło mi szybciej. *Popatrz na mnie! Popatrz!* Nogi zaczynały mi drętwieć, jednak nawet nie drgnęłam. *Spójrz tutaj! Proszę!*

Ledwie to pomyślałam, ptaszek odwrócił głowę i wbił we mnie wzrok. Zobaczyłam nieduże oczka lśniące jak paciorki.

Poczułam taką radość, jakby ktoś ukuł mnie złotą szpilką.

– Pani córka zaklęłaby węża.

– Proszę nie poddawać jej takich pomysłów!

Frrr! Wróbel odleciał.

Wracałyśmy do domu powoli, obie zatopione w myślach, którymi nie można było się podzielić.

Aż do wieczora mama była niespokojna. Nie czytała, tylko z zatroskaną miną kręciła się po pokoju. To kładła się, to wstawała, to zabierała się za porządkowanie pokoju, to sięgała po opaskę i telefon. Kusilo mnie, by powiedzieć jej, że wszystko z ciocią będzie dobrze, jednak się powstrzymałam. Wiedziałam już, że gdybym wyjawiała, jak się sprawy mają, oczy by jej tylko posmutniały.

Gdy na poddaszu naprzeciwko nas zaczęły się zapalać światła, pożegnaliśmy się i mama poszła do pracy. Nad ranem obudził mnie jak

zawsze zgrzyt zamka.

Chwilę później ciszę wymiotła głośna melodyjka.

- Co? Co takiego? O Boże! Basma! Blanche! Co ty mówisz? O moja najdroższa!

- Mamo?! Co się stało?!

- Nic! Nigdzie nie wychodź! Niedługo wrócę!

Mama wybiegła z mieszkania, a ja znów zostałam sama.

Następne godziny i dni upłynęły mi w wielkim napięciu. Mama na długo zniknęła. Gdy była na miejscu, ciągle dzwoniła albo odbierała przychodzące połączenia. Na podstawie jej nerwowych rozmów - mimo najcięższego na świecie embarga - stopniowo budowałam sobie obraz tego, co się wydarzyło. Jednak tym razem nie nagabywałam jej, by uzyskać potwierdzenie swoich podejrzeń. Ciągle kołysana resztką nadziei nie chciałam się upewnić, że wróbel mnie oszukał. Albo że to ja sama siebie oszukałam.

Zgodnie z pierwszą zasadą opanowywania kryzysu, której nauczyły mnie mama i ciocia, zajęłam się czymś praktycznym. Przygotowywałam nam obu posiłki, sama zaprowadzałam się do szkoły i odprowadzałam się z niej. Raz, po uzyskaniu nieuważnej zgody mamy, zrobiłam sama zakupy.

Od czasu do czasu byłam bardzo mocno przytulana.

Po dwóch dniach spostrzegłam, że nasza sytuacja, początkowo bardzo zła, zaczęła się poprawiać. Po pierwsze, dowiedziałyśmy się - ja drogą szeregu domysłów - że mimo wstępnych fatalnych rokowań obrażenia cioci ograniczyły się do złamanej nogi oraz do lekkiego wstrząsu mózgu. Po drugie, telefon mamy, zazwyczaj pikający bardzo rzadko, wypluwał teraz z siebie coraz bardziej natarczywe strumienie powiadomień. Za każdym razem, gdy to się działo, mama biegła po niego, odblokowywała ekran, po czym twarz jej się rozjaśniała.

W końcu, gdy niespodziewanie zaproponowała, że jeśli chcę, wykupi mi płatne poziomy w mojej ulubionej grze ze złotymi skrzyniami, zrozumiałam, że zagrażająca nam katastrofa została zażegnana.

- Mamo, zdejmiesz embargo? Gdzie jest ciocia?

- W szpitalu, Yvonne. Ale nie martw się, nic poważnego się jej nie stało. Wyzdrowieje.

- A wbiła się na top? Ze skokiem do jeziora?

- Yvonne, to był naprawdę głupi pomysł. Nie twój, jej. Możesz mnie cytować.

Dwa dni później w moim życiu zaczął się niezapowiedziany specjalny event.

Mama wzięła wolne.

Po szkole poszliśmy do cukierni i kupiliśmy flan z brzoskwiniami.

Potem poszliśmy do muzeum i kupiliśmy trzy dojrzałe mango.

Na koniec mama zabrała mnie na lody.

Gdy już wróciliśmy, do drzwi zastukał kurier, który przywiózł duże tekturowe pudło i paczkę. Pudło mama postawiła na stole. Z paczki wyjęła kilka książek.

- Proszę - podała mi dwie z nich.

Były to albumy przyrodnicze.

Oszołomiona wspięłam się z prezentem pod niebo. Kartki były gładkie, krawędzie ostre, ilustracje, przedstawiające najbajeczniejsze rośliny i zwierzęta świata, kolorowe.

Prawie nie usłyszałam, gdy znów zapukano do drzwi. Dopiero gdy zobaczyłam, jak dwóch pielęgniarzy wprowadza do środka ciocię, wróciłam do rzeczywistości.

Ciocia - blada, ale wyraźnie zadowolona - wyciągnęła się na kanapie. Jej noga, w gipsie aż po pachwinę, została ułożona na twardej poduszce, najmocniejszej broni z naszych bitew.

- Oczywiście, że opowiem! - oznajmiła, gdy już ją obie uściskałyśmy.  
- Wszystko opowiem, ale najpierw muszę to zobaczyć. Sophie, błagam. Muszę!

Mama wstała, by wziąć ze stołu tekturowe pudło. Usiadła z nim obok cioci i zaczęła je rozpakowywać.

- Ile to kosztowało?

- Nic. Jak trafiasz na top, przysyłają ci za darmo.

Pudło zawierało kask. Czarny i matowy, z błyszczącą szybką wyglądał jak z filmu z abonamentem premium. Mama szybko zerwała z niego plastikowe zabezpieczenia.

- Nie wypróbowałaś?

- Czekałam na ciebie. Masz - mama podała jej kask. I to - wyjęła z kieszeni opaskę - wyczyszczona poza tym jednym.

Ciocia usiadła, wzięła oba przedmioty. Klik, trzask, klik. Założyła kask i opuściła szybę na oczy.

Po chwili niespodziewanie się roześmiała.

- Niesamowite! Masz! Sama to przeżyj!

Teraz mama założyła kask. I ona również się roześmiała.

Gdy zdjęła kask, ciocia przytrzymała się jej ramienia. Obie popatrzyły na mnie. Odpowiedziałam dojrzałym uśmiechem dorosłej, która - choć nie wie, o co chodzi - cieszy się ich szczęściem.

- Pokaż opinie - ciocia opadła na poduszkę. - Będę czytać na głos, dobrze? OK, dziewięćdziesiąt procent ocen maksymalnych:

*Prawdziwy zastrzyk radości.*

*Wyrzucam spray z serotoniną.*

*Tym będę zaczynała każdy dzień.*

*Kocham to uczucie!*

*Ależ ten ptaszek ma hipnotyzujący wzrok.*

*A przecież to tylko wróbel!*

Tylko wróbel! Dobrze sobie - zakończyła Blanche.

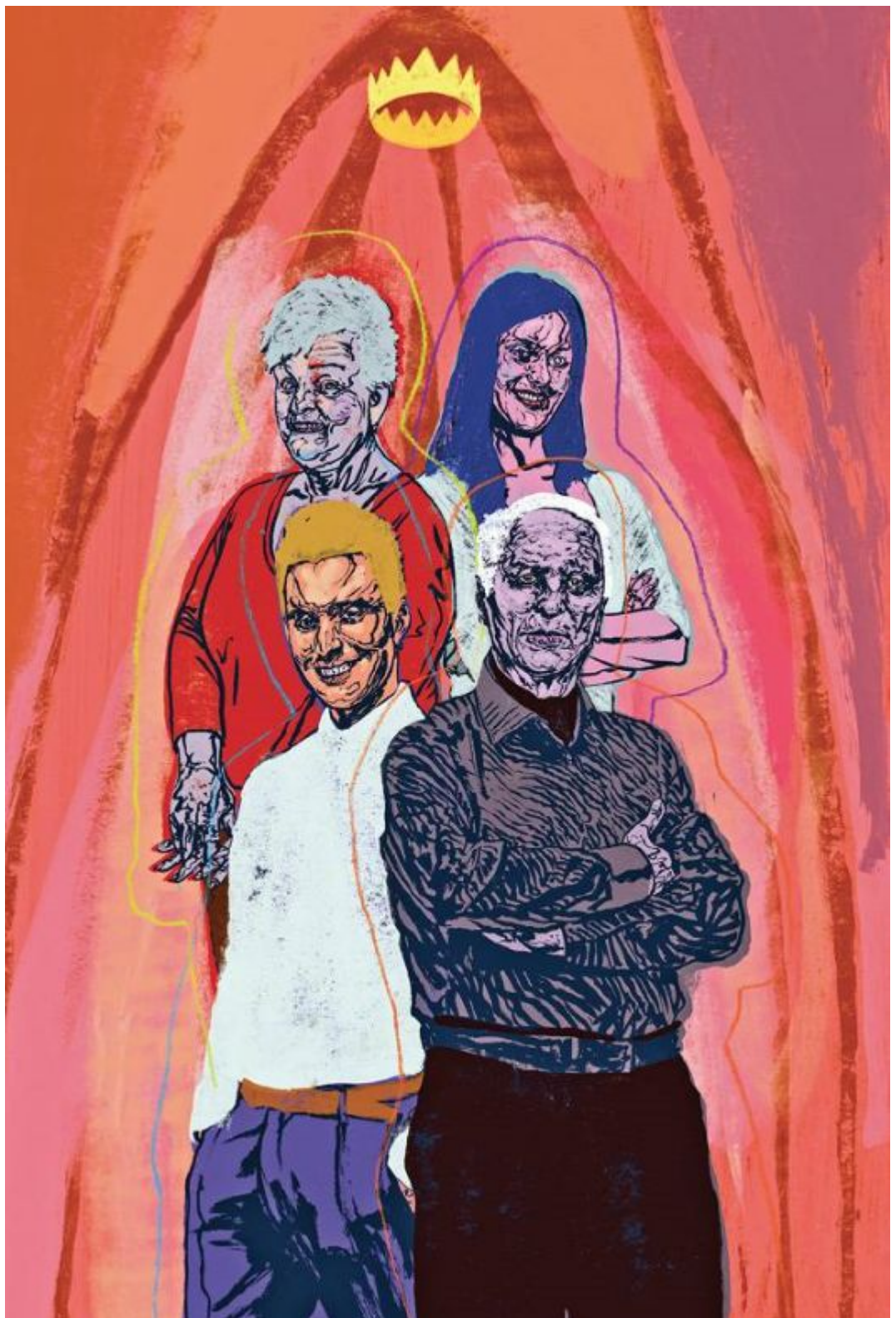
Poruszyłam się.

- Jaki wróbel? - zapytałam. - Jesteśmy już bogate? - dorzuciłam szybko pytanie, które zaprzętało mnie od kilku dni.

Ciocia nie odpowiedziała. Oblizując wargi, przesuwała palcami po ekranie telefonu. Za to mama wyciągnęła do mnie ramiona.

- Chodź do mnie. Chodź tutaj i mnie przytul, najdroższy skarbie.







# Bank Dotyku

GRAŻYNA PLEBANEK

X 2123

## I

- Kiedy Dziadek się mył?

- No, na świętą Janinę.

- Dziadku, licznik nie kłamie - Kaj wpatrywał się w cyfry.

- Kręci dziad jak najęty - sarknęła Babcia, wchodząc do piwnicy. - Wymył się siedem miesięcy temu. Wciąż śmierdzi mydłem, nie czujesz?

Kaj przysunął się do Dziadka. Nozdrza drgnęły mu jak u psa. Wilgotne powietrze wypełniło płuca. Zatrzymał je i powoli wypuścił.

- Myłeś się, Dziadku! Czuję palmolive. Przecież kąpiel częstsza niż raz na rok jest zakazana. Chcesz, żeby nas ukarali za twoje nielegalne ablucje?

- On sobie z tego bimba - mruknęła Babcia. - Jak ratowaliśmy planetę, też miał to gdzieś. Tylko o sobie myśli.

Stała przy ścianie i zeskrobywała z niej grzyb. Brązowo-fioletowe strużyny wpadały do garnka. Kaj poczuł, że robi się głodny. Po drodze zjadł tylko awokado, które rosło przy ścieżce. A zupę na grzybie ściennym Babcia robiła jak mało kto.

- Pogorszyło mi się - zachrypiał Dziadek mrocznym głosem. - Zawołajcie lekarza.

- Skąd ja ci wytrzasnę lekarza? - wzruszył ramionami Kaj. - Nie ma już lekarzy, dobrze wiesz. I dobrze, natura wszystko sama rozwiązuje. Lekarze sknócili sprawę i dziś za to płacimy.

- Umieram...

- Sprowadzę ci terapeutę.

- Ty o terapeutce, a ja się kończę - zarzęził Dziadek.

- Och, nie pieprz głupot! - Babcia aż przestała skrobać. - Przecież jesteś nieśmiertelny.

- Miałem nadzieję, że Kaj zapomniał - Dziadek skopał koldrę z łóżka.

- Oni mają słabą pamięć, te Rodzynki.

Babcia bez słowa wbiła paznokcie w ścianę. Kaj spojrzał na jej bujną grzywę przetykaną tu i ówdzie siwizną, na mocne mięśnie ramion połykujące potem. Zeskrobywała grzyb z jakąś ponurą energią. Czasem powarkiwała, a wówczas górna warga unosiła się, ukazując rząd równych, białych zębów.

- Kurwa, przecież ja mam sto sześćdziesiąt trzy lata - ogorzała twarz Dziadka przypominała zmytą deszczem maskę z brązu, czupryna sterczała w górę srebrnym wiechciem.

Był po sześćdziesiątce, kiedy sto lat temu przyjął kolejną dawkę szczepionki przeciw COVID-19. Szykował się wówczas na starość, ale ona nie nadeszła. Organy przestały mu się starzeć i Dziadek utknął w wieku przejściowym - nie był już młody, ale nie stał się całkiem stary. Lekarze nazwali to cudem natury i pokazywali go na zjazdach medyków. Zagadka wyjaśniła się dopiero, kiedy Dziadek dobił dziewięćdziesiątki. Gruchnęła wieść, że ci, którzy przyjęli dawkę przypominającą, stali się nieśmiertelni. Dane zebrane z całego świata potwierdziły, że skutek uboczny działania medykamentu dotknął niewielki procent populacji. Ale dotknął.

Od tamtej pory na pudełkach ze szczepionką skrupulatnie zaznaczano, że jej użycie niesie ryzyko nieśmiertelności i trwałego wytrzeszczu. Ten ostatni został Dziadkowi oszczędzony.

- Jebane sto sześćdziesiąt trzy lata... - dobiegło z kąta.

W Kaję wezbrało coś na kształt zniecierpliwienia.

- Niech mnie Dziadek nie bierze na litość.

Tylko przy Dziadku odczuwał równie silne emocje.

- Ożeż, kurwa - zawył Dziadek.

Babcia skinęła na Kaja.

- Sprowadź mu kogoś. I dopilnuj zupy. Mam na głowie całą organizację święta Janiny. Ludzie chcą tańczyć. Co innego im zostało?

## II

Po wyjściu Babci Kaj doprawił zupę, wygasił palenisko i narzucił Dziadkowi koc na głowę. Dziadek przez chwilę szarpał się z tkaniną, ale w końcu się uspokoił i zasnął. Tak długo był sublokatorem w Gołębiowym Domu, że przejął zwyczaje gospodarzy. Tak jak w przypadku ptactwa ciemność sprowadzała na niego sen.

Kaj wspiął się na dach, przeprosił gołębie i przycupnął przy kruszącym się kominie. Spojrzał na rozciągające się w dole miasto. Kipiało zielenią, bo na rośliny od lat nie wolno było podnieść ręki. Dawne ulice i place zarosły trawą, w czym pomógł im Światowy Ruch Zrywania Betonu. Ten materiał podzielił los azbestu i ołowiu, rugowano go zewsząd.

Kaj pociągnął nosem. Wonie ludzkie i zwierzęce zbiły się w gęstą chmurę, która dotarła aż tu. Piżmo sierści i spoconej skóry drażniło mu nozdrza, co stanowiło dowód, że doroczne święto Janiny nie było jedynie bytem formalno-dekoracyjnym. Dwunożne i czworonożne istoty gromadzące się na dole naprawdę potrzebowały się już wykąpać. Po rytualnym myciu szykowano się na tańce wokół Wielkiego Łona. Służyły one zaklinaniu płodności. Wciąż nie tracono nadziei, że powróci.

Zgromadzeniu jak co roku przewodniczyła Babcia. Z daleka widać było jej grzywę przetykaną nitkami siwizny, spomiędzy zarośli przebijał się jej mocny głos. Uwijała się przy umocnieniach gliniano-krzaczastej konstrukcji, wydawała komendy, przesłuchiwała muzyków. W pewnym momencie przez okolice przetoczyło się bębnienie tam-tamów, aż zafalowało powietrze nad ulicą, pod którą płynęła Rzeka zamurowana dwa wieki temu.

Kaj niechętnie odwrócił wzrok od przygotowań. Uwielbiał ten rytuał, który w jego mniemaniu łączył biednych i bogatych. Ale teraz potrzebo-

wał czasu, żeby pozwolić rozgościć się w sobie emocjom. Uczono ich tego od pierwszej klasy podstawówki, kiedy szkoły jeszcze istniały. „Zrobić w sobie przestrzeń dla emocji” – zakołatał mu w głowie slogan z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XXI wieku, kiedy to Prawda Emocjonalna rządziła wolnym światem.

Kaj urodził się w 2045 roku, w czasie określanym przez historyków i historyczki jako pre-Raj XXI wieku. Rządziły wówczas Sanny, dzielne, mądre liderki, po jednej w każdym kraju. Co roku zbierały się na którymś z wygasłych wulkanów, żeby uradzić, gdzie jeszcze znieść granice. Udało im się zlikwidować wszystkie w Europie i Amerykach, ale były jeszcze na świecie regiony, gdzie czepiano się twardych nacjonalizmów. Stanowiły one mentalne pozostałości po chybionych próbach wywołania kolejnej światowej wojny przez kilku starszych panów. Kiedy Sanny przejęły władzę, zadbały o emocjonalną delikatność. Prosiły, by nie śmiano się z niewydarzonych przywódców upadłego patriarchy, ale tylko sprowokowały rozkwit kabaretowego podziemia.

Sanny wyglądały jak anielice, ale walczyły jak Walkirie. To one załaziły Putina. Niedługo potem wysadzili się przywódcy Korei i Chin. Jeden głupi ruch i, niczym złoczyńcy z kreskówek, podpalili lont pod beczką, na której siedzieli. Sanny sprawnie po nich posprzątały, poradziły sobie również z plagami, które spadały na Ziemię. Rozprawiły się też z nierównościami w prawie i płacach, przemocą fizyczną, ekonomiczną i emocjonalną, okrucieństwem wobec zwierząt i roślin. Wytępiły zwyczaj jedzenia mięsa, a wszystko to robiły, tańcząc i śmiejąc się. Śmiały się tak, że aż chrypły.

Wszystkie istoty cieszyły się szacunkiem i równymi prawami, bez względu na płeć, pochodzenie, futrzastość czy ograniczenia w mobilności. Nikt nie zganiał gekonów z miejsca, w którym zastygły. Każdy mógł nieruchomieć, gdzie chciał, a potem bez ostrzeżenia odpaść. Nastął czas Raju XXI wieku.

Jeden tylko smutek unosił się nad światem – zanik płodności. Natura, zdeptana w XX wieku, już się nie odrodziła. Szamani, którzy objęli rządy po uwiądnięciu organów państwowych, zgadzali się co do jednego: życie nie wróci na Ziemię, dopóki nie przegoni się chmury złej energii, która ciąży nad rodzajem ludzkim. Do czasu, gdy ludzkość nie rozliczy się ze swoich ponurości, nie odśpiewa pokutnej pieśni życiu, które brutalnie przerywała, nie ma co liczyć na powrót zdrowych cykli.

Zajęto się więc emocjami. Czyszczono własne wnętrza i instytucje państwowe, poddawano terapii ludzi, zwierzęta i organizacje. Ustawowo zabroniono bicia się w piersi, bo ten pusty gest kojarzono z feudalną kastą kapłanów, których właśnie zwolniono do domów i którym kazano zająć się czymś pożytecznym. Pokuta miała przejawić się wyłącznie w działaniu. Cała druga połowa XXI wieku była odkupywaniem win i konstruktywną zmianą, która zaczynała się we wnętrzu każdej istoty wyczyszczonej ze złych emocji, traumatycznych wspomnień, z chęci rywalizacji.

Rajskich naprawiaczy świata zepsutego przez poprzednie pokolenia nazwano Ratownikami. Byli oni ideowym pokoleniem, a ich żywioł stanowiły ruchy obywatelskie i zrzeszanie się ponad podziałami. Mierzyła ich kultura zapierdolu, czym różnili się od Starszyny, której członkowie wymierali, każąc grawerować na swoich nagrobkach litery: CEO, CAO, COO, CFO, CSO, CBO lub choćby CE. Kłopot był z tą częścią Starszyny, która żyła wiecznie z powodu powikłań po kolejnej dawce szczepionki przeciw COVID-19. Tak jak nie starzały się ich ciała, tak postęp nie miał się głów. Wciąż chcieli dominować w każdej dziedzinie, nadal widzieli świat w postaci hierarchicznej, usiłowali wspinać się po drabinie. A świat już nie chciał być drabiniasty.

Nowych obywateli prawie nie przybywało, ale zdarzały się cuda. Każde przyjście na świat nowego człowieka ogłaszano świętem narodowym. Kaja urodziła w 2045 roku ciotka Władzia, a wychowywała go cała dzielnica. Surogatki otaczano szacunkiem, ich imiona były równie ważne jak te rodziców i społeczności, które dzieci wychowywały. Zupełnie inaczej niż na przełomie XX i XXI wieku, kiedy spychano obecność surogatek we wstydliwą anonimowość.

Dzieci były tak wyczekiwane, że nazywano je Rodzynkami. Kochane i rozpieszczane miały przeszczęśliwe dzieciństwo. Zakazano używania frazy „Małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci, duży kłopot”, bo odkryto, że obcowanie z maluchami jest źródłem najwyższej radości. Nastolatki hołubiono, nie dając im okazji do buntu. Kaj miał siedemdziesiąt osiem lat i dopiero niedawno przestano go traktować jak dziecko.

Rodzynki wyrosły na dobrych, opiekuńczych ludzi. W ich pokoleniu ceniono wyłącznie inteligencję emocjonalną i duchową, o zwykłym IQ nie wypadało napomykać. Rodzynki szczególną opieką otaczały zwierzęta, które tyle wycierpiały od ludzi w ciągu wieków. I one rodziły

coraz mniej dzieci. Przedstawiciele najmłodszej, ostatniej ludzkiej generacji szanowali wszystkich, nawet niedobitki upartej Starszyny. Współczuli nieszczęśnikom, że muszą żyć wiecznie i patrzeć na Wielkie Wymieranie.

### III

Kaj pogwałcił przepisy, które zakazywały wykorzystywania zwierząt i na poszukiwania lekarza wysłał parę bezrobotnych gołębi zamieszkujących dom Babci i Dziadka. W XXII wieku ptaki przejęły etos pracy, bo istotom ludzkim już się nie chciało, ale te dwa gołębie, które zadekowały się w rogu strychu, były odszczepieńcami. Symulowały niezdolność do pracy, chociaż zdarzało im się wykonywać zlecenia, wyłącznie na czarno.

Gołębi Dom od stulecia chylił się ku upadkowi, jednak budowla, podobnie jak Dziadek, opierała się przemijaniu. Ukruszone cegły przeswitywały ciemną czerwienią spod warstw gołębih odchodów. Dom przypominał dwupiętrową lepiankę, rozgruchaną, furkającą ptasią krzątanią.

- Ktoś wzywał lekarza?

Kaj się odwrócił. Przed nim stała białowłosa kobieta o szeroko rozstawionych, jasnobrązowych oczach.

- Jestem Lekarką - uśmiechnęła się. Miała wszystkie zęby.

Kaj poczuł nagły niepokój. Na kursach w Banku Dotyku uczyli ich, że ta emocja może zwiastować bliskość wirusa. Zalecano, by ufać instynktowi, bo tylko on mógł ich uchronić przed niebezpieczeństwem.

Przedarli się przez baterię starych pralek, które służyły za domy dla wiewiórek.

- Ile chory ma lat? - zapytała Lekarka, kiedy dochodzili do piwnicy.

Miała dźwięczny głos, nosiła obcisłe ubranie. Musiała być stara, bo tylko ludzie urodzeni w XX wieku podkreślali biologiczną płęć ubiorem. Może była nieśmiertelna, a szczepionka zakonserwowała ją na podobnym etapie co Babcie.

- Chory? - wydukał Kaj. - Znaczy Dziadek?

Emocje wykonywały salta i fikołki. O dziwo, nie potrafił ich nazwać. Lekarka przyjrzała mu się uważnie, a Kaj poczuł, że się czerwieni. Nagłe uderzenia gorąca - ten punkt figurował w instrukcji ostrzegającej przed jednym z wirusów. Nie mógł sobie przypomnieć którym.

- Pytałam, w jakim wieku jest pacjent.

- Ma sto sześćdziesiąt trzy lata. I raczej nie jest chory.

Dziadek leżał na jakiś łąkach. Lekarka podeszła do niego i przyjrzała mu się uważnie.

- Jak się czujemy? - zapytała.

- Zajebicie - mruknął, nie otwierając oczu.

- Zbadamy odruchy. Proszę stanąć na jednej nodze.

Dziadek uchylił oko, a potem szybko drugie. Przez chwilę wpatrywał się w szeroko rozstawione oczy Lekarki, po czym się zerwał. Był tego samego wzrostu co ona.

- Proszę stanąć na lewej... Bardzo ładnie, a teraz na prawej - komenderowała.

Dziadek wykonywał polecenia jak drewniana kukielka pociągana za sznurki. Wpatrywał się w kobietę spojrzeniem, jakiego Kaj nigdy u niego nie widział. Był w nim głód, którego nie ugasiłaby żadna zupa z grzyba, nawet ta Babci.

Lekarka podeszła do Kaja.

- Muszę z panem porozmawiać.

- Jest aż tak źle? - Dziadek chyżo pobiegł za nią.

Zatrzymała go ruchem ręki.

- Miał klasyczny atak nudy - zwróciła się do Kaja. - Objawy przypominają ischias, ale to...

- Wiem, przekleństwo nieśmiertelnych.

Spojrzeli na Dziadka. Wpatrzony w Lekarkę wyszczerzał garnitur prawdziwych zębów. Kaj przypomniał sobie miny ludzi, którzy pochylali się nad nim, gdy był jeszcze mały. Ten sam wyraz ogłupiałego zachwytu.

- Nie mam już bonów na Dotyk, ale zaraz zapłacę w naturze - rzucił bez tchu Dziadek.

- Nie wie, dziad, co mówi - doszedł od progu głos Babci.

Nikt nie słyszał, kiedy nadeszła ani jak długo tam stała.

- Jeśli w naturze, to wolę, żeby zapłacił mi pana wnuczek - Lekarka spojrzała z namysłem na Kaja.

- Przecież wyglądam młodziej od niego! - obruszył się Dziadek. - Kaj ma osiemdziesiątkę i na tyle wygląda. A mnie dają na oko sześćdziesiątkę.

- Ale zaraz ci stuknie dwusetka - zgasiła go Babcia. - A Kaj nie może płacić w naturze, bo jest pracownikiem Banku Dotyku.

Sięgnęła pod podłogę i podała lekarce słoik.

- Proszę, tu jest jogurt. Na więcej nas nie stać.

Lekarka wzięła słoik i przez chwilę obracała go z wahaniem w dłoniach. W świecie bez dentystów jogurt był skarbem, a lekarzom się nie przelewało. Ludzie im nie wierzyli, przyjmowali za to z pokorą decyzje natury, w każdym razie tej resztki, która się ostała.

- Nie jestem bezzębna - mruknęła urażonym tonem Lekarka, jednak wzięła rarytas.

## IV

Strumyki spływały ze wzniesionej z gliny i gałęzi kilkumetrowej konstrukcji Wielkiego Łona. Zamykało perspektywę ulicy niczym wielki most. Koryto chodnika, pod którym zamurowano Rzekę, powoli wypełniało się wodą. Wypływała ze studzienek, trzepotała wilgotnym jęzorem wydobywającym się spod ziemi.

- Zróbmy to tu - Kaj poczuł w uchu ciepło oddechu Lekarki.

Odskoczył. Wpatrywała się w niego swoimi dziwnymi oczami. Buzował w nich głód, nawet większy niż ten, który Kaj dostrzegł wcześniej w spojrzeniu Dziadka.

- Nie podobam ci się? - zapytała.

Poczuł, że traci grunt pod nogami. Mówiła językiem, który znała Starszyczna, ale w jego pokoleniu słowa takie jak „podobanie się” czy „seks” straciły znaczenie.

- Etyka pracy - pisnął.

- Nie masz libido?



- Pracownicy Banku nie uprawiają seksu. Z definicji.

- No tak. Boicie się rozładować.

Odetchnął głęboko, tak jak uczono go na szkoleniach w Banku.

- Niczego się nie boimy - wyjaśnił spokojnie, jak na Rodzynka przystało. - Po prostu gospodarujemy energią tak, aby starczyła dla wszystkich potrzebujących.

- Potrzebujących? To mi wygląda na definicję organizacji charytatywnej, a nie Banku - zakpiła.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Kaj poczuł coś w rodzaju wewnętrznego szarpnięcia.

- Zaczekaj - usłyszał swój głos.

Już była przy nim, jej ręce myszkowały pod koszulą Kaja. Znieruchomiał, nagle bezradny. Pachniała korzeniami i mchem.

Z pamięci wyskoczyły urywki wiedzy na temat libido. Ludzie je kiedyś mieli, ale uległo atrofii. Seks wygasł, bo ewolucyjnie niczemu nie służył. Silniejszy od dawnego popędu okazał się strach. Dotyk w niedalekiej przeszłości roznosił wirusy, które przetrzebiły populację i dziś niemal wszyscy cierpieli na dotykowe PTSD. Nikt nie miał odwagi wejść w fizyczny kontakt z drugim człowiekiem, o ile nie był to osobnik z certyfikatem czystości.

Ale na taki dotyk stać było tylko bogatych. Dotyk, przez duże „D”, stał się złotem XXII wieku. Bank Dotyku emitował bony, za które przebadani i przeszkoleni pracownicy płacili empatycznymi karesami. Masowali dłonie podsuwane do okienka, łaskotali za uszami, gładzili po głowach. Aseksualna czułość stała się najdroższym kruszcem. W cieniu nadchodzącego końca przynajmniej bogaci byli dopieszczeni. Biedni musieli się czochrać sami.

Lekarka dotykała Kaja na dziko, a on - zamiast się bronić - tkwił nieruchomo zalewany przez fale emocji, których mimo swoich kwalifikacji nie umiał nazwać. Spomiędzy nich wybijała się myśl-krzyk: *Tracisz certyfikat czystości. Tracisz to, kim jesteś. Tracisz!*

Tymczasem Lekarce udało się aktywować tę część ciała Kaja, o której zdążył już zapomnieć.

Naraz w pobliżu rozległ się głos Babci. Kaj oprzytomniał.

- Mam spotkanie z poważnym klientem - rzucił bez tchu.

Wyrwał się Lekarce i pognął na ośle. Roztrącał ludzi, omijał ptaki, zderzał się z watahami psów. Wszyscy ciągnęli w odwrotnym kierunku niż on – do źródła wody, rarytasu tych czasów, świętości. Na widok napełniającego się powoli koryta dawnej rzeki czekali przez cały rok. Marzyli o odradzaniu, w duchu licząc na to, że tańcami wokół Wielkiego Łona przywołają dawne czasy, gdy cykle życia toczyły się, a nie wymagały rekonstrukcji.

Kaj przedarł się przez plac zarośnięty krzakami. Stał przed masywnym budynkiem, odetchnął głęboko i pchnął drzwi Banku Dotyku.

## V

- Dzwonisz – mruknął strażnik i odłożył podpłomyk z rukolą. – Przejdź jeszcze raz.

Kaj cofnął się i jeszcze raz przeszedł przez bramkę. Czujnik znów się rozkrzyczał.

- Dziwne, nie włączał się od lat...

- Zepsuty? – zaryzykował Kaj.

Pocił się, nie mógł przestać myśleć o kotłowaniu z Lekarką.

Strażnik podłubał w kablach, splunął.

- Nie mogę cię wpuścić – pokręcił głową.

Kaj poczuł palący wstyd. W ciele zabrakło mu miejsca dla tak masywnej emocji.

- Nie jestem chory – rzucił i uświadomił sobie, że to samo zdanie wypowiedział parę godzin wcześniej Dziadek.

- Wskaźnik nie kłamie, sam zobacz. „Podniecenie seksualne”, strzałka na czerwonym, sam zobacz. Nie mieliśmy tego od lat!

- Mam dziś ważnego klienta – zdenerwował się Kaj. – Nie mogę go stracić.

- Wacek się nim zajmie.

- A ja?

- Znasz przepisy.

Kaj wyszedł z Banku Dotyku i powlókł się brzegiem dawnej arterii miasta. Kiedyś nazywano je Brukselą, po francusku *Bruxelles*. Po zlikwidowaniu granic i podziału ludzkości na narody rozsypały się języki. *Bruxelles* przemianowano. Najpierw uznano, że w nazwie zbyt wyraźnie pobrzmiwa płeć – „elles” po francusku znaczy „one”. Zostało „Brux”. Jednak „Bru” z przodu brzmiało jak zdrobnienie, a to wydało się zbyt czułościowe i za bardzo kojarzyło się z sentymentalizmem XIX wieku. Do XIX wieku nie należało nawiązywać, bo przypominało to o zbrodniach ludzkości: kolonializmie, feudalizmie i wczesnym kapitalizmie. Nie wspominając już o barbarzyńskim zwyczaju polowań. Pozbyto się zatem i tej części wyrazu. Pozostało „x”.

Kaj stanął pod Trójkoronną. Drzewo było androgyniczne, ale miało silną aurę macierzyńskości, której wszyscy łaknęli w dobie światowego zaniku płodności.

Szefowa HR już tam na niego czekała.

– Co czujesz? – zapytała.

Tak jak Kaj należała do pokolenia Rodzynków, ale była zafiksowana na epokę Raju XXI wieku i otwarcie wyznawała wartości w duchu Emocjonalnej Prawdy.

Kaj ochoczo wylał z siebie chaos uczuć. Mówił i jednocześnie słuchał własnego wywodu, co było dziwnym przeżyciem. Jakby coś mu się rozszczepiło w szczerym, dobrym sercu. Zrobiło mu się siebie żal, zaczął rozpaczliwie płakać.

Szefowa patrzyła na niego w milczeniu i coś kalkulowała. Przytulenie nie wchodziło w rachubę, bo jako pracownica Banku nie mogła się energetycznie rozdrabniać. Poza tym Kaj mógł zarażać. Rozsądniej było zachować bezpieczną odległość.

Spróbowała więc sposobu kojenia, który podpatrzyła u kogoś ze Starszozny.

– Nooo, nooo... – wydała z siebie ni to słowo, ni to dźwięk.

Kaj nadal ryczał.

– Dotyk musi być czysty – rzuciła srogo, zmieniając strategię. – Ma być kojący i pozbawiony podtekstów.

– Wiem – chlipnął.

– Bank Dotyku jest nadzieją odchodzących – ciągnęła, jakby go nie słyszała. – Czyli nas wszystkich.

Wygłaszała komunały, które znał na pamięć. Wsłuchiwał się w nie coraz bardziej rozdrażniony, aż poczuł, że rozpacz w nim się kuli.

- Dawanie Dotyku to moja misja - jęknął jeszcze z rozpędu.

Zerwał liść łopianu, zmiął go i wydmuchał weń nos. Poczuł, że rozedrganie osiągnęło stabilny poziom.

- Nie przesadzajmy z tym dawaniem - bąknęła Szefowa. - Nie jesteś Robin Hoodem, nie wypłacasz Dotyku biednym, tylko bogatym.

- Biednym też daję! - zaperzył się.

- Raz do roku, w święto Janiny? - uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Głaszczę wtedy potrzebujących, Babcia może na mnie zawsze liczyć.

Szefowa spojrzała na niego surowo, pachniała drażniąco szyszkami.

- W tym roku nie możesz. Istnieje ryzyko, że pozarażasz innych.

Zamilkła i pogładziła korę drzewa.

- A ta kobieta? Była tego warta? - szepnęła po chwili.

- Do niczego nie doszło.

- Bramka wyła jak nigdy wcześniej. To musiało być coś mocnego. A myślałam, że jesteś zawodowcem, na szkoleniach nie ulegałeś.

- Jej też nie uległem.

- Ale bramka...

- Bramka się zepsuła! - wrzasnął.

Darł się jak Dziadek. Co się z nim działo? Czy naprawdę się zaraził? Wciąż czuł w uchu dotyk ciepłego języka Lekarki. Zakazany dotyk, dotyk nielegalny, potencjalnie zaraźliwy.

- Co ze mną będzie? - jęknął.

- Znasz przepisy, sam je pisałeś.

- Kwarantanna... - zakrył twarz dłońmi.

Szefowa wstała i otrzepała spodnie z liści.

- Zduś to wzmożenie w gaciach - syknęła na odchodnym. - To twoja jedyna szansa.

Babcia odsunęła stos gałęzi i wślizgnęła się do Groty. Tak nazywali dawną pakamerę, żeby było romantyczniej. Schowek częściowo się zapadł pod ciężarem gołębiego guana, ale część przestrzeni nadawała się do użytku. Babcia przechowywała tam koronę.

Wyciągnęła ją i przetarła rękawem. Zalśniły tanie szkiełka, pozłotka rozbłysła. Korona była ekologiczna i miała nie wzbudzać zazdrości. Zrobiono ją za czasów, kiedy rządziły Sanny, a one miały hopla na punkcie równości. Korona co prawda wyróżniała osobę, która ją nosiła, ale nie dało się zjeść ciastka i go mieć. Nawet demokracja i równość wymagały czasem pokreślenia, kto tu rządzi. Nie sposób było od tego uciec, nawet jeśli robiło się to w najdelikatniejszy z możliwych sposób.

W kącie piwnicy coś zaszurało.

- Dokąd to? - Babcia przygwoździła Dziadka wzrokiem.

Spojrzał na nią niechętnie, ale na widok korony w jej rękach przystanął niepewnie.

- Przejdę się.

- Idziesz do tej zdziry?!

Kilka gołębi przeniosło się w popłochu na wyższe żerdzie.

- A nawet jeśli? - odparł zaczepnie Dziadek.

Babcia podniosła się, nie wypuszczając z rąk korony.

- To ja się dla ciebie zaszczepiłam, żebyś nie był sam jak palec w nieśmiertelności, a ty mi się tak odwdzięczasz?!

- To był twój wybór, do niczego cię nie zmuszałem.

- Z miłości to zrobiłam! - Babcia grzotnęła się pięścią w klatkę piersiową.

Kolejny rząd gołębi opuścił żerdź.

- Nie strasz ich, bo znów nam wszystko obsrają. Mało mamy odskrobawania? - zdenerwował się Dziadek.

Ruszył do wyjścia, ale Babcia zastąpiła mu drogę.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- A co mam tu robić? - wściekł się. - Ty się bawisz władzą i nic innego cię nie obchodzi. A ja nie mam prawa się zabawić?

Usta Babci zadrżały. Nagle wydała się starsza od Dziadka.

- Masz po prostu atak nudy - szepnęła ugodowo. - Jak każdy nieśmiertelny emeryt.

Dziadek się wyprostował.

- Zakochałem się - wypalił.

Nogi zaplątały się Babci w gałęzie, które zasłaniały wejście do Groty. Korona o mało nie wypadła jej z rąk.

- Przecież ciągle się zakochujesz.

Dziadek spojrzał na nią, na koronę z łuszczącą się pozłotką.

- Zakochałem się - powtórzył i wyszedł.

## VII

Kaj miał się już zagrzebać w liściach, kiedy usłyszał łopot skrzydeł. Jeden z gołębi, które migwały się od pracy, podchodził do lądowania na trawniku. Do nóżki miał przyczepiony kawałek papieru.

Kaj rozejrzał się nerwowo. Korzystanie z usług zwierząt było zakazane od ponad wieku. Babcia musiała być zdesperowana, skoro poważyła się na coś takiego. Nadawcą nie mógł być Dziadek, bo ten zapomniał, jak się pisze. Zanim przyjął dawkę szczepionki, był wziętym pisarzem, ale nieśmiertelność go zmieniła. Uznał, że skoro egzystencjalne dylematy mają trwać zawsze, nie ma sensu roztrząsać ich w nieskończoność.

Kaj rozwinął papier i przeczytał wiadomość wypisaną równym pismem Babci: *Dziad zwariował. Stop. Zrób coś. Stop. Muszę pracować. Stop. Jak zwykle. Stop.*

Wzrok Kaja pobiegł za odlatującym gołębiem. Z westchnieniem odrzucił kołdrę ciepłych liści.

Przedzierał się przez krzaki, unikając uczęszczanych ścieżek.

- Zrób coś. Stop - mrucał do siebie z goryczą. Był na wskroś dobrym człowiekiem, jak większość Rodzynków, ale tym razem nie miał jak pomóc. Nie mógł iść za wewnętrznym głosem, który domagał się natychmiastowego spotkania z Lekarką. Musiał się oczyścić, żeby móc wrócić do Banku. Ciepły dotyk jej języka w uchu nie był wart utraty tego, co Kaj nazywał swoją życiową misją. Żał mu było dorobku. Choć stronili od hierarchii, symbolu poprzednich epok, to jakieś drobne

instytucjonalne schodki musieli ustawić. A Kaj był najlepszym opiekunem klienta, jeśli użyć terminologii dawnych czasów.

Ale teraz był dla nich potencjalnym zagrożeniem. Umykał w krzaki, gdy widział zbliżające się istoty ludzkie lub zwierzęce. Właściwie nie wiedział, po co szedł w miejsce rytualnej kąpieli. I tak nie mógł pomóc Babci.

## VIII

Gołąb wylądował na żerdzi i odwrócił się tyłem do Babci. Nie był w stanie znieść wyrzutu w jej wzroku. Wrócił na pusto, przy nóżce nie dndała odpowiedź od Kaja.

Babcia stanęła naprzeciw pozbawionego szyb okna. Przed Wielkim Łonem zgromadziło się już całe miasto, a wciąż napływały istoty z całej doliny. Uroczystość rytualnej kąpieli musiała się odbyć, niezależnie od tego, co Dziadek wyprawiał z Lekarką. A Babcia musiała rytuał poprowadzić. Jak co roku od ponad stu lat.

Babcia przyjęła kolejną dawkę szczepionki wbrew sobie. Była zwolenniczką naturalności, co na początku XXI wieku było odbierane jako wsteczność lub fanaberia. Pierwsza przeczuła, że zatrzymanie się procesów starzenia u Dziadka musiało być powikłaniem po przyjęciu medykamentu. A kiedy się okazało, że Dziadek nigdy nie umrze, postanowiła mu w tym wiernie towarzyszyć.

W jej przypadku powikłania okazały się bardziej złożone. Nie tylko zapewniły jej nieśmiertelność, lecz także cofnęły organy do stanu z pięćdziesiątki. Od stu lat Babcia tkwiła na progu wieku, który obiecywał kobiecie wolność. *Nic nie muszę, wszystko mogę* – przekonywała sama siebie.

Wzięła do ręki koronę i założyła ją powoli na głowę. Zawsze wykonywała ten gest w samotności. Poza tym towarzystwo kogokolwiek w tym momencie mogło być wzięte za nawiązanie do feudalnej tradycji, powrotu hierarchii, czasów królowych i służek.

Babcia była sama sobie królową i służką. Przez całe życie ciężko pracowała, chociaż Dziadek powtarzał przez dekady, żeby się wyluzowała. Nie mogła, bo on był zawsze zrelaksowany. Dawniej, kiedy trzeba było pracować, żeby mieć za co żyć, on pisał. Ale gdy można już było pisać, nie martwiąc się zarabianiem – kto by się tym zajmował w czasie Wielkiego Wymierania – on pisać przestał.

Dla Babci praca była zawsze najważniejsza. Kaj to po niej odziedziczył. Wiedziała, że jej nie pomoże. Niepotrzebnie do niego napisała. Bank był jego życiem i żadna kusicielka, choćby nawet miała wszystkie zęby, nie mogła odwieść go od misji dystrybuowania Dotyku.

*Kto rozda Dotyk biednym podczas święta Janiny?* – przemknęło przez głowę Babci. To Kaj przeprowadził co roku akcji charytatywnej pod hasłem „Dotyk dla potrzebujących”. Ale w tym roku musiał się usunąć, nie był czysty. Babcia widziała, jak wyskoczył z krzaków prosto z łap tamtej. Miał rozbiegany wzrok, zupełnie jak Dziadek, gdy po kolejnym ataku nudy brał sprawy w swoje ręce. Czy raczej kogoś.

Babcia wyjrzała przez okno, przytrzymując koronę. Przepatrywała uważnie zarośla, aż w końcu jej wzrok zatrzymał się na jasnym punkcie. Białe włosy Lekarki lśniły pod dziewczannami, które wystawiały pręciki z warg amarantowych kwiatów.

Drugi biały punkt Babcia namierzyła po prawej. Dziadek szedł od strony zgrupowania mirabelek (wcześniej była tam ulica o nazwie zgrupowania czy batalionu). Rozglądał się uważnie, szukając kogoś wzrokiem.

Babcia sprawnie obliczyła wzrokiem dzielącą tych dwoje odległość. Zerknęła na niebo – nie zostało dużo czasu. Musi zdążyć, zanim rozpocznie się uroczystość.

## IX

Kaj przystanął wsłuchany w głosy tłumu. Powietrze drżało, napięcie oczekiwania udzieliło się wszystkim istotom, zewsząd dobiegały śpiewy, skowyty, poświstywania. Wielkie Łono połyskiwało w słońcu letniego



popołudnia leniwe, rozgrzane, złocistopomarańczowe. Te same barwy dominowały w koronie Babci, na której nadejście wszyscy czekali.

Ale Babci nigdzie nie było. Za to z lewej strony, na polance pod dziewanami Kaj dojrzał białe pasma włosów. Poczłł suchość w ustach. Schował się za drzewem, żeby Lekarka go nie zobaczyła. Rozglądała się, jakby na kogoś czekała. Naraz uśmiechnęła się triumfalnie. Kaj poszedł za jej wzrokiem.

Dziadek sunął w jej stronę nieswoim krokiem. Zazwyczaj człapał, zostawiając łokcie z tyłu, co nadawało mu wygląd sękatego starca. Tym razem jednak szedł wyprostowany jak tancerz, wpatrując się zachłannie w Lekarkę.

Kaja wypełniła mieszanka emocji, których znów nie umiał nazwać. Patrzył tylko bezsilnie na siwowłosą parę krążącą wokół siebie w płasach starszawych żurawi. Im szerzej się uśmiechali, tym bardziej go w środku bolało. Już miał się wycofać, kiedy usłyszał obok odgłos pękającej gałązki.

W odległości kilku kroków od niego stała Babcia. Tania korona połykiwała na jej włosach. Nie widziała Kaja, wpatrywała się w tamtych dwoje. Z oczu płynęły jej łzy.

Kaj podszedł cicho i objął ją ramieniem.

- Daj mu się wyszumieć - użył języka Starszyny. - I tak macie dla siebie całą wieczność. Monogamia to przeżytek dawnych wieków.

- Nie dla mnie - odparła bezgłośnie.

Przed nimi Lekarka wsuwała właśnie dłonie pod koszulę Dziadka.

Kaj się skrzywił. Babcia spojrzała na niego czujnie.

- Boli? - zapytała.

Przytaknął.

Patrzyli na tamtych dwoje, na ich splecione ciasno sylwetki.

- Mnie też boli - powiedziała Babcia. A po chwili dodała: - Więc na co czekamy?

Strzeliła z palców. Na jej znak wataha psów, które grasowały w pobliżu, wpadła między Dziadka a Lekarkę. Dobiegły stamtąd krzyki i pomstowania. Warkot się wzmógł, psy szczyrzyły zęby, zacieśniając kręgi wokół siwowłosych postaci. Kundle oddzieliły ich od siebie, po chwili tamci dwoje stracili się z pola widzenia.

## X

Lekarka szarpała się na podłodze piwnicy Gołębiego Domu. Sznurek wpijał się w przeguby, a knebel wciskał w gardło. Kaj odwrócił się do ściany. Nie mógł na to patrzeć. Chwytał nóż i zaczął nerwowo zeskrobywać ze ściany grzyb. Strużyny wpadały spiralami do garnka. Uspokoila go ta prosta domowa czynność.

Babcia stanęła nad Lekarką. Korona trochę jej się przekrzywiła.

- Wolisz Dotyk czy władzę? - zapytała i wyciągnęła knebel z ust Lekarki.

- Pytasz, czy wolę seks, czy władzę? - odparła tamta, ciężko dysząc.

- Kiedyś jedno oznaczało drugie. Tak nam mówili na lekcjach historii.

- Ale dziś musisz wybrać.

Lekarka spojrzała na Babcie z niedowierzaniem.

- Oddałabyś mi to? - wskazała koronę.

Babcia bez słowa podniosła rękę w górę. Lekarka powstrzymała ją gestem.

- Zaczekaj. A on? - powiedziała.

Spojrzały obie na Kaja. A potem znów na siebie.

## XI

Tego roku święto Janiny odbyło się bez przewodnictwa Babci. Zniecierpliwieni czekaniem ludzie i zwierzęta sami przystąpili do rytuału. Podchodzili rzędami do konstrukcji z gliny i gałęzi, z której pulsacyjnie wypływała woda, i podstawiali ciała pod ciepłą strumień. Słońce przeciskało się przez płataninę gałęzi zarastających miasto, kładło na twarzach ludzi, połyskiwało na futrach czworonożnych.

A potem we wszystkich wstąpił szal. Doroczne bezpieczne bezdotykowe tańce się nie odbyły. Zamiast tego zgromadzeni zaczęli patrzeć na siebie głodnym wzrokiem, okrążać się i dotykać, na początek nieśmiało, potem coraz odważniej. Woda ciurkała, a w nich pękały tamy. Znikł

gdzieś paniczny strach przed Dotykiem, który pętał ciała przez dekady. Coraz śmielej kotłowali się pod dziewannami, pokuśnie opierali się o mirabelki, nadstawiali twarze i pyski pod ciepło promieni słońca i darmowy Dotyk. Nie myśleli, czy się zarażają. W ogóle nie myśleli, po raz pierwszy od dawna. Jakby korona Babci, której nie zobaczyli podczas tych obchodów, była ostatnią obręczą oddzielającą ich od siebie.

A Babcia? Podobno uciekła z Dziadkiem na dach, gdzie tak intensywnie oddawali się rytuałom płodności, że zawstydzone ptaki opuściły Gołębi Dom.

Kaj przeżył swój pierwszy raz w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Leżał potem w krzakach z głową na brzuchu Lekarki i nie myślał o Banku. Po raz pierwszy w życiu nikogo ani niczego nie zbawiał. Było mu z tym dobrze.

## XII

Dziewięć miesięcy po święcie Janiny 2123 roku urodziło się zaskakująco dużo ludzkich istot. Powiły też zwierzęta. Wkrótce Wielkie Wymieranie przemianowano na Wielkie Wylęganie.

Bank Dotyku przetrwał, ale doszło do restrukturyzacji. Zamieniono go na Bank Wymiany Dóbr. Nie było już mowy o „czynieniu dobra”, a zapaleńców z misją zastąpili pracownicy, którzy podczas rozmów kwalifikacyjnych musieli odpowiedzieć na pytania, z którymi zmagali się podobno ich poprzednicy z dawnych epok: „Dlaczego chce u nas pracować?” czy „W jakich dniach i godzinach jest dyspozycyjny/a?”.

Dzięki nawiązaniu do tradycji pod nazwą Banku wypisano mniejszymi literami datę powstania, na tyle odległą, by instytucja wzbudzała zaufanie. Jego pracownicy mogli uprawiać seks.





# Ty nad poziomy wylatuj

RAFAŁ KOSIK

Ty nad poziomy wylatuj, mówiła matka, tuląc go i ściskając nieco zbyt mocno. Musisz się uczyć, żeby kiedyś dobrze zarabiać, nie waż mi się wracać ze średnią poniżej pięciu, dodawał ojciec, wieszając na ścianie skórzany pas. Flatt nie miał łatwego dzieciństwa, co samo w sobie jeszcze nie czyniło go wyjątkowym. Wyjątkowym uczyniło go dopiero to, czego dokonał wiele lat później, choć nie ma zgody co do tego, czy dokonał tego w pełni świadomie.

Rodzice zaszczepili mu pewne cechy. Matka – bierną agresją – wpoła niesusualne poczucie winy, ojciec – czynną – strach przed konsekwencjami. Z jednego i z drugiego wyzwolił się, kiedy miał dwadzieścia lat. Kiedy miał trzydzieści, zrozumiał, że dwudziestolatkwowie są bardzo naiwni. Ostatnio zaś miał mnóstwo wolnego czasu na przemyślenia, dzięki czemu już wiedział, że nie tylko z niczego się nie wyzwolił, lecz także że nie wyzwoli się nigdy, bo ta klatka zrosła się z ciałem.

Flatt nie przeczuwał jeszcze, że ten dzień stanie się jego wielkim dniem. Nie było też pewne, czy o takim rodzaju wielkości marzył ani czy o tym marzyli jego rodzice.

\*

Helena stała przy samochodzie z wielkim logo firmy carsharingowej na drzwiach. Założyła naszyjnik z diamentem, ten, o którym marzyła i który Flatt wielkim wysiłkiem kupił za pieniądze z zaliczki na ostatnie zlecenie.

- Jesteś - powiedziała i objęła go, choć nie tak mocno, jak kiedyś robiła to matka.

- Jestem - odpowiedział i pocałował ją, bo przecież tak bardzo tęsknił. Uniósł ją w powietrze i obrócił kilka razy.

Wsiadli do auta, a Flatt rzucił płaszcz na tylne siedzenie, położył dłonie na kierownicy i uśmiechnął się. Prowadzenie samochodu to jedna z tych przyjemności, których bardzo brakowało mu w celi. Bał się, że zanim wyjdzie, wprowadzą już ustawę o nakazie używania trybu autonomicznego. Tak jak pięć lat temu znieścacka przeszła ta o zakazie posiadania własnych samochodów.

Ruszył w kierunku domu. Nareszcie.

- Gdzie Mints? - zapytał.

Helena westchnęła i wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Nie odzywał się.

- Miał co miesiąc przynosić ci żetony.

- Przyniósł raz, na początku.

Flatt zacisnął mocniej dłonie na kierownicy.

Miasto nie zmieniło się ani trochę. Na niebie wisiała ta sama bura szmata, która ludzi, zależnie od ich osobowości i wychowania, może doprowadzić do niedoboru witaminy D albo sprowadzić na złą drogę. Pierwszego Flatt nie był pewny, drugie udowodnił prokurator.

Rozluźnił się. Potem się zajmie Mintsem. Jeżeli coś czekało tyle czasu, poczeka jeszcze jeden dzień. Flatt miał zamiar rozpocząć teraz spokojne i uczciwe życie.

Przejechali obok Banku Centralnego. Strzelisty budynek z elewacją z piaskowca skrywał biura, a prawdziwe skarby kryły się w skarbcu, kilka pięter pod ziemią. Ostatnim razem prawie się udało. Prawie.

Spokojne i uczciwe życie. Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać.

Wyrzucił z głowy nieprzyjemne myśli i spojrzał na Helenę. Marzył o tej chwili od roku i bardzo nie chciał odkładać tego na później. Przełączył samochód w tryb automatyczny i ustawił destynację. Kierownica schowała się w kokpicie, a samochód przyspieszył z cichym szumem silników elektrycznych. Flatt położył dłoń na kolanie kobiety i przyciemnił jednocześnie okna.

- Coś taki niecierpliwy? - odsunęła się lekko.

- Między ustami a brzegiem pucharu wiele się może... - nie pamiętał dalszego ciągu, więc dotknął ustami jej szyi.

Odchyliła się.

- Czekaj. Zaraz będziemy w domu.

\*

Gdy samochód się zatrzymał i oznajmił, że są już u celu, Flatt wysiadł pierwszy i poprawił ubranie. Jedno od razu rzuciło mu się w oczy - dotarli do celu, ale z pewnością nie do tego, do którego chcieli. Piętrowy parking wyglądał na opuszczony. Stał tam jednak jeszcze jeden pojazd, a o błotnik opierał się ktoś, kogo Flatt doskonale znał. Gyro - tej zakazanej mordy nie sposób zapomnieć. Jakimś cudem udawało mu się omijać prawo i wciąż przemieszczał się własnym samochodem. Zresztą nie było to jedyne prawo, które omijał. Po dwóch stronach samochodu stali ochroniarze, tak samo jak szef ubrani w najdroższe garnitury.

- Miło, że wpadłeś - Gyro odezwał się zachrypniętym głosem, którego również nie sposób było zapomnieć.

- Czego chcesz? - Flatt nie po to spędził tyle czasu w pierdłu, żeby teraz bawić się z tym palantem w gierki słowne. Zhakowanie samochodu było bardzo w stylu Gyra - lubił efekciarstwo. - Nie wysiadaj - rzucił do Heleny, choć nic nie wskazywało na to, żeby zamierzała wysiąść. A gdyby Flatt uważnie jej się przyjrzał, zauważyłby, że nawet nie sprawia wrażenia specjalnie zaskoczonej. Uchyliła szybę i nasłuchiwała.

Gyro wyjął papierośnicę i bez pośpiechu przypalił papierosa. To też było nielegalne i pewnie właśnie dlatego to robił. Wydmuchnął pierwszy dymek i dopiero się odezwał:

- Pomyślałem, że zapytam cię bezpośrednio. Kiedy zamierzasz oddać kasę?

- Jakbyś nie zauważył, spędziłem rok w miejscu, gdzie się nie zarabia.

- Obiło mi się o uszy. Każdy spędza czas, jak lubi.

- Przesiedziałem rok zgodnie z umową, a mimo to domagasz się zwrotu zaliczki? Nie jestem ci nic winien.

Helena mimowolnie dotknęła naszyjnika. Zaraz jednak cofnęła rękę.

Gyro wolno pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo.

- Nie mówię o zaliczce - powiedział. - Pożyczyłem ci sprzęt. Zapomniałeś?

- Skonfiskowała go policja - Flatt silił się na spokój. - Dobrze o tym wiesz. Była wpadka.

- Pożyczyłem ci sprzęt, a ty go nie oddałeś. Krótka piłka.

Flatt spojrział w bok na pordzewiałą barierkę i zrujnowaną halę magazynową kawałek dalej. Najchętniej zrzuciłby Gyra z tych dziesięciu, może dwunastu metrów. Tylko to nie mogło się udać w żadnym z możliwych scenariuszy. Ani tutaj, ani gdzie indziej. Gyro zawsze otaczał się sztabem uzbrojonych ludzi, mieszkał w willi z wysokim płotem z zaostrzonych prętów, po jego ogrodzie biegały wyszkolone psy, pancernych drzwi strzegli ochroniarze. Nie, to nie był ktoś, kogo można załatwić ot tak.

- I co, wydaje ci się, że wygrzebię spod ziemi tę kasę? Jestem na wolności od kwadransa.

- Dlatego jesteś mi winien kasę od... kwadransa? - Gyro skrzywił się z niesmakiem i wyrzucił papierosa wypalonego ledwie w jednej trzeciej.

- Co ty do mnie gadasz po francusku?!

- Dobra, czego chcesz? Mam plany na resztę dnia.

- Nic wielkiego. Dokończysz tylko to, co zaczęłaś rok temu.

\*

Flatt był tak wściekły, że planował na początek wywalić drzwi, tak na rozgrzewkę. Po drodze miał jednak trochę czasu, żeby te plany zweryfikować. Przykry, kilkuetapowy proces myślowy, ale konkluzja była oczywista - potrzebował przecież współnika. A Mints był najlepszym współnikiem. Wyjaśnienie, dlaczego nie płacił Helenie, nagle spadło w rankingu priorytetów.

Nie miał pewności, czy były kumpel nadal wynajmuje to samo mieszkanie. Od czasu, kiedy zniknęło pojęcie indywidualnej własności nieruchomości, ludzie częściej się przeprowadzali. Wybierali mieszkanie zależnie od stanu finansów.

Flatt mógł użyć komunikatora, ale uznał, że niespodzianka będzie lepsza. Mints wydawał się zaskoczony, gdy otworzył drzwi. Ale wpuścił



go do środka.

- Coś źle policzyłem - powiedział zamiast przywitania. - To już dziś?

Przez chwilę na siebie patrzyli. Mints czekał. Zastanawiał się, czy Flatt mu po prostu nie przywali. Sam Flatt nie był pewny swojej decyzji.

Wylatywania ponad poziomy nie rozpoczyna się od bijatyki. Zmusił się do podania ręki.

- Najpierw cię o coś zapytam, żebyśmy to już mieli za sobą - zaczął.

- Nie zapomniałem o Helenie... - Mints przygarbił się trochę. - Tylko...

- Mieliśmy umowę, Mints. Ja cię nie wsypuję, ty płacisz mojej żonie.

- Wsypanie mnie nic by ci nie dało. Siedziałbyś tyle samo.

- Mieliśmy umowę.

- Są dwa powody. Gyro zabrał mi wszystkie żetony - Mints wzruszył ramionami. - Odszkodowanie sobie wymyślił za tamten sprzęt. Miałem jej zapłacić e-złotymi? Przecież od razu wszystko by się wydało.

No tak, to miało sens i też było bardzo w stylu Gyra - interesowały go tylko władza i żetony. Trzymał je pewnie w sejfie tej swojej willi. Flatt nie wpadł na to wcześniej. Usiadł przy stole, bo koncepcja użycia przemocy fizycznej zupełnie już się zdezaktualizowała.

- A drugi powód? - zapytał.

- Poznasz go za chwilę - Mints jakby oklapł. Wstał. - Herbaty?

- Herbaty...? - Flatt spojrział na współnika ze zdziwieniem.

- Rzuciłem alko - Mints podszedł do kompilatora żywności i wybrał odpowiednią opcję. Urządzenie zaszumiało. - Ja w ogóle, wiesz, postanowiłem żyć spokojnie i uczciwie.

- Też miałem taki pomysł. Jeszcze godzinę temu go miałem. I wróć do niego. Ale najpierw muszę zarobić na to spokojne i uczciwe życie. I dlatego do ciebie przyszedłem.

- O nie, stary, skończyłem z tym - gospodarz postawił na stole dwa kubki parującej herbaty. - Zresztą co chcesz ukraść? Samochodów nie można, kradzież rowerów jest trochę poniżej godności. Co w ogóle ludzie dziś noszą przy sobie? Komunikatory? Są już tańsze niż oranżada. Może planujesz włamania do mieszkań? - wykonał szeroki gest, wskazując trzy ekspresy do kawy, pięć tosterów i inny sprzęt kuchenny, częściowo nadal w pudełkach. - Możesz nawet i mnie okraść. Proszę

bardzo! I tak za dużo tego mam, tak jak wszyscy. Kiedy zbliża się termin przydatności e-złotówek, kupuję cokolwiek.

Flatt nie poznawał współnika. Jakby uleciała z niego chęć życia. Zamiast możliwości widział tylko zagrożenia. Starość dopadła jego umysł przed czasem.

- Pomyśl - poprosił Mints. - Co nam zostało do kradzenia, skoro nie ma już nawet papierowych pieniędzy? E-złote, być może. No ale pech, ani odrobinę się na tym nie znamy. A nawet gdybyśmy się znali? Inwestycja krótkoterminowa. To gównu znika po roku.

- Wiem, jak działa pieniądź czasowy - mruknął Flatt.

- To może żetony? Sensowną liczbę mają tylko ludzie pokroju Gyra. Chcesz ich obrobić? To już lepiej od razu wykop sobie grób.

- O złocie do ciebie mówię - przerwał mu zniecierpliwiony Flatt. - O prawdziwym złocie.

- Kiedy ostatnio próbowaliśmy, nie poszło nam najlepiej.

- Zmodyfikowałem plan. Pierwsza część się nie zmienia, kradniemy złoto ze skarbca Banku Centralnego. Zmienia się druga: zatrzymujemy wszystko dla siebie.

- Gyro ci nie odpuści.

- Gyro i tak mi nie odpuści. A z dwiema tonami złota łatwiej się mimo wszystko ukryć niż bez dwóch ton złota. Cała sztuka polega na tym, żeby ustalić z nim termin skoku, po czym zrobić go tydzień wcześniej.

Cicho piknął zamek i otworzyły się drzwi. Flatt zeszywniał i ledwo się powstrzymał, żeby nie zerwać się od stołu.

- Właśnie przyszedł drugi powód - mruknął Mints.

Do mieszkania weszła kobieta z dwójką pięcio-, może sześciolatków. Spojrzała zaskoczona na gościa i wyraz jej twarzy się zmienił. Najwyraźniej zrozumiała, kto ich odwiedził.

- Planujesz się znów w coś władować? - zapytała ostro.

- Daj nam chwilkę, kotuś - poprosił Mints. - I nic się nie przejmuj.

Nim weszła do sypialni, zmierzyła Flatta nieprzychylnym spojrzeniem. Doskonale ją rozumiał. Pociągnął łyk herbaty i westchnął bezgłośnie. Teraz już było jasne - musi poszukać nowego współnika.

- Nie wiedziałem, że masz dzieci - powiedział, gdy za kobietą zamknęły się drzwi.

- Ja też nie wiedziałem - Mints wypił herbatę do końca. - Jest jeszcze coś. Ludzie gadają, że Helena nie marnowała czasu przez ten rok.

\*

- Sto czterdzieści sześć - przesunęła po blacie materiałowy woreczek.

Flatt wziął go do ręki. Woreczek ważył swoje, a zawartość miło brzęczała. Sprzętu, który musiał kupić, nikt nie sprzedawał za e-złotówki.

- Chcesz sprawdzić?

Miała koło czterdziestki i wyraz twarzy taki, jakby już dawno pozbyła się wszelkich złudzeń.

Flatt zerknął na mikroskop z boku długiego biurka.

- A pojawiają się fałszywki? - zapytał.

- Nie. Ale lubię, jeśli klient wychodzi zadowolony.

- Jak kupujesz, to sprawdzasz.

- Wyrywkowo - przyznała. - Pilnowanie procedur bardzo pomaga utrzymać biznes na odpowiednim poziomie. Albo przynajmniej ponad powierzchnią. Czasem pojawiają się podejrzenie nowe żetony, nieużywane. Zupełnie jakby ktoś miał zapas i bardzo oszczędnie go uszczuplał. Interesuje mnie to, więc je sprawdzam. Nigdy nie trafiłam na fałszywkę.

Żetony były niewiele większe od dawnych monet i miały skomplikowaną strukturę wewnętrzną. Jak na razie nikt nie potrafił ich sfalszować. Legenda głosiła, że to elementy jakichś bardzo starych urządzeń, których nikt już nie pamięta. A skoro liczba żetonów nie może wzrosnąć, wręcz w naturalny sposób musi wolno spadać, to są doskonałym środkiem płatniczym. W świecie żetonów nie istniała inflacja. Nie miały terminu przydatności jak e-złote. Niestety, pozostawały nielegalne. Były nieoficjalną walutą, która nie podlegała kontroli władz.

Flatt zapragnął Heleny. Ta myśl pojawiła się nieoczekiwanie. Zgasił ją.

Kobieta patrzyła na niego wyczekująco. No tak, niepotrzebnie zajmował jej czas.

\*

Bar wydał mu się mniej obscurny niż ostatnio i Flatt dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, o co chodzi – po raz pierwszy od roku siedział w barze. W jakimkolwiek barze. Ta chwila była tak piękna, że nie potrafiły jej zepsuć ani powgniatany blat, ani zapach wczorajszego dymu z nielegalnych papierosów. Oglądał mosiężne okucia i ciemne drewno, kolorowe butelki na półkach. Tak, bardzo mu tego brakowało.

O tej porze było tu jeszcze pustawo. Mata za barem postarzała się o kilka lat. Wycierała szklanki, bardziej z nudów niż z rzeczywistej potrzeby.

- Była tu parę razy – przyznała po namyśle. – Liczyłeś na to, że będzie siedzieć w domu, skoro ty siedzisz w pierdłu?

Szczerze mówiąc, Flatt na to właśnie liczył.

- Nalej mi szkockiej – powiedział, po czym szybko się zreflektował. – Nie, czekaj, małe piwo. Odzwyczailem się.

- Odmłodziłeś za kratkami – Mata naląła piwo.

- Dobrze żarcie, dużo snu, żadnego alko – Flatt z błogim wyrazem twarzy pociągnął pierwszy łyk. – Czyli mówisz, że z kim się tu spotykała?

- Nie mówiłam niczego takiego – zaznaczyła Mata. – Wpadła tu parę razy.

Siedząca przy końcu baru Lizie parsknęła znad nieodłącznej szklaneczki.

- Czyli przychodziła sama, zamawiała kawę i wychodziła? – zapytał Flatt.

- Słuchaj, Flatt – Mata oparła się o bar. – Nie widziałam cię od roku, a ty wymagasz ode mnie, żebym ci opowiadała o tajemnicach moich klientów. Nie jesteś, że tak powiem, bywalcem.

- Bywalcem nie jestem? – Flatt pokiwał głową, wypił duszkiem piwo i odstawił szklankę. Beknął, zapłacił zbliżeniowo, przysuwając nadgarstek do terminalu, po czym zawahał się i dorzucił jeszcze żeton do puszki na typy. Pożegnał się i wyszedł.

Mata zmarszczyła czoło i wymieniła spojrzenie z Lizie. Zanim jednak którakolwiek zdążyła cokolwiek powiedzieć, drzwi otworzyły się znowu i do baru ponownie wszedł Flatt.

- To, co zwykle - powiedział, siadając na stołku, który jeszcze nie zdążył wystygnać.

Mata gapiła się na niego przez chwilę, po czym parsknęła śmiechem.

- Więzienie cię nie zmieniło.

Nalała piwo i postawiła je przed nim, tym razem już duże.

- Nie chodzi o to, że jej nie ufam - skłamał Flatt. - Powiedzmy, że chcę rozwiązać wątpliwości. Spokój duszy chciałbym mieć.

Ogarnął wzrokiem wnętrze ze wszystkimi podsypiającymi tam nieudacznikami przygarniętymi przez Matę. Pozwalała im tutaj przesiadywać, kiedy nie było dużego ruchu. Czasem nawet coś im dyskretnie polewała. Znał niektórych z nich, ale z pewnością żaden nie nadawał się na współnika.

- Czyli była tu kilka razy - upewnił się.

- Kotku, przychodziła tu kilka razy w tygodniu - rzuciła od niechcenia Lizie.

Mata posłała jej niezadowolone spojrzenie.

- Przychodziła, bo jej się nudziło - powiedziała.

- I zamawiała kawę? - pytał dalej Flatt.

- Raczej kawówkę - sprecyzowała Lizie. - I nie zamawiała, tylko jej zamawiano.

- Bo nie miała pieniędzy.

- Gdyby nie miała na życie, toby dawno sprzedała ten naszyjnik.

- Idź się prześpij, co? - powiedziała groźniej Mata.

Lizie leniwie zwlekła się ze stołka i wolno ruszyła w stronę drzwi. Wybrała jednak drogę naokoło, obok Flatta.

- Jak chcesz, to pokażę ci moje ulubione miejsce do spania - otarła się o niego ramieniem. - Nadaje się też do innych rzeczy.

- Wytrzeźwiej i masz tu być o szóstej - Mata posłała jej wściekłe spojrzenie.

Lizie ją zignorowała. Spojrzała poważniej na Flatta.

- Przyjmij do wiadomości przykrą prawdę, kotku - powiedziała. - Helena odżywa, kiedy ty siedzisz za kratkami. Najchętniej wsadziłaby cię tam na dłużej. Albo na zawsze.

Dopiero teraz wyszła, królewskim gestem machając na pożegnanie.

Flatt zawiesił na barmance ciężkie spojrzenie. Ta naląła szkocką i postawiła przed gościem.

- Mówią na niego Fizyk. Czasem tu przychodzi, ale głównie to siedzi w domu i robi... nie wiem co. Mambo jumbo. Gładka gęba i nierówno pod sufitem. Z nieznanym mi powodów baby lecą na takich.

\*

- Ciebie na przykład nie zastanawia, dlaczego rząd nie robi porządku z zetonami?

- Nie potrafią - Flatt nie miał nastroju na rozmowę.

- Potrafią zrobić, co tylko zechcą - Septo dla podkreślenia wagi swoich słów uniósł palec. - Powiem ci. Im się to opłaca, bo dzięki temu mają wszystko pod kontrolą.

Flatt siedział z tyłu za przyciemnionymi szybami. Nie miało to sensu - skoro znał to ponure miasto na wylot, i tak będzie wiedział, gdzie wysiądzie.

Septo udawał, że prowadzi pojazd w trybie manualnym. Tak naprawdę kierownica była odłączona, a on tylko nią poruszał. Zapewne miało to wzbudzać w klientach coś w rodzaju szacunku. Żeby wiedzieli, za co płacą. Flatt zauważył to po kwadransie, więc możliwe, że inni nie zauważali tego w ogóle. Wyłączony ekran nawigacyjny ział czernią, ale nawigacja i tak działała, zapewne sterowana z komunikatora. Dla Flatta istotne było tylko to, że Septo jakimś tajemniczym sposobem potrafił znaleźć w Mieście dowolną osobę.

Dlaczego ona to zrobiła? Za mało zarabiał? Może po prostu chciała żyć na wyższym poziomie? Ostatnio wylatywanie ponad poziomy szło mu jeszcze gorzej niż zwykle. Helena musiała sobie jakoś radzić. W sumie to zapomniał zapytać, skąd przez ten rok brała pieniądze. Zarabianie nie było w jej stylu, wydawanie zdecydowanie bardziej.

- Pomyśl tylko - nawijał Septo. - Żetony mają wartość tylko dlatego, że się wszyscy tak umówili. Jak muszelki kiedyś tam, dawno temu. Nic za nimi nie stoi poza tą umową.

- Tak było z każdym pieniądzem - odparł znużony Flatt. *Nie licząc złota* - dodał w myślach.

Może nic się nie wydarzyło? Może ludzie plotkują i wyolbrzymiają?

- Ale e-złotówki są ważne tylko przez rok - ciągnął kierowca. - Oszczędzanie nie ma sensu, bo kasa znika i nie masz nic do gadania. I wtedy nic cię już tutaj nie trzyma. Nic poza żetonami. Je możesz mieć dowolnie długo, dopóki siedzisz w Mieście. Ale poza nim to już zwykły złom. Więc siedzisz na dupie, jesteś tutaj uwiązany. I tego właśnie chce rząd.

Flatt już nie słuchał. Nikt go jakoś specjalnie nie resocjalizował w więzieniu, wręcz przeciwnie, propozycji współpracy na przyszłość miał aż nadto. Sam próbował się resocjalizować. Doszedł do wniosku, że uczciwe życie zwyczajnie bardziej się opłaca. W liczbach, statystycznie się opłaca. Sporo czasu spędził w bibliotece, głównie surfując po internecie filtrowanym przez więzienną cenzurę. Gdy policzył prawdopodobieństwo wpadki, możliwy zysk, podział łupów i kilka innych parametrów, wyszło mu czarno na białym, że zwykły kioskarcz zarabia więcej niż niezły włamywacz. I dlatego Flatt miał szczerzy zamiar rzucić przestępcze rzemiosło.

Od razu po tym ostatnim skoku.

W myślach już rozgrzeszał Helenę i wymyślał, co zrobi, kiedy zdobędzie to złoto. Wtedy ona nie będzie widziała świata poza Flattem.

- Jesteśmy - Septo nie do końca dopasował ruchy kierownicy do manewrów parkującego samochodu.

To była starsza część Miasta, dominowały tu ceglane kamienice, teraz nieco już podniszczone. Ściemniało się, nad Miasto ciągnęła granatowa chmura.

- Ostatnie piętro - dodał Septo. - Swoją drogą ten Fizyk to niezły casanova. Przez ostatni rok obracał żonę jakiegoś jełopa.

\*

Długo nie było żadnej reakcji na dzwonek. A może Septo znalazł niezły sposób na zarobek? Jeździ po mieście fejkowym taxi i zawozi ludzi w losowe miejsca za dziesięciokrotność ceny. Flatt szybko jednak doszedł do wniosku, że taki biznes nie mógłby trwać dłużej niż tydzień. No chyba że cenie przejażdżki zawierała eliminację pasażera, aby się sprawa nie wydała.

Drzwi niespodziewanie się rozsunęły i Flatt patrzył w wylot lufy. Przełknął ślinę. Tak bezpośredniego przyjęcia się nie spodziewał. Jeżeli nawet zamierzał zacząć od solidnego potrząśnięcia rozmówcą, to szybko skreślił tę opcję.

- Znamo pachniesz - powiedział Fizyk, bo to był on.

Flatt nie zamierzał dyskutować z kimś, kto celuje do niego z broni kalibru sugerującego amunicję przeciwpancerną. Co to za model? Nie potrafił rozpoznać. Nie znał się zresztą na broni - w jego branży była niepotrzebna, a wręcz niewskazana. Gdyby rok temu miał przy sobie choćby mały pistolecik, mijałaby mu dopiero połowa odsiadki.

Fizyk był szczupły i wysoki, przystojny jak amant filmowy. Nawet biały fartuch leżał na nim jak włoski garnitur.

- No wchodź - odsunął się na bok i machnął zachęcająco pistoletem.  
- Zapraszam.

Flatt wszedł, taki był przecież plan, choć sposób jego realizacji zdecydowanie mu nie odpowiadał.

Laboratorium zajmowało większą część mieszkania. Czyli Fizyk to nie było przewisko. Przez częściowo zdemontowany sufit dało się dostrzec wewnętrzną stronę dachu dziesięć metrów wyżej. Wzdłuż ścian biegły grube, oszronione rury, od których wiało chłodem. Z belek stropowych zwieszały się wiązki przewodów, spomiędzy których wystawały ekrany wyświetlające liczby i falujące wykresy. Z boku zainstalowano obłe zbiorniki oplecione zwojami kabli. Coś tam syczało, coś tykało, coś iskrzyło, napełniając powietrze delikatnym zapachem ozonu. Kolejne przewody biegły do urządzeń, których przeznaczenia Flatt nie rozpoznawał. Na samym środku pustej przestrzeni powstałej po usunięciu ścianek działowych stało... coś. Coś, do czego prowadziły wszystkie przewody i rury. To coś buczało jak wielki transformator i wypuszczało z siebie kłęby świetlistej pary. Wyglądało jak kulista kabina starego batyskafu z bulajami otoczonymi miedzianymi pierścieniami z grubymi nitami.

- Odpłaszczacz - wyjaśnił Fizyk, niczego nie wyjaśniając.

Flatt zdjął płaszcz, bo rzeczywiście robiło się ciepło. Fizyk spojrzał na niego badawczo.

- Nie sądziłem, że zdecydujesz się przyjść - powiedział.



Flatta niespecjalnie interesowała cała ta aparatura. Odwiesił płaszcz.

- Mam do ciebie kilka pytań - starał się, by jego głos brzmiał choć odrobinę stanowczo.

- No tak, racja, miałem ci to wyjaśnić. Przyszedłeś wcześniej, niż się spodziewałem.

- Domyśliłem się od razu - Flatt poczuł się mile połączony tym, że Fizyk docenił jego przenikliwość. - To nie było aż tak trudne.

- Hmm... Myślałem, że lepiej się kamufluję.

- Niestety nie. Mimo okoliczności - zerknął na pistolet - oczekuję co najmniej wyjaśnień.

Fizyk skinął głową i podszedł do stołu, na którym leżała otwarta księga ze skomplikowanymi obliczeniami.

- Wyobraź sobie, że na tej kartce żyją płaskie istoty - powiedział.

- Mole, takie, co jedzą papier?

- Jeszcze bardziej płaskie. Takie... płaszczaki, które w ogóle nie wiedzą, że istnieje coś poza ich płaszczyzną. Nie wiedzą o istnieniu świata ponad kartką. Mają tylko długość i szerokość, nie mają wysokości. Nie wiedzą, że wysokość w ogóle istnieje. Osiągnęłyby przełom, gdyby tylko potrafiły spojrzeć w górę, wstać, wznieść się ponad swój dwuwymiarowy poziom i zajrzeć w nasz trójwymiarowy świat.

Flatt spojrział na niego, nieoczekiwanie zainteresowany.

- Wznieść się ponad poziomy...

- Łapiesz, widzę - ucieszył się Fizyk. - No to teraz sobie wyobraź, że my w naszym trójwymiarowym świecie jesteśmy takimi płaszczakami dla istot czterowymiarowych.

Flatt spojrział w górę, na stare deski sufitu i mansardowe okna, za którymi zaczynało właśnie lać. O czym on gada?

- No nie, nie - Fizyk pokręcił głową z dezaprobatą. - To nie takie proste. Patrzysz w górę w płaszczyźnie Z, czyli nadal w naszej trójwymiarowej przestrzeni.

- To gdzie jest ten czwarty wymiar? - zapytał Flatt, rozważając szanse na odebranie gospodarzowi pistoletu.

- Istnieje teoria mówiąca o tym, że to jest ograniczenie umysłu - ciągnął Fizyk. - Coś jak choroba zwyrodnieniowa kręgów szyjnych, tylko bardziej. Tam nie możesz zadrzeć głowy, bo ci chrupie, a tutaj nawet

nie wiesz, że mógłbyś. To by tłumaczyło całkiem sporo chorób psychicznych. Ci pacjenci psychiatryków nie są chorzy, tylko coś im w mózgu strzeliło, spadła jakaś blokada i nagle zobaczyli czwarty wymiar. Widzą więcej, niż mogą zrozumieć. Z nami jest odwrotnie w nauce - rozumiemy więcej, niż możemy zobaczyć. Dlatego zbudowałem odpłaszczacz - wskazał maszynę. - I może nawet te płaszczaki poszukują cywilizacji innych płaszczaków. A one są tuż obok, na sąsiedniej kartce książki. Dotykają się nawzajem, ale nie mogą się dostrzec.

- Bo nie potrafią wzlecieć ponad poziomy - Flatt nadal nie rozumiał, co to ma wspólnego z Heleną.

- Mało fizyczne określenie, ale można to tak określić. Popatrz - Fizyk przewrócił kilka kartek w księdze. Były tam plany budynku, chyba nawet tego, w którym się teraz znajdowali. - Tu są ściany, drzwi. Drzwi są zamknięte, więc płaszczak bez klucza nie może wejść. Jest dwuwymiarowy i drzwi są dwuwymiarowe. Nie przeniknie przecież przez nie.

- Nie da się ukryć - Flatt przysunął się nieco bliżej. Teraz miał już pistolet w zasięgu ręki.

- Dla nas, istot trójwymiarowych, nie jest to żadna przeszkoda - Fizyk dotknął papieru. - Możemy przejść nad drzwiami narysowanymi na papierze, bo dla nas to tylko kreska. Ale nie możemy przejść przez zamknięte drzwi trójwymiarowe. A dla istot czterowymiarowych to żadna przeszkoda. One mogą przejść nad naszymi drzwiami, bo dla nich one też wyglądają jak kreska.

Flatt już miał się rzucić na pistolet, gdy dotarło do niego, co przed chwilą usłyszał. Zamarł w połowie ruchu.

- Czy to dotyczy też... - cofnął rękę - powiedzmy... drzwi do skarbcza?

- Dla istot czterowymiarowych tak. Przechodzą nad nią, tak jak my przechodzimy nad linią na jezdni. Mogłyby wynieść wszystko ze środka, tak jak my wyjmujemy kostki cukru z cukiernicy. Dla istot czterowymiarowych my jesteśmy płaszczakami.

- I nie włączyłyby się żaden alarm?

- I nikt by tego nawet nie zauważył - dodał Fizyk.

Wcisnął na konsoli sterującej kolejne przyciski, przesunął kolejne suwaki i przekręcał kolejne pokrętła. Podeszedł do odpłaszczacza i wkręcił pistolet w otwór z boku maszyny. Flatt zrozumiał, że to nie był żaden

pistolet, lecz zawór płynu chłodzącego. Ale w tym momencie już go to nie obchodziło. Wizja, jaka się przed nim roztoczyła, była wprost oszałamiająca. Włamanie idealne, bez śladów. Po czymś takim Helena z pewnością nie uważałaby go za jełopa, który za mało zarabia. Miałby całe złoto Banku Centralnego i nikt nie mógłby go ani złapać, ani niczego mu udowodnić.

- Możemy zacząć - Fizyk wskazał otwierającą się klapę z boku odpłaszczacza.

- I jak tam wejść, to... wejść też do czwartego wymiaru? - upewnił się Flatt.

- Mniej więcej. No włącz wreszcie!

Flatt zebrał się w sobie i wszedł w chłodne opary wydobywające się z urządzenia. Wnętrze było raczej ciasne i wyposażone jedynie w fotel. Klapa zamknęła się za nim z sykiem.

- Tu nie ma klamki od środka - zauważył.

- Nie będzie potrzebna, pamiętasz? - głos Fizyka dochodził jakby z oddali. - To tylko kreska na podłodze. Hmm... Nie wyglądasz na kogoś ciężko chorego na raka.

- Nie jestem chory - zaprotestował Flatt. - A przynajmniej nic o tym nie wiem. Chrypka może najwyżej, w celi były przeciągi.

- Pewnie coś pokręciłem. Myślałem, że właśnie dlatego się zdecydowałeś. Zresztą to już nieważne, liczą się chęci i dusza odkrywcy.

- Jak to... już nieważne?

- Odpłaszczacz już rozpoczął procedurę. Lepiej się położyć w fotelu i nie ruszaj, bo...

- A jeśli się poruszę?

- Nie wiadomo - Fizyk szalał przy konsolach. - Nie było precedensu. Jesteś pierwszy. Ale aż tak się nie ciesz.

- Nie cieszę się jakoś szalenie...

- To, że wejrzysz w czwarty wymiar, nie znaczy od razu, że założysz tam jakąś filię ludzkiej cywilizacji, o nie. Będiesz raczej jak ameba, która odkleiła jeden czułek, podniosła go na szalce Petriego i poczuła trójwymiarowy przeciąg. Od tego długa droga do skonstruowania pierwszego gramofonu. Ale przynajmniej kiedyś napiszą o tobie w czterowymiarowych podręcznikach.

- Nikt nie pamięta imienia pierwszego kręgowca, który wylądował na plażę - stwierdził Flatt. Na wszelki wypadek położył się w fotelu. - Ale nad drzwiami będę mógł przejść?

- Moje obliczenia mówią, że tak. Ale obliczenia mają to do siebie, że trzeba je weryfikować eksperymentalnie. Właśnie dlatego potrzebuję ochotników. Zwykle trzeba wykonać wiele nieudanych eksperymentów, zanim...

Głos Fizyka dochodził z coraz większej odległości i Flatt nawet nie zauważył, kiedy przestał się nim interesować. Błyskało, iskrzyło, jarzyło się, syczało, huczało i pizgało. A potem wszystko nagle się zmieniło. Wstał, bo już nie było potrzeby dłużej leżeć w fotelu dentystycznym, przeszedł przez ścianę czy też nad ścianą odpłaszczacza i minął tego nieistotnego człowieczka w białym fartuchu. Zszedł na poziom ziemi, nie używając schodów, i ruszył wprost do Banku Centralnego. Droga okazała się zdecydowanie krótsza, bo nie musiał omijać budynków. Deszcz go nie moczył, padał obok. Flatt podglądał po drodze życie trójwymiarowców w ich trójwymiarowych domach. Zauważali go, jeśli był nieostrożny i zniżał się do ich poziomu. Chyba nie wyglądał jak przedtem, bo uciekali z krzykiem.

Człowiek uczy się przez całe życie. Dlatego strażników w hallu Banku Centralnego minął górami, nie dostrzegli go. Wszedł do skarbcza, jakby to był kwadrat narysowany kredą na asfalcie. Wziął w dłonie sztabkę złota. Nie ważyła więcej niż złoty piatek. Zgiął ją w palcach i odrzucił na stos innych sztabek. Gdzieś tam, jakimś ułamkiem umysłu zastanawiał się, jak to będzie wyglądało z punktu widzenia tych żalonych trójwymiarowców. Ale myśl ta uleciała z jego czterowymiarowego umysłu bardzo szybko. Popatrzył na całe złoto, które miał w zasięgu wzroku, i doszedł do wniosku, że nawet nie chce mu się po nie schylać. Zawsze przecież może tu wrócić. Nikt nigdzie ani nigdy nie zdoła go przed nim ukryć.

Tylko po co czterowymiarowemu Flattowi trójwymiarowe złoto?

Poszedł dalej, przez Miasto, przez samochody, przez drzewa i przez ludzi, aż dotarł do willi Gyra. Wysoki płot z zastrzonych prętów, psy, ochroniarze, pancerne drzwi, a on, Flatt, był już w środku. Gyro w salonie pił z ludźmi, których Flatt nie znał i nie zamierzał poznawać. Podniósł nic nieważącego Gyra ponad jego trójwymiarową przestrzeń, odwrócił go i - wywróconego na lewą stronę - odłożył w to samo miej-

sce. Nie przejmował się krzykami i bieganiną pozostałych. Z kasy pancernej wziął wszystkie żetony i ruszył do domu. Helena i Fizyk otwierali właśnie szampana, korek strzelił trójwymiarowo, płasko. Flatt poszedł dalej, wprost do baru Maty, gdzie wysypał żetony na podłogę. Było ich tyle, że aż zatrzęsły się szklanki na półkach.

A potem poszedł dalej, wyżej, bo nic go tu już nie trzymało. Wzleciał nad poziomy tak doskonale, jak nigdy nawet nie śnił.



